

David Gemmell

KSIĄŻE MROKU

Podziękowania

Dziękuję mojemu wydawcy, Deborah Beale, Charonowi Wood, mojej redaktor Jean Maund i „tekstowym” czytelnikom: Valerie Gemmell, Edith Graham, Stelli Graham, Stanowi Nicholsowi i Tomowi Taylorowi, których rady okazały się doprawdy nieocenione. Książkę dedykuję – z całego serca – moim przyjaciołom z Random Century, przeszłym i aktualnym, oraz wszystkim, którzy doświadczyli na własnej skórze prawdziwości porzekadła: „Im głośniejsz gardłują o honorze, tym uważniej patrz im na ręce”.

Spis treści

Księga pierwsza. 352 rok p.n.e.	
Pella, Macedonia, lato	11
Krokusowe Pole, lato.....	15
Świątynia w Azji Mniejszej, lato.....	30
Pella, Macedonia, lato	40
Pella, Macedoniajesień	62
Pella, Macedoniajesień	78
Świątynia w Azji Mniejszej	83
Imperium o nazwie Makedon.....	90
Granica tracko-macedońska.....	98
Księga druga. 352 rok p.n.e.	
Lasy Olimpu.....	107
Kamienny krąg, czas nieznany.....	113
Las centaurów	127
Góry Pindos.....	159
Wzgórza Arkadii.....	170
Las Gorgona	179
Księga trzecia. 352 rok p.n.e.	
Klify Arkadii.....	217
Równina Mantinejska.....	232
Przełęcz Tegejska.....	244
Miasto Sparta.....	257
Wzgórza Gytejonu.....	280
Miasto Sparta.....	286
Pole krwi.....	302
Miasto Sparta.....	309
Pole krwi.....	312
Portal Giganta.....	325
Księga czwarta	
Miasto Mieza. 337 rok p.n.e.....	343
Pella, lato 337 roku p.n.e.....	348
Świątynia w Azji Mniejszej	361
Letni pałac, Ajgaj.....	373
Miasto Ajgaj, środek zimy 337 roku p.n.e.....	382
Pella, środek zimy	384
Rzeka Aksios, zima 337 roku p.n.e.	390
Miasto Ajgaj	398
Pella, zima 337 roku p.n.e.....	399
Ajgaj, lato 336 roku p.n.e.....	407
Ruiny Troi, zima 335 roku p.n.e. .	410
Frygia Większa, 336 rok p.n.e. . .	414
Jonia, wiosna 334 roku p.n.e.....	423
Góry Ida, 334 rok p.n.e.....	426
Rzeka Granik, 334 rok p.n.e.....	432
Issos, jesień 333 roku p.n.e. . .	441
Bitwa pod Issos, 333 rok p.n.e. . .	446
Lindos, Rodos, 330 rok p.n.e. . . .	452
Suza, Persja, 330 rok p.n.e.....	461
Miasto Elam, 330 rok p.n.e.....	468

Babilonia, lato 323 roku p.n.e. . . .473
Próżnia, czas nieznany.....476
Miasto nad morzem, czas nieznany .479
Portal, Sparta, 352 rok p.n.e.....482
Bibliografia.....488

KSIĘGA PIERWSZA

352 rok p.n.e.

Pełła, Macedonia, lato

!

Złotowłosy chłopiec jak zwykle siedział samotnie i zastanawiał się, czy

jego ojciec dziś umrze. W sporej odległości od malca, po przeciwnej stronie ogrodu, niania rozmawiała z dwoma wartownikami, którzy strzegli

następcy tronu w ciągu dnia. Żołnierze, rośli wojownicy o srogich minach,

nawet nie patrzyli na Aleksandra, a ilekroć się do nich zbliżał, nerwowo

przestępowali z nogi na nogę.

Młody książę zdażył się już przyzwyczaić do takiej reakcji i choć miał

dopiero cztery lata, doskonale ją rozumiał.

Ze smutkiem przypomniał sobie zdarzenie sprzed trzech tygodni, kiedy jego ojciec w wojennym rynsztunku przemierzył tę samą ogrodową ścieżkę.

Zbroja Filipa błyszczała w świetle słońca. Wyglądał tak wspaniale, że chło-

piec wyciągnął rękę, by dotknąć połyskujących tafli inkrustowanego złotem

żelaza. Sześć złotych lwów na piersi... Niestety, gdy tylko wysunął dłoń,

ojciec błyskawicznie się cofnął.

– Nie dotykaj mnie, synu! – warknął.

– Nie zranię cię, ojczu – szepnął książę, błagalnie wpatrując się w twarz

okoloną kruczoczarną brodą i o ślepych prawym oku, które lśniło jak ogromny

opal pod wściekle pokiereszowanym czołem.

– Przyszedłem się z tobą pożegnać – wymamrotał Filip. – I poprosić cię, abyś się dobrze sprawował. Ucz się pilnie i zachowuj, jak przystało na

księcia.

– Zwycięzysz? – zapytał Aleksander.

– Zwycięzę albo zginę, chłopcze – odrzekł król, po czym klęknął

1 spojrzawszy synowi śmiało w oczy. Uśmiech rozświetlił nieco jego chmurne

'blicze. – Niektórzy twierdzą, że jestem skazany na klęskę.

Pamiętają, jak

boleśnie pobił mnie Onomarchos podczas naszego ostatniego starcia.

Tyle

że... – Zniżył głos do szeptu. – Kiedy zdradziecka strzała trafiła mnie w oko

w czasie oblężenia Metone, także wrócono mi śmierć. Gdy w Tracji powaliła

mnie gorączka, ludzie przysięgali, że przestało mi bić serce. Ja jednak jestem

Macedończykiem, Aleksandrze, i nie umieram łatwo!

– Nie chcę, żebyś umarł. Kocham cię – rzekł wzruszony malec.

Zaledwie na chwilę rysy Filipa złagodniały i męczyzna wyciągnął rękę,

pragnąc dotknąć syna. Nie zdobył się jednak na odwagę i chwila bezpowrotnie

przeminęła. Król wstał.

– Sprawuj się dobrze – przykazał powtórnie. – Będę o tobie... myślał.

Dobiegający odgłos dziecięcego śmiechu pomógł księciu wrócić do teraz-
niejszości. Za ogrodowymi murami słyszał harmider bawiących się pałaco-
wych dzieci. Westchnął ciężko i zastanowił się, w co grają z taką wesołością.
Może w „pościg za żółwiem” albo w „dotyk Hekate”... Obserwował je czasami z okna swego pokoju: jedno dziecko, które wybierano na Hekate,
boginię śmierci, ścigało pozostałych uczestników zabawy i wyszukiwało ich
kryjówki, a gdy odnalazło któregoś z uciekinierów, dotykało go i zmieniało
w swojego niewolnika. Gra trwała do chwili, aż „śmierć” odszukała wszystkie
dzieci.
Aleksander zadrżał w blasku słońca. Nikt nigdy nawet nie zapytał go, czy
miałby ochotę zagrać.
Rzucił okiem na swoje drobne rączki i zadumał się.
Naprawdę nie chciał, żeby piesek umarł. Tak bardzo kochał ciało tego szczeniaczka, tak bardzo się starał, ogromnie koncentrował za każdym razem,
ilekroć go głaskał, a jego umysł zawsze pozostawał spokojny. Jednak pewne-
go dnia figlarny psiak skoczył na swego pana i zupełnie niespodziewanie
powalił go na ziemię. W tym momencie ręka Aleksandra sama się wysunęła...
Chłopiec mimowolnie i zupełnie leciutko klepnął psa w szyję. Zwierzę natych-
miast zwiotczało, oczy mu się zaszklily, łapy ugięły. Ukochany szczeniak
zmarł w ciągu kilku sekund, a jego ciało rozłożyło się w parę minut, wydzie-
lając przenikliwy smród, który wypełnił cały ogród.
„To nie moja wina”, pragnął wykrzyknąć malec. A jednak czuł się winny,
ponieważ był przeklęty.
W koronach wysokich drzew zaczęły śpiewać ptaki. Aleksander zerknął w górę i uśmiechnął się. Potem zamknął zielone oczy i dał się ogarnąć ptasiej
pieśni, która szybko wypełniła jego umysł i zlała się z jego własnymi myślami.
Nabrała żywego znaczenia, choć chłopiec nie był w stanie jej do końca rozszyfrować. Nie pojmował słów, a jedynie uczucia, lęki, lekki gniew. Ptaki
krzykiem ostrzegały się nawzajem.
Młodziutki książę podniósł wzrok i zaśpiewał:
– Moje drzewo! To moje drzewo! Odejdź! Odejdź! To jest moje drzewo! Moje! Zabiję cię, jeśli stąd nie znikniesz!
___ Dzieci nie powinny śpiewać o zabijaniu – skarciła go niania, statecz-
nym krokiem zbliżając się do miejsca, w którym siedział, chociaż jak zwykle
zachowała należyta odległość.
– Ale tak właśnie śpiewają ptaki – wyjaśnił.
___ Powinieneś wejść do środka. Słońce mocno dziś piecze.
___ Dzieciom za murami jakoś to nie przeszkadza – spierał się. – A ja lubię tutaj siedzieć.
– Zrobisz, co każe, młody książę! – rzuciła oschle.
Oczy dziecka zapłonęły i gdzieś w głębi umysłu usłyszało obcy szept:
„Zrań ją! Skalecz! Zabij!” – Chłopiec z trudem przełknął ślinę i stłumił

rosnącą w nim falę gniewu.

– Wejść – odpowiedział cicho. Wstał i podszedł do niej, lecz kobieta odskoczyła pospiesznie na bok, a gdy ją minął, powoli podążyła za nim.

Aleksander wrócił do swoich pokojów, odczekał, aż niania odejdzie, po czym wyslizgnął się na korytarz i pobiegł do komnat matki. Pchnął drzwi

i zajrzał do wnętrza.

Olimpias była sama. Uśmiechnęła się na jego widok i rozłożyła ramiona na powitanie. Rzucił się ku niej i czule wtulił buzię w jej krągłe i ciepłe

piersi.

Wiedział, że na całym świecie nie ma piękniejszej istoty od jego matki

i przylgnął do niej jeszcze mocniej.

– Jesteś bardzo rozpalony, mój mały – stwierdziła Olimpias. Odrzuciła złote pukle z jego czoła, głaskając go tkliwie, po czym napełniła puchar zimną

wodą, podała go chłopcu i obserwowała, jak łapczywie pije.

– Czy lekcje były dzisiaj trudne? – spytała.

– Dziś nie miałem lekcji, matko. Stagra jest chory. A jeśli miałbym kucyka, czy też by umarł?

Dostrzegł ból na jej twarzy.

Po chwili przyciągnęła go do siebie i poklepała uspokajająco po plecach.

– Nie jesteś' demonem, Aleksandrze. Po prostu otrzymałeś wspaniały dar

i na razie nie potrafisz nad nim zapanować. Jednak wierz mi, będziesz wielkim

człowiekiem.

– Ale kucyk by umarł!

– Cóż, całkiem możliwe – przyznała matka. – Kiedy będziesz starszy, lepiej wykorzystasz ten... talent. Bądź cierpliwy.

– Ja naprawdę nie chcę nikomu robić krzywdy, to jakoś tak samo...

Wiesz? Wczoraj skłoniłem ptaka, by usiadł mi na ręce. Siedział przez długi

czas, potem odleciał. Nie umarł. Naprawdę!

– Po powrocie twojego ojca do Pełli pojedziemy we troje nad morze.

Będziemy pływać łodzią, wygrzewać się w słońcu, zażywać kąpieli.

Spędzi-

my przyjemnie czas, zobaczysz. Powieje chłodny wietrzyk, a my

będziemy

się unosić na wodzie.

11

– Czy ojciec wróci? – spytał Aleksander. – Niektórzy mówią, że Fokejczycy go zabijają. Podobno minął czas jego szczęścia, podobno bogowie

go opuścili.

– Milcz! – szepnęła. – Niemądrze jest wypowiadać głośno takie myśli. Filip to wielki wojownik... I ma Parmeniona.

– Fokejczycy już raz go przecież pobili. Dwa lata temu – zauważył chłopiec. – Zginęło wtedy dwa tysiące naszych żołnierzy. A teraz

Ateńczycy

najechali nasze wybrzeże, a i Trakowie zwracają się przeciwko nam.

Pokiwała głową i westchnęła.

– Zbyt dużo słyszysz, mój synu.

– Nie chcę, żeby umarł... Chociaż mnie nie lubi.

– Nie powinieneś tak mówić! Nigdy! – krzyknęła, chwytając go za ramiona i mocno nim potrząsając. – Nigdy! Ojciec cię kocha. Jesteś

jego

synem, następcą tronu. Przejmiesz jego dziedzictwo.

– Mamo, to boli – szepnął ze łzami w oczach.

– Przepraszam – powiedziała, ponownie go do siebie przyciągając. –

Tyle chciałabym ci powiedzieć, tak dużo wyjaśnić. Ale jesteś za

młody.

– Zrozumiem – zapewnił ją.

– Wiem. I dlatego nie mogę ci nic powiedzieć.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu. Aleksander zrobił się senny w cie-

płych, opiekuńczych ramionach matki.

– Widzę ich teraz – oznajmił leniwie. – Widzę równinę porośniętą kwiatami w barwach purpury i żółci. I ojca w złotej zbroi. Stoi obok siwego

wałacha imieniem Achej. Naprzeciw formują się szyki wrogów. Och, matko,

są ich tysiące. Dostrzegam ich tarcze. Sama popatrz! Jest godło Sparty i sowa

Aten i... Tego emblematu akurat nie znam, ale zauważam też proporce Feraj

i Koryntu... Jest ich mnóstwo. W jaki sposób ojciec miałby pokonać ich

wszystkich?

– Nie wiem – odszepnęła Olimpias. – Co się dzieje teraz?

– Zaczyna się bitwa – odparło złotowłose dziecko.

Krokusowe Pole, lato

Filip Macedoński potarł bliznę nad ślepym prawym okiem i przyjrzał się

dokładnie kolumnom wojska, które ciągnęły się pół mili przed nim. Na równinie zgromadziło się ponad dwadzieścia tysięcy piechurów wroga, tysiąc

konnych w odwodzie i na prawej flance. Król przeniósł wzrok na wojska macedońskie, które liczyły piętnaście tysięcy piechoty w formacji centralnej

i trzy tysiące jazdy, rozbitej na oba skrzydła.

Wszędzie rosły kwiaty – purpurowo-żółte lub białoróżowe. Filip niemal

nie wierzył, że w ciągu kilku godzin tę łąkę pokryją setki, a może nawet tysiące

ludzkich ciał. Ich krew wsączy się w ziemię... Z nagłym żalem poczuł, że

niebawem rozpocznie się potworna zbrodnia popełniana przeciwko bogom piękna, a kwiaty zostaną wdeptane w wyblakłą od słonecznych promieni trawę

Krokusowej Doliny.

„Nie bądź głupcem – powiedział w duchu. – Sam wybrałeś pole bitwy”.

Było płaskie i doskonale się nadawało do rozwinięcia szyku jazdy, a ma-

cedoński król wszak dowodził tesalijskimi jeźdźcami, najwspanialszymi w całej Grecji.

Dwa dni wcześniej, podczas błyskawicznego przemarszu przez płytkie dorzecze rzeki Penejos, macedońska armia całkowicie zaskoczyła obrońców

portowego miasta Pagasai. Miasto padło w trzy godziny. Przed zachodem słońca żołnierze Filipa, którzy natychmiast obsadzili wały obronne, dostrzegli

w zatoce flotę ateńskich tnrem wojennych. Ponieważ port przejęli Macedoń-

czycy, okręty wroga nie mogły przybić do brzegu i spieszące z pomocą oddziały nie mogły wziąć udziału w potyczce. Najbliższa płytka zatoka znajdowała się w odległości jednego dnia żeglugi bądź czterech dni marszu,

toteż do czasu gdy ateńscy wojownicy wysiedliby na brzeg i dotarli do Pagasai, bitwa dawno by się skończyła.

Dzięki zabezpieczonym tyłom Filip ze spokojem oczekiwał zbliżającej się

bitwy. Tym razem Onomarchos nie miał gdzie ukryć swoich gigantycznych katapult, gdyż w okolicy nie było urwistych górskich zboczy

porośniętych

gęstym lasem, skąd mogłaby nadejs'ć śmierć. Nie, w tym starciu weźmą udział jedynie ludzie. Człowiek stanie przeciwko człowiekowi, armia – przeciw armii. Macedoński król nadal z bolesnym przygnębieniem wspominał ogromne głązy spadające na jego wojowników i wciąż słyszał straszliwe krzyki miażdżonych i umierających żołnierzy. Dziś wszakże będzie inaczej. Dzisiaj szansę wygranej były znacznie bardziej wyrównane. A poza tym miał Parmeniona. Zerknawszy na lewo, odszukał Spartanina i obserwował go przez chwilę. Wódz jechał wolno wzdłuż skrzydła, przemawiał do jeźdźców, uspokajał nowicjuszy, podnosił na duchu weteranów. Przez chwilę Filipem wstrząsał gniew, jednak król szybko powściągnął emocje. Spartanin przybył mu z odsieczą przed siedmioma laty, gdy Macedonię ze wszystkich stron otaczali wrogowie. Wówczas strategiczne talenty Parmeniona okazały się absolutnie zbawienne. Lepiej nie myśleć, co stałoby się bez jego pomocy z krajem Filipa. Wódz wyszkolił nieopierzoną armię młodego króla. Farmerów i chłopów zmienił w budzących przerażenie wojowników, tworząc najbardziej waleczną armię cywilizowanego świata. „Pokochałem cię wtedy jak brata” – pomyślał Filip, dumając nad tym szaleńczym okresem. Zwycięstwa nad Ilirami na zachodzie, nad Pajonami na północy... Armia parła naprzód, przejmując jedno miasto po drugim. Potęga Macedonii rosła. Zawsze jednak zwycięstwa należały do Parmeniona, strategosa, którego wojenny geniusz przyczynił się do zwycięstwa na ćwierć stulecia w Tebach, Frygii, Kapadocji i Egipcie. Król przysłonił zdrowe oko przed słońcem i wyteżył wzrok, patrząc w stronę centrum fokejskich wojsk. Prawdopodobnie tam właśnie stał Onomarchos ze swoją strażą przyboczną. Niestety, odległość była za duża, a promienie słońca odbijały się od zbyt licznych napierśników, tarczy i hełmów, toteż Filip nie zdołał wypatrzeć wroga. – Czegóż nie oddałbym za jego szyję pod moim ostrzem – szepnął. – Mówiłeś coś, panie? – spytał Attalos, królewski fechtmistrz i zabójca. Król odwrócił się do mężczyzny o lodowatym spojrzeniu. – Tak... lecz tylko do siebie. Nadeszła pora. Zarządź wymarsz! Podeszedł do siwego wałacha, chwycił się grzywy i wskoczył na jego grzbiet. Koń zarżał i stanął dęba, ale Filip ścisnął go udami i zwierzę znieruchomiało. – Spokojnie! – mruknął stanowczym tonem. Nagle podbiegł do niego młody żołnierz. W ręku trzymał żelazny hełm z wysokim pióropuszem, tak wypolerowany, że lśnił niczym srebro. Król wziął hełm w dłonie i przyjrzał się połyskującemu obliczu bogini Ateny, która zdobiła czoło. – Bądź ze mną dzisiaj, pani – poprosił, po czym nałożył hełm. Inny żołnierz podał mu okrągłą tarczę. Filip przełożył lewe ramię przez skórzane strzemiączka i umieścił tarczę na przedramieniu.

Pierwsze cztery regimenty –jedenaście tysięcy wojowników – rozpoczęły powolny marsz ku wrogowi. Macedoński król zerknął na lewe skrzydło, gdzie Parmenion czekał z dwoma tysiącami konnicy i dwoma regimentami rezerw. Spartanin dał znak swojemu władcy i objął wzrokiem pole bitwy. Filipowi serce waliło jak szalone. Powrócił gorzki smak porażki z ostatniego starcia z Onomarchosem, gdyż tamten dzień przypominał dzisiejszy. Król pamiętał ten sam olśniewający blask słońca i bezchmurne niebo, gdy jego armia kroczyła ku wrogowi. Tyle że wtedy otaczały ich po obu stronach góry, które skrywały potężne maszyny oblężnicze. Przeciwnik ciskał z nich na Macedończyków ogromne głazy, krusząc całe formacje, miażdżąc kości i zabijając. Później ruszyła do walki kawaleria wroga i wojska Filipa poszły w rozsypkę. Wiedział, że na długo zapamięta ów dzień. Przez sześć lat uważał się za niepokonanego. Odnosił zwycięstwa jedno po drugim, jakby zostały nakazane przez bogów. Aż tu nagle jedna straszliwa godzina wszystko odmieniła. Macedończycy wprawdzie popisali się wówczas karnością i do wieczora przeformowali się w szyk obronny, tyle że... Filip po raz pierwszy w życiu przegrał. Jeszcze bardziej irytująca niż sama klęska była nieobecność Parmeniona, który poprowadził akurat wojsko na północny zachód, by stłumić iliryskie powstanie. Przez sześć lat król musiał się dzielić wszystkimi swoimi zwycięstwami ze spartańskim wodzem, natomiast ta jedna jedyna porażka należała wyłącznie do niego. Otrząsnął się ze wspomnień. – Wyślij kreteńskich łuczników! – krzyknął do Attalosa. Królewski fechtmistrz zawrócił konia i pogalopował ku pięciusetosobowemu oddziałowi łuczników oczekującemu na rozkazy. Kreteńczycy nosili na piersiach tylko lekkie pancerze z wyprawionej w ogniu skóry. Błyskawicznie zerwali się do biegu, po czym ustawili się w szeregu za pierwszym regimentem. Dwieście kroków na prawo od pozycji Filipa jego drugi wódz, Antypater, czekał z tysiącem jeźdźców. Król szarpnął lejce wałacha, podjechał i zajął stanowisko obok wodza w pierwszym rzedzie. Konni, przeważnie macedońscy szlachcice, wiwatowali, gdy się zbliżał. Pozdrowił ich, po czym wyciągnął miecz i poprowadził jazdę na prawo od swojej piechoty. – Do boju! – krzyknął Antypater, wskazując na fokejską konnicę. Jeźdźcy wroga wyrównali włócznie i zaszarżowali ku nim. – Za Macedonię! – zawołał Filip i spiał wałacha, zachęcając go do galopu. Gdy jeźdźcy pędzili przez równinę, wszystkie lęki ich władcy zniknęły. Parmenion badawczo obserwował zmrużonymi jasnoniebieskimi oczyma

pole bitwy. Po prawej widział Filipa i towarzyszącą mu konnicę. Atakowali. Obok maszerowały regimenty macedońskiej piechoty. Skryci za ścianą tarcz żołnierze nieśli długie na osiemnaście stóp sarissy o żelaznych grotach wycelowanych w szeregi przeciwnika. Za piechotą wódz dostrzegł kreteńskich łuczników, którzy wysyłali kolejne salwy w niebo. Strzały spadały prosto w środek sił Fokejczyków. Bitwa przebiegała zgodnie z planem, a jednak Spartanin nie przestawał się niepokoić. Król był naczelnym dowódcą wojsk macedońskich, lecz zawsze upierał się, by osobiście prowadzić szarżę swojej jazdy. W każdej bitwie ryzykował życie. Parmenion wiedział, że odwaga Filipa jest zarówno błogosławieństwem jak i przekleństwem. Ze względu na obecność władcy Macedończycy walczyli bardziej zawzięcie, jednak gdyby padł na polu walki, panika zawładnęłaby szeregami szybciej niż letni ogień suchą trawą. Ponieważ Filip ruszał do boju, Parmenion przejął odpowiedzialność za strategię bitwy. Wypatrując słabe punkty oraz śledząc ruchy obcych wojsk, oceniał przebieg walki. Tesalijscy konni czekali na jego rozkazy, przed nim zaś stał skupiony Piąty Regiment Piechoty. Parmenion zdjął hełm z białym pióropuszem i przesunął palcami po mokrych od potu, krótkich brązowych włosach. Jego umysł wypełniła jedna myśl: „Co planują Fokejczycy?” Onomarchos nie był zwyczajnym wodzem. W trakcie ostatnich dwóch lat, odkąd objął dowództwo fokejskich sił, maszerował ze swoją armią po centralnej Grecji. Dzięki talentom strategicznym opanował kluczowe miasta tego regionu i splądrował beockie twierdze Orchomenosu. Był przywódcą przebiegłym, o niesamowitym wojennym instynkcie, i cieszył się niezwykłym szacunkiem swych ludzi. Jednak – co ważniejsze dla Parmeniona – jego taktykę niezmiennie stanowił atak. Chociaż... tu najwyraźniej swoje regimenty piechoty ustawił defensywnie. Tylko konnica szarżowała. Spartański wódz czuł, że coś jest nie w porządku. Przysłoniwszy oczy, ponownie spenetrował wzrokiem pole bitwy. Krokusowa Dolina była w tym miejscu absolutnie płaska – z wyjątkiem niskiej linii wzgórz ciągnących się daleko po prawej stronie i niewielkiego zagajnika oddalonego o pół mili na lewo. Przejmując Pagasai, Macedończycy zabezpieczyli tyły wojsk. „Hmm... po raz kolejny zastanowił się Parmenion. – Jaki jest bitewny plan fokejskiego wodza?” Koncentrację wodza przerwał wojenny okrzyk Macedończyków. Chwilę później regimenty piechoty ruszyły do biegu i błyszczące sarissy uderzyły w fokejskie szeregi. Rozległy się stłumione łomotem tarcz krzyki rannych i umierających. Spartanin odwrócił się do stojącego obok niego jeźdźca, przystojnego młodzieńca w hełmie z czerwonym pióropuszem.

– Nikanorze, weź pięć oddziałów i ruszaj do lasu. Zatrzymajcie się w odległości dwóch strzałów z łuku od drzew, i wyślij tam wywiadowców.

Jeśli lasek okaże się czysty, zawróć i wypatruj sygnałów ode mnie.

Jeśli kryją

się w nich żołnierze wroga, masz ich za wszelką cenę powstrzymać. Nie wolno

im się połączyć z głównymi siłami Onomarchosa. Rozumiesz?

– Tak, panie – odparł Nikanor, salutując. Parmenion poczekał, aż pięciuset jeźdźców pokłusuje ku drzewom, potem przeniósł spojrzenie na

wzgórza.

Ustawienie wojsk macedońskich nie było trudne do przewidzenia:

piecho-

ta pośrodku, konnica na obu skrzydłach. Onomarchos na pewno je znał.

Rozpoczęło się starcie piechoty. Macedończycy ruszyli w falandze

głębo-

kiej na szesnaście rzędów, szerokiej na sto pięćdziesiąt tarcz.

Pierwszy Regi-

ment – królewscy gwardziści dowodzeni przez Teoparlisa – wbił się klinem

w linii Fokejczyków.

– Byle nie za głęboko – mruknął do siebie Parmenion. – Wyrównajcie szyk i poczekajcie na wsparcie! – Cztery regimenty musiały pozostać blisko

siebie. Gdyby się rozdzieliły, przeważające siły wroga mogłyby je łatwo

otoczyć, zastawiając pułapkę. Jednak Spartanin odprężył się na widok kró-

lewskich gwardzistów, którzy trzymali się zwarcie lewej strony.

Nacierają-

ce po skosie prawe skrzydło falangi zmusiło Fokejczyków do odwrotu.

Dru-

gi Regiment niemal się z nim połączył. Parmenion skoncentrował się

teraz

na Trzecim. Żołnierze w marszu przeformowali się w bitewny szyk z

łuko-

wato wygiętymi do tyłu flankami i wzmocnionym niczym żądło czołem formacji.

– Koenosie! – krzyknął Parmenion. Barczysty wojownik stojący w centrum odwodowego regimentu podniósł oczy i zasalutował. –

Wesprzyj

Trzeci – polecił wódz.

Piąty Regiment w liczbie dwóch i pół tysiąca ludzi ruszył naprzód.

Żołnierze zmierzali do boju w zwartej formacji, maszerując

sprężystym,

rytmicznym krokiem. „Świetny z niego oficer” – pomyślał Spartanin.

Pod-

czas bitwy dowódca łatwo może ulec podnieceniu i strachowi i

poprowadzić

swoich ludzi zbyt szybko do ataku, ale Koenos był człowiekiem

statecznym

10

i poważnym. Zawsze potrafił zapanować nad emocjami i wiedział, że uzbro-

jeni po zęby wojownicy powinni zachować siły do głównej walki i nie marnować ich przedwcześnie forsownym biegiem.

Nagle macedońskie szyki na lewym skrzydle wybrzuszyły się i przełamały. Parmenion przeklął, dostrzegł bowiem, że z wyrwy wybiegają

żołnierze

wroga, tworząc swymi tarczami szczelną ścianę. Nie musiał się nawet wpa-

trywać w emblematy, i bez tego natychmiast odgadł pochodzenie

mężczyzn

– byli ze Sparty. Wspaniali wojownicy, których lękał się cały świat!

Trzeci Regiment Macedoński wyraźnie cofał się pod ich naporem. Po chwili Sparta nie okrzykli gwardzistów.

Na szczęście zdążył nadejść Koenos wraz z Piątym Regimentem. Sarissy pochyliły się i falanga zaszarżowała. Niespodziewanie oskrzydleni Spartanie wycofali się, Macedończycy zaś błyskawicznie uporządkowali szyki i zapelnili powstałą lukę. Parmenion, zadowolony, że groźba okrażenia przynajmniej chwilowo została zażegnana, zawrócił czarnego wierzchowca i pokłusował na prawe skrzydło. Tesalijczycy popędzili za nim.

Król na czele macedońskiej szlachty toczył śmiertelny bój z fokejską konnicą, na szczęście powoli spychali wroga. Zerknąwszy na lewo, Spartanin dostrzegł Nikanora, który z pięcioma setkami jeźdźców przystanął na skraju lasu. Zwiadowcy właśnie wjeżdżali między drzewa.

Parmenion gestem przywołał jednego z przybocznych jeźdźców i posłał go do Nikanora z nowymi rozkazami na wypadek, gdyby las okazał się czysty.

Potem bacznie wpatrywał się we wzgórza. Pomyślał, że gdyby Onomarchos opracował jakiś zaskakujący plan strategiczny, zagrożenie przyszłoby zapewne z tamtej strony.

Ponownie skupił się na polu bitwy. Koenos i Piąty Regiment usiłowali się przebić przez szarżujących Spartan, zamierzali bowiem dotrzeć do Teoparlisa i gwardzistów. Trzeci Regiment połączył się z Czwartym i wspólnie wycinali Fokejczyków w pień.

Parmenion miał obecnie dwa wyjścia. Mógł pogalopować do centrum, by wspomóc króla, albo skrócić i uderzyć na lewe skrzydło wroga. Kopną obcasami wierzchowca i ruszył wzdłuż prawej flanki. Jeden z konnych ode-rwał się od bitwy i przygalopował do wodza. Wojownik miał szereg płytkich ran na ramionach i paskudnie rozcięty prawy policzek.

– Panie, król rozkazuje ci wesprzeć prawe skrzydło. Niemalże rozbiliśmy już wroga.

Parmenion skinął głową i odwrócił się do Berina, tesalijskiego księcia o jastrzębiej twarzy.

– Weź pięciuset ludzi, wzmocnijcie prawą flankę, a później połączcie się z Filipem.

Berin natychmiast wykonał rozkaz. Gdy wydał komendę, jego ludzie ustawili się za nim w półkolistym szyku, po czym galopem ruszyli do natarcia.

Ranny posłaniec podjechał bliżej do Spartanina.

– Panie, król ma dla ciebie jeszcze jeden rozkaz. Rzuć wszystkie odwody do boju – wyszeptał.

– Dobrze się sprawiłeś, młody człowieku – odparł Parmenion. – Ale teraz zapomnij o bitwie i wracaj do obozu. Niech chirurg obejrzy twoje rany.

Nie są wprawdzie głębokie, lecz tracisz dużo krwi.

– Ale, panie...

– Wykonać natychmiast – warknął ostro wódz, po czym odwrócił się, uznając rozmowę za zakończoną.

Kiedy posłaniec odjechał, do Spartanina przyklusował drugi tesalijski

dowódca.

– Co robimy, panie? – spytał.

– Czekamy – odparł Parmenion.

Filip Macedoński popatrzył na swój ociekający krwią miecz, po czym szarpnął za uzdę i spojrział na tyły. Berin wraz z pięcioma setkami Tesalijczy-

ków szarżował od prawej na skrzydła konnicy Fokejczyków, jednak Parme-

nion nadal czekał. Filip siarczyście zaklął. Tymczasem fokejski jeździec prze-

darł się przez macedońską pierwszą linię i ruszył ku niemu z wyprostowaną

lancą. Filip zrobił unik w lewo. Żelazny szpic lancy wbił się w bok wałacha.

Zwierzę z bólu aż stanęło dęba, jednak król przylgnął kurczowo do jego

grzbietu i z tej pozycji zamasyścił ciął mieczem, atakując napastnika w stoż-

kowatym hełmie. Jednym ruchem rozplątał Fokejczykowi gardło. Oszałały z bólu wierzchowiec Filipa ponownie stanął dęba, po czym zwalił się

na zie-

mię. Macedoński władca zeskoczył z rumaka, który w ostatniej chwili wierzg-

nał kopytem, trafiając swego pana w biodro i pozbawiając go równowagi.

Na widok padającego króla Fokejczycy z nową nadzieją ruszyli do kontr-

natarcia. Filip chwiejnie wstał, odrzucił na bok tarczę i podbiegł do pierwsze-

go jeźdźca. Wojownik zamachnął się na niego lancą, która tylko ześlizgnęła

się po napierśniku króla. Filip podskoczył do lansjera, ściągnął go z konia, po

czym dźgnął dwukrotnie mieczem – w brzuch i w pachwinę. Przeskoczywszy umierającego wroga, podbiegł do jego wierzchowca, chwycił go za

grzywę i sprawnie wskoczył na grzbiet. Tyle że teraz ze wszystkich stron

otaczali go fokejscy wojownicy.

Muśnięcie czyjejs włóczni zostawiło mu na prawym udzie długą szramę, ostrze miecza natomiast zazgrzytało na spiżowym ochraniaczu

nadgarstka

i rozcięło macedońskiemu królowi lewe przedramię. Filip wprawnym ruchem

zablokował nacierający miecz i wbił własne ostrze w żebra napastnika. W tym

momencie z odsieczą przybyli Berin, Attalos i dziesięciu jeźdźców. Siła ataku

zmusiła Fokejczyków do odwrotu. Król był uratowany.

Konnica nieprzyjaciela rozpierzchła się na boki, a Macedończycy, formu-

jąc szyki, zaatakowali piechotę. Przez chwilę w powstałej wyrwie Filip

widział swojego wroga, Onomarchosa. Fokejski wódz stał pośrodku doboro-

wych oddziałów piechurów i popędzał ich do ataku.

– Do mnie! – krzyknął Filip Macedoński. Jego potężny głos wznosił się ponad szcęk mieczy. Gdy jeźdźcy zgromadzili się wokół niego, król spiął

swego nowego konia do galopu i zaszarżował na pierwszą linię tarcz.

Szyk Fokejczyków załamał się, pękając pod naporem Macedończyków.

Wówczas Onomarchos wysłał w zagrożony odcinek regiment odwodowy i szaleńczy atak Filipa został zatrzymany, jego konnica zaś ugrzęzła

w morzu

wrogich sil. Nagle celnie wymierzona lanca przebiła serce

królewskiego
rumaka. Zwierzę najpierw przyklęło, po czym runęło martwe. Na
szczęście
król ponownie zdołał zeskoczyć na czas.
– Gdzież, u licha, jesteś, Parmenionie? – zawołał wściekle.
Spartański wódz wyczuwał wśród swoich ludzi narastający niepokój.
Jako
zaprawieni w bojach wojownicy doskonale wiedzieli, że szala
zwycięstwa
w bitwie może się przechylić w okamgnieniu. Dziś sytuacja zmieniała
się co
chwila. Jeśli Onomarchos odeprze konnicę Filipa, rzuci do walki całą
swoją
piechotę, to wobec ogromnej przewagi liczebnej rozgromi macedońskie
szyki
i zwycięży.
, Parmenion zerknął na lewo. W lesie faktycznie się skryli fokejscy
piechu-
rzy, na szczęście Nikanor wraz z pięciuset konnymi dzielnie stawił im
czoło.
Z tej odległości trudno było ocenić liczbę przeciwników, toteż
Spartanin na
wszelki wypadek posłał do boju jeszcze dwustu jeźdźców.
– Popatrz, panie! – krzyknął nagle jeden z Tesalijczyków, wskazując
pasma wzgórz po prawej.
Na szczycie pojawiły się setki konnych. Filip i towarzyszący mu
jeźdźcy
znaleźli się między młotem a kowadłem.
Fokejczycy zaatakowali...
Parmenion powoli wyjął miecz z pochwy i uniósł go w górę.
– Naprzód! Za Macedonię! – wrzasnął, po czym wbił piętę w boki
swojego wierzchowca i pogalopował na fokejskie skrzydło. Pozostałych
ośmiuset Tesalijczyków wyciągnęło zakrzywione kawaleryjskie szable i
po-
gnało za nim, wznosząc wojenne okrzyki.
Starli się z jazdą Fokejczyków na stoku ponad falującym mrowiem wo-
jowników złączonych w śmiertelnym boju na głównym polu bitwy.
Gdy Onomarchos zorientował się, że jego konnica przegrywa, wydał no-
we rozkazy swoim ludziom, którzy heroicznie próbowali utworzyć wokół
niego mur tarcz. Macedończycy nacierali teraz wszakże z trzech stron:
Teo-
parlis i gwardziści od frontu, Koenos i Piąty Regiment spychali
Spartan
Onomarchosa coraz głębiej na lewo, macedoński król zaś nacierał od
prawej,
wyrabując sobie krwawą ścieżkę w szeregach Fokejczyków.
Wszędzie leżały ciała rannych i zabitych. Tratowały je stopy
uzbrojonych
po zęby żołnierzy falangi. Na stratowanym przez ludzi Krokusowym Polu
nie
pozostał ani jeden kwiat.
Jednakże Filip już dawno temu przestał się zachwycać pięknem
otaczają-
cej przyrody. Siedząc na trzecim wierzchowcu, przedzierał się między
fokej-
skimi tarczami, siekąc z furją przeciwników mieczem i patrząc, jak
giną pod
kopytami macedońskiej konnicy. Onomarchos był już niedaleko. Cisnął
właś-
nie oszczepem, który przeleciał niebezpiecznie blisko głowy Filipa.
Nagle Fokejczycy, przeczuwając zbliżającą się klęskę, złamali szeregi
i rozpierzchnęli się we wszystkie strony. Onomarchos, którego marzenia
o zwy-
cięstwie w jednej chwili obróciły się w pył, wyszarpnął miecz i

czekał na śmierć. Teoparlis atakował wraz z gwardzistami ostatnią linię obrony; wódz Fokejczyków nie zdążył uskoczyć nawet przed pierwszą sarissą. Długa włócznia zsunęła się po jego skórzanej spódniczce, po czym zgruchotała mu biodro i przecięła wielką arterię przy pachwinie. Widząc, że Onomarchos padł martwy, a jego armia rozbiegła się w panice, najemne oddziały i kontyngenty z Aten, Koryntu i Sparty rozpoczęły bojowy odwrót przez Krokusową Dolinę. Filip zsiadł z konia tuż przy martwym wrogu, a następnie odciął fokejskie- mu przywódcy głowę i nadział ją na czubek sarissy, którą uniósł wysoko i uka- zał wojownikom. Z gardeł Macedończyków wydobył się triumfalny okrzyk. Bitwa dobiegała końca, wieńcząc zwycięstwo Filipa. Podniecenie wojen- ne szybko ustąpiło przemożnemu zmęczeniu. Króla bolało niemal całe ciało, ramię zaś, w którym dzierżył miecz, wręcz płonęło. Po chwili władca upuścił sarissą, zdjął z głowy hełm, usiadł na ziemi i rozejrzał się po poboju. Krajobraz był iście cmentarny – wokół Filipa leżały setki mężczyzn i dzie- siątki koni. Nadal zresztą ginęli ludzie, gdyż macedońska konnica polowała na fokejskich uciekinierów. Parmenion podjechał do swego króla, zeskoczył z konia i pokłonił się władcy. – Wspaniałe zwycięstwo, panie – oświadczył cicho. – Niewątpliwie – przyznał cierpko Filip, piorunując Spartanina jedy- nym zdrowym okiem. – Dlaczego nie przybyłeś, gdy po ciebie posłałem? Króla i strategosa otoczyli kręgiem oficerowie: Attalos, Berin, Nikanor i inni. Wszyscy stali dość blisko i badawczo spoglądali na wodza w oczeki- waniu na jego odpowiedź. – Prosiłeś mnie, panie, żebym śledził przebieg bitwy i reagował zależnie od rozwoju wypadków. Przewidywałem, że Onomarchos ukryje część swoich sił jako tajny odwód i użyje go w najbardziej zaskakującym momencie. I tak się rzeczywiście stało. – Niech cię szlag! – ryknął Filip i zerwał się na równe nogi. – Kiedy król wydaje rozkaz, należy okazać posłuszeństwo! Czyżbyś przeoczył ten drobny szczegół? – Ależ skąd, doskonale go rozumiem – odparł Spartanin. Jasne oczy błyszczały mu niczym gwiazdy. – Królu – wtrącił Nikanor – gdyby Parmenion ruszył ci z odsieczą, obaj wpadlibyście w pułapkę. – Milcz! – zagrmiał Filip. Ponownie odwrócił się do Spartanina. – Nie będę tolerował dowódców, którzy lekceważą moje rozkazy. – Ten akurat problem łatwo rozwiązać, panie – odparł Parmenion chłodno. Skłonił się raz tylko, po czym odwrócił i chwyciwszy lejce wierz- chowca, dumnie odszedł z pola bitwy. Gniew Filipa nie osłabł podczas długiego popołudnia. Jego rany, chociaż płytkie, były bolesne, nastrój zaś osobliwie mroczny. Władca wiedział, że

potraktował Spartanina niesprawiedliwie, a jednak fakt ten jedynie wzmagał jego rozdrażnienie. „Ten człowiek nigdy się nie myli”, pomyślał z irytacją. Po obandażowaniu ran nasączoną winem tkaniną, król, mimo protestów łysego medyka Berniosa, dozorował ewakuację wszystkich ciężko rannych Macedończyków do polowego lazaretu pod Pagasai. Dopiero wczesnym wieczorem wycofał się do pałacu przejętego w centrum opuszczonego miasta. Stąd obserwował egzekucję sześciuset fokejskich więźniów pojmanych przez konnicę. Widok ten znacznie poprawił mu humor. Onomarchos był przeciwnikiem o sporej potędze militarnej i renomie, a do tego skupił wokół siebie wszystkie lokalne siły obawiające się wzrostu znaczenia Macedonii. Po dzisiejszym zwycięstwie wszystkie drogi prowadzące do Grecji środkowej stały otworem. O zmroku Filip poszedł do andronitisu, wielkiego pomieszczenia z dziegiem wieniecami tapczanikami. Ściany pokrył malowidłami tebański artysta Natiles. Przedstawiały przeważnie sceny łowieckie (jeźdźcy polowali na stado lwów), a jednak na Filipie największe wrażenie zrobił nie tyle sam motyw przewodni, ile raczej realizm wykonania i precyzja w zastosowaniu intensywnych kolorów. Artysta doskonale oddał atmosferę polowania. Jego konie wydawały się rzeczywiste, lwy były smukłe i mordercze, a pozy myśliwych odzwierciedlały zarówno odwagę, jak i strach. Król postanowił, że pośle po malarza natychmiast po zakończeniu tej kampanii, gdyż podobne malowidła wyglądałyby spektakularnie w pałacu w Pełli. Oficerowie Filipa meldowali się pojedynczo i zdawali szczegółowe raporty na temat poniesionych strat. Teoparlis, dowódca gwardzistów, miał stu dziesięciu zabitych i siedemdziesięciu rannych. Antypater doniósł o osiemdziesięciu czterech zabitych konnych. W sumie Macedończycy stracili w dziesięciu bitwie trzystu siedmiu ludzi, a czterystu dwudziestu siedmiu odniosło rany. Fokejczycy zostali rozgromieni. Dwa tysiące zginęło na polu bitwy, kilkuset pojmanych stracono, a przynajmniej tysiąc utonęło, dobiegli bowiem na plażę i daremnie próbowali dopłynąć do czekających na redzie ateńskich trirem. Ta ostatnia nowina wielce rozweseliła Filipa. Wyciągnął swe potężne ciało na pokrytym jedwabiem tapczanie i opróżnił piąty puchar wina. Wreszcie poczuł, że znika z jego mięśni napięcie. Popatrzył na oficerów i zaśmiał się rubasznie.

– No, tośmy sprawili im lanie. Wypijmy za pracowity dzień,

przyjaciele

__oznajmił, po czym usiadł prosto i nalał sobie wina ze złotego dzbana. Wśród oficerów panował jednakże nastrój przygnębienia, toteż nikt nie przyłączył się do toastu władcy. – Co się z wami dzieje? Czy tak świętujecie zwy- cięstwo? Teoparlis wstał i skłonił się niezgrabnie. Był krzepkim mężczyzną, czar- nobrodym i ciemnookim. – Wybacz mi, drogi królu – odezwał się głębokim głosem z charakterystycznym dla mieszkańców północnych gór gardłowym „r” – ale muszę doglądać moich ludzi. – Oczywiście – rzucił oschle Filip. Jako następny wstał Nikanor, po nim Koenos i Antypater. Po kilku minutach z monarchą pozostał tylko Attalos. – Co im się wszystkim stało, na Hekate? – spytał król, pocierając oślepiłe oko. Fechtmistrz odchrząknął i przez moment bez słowa sącył wino. Nagle jego zimne oczy napotkały spojrzenie Filipa. – Chcieli porozmawiać z Parmenionem, zanim opuści Pagasai – oświadczył w końcu.

Krół odstawił puchar z winem i rozparł się na wyłożonym poduszkami tapczanie. – Byłem dla niego zbyt szorstki – mruknął. – Wcale nie, panie – odważył się zaprotestować Attalos. – Wydałeś mu rozkaz, a on go nie wypełnił. Może teraz będziesz musiał wydać komuś następny... Filip popatrzył badawczo na swego fechtmistrza i westchnął. – Attalosisie, Attalosisie... – szepnął. – Zawsze pozostaniesz zabójcą, nieprawdaż? Sądziś, że powinienem obawiać się człowieka, dzięki któremu Macedonia urosła w potęgę i pozostawała przez tyle lat bezpieczna? Fechtmistrz uśmiechnął się, szczerząc zęby. – Ty musisz o tym zdecydować, Filipie – odparł niemal szeptem. Władca patrząc na swego najbardziej zaufanego sługę, przypomniał sobie ich pierwsze spotkanie w Tebach dziewiętnaście lat wcześniej, kiedy Attalosa opłacał jeszcze wuj Filipa, król Ptolemeusz. Z jakiegoś powodu zabójca uratował wtedy dwom książętom życie i od tej pory służył wiernie swemu nowemu panu, pozostając wszakże mężczyzną chłodnym i tajemniczym. Z nikim się nie zaprzyjaźnił. – Nie wydam wyroku na Parmeniona – oświadczył stanowczo Filip Macedoński. – Idź i poproś go, aby do mnie przyszedł. – Sądziś, że przyjdzie? Król wzruszył ramionami. – Zobaczymy, w każdym razie przekaż mu zaproszenie. Attalos wstał, ukłonił się i opuścił andronitis. Filip pozostał sam z dzbanem wina. Podszedł do okna i począł przyglądać się dwunastu ateńskim triremom nadal kotwiczącym w zatoce. Księżyc odbijał się od ich wypolerowanych kadłubów i aż trudno było uwierzyć, że te lśniące, piękne statki podczas bitew przeobrażały się w zabójcze maszyny. Dzięki trzem rzędom wiosel pędziły naprzód z prędkością galopujących koni, a spiżowe tarany na dziobach potra-

fiły rozbić w okamgnieniu mniejsze drewniane statki na miazgę.
„Pewnego dnia – pomyślał król. – Również stanę się posiadaczem takiej floty”.

Czując bolesne pulsowanie w ślepych oku, Filip odwrócił się od okna, nalał sobie kolejny puchar wina, po czym osunął się na tapczan i popijając powoli, czekał na swego głównego wodza.

– Czy to tylko zazdrość, Parmenionie? – wypowiedział na głos pytanie.

– Kochałem cię kiedyś. Ale byłem wtedy młodszy i uważałem cię niemal za

boga wojny... Niezwyciężonego, niepokonanego. A teraz? – Usłyszał kroki,

więc wstał, wyszedł na środek pokoju i przystanął.

Wszedł Spartanin, a za nim Attalos. Filip podszedł do zabójcy i położył

mu rękę na ramieniu.

– Zostaw nas, przyjacielu – polecił łagodnie.

– Jak sobie życzysz, panie – odpowiedział fechtmistrz, obrzucając władcę ponurym spojrzeniem.

Kiedy drzwi się zamknęły, król odwrócił się do swego wodza. Parmenion stał niewzruszony, ubrany już nie w zbroję, lecz w jasnoniebieską tunikę. Na

jego muskularnych, szczupłych ramionach spoczywał kawaleryjski płaszcz.

Filip Macedoński wpatrzył się w niebieskie oczy Spartanina.

– Jak to się dzieje, mój drogi, że wyglądasz tak młodo? Nie dałbym ci więcej niż trzy dekady, a przecież liczysz sobie... Ile? Pięćdziesiąt lat?

– Czterdzieści osiem, panie.

– Czy jadasz może coś szczególnego?

– Chciałeś mnie widzieć, panie...

__ Gniewasz się na mnie, tak? – spytał król z wymuszoną życzliwością.

__ No cóż, w pełni cię rozumiem. Napij się ze mną wina. – Przez moment sądził, że wódz odmówi poczęstunku, lecz mężczyzna podniósł dzban i na-

pełnił puchar. – Teraz usiądź. Porozmawiajmy.

__ Cóż mam ci powiedzieć, panie? Wydałeś mi dwa rozkazy. Pragnąc wypełnić jeden, musiałem nie posłuchać drugiego. Kiedy walczysz, ja dowo-

dzę armią. Tak cię zrozumiałem. „Zrób wszystko, co będzie konieczne”, poleciłeś. Czego właściwie ode mnie oczekujesz, Filipie? Czekam długą

jazdę do Pełli.

– Nie chcę stracić twojej przyjaźni – odparł król. – Ale utrudniasz to.

Powiedziałem coś zapalczywie, nie przemyślawszy dostatecznie swoich słów.

Czy takie wyjaśnienie zadowala twoją spartańską dumę?

Spartanin westchnął i rozluźnił się.

– Nigdy nie utracisz mojej przyjaźni, Filipie. Jednak... Coś zaszło między nami przez te ostatnie dwa lata, co nas od siebie oddaliło.

Czym cię obraziłem?

Król przeczesał w zadumie swoją czarną brodę.

– Ile odniosłem zwycięstw przez ten czas? I które z nich należą do mnie?

– spytał.

– Nie rozumiem cię. Przecież wszystkie do ciebie należą.

Filip pokręcił głową.

– A jednak w Sparcie mawia się, że do sławy prowadzi Macedonie zdrajca Spartanin. W Atenach zaś pytają: „Gdzie byłby Filip bez Parmenio-

na?" Gdzie byłbym bez ciebie?

– Już pojmuję – mruknął wódz, wytrzymując spojrzenie króla. – Nic na to nie mogę poradzić, Filipie. Cztery lata temu twój koń wygrał olimpiadę.

To nie ty wtedy na nim jechałeś, a jednak był to twój rumak i czerpiesz dumę z tego zwycięstwa. Jestem strategosem... taki jest mój fach, moje powołanie i moje życie. Tyś jest królem, królem, który potrafi walczyć. Królem, który osobiście bierze udział w bitwach. Żołnierze walczą lepiej, ponieważ stajesz

z nimi do boju ramię w ramię. Kochają cię za to. Któż może wiedzieć, ile

potyczek zakończyłoby się klęską, gdybyś stał z tyłu i patrzył?

– Tyle że... Ta jedna jedyna bitwa, w której sam dowodziłem, zakończyła się porażką – zauważył Filip Macedoński.

– Gdybym to ja dowodził, także poniósłbym klęskę – zapewnił go Parmenion. – Twoi pajońscy zwiadowcy okazali się zbyt pewni siebie i lekkomyślni. Nie spenetrowali dokładnie gór, co było ich psim obowiąz-

kiem. Ale... Chodzi ci o coś jeszcze, prawda?

Król wrócił do okna i znowu zapatrzył się na odległe triremy. Milczał przez

długą chwilę, w końcu z namysłem zaczął:

– Mój syn cię lubi – oznajmił cicho. – Niania twierdzi, że czasem... w koszmarach woła twoje imię. To dobrze... Podobno potrafisz wziąć go w objęcia i nie czuć bólu. Czy to prawda?

– Tak – odszepnął Spartanin.

– To dziecko jest opętane, Parmenionie. Albo jest opętane, albo samo jest demonem. Ja go dotknąć nie mogę... Próbowałem, jednak za każdym razem odnosiłem wrażenie, że na mojej skórze płoną gorące węgle.

Jakim

cudem ty możesz go przytulić?

– Nie wiem.

Król zaśmiał się zgrzytliwie, potem zwrócił twarz w stronę wodza.

– Wszystkie bitwy toczę dla niego. Chciałem stworzyć królestwo, z któ-

rego byłby dumny. Pragnąłem... Tak wielu rzeczy pragnąłem...

Pamiętasz

naszą podróż na Samotrakę? Pamiętasz? Wtedy ponad życie kochałem moją Olimpias. Teraz zaś nie umiemy przesiedzieć w jednym pokoju dwudziestu

uderzeń serca bez gniewnych słów. A spójrz na mnie. Kiedy się poznaliśmy...

ja liczyłem piętnaście lat, ty natomiast byłeś dorosłym wojownikiem.

Ile

miałeś lat? Dwadzieścia dziewięć? Teraz moją brodę przetkała siwizna, twarz

pokryły blizny, a pod ślepym okiem mam wrzód pełen ropy, który sprawia mi

uporczywy ból. I na co te wszystkie poświęcenia, Parmenionie?

– Uczyniłeś z Macedonii silne państwo, Filipie – odrzekł Spartanin, wstając. – Wszystkie marzenia są w twoim zasięgu. Czego więcej pragniesz?

– Syna, którego mógłbym dotknąć. Syna, którego mógłbym nauczyć jazdy konnej bez strachu, że wierzchowiec przewróci się nagle i zdechnie,

a potem na moich oczach zgnije. Nic nie pamiętam z owej nocy na Samotrace,

gdy go spłodziłem. Czasami myślę, że Aleksander wcale nie jest moim synem.

Twarz Parmeniona pobladła, na szczęście macedoński król nie patrzył w jego stronę.

– Oczywiście, że Aleksander jest twoim synem – zapewnił w końcu Spartanin, tłumiąc zdenerwowanie. – Któż inny mógłby być jego rodzicem?

– Jakiś demon przysłany z Hadesu. Wkrótce ponownie się ożenię. I pewnego dnia będę miał następnego syna. Wiesz, że podobno kiedy Aleksander się urodził, zamiast zapłakać, warknął jak dzika bestia. Położna omal go nie upuściła. A gdy otworzył po raz pierwszy oczy, miał je osobliwie zmrużone niczym egipski kot. Nie wiem, czy to prawda, czy rozsiewane przez gawieź plotki, ale wiem jedno: mimo wszystko kocham tego chłopca... A jednak nie mogę go dotknąć... Ale dość na ten temat! Nadal jesteście przyjaciółmi?

– Zawsze będę twoim przyjacielem, Filipie. Masz na to moje słowo.

– W takim razie wypijmy i pogawędźmy o starych, dobrych czasach – zaproponował swemu wodzowi król.

Kiedy Attalos wyszedł za drzwi, poczuł w sobie rosnący gniew. Cicho ruszył oświetlonym pochodniami korytarzem, po czym wyszedł w noc. Zimny wietrzyk zamiast go ukoić, podsycił jedynie gorejący w jego duszy płomień nienawiści.

Jak to możliwe, że Filip nie dostrzegał niebezpieczeństwa, które uosabiał Spartanin? Fichtmistrz odchrząknął i splunął, lecz w ustach nadal czuł żółć.

Parmenion! Wiecznie ten Parmenion! Oficerowie darzyli go wręcz bałwochwalczym szacunkiem, żołnierze wprost ubóstwiali... „Nie widzisz, co się dzieje, Filipie? Tracisz swoje królestwo na rzecz tego obcego najemnika”.

Attalos przystanął w cieniu majaczącej przed nim świątyni, potem skręcił.

„Mógłbym się tu przyczaić – pomyślał, a jego palce machinalnie zacisnęły się na rękojeści sztyletu. – A potem pójść za nim, wrazić mu żelazo w plecy i przekręcić, wrywając mu serce z piersi...”

Jednak gdyby Filip się dowiedział... „Bądź cierpliwy, cierpliwy”, strofował się w myślach. Ten arogancki syn ladaczniczy sam sprowadzi na siebie zgubę. Ta jego dziwaczna koncepcja uczciwości i honoru. Żaden król nie potrzebuje uczciwości. Och, na pokaz i owszem, głośno o niej rozprawiają!

„Dajcie mi uczciwego człowieka – mawiają. – Dość już mamy pochlebców i lokajów”. Bzdura! W rzeczywistości pragną tylko uwielbienia i bezwarunkowego posłuszeństwa. Nie, nie ma co podejmować pochopnych decyzji, w końcu i Parmenionowi powinno się noga!

Przyjdzie ten błogosławiony dzień, kiedy łaskawość króla się skończy, a wtedy władca na pewno się zwróci do Attalosa, by pozbył się wstrętnego Spartanina, a później zajął jego miejsce na stanowisku naczelnego wodza Macedonii.

Strategos! A po co komu strategos? Cóż jest trudnego w wygraniu bitwy? Trzeba uderzyć na nieprzyjaciela z siłą burzy, zmiażdżyć centrum jego wojsk i zabić wrogiego króla lub wodza. Jednakże Parmenion oszukał

wszystkich,
gdyż kazał im wierzyć, że strategia to jakaś zdumiewająca tajemnica.
A dla-
czego? Ponieważ jest tchórzem, który zawsze unika udziału w bitwie ze
strachu przed śmiercią. Nikt z otoczenia króla nie potrafi dostrzec
tej prostej
prawdy. Ślepi głupcy!
Fechtmistrz wyciągnął sztylet, ciesząc się srebrnym refleksem
poświaty
księżycowej na ostrzu.
- Pewnego dnia - wyszeptał - ten sztylet cię zabije, Spartaninie.
Świątynia w Azji Mniejszej, lato

Derae czuła się znużona, prawie wyczerpana, kiedy ostatnią małą
pacjent-
kę wniesiono do pokoju uzdrowień. Dwaj mężczyźni położyli chorą na
ołtarzowym łożu, następnie wycofali się z respektem, nie patrząc na
niewido-
mą uzdrowicielkę. Kobieta zrobiła głęboki, uspokajający wdech, potem
poło-
żyła dłonie na czole dziecka. Jej duch wpłynął w krwiobieg
dziewczynki
i rozpoczął poszukiwania. Wyczuła słabe uderzenia trzepoczącego
serduszka.
Choroba tkwiła u podstawy kręgosłupa - kręgi popękały, zakończenia
ner-
wów zostały zmiażdżone, mięśnie porozdzierane...
Z nieskończoną troską Derae leczyła kości, usuwała zrosty, łagodziła
napór na spuchnięte nerwy, zmuszała krew do przepływu przez chorą
tkankę.
Gdy wróciła do swego ciała, westchnęła i zachwiała się. Jeden z
mężczyzn
natychmiast podskoczył do niej z zamiarem pomocy. Jego ręka ledwie
zdażyła
dotknąć jej ramienia.
- Puść mnie - warknęła kapłanka i gwałtownie odsunęła się od starca.
- Najmocniej przepraszam, pani - szepnął lekliwie.
Derae machnęła ręką i uśmiechnęła się.
- Wybacz mi, Laertesie. Jestem ogromnie zmęczona.
- Skąd znasz moje imię, pani? - spytał mężczyzna cichym głosem.
Kobieta roześmiała się.
- Przywracam wzrok ślepcom i nie wzbudza to niczyjzego zdumienia.
Chromi zaczynają płaszać, a ludzie tylko mówią: „No cóż, ona jest
przecież

uzdrowicielką, ma dar". Dlaczego zatem tak przyjemna sprawa jak
znajo-
mość nie wypowiedzianego imienia rodzi w was lęk? Dotknąłeś mnie,
Laer-
tesie. I dotknawszy mnie, zdradziłeś mi wszystkie swoje sekrety. Nie
bój się
jednak, wiem, że jesteś dobrym człowiekiem, a twoją córkę kopnął koń,
czy
tak?

__ Zgadza się, pani.

__ Uderzenie uszkodziło kręgosłup. Zdjęłam z jej pleców ból, a jutro,
kiedy odpocznę, uzdrowię ją. Możesz przenocować tutaj. Moi służący
poda-

dzą ci jedzenie.

__ Pokornie dziękuję, pani – odparł. – Proszę, oto pieniądze...
Derae machnęła tylko ręką, po czym bez słowa odeszła pewnym krokiem.
Dwoje służących otworzyło przed nią drzwi od sali ołtarzowej. W
korytarzu
trzeci wziął ją pod ramię i odprowadził do jej pokoju.
Kiedy kapłanka znalazła się u siebie, wypila łyk zimnej wody i
położyła
się na wąskiej pryczy. Tak wielu chorych, tylu cierpiących... Z
każdym dniem
tłumy przed świątynią rosły. Czasami ludzie toczyli między sobą
walki,
a część spośród tych, którzy w końcu docierali do niej, kupiła sobie
miejsce
w kolejce. Podczas ostatnich kilku lat Derae często próbowała położyć
kres
łapownictwu. Niestety, jej dar nie miał mocy zmieniania ludzkiej
natury.
Nadzieje ludzi czekających przed wrotami świątyni mogła zaspokoić
tylko
ona. A na ludzkich nadziejach zawsze ktoś chce zarobić. Tymczasem
grecki
najemnik, imieniem Pallas, biwakował przed świątynią z trzydziestką
kom-
panów, którzy organizowali kolejkę, sprzedając żetony wstępu i
zmieniając
chaos w porządek...
Niezdolna przeszkodzić Pallasowi w tych praktykach, kapłanka
zażądała,
by codziennie na dziesięciu bogatych przyprowadził do niej pięciu
biednych.
Pierwszego dnia usiłował ją oszukać, a wtedy oświadczyła, że nie
przyjmie
nikogo. Od tej pory system działał sprawnie. Pallas zatrudnił
służących,
kucharzy, pokojówki i ogrodników, którzy dbali o zaspokojenie
wszelkich
potrzeb Derae. Jednak nawet to ją zirytowało, ponieważ wiedziała, że
chciał
ją tylko odciążyć od takich „bezużytecznych” zajęć jak uprawa ogrodu,
co
kochała, albo gotowanie czy sprząatanie. Dzięki temu miała więcej
czasu na...
uzdawianie chorych. A jednak przystała na te udogodnienia, wiedząc,
że
Pallasem kierują wyłącznie korzyści materialne, gdyż mogła wyleczyć
dodat-
kowe osoby.
„Czyż nie powinnam być mu wdzięczna?” – zastanowiła się. Nie, abso-
lutnie nie. Natchnieniem tego człowieka jest zachłanność, jego
radością –

złoto.

Wyrzuciła z głowy wszelkie myśli o tym mężczyźnie i zamknawszy niewidzące oczy, wypłynęła ze swego ciała. Teraz czekała ją wolność, a jej

ducha – prawdziwy lot. Odczuwała radość choćby w formie przelotnego szczęścia wolnego od trosk. Podczas gdy jej ciało odpoczywało, Derae unosiła

się nad Zatoką Termajska, wysoko ponad ukształtowanym w trójzab Półwys-

Pem Chalkidyjskim i przez Góry Pieryjskie do Tesalii. Jej ducha przywoływał

kochanek z młodości.

Nagle zdała sobie sprawę, jak dawno temu miał miejsce ich romans.

Minęły już trzydzieści trzy lata od czasu, kiedy wraz z Parmenionem w letnim

domu Ksenofonta zatracili się w odkrywaniu głębi młodzieńczej

namiętno-

ści...

Znalazła swego wybranka w zdobyczym mieście Pagasai. Wychodził z pałacu chwiejnym krokiem. Odkryła, że pił. Jednak poczuła w nim

ogromny

smutek. Wierzyła, że spędzą razem życie, zatopieni w miłości, spętani dobro-

wolnym łańcuchem przez pragnienia nie tylko cielesne...

Nie tylko

cielesne?

Przypomniała sobie delikatny dotyk swego ukochanego, ciepło jego

ciała

leżącego na jej ciele, miękkość jego skóry, siłę jego mięśni, słodycz jego

uśmiechu, miłość w jego oczach... Rozpacz targnęła jej duszą.

Była teraz starzejącą się kapłanką w świątyni położonej na rubieżach cywilizowanego świata, on zaś – wodzem triumfującej armii

macedońskiej.

Co gorsza, sądził, że umarła przed trzydziestoma trzema laty.

Po rozpaczony duszę Derae ogarnął niezmierny smutek, lecz odsunęła go od

siebie, po czym przybliżyła się do swego kochanka. Przez chwilę

rozkoszo-

wała się światłem jego ducha.

– Zawsze cię kochałam – wyznała z bólem. – Nic nigdy tego nie

zmieniło i nie zmieni. I będę cię obserwować aż do końca mojego

życia.

Jednak Parmenion nie mógł jej usłyszeć. Zimny wiatr musnął jej duszę

nagłym przypływem strachu. Natychmiast się zorientowała, że nie jest

sama.

Wzniosła się wysoko w niebo, nałożyła na duchowe ciało zbroję ze

Światła,

a w jej ręce zapłonął miecz z białego ognia.

– Ukaż mi się! – rozkazała, i jak na zawołanie zmaterializował się

przed

nią męski kształt.

Mężczyzna był postawny, nosił krótko przycięte siwe włosy i brodę

ufryzowaną w stylu perskim. Uśmiechnął się i otworzył ramiona.

– To ja, Arystoteles – oświadczył beztrąsko.

– Dlaczego mnie szpiegujesz? – spytała czujnie.

– Chciałem się z tobą zobaczyć, poszedłem więc do świątyni, lecz

strzegą jej zachłanni najemnicy, którzy nie pozwolili mi wejść. A

musimy

porozmawiać.

– O czym chcesz rozmawiać? Dziecko się narodziło, ma w sobie Ducha

Chaosu, wszystkie zaś wersje przyszłości jednoznacznie wskazują, że

przy-

niesie ono światu udrękę. A miałam nadzieję pomóc mu... chciałam

wesprzeć
jego ludzką naturę. Nijak jednak tego nie potrafię. Bóg Mroku jest
ode mnie
silniejszy.
Magus potrzaskała głową.
– To nieprawda. Przynajmniej nie do końca, Derae. W twoim rozumowaniu jest aż nadto słabych punktów, ale o tym kiedy indziej.
Powiedz, jak
mogę się skontaktować z twoją cielesną formą?
Westchnęła.
__ W zachodniej ścianie świątyni jest mała boczna brama. Bądź przed
nią
0 północy- Otworzę ją. Teraz zostaw mnie na chwilę w spokoju.
__ Jak sobie życzysz – odpowiedział Arystoteles i zniknął.
Gdy została znowu sama, ruszyła za Parmenionem do polowego szpitala,
śledząc każdy jego krok. Kręcił się wśród rannych, dyskutował o ich
obrażeniach z niewysokim medykiem Berniossem. Nie mogła wszakże znaleźć spokoju,
którego szukała, toteż po kilku minutach wzniosła się w nocne
niebo,
płynąc teraz pod gwiazdami.
Upłynęły już cztery lata od dnia, w którym osobnik imieniem
Arystoteles
pojawił się w jej świątyni. Jego wizyta doprowadziła do tragedii.
Wraz
z magusem Derae wysłała ducha Parmeniona w jaskinie Hadesu. Miał
ocalić
duszę nie narodzonego Aleksandra. Niestety, ich akcja zdała się na
nic. Duch
Chaosu i tak wcielił się w duszę dziecka, a najbliższego przyjaciela
Derae,
nawróconego ze złej drogi wojownika Leukjona, rozdarły na kawałki
nasłane
na nią demony.
Po powrocie do świątyni wstała z łóżka, umyła się w zimnej wodzie
i wytarła ciało pachnącymi liśćmi. Nie pozwoliła duchowym oczom
oglądać
swoich starzejących się kształtów. Nie zniosłaby widoku siebie...
takiej, jaką
była teraz – srebrnowłosej, o wychudłym, zniszczonym ciele i
obwisłych
piersiach. Ubrała się w czysty, długi do stóp chiton w kolorze
ciemnej zieleni
i usiadła przy oknie, czekając na północ. Przed świątynią płonęły
obozowe
ogniska. Były ich dziesiątki. Niektórzy chorzy czekali nawet pół roku
na
spotkanie z uzdrowicielką. Wielu umrze, zanim zdoła kupić żetony.
Kiedyś,
jeszcze przed przybyciem Pallasa, chodziła między chorymi, by
uzdrowić ich
jak najwięcej. Jednak któregoś dnia otoczyli ją ze wszystkich stron i
powalili
na ziemię... W ostatniej chwili od stratowania uratował ją służący, a
zarazem
przyjaciel, Leukjon. Rozpędził tłum kijem. Ciągle opłakiwała tego
wspaniałego
wojownika, który zginał, broniąc jej bezbronnego ciała przed
demonami
wysłanymi, by ją zgładzić.
Przypomniała sobie jego twarz: długie, srebrne włosy związane na
karku,
pewny siebie chód, dobrotliwy uśmiech.
– Tęsknię za tobą, mój drogi – szepnęła.

Tuż przed północą, kierowana przez swój duchowy wzrok, przekradła się do zachodniej bramy, odsunęła zasuwę i wpuściła Arystotelesa.

Zamknawszy

wierzeje, zaprowadziła magusa do swego pokoju. Mężczyzna nalał sobie wody i usiadł na wąskim łóżku.

– Przeszkadzałoby ci, gdybym zapalił lampę? – spytał.

– Ślepcy nie potrzebują światła. Ale przyniosę ci lampę.

– Nie trudź się, pani. – Wyciągnął rękę i podniósł wysoko srebrny Puchar z winem. Krawędź metalowego naczynia wykrzywiła się i skręciła, po

czym uformowała się w lejek, w którym początkowo migotał, a później podniósł się płomień, rozświetlając pokój. – Nie wyglądasz za dobrze, Derae

– zauważył. – Zbyt intensywnie wydatkujesz swój dar.

– Nie twoja sprawa. Przejdź do celu swojej wizyty – odparła chłodno.

– Dojdziemy do niego – powiedział spokojnie. – Najpierw musimy jednak porozmawiać o licznych przyszłościach. Czy przyszło ci do głowy, że

w naszej podróży przez czas istnieje sprzeczność?

– Jeśli mówisz o tym, że widziana przeze mnie przyszłość może się zmienić, czyli w jakichś szczegółach różnić od mojej wizji, to hmm... oczy-

wicie przemknęła mi taka hipoteza przez myśl.

Uśmiechnął się i potrząsnął głową.

– Ale czy się zmieni? I jak? Oto są pytania.

– Jasne, że się zmieni. Pamiętam, co mi powiedziała stara Tamis. Ona widziała własną śmierć w wielu różnych, odmiennych od siebie jutrach. W jednym z nich miała na przykład spaść z wierzchowca, chociaż nienawi-

dziła jazdy konnej...

– Właśnie o to mi chodzi – przerwał jej magus. – A zatem pozwól, że ci coś wyjaśnię. Tamis ujrzała, jak w przyszłości spada z konia. A jednak

umarła inaczej. Kto zatem spadł z konia?

Kapłanka usiadła na wyściełanym krześle, oczy zaś swej duszy z namysłem utkwiła w twarzy Arystotelesa.

– Tamis – odrzekła. – Jednakże wcześniej pewne zaistniałe zdarzenia nie dopuściły do zaistnienia tej szczególnej przyszłości.

– I tu właśnie tkwi sprzeczność – stwierdził. – Zauważ, Derae, że nie mówimy teraz o proroczych wizjach. Ty i ja... a kiedyś również Tamis...

potrafimy podróżować do różnych jutrz i obserwować je. To, co widzimy, gdzie się musi zdarzyć... Wszystkie przyszłości są realne!

– Jak to możliwe? – zadrwiła. – Przecież Tamis umarła tylko raz... Ja także tylko raz umrę.

– Nie znam odpowiedzi na wszystkie pytania, moja droga, wiem wszakże jedno: istnieje mnóstwo rozmaitych światów, tysiące. Większość z nich

przypomina nasz. Może człowiek podejmując jakąś decyzję, za każdym razem

tworzy nową rzeczywistość. Nie wiem. Tak czy owak, szaleństwem byłoby badanie wszystkich tych alternatywnych światów i opieranie swoich działań

na zachodzących w nich zdarzeniach. Sam miałem wizję, w której Aleksander

zalewa świat krwią i obraca go w chaos. Widziałem, jak zabił Filipa i zajął

jego miejsce na tronie. Ale w innych wersjach przyszłości Aleksander, jeszcze

będąc dzieckiem, umierał podczas zarazy, od ugryzienia psa albo od ostrza

zabójcy. Zrozum, że żadne z tych rozwiązań się nie liczy. Żadna z tych

przyszłości nie jest nasza. Wszystkie one są tylko echemi, odbiciami,

zaledwie
wskazówkami tego, co mogłoby się stać, ale niekoniecznie się ziści.
Kobieta milczała, rozważając jego słowa.
__ Interesująca koncepcja – oceniła w końcu. – Przemyszę ją sobie.
Przejdź teraz do sedna swojej wizyty.
Magus leżał na plecach na łóżku i obserwował migoczące cienie na niskim suficie.
__ Jej sedno... tak jak zawsze... dotyczy chłopca i jego otoczenia.
Razem
wysłaliśmy Parmeniona do Hadesu, gdzie duszyczka nie narodzonego jeszcze
dziecka połączyła się z Duchem Chaosu. Uznaliśmy ten moment za naszą porażkę. Może jednak potrafimy obrócić ją w zwycięstwo.
– Zaiste ciekawy to rodzaj zwycięstwa – szydziła Derae. – Aleksander ma w sobie potężne zło. Rośnie ono w jego wnętrzu szybciej niż nowotwór,
a chłopiec nie ma siły z nim walczyć.
– Miał siłę, kiedy ratował Parmeniona w morzu pustki – rzucił Arystoteles. – Nie spierajmy się jednak. Raczej pomyślmy nad sposobem pomocy dziecku.
Kapłanka potrząsnęła głową.
– Dawno temu poznałam szaleństwo związane z próbą zmiany przyszłości. Gdybym wówczas wiedziała to, co wiem teraz, demoniczny książę nigdy by się nie urodził.
– Sądzę, że się mylisz, pani – stwierdził Arystoteles cicho. – Fakt ten zresztą i tak nie ma w tej chwili znaczenia. Aleksander nie różni się od większości dzieci, które rodzice przynoszą do ciebie codziennie...
Tyle że
chłopiec nie jest kaleki na ciele, lecz ma udręczoną duszę. Ani ty, ani ja
nie dysponujemy mocą, która pozwoliłaby nam wypędzić z niego demona. Wszakże razem – w dodatku z pomocą chłopca – nadal mamy szansę zawrócenia Boga Mroku do podziemi.
Derae roześmiała się z goryczą.
– Leczę rany, magusie. Nie posiadam sił na walkę z Kadmilosem. Ani też nie mam na nią ochoty.
– A na co masz ochotę, pani?
– Chcę zostać sama – odparła.
– Nie! – zagrzymiał, zrywając się na równe nogi. – Nie akceptuję takiej odpowiedzi od Spartanki! Co się z tobą stało, Derae? Nie jesteś przecież byle pierwszą owieczką posłusznie czekającą na rzeź. Pochodzisz z rodu wojowników. Na Samotrace toczyłaś boje z Mroczną Panią, Aida. Gdzież się podział twój duch?
Kapłanka westchnęła.
– Starasz się mnie rozgniewać – wyszeptała. – Ale nadaremnie. Popatrz na mnie, Arystotelesie. Starzeję się. Żyję bez dramatycznych przeżyć, w regularnym rytmie mojej misji. Uzdrawiam chorych. Będę ich leczyć aż do śmierci. Miałam kiedyś pewne wielkie marzenie, lecz teraz bezpowrotnie przepadło. Zapomniałam o nim. Zostaw mnie w spokoju.
– Potrafię przywrócić ci młodość – rzucił kusząco. W jego błyszczących oczach dostrzegła obietnicę.
Przez moment stała znieruchomiała. Milczała, obserwując go bez

wyrazu.

– A zatem... – odezwała się w końcu – to twoja zasługa. Gdy leczyłam Parmeniona z nowotworu, chory odmłodził na moich oczach. Myślałam wówczas, że to jeden ze skutków ubocznych mojego uzdrowienia.

– Ty również możesz odmłodnieć. Twoje wielkie marzenie może się jeszcze ziścić.

– Jesteś magusem, lecz równocześnie głupcem – oświadczyła stanowczym, choć zmęczonym głosem. – Parmenion jest żonaty. I jest ojcem trzech synów. Nie ma dla mnie miejsca w jego życiu. Być może potrafimy nieco modyfikować przyszłość, jednak mimo to jest ona pewna niczym przeznaczenie.

Arystoteles wstał i ruszył do drzwi. W progu odwrócił się, jakby pragnął

coś jeszcze powiedzieć, jednak potrzęsął tylko głową i odszedł mrocznym

świątynnym korytarzem.

Derae w zadumie odczekała, aż umilknie słabnący odgłos kroków, po czym opadła na łóżko. Obietnica magusa odbijała się w jej głowie natrętnym

echem: „Potrafię przywrócić ci młodość”.

Wiedziała, że się mylił. Och, z pewnością posiadał moc, by magicznie odmłodzić jej ciało, przywrócić sprężystość mięśniom, wygładzić pomarsz-

czoną skórę, pokryć rumieńcem policzki. Tyle że młodość była stanem umysłu. Nikt – ani bóg, ani człowiek – nie potrafił zwrócić jej niewinności,

radości pierwszych odkryć, piękna pierwszej miłości. A bez takich emocji

jakaż wartość miało młode i gibkie ciało?

Poczuła napływające łzy i mimowolnie wywołała w wyobraźni obraz młodziutkiego Parmeniona. Stawiał samotnie czoło najeźdźcom, którzy upro-

wadzili Derae... Ponownie przeżyła chwile, gdy ukochany po raz pierwszy

trzymał ją w ramionach.

– Kocham cię – szepnęła.

I rozplakała się.

Zanim pozwoliła sobie na luksus snu, skrupulatnie prześledziła linie trzech

ochronnych zaklęć na ścianach, drzwiach i oknie swego pokoju. Owe zaklęcia

wprawdzie nie powstrzymają wieszczki o potencjale Aidy, lecz złamanie łańcucha w którymś z zaklęć przynajmniej obudzi Derae i zapewni czas niezbędny na obronę.

Minęło już prawie pięć lat od ostatniego ataku, podczas którego poległ

Leukjon, mężnie broniąc swej pani przed nasłanymi przez Aidę demonami.

Od tamtej pory kapłanka niewiele słyszała o Pani Mroku. Ponoć kobieta opuściła swój pałac na Samotrace i wyruszyła w podróż po kontynencie. Plotki

głosiły, że dotarła aż na północne kresy perskiego imperium, gdzie cierpliwie

oczekiwała, aż Aleksander dorośnie.

Derae zadrżała na tę myśl.

piecko Chaosu! Wkrótce stanie się niszczycielem, jakiego ziemia dotąd

jeszcze nie widziała.

Myśli kobiety wróciły ponownie do Parmeniona. Przykryła się cienkim białym prześcieradłem. Noc była ciepła i parna, przez otwarte okno wpadał

do pomieszczenia lekki wiatr. Sen nie nadchodził, choć tak bardzo go potrze-

bowiała, więc by odpędzić trapiące ją zmartwienia, kapłanka wyobraziła sobie swego kochanka sprzed wielu lat, rozgoryczonego młodzieńca, pogardzanego przez kolegów. Odnalazł wtedy szczęście na urokliwych i spokojnych wzgórzach Olimpów. Derae przypominała sobie historię ich miłości godzina po godzinie, powtórnie smakowała namiętność swojego życia i radość przeżytych wspólnie pięciu dni. Ciągnęła swoje wspomnienia aż do tego strasznie ranka, kiedy ojciec wyprowadził ją z domu i naznaczoną powszechną infamią, pod strażą, odesłał ze Sparty. Powoli zaczęła zasypiać. Sen był zupełnie nowy, nieznan. Kapłanka widziała w nim dziwne stworzenia. Jej uwagę przykuły rozbrykane centaury cwałujące przez leśne szlaki oraz wdzięczne, piękne driady, które siedziały nad iskrzącymi się strumieniami. W tym świecie panował wręcz niesamowity spokój. Nawet powietrze emanowało szczęściem i beztroską radością życia. Jednak sen brutalnie zburzył tę sielską atmosferę. Derae ujrzała maszerującą armię, płonące miasta, tysiące wymordowanych ludzi i mitycznych istot... Wojownicy ubrani byli w czarne płaszcze, zbroje i okrągłe tarcze ozdobione herbem w postaci ogromnego okolonego promieniami słońca. Pośrodku bestialskiej hordy jechał wojownik w czarnym pancerzu obrzeżonym złotem. Był czarnobrody i przystojny. Natychmiast go rozpoznała. A jednak miał w sobie coś osobliwego, obcego... Zbliżyła się i dostrzegła, że prawy oczodół mężczyzny wypełniała złota kula. Derae poczuła mroczne dotknięcie jego ducha stworzonego jednocześnie z lodu i płomienia. Zmroził ją i oparzył. Cofnęła się i spróbowała uciec, szukając azylu w zaklętym lesie, po którym wędrowały centaury. Niestety, nie zdołała uciec, a w sekundę później przed jej duchowymi oczyma wyłoniła się nowa wizja. Kapłanka zobaczyła pałac o ponurych kształtach i mrocznym wnętrzu. W małym pokoiku płakało dziecko, do którego powoli podszedł król. Kapłanka usiłowała zamknąć eteryczne oczy i uszy, by nie widzieć i nie słyszeć, co się dzieje. Daremnie! Mężczyzna zbliżył się do płaczącego maleństwa. W ręku dzierżył długi, zakrzywiony sztylet. – Ojczy, proszę! – błagał chłopczyk. Derae krzyknęła, kiedy nóż rozplątał pierś dziecka, a obraz zamigotał. Król opuścił sypialnię. Z jego ust i brody kapała krew. – Czy jestem już nieśmiertelny? – spytał łysy kapłan, który oczekiwał za drzwiami. Mężczyzna spuścił wzrok, unikając spojrzenia swego władcy. – Serce tego dziecka przedłużyło ci życie o jakieś dwadzieścia lat. Nie zabiłeś jeszcze Złotowłosego. Twój syn nim nie był. – Więc znajdź właściwe dziecko! – ryknął król. Krew trysnęła mu z ust

i poplamiała jasną szatę kapłana.
Niespodziewanie opadły niewidzialne łańcuchy pętające Derae i zmuszające ją do przyglądania się scenie, więc uzdrowicielka czym prędzej uciekła

z tego potwornego przybytku zła.

Obudziła się w ciemnym pokoju swojej samotni.

– Widziałaś wszystko? – spytał cicho Arystoteles.

– Ach, to twoja sprawka – odparła, siadając prosto i sięgając po puchar

z wodą stojący na stoliku obok łóżka.

– Tak, ja cię tam posłałem – przyznał. – Jednakże wszystko, co widziałaś, było rzeczywiste. Istnieje wiele odmian Chaosu, moja droga, które

pojawiają się w wielu światach. Grecję, do której trafiłaś, już zamieszkuje

król-demon.

– Po co mi go pokazałeś? Jakiemu celowi miała służyć moja wyprawa w ten świat?

Magus wstał, podszedł do okna i wpatrzył się w przestrzeń ponad rozświet-

lonym blaskiem księżyca morzem.

– Rozpoznałaś króla?

– Oczywiście.

– Zamordował wszystkie swoje dzieci, pragnąc w ten sposób osiągnąć nieśmiertelność. Teraz szuka dziecka z legendy. Iskandra!

– Cóż on ma wspólnego ze mną? Mów szybko, czarodzieju, bo jestem strasznie zmęczona.

– Czarodziejski świat, który oglądałaś, umiera. Centaury i inne wspania-

łe stworzenia są bezlitośnie tępione, niebawem całkiem wyginą.

Mieszkańcy

tej magicznej Grecji wierzą jednak, że przybędzie do nich złotowłosey chłopiec

i ocali ich. Król również szuka tego dziecka, sądzi bowiem, że pożarcie jego

serca zapewni mu nieśmiertelność. Może zresztą ma rację... –

Arystoteles

wzruszył ramionami. – Istnieje mnóstwo sposobów na przedłużenie życia Ale nie w tym rzecz... Kapłani demonicznego króla zdołali utworzyć

portal

między światami, wyruszyli na poszukiwania i teraz sądzą, że znaleźli

właściwego chłopca. Złotowłosego.

– Aleksandra? – szepnęła kobieta. – Porwą Aleksandra?!

– W każdym razie spróbują.

__ Zabiorą go z naszego świata? To chyba dobrze, nieprawdaż?

Magus zmrużył oczy.

__ Będziesz zadowolona, gdy demoniczny król kolejnemu dziecku wyrwie serce z piersi?

__ Chyba cię już nie lubię – mruknęła Derae. – Wcale me robisz tego wszystkiego dla Źródła. I walka z Chaosem mało cię pewnie obchodzi.

__ To prawda – przyznał. – Robię to dla siebie, ponieważ moje życie jest w niebezpieczeństwie. Ale przy okazji zamierzam ocalić świat.

Pomo-

żesz mi?

– Przemyślę twoją propozycję – odrzekła. – A teraz zostaw mnie wreszcie w spokoju.

Pella, Macedonia, lato

Aleksander uniósł rękę i popatrzył na błękitno-siwego ptaka, który siedział

wśród najniższych gałęzi wysokiego cyprysa. Maleńkie stworzonko zamachało skrzydełkami, po czym przekrzywiło łebek na bok i

przypatrzyło się

złotowłosemu dziecku.

– Chodź do mnie – szepnął chłopiec. Ptak przeskoczył na bliższa gałąź, potem wzbił się w powietrze i przez chwilę latał nad główką dziecka. Aleksander czekał, nieruchomy jak pomnik, mocno skoncentrowany. Mimo zamkniętych oczu potrafił śledzić lot zięby, która minęła ogrodowy mur, później zawróciła nad pałacem i łagodnie opadając, zbliżyła się do wyciągniętej ręki malca. Nie usiadła jednak na niej, a tylko dwukrotnie wzbiła się nad nią w powietrze. Za trzecim wszakże razem maleńkie pazurki ptaszka dotknęły wskazującego palca Aleksandra. Dziecko otworzyło oczy i spojrzało na ptaszynę. – A więc jesteśmy przyjaciółmi? – spytało łagodnie. Zięba ponownie przekrzywiła łebek i chłopiec wyczuł w niej napięcie i strach. Powoli wyciągnął lewą dłoń, zamierzał pogłaskać ptaszka... Nagle odkrył w sobie falę zabójczej siły. Jego serce biło coraz szybciej, ramię coraz mocniej się trzęsło. Z całych sił starał się nie dopuścić do siebie zła i dla uspokojenia zaczął rozpaczliwie i głośno odliczać. Gdy jednak doliczył do siedmiu, poczuł pędzący po jego ramieniu wir śmierci. – Leć! – rozkazał słabo. Zięba wzniosła się w powietrze. Aleksander upadł na trawę. Żądza śmierci opuściła go równie szybko, jak się pojawiła. – Nie poddam się – szepnął. – Będę ćwiczył i ćwiczył. Dojdę w liczeniu do dziesięciu, potem do dwudziestu. Aż pewnego dnia całkowicie zapanuję nad złem. JSFigdy – odezwał się mroczny głos w jego sercu. – Nigdy mnie nie nokonasz. Jesteś mój. Teraz i na zawsze". Chłopiec potrząsnął głową i wstał. Siłą woli odsuwał od siebie głos, coraz dalej, coraz głębiej do wnętrza. Słońce powoli zachodziło za odległe góry. Królewski syn wszedł w chłodny cień zachodniej ściany, skąd widział stojących przy bramie wartowników. Ich jaskrawe zbroje i spiżowe hełmy połyskiwały niczym złoto. Sami rośli wojownicy o srogim spojrzeniu, dumni i... rozgniewani, ponieważ król nie zabrał ich na wojnę, lecz zostawił tutaj. Nagle wszyscy stanęli na baczność, unosząc lance. Gdy zasalutowali komuś za bramą, ciało chłopca aż zadrżało z podniecenia. Ruszył biegiem ścieżką. – Parmenionie! – krzyknął. Jego piskliwy głosik spłoszył dziesiątki ptaków siedzących wśród zieleni drzew. – Parmenionie! Wódz oddał honory i wszedł do ogrodu, uśmiechając się na widok pędzącego w jego stronę czterolatka. Klęknął, a wtedy dziecko rzuciło mu się w ramiona. – Zwyciężyliśmy! Parmenionie, prawda, że zwyciężyliśmy? Zmiażdżyliśmy Fokejczyków! – Rzeczywiście, młody książę. Ale uważaj, bo skaleczysz się o moją zbroję. – Spartanin zdjął ręce chłopca ze swojej szyi, po czym poluznił

skórzane rzemyki pod brodą od złożonych osłon na uszy, wreszcie
ściągnął szybkim ruchem hełm i położył go na trawie. Aleksander usiadł
obok
hełmu i przeczesał maleńkimi paluszkami pióropusz z białego końskiego
włosia.
– Ojciec walczył niczym lew – trajkotało dziecko. – Wiem, bo to
obserwowałem. Zaatakował flankę i padły pod nim trzy konie. Potem
obciął
głowę zdrajcy Onomarchosowi.
– Tak, rzeczywiście wszystko to się zdarzyło. Jednak całą historię
opo-
wie ci sam, gdy wróci do domu.
– Nie – bąknął cicho Aleksander, potrząsając głową. – Nie opowie
mi. Nieczęsto ze mną rozmawia. Nie lubi mnie. Dlatego, że zabijam
zwie-
rzęta.
Parmemon wyciągnął rękę, przyciągając chłopca do siebie i poczochnął
mu włosy.
– Ależ kochacie, Aleksandrze, wierz mi. No dobrze... jeśli masz
ochotę,
opowiem ci o bitwie.
– Wiem wszystko o bitwie. Naprawdę. I sędzę, że ojciec powinien
bardziej chronić szyję. Ponieważ jedno oko ma ślepe, musi obracać
głowę
częściej niż inni, a wtedy odsłania gardło. Dla ochrony głównej żyły
trzeba
by mu sprawić kołnierz ze skóry nabijanej spiżowymi płytkami.
Spartanin pokiwał głową.
– No, no, ależ z ciebie bystrzak, chłopcze. Chodź, wejdziemy do
środku.
Jestem okrutnie spragniony po podróży, a tu słońce zbyt mocno grzeje.
– Posadzisz mnie na swoich ramionach? Będiesz moim wierzchowcem,
dobrze?
Wódz wstał sprężysto i wzięwszy księcia pod ramiona, posadził go
sobie
na barkach. Chłopiec zapiszczał z wrażenia, siadając mężczyźnie na
ramio-
nach. Parmenion podniósł hełm i ruszył w stronę pałacu. Gdy
przechodzili
przez bramę, strażnicy w poczuciu obowiązku ponownie zaszalutowali, a
nia-
nia księcia aż opadła na kolana z wrażenia.
– Czuję się jak król – krzyknął Aleksander. – Jestem najwyższym
człowiekiem na świecie!
Do ogrodu wyszła Olimpias, za nią kroczył orszak służących. Na widok
królowej Spartanin głęboko zaczerpnął oddechu, a jej bujne rude loki
i zielone
oczy przywiodły mu na myśl Derae, którą tak kochał wiele lat temu.
Miała na
sobie zieloną suknię w odcieniu morskiej toni z azjatyckiego
jedwabiu, spiętą
na ramieniu złotą broszą w kształcie okolonego promieniami słońca.
Kobieta
roześmiała się głośno na widok wodza i dosiadającego go chłopca.
Parmenion
skłonił się, a wtedy Aleksander krzyknął, udając strach przed
upadkiem na
ziemię.
– Pozdrawiam cię, pani. Przynoszę... a raczej przywożę ci twego syna.
Olimpias podeszła do Spartanina i pocałowała go w policzek.
– Zawsze jesteś mile widzianym gościem – oświadczyła, następnie
odwróciła się do służących, zamówiła wino oraz owoce dla Parmeniona
i wprowadziła go do swoich pokojów. Wódz z uznaniem spojrział na

wspaniałe
draperie, brokatowe tapczany, wyściełane krzesła i ściany zdobione
homeryc-
kimi malowidłami. Podniósł Aleksandra i usadowił go na tapczanie,
lecz
chłopiec natychmiast zerwał się niezdarnie i chwycił Spartanina za
rękę.
– Popatrz, matko! Trzymam Parmeniona. Nie boli cię, prawda, mój
drogi?
– Nie – odparł wódz.
– Parmenion uratował ojcu życie. Poprowadził kontrnatarcie przeciw
fokejskiej konnicy. Nikt cię nie zwiedzie, prawda, mój drogi?
– Nie ma szans – zgodził się żartobliwie Spartanin.
Dwie służące pomogły Parmenionowi zdjąć napierśnik, trzecia zaś przy-
niosła mu puchar wina zmieszanego z zimną wodą. Po chwili weszła
jeszcze
jedna dziewczyna. Niosła misę z owocami, którą postawiła przed nim,
po
czym skłoniła się i wybiegła z pokoju.
Wódz poczekał na odprawienie służących, następnie wznosił puchar
w stronę królowej.
– Twoja uroda, pani, jest z każdym rokiem coraz doskonalsza – za-
uważył.
Kobieta skinęła głową.
__ Wyszukany komplement, przyjacielu, pomówmy wszakże o poważ-
niejszych sprawach. Czy utraciłeś łaskawość Filipa?
__ Król twierdzi, że nie – odparł.
__ To nie jest odpowiedź.
__ Rzeczywiście, nie jest.
__ On jest o ciebie zazdrosny – oznajmił szeptem Aleksander.
Oczy królowej rozszerzyły się z zaskoczenia.
__ Nie powinieneś mówić o sprawach, których nie rozumiesz, dziecko –
zbeształa syna. – Jesteś zbyt młody, by znać myśli króla. – Chłopiec
napotkał jej spojrzenie, lecz nie odezwał się, królowa zaś spojrzała
na wodza.
__ Nie opuścisz nas, prawda?
Parmenion potrząsnął głową.
– A gdzie miałbym pójść, pani? Mam tutaj rodzinę. Spędzę jesień
w moich posiadłościach. Motak mówi, że mam tam sporo do zrobienia.
– Jak się miewa Fedra? Widziałeś ją już? – spytała Olimpias z pozoru
obojętnym tonem.
Spartanin wzruszył ramionami.
– Jeszcze nie. Miała się dobrze, kiedy widziałem ją po raz ostatni.
Poród
Hektora mocno ją wyczerpał i przez jakiś czas była trochę słaba.
– A pozostali synowie?
Wódz zachichotał.
– Filotas stale pakuje się w kłopoty. Fedra ogromnie go rozpieszcza i
we
wszystkim mu ustępuje. Nikki jest delikatniejszy. Ma zaledwie dwa
latka, lecz
poszedłby za Filotasem w ogień. Uwielbia go.
– Twoja żona ma cudowne życie – szepnęła Olimpias. – Jest zapewne
bardzo szczęśliwa.
Parmenion wysączył kielich rozwodnionego wina i wstał.
– Chyba powinienem pojechać już do domu – oświadczył.
– Nie, nie! – zaprotestował Aleksander. – Przysięgłeś, że opowiesz
mi o bitwie.
– Trzeba dotrzymywać obietnic – zauważyła Olimpias.
– Masz rację – przyznał wódz. – Dobrze więc, młody książę, pytaj.
– Jakie straty ponieśliśmy w tej potyczce?
Spartanin pochylił się i potargał malcowi złote włosy.
– Twoje pytania trafiają niczym strzały do celu, Aleksandrze.
Stracili-

śmy jedynie trochę ponad trzystu ludzi. Pół setki jest ciężko rannych.

– Brakuje nam medyków – stwierdził chłopiec. – Zabitych nie powinno być więcej niż rannych.

– Większość rannych umiera – odparł Spartanin. – Wykrwawiają się na śmierć podczas bitwy... Zanim medycy zdołają do nich dotrzeć. Ale masz

a i

rację, potrzebujemy więcej utalentowanych medyków. Omówię tę sprawę z twoim ojcem.

– Kiedy zostanę królem, nie będziemy ponosić tak wielkich strat – obiecał Aleksander. – Zostaniesz moim wodzem, Parmenionie?

– Być może do tej pory będę już na to zbyt stary, mój książę. Twój ojciec

jest ciągle mężczyzną w sile wieku... I potężnym wojownikiem.

– Będę od niego potężniejszy – obwieściło złotowłose dziecko.

Spotkanie z królową i jej synem zaniepokoiło Parmeniona do tego stopnia,

że rozmyślał o nim przez całą drogę na północ, do swoich ogromnych posiadłości położonych na Równinie Emackiej. Wszyscy doskonale wiedzie-

li, że chłopiec jest opętany, jednak sprawa wcale nie była taka prosta. Parme-

nion przypomniał sobie, ze strachem i dumą, bitwę o duszę dziecka w dolinie

Hadesu.

Pięć lat temu!

To był czas cudów. Spartanin, umierając na raka mózgu, zapadł w śpiącz-

kę... po czym ocknął się w świecie koszmarów – szarym, porażającym wszechobecną martwością, zdeformowanym i jałowym. Tam spotkał magusa Arystotelesa i nieżyjącą już wieszczkę Tamis. Wspólnie próbowali uratować

duszę nie narodzonego jeszcze Aleksandra.

Poczęte na mistycznej wyspie Samotrace dziecko miało się stać ludzkim wcieleniem Boga Mroku, Kadmilosa. Jego przeznaczeniem było sprowadzenie na świat chaosu, zniszczenia i śmierci. W Dolinie Przeklętych odnieśli

jedynie częściowe zwycięstwo. Dusza dziecka wprawdzie nie została pożarta

przez zło, lecz zjednoczyła się z nim. Światło i Mrok nadal trwały w swej

odwiecznej wojnie.

„Biedny Aleksander” – pomyślał Parmenion. Takie wspaniałe dziecko, piękne, wrażliwe i madre, a jednak było żywicielem Ducha Chaosu.

„Zostaniesz moim wodzem, Parmenionie?”

Miał ochotę odpowiedzieć: „Tak, mój książę, poprowadzę twoje armie przez świat”.

A jeśli Bóg Mroku zwycięży? Jeśli piękny książę przeobrazi się w księcia

demonów? Co wtedy?

Gniady wałach wspiał się na ostatnie wzgórze przed posiadłością i Parme-

nion ściągnął lejce, zatrzymując konia. Przez chwilę siedział bez ruchu,

patrząc na swoją posesję. Biały kamień wielkiego domu lśnił w promieniach

słońca, a otaczające go gaje drzewek cyprysowych wyglądały jak wartownicy.

Dalej, po lewej stronie, stały mniejsze budynki, w których mieszkali służący

i pracownicy farm, po prawej zaś ciągnęły się stajnie, korral i pastwiska dla

stale rosnącej hodowli rumaków, wykorzystywanych w bojach.

Wódz przysłonił dłonią oczy i przez chwilę z uwagą obserwował okolice Icoł wielkiego domu. Przy fontannie dostrzegł Fedrę z małym Hektorem ramionach. Obok niej siedzieli także Filotas i Nikki. Nagły chłód zmroził Parmenionowi serce. Zawrócił konia na wschód i ruszył na małą równinę. Namierzał ominąć dom szerokim łukiem i skierować się wprost ku stajniom. Motak siedział na sianie. Gładził smukłą szyję klaczy i szeptał jej słowa pociechy. Zwierzę parsknęło, podnosząc się, a Tebańczyk wstał wraz z nią.

— Jeszcze się nie rusza – oświadczył jego pomocnik, żylasty Tesalijczyk imieniem Kroni. Stał przy zadzie i czekał. Miał asystować przy narodzinach źrebięcia.

— Dobra dziewczynka – szepnął Motak. – Będzie cudownie. To przecież nie jest twój pierwszy raz, Larina, będzie dobrze. Urodziłaś już trzy piękne wierzchowce. – Pogładził zwierzę po pysku i szyi, potem czule poklepał je po zadzie. W końcu podszedł do Tesalijczyka. Klacz męczyła się już od wielu godzin i była znużona, niemal skrajnie wyczerpana. Stary Tebańczyk czuł, że narodziny za bardzo się opóźniają.

Większość klaczy źrebiła się szybko, prawie bez problemów. Larina w przeszłości również rodziła szybko. Wszystkie jej źrebaki były silne. Jednak tym razem pokryli ją trackim ogierem Tytanem, ogromną, wysoką na ponad siedemnaście dłoni bestią. Klacz jeszcze raz nerwowo parsknęła i się położyła. Motak odsunął na bok Kroniego i delikatnie wsunął rękę w pochwę klaczy. Wyczuł błonę płodowego worka.

— Bądź ostrożny, panie – szepnął Tesalijczyk. Motak prychnął, potem przeklął mężczyznę, który zachichotał i potrząsnął głową.

— W porządku. Już wychodzi. Czuję jego nogi.

— Tylne czy przednie? – spytał niespokojnie Kroni. Obaj wiedzieli, że jeśli Tebańczyk wyczuł tylne kończyny, źrebak jest prawdopodobnie martwy.

— Tego nie wiem. Jednak na pewno się rusza. Czekaj! Wyczuwam jego głowę. Na Zeusa, ależ jest duża! – Motak cofnął dłoń, po czym wstał i przeciągnął się. Od mniej więcej dwóch lat często sztywniał mu kręgosłup,

a wykrzywione artretyzmem ramiona sprawiały ból. – Przynies trochę tłuszcz-

czu, Kroni. Boję się, że źrebak ją rozerwie.

Tesalijczyk pobiegł do pawilonu magazynowego i wrócił po kilku minutach z balią zwierzęcego tłuszczu, przeważnie używanego do smarowania kopyt, co zapobiegało ich pękaniu. Motak wziął balię i powąchał ją.

— Nie nadaje się – mruknął. – Już zjełczał. Przynies trochę oliwy z oliwek... Byle szybko!

— Tak, panie.

Mężczyzna wrócił z wielkim dzbanem, w którym Tebańczyk zanurzył obie dłonie. Potem nasmarował pochwę klaczy, a także główkę i kopyta źrebięcia. Klacz napięła się jeszcze raz i płodowy worek przesunęło się bliżej wyjścia.

— Właśnie tak, Larina, trzymaj się, moja mała – powiedział Motak. – Próbuje, próbuj.

Obaj mężczyźni zastygli w napięciu obok klaczy. W końcu pojawiła się błona, blada i półprzeźroczysta. Wewnątrz można było dostrzec

przednie nogi
żrebaka.

– Pomóc jej, panie? – spytał Kroni.

– Poczekaj jeszcze. Daj jej czas. Do tej pory zawsze świetnie radziła sobie sama.

Klacz chrząknęła z wysiłku i pojawił się kolejny fragment błony. Po chwili

chlusnęła jasnoczerwona krew i ściekła po błonie na siano. Zwierzę pociło się

coraz mocniej. Zarżało, gdy Motak chwycił za przednie nogi żrebięcia i ła-

godnie pociągnął je ku sobie. Błona powinna się już przerwać i uwolnić głowę

żrebięcia, w przeciwnym razie konik się udusi. Tebańczyk ciągnął lekko,

Kroni tymczasem podszedł do głowy klaczy i cicho przemawiał do niej niskim, kojącym, łagodnym głosem.

Z konwulsyjną prędkością żrebię wypadło i plasnęło na siano. Motak rozerwał błonę przy jego pysku i nozdrzach, po czym wytarł całe jego ciało

sianem. Świeżo narodzony ogier był czarny jak tusz. Do złudzenia przypominał

swego ojca, miał nawet na czole identyczną białą gwiazdkę. Konik podniósł głowę, dygocząc.

– Ho, ho! – triumfował Tesalijczyk. – Masz syna, Larina! Królewski koń! I jaki wielki! W życiu nie widziałem większego żrebaka.

Już po kilku minutach żrebak usiłował wstać i Motak pomógł mu, a potem

poprowadził do klaczy. Larina, chociaż wyczerpana, także się podniosła, i po

paru próbach niepowodzenia młodziak znalazł sutek i zaczął ssać.

Tebańczyk poklepał klacz i wyszedł na słońce. Umył ręce i ramiona w kubek wody. Słońce stało wysoko, więc Motak nałożył filcowy kapelusz,

aby przysłonić wrażliwą skórę łysej głowy.

Był potwornie zmęczony, lecz przepełniało go zadowolenie. Żrebiecie zawsze przypominało mu o związkach z naturą, o życiu.

Podszedł do niego Kroni.

– Straciła mnóstwo krwi, panie. Może nie przeżyć.

Motak spojrział badawczo na małego mężczyznę. Wiedział, że jego troska jest szczerą.

– Zostań z nią. Jeśli po dwóch godzinach nie przestanie krwawić, odszu-

kaj mnie. Zapewne będę na zachodnim pastwisku.

– Tak, panie – odparł Tesalijczyk i popatrzył na wzgórze. – Spójrz, panie, nasz gospodarz wraca do domu.

Stary Tebańczyk podniósł wzrok i zobaczył jeźdźca. Był jeszcze bardzo a leko, lecz Motak rozpoznał konia. Parmenion jechał na drugim ze swoich

lubionych wierzchowców – śmiałym gniadoszu o białym pysku.

Westchnął i potrząsnął głową.

powinieneś najpierw zajechać do domu, drogi wodzu" – pomyślał ze smutkiem.

___ Kolejne zwycięstwo Lwa Macedonii – oświadczył Motak i nalał swemu panu i przyjacielowi puchar wina.

___ Tak – odparł Parmenion, wyciągając szczupłe ciało na tapczanie. – Co u was słychać?

___ Pytasz o konie? Mamy dwadzieścia sześć żrebaków. Ostatni jest naprawdę piękny. Syn Lariny i trackiego rumaka. Calutki czarny, Parmenio-

nie, a jaki wielki! Chciałbyś go zobaczyć?

– Nie teraz, mój przyjacielu. Jestem ogromnie znużony.

Przysadzisty Tebańczyk usiadł naprzeciwko Spartanina, napełnił własny puchar i przez moment w milczeniu sącył jego zawartość.

– Dlaczego nie pojechałeś do domu?
– Pojadę. Chciałem najpierw sprawdzić, co się dzieje na farmie.
– Cały dzień sprzątam końskie łajno – warknął Tebańczyk. – Nie przynos mi brudu do domu.
Wódz poluźnił rzemyki jeździeckich butów i zdjął je.
– Ależ jesteś rozdrażniony, przyjacielu! Chciałem spędzić z tobą trochę czasu, bo dawno się nie widzieliśmy. Cóż cię obchodzi, Motaku, dokąd chodzę? To jest moja ziemia i mogę chodzić, dokąd zechcę. Ależ jestem zmęczony. Może mógłbym u ciebie przenocować? Masz coś przeciwko?
– Wiesz, że nie. Jednak... czeka na ciebie żona i dzieci. A także łóżko...
znacznie bardziej komfortowe niż moje.
– Już dawno odkryłem, że komfort ma więcej wspólnego ze stanem umysłu niż z miękkim łóżem – oświadczył zdecydowanie Spartanin. – Jest mi u ciebie wygodnie. Ale stajesz się ostatnio coraz drażliwszy, Motaku. Co cię gryzie?
– To wiek, mój chłopcze – odparł Tebańczyk, starając się ukryć zły humor. – Jeśli nie chcesz teraz porozmawiać ze mną o swoim życiu, nie naciskam. Spotkamy się wieczorem.
Gdy Tebańczyk wyszedł z domu i ruszył na rozległe wzgórze prowadzące do zachodniego pastwiska, jego gniew jeszcze bardziej wzrósł. Przez ponad trzydzieści lat służył Parmenionowi jako przyjaciel i służący. Podczas ostatnich pięciu lat Spartanin coraz bardziej się od niego oddalał. Robił się coraz bardziej skryty. Motak ostrzegał swego pana przed małżeństwem z Fedrą. Ta siedemnastolatka była zbyt młoda nawet dla wiecznie młodego strategosa i miała w sobie jakąś oziębłość, która wręcz promieniowała z jej oczu. Przypomniał sobie ze smutkiem i tęsknotą tebańską kochankę Parmeniona – była nierządnicę, Tetydę. Cóż to była za kobieta! Silna, pewna siebie, kochająca.
Niestety, podobnie jak ukochana Motaka, Elea, Tetyda nie żyła. Zatrzymał się na szczycie wzgórza i zapatrzył się na pracowników uprawiających łajno z pierwszego pastwiska. Zadanie to było istną katorgą dla jego Tesalijczyków, jednak pomagało wytępić robactwo stanowiące utrapienie dla koni, które zjadały larwy robaków wraz z trawą. Robaki rosły w żołądku, tam składały jajka, które trafiały do końskich odchodów. Bez pomocy ludzi po pewnym czasie wszystkie pastwiska byłyby skalane robactwem, co z kolei spowodowałoby zahamowanie wzrostu lub nawet śmiertelną epidemię wśród źrebaków. Motak dowiedział się tego wszystkiego dwa lata temu od perskiego handlarza koni i od tej pory codziennie nakazywał ludziom czyścić pastwiska.
Na początku trudno było skłonić Tesalijczyków do pracy. Byli znakomitymi jeźdźcami i niechętnie wykonywali robotę tradycyjnie przeznaczoną dla służących. Kiedy wszakże plaga robactwa wyraźnie osłabła, a młode konie rosły silniejsze, Tesalijczycy zaczęli coraz bardziej dbać o czystość. Co

dziwne, popularność Motaka wśród nich wzrosła. Początkowo nie mieli ochoty pracować dla człowieka, który rzadko dosiadał konia, a gdy już to czynił, bynajmniej nie wykazywał zbytniego talentu do jeździectwa tak wy- soko cenionego przez przedstawicieli tej nacji. Jednakże talenty Tebańczyka tkwiły w czymś innym – był doskonałym hodowcą i trenerem młodych koni, potrafił też leczyć rany i choroby zwierząt. Dzięki tym zdolnościom jeźdźcy zaczęli go szanować. Z uśmiechem znosili nawet jego częste humory. Motak poszedł dalej, aż dotarł na pole treningowe, gdzie młode wierzchowce uczyły się reagować na subtelne sygnały jeźdźców. Skręcały w lewo i w prawo, pędziły do ataku, zmieniały krok i gwałtownie zatrzymywały się w cwale, dając sposobność swemu panu na wypuszczenie strzały. Tesalijscy jeźdźcy wprost kochali tę pracę. Wieczorami zasiadali wokół obozowych ognisk i bez końca omawiali zalety każdego konia. Często dyskutowali do późnej nocy. Gdy Tebańczyk wkroczył na pole, trening akurat się kończył. Młodziutki Orsin skakał na dwuletniej czarnej klaczy. Motak oparł się o słupek płotu i obserwował go. Orsin posiadał rzadki talent, nawet wśród Tesalijszczyków, i niemal płynął na zwierzęciu, gdy przeskakiwał przeszkodę, a po każdej z łatwością skręcał ku następnej. Na widok Tebańczyka zamachał ręką i ze- skoczył z klaczy.

– Witaj, panie! – zawołał. – Chciałbyś się przejechać?
– Nie dziś, chłopcze. Jak się miewasz?
Młodzik podbiegł do płotu i wspiał się. Na ziemi chłopiec był niezgrabny, niemal niezdarny.

– Sześć koni czeka kastracja, panie. Są zbyt narowiste.
zTR

___ Podaj Kroniemu ich imiona. Kiedy przygotujecie nowe pastwisko?
– Jutro. Kroni mówił, że podobno nasz pan wrócił do domu. Jak sprawował się w bitwie jego wierzchowiec?
___ Nie miałem czasu, by go o to spytać. Ale zrobię to przy najbliższej okazji- Za parę dni odwiedzi nas pewien perski kupiec. Szuka pięciu wierzchowców... najlepszych, jakie mamy. Przyjedzie do mnie do domu, ale nie wątpię, że wcześniej zapragnie obejrzeć konie. Uważaj na niego. Wolałbym, żeby nie zobaczył naszych nowych trackich nabytków. Zabierz ogiery na górską polanę.

___ Oczywiście, panie. A co mam zrobić z Tytanem? Chętnie bym się go pozbył.
___ Tytan zostaje – odparł twardo Motak. – Wódz Parmenion go lubi.
– Diabeł wcielony z tego konia. Sądzę, że kiedyś zabije swego jeźdźca.
– Nasz pan ma sposoby na konie.
– Tak?! A j jakie? Chciałbym go zobaczyć na Tytanie. Jak nic w mgnieniu oka znalazłby się na ziemi.
– Może i tak – zgodził się Tebańczyk – chociaż na twoim miejscu nie

zakładałbym się o to. Teraz skończ oporządzać swego rumaka... I pamiętaj, co ci mówiłem o Persie. Parmenion po raz pierwszy od miesiący był lekko pijany i spokojny. Przez szerokie, wychodzące na północ otwarte drzwi do andronitisu wpadał łagodny wietrzyk, który poruszał draperiami i przyjemnie chłodził pomieszczenie. Pokój nie był szczególnie duży, mieścił zaledwie trzy tapczany, jego ściany zaś pozbawione były jakichkolwiek ornamentów czy malowideł. Motak lubił proste życie i rzadko się bawił, a jednak jego dom wypełniało swoiste ciepło, za którym Parmenion tęsknił, ilekroć opuszczał posiadłość.

– Jesteś szczęśliwy? – spytał nagle przyjaciela Spartanin.
– Pytasz mnie czy siebie? – odparował kpiąco Tebańczyk.
– Na bogów, dowcipu przybywa ci chyba z wiekiem. Jasne, że mówimy o tobie. Na razie jeszcze nie gadam do siebie.
– Cóż, jestem wystarczająco szczęśliwy. Tak wygląda życie, Parmenionie. Obserwuję, jak rosną rośliny i zwierzęta... Jęczmień i inne zboża, konie i bydło. Stałem się częścią tej ziemi. Tak, rzeczywiście jestem zadowolony. Wódz skinął głową, zachowując powagę.

– Cieszę się, ale czy na pewno jesteś ze mną szczery? – Wyszczerył zęby i nagle usiadł prosto. – Nie tęsknisz już za Persją i pałacem?
– Nie. Tu jest mój dom. – Tebańczyk pochylił się do przodu i ścisnął ramię swego towarzysza. – Jesteśmy przyjaciółmi od niepamiętnych czasów, parmenionie. Naprawdę nie możesz mi powiedzieć, co cię trapi? Spartanin dobrotliwie poklepał Motaka po ramieniu.

– Wybacz, ale nie mogę. Właśnie dlatego, że jesteśmy przyjaciółmi. Pięć lat temu miałem raka mózgu. Zaleczył się... Lecz teraz moje serce toczy inny rodzaj nowotworu... Nie, nie jest prawdziwy, mój drogi, nie obawiaj się – dodał szybko, gdyż dostrzegł niepokój w oczach starego Tebańczyka. – Nie osmielałem się mówić o tym nawet tobie, ponieważ... nie chcę obarczać cię moim brzemieniem. Zaufaj mi w tej sprawie, Motaku. Jesteś moim najdroższym przyjacielem i bez wahania oddałbym za ciebie życie. Nie proszę mnie wszakże o wyznanie. Nie dziel ze mną mojego smutku. Tebańczyk nie odzywał się przez długą chwilę, później ponownie napełnił oba puchary.

– W takim razie napijmy się i pogadajmy o głupstwach – zaproponował z wymuszonym uśmiechem.
– Jakoś nie mam nastroju. Co masz w planach na jutro?
– Zabieram nad jezioro dwa kulawe konie. Pływanie wzmacnia ich mięśnie. Potem będę handlował końmi z Persem imieniem Parzalamis.
– Zatem spotkamy się w południe – orzekł Spartanin.

Wyszli w noc. Motak dostrzegł latarnię płonącą w stajni dla źrebiąt. Cicho przeklinając, wszedł do budynku. Parmenion podążył za nim. Wewnątrz Kroni, Orsin i trzech innych Tesalijczyków siedziało w milczeniu wokół znieruchomiałej Lariny. Kary źrebak leżał obok swojej martwej matki.

– Dlaczego mnie nie wezwaliście?! – zagrmiał Motak.

Kroni wstał i skłonił się nisko.

– Ponieważ krwawienie ustało, panie. Klacz upadła zaledwie przed chwilą.

– Musicie natychmiast zdobyć dla żrebaka inną mleczną matkę.

– Terjas poszedł po jakąś, panie – odparł Orsin.

Motak minął ciemnowłosego młodzieńca, ukląkł przy klaczy i położył swą

ogromną rękę na jej szyi.

– Byłaś wspaniałą matką, Larino. Najlepszą – oświadczył ze smutkiem.

Kroni podszedł do niego ukradkiem.

– Oto przekleństwo Tytana – rzucił. – Jest demoniczną bestią, a jego syn wrodził się w niego.

– Nonsens! – zawołał Parmenion surowo. – Przygotujcie mi na jutro Tytana. Ujeżdżę go.

– Oczywiście, panie – odparł Kroni, nie kryjąc smutku. – Stanie się, jak rzekłeś.

Spartanin odwrócił się na pięcie i wyszedł ze stajni. Motak dogonił go

i chwycił za ramię.

– Niepotrzebnie się tak uniosłeś – szepnął. – Tesalijczycy znają się na

koniach. Ten ogier naprawdę jest szalony. Nie bądź wariatem, nie dosia-

daj go.

___ Zrobię, co powiedziałem – odburknął wódz. – Nie spotkałem jeszcze konia, który by mi się oparł.

___ . Mam nadzieję, że powtórzysz to zdanie jutro – mruknął oschle Motak.

W wielkim domu zalegała kompletna cisza, tymczasem Parmenion przejechał cyprysowy gaj i dotarł do głównych drzwi. W żadnym oknie nie dostrzegł światła, a jednak gdy zatrzymał konia, natychmiast zjawił się

służący Peris i wziął od niego lejce wałacha.

Spartanin zeskoczył na ziemię.

___ Dobrze cię widzieć, Pensie. Czyżby nic nie umykało twojej uwadze? ___ spytał z uśmiechem.

Służący skłonił się.

– Zobaczyłem cię już dziś po południu, panie. Na wzgórzu... Od tej pory

czekam na ciebie. W andronitisie stoi zimne mięso, ser i parę granatów. Eissa

upiekła dziś także ciastka. Przyniosę ci trochę, jeśli sobie życzysz.

– Dziękuję. Jak twoje ramię?

Peris zerknął na kikut prawej ręki.

– Ma się dobrze, panie. Teraz czuję już tylko niewielki ból, który wydaje

się pochodzić z palców... Jakby nadal tkwiły na swoim miejscu. Ale tak jak

przewidziałeś, coraz zręczniejszym używam lewej ręki.

Parmenion poklepał mężczyznę po ramieniu.

– Brakowało mi ciebie na Krokusowym Polu. Czułem się tak, jakbym zapomniał nałożyć zbroi.

Służący pokiwał głową. Ciemne oczy błyszczały mu w świetle księżyca niczym węgle.

– Chciałem tam być, panie. – Nagle uśmiechnął się i spojrzał na swój rosnący brzuch. – Jednakże nawet gdybym miał sprawne obie ręce, obawiam

się, że żaden koń już mnie nie uniesie.

– Tak, tak, zbyt wiele miodowych ciasteczek Eissy – ocenił rubasznie Spartanin. – Dzięki, że na mnie poczekałeś.

– Wciąż jestem twym wiernym druhem, panie – bąknął Peris, chyląc czoło. Jego pulchna twarz aż pokraśniała z zadowolenia.

Parmenion wszedł do domu. Na tyłach andronitisu płonęły dwie latarnie,

otoczywszy pomieszczenie słabą łuną. Ogromny pokój w kształcie litery „L”

chełpił się dwudziestoma tapczanami i trzydziestoma krzesłami. Kiedy wódz

przyjmował gości, w andronitisie było jasno jak w dzień, teraz jednak latarnie

jarzyły się jedynie w alkwie przy wielkim wejściu do zachodnich ogrodów.

Spartanin wyszedł na patio i wciągnął zapach rosnącego przy ścianie kapry-

folium. W domu panowała zupełna cisza. Tylko w takich chwilach jak ta Parmenion znajdował przyjemność z pobytu w nim.

Myśl ta mocno go przygnębiła.

Usłyszał za sobajakiś ruch i odwrócił się z nadzieją, że zobaczy kalekiego

Perisa.

– Witaj w domu, mężu – odezwała się chłodno Fedra. Skłonił się sztywno. Jego żona ubrała szatę z połyskliwego materiału w kolorze błękitu.

Suknia ściśle przylegała do jej szczupłej figury. Kobieta szesała złote włosy

w tył i związała srebrnym drucikiem w koński ogon, który sięgał aż do wa-

kiej talii. Parmenion zajrzał w zimne niebieskie oczy i jeszcze bardziej ze-

sztywniał.

– Nie zostanę długo, pani – odparł krótko.

– Mniemam wszakże, że dostatecznie długo, aby zobaczyć swego syna.

– Synów – poprawił ją.

– Dla mnie istnieje tylko jeden – rzuciła z pozbawioną wyrazu twarzą.

– Filotas, który będzie wielki. Będzie największym z ludzi.

– Nie mów tak! – syknął. – To bzdurne mrzonki twojego umysłu!

Nadal nie możesz pojąć, że mówisz nonsensy?

Roześmiała się pogardliwie, wódz niemal fizycznie poczuł tchnienie lo-

dowatego wiatru.

– Straciłam moc, gdy się tobie oddałam, strategosie, nigdy wszakże nie

zapomnę wizji, która nawiedziła mnie, gdy po raz pierwszy mnie dotknąłeś.

Twój pierworodny będzie rządził światem. To pewne. A jest nim

Filotas.

Parmenion poczuł, jak pierzchną mu usta.

– Jesteś głupia, kobieto – rzekł w końcu. – Raz głupia, że w to wierzysz, i podwójnie głupia, że mówisz o tym głośno. Pomyśl tylko.

Jeśli

Filip lub Olimpias usłyszą o twojej wizji, czyż nie będą się starali zabić

chłopca?

Oblicze Fedry straszliwie pobladło.

– W jaki sposób mieliby o tym usłyszeć? – szepnęła.

– A kto teraz cię słucha? – spytał. – Skąd wiesz, który ze służących chodzi po ogrodzie albo siedzi gdzieś tu niedaleko?

– Nie mówisz serio, chcesz mnie tylko przerazić, prawda?

– Rzeczywiście, kobieto. Ponieważ kiedy się dowiedzą, zabiją nie tylko

dziecko, ale i jego matkę, braci, ojca, całą rodzinę... Zresztą, któż by ich za

to winił?

– Będiesz go chronił. Jesteś Lwem Macedonii, najpotężniejszym człowiekiem w królestwie – oznajmiła głośno.

– Idź już do łóżka, Fedro – odparł znużonym głosem.

– Przyłączysz się do mnie, mężu?

Zamierzał odmówić, ale widok jej młodego ciała zawsze go podniecał.

– Tak, tak. Wkrótce. – Uśmiechnęła się triumfalnie, on zaś odwrócił się od niej, nasłuchując oddalających się kroków, gdy opuszczała pomieszczenie. Przez jakiś czas siedział w milczeniu. Serce ciążyło mu niczym kamień... Potem wstał i poszedł do górnej sypialni, gdzie spały dzieci. Hektor leżał na boku w łóżeczku i ssał maleńki kciuk. Nikki –jak zwykle – położył się do łóżka Filotasa. Spali spleceni ramionami. Spartanin przyjrzał się swemu najstarszemu synowi. Na kogo ona cię wychowuje? – zastanowił się głośno. Od lat zdawał sobie sprawę, że Fedra nim pogardza. Cierpiał z tego powodu, choć największy ból tkwił w łączącym ich kłamstwie. Jego żona była niegdyś wieszczką i w wizji ujrziała wspaniałą przyszłość. Niestety, niewłaściwie ją zinterpretowała. Parmenion nie mógł jej wyjaśnić pomyłki, nie mógł nawet odsunąć tej kobiety od siebie. Wolał nie ryzykować, potencjalna zemsta Fedry groziła bowiem nieobliczalnymi szkodami. Była kiedyś najbliższą przyjaciółką Olimpias, która wiedziała o magicznej mocy jej dziewczectwa. Gdyby poszła do królowej i opowiedziała jej o swojej wizji... Wódz poczuł rosnącą panikę. Nie, nie, nie, za wszelką cenę musiał dotrzymać tajemnicy. Najprościej byłoby zabić Fedrę, lecz tego nie chciał ani nie mógł zrobić. – Och, Filotasie – szepnął Spartanin, gładząc synka po głowie – mam nadzieję, że będziesz wystarczająco silny, by przeciwstawić się ambicjom twojej matki. – Chłopiec poruszył się i westchnął we śnie. Parmenion opuścił pokój dziecinny i ruszył zaspokoić swe pożądanie z kobietą, którą gardził. Obudził się godzinę przed świtem. W milczeniu wstał z wielkiego łóżka i starając się nie zbudzić Fedry, przeszedł po niedbale rozrzuconych dywanach, które pokrywały podłogę z drewnianych desek. We własnym pokoju oblał się zimną wodą, potem wtarł oliwę w skórę ramion i piersi, a następnie nożem z kości słoniowej zdrapał brud z ciała. Włożył prostą tunikę i zszedł do ogrodu. Ptaki ciągle jeszcze spały w koronach drzew, toteż żaden dźwięk nie niepokoił spokojnego piękna przedsiwtu. Niebo było ciemnoszare, zasnułe pasmami chmur, choć na wschodzie już jaśniało, gdyż zbliżał się Apollo wraz ze swym ognistym rydwanem. Parmenion odetchnął głęboko, wypełniając płuca ożywczym powietrzem, potem łagodnie rozciągnął mięśnie ud, pachwin i łydek. Ogrodowa furka stała otworem, więc Spartanin wybiegł na poranną przebieżkę. Muskulary nadal miał zesztyniałe i łydki zaczęły mu płonąć na długo, zanim dotarł na wierzchołek pierwszego wzgórza. Podczas miesięcy fokejskiej kampanii nie miał okazji biegać, więc teraz jego ciało gorzko się skarżyło. Zignorował złe samopoczucie i zwiększył tempo. I tak przebiegał milę za milą, a pot skrzył się na jego twarzy.

Nigdy nie pojął cudu swego wyzdrowienia, a szczególnie odmłodnienia jędrnej skóry, sprężystych mięśni i młodzieńczej energii, która ponownie wypełniła jego ciało. Prawdę mówiąc, po jakimś czasie przestał się nad tym zastanawiać i po prostu cieszył się skutkami magicznego cofnięcia biologicznego zegara. W trakcie całego swojego życia nie znalazł niczego tak odprężającego jak bieganie. Prawdziwa przyjemność. Podczas biegu osiągał równowagę między ciałem a duchem, uwalniał się od trosk i zakazów, oczyszczał umysł. Kiedy biegł, jego mózg pozbywał się wszelkich zbędnych myśli, a jeśli skupił się na konkretnych problemach, znajdował rozwiązania z łatwością, która stale go zaskakiwała. Dzisiaj zastanawiał się nad trackim rumakiem Tytanem. Wydał na niego mnóstwo pieniędzy, chociaż –jak na perskie standardy – zwierzę było dość tanie. Rodowód miało zupełnie niewiarygodny. Wierzchowca spłodził najwspanialszy ogier w całej Persji, a urodziła go najszybsza klacz, jaka kiedykolwiek wygrała olimpiadę. Dwóch braci Tytana sprzedano za bajońskie sumy, jego samego zaś Parmenion nabył zaledwie za dwa tysiące drachm. Od dnia przybycia rumak zabił dwa inne konie i okaleczył jednego z opiekunów. Dlatego teraz trzymali go z dala od głównego stada, na pastwisku otoczonym płotem wysokości rosłego mężczyzny. Spartanin wiedział, przechwalanie się swymi umiejętnościami jeździeckimi było zbyt pochopne, jednak wszystkie inne metody okazały się nieskuteczne. Tesalijczycy nie uznawali łamania końskiego ducha na sposób tracki, który polegał na obładowaniu konia ciężarami i wielogodzinnym przeganiu go aż do skrajnego wyczerpania. Dopiero gdy zwierzę było na granicy śmierci, dosiadał go jeździec. Dla Tesalijczyków niezwykle ważna była więź między wierzchowcem a człowiekiem. Zwłaszcza koniowi bojowemu więź ta była wprost niezbędna. Jeśli rumak ufał jeźdźcowi, chętnie pozwalał się osiąść i nigdy nie zawodził. Z Tytanem było inaczej. Zranił trzech trenerów – pogryzł ich albo kopytami połamał im kończyny. Natomiast przy ostatniej próbie zrzucił, a następnie stratował młodego Tesalijczyka, łamiąc mu nogi i kręgosłup. Chłopak przeżył, lecz nie odzyskał czucia poniżej pasa i w koszarach leżał przykuty do łóżka. Według Berniosa, jego dni były policzone. Parmenion biegł susami wzdłuż linii wzgórz, koncentrując się na czekającym go zadaniu. Tesalijczycy wierzyli, że Tytan jest opętany przez demona. Jednak Parmenion wątpił w to. Dziki, owszem. Nieoswojony, oczywiście. Narowisty, jak najbardziej. Ale opętany? Jaką korzyść miałby demon z uwięzienia w ciele spędzającego życie na pastwisku konia? Nie, to bzdura. Na pewno istniało prostsze i trafniejsze wyjaśnienie... Tyle że

Spartanin po prostu jeszcze go nie odkrył. Biegł, póki świt nie zabarwił nieba szkarłatem, a wtedy zatrzymał się i przez chwilę podziwiał krótkotrwałe piękno diamentowych gwiazd lśniących na błękitnym niebie. Gwiazdy bledły powoli, aż w końcu została już tylko Gwiazda Północna – maleńka, ale wyzywająca wobec wschodzącego słońca. Potem i ona zniknęła. Na wzgórzu powiał chłodny wietrzyk. Wódz zadrżał, gdy podmuch sma- gał jego obficie zroszone potem ciało. Zmrużył oczy i obrzucił spojrzeniem swoje włości. Miał przed sobą setki mil Równiny Emackiej. Łąki, lasy, pagórki i strumienie. Całej posiadłości nie sposób było ogarnąć wzrokiem z jednego miejsca, chociaż z tego szczytu widać było siedem wybiegów, na których pasły się stada Parmeniona. Koni było sześćset. Za linią wschodnich wzgórz znajdowały się pastwiska bydła i kóz. Tam też rozpościerało się pięć wiosek, dwa miasta i zagajnik, z którego pochodziło wspaniałe drewno, tak cenione przez budowniczych statków z Rodos i Krety. – Jestem teraz prawdziwym panem – oświadczył głośno i przypomniał sobie dni ubóstwa z okresu spartańskiego. Wówczas nosił wyświechtaną tunikę i cienkie jak pergamin sandały. Odwrócił się i popatrzył na wielki dom o wysokich kolumnach. Mieściło się w nim dwadzieścia obszernych apartamentów gościnnych. Z góry wódz widział też liczne posagi zdobiące ogrody krajobrazowe i dziesiątki mniej- szych budynków, w których mieszkali niewolnicy i służący. „Człowiek posiadający tak wiele dóbr powinien być szczęśliwy” – westchnął w duchu Parmenion, lecz jego serce ogarniał smutek. Ponownie ruszył do biegu, pędząc ku stajniom i pastwiskom. Przechesywał wzrokiem wzgórze i w końcu wyłowił gigantyczną sylwetkę Tytana. Koń kłusował samotnie na jednym z pastwisk, lecz nagle zatrzymał się i zapatrzył na swego pana. Od piorunującego spojrzenia rumaka Parmenionowi aż zahu- czało w głowie. Wybieg wierzchowca nie był specjalnie duży, jakieś osiemset kroków długości i pięćdziesiąt szerokości; od pozostałych oddzielony był wysokim, solidnym parkanem z grubych desek. Żaden koń nie był w stanie przeskoczyć takiej przeszkody. A jednak kiedy Tytan ruszył ku Spartaninowi cwałem, ten mimowolnie ze strachu uskoczył w prawo, oddalając się od płotu. Chwila słabości jeszcze bardziej go rozwścieczyła i podsyciła determinację pokonania giganta. Przy odległej bramie dostrzegł Motaka. Tebańczyk rozmawiał ze szczup- łym Kronim i młodziutkim Orsinem. Ponad dwudziestu Tesalijczyków zebra- ło się już w oczekiwaniu na pojedynek ich pana z Tytanem. Jeden z gapiów wdrapał się na ogrodzenie, lecz gdy dziki rumak przebiegł galopem przez pastwisko i stanął przed nim dęba, mężczyzna pospiesznie zeskoczył, wywo- łując salwy śmiechu wśród towarzyszy.

– Dzisiejszy dzień niezbyt sprzyja ujeżdżaniu – oznajmił z troską Motak. – W nocy padał deszcz i teren mocno rozmiękł. Spartanin uśmiechnął się. Stary sługa świadomie podsuwał mu wiarygodny pretekst do wycofania się.

– Ledwie pokropiło – odparł wódz. – Daj spokój, zacznijmy już. Który z was, moi dzielni towarzysze, zwiąże zwierzę? Tebańczyk potrząsnął głową, wyraźnie zaniepokojony.

– No dobrze, chłopcy, pokażcie swemu panu, skąd się bierze legenda o słynnej tesalijskiej zręczności!

Kilku mężczyzn podniosło długie, zwinięte liny. Rozbawienie zniknęło ze wszystkich twarzy. Ludzie spoważnieli, zacisnęli usta, w ich oczach pojawiły się srogie błyski. Dwóch Tesalijczyków podbiegło w prawą stronę. Trzymając się blisko płotu, machali zwojami i wołali Tytana. Rumak zaszarżował na nich. Słupki płotu aż zagrzechotały, gdy uderzył w nie kopytami. Z lewej Orsin i Kroni, niezauważeni przez rozwścieczoną bestię, wskoczyli na pastwisko i pogonili za czarnym wierzchowcem. Nagle bestia odwróciła się i ruszyła na Orsina. Lina Kroniego poszybowała w stronę konia i spadła na jego wielką głowę, po czym zacisnęła się na szyi, gdy zwierzę stanęło dęba i próbowało stratować młodzika. Tytan natychmiast poczuł, że lina wpija mu się w szyję, a wówczas zwrócił się ku Kroniemu. Zamierzał go zaatakować. Tym razem Orsin rzucił lasso na głowę rumaka, a kiedy opadło na szyję, zacisnął je mocno.

W tym momencie pozostali Tesalijczycy pokonali płot i ruszyli gotowi do pomocy, jednakże ogier stał zupełnie nieruchomo. Jego ogromne ciało drżało. Bestia powoli obróciła wielką głowę i jej wrogie spojrzenie skupiło się na Parmenionie, kiedy zeskoczył na pastwisko.

„Ten koń wie – pomyślał Spartanin i poczuł nagły lęk. – Czeka na mnie!

Ruszył do rumaka, ani na chwilę nie odrywając wzroku od jego oczu. W końcu stanął przy głowie zwierzęcia. Ostrożnie wyciągnął rękę i chwycił linę, po czym poluznił ją i zdjął.

– Spokojnie, mały – szepnął. – Nie zrobię ci krzywdy. Spokojnie, mały.

Wierzchowiec nadal stał bez ruchu niczym czarny posąg. Parmenion włożył dłonie pod drugą linę, przesunął ją wzdłuż szyi, przełożył ponad uszami w dół po chrapach. Przez cały czas narażony był na ugryzienia, które mogły pozbawić go palców.

Na szczęście koń nie ugryzł. Gładząc drżące boki zwierzęcia, stłtego chwycił się czarnej grzywy i gładko wskoczył na jego grzbiet.

Tytan stanął na tylnych nogach, usiłując zrzucić jeźdźca, lecz ten przycisnął nogi do końskich boków, utrzymując równowagę. Rumak skoczył wysoko w powietrze, po czym z miażdżącą siłą opadł na cztery kopyta i spuścił głowę.

Parmenion przesunął się do przodu. Potem wierzchowiec kilkakrotnie bryk-

nał, lecz Spartanin był przygotowany na ten manewr, więc odchylił się w tył, cały czas trzymając się na grzbiecie. Czarny rumak gwałtownie ruszył galopem, lecz nagle odwrócił się i spójrzał na jeźdźca. Wyraźnie z coraz większą desperacją usiłował rzucić, a później zdeptać swego dręczyciela. Wódz zeskokczył na ziemię, kiedy koń się obracał, umknął przed wierzgającymi kopytami atakującego zwierzęcia, no czym znowu wskoczył na jego grzbiet. Tesalijczycy nagrodzili jego ekwi-librystyczny manewr oklaskami. Gigantyczny wierzchowiec rozpoczął galop po pastwisku. Przyspieszał, zwalniał, skręcał, skakał, zatrzymywał się i stawał dęba. Wszystko na nic – nie potrafił zrzucić ze swego grzbietu znienawidzonego człowieka. W końcu zaszarżował ku płotowi. Tego ruchu Spartanin się nie spodziewał, ale w ostatniej chwili instynktownie rozpoznał intencje konia. Bestia zamierzała pogalopować ku deskom, następnie gwałtownie obrócić się w bok i trzasnąć w płot, gruchocząc jeźdźcowi kości. Parmenion na zawsze pozostałby kaleką. Mógł zrobić tylko jedno – zeskokczyć, choć wówczas wierzchowiec zapewne zaatakuje go kopytami. Młody Orsin zauważył niebezpieczeństwo. Przeskokczył przez płot i wpadł na wygon, krzycząc z całych sił i machając nad głową zwiniętą liną. Posunięcie to najwyraźniej zaskoczyło rumaka, który ruszył naprzód, szaleńczo pędząc ku zbitemu z desek parkanowi... „Na słodkiego Zeusa, zabije nas obu” – pomyślał Spartanin. W ostatnim momencie wszakże sprężył mięśnie i skoczył wysoko w powietrze. Z łatwos'cią pokonał płot i pogalopował na wzgórza. Pasące się tam konie rozpiezchły się w panice. Parmenion nigdy dotąd nie zaznał takiej szybkości. Wiatr huczał mu w uszach, uciekająca zaś spod kopyt ziemia zmieszała się z zielenią pastwiska. – Zawróć, mój piękny! – zawołał. – Zawróć i pokaż mi swoją siłę. – Wierzchowiec jakby go zrozumiał i pognał z powrotem w stronę pastwiska. Motak i Kroni otworzyli bramę, jednak przewrotna bestia ponownie zboczyła z drogi, galopując wprost w kierunku najwyższego punktu płotu. „Słodka Hero, bądź ze mną!” – modlił się Spartanin. W tym miejscu płot sięgał prawie siedmiu stóp. Rumak zwolnił, wybił się z wielką siłą i skoczył. Tylne kopyta załaskotały o drewno. Kiedy wylądował, strategos przełożył prawą nogę na lewą stronę i zeskokczył na ziemię. Rumak błyskawicznie zwrócił się ku niemu. Stał na tylnych nogach i wierzgął przednimi. Wódz przeturlał się, po czym wstał, przebiegł kilka stóp i zanurkował między sztachety płotu. Wylądował głową w zagonie zdeptanej ziemi. Tesalijczycy wybuchnęli śmiechem, gdy Parmenion chwiał-

nie się podniósł.

– Sądzę – oświadczył wesoło – że damy mu teraz trochę odetchnąć. Och, cóż z niego za koń!

– Uważaj! – zawołał Kroni. Tytan zaszarżował ponownie na płot, skacząc nań bez rozbiegu. Spartanin odskoczył na bok, lecz wierzchowiec obrócił się w jego stronę. Wyraźnie go szukał. Nagle Kroni ruszył ku niemu

z liną. Rumak dojrzał go, skręcił, po czym trzasnął w niego potężnym barkiem

i zwalił niewielkiej postury mężczyznę z nóg. Parmenion ponownie przesko-

czył parkan, ale zanim zdążył ruszyć z pomocą, bestia stanęła nad Tesalijszym kopytem i uderzyła go przednimi kopytami, roztrzaskując Kroniemu czas-

kę, a głowę zmieniając w obrzydliwy rozprysk krwi i kawałków mózgu. Wprawdzie Orsin zdołał zarzucić koniowi linę na szyję, jednak rozszalałe

zwierzę jeszcze dwukrotnie skoczyło kopytami na zwłoki. Gdy zaś poczuło

zaciskającą się na szyi pętlę, szarpnęło mocno, zwalając Orsina z nóg. Zigno-

rowało chłopaka i popędziło ku Parmenionowi. Spartanin odbiegł na lewo, ale

Tytan – jakby przewidując ruch człowieka – zaszarżował w tamtą stronę. Obrzygane krwią kopyta opadły z ogromną siłą. Na szczęście, wódz zdołał

umknąć, tym razem na prawo, dotykając plecami słupka płotu. Bestia przy-

gotowała się do ostatecznego ataku...

Szyja rumaka niespodziewanie wygięła się w łuk, w jego karku bowiem utkwiała strzała.

– Nie! – wrzasnął Parmenion. – Nie! – Niestety, po sekundzie druga strzała wbiła się głęboko w bok Tytana, docierając prawdopodobnie aż do

serca. Wierzchowiec opadł na kolana, po czym przewrócił się na bok. Spartanin wstał niepewnie i spojrzał na martwego kolosa. Później obrócił

się, szukając łucznika. Natychmiast dostrzegł Motaka stojącego na szczycie

parkanu i trzymającego w dłoniach łuk.

– To był demon – oświadczył spokojnie. – Bez dwóch zdań demon.

– Dałbym radę go oswoić – odparł Parmenion pełnym wściekłości głosem.

– Albo byś zginał, panie – wtrącił młody Orsin. – I byłbyś równie martwy jak mój wuj Kroni. Przecież, na wszystkich bogów, przejechałeś się

na nim. Wspaniale go dosiadałeś.

– Już nigdy nie będzie takiego konia – szepnął Spartanin.

– Jest po nim żrebak – przypomniał mu Orsin. – Będzie wspanialszy od swego ojca.

Jakiś ruch przy martwym oku wierzchowca przyciągnął uwagę wodza.

Spod powieki wypełzły białe larwy i ześlizgnęły się po końskim pysku niczym

ohydne łyzy.

– Tak właśnie wyglądają wasze demony – mruknął strategos. – Ro-

baki zalęgły się w mózgu tego giganta. Na bogów, z pewnością doprowadzały

go do szaleństwa!

Tesalijszczyki wszakże odeszli już zbyt daleko, by go usłyszeć.

Zgromadzili

się wokół zwłok swego przyjaciela Kroniego. Po chwili dźwignęli je i ponieśli

ku głównemu budynkowi.

Śmierć wspaniałego ogiera niezmiernie zasmuciła Parmeniona. Nigdy jeszcze nie widział konia czystszej krwi ani wierzchowca o tak nieugiętym

duchu. W dodatku zabicie Tytana skierowało jego myśli na chłopca imieniem

Aleksander.

Kolejna piękna istota opętana przez zło. Inteligentne, może nawet genialne

dziecko, a jednak przekłete. Spartanina nawiedziła nagle przerażająca wizja:

chłopiec leży martwy, a tłuste, blade larwy wypełzają z jego zgasłych oczu.

Odpuściwszy koszmarny obraz z myśli, strategos dołączył do mężczyzn dogladających stadniny. Przez jakiś czas pomagał im wiązać młode, nie ujeżdżone jeszcze konie.

Około południa powędrował nad jezioro, gdzie Motak ćwiczył chore i ranne zwierzęta. Robotnicy zbudowali mu splawną tratwę z desek, która

zakotwiczyła na środku jeziora, w odległości od brzegu strzału z łuku.

Tebańczyk siedział na niej, natomiast konia na linie wprowadzano do wody,

potem płynął za łodzią, aż dotarł do tratwy. Gdy się na niej znalazł, pomocnicy

Motaka rzucali mu linę, a on sam zachęcał zwierzę do opływania tratwy.

Ćwiczenie wzmagało siłę i wytrzymałość, nie nadwężając przy tym uszko-

dzonych mięśni czy ścięgien.

Stary Tebańczyk, przykrywszy łąsą głowę ogromnym filcowym kapeluszem, chodził po obwodzie tratwy, prowadząc trening gniadej klaczy, która

parskała nerwowo w wodzie.

Zdjawszy tunikę, Parmenion wszedł do zimnej wody i powoli popłynął ku tratwie, długo, leniwie uderzając ramionami o wodę. Chłód jeziora wydał mu

się odświeżający, choć jego umysł nadal przepełniały straszliwe obrazy. Nie

mógł się uwolnić od widoku larw wypełzających z oczu. Piękno i rozkład

śmierci...

W końcu wciągnął się na pokład tratwy i z lubością wystawił nagie ciało

na zbawienne działanie promieni słonecznych. Chłodny wiatr smagał jego

mokre ciało. Motak wezwał łódź i rzucił linę wioślarzowi.

– Wystarczy na dzisiaj – oświadczył. Wioślarz skinął głową i skierował

klacz na suchy ład. Służący usiadł obok swego pana i zaoferował mu dzban

z wodą.

– Ten stary kapelusz wygląda przekomicznie – zauważył wódz.

Tebańczyk uśmiechnął się i zdjął z głowy filcowe nakrycie.

– Ale jest wygodny – odparł, ścierając pot z krawędzi kapelusza i ponownie przykrywając łąsą czaszkę.

Parmenion westchnął.

– Bardzo boleję nad jego śmiercią – zauważył.

– Mówisz o koniu czy o człowieku? – odburknął oschle służący.

Spartanin uśmiechnął się ze smutkiem.

– O koniu. Chociaż masz rację... Powinienem był najpierw pomyśleć o Tesalijczyku. Tyle że... Tytan chyba straszliwie cierpiał. Te larwy wyżerały

mu mózg. Wielce to niesprawiedliwe, że nędzne pasożyty dręczą tak

wspa-

niałe zwierzę. Wszystko się we mnie burzy na tę myśl.

– Do pioruna, w końcu to był tylko koń – mruknął Motak. – Nieporównanie bardziej żal mi Kroniego. Miał rodzinę w Tesalii. Jaką kwotę powinienem jej wysłać?

– Wyślij tyle, ile uznasz za stosowne. Jak ludzie przyjęli jego śmierć?

– Był powszechnie lubiany – stwierdził Motak. – Ale to twardzi mężczyźni. Zrobiłeś na nich wrażenie swoją brawurową jazdą. – Zachichotał

nagle. – Na Heraklesa! Nawet na mnie wywarłeś wrażenie!

– Nigdy nie znajdę drugiego takiego konia jak Tytan – ocenił ponuro strategos.

– Myślę, że znajdziesz. Żrebak jest niemal kopią swego ojca. Będzie równie imponującej postury. Już teraz ma głowę jak byk.

– Widziałem go w stajni ubiegłej nocy. Z martwą matką... Niezbyt dobry to omen dla Tytanowego syna. Zaczął życie od zabicia własnej matki.

– Teraz mówisz całkiem jak Tesalijczyk – upomniał go Motak, po czym wypił wielki łyk wody z dzbana i rozparł się, opierając ciężar ciała na

potężnych przedramionach. – Co zaszło między tobą a Filipem?

Wódz wzruszył ramionami.

– Filip Macedoński nieprzerwanie pragnie sławy. I nie ma ochoty z nikim się nią dzielić. Cóż, wcale go za to nie winię. Poza tym ma przy sobie

pochlebcę Attalosa, który zatruwa mu umysł swymi podszeptami.

Tebańczyk pokiwał głową.

– Nigdy go nie lubiłem. Ale nie przepadam również za Filipem. Co zatem zrobisz?

Spartanin uśmiechnął się gorzko.

– A cóż mogę zrobić? Będę wygrywał dla Filipa kolejne bitwy, aż zdecyduje, że już mnie nie potrzebuje. Wtedy przyjadę tutaj i dożyję starości

w otoczeniu synów i wnuków.

Służący chrząknął nerwowo, potem zaklął.

– Gdybyś naprawdę w to wierzył, uznałbym cię za głupca, a przecież doskonale wiem, że nim nie jesteś. Gdy opuścisz Filipa, wszystkie greckie

miasta będą się o ciebie bić. Nie minie miesiąc, a już poprowadzisz do boju

kolejną armię. A ponieważ wszystkie polis mają obecnie tylko jednego wiel-

kiego wroga, poprowadzisz tę armię przeciwko Filipowi. Prawda, Parmenio-

nie, jeśli twój król uzna, że już cię nie potrzebuje, dymisję dostarczy ci Atta-

los. Za pomocą skrytobójczego sztyletu.

Bładobłękitne oczy Spartanina wypełnił chłód.

– Będzie się musiał nieźle sprawić.

__ Bądź czujny, bo królewski zabójca jest biegły w swoim fachu – ostrzegł go Motak.

__ Przerwijmy tę posępną konwersację – polecił strategos i wstał.

__ Czy Filip zaprosił cię na defiladę zwycięstwa? – Tebańczyk nie zamierzał ustąpić.

– Nie. Ale przecież dobrze wie, że nie lubię takich przedstawień.

– Być może – odparł nieprzekonany służący. – A zatem... Gdzie planujecie następną wojnę? Pomaszerujecie na chalkidyjskie miasta czy też

na południe... przez Beocję, splądrować ateńskie włości?

– Strategiczne decyzje podejmuje król – odparł Parmenion. Jego wzrok błędził ku wschodnim góróm. Nawet nie spojrział na Tebańczyka.

– Sądzę, że wybierze Trację – oświadczył cicho Motak.

– Twoja przenikliwość jest niebezpieczna, przyjacielu. Dziękujemy bo-

gom, że obdarzyli cię również odrobiną rozwagi, dzięki której trzymasz język za zębami.

– Dokąd zaprowadzą go ambicje?

– Nie wiem. Doprawdy nie wiem! Widzisz, mój stary druhu, Filip nie jest już tym samym człowiekiem, którego kiedyś poznałem. Jest teraz... jakby nawiedzony. W Krokusowej Dolinie dokonał egzekucji setek wziętych do niewoli Fokejczyków. Podobno stał, patrzył i śmiał się, gdy umierali. Z drugiej strony... zanim opuścił Macedonię, obserwowałem go w sądzie. Wydawał wyroki w wielu sprawach. Wiedziałem, że owego dnia miał ochotę na polowanie, toteż chciał zakończyć obrady wczesnym popołudniem. I w końcu oświadczył powodom, że mają wrócić nazajutrz. Kiedy opuścił sędziowski fotel, podeszła do niego jakaś staruszka, skarżąc się i głośno domagając sprawiedliwości. Filip odwrócił się i oświadczył jej: „Nie mam czasu, kobieto”. Stara stała bez słowa przez chwilę, a gdy władca ruszył dalej, krzyknęła: „Czy to znaczy, że nie masz czasu być królem!” Wszyscy na sali wstrzymali oddech, zastanawiając się, czy monarcha za obrazę majestatu skaże kobietę na śmierć. A może tylko na chłostę? Może ją uwięzi? I wiesz, co zrobił? Odwołał polowanie i przez resztę dnia słuchał sprawy kobiety. Nawet zasądził na jej korzyść.

Motak wstał i dał znak ludziom na brzegu, aby sprowadzili łódź.

– Nie twierdź, że Filip nie jest wielkim człowiekiem, Parmenionie. Po prostu go nie lubię. I nie ufam mu. Ty też nie powinienesz. Pewnego dnia każe cię zabić. Zazdrość rodzi strach, ten zaś płodzi nienawiść.

– Nikt nie żyje wiecznie – odparł beztrąsko Parmenion. W głębi duszy czuł się jednak nieswojo.

Pella, Macedonia, jesień

Będę szedł przed gwardzistami. Moi poddani powinni ujrzeć swego władcę w glorii chwały. Nie zamierzam się chować za plecami żołnierzy – oznajmił Filip.

– Szaleństwo! – warknął Attalos. – Jak jeszcze mogę cię przekonać? W Pełli pewnie już są zabójcy. Czekają tylko na okazję, by cię dopaść.

Dlaczego podejmujesz takie ryzyko?

– Ponieważ jestem królem! – zagrmiał monarcha.

Fechtmistrz usiadł sztywno na tapczanie i zapatrzył się na niego ponuro.

– Sądziś – spytał w końcu – że jesteś bogiem? Że zimne żelazo nie zdoła przebić twego ciała? Że nie wbije ci się w serce?

Filip uśmiechnął się i odprężył.

– Nie jestem bogiem. Wierz mi, nie mam żadnych złudzeń, Attalosisie. Jakże zresztą mógłbym je mieć? – dorzucił, dotykając znacząco blizny nad osłepionym prawym okiem. – Jeśli jednak będę się lękał przemarszu ulicami własnej stolicy, wtedy moi wrogowie rzeczywiście zwyciężą. Będziesz prze- cież w pobliżu. Ufam, że mnie ochronisz.

Attalos bacznie zlustrował twarz króla. Nie dostrzegł w niej ani śladu

kompromisu, a wtedy przywołał w pamięci ich pierwsze spotkanie – w Te-
bach, siedemnaście lat wcześniej. Filip był wówczas zaledwie
chłopcem...
przerażonym chłopcem, który w każdej chwili spodziewał się śmierci,
choć
jego oczy wyrażały już zawziętość wodza. Jego wuj, król Ptolemeusz,
próbo-
wał go podstępnie otruć, lecz dzieciak pokrzyżował mu plany. Najpierw
uratował siebie i swego brata Perdikkasa, później zabił śpiącego w
łożu wuja.
Dokonał tego jako trzynastolatek. Teraz miał lat trzydzieści.
Zjednoczył naród
Macedonii, którego obawiała się cała Grecja.
Fechtmistrz wiedział wszakże doskonale, że wielkie ambicje
sprowadzają
arodne niebezpieczeństwa i równie dobrze zakończyć się mogą nimbem
władcy potężnego mocarstwa, jak i przedwczesną śmiercią. Macedońscy
szpiedzy w chalkidyjskich miastach Olintu donosili, że wynajęto tam
elitarna
orupę zabójców, którzy mieli zamordować Filipa Macedońskiego i tym
sa-
mym zlikwidować zagrożenie. Nietrudno było się domyślić, że zamachu
dokonają podczas Święta Dziękczynienia, kiedy król – ubrany jedynie w
tu-
nikę i płaszcz – nie uzbrojony przejdzie wśród tłumów do świątyni
Zeusa.
— Pomyśl o Aleksandrze – nie ustępował fechtmistrz. – Jeśli
zginiesz,
właściwie wydasz wyrok na swego syna. Nie masz innych dziedziców,
a zatem możnawładcy będą walczyć między sobą o sukcesję po tobie.
Alek-
sander zginie pierwszy.
Przez minutę Filip stał nieruchomo, gładził gęstą, czarną brodę i
spoglądał
z szerokiego okna. Kiedy jednak odwrócił się, Attalos wiedział, że
król podjął
już decyzję i nie zdradzi mu swoich myśli.
— Pójdę między moich poddanych bez eskorty – stwierdził nieodwołal-
nie. — Hmm... Rozdzieliłeś chyba odpowiednią ilość kwiatów? Będą na
całej
trasie?
— Tak, panie – odparł Attaios ze znużeniem.
— Niech ludzie rzucają mi je do stóp. Dobrze to będzie wyglądało i
zrobi
wrażenie na ambasadorach. Muszą zobaczyć, że cała Macedonia jest po
mojej
stronie.
— Ależ Macedonia jest po twojej stronie... Bez względu na to, czy jej
mieszkańcy rzucają ci pod nogi kwiaty, czy nie.
— Tak, tak, wiem. Ale pragnę, by dzisiejsze święto wypadło
szczególnie
spektakularnie. Ateńczycy stają się coraz bardziej kłopotliwi. Nie
mają dość
funduszy na zorganizowanie kampanii przeciwko mnie, więc z całych sił
starają się przeciągnąć Olintian na swoją stronę. Nie chcę wojny z
Liga
Chalkidyjską, jeszcze nie. No, stary druhu, jak wyglądam?
Fechtmistrz powstrzymał gniew i przyjrzał się swemu władcy. Filip był
średniego wzrostu, lecz potężnie zbudowany. Nosił długą do piersi
brodę,
która – podobnie jak krucze, mocno kręcone włosy – lśniła niczym
skóra
pantery. Jego jedyne zdrowe, zielone oko błyszczało z tajonej

ekscytacji.

Głowę władcy ozdobił złoty wieniec laurowy, a pod czarny jak noc płaszcz

włożył tunikę w odcieniu błękitu letniego nieba.

– Olśniewająco... Niczym mityczny heros. Miejmy nadzieję, że do końca dnia pozostaniesz równie... wytworny.

Filip zachichotał.

– Niepoprawny z ciebie ponurak... A właściwie dlaczego, Attalosie? Czyż nie uczyniłem cię bogaczem? Nie jesteś choć trochę... zadowolony ze

swego życia?

!– Będę zadowolony, gdy skończy się dzisiejszy dzień.

– Spotkamy się na dziedzińcu – rzucił władca. – Pamiętaj, ma za mną iść najwyżej dziesięciu gwardzistów.

Gdy Filip Macedoński został sam, podszedł do długiego stołu i rozłożył

na nim mapę z kozłej skóry. Od tak dawna wielkie miasta: Ateny, Sparta,

później Teby walczyły o hegemonię w Grecji. Ich wzajemna wrogość doprowadzała do kolejnych krwawych wojen. Ateny stawiały przeciwko Sparcie, Sparta przeciw Tebom, Teby przeciw Atenom, wciągając do tych potyczek wszystkie pomniejsze polis. A te nieustannie podpisywały sojusze, by

szybko je złamać i przejść na stronę wroga. Co rusz ktoś inny odnosił zwycięstwo.

Każdy z tych trzech gigantów w pewnym okresie potajemnie rządził Macedonią.

Filip wiedział, że nie kończące się wojny były nieuchronne, ponieważ setki

miast i miasteczek północnej Grecji składało hołd różnym panom. Każda zwada między miastami mogła włączyć do wojny, i tak się działo, główne siły.

W samej Macedonii, gdy do władzy doszedł Filip, istniało ponad dwadzieścia

niezależnych miast, które nie podporządkowały się formalnie monarsze. Zamiast tego, sprzymierzały się ze Sparta, Atenami lub Tebami. W dodatku

każde z nich szczyciło się własną małą armią albo przynajmniej zaciężną

gwardią. Wiele z nich leżało na wybrzeżu, co oznaczało bezpieczne zejście

na ląd dla obcych wojsk. Podczas pierwszych czterech lat, które upłynęły od

objęcia władzy, Filip zdobywał te małe cytadele jedną po drugiej, czasem

używając siły – tak jak w Metone, którego mieszkańców sprzedał w niewolę

– częściej jednak przez ultimata, zastraszenie, łapówki albo po prostu przez

różne przemyślnie zabiegi, które nazywano dyplomacją.

Jego plan był niezwykle prosty: władca musi przede wszystkim zaprowadzić porządek wewnątrz własnego królestwa; jeśli się da, na drodze zakulis-

wych działań, w ostateczności, używając argumentu siły.

Najpierw Filip podpisał traktat z Atenami, dzięki czemu mógł się skon-

centrować na miażdżeniu nieprzyjaciela z zachodu i północy. Obecnie zaś

łączyły go sojusze z leżącą na południu Tesalią, wspólnie z którą zniszczył

armię Fokejczyków od lat pustoszących środkową Grecję.

Niestety, na horyzoncie nadal zbierały się burzowe chmury. Wojska Filipa

wkroczyły do położonego na północnych rubieżach kraju niezależnego

miasta

Amfipolis, na które od zawsze ostrzyli sobie zęby Ateńczycy, uważając je za swoją strefę wpływów. Błyskawiczny szturm spotkał się z krytyką ze strony wyższych dowódców macedońskich, nawet Parmeniona.

– Obiecałeś Atenom, że będą mogły rządzić Amfipolis – zauważył wódz.

– Nieprawda. Powiedziałem jedynie, że nie uważam tego miasta za macedońskie. A to różnica.

__ Przyznasz, że raczej niezauważalna – odparł kąśliwie Spartanin. – Tak czy owak, łudziłeś Ateńczyków szansą przejęcia kontroli nad Amfipolis.

A teraz z powodu twojego ataku grozi nam wojna z Atenami. Czy jesteśmy na nią gotowi?

__ Ryzyko jest doprawdy niewielkie, przyjacielu. Ateńczycy mają pustawą kasę i nie stać ich na wysłanie korpusu ekspedycyjnego, by odbić Amfipolis. A poza tym, nie mogłem pozwolić, by miasto stało się tajną bazą Aten.

W tym momencie Parmenion parsknął śmiechem.

__ Jesteśmy sami, Filipie. Przede mną nie musisz udawać, te podniosłe słowa zostaw na oficjalne okazje. Wszak Amfipolis to bogaty port, który kontroluje trasy handlowe do Tracji i bieg żeglownej rzeki Strumy na południu. A przecież brakuje ci pieniędzy... Terminowa wypłata żołdu dla żołnierzy to kluczowa sprawa.

– W tym sęk – zarechotał król. Jego śmiech był zaraźliwy. – Tak, przy okazji, doszedłem do wniosku, że moja armia wciąż jest za mała. Chcę, byś

dodatkowo wyszkolił dziesięć tysięcy wojowników.

Z twarzy strategosa zniknął uśmiech.

– Masz więcej żołnierzy niż potrzeba do ochrony granic królestwa.

Skąd

miałoby nadejść nowe niebezpieczeństwo? Tracja jest podzielona, jej trzech

królów toczy między sobą wyniszczającą wojnę. Pajonów zdruzgotałeś, Ili-

rowie zaś nigdy nie wrócą do swej dawnej potęgi. Widzę, że zaczynasz myśleć

o podbojach. Jakie masz plany, Filipie?

– Chcę mieć jeszcze dziesięć tysięcy ludzi. I pozwól, że uprzedzę twoje

kolejne pytanie, mój spartański przyjacielu. Czy aby nie ty radziłeś mi kiedyś

utrzymywać plany w tajemnicy? Doceniłem trafność twojej sugestii.

Nikt

poza mną nie zna moich intencji, a to najpewniejszy sposób. Poza tym, czyż

nie ty udzielałeś mi wykładów na temat natury imperium? „Pozostajemy silni

– rzekłeś – tylko wtedy, gdy rośniemy”.

– Rzeczywiście tak powiedziałem, panie – przyznał wódz. – Jednakże w przypadku każdej strategii rodzi się pytanie o możliwości jej realizacji.

Armię trzeba opłacać, a równie ważna jest troska o rozwój kraju.

Należy

budować drogi, zadbać o dostatek obywateli. Masz ogromną przewagę nad Atenami, podejmujesz bowiem samodzielne i szybkie decyzje, podczas gdy

Ateńczycy w sprawie każdego drobiazgu muszą zwoływać zgromadzenie, na którym bez końca dyskutują o wszelkich propozycjach, czasem całymi tygodniami. Jednak w przeciwieństwie do Persów, my Grecy nie mamy ambicji imperialnych i nie kieruje nami nieustanna ekspansja terytorialna. – W takim razie będziemy musieli się szybko zmienić, Parmenionie, gdyż właśnie teraz Macedonia przeżywa swój najlepszy okres. Wspominając tę rozmowę, król popatrzył na mapę i dzięki swemu przenikliwemu umysłowi ocenił strefy największego zagrożenia. Tak, tak, jego wódz miał rację. Przejęcie Amfipolis i innych niezależnych twierdz wsączyło strach w serca sąsiadów Macedonii, którzy pospiesznie zajęli się zaciąganiem najemników: hoplitów z Teb, oszczepników z Tracji, łuczników z Krety. Natomiast położone na dalekim południu Ateny wypowiedziały Filipowi wojnę, a równocześnie rozesłały przedstawicieli do wszystkich północnych królestw i miast, namawiając je do stawienia oporu macedońskiemu agrowi. Obecnie, po skruszeniu potęgi Fokejczyków, gra zaczęła się komplikować, ponieważ żadna wroga armia nie ośmieli się samotnie stawić mu czoła i jedna bitwa prawdopodobnie nie rozwiąże dylematu Filipa. Nieprzyjaciele poczekają zapewne na jakąś sytuację kryzysową, a następnie uderzą wspólnie, nadciągając ze wschodu, zachodu i południa. Jeśli Filip przeciwstawi się jednemu z wrogich królestw, wkrótce będzie musiał toczyć wojnę na dwóch lub więcej frontach. Największe niebezpieczeństwo nadejdzie zapewne ze wschodu. Tam leżał Olint, miasto przewodzące Lidze Chalkidyjskiej. Król przesunął palcem po półwyspie w kształcie trójzębu. Miasta, które znajdowały się po drodze, mogły zebrać dwadzieścia tysięcy hoplitów uzbrojonych w włócznie, miecze i tarcze, ponad trzy tysiące konnicy oraz siedem albo i osiem tysięcy oszczepników. Wojna z Olintem będzie kosztowna i wyczerpująca. Ktokolwiek zwycięży, wykrwawi się tak bardzo, że nie pokona już następnego przeciwnika. Dlatego właśnie Olindanie liczą na zabójców, których wysłali do Pełli. Król usłyszał kroki gwardzistów wchodzących na dziedziniec pod oknem. – Bądź dziś ostrożny, Filipie, od tego zależy los Macedonii – przestrzegł sam siebie. Attalos zarządził zbiórkę dziesięciu wybranych członków królewskiej straży, po czym skrupulatnie sprawdził ich spiżowe napierśniki i hełmy, pochwycił miecze i nagolenniki. Całe wyposażenie lśniło jak wypolerowane złoto. Fichtmistrz przeszedł za rzędem wojowników, oglądając ich czarne płaszcze. Nie dostrzegł ani śladu kurzu czy brudu. Usatysfakcjonowany obszedł małą grupkę i ponownie stanął przed swoimi ludźmi. – Motto na dziś brzmi – odezwał się powoli – król jest zawsze w niebezpieczeństwie. Zawsze! Macie mieć oczy dookoła głowy. Nieważne, że znajduje się w samym sercu swego królestwa. Bez znaczenia jest również

fakt, że rodacy go kochają. Wróg czai się wszędzie! Kiedy będziecie za nim maszerować, nie spuszczaście oczu z tłumu. Nie patrzcie na króla. Wypatrujcie jakichkolwiek nagłych ruchów wśród gawiedzi. Zrozumiano? – Mężczyźni pokiwali głowami.

– Mogę o coś spytać, panie? – wyrwał się ktoś po prawej stronie Attalosa.

– Oczywiście.

___ Chcesz nam, panie, przypomnieć jedynie nasze obowiązki, czy też dziś mamy się spodziewać szczególnego zagrożenia?

Attalos przypatrzył się uważnie wojownikowi. Próbował sobie przypomnieć jego imię.

___, Jak powiedziałem, król zawsze jest w niebezpieczeństwie. Jednak... zadałeś właściwe pytanie. Dziś bądźcie nad wyraz czujni. Zajął miejsce pośrodku oddziału i czekał na Filipa. Mieli pójść główną trasą – Aleją Aleksandrosa, przez agorę i dalej ku świątyni Zeusa. Droga nie była dłuższa niż tysiąc kroków, może nawet krótsza, jednak tłum będzie zapewne naciskać ze wszystkich stron. Attalos rozstawił żołnierzy wzdłuż trasy przemarszu, zostali wszakże za mocno rozciągnięci, by powstrzymać tysiące wiwatujących Macedończyków. Filip był ogromnie popularny, co – w taki dzień jak ten – zwiększało dodatkowo niebezpieczeństwo ze względu na podekscytowanie tłumu. Ludzie będą się pchać do przodu, pragnąc dotknąć swego władcy, będą napierać na szpaler żołnierzy...

Pot ściekał Attalosowi do oczu. Jako doskonale wyćwiczony zabójca wiedział, jak łatwo zamordować człowieka, obojętnie jak dobrze jest chroniony. Ani na moment król nie może podejść do tłumu bliżej niż na pięć kroków.

Bo wtedy... Nagły cios, błysk noża, i popłynie królewska krew... Po raz setny fechtmistrz wyobraził sobie trasę wiodącą między budynkami o białych ścianach i przez wąskie boczne uliczki. Zastanowił się po raz kolejny, w którym miejscu on sam dokonałby zamachu. Na pewno nie gdzieś na początku, kiedy strażę będą najbardziej czujne. A zatem pod koniec drogi. Ale nie w pobliżu świątyni, gdyż otwarty teren uniemożliwiłby ucieczkę. Nie. Do ataku dojdzie zapewne na agorze, od której odchodzą dziesiątki alejek. Attalosa czekało więc dwieście nerwowych kroków.

„Żeby cię pokręciło, Filipie!” – pomyślał.

Król wyszedł akurat na pałacowy dziedziniec. Na jego widok dziesięciu gwardzistów uderzyło pięściami w napierśniki. Fechtistrz wykonał gest powitania jako ostatni, był bowiem tak pochłonięty myślami, że zareagował z opóźnieniem.

– Witam cię, Koenosie – odezwał się Filip, po czym uśmiechnął się do mężczyzny, którego imienia Attalos wcześniej nie zdołał sobie przypomnieć.

– I ciebie również, Dironie. A wydawało mi się, że macie serdecznie

dość
mojego towarzystwa. – Król pozdrowił mężczyzn. Fechtmistrz nigdy nie przestał się dziwić, że władca pamięta imiona swoich żołnierzy. Koenos...
tak, teraz fechtmistrz przypomniał go sobie. Ten syn dziwki.
Parmenion
awansował Koenosa, toteż podczas bitwy na Krokusowym Polu gwardzista dowodził odwodowym regimentem.
– Jesteśmy gotowi? – spytał król.
– Tak, panie – odparł Attalos.
Dwóć żołnierzy otworzyło bramy i Filip dziarskim krokiem wyszedł przed pałac, gdzie zgromadzeni obywatele zgotowali mu żywiołową owację.
Fecht mistrz trzymał się tuż za władcą. Starł pot z oczu i badawczo przyjrzał się tłumowi. Setki osób tłoczyło się po obu stronach alei. Kwiaty wszelkich gatunków zewsząd spadały na króla, który pozdrawiał swój lud. Parada miała się zacząć wówczas, gdy Filip dotrze na czoło orszaku. Nieopodal stali tesalijscy konni, a także ambasadorowie Teb, Koryntu, Feraj, Olintu i Tracji. Zadnimi kręcili się kuglarze i akrobaci, błazny i aktorzy w maskach z błyszczącego spiżu. Z tyłu korowodu prowadzono dwa białe byki, przyozdobione girlandami kwiatów. W finale uroczystości zostaną złożone w dziękczynnej ofierze na ołtarzu świątyni Zeusa.
Filip wprowadził paradę w Aleję Aleksandrosa. Attalos nie zdejmował dłoni z rękojeści miecza. Tłum niebezpiecznie zafalował ku przerzedzonym szeregom stojących po obu stronach żołnierzy, którzy starali się nie dopuścić do zablokowania drogi. Król pewnie szedł przed siebie. Nieustannie z promiennym uśmiechem pozdrawiał swoich poddanych.
Nagle z lewej strony wypadł mały chłopiec i popędził ku władcy. Fechtmistrz już prawie wyjął ostrze z pochwy, w ostatniej chwili jednak wsunął je z powrotem, gdyż Filip spokojnie zatrzymał dziecko i przyjął z jego dłoni dojrzały owoc granatu.
– Gdzie jest twoja matka? – spytał przyjaźnie. Onieśmielony chłopiec wskazał na prawo, a wtedy władca odprowadził go do matki. Attalos zaklął. Jedno pchnięcie sztyletu i król zginie...
Na szczęście Filip wrócił na środek alei, a potem kontynuował marsz na czele parady.
Gdy dotarli do agory, napięcie sięgnęło zenitu. Fechtmistrz gorączkowym wzrokiem omiatał to prawa, to znów lewą stronę szpaleru. Penetrował wzrokiem gawieź, obserwował twarze, szukał jakichkolwiek nietypowych zachowań. Tymczasem aleja pokryła się wielobarwnym dywanem kwiatów. Nagle tłuszcza znowu zafalowała. Wyłamało się z niej trzech mężczyzn. Pędem ruszyli ku królowi. W świetle słońca błysnęły noże. Fechtmistrz rzucił się na pomoc swemu panu, lecz było za późno. Długi sztylet trafił władcę w bok.
– Nie! – wrzasnął Attalos. Filip zatoczył się, po czym odrzucił poły płaszcza, wyszarpnął ukryty miecz i skaleczył nim szyję pierwszego

zabójcy.

Drugi mężczyzna zaatakował nożem, lecz król w ostatniej chwili odparował cios o milimetry od swego gardła, a później ripostował, rozcinając napastnikowi ramię od barku do łokcia. Trzeciego zabił fechtmistrz, kiedy tamten

próbował dźgnąć Filipa w plecy.

Tłum najpierw zamarł, a później wprost zawył w ekstatycznym podziwieniu dla swego władcy. Kiedy król zaatakował rannego napastnika, ten padł przed

nim na kolana.

— Oszczędź mnie, a wszystko ci wyznam! — błagał.

— Nie interesują mnie twoje wyznania — odpowiedział gniewnie Filip i wbił miecz między obojczyki wroga.

— Sprowadźcie medyka! — zawołał Attalos, podbiegając do króla i chwytając go za ramię.

— Nie trzeba! — odwołał rozkaz król. — Nie potrzebuję medyka.

— Przecież widziałem, jak cię trafił.

Filip zacisnął rękę w kułak, po czym uderzył się w pierś. Rozległ się metaliczny dźwięk.

— Pod tuniką mam napierśnik — oświadczył. — Może i jestem nierozważny, ale z pewnością nie głupi. Niech parada trwa dalej! — ryknął. Tej samej nocy, kiedy król odpoczywał w swoich komnatach, upijając się

coraz bardziej z każdą godziną, fechtmistrz zadał mu pytanie, które dręczyło

go przez cały dzień:

— Dlaczego zabiłeś ostatniego napastnika? Mógłby nam zdradzić swoich mocodawców.

— I co byśmy dzięki tej wiedzy zyskali? Obaj doskonale wiemy, że napastnicy pochodzili z Olintu. Jednak gdyby wieść ta rozeszła się wśród

możnych, zostałbym zmuszony do wojny z Chalkidyjczykami. Obywatele zażądałiby zemsty. Mimo wszystko to był wspaniały dzień, nie sądzisz? Dla

takich chwil warto żyć.

— Wcale się dobrze nie bawiłem — odburknął sucho Attalos. — Postarałem się dziś o dziesięć lat.

Filip zachichotał.

— Życie to gra, przyjacielu. Nie możemy się ciągle ukrywać. Bogowie i tak zrobią z nami, co zechcą. Dzisiaj moi poddani są ze mnie dumni. Widzieli

triumfalny przemarsz swego władcy, zdradziecki zamach na niego, heroiczne

starcie i zwycięstwo. Uważają mnie za żywą legendę. A zatem, można by rzec,

że Olintianie w pewien sposób mi pomogli. Jestem im nawet wdzięczny za

tych zabójców... Ale największa w tym twoja zasługa — gdybyś nie chronił

moich pleców, dzisiejszy dzień skończyłby się stypą. Ufam ci, mój drogi.

I lubię cię. Zapewniasz mi bezpieczeństwo i dobre samopoczucie.

Pamiętasz

jeszcze tamten pierwszy dzień w Tebach? Kiedy przystawiłem nóż do swojej

piersi i zaproponowałem, byś zrobił z niego użytek?

— Któż mógłby coś takiego zapomnieć! — odrzekł zabójca. Młody książę lękał się wtedy, że Attalosa wysłano z rozkazem zamordowania go.

Podsunał więc mężczyźnie sposobność morderstwa w bocznej uliczce, gdzie

nie było świadków. Kusił fechtmistrza, stawiając wszystko na jedną szalę.

W owym czasie Attalos służył królowi Ptolemeuszowi, Filip zaś był zaledwie chłopcem, którego władca rzeczywiście pragnął zabić. A jednak zabójca nie skorzystał z okazji... I do dziś nie wiedział, dlaczego.

– O czym myślisz? – spytał król.

Fechtistrz ponownie skupił się na terażniejszości.

– Na nowo przeżyłem tamten dzień i podróż powrotną do Macedonii. Dlaczego właściwie tak mi ufasz, Filipie? Znam siebie, znam swoje wady. Ja

bym sobie nie zaufał... Jak to możliwe, że ty mi wierzysz?

Uśmiech zniknął z twarzy króla, który pochylił się do przodu i chwycił

swego towarzysza za ramię.

– Nie dociekaj przyczyn – doradził.–Po prostu ciesz się tym. Niewielu ludzi zdobywa zaufanie władcy albo jego przyjaźń. Ciebie obdarzyłem

i jednym, i drugim. Powody me mają znaczenia. Może dostrzegam w tobie wartości, których ty w sobie jeszcze nie znalazłeś. Otoczony przez wroga

właśnie ciebie chciałbym mieć u swego boku. Mam nadzieję, że takim wyjaśnieniem zaspokoiliem twoją ciekawość. – Władca wysaczył wino i po raz kolejny napełnił puchar. Później wstał i zataczając się, powędrował do

okna. Zapatrzył się na zachód.

Attalos westchnął. Wyczerpany stresującym dniem pożegnał się i wolnym krokiem wrócił do swoich pokojów w nowych koszarach. Służący zapalili już

latarnie w jego andronitisie i sypialni. Zabójca rozwiązał rzemyki napierśnika,

po czym zdjął go i położył na tapczanie.

– Jesteś głupcem, skoro mi ufasz, Filipie – szepnął zbyt zmęczony, aby

wejść po schodach do sypialni, i położywszy się na tapczanie, zasnął.

– Imponujące stado, mój drogi Motaku. Jak to możliwe, że Tebańczyk ma taki talent do koni? – spytał Pers, gładząc złotą brodę i odchylając się na

krzesło.

– Słucham mądrzejszych od siebie i uczę się od nich, szlachetny

Parza-

lamisie. Czy wino ci smakuje?

Pers uśmiechnął się kurtuazyjnie, lecz w jego bladych oczach nie było śladu wesołości.

– Oczywiście, że tak... Pochodzi z mojego kraju i zgaduję, że ma co najmniej dziesięć lat. Mam rację?

– Zaskoczyłoby mnie, gdybyś jej nie miał.

– Dziękuję za wspaniałe komplement – oznajmił Pers.

Wstał z krzesła i ruszył do otwartych drzwi. Stał w progu i zapatrzył się

na zachodnie wzgórze. Motak pozostał na tapczanie, choć me spuszczał wzroku ze swego odzianego w jedwabie gościa. „Cóż za strój!” – pomyślał

Jakiż sens miał taki przepych? Parzalamis nosił luźne spodnie z błękitnego

jedwabiu, oblamowane srebrną nicią z nanizanymi niewielkimi perełkami. Koszulę włożył także jedwabną, lecz w kolorze świeżej śmietany. Na jego

niersi i plecach widniał złoty haft. Uosabiał gryfa: pół orła, pół lwa. Mężczy-

zna nie nosił płaszcza, ale ciężkie okrycie z bogato haftowanej wełny, które

leżało teraz niedbale rzucone na tapczanie. Tebańczyk spojrział na

buty Persa.

Były ze skóry, jakiej nigdy dotąd nie widział, łuskowatej i nierównej, a równocześnie tak pięknie połyskującej, że Motak mimowolnie miał ochotę jej dotknąć.

Parzalamis odwrócił się i wrócił na miejsce. Bogate wschodnie perfumy wypełniły powietrze. Motak poczuł je i zachichotał.

— Co cię tak bawi? — spytał Pers. Mina mu spoważniała.

— To nie rozbawienie, ale zakłopotanie — odparł szybko gospodarz. — Bardzo się cieszę, że cię widzę, jednak... z powodu twojej obecności odnoszę

wrażenie, że mój dom wygląda jak chlew. Nagle dostrzegłem każdą szczelinę

w ścianie i zauważyłem, że futryna drzwi jest wypaczona.

Gość odprężył się.

— Bystry z ciebie człowiek, Tebańczyku. Twój język porusza się szybciej

niż gepard. A zatem... skoro już kupiłem od ciebie konie, może omówimy

teraz poważniejsze kwestie. Jakie są plany Filipa?

Motak zdjął nogi z tapczanu, po czym ponownie napełnił swój puchar.

— Parmenion zapewnia mnie, że król nadal zabezpiecza granice przed wrogami. Wielki Król Persji nie ma się czego obawiać.

— Wielki Król nie zna uczucia strachu! — odparł oschle Parzalamis. —

Po prostu interesuje się swoim wasalem, czyli twoim władcą.

— Wasalem? — spytał Tebańczyk. — Z tego, co wiem, Filip Macedoński nie wysyła żadnej daniny do Suzy.

— To bez znaczenia. Macedonia i tak stanowi część imperium Wielkiego Króla. To samo oczywiście można powiedzieć o całej Grecji. Ateny,

Sparta

i Teby akceptują hegemonię Persji.

— Jeśli Macedonia rzeczywiście jest wasalem twego władcy — oświadczył Motak, dobierając ostrożnie słowa — tedy dziwne wydaje mi się, że

Fokejczycy opłacali swoją armię perskim złotem. Przecież wszyscy wiedzą,

że ich wojska wyprawiły się przeciwko Filipowi.

— Bynajmniej nie — odrzekł Parzalamis. — Wódz Onomarchos był w Suzie i klęknął przed Wielkim Królem, składając imperium poddańczy hołd. Otrzymał nagrodę. Ale nie zapominajmy, że to Filip pomaszerował przeciwko Fokejczykom. Nie podoba mi się koncepcja... hmm... ochrony granic. Gdzie się zatem kończy Macedonia? Filip kontroluje już Ilirię

1 Pajonię. Teraz Tesalijszczyk ofiarowali mu tron. Owe granice rosą z każ-

dą porą roku. Po jaką krainę sięgnie teraz twój król? Po Chalkidike? Tra-

cję? Azję?

Na pewno nie po Azję — stwierdził Motak. — Według Parmemona również Półwysep Chalkidyjski jest na razie bezpieczny. Przeto... zostaje

Tracja.

— Czego ten Macedończyk chce? — syknął Pers. — Jak dużym terytorium może rządzić jeden człowiek?

— To pytanie brzmi interesująco w ustach sługi Wielkiego Króla.

— Wielki Król został błogosławiony przez Ahurę Mazdę. Nie można go porównywać z byle barbarzyńskim wojownikiem. Tracja, powiadasz?

Dosko-

nale, zaniosę tę nowinę do Suzy. — Parzalamis odchylił się w tył i zapatrzył

w niski sufit. — Teraz opowiedz mi o królewskim synu. — Rzucił tę propo-

zycję zupełnie neutralnym, spokojnym tonem.

Motak nie odpowiedział od razu.

— Podobno jest bardzo inteligentnym dzieckiem — rzekł w końcu. — Ledwie czteroletni, a już potrafi czytać i pisać. Dzielnie też dyskutuje ze starszymi od siebie.

— A jednak jest opętany — mruknął Parzalamis. Tebańczyk wyczuł napięcie w jego głosie.

— Naprawdę traktujecie czteroletka jako zagrożenie?

— Tak... Oczywiście nie dla Persji, która niczego się nie lęka, ale dla stabilizacji Grecji. Przeżyłeś w moim kraju wiele lat i bez wątpienia zacząłeś

pojmować prawdziwą religię... Istnieje Światło, które zgodnie z naukami

Zaratustry stanowi podstawę wszelkiego życia. Jest też Mrok, w którym nic

nie wzrasta; wszystko w nim marnieje. Nasi mędrcy mówią, że Aleksander

jest dzieckiem Mroku. Zapewne słyszałeś taką koncepcję?

— Tak — przyznał Tebańczyk i przemiescił się na tapczanie, czując natrętne spojrzenie Persa. — Niektórzy nazywają chłopca demonem. Parme-

nion w to nie wierzy...

— A ty?

— Widziałem to dziecko tylko raz w życiu, ale tak, potrafię w to uwierzyć.

Ponieważ malec podszedł zbyt blisko konia, dotknąłem jego ramienia i...

oparzyłem się. Wierz mi! Przez kilka tygodni odczuwałem ból.

— Ten demon nie jest godzien żyć — wyszeptał Parzalamis.

— Nie wezmę udziału w zbrodni — oświadczył twardo Motak. Podniósł się, podszedł do drzwi, po czym wyszedł na dwór w zapadający zmrok. Rozejrzał się. W zasięgu wzroku nie dostrzegł nikogo. Po chwili wrócił do

domu. Światło osłabło, więc zapalił kolejne trzy latarnie. — Zabicie tego

dziecka byłoby szaleństwem. Filip oszalałby z gniewu.

— To prawda. Musimy jednakże rozważyć, gdzie najlepiej można by skierować tak wielki gniew. W Atenach orator Demostenes z wielką porywczością przemawia przeciwko macedońskiemu królowi. Gdyby zabójca chłopca został opłacony przez Ateny, wtedy Filip pomaszerałby na połud-

nie, prawda?

— Nic by go nie powstrzymało — zgodził się Tebańczyk.

— A wiadomo, że w centralnej Grecji łatwo się potknąć. Wszyscy wielcy,

ambitni wodzowie tam właśnie kończyli swoje kariery, ponosząc sromotne

klęski.

— Jaki macie plan?

— Sprawa jest już w toku. Aleksandra zabije pewien Metończyk imieniem Lolon. Przekupili go dwaj mieszkańcy Aten, którzy oczywiście pozo-

stają na naszych usługach. Lolon zostanie schwyty żywcem i zdradzi, że

wynajęto go podczas nauk owego Demostenesa. Szczerze zresztą wierzy, że

tak właśnie było.

— Dlaczego opowiadasz mi wszystkie szczegóły?

— Ci dwaj Ateńczycy mają uciec z Pełli na północ. Nikt się tego nie spodziewa. Ukryjesz ich tutaj na kilka tygodni. Potem wyjadą do Olintu.

— Prosisz o bardzo wiele — stwierdził Motak.

— Zgadza się, mój drogi, ale... o czym doskonale wiesz... sownie ci

zapłacimy.

Parmenion siedział w zachodniej alkwie andronitisu. Wzrok skupił na pszczole, która usiadła na świeżo rozkwitłej żółtej róży. Kwiat poruszał się

lekko, owad zaczął bowiem się kręcić w środku w poszukiwaniu pyłku.

– Tylko tyle powiedział? – spytał Spartanin.

– Nie wystarczy ci? – odparł służący.

Strategos westchnął, wstał i się przeciągnął. Trzy lata trwało, zanim Motak

przeniknął do perskiej siatki szpiegowskiej, i wreszcie wysiłek się opłacił.

Początkowo Persowie działali ostrożni, wiedzieli bowiem, że Tebańczyk jest

przyjacielem Parmeniona. Potem powoli, w miarę jak jego kolejne informacje

okazywały się prawdziwe, ufali mu coraz bardziej. Jednakże... nigdy nie

przekazali mu tak znaczącego sekretu. Aż do dziś. Wódz uznał, że musi przemyśleć tę sprawę.

– Przydzielę dziecku wyszkolonego w walce służącego, który będzie cały czas miał je na oku i dodatkowych wartowników w ogrodzie pod jego oknem.

– Zgoda, ale i tak musisz powiedzieć o wszystkim królowi – wtrącił Motak.

– Nie, nie, to nie byłoby mądre posunięcie. Persowie boją się, że Filip

w końcu ruszy z wojskiem do Azji. Ze strachu zachowują się nierozważnie.

Przykładem niech służy napaść na króla podczas parady zwycięstwa...

Olin-

tianie nigdy nie pokusiliby się o tak nierozważny czyn. Nie, nie, z całą

pewnością zabójstwo zaplanowali Persowie. Tymczasem nie wspominajmy o nich Filipowi... dla bezpieczeństwa. A po drugie, lepiej żeby Parzalamis

nadal uważał cię za zdrajcę.

– Niby dlaczego, przecież gra skończona? – spytał Tebańczyk.

Strategos uśmiechnął się chytrze.

– Niekoniecznie. Nie chciałbym cię znaleźć z nożem między żebrami.

Hmm... Persja z pewnością któregoś dnia stanie się naszym wrogiem.

Jest

najbogatszym królestwem na świecie, a Filip bardzo dużo wydaje. W Mace-

donii nie ma już pieniędzy na opłacanie armii. Pozostają przejmowane kopal-

nie i miasta. Tak, tak, Persja stanowi najwspanialszą zdobycz.

Rozumiesz

zatem, że twoje dalsze kontakty z Parzalamisem są absolutnie niezbędne.

Zastanawiam się, w jaki sposób ocalić księcia, nie kompromitując przy tym ciebie?

– Ów wynajęty metoński służący może przecież mieć wypadek... Na przykład złamać sobie kark... – podsunął Motak.

Parmenion potrząsnął głową.

– Byłoby to zbyt przejrzyste. Ateńczycy zaś... zauważ, że nie znamy ich

imion... mogą wynająć następną osobę. Przed nami twardy orzech do zgry-

zienia. Ale popracuję nad tym.

– Mój perski przyjaciel nijak nie zasugerował terminu zabójstwa. Równie dobrze Lolon może zaatakować dziś wieczorem! – stwierdził Tebańczyk.

– Zgadza się – odparł Parmenion. Starał się przemawiać spokojnie i nie dopuszczać do głosu emocji, które mogłyby zdradzić głębię jego niepokojów.

– Jutro pojedę do Pełli. No dobrze... Powiedz mi teraz, jak się sprawuje żreback po Tytanie?

– Klacz wybrana na mamkę dobrze go karmi. Jest silny. Przeżyje.

– Doskonale. Wróć do domu i odpocznij. Mam sporo do przemyślenia.

Motak wstał.

– Ta gra staje się coraz bardziej skomplikowana, przyjacielu. Niezbyt dobrze się w niej czuję.

– Ani ja. Gdy sprawy dotyczą królestwa, nic nie wydaje się proste. Kiedy służący odszedł, Parmenion ruszył na spacer po ogrodzie. Zatrzymał się przy marmurowej fontannie. Stały w niej trzy posągi: Afrodyty, bogini miłości, Ateny, bogini mądrości i wojny, oraz Hery, królowej bogów. Pośrodku stał przystojny młodzian z jabłkiem w ręku.

„Gdy sprawy dotyczą królestwa, nic nie wydaje się proste”.

Młodzieńcem owym był Parys, książę Troi. Trzy boginie wyznaczyły mu trudne zadanie – miał sprezentować złote jabłko najpiękniejszej z nich.

Spartanin przyjrzał się kamiennemu obliczu młodziana, studiując uczucia, które rzeźbiarz tak znakomicie oddał. Parys był wyraźnie zagubiony. Miał świadomość, że jeśli wręczy jabłko jednej z nich, pozostałe znienawidzą go i nie spoczna, póki nie zobaczą go martwym.

„Gdy sprawy dotyczą królestwa, nic nie wydaje się proste”.

Strategos wiedział, że młodzian podarował w końcu jabłko Afrodycie, która w nagrodę zdobyła dla niego miłość najpiękniejszej kobiety na świecie.

Parys był uszczęśliwiony. Niestety, wybrał sobie Helenę, żonę Menelaosa, króla Sparty. Atena w porozumieniu z Herą nakłoniła grecką armię do zemsty.

Troja Parysa została podbita i spalona, jego rodzinę wycięto w pień, on sam zaś zginął od zatrutej strzały...

„Głupiec – pomyślał Parmenion. – Powinien był zignorować piękno i wręczyć jabłko najsilniejszej. Jak mógł wierzyć, że zdoła go ocalić sama miłość?”

Porzucił mitologiczne rozważania, lecz przesiedział przy fontannie aż do zmierzchu, koncentrując się na sprawie Parzalamisa.

Służący przynieśli mu jedzenie i wino, Parmenion nie miał jednak na nic ochoty. Naczynia stały nietknięte obok niego na marmurowej ławce pod kwitnącym drzewem, które dawało cień przed zachodzącym słońcem. Po wielu godzinach wódz nie był ani o krok bliżej od rozwiązania i fakt ten zaczął go drażnić.

„Otwórz umysł – nakazał sobie. – Cofnij się do dni, które spędzałeś z Ksenofontem i rad, którymi tak hojnie cię obdarzał ateński wódz. Mawiał on, że jeśli problemu nie można pokonać we frontalnym szturmie, wtedy należy spróbować ataku z flanki”.

Uśmiechnął się na to wspomnienie.

„No dobrze, zatem – pomyślał. – Ustalmy podstawowe fakty”. Persowie pragną zabić Aleksandra. Podali Motakowi dwa powody. Po pierwsze, ich

magowie wierzą, że dziecko jest opętane. Po drugie, jeśli da się wplątać w morderstwo chłopca Ateny, Filip w odwecie wypowie im wojnę. Jakże posiadał informacje? Znal imię zabójcy. Nagle usiadł prosto. Dlaczego Parzalamis zdradził imię zabójcy? Dlaczego nie powiedział po prostu Tebańczykowi, że przekupiono jakiegoś służącego? Tak byłoby bezpieczniej. Może mu się wymknęło? Nie, nie, Parzalamis był na to zbyt przebiegły, nigdy by nie popełnił takiego błędu. Odpowiedź stała się nagle oczywista: Persowie nadal poddawali próbie lojalność Motaka. Parzalamis wcale nie potrzebował kryjówki dla Ateńczyków, chciał za to wiedzieć, czy może zaufać swemu najlepszemu macedońskiemu szpiegowi. Chociaż... wiele ryzykował, opowiadając o zamachu. Gdyby informacja dotarła do Filipa, król z pewnością wypowiedziałby Persji wojnę. A więc Parzalamis musiał przedsięwziąć kroki, aby macedoński król nie dowiedział się o planowanym zabójstwie. Spartanin poczuł się tak, jakby światło słoneczne przedarło się przez chmury do jego kłopotliwych myśli. Tebańczyk był... jest... śledzony. Persowie widzieli, że natychmiast pobiegł do Parmeniona, uznają więc, że ich zdradził. Strategos uprzytomnił sobie, że nie ma przy sobie broni. Zerwał się na równe nogi. Parzalamisowi pozostało teraz tylko jedno wyjście. Zażegnać niebezpieczeństwo. Zabić Motaka i osobę, której ten zdradził sekret. Przeklął pod nosem i popędził ku domowi. Z cienia wyskoczyła niespodziewanie jakaś postać. W świetle księżyca błysnęło ostrze wzniesionego noża. Spartanin zrobił unik i uderzył napastnika lewą pięścią w twarz. Ten zachwiał się i upadł. Wówczas od tyłu zaatakował go drugi zamachowiec. Parmenion ukląkł na jedno kolano, chwycił niedoszłego zabójcę za ramię i pchnął go na leżącego kamrata. Wtedy podbiegł do niego trzeci mężczyzna z krótkim ostrym mieczem w ręku. Wódz wstał, obrócił się w lewo, dzięki czemu ostrze tylko musnęło mu biodro. W chwilę później uderzył zabójcę pięścią w podbródek i zbir zatoczył się. Tymczasem pozostali napastnicy zdążyli już wstać i ruszyli ku niemu. Strategos zaczął się cofać, a wtedy mężczyźni przyspieszyli kroku. Z wściekłym okrzykiem zaatakował ich nogami. Powalił pierwszego przeciwnika. Czyjś miecz wyciął mu płytka ranę w udzie, a nóż przeciął skórę czaszki. Nie zważając na rany, Parmenion przetoczył się na lewo. Ostrze miecza zabręczało o kamienną ścieżkę i w górę wzniosł się snop iskier. Spartanin wyciągnął prawą nogę i kopnął zbira z mieczem, chwytając wielki kamień, który rzucił w twarz zbliżającemu się nożownikowi. Krew trysnęła ze zmiażdżonego nosa. Mężczyzna krzyknął i upuścił nóż. Strategos sprawnym ruchem chwycił go, po czym gotów

był do walki. Zabójca wymierzył mieczem dziki cios w jego głowę. Parmenion był jednak szybszy i wykonując wypad, pchnął mężczyznę nożem w brzuch, rozcinając go, aż do płuc. Kiedy zbir padł, krzyżąc, jego kamrat rzucił się do ucieczki. Spartanin zamachnął się i nożem pokrytym krwią trafił skrytobójcę w plecy. Ten potknął się, lecz zdołał uciec. Podniósłszy miecz, wódz ruszył w pogoń. Uciekający zbrodniarze dotarli do zachodniej bramy, gdzie stały przywiązane ich wierzchowce. Pierwszy mężczyzna wskoczył na konia, ale jego ranny w plecy kamrat nie miał siły dosiąść rumaka. – Pomóż mi, Danisie! – błagał. Jednak jego towarzysz nie zważając na prośby kamrata, kopnął konia, zmuszając do galopu. Wódz wybiegł przez bramę i rąbnął rannego napastnika mieczem w szyję. Następnie chwycił cugle konia zabójcy, wskoczył na grzbiet zwierzęcia i pognął za Danisem. Uciekinier miał początkowo przewagę, lecz nie był zbyt dobrym jeźdźcą, więc Parmenion szybko go doganiał. Jego koń, ciemnobrązowy wałach o siodłowato wygiętym grzbiecie, nie należał do najszybszych rumaków, jednak Spartanin potrafił wykorzystać jego wszystkie zalety. Dystans między nim a uciekinierem wciąż malał. Szczupły brodac rzucił przez ramię nerwowe spojrzenia. Wierzchowce tymczasem wspinały się po wzgórze, kierując się na wschód. Nagle koń zabójcy potknął się i jeździec spadł z jego grzbietu. Prawdopodobnie nieźle się poturbował, ale natychmiast wstał i zaczął biec. Kiedy Parmenion był dość blisko uciekiniera, uderzył go płazem miecza w ułowę i przewrócił na ziemię. Następnie ściągnął cugle wałacha i zeskoczył, jego niedoszły zabójca cofnął się. – Mów szybko – polecił strategos. – Od tego, co powiesz zależy twoje życie.

Twarz mężczyzny zamarła. – Nic ci nie powiem, ty spartański kuble pomyj. – Niemądre posunięcie – oświadczył Parmenion, wbijając mężczyźnie miecz w brzuch. Wojownik umarł, nie wydając z siebie ani jednego dźwięku. Po prostu przewrócił się twarzą w trawę i już się nie podniósł. Spartanin ponownie dosiadł konia i popędził go obok wygonów dla koni i stajni. Zatrzymał się dopiero przed domem Motaka. Tebańczyk wyszedł mu na powitanie. Twarz miał poszarzałą, a z barku sterczał mu szytlet. – Raczej nie uda nam się utrzymać kontaktów z Parzalamisem – powiedział. Strategos wszedł do domu. Pers leżał na podłodze z głową ułożoną w nienaturalnej pozycji. – Czekaliśmy na mnie – wyjaśnił Tebańczyk. – Zlekceważył mnie, nie spodziewając się takiej siły po starcu. I... jak wielu mu podobnych... chciał ze mną pogawędzić przed walką. Może chciał mnie wystraszyć albo zmusić do błagania o życie. Wiedział o moim spotkaniu z tobą i nazwał mnie zdrajcą.

Chyba naprawdę obraziła go moja dwulicowość...

– Musimy niezwłocznie wydostać ten sztylet – przerwał mu Parmenion.

– Nie ma czasu, przyjacielu. Przed walką szydził ze mnie, że zabójstwo

Aleksandra zaplanowano na dzisiejszą noc. Musisz jechać! Weź Bessosa

–

to najszybszy rumak, jakiego mamy.

Spartanin pobiegł do stajni. Mimo iż wierzchowiec pędził niczym

wicher,

strategos czuł lodowate ukłucia strachu.

Wiedział, że na pewno nie zdąży do stolicy na czas...

Pella, Macedonia, jesień

Sen Aleksandra był posępny i przytłaczający.

Chłopiec dostrzegł ciemny stok i kamienny ołtarz, wokół którego siedzieli

odziani w czarne szaty kapłani. Śpiewali jakąś' pieśń, wołali imię,

wzywali...

– Iskander! Iskander!

Syczące głosy mężczyzn skojarzyły się dziecku z burzowym wiatrem

poru-

szającym zimowe gałęzie. Nagle poczuł uporczywy nacisk na pierś. Jego ciałem zawładnął lek.

– To mnie wołają – stwierdził z przekonaniem i jego senne oczy skon-

centrowały się na ostrych nożach kapłanów i kanalikach na krew

wyrzeż-

bionych w ołtarzu.

Jedna z postaci wysunęła się do przodu, na jej twarzy zalśniła

poświata

księżycowa. Wówczas Aleksander o mało nie krzyknął, ponieważ

mężczyzna

okazał się jego ojcem. Filip Macedoński miał na sobie wojenny

pancerz,

którego jego syn nigdy na nim nie widział.

– Cóż- ! ! – spytał król. – Gdzie dziecko ?

– Przyjdzie, panie – odparł arcykapłan. !- Obiecuję ci, że przyjdzie.

Król odwrócił się i chłopiec zauważył, że jego ślepe oko już nie jest

opałowe. Teraz lśniło czystym złotem i wydawało się płonąć żółtym

ogniem.

– Widzę go! – krzyknął król, wskazując wprost na Aleksandra. – Ale

wygląda tak słabo!

– Chodź do nas, Iskandrze! – zaintonowali kapłani.

Nacisk wzmógł się.

– Nie! – krzyknęło dziecko.

I obudziło się w swoim łóżku. Jego ciało drżało, pot spływał mu po

skórze.

Lolon wszedł ukradkiem do królewskich ogrodów. Przemykając w cieniu

drzew, rozglądał się za wartownikami. Jego ręka opadła na rękojeść

sztyletu,

który miał u boku, co dodało mu otuchy.

„Dziecko jest opętane – przypomniał sobie. – Nie zabiję przecież

prawdziwego dziecka”. Macedończycy natomiast bez wahania zamordowa-

li jego dwóch synów w Metone, kiedy ich gromady wpadły przez wyłom

w murach obronnych. Zabili wszystkich, którzy stanęli im na drodze...

Strze-

gący wałów najemnicy zginęli jako pierwsi, po nich padli miejscy

gwardziści.

Później przyszła kolej na obywateli – wielu mężczyzn wycięto w pień

podczas ucieczki, kobiety zgwałcono, dzieci zarżnięto... Tych, którzy

ocaleli,

Macedończycy spędzili na główny plac. Lolon próbował osłonić swoją

żonę,

Kasę, i synów. Cóż jednak mógł zrobić przeciw uzbrojonym żołnierzom?

Zabrali Kasę i inne kobiety, dzieci zarżnęli, a z ich maleńkich

ciałek usypali

kopiec. Potem przegnali mężczyzn na północ, kobiety zaś na wschód; tam czekały statki, którymi odplynęły na niewolnicze rynki Azji. Miasto zostało zniszczone, całkowicie zburzone... Ludność sprzedana w niewolę...

Lolon poczuł ciężar swego strapienia i na chwilę usiadł na miękkiej ziemi.

Lzy trysnęły mu z oczu. Nigdy nie był bogaty. Wytwarzał tylko sandały...

Dorabiał jak mógł i często chodził głodny, byle tylko Kasa i dzieci miały co jeść. Aż pewnego dnia przybyli Macedończycy ze swymi machinami oblężniczymi, z długimi włóczniami i ostrymi mieczami.

W sercu tyrana nie było miejsca dla niezależnego miasta w granicach Macedonii. O nie! Zegnijcie kolana albo umierajcie!

„Żałuję, że w ogóle dali mi wtedy wybór” – pomyślał Lolon.

Ale teraz – dzięki Ateńczykom – miał okazję odplacić się tyranowi krwią. Jedno pchnięcie nożem i książę-demon umrze. Wtedy Filip również pozna boleść straty.

Zabójca miał spierzchnięte usta. Zadrżał pod wpływem chłodu nocnego wiatru.

Popędzono go najpierw na północny zachód, do Pelagonii, gdzie nowych niewolników wykorzystywano do budowy fortec ciągnących się wzdłuż granic Ilirii. Przez rok Lolon rozkuwał skały w kamieniołomach, wieczorami zaś wytwarzał sandały dla innych niewolników. Pewnego dnia jego robotę dostrzegł jeden z macedońskich oficerów. Od tej pory nie musiał już morderczo pracować, otrzymał też lepszą kwaterę, ciepły koc i dobre jedzenie. Cały swój czas poświęcał na produkcję sandałów, butów i sztylp dla żołnierzy. W Metone jego pracę uważano za pospolite zajęcie, jednak barbarzyńscy Macedończycy uznali go za artystę, nie wiedząc, że jego talent faktycznie rozwinął się w niewoli. W końcu rzemieślnik został z wielkim zyskiem odsprzedany do gospodarstwa domowego Attalosa, królewskiego szermierza.

"70

Wtedy pojawili się w jego życiu Ateńczycy. Spacerował akurat po rynku, gdzie zamawiał skórę, i zatrzymał się, by wychylić puchar zimnego napoju.

– My się chyba znamy, przyjacielu – odezwał się czyjś głos i Lolon się odwrócił. Mówca był niski, korpulentny, łysy i brodaty. Metończyk nie pamiętał go, ale zerkając na jego sandały, przypomniał sobie, że wykonał je dwa lata wcześniej... Na miesiąc przed wtargnięciem Macedończyków.

– Tak, pamiętam cię – odparł tępo.

Wraz z upływem tygodni widywał mężczyznę imieniem Gorinos coraz częściej. Najpierw rozmawiał z nim o lepszych czasach, potem, gdy już bez oporów dawał upust swojej goryczy, o nienawiści. Ateńczyk okazał się dobrym słuchaczem i mężczyźni szybko się zaprzyjaźnili.

Pewnego ranka podczas spotkania na rynku Gorinos przedstawił Lolonowi swego towarzysza. We trzech poszli do małego domku za agorą. Tutaj zrodził się spisek. Gorinos oświadczył, że trzeba zabić małego demona. Potem Lolon miał pojechać z przyjaciółmi do Aten.

Początkowo odmówił, lecz mężczyźni umiejętnie podsycali jego niechęć.

Przypomnieli mu, jak Macedończycy zabijali metońskie dzieci:
najmłodsze
z nich brali za kostki i rozbijali im głowy o mury...
– Tak! Tak! – krzyknął Lolon. – Zemszczę się!
Teraz kulił się pod drzewami i spoglądał w okno Aleksandra. Wszedł
z cienia i podbiegł do ściany. Serce biło mu szaleńczo. Przez boczne
drzwi
wślizgnął się do korytarza. W ciemnościach poruszał się bardzo
ostrożnie.
Gdy wchodził na schody, co kilka kroków zatrzymywał się i
nasłuchiwał, czy
nie nadchodzą wartownicy. Ateńczycy zapewnili go, że przed wejściem
do
pokoju Aleksandra nie ma żadnych straży, jedynie na końcu korytarza
trzy-
mało wartę dwóch wojowników.
Przystanął na szczycie schodów i rozejrzał się. Żołnierze stali około
dwudziestu kroków od niego. Rozmawiali przyciszonymi głosami, do
przy-
czajonego zabójcy docierały ich szepty. Omawiali zbliżające się
wyścigi
konne. Żaden nie patrzył w stronę Lolona, więc Metończyk szybko
przemknął
przez korytarz i przywarł plecami do drzwi sypialni chłopca.
Powoli wyciągnął sztylet.
Aleksander spuścił nogi z łóżka i zeskoczył na podłogę. Sen ciągle
trwał
żywo w jego pamięci. Złote loczki dziecka posklejały się od potu.
Poświata
księżycowa wpadała przez otwarte okno do jego pokoju, oblewając sufit
bladym, białym światłem.
Chłopcu ciągle jeszcze huczały w głowie głosy. Powtarzały szeptem:
„Iskandrze! Iskandrze! Chodź do nas!”
– Nie – szepnął. Usiadł pośrodku kozłowego dywanika i zatkał rękoma
uszy. – Nie! Nie pójde! Jesteście tylko senną marą. Nie jesteście
realni!
Dywanik był ciepły, więc Aleksander położył się na nim i zapatrzył
w oświetlony księżycem sufit.
Pokój wydawał się nieco dziwny. Chłopiec rozejrzał się wokół siebie,
zupełnie zapominając o swoim śnie, ale nie dostrzegł niczego
nadzwyczajne-
go. Jego żołnierzyki nadal leżały na podłodze obok maleńkich machin
oblęż-
niczych, a książki i rysunki spoczywały na stoliczku. Wstał, podszedł
do okna
i wspiał się na stojącą ławkę, aby wyrzeć do ogrodu. Wychylił się
przez
parapet, spojrział w dół i zobaczył... księżyc.
Ogrody zniknęły, a wszędzie dokoła pałacu lśniły gwiazdy – ponad nim
i pod nim, po lewej i po prawej. W oddali nie było już gór ani równin
czy
wzgórz, żadnych dolin czy lasów, tylko aksamitna ciemność
wszechogarniające-
go nieba.
Dziecko zapomniało o strachu i, zdumione, zatraciło się w tym cudzie.
Aleksander nieczęsto się budził w nocy, w gruncie rzeczy nie wiedział
więc,
jaki wówczas jest świat. Może właśnie taki? W każdym razie nikt dotąd
mu
o tym nie opowiadał... Księżyc wyglądał niewiarygodnie, nie był wcale
srebrnym dyskiem, lecz poznaczoną rysami i wgnieceniami tarczą, która
przetrwała zapewne wiele bitew. Chłopiec zauważył na powierzchni
ślady po
strzałach i kamieniach, szramy po cięciach mieczem.

Gwiazdy również wydały mu się odmienne od znanych. Były idealnie okrągłe, przypominały pociski wystrzeliwane z procy, jarzyły się i pulsowały.

W oddali zauważył jakiś ruch... wybuch światła... smoka z ognistym ogonem.

.. Potem obraz zniknął. Drzwi za dzieckiem otworzyły się bezszelestnie, ale ono i tak nie było świadome niczego z wyjątkiem piękna tej gwieździstej nocy.

Lolon spostrzegł chłopca przy oknie. Cicho zamknął drzwi, po czym ciężko przełknął ślinę i ruszył przez pokój. Nagle nadepnął na drewnianego żołnierzyka, który pękł z głośnym trzaskiem. Książę spojrzał na niego.

– Popatrz tylko – odezwał się. – Czyż to nie jest cudowny widok?

Gwiazdy są wszędzie.

Metończyk wyjął sztylet, tymczasem chłopiec ponownie odwrócił się ku oknu i wychylił.

„Wystarczy jedno pchnięcie i będzie po wszystkim” – przemknęło zabójcy przez myśl. Wyprostował się i wycelował ostrze sztyletu w wąskie plecki.

Aleksander nie był wiele starszy od jego pierwotnego syna...

„Nie myśl w ten sposób! – zganił się. – Pomyśl o zemście! I o bólu, którym ukarzesz tyrana!”

Nagle chłopiec krzyknął i stracił równowagę. Jeszcze chwila i wypadnie

przez okno. Lolon mimowolnie wyciągnął dłoń, chwycił dziecko za nogę i wciągnął z powrotem. Równocześnie poczuł na całym ciele okropny, roz-

dzierający ból. Skrytobójca zatoczył się i chwycił kurczowo za pierś. Bolesne

kłucie skondensowało się w kulę żywego ognia, która zapłonęła w jego sercu,

i w chwilę później Metończyk padł na kolana, łapczywie chwytając powietrze.

– Przepraszam! Przepraszam cię! Przepraszam! – lamentował Aleksander, zapomniawszy o gwiazdach. Zabójca zaczął konwulsyjnie drżeć, potem

runął na podłogę twarzą w dół.

– Pobiegnę po pomoc – krzyknął książę. Ruszył ku drzwiom i otworzył je ostrym szarpnięciem. Tyle że za drzwiami nie było już korytarza – ani

śladu kamiennych ścian, żadnych swojskich draperii. Za pokojem znajdowała

się tylko ogromna, mroczna, nieprzeparta noc. Chłopiec zachwiał się na

krawędzi przepaści. Rozpaczliwie krzycząc, spadł... między gwiazdy.

Gdy pędził przez niebo, usłyszał wokół siebie głośne krzyki:

– Nadchodzi! Złotowłose dziecko nadchodzi! – wykrzykiwał triumfalnie kapłan.

Aleksander wrzasnął i ponownie dostrzegł twarz mężczyzny, który przypominał jego ojca... Przez brodate oblicze przemknął grymas

pożądania.

Złote oko mężczyzny połyskiwało niczym ognista kula.

Świątynia w Azji Mniejszej

Pacjent miał słabe serce, zastawki – nadwerężone i nieelastyczne.

Wypełnione odną płuca potężnie mu się rozrosły, zniekształcając klatkę piersi-

ową. Był w stanie przejść zaledwie kilka kroków, po czym wyczerpanie zmuszało go do odpoczynku. Derae siedziała przy jego łóżku. Rękę położyła

mu na piersi i spoglądała na jego wymęczoną twarz.

– Nic me mogę dla ciebie zrobić – oświadczyła smutno. Zauważyła, że iskra nadziei znika powoli z jego oczu.

– Daj... mi... jeszcze tylko... kilka dni – błagał słabiutkim głosem.

– Nawet tyle nie potrafię zrobić – odparła, ujmując go za rękę.

Obok łóżka jego żona zaczęła histerycznie płakać.

– A zatem... wkrótce... czy tak? – wyszeptał.

Derae skinęła głową. Głowa mężczyzny opadła na poduszkę.

– Proszę, pomóż mu! – błagała żona umierającego, rzuciwszy się przed uzdrowicielką na kolana.

Leżący na łóżku chory nagle się wyprężył. Twarz mu zsiniała, usta zaś otworzyły się, choć nie wydobyło się z nich żadne słowo... Jedynie długie przerywane westchnienie.

– Nie! – krzyknęła kobieta. – Nie!

Kapłanka wstała i wyszła powoli z komnaty ołtarzowej. Gestem odprawiła służących, którzy natychmiast poderwali się, by jej towarzyszyć. W korytarzach panował chłód i Derae drżała podczas powrotu do pokoju.

Nieoczekiwanie zastąpił jej drogę jakiś mężczyzna.

– Uprawdzili go – stwierdził Arystoteles.

Zamknęła oczy.

– Jestem potwornie znużona. Nie bardzo ci się przydam. Odejdź. – Odsunęła go na bok i z wysiłkiem ruszyła dalej. Stojący za nią Arystoteles włożył rękę do woreczka, który miał u boku. Wyjął zeń złoty kamień.

Kapłanka nie zatrzymywała się. Jej umysł nadal wypełniały przygnębiające myśli o kupcu. Nie zdołała zapobiec śmierci tego człowieka.

Wzięła ogromny haust powietrza, który ją odświeżył i orzeźwił. Wrażenie było osobliwe, gdyż zmęczenie błyskawicznie zniknęło. Zaskoczona kobieta odkryła, że nie czuła się tak dobrze od lat. Przypomniała sobie zimno morskiej wody. Jak przyjemnie było zbiec na plażę, a później brodzić w kryształowo czystych wodach. Ciepłe słońce grzało jej plecy...

Aż się uśmiechnęła na to wspomnienie. Minęło sporo czasu od dnia, kiedy po raz ostatni opuściła świątynię i weszła na ścieżkę klifową. I od dawna już nie odczuwała takiego głodu. Była niezmiernie głodna!

Pchnięciem otworzyła drzwi do swego pokoju i podeszła do okna. „Jakże klarowne jest powietrze” – pomyślała, spoglądając na morze. Nad klifami krażyły białe mewy. Wyraźnie dostrzegała każdego ptaka, kiedy kołował i pikował ku wodzie. Nawet chmury wydawały się ostro nakreślone. Z zaskoczeniem uświadomiła sobie, że nie używa już duchowych oczu. Ślepotą ustąpiła. Kapłanka przypatrzyła się swoim dłoniom. Skóra na nich była gładka i pozbawiona zmarszczek.

Ciałem kobiety szarpnął gniew. Obróciła się, by stawić czoło magusowi, który stał milcząco w progu.

– Jak śmiesz! – zagrzmiała. – Jak śmiesz mi to robić!

– Potrzebuję cię – wyjaśnił spokojnie, wchodząc do pokoju i zdecydowanym ruchem zamykając za sobą drzwi. – Cóż strasznego jest w młodości, Derae? Czego się tak boisz?

– Niczego się nie boję! – krzyknęła. – Niczego poza cierpieniem, którego nie umiem uleczyć. Widziałeś tamtego mężczyznę, którego do mnie przynieśli? Był dobry i opiekuńczy. Ale jego serce nie chciało bić, a

ja nie
potrafiłam go uzdrowić. Tego się właśnie boję... Długiego życia,
podczas
którego spotkam tysiące cierpiących ludzi. Sądysz, że pragnę znowu
być
młoda? Po co? W jakim celu? Całe moje życie to pasmo porażek, nie
ziściło
się żadne z moich pragnień. Wszystkiego mi odmówiono. Dlaczego
miałabym
chcieć żyć jeszcze dłużej?
Arystoteles ruszył ku niej przez pokój. Jego twarz odzwierciedlała
szczerzy
smutek.
– Skoro sobie życzysz... w takim razie, przywrócę ci poprzednią
postać.
Ale najpierw mi pomóż. Proszę cię. Pomożesz Parmenionowi?
Derae podeszła do lustra i popatrzyła na odbicie młodej kobiety,
która
zdażyła już niemal zapomnieć. Kobiety, którą niegdyś była. Głęboko
wes-
tchnęła, po czym pokiwała głową.
__ pójdę z tobą. Najpierw jednak musisz odmienić moją twarz.
Strategos
nie może mnie poznać... Rozumiesz?
__ Stanie się wedle twego życzenia – obiecał.
__ Chyba zbyt pośpiesznie wykonałeś wyrok na wartownikach –
oświadczył Parmenion, starając się zapanować nad gniewem.
__ Ciekawym, co ty byś zrobił, Spartaninie? – zadrwił Attalos. – Może
ich awansował, co?
Wódz odwrócił się od zabójcy i skupił na królu, który siedział
zgarbiony
na tronie. Twarz miał szarą z wyczerpania, oczy zaćmione. W ciągu
dwóch
dni, które upłynęły od zniknięcia jego syna, Filip nie przespał ani
chwili. Trzy
tysiące gwardzistów przeczesало miasto; przeszukali każdy dom,
łącznie
z poddaszami i piwnicami. Jeźdźcy nieustannie pędzili po okolicy i
wypyty-
wali o obcych podróżujących z dzieckiem lub dziećmi.
Wszystko na próżno. Aleksander zniknął bez śladu.
– Panie... – odezwał się Parmenion.
Król podniósł przygasłe cierpieniem oczy.
– Co takiego?
– Wartownicy, których straciłeś... Powiedzieli coś?
Filip wzruszył ramionami.
– Obrzucili nas nonsensami, niewiarygodnymi zmyśleniami. Nawet nie
pa-
miętam wszystkiego, co mówili. Cos' o gwiazdach... Powiedz mu,
Attalosisie.
– Po cóż, panie? Ich bełkotliwe wyznania ani na krok nie zbliżą nas
do
odnalezienia księcia. Pletli te brednie w nadziei na uratowanie
gardeł. Według
mnie, porywacze przetrzymują gdzieś Aleksandra dla okupu. Na pewno
niedługo się z nami skontaktują.
– Opowiedz mu tak czy owak – polecił ostro Filip.
– Hmm... Twierdzili, że korytarz zniknął, a ich powalił na ziemię
podmuch silnego wiatru. Podobno widzieli jedynie gwiazdy, a krzyk
księcia
słyszeli jakoby z ogromnej odległości. W trakcie opowieści obaj stale prze-
klinali. Sami wiedzieli, że to istne szaleństwo.
– Może i tak, Attalosisie – odrzekł Spartanin cicho – gdyby wszakże

w grę wchodziło twoje życie, wymyśliłbyś tak absurdalną historię?
– Oczywiście, że nie. Czyli sądzisz, że mówili prawdę? – Zabójca zachichotał i potrząsnął głową.
|– Nie mam pojęcia, jak wygląda prawda... Jeszcze tego nie wiem. Jednak strażnicy przy bramie twierdzą, że nikt obok nich nie przechodził.
Wartownicy na murach również nie donieśli o żadnych krzykach ani wrzaskach. A jednak książę zniknął. Zidentyfikowałeś znalezione w jego pokoju ciało?
– Nie – przyznał Attalos. – Niemal całkowicie zgniło.
– Sprawdziłeś stan osobowy pałacowych niewolników? Może któregoś brakuje.
– Dlaczego mniemasz, że ów człowiek był niewolnikiem? – spytał Filip.
– Pozostała po nim tylko tunika. Była marna. Nawet służący noszą lepsze.
– Trafne spostrzeżenie – oznajmił król. – Dopilnuj tej sprawy, Attalosie. Na co czekasz?! – dodał ostro, widząc, że wojownik zamierza się odezwać. Mężczyzna poczerwieniał, skłonił się i wyszedł z sali tronowej.
– Musimy go znaleźć – rzucił król Parmenionowi. – Musimy!
– Odszukamy go, panie. Wierzę, że żyje. Gdyby go zamordowali, do tej pory natrafilibyśmy już na ciało.
Władca podniósł wzrok. W jego zielonym oku błysnęło dzikie światło.
– Kiedy znajdę odpowiedzialnych za ten czyn, będą cierpieć katusze, jakich nie zaznał nikt przed nimi. Dopilnuję, żeby umarli w męczarniach, przy których Tartar to drobiazg... A także ich rodziny. I ich miasto. O mojej zemście ludzie będą mówić przez tysiące lat. Przysięgam!
– Najpierw go znajdziemy – zauważył strategos.
Filip chyba go nie usłyszał. Potarł ślepe oko i wstał z tronu. Pięści zaciskał tak mocno, że kłykcie pobielewały mu niczym kość słoniowa.
– Jak mogło do tego dojść? – syknął. – Jak się mogło to przydarzyć mnie?! Filipowi Macedońskiemu?! – Parmenion zachował milczenie. Miał nadzieję, że mordercza wściekłość władcy w końcu minie. W tym nastroju król zawsze był nieprzewidywalny. Strategos nie opowiedział mu o Persie Parzalamisie, a i Motakowi nakazał dyskrecję. Wiedział bowiem, że – niezależnie od koncepcji Filipa-Macedończycy nie są jeszcze przygotowani do wojny z imperium. Ciało Persa w tajemnicy spalili w posiadłości. Wprawdzie faktu zgładzenia trzech zabójców nie sposób było ukryć przed królem, nikt wszakże nie wiedział, skąd ci ludzie pochodzili i kto ich nasał.
Parmenion stał i w milczeniu obserwował króla. Rana na udzie swędziała go i mimowolnie podrapał ją przez płócienny bandaż. Filip dostrzegł ten ruch i uśmiechnął się.
– Nieźle się sprawiłeś, Spartaninie – rzekł. – Nie jest łatwo zabić trzech morderców... Ale sam powiedz. Ile razy ci powtarzałem: „Zatrudnij strażę w swoim majątku. Nie prowokuj losu”?
– Wiele razy, panie. Od dziś będę słuchał twoich rad.
Filip ponownie opadł na tron.
– Dziękujemy bogom, że nie ma z nami Olimpias. I, na Zeusa, mam nadzieję, że odnajdziemy Aleksandra, zanim nowiny dotrą do Epiru. W

prze-

ciwnym razie ta mściwa harpia zagrozi, że wydrze mi gołymi rękoma serce z piersi.

__ Odszukamy go – obiecał strategos, starając się nasaczyć swój głos pewnością, której wcale w sobie nie czuł.

__ Stracenie wartowników faktycznie było głupie – przyznał się Filip.

__ Gniew mnie zaślepił. Sądysz, że porwanie może mieć coś wspólnego z czarami?

__ Niestety, w całej sprawie jest zbyt wiele niewiadomych – odparł Spartanin. – Kim był człowiek, którego ciało znaleziono w pokoju? Po co

przyniósł sztylet? Czy miał zabić księcia? Jeśli tak, czy działał w pojedynkę?

A wartownicy... Co mieli na myśli, mówiąc o gwiazdach? Niewiele w tym wszystkim sensu, Filipie. Gdyby chłopca zabito, znaleźlibyśmy ciało.

Dlaczego

go zatem został uprowadzony? Dla okupu? Komu potrzebne takie bogactwo?

Nie wydałby go przez całe życie. Przypuśćmy... ot tak, dla spokoju sumienia,

że niczego nie przeoczyliśmy, że porwanie zorganizowali Olintianie.

Ale

przecież nie są głupcami. Wiedzą, że armia Macedonii natychmiast zniszczy-

łaby ich kraj. Ziemie Chalkidike spłynęłyby krwią...

– Ateny – mruknął Filip. – Ateńczycy zrobiliby wszystko, by zadać mi cierpienie. Tak, Ateńczycy...

Parmenion powtórnie zauważył błysk w oku króla, więc szybko mu przerwał:

– Nie sądę – oświadczył cicho. – Demostenes robi wielki szum wokół twojej tyranii i twoich rzekomych zakusów na demokrację... Jego słodkie

niczym miód słowa uwiodły już wielu ambasadorów pomniejszych miast.

Sądysz, że chce otrzymać miano dzieciobójcy? Wątpię. Gdyby Ateńczycy faktycznie wysłali zabójców, ich ofiarą padłbyś ty, a nie Aleksander.

Co

powiedziała kapłanka, którą zawiodłeś do komnaty księcia?

– Phi! – prychnął władca. – Stara wariatka. Krążyła po pomieszczeniu i udawała, że rozmawia z duchami. A na końcu... nie potrafiła mi nic konkretnego powiedzieć.

– Nic nie mówiła?

– Stwierdziła, że ducha chłopca nie ma już w Macedonii. Ani też w Hadesie. Sam pomyśl, jak to możliwe? Zniknął nie dalej niż pół dnia temu.

Nawet gdyby zabrał go stąd orzeł, też nie doleciałby przez ten czas do granic

mojego kraju. Zgrzybiała, stara wiedźma! Ale wiesz, co? Wyglądała na szczerze przerażoną. Drżała, gdy wchodziła do sypialni.

– Powinieneś odpocząć – doradził Parmenion. – Połóż się do łóżka.

I poślij pojedna z twoich żon.

– Spotkanie z kobietą jest ostatnią rzeczą, której potrzebuję, przyjacielu.

Niewiasty nijak nie potrafią ukryć rozkoszy. Mój syn i dziedzic zniknął...

Może nie żyje! A moje żony nie potrafią myśleć o niczym innym poza rozwarciem nóg i nadzieją na dostarczenie mi kolejnego dziecka. Nie, nie. Nie

odpocznę, póki nie poznam prawdy.

Do sali tronowej wszedł Attalos. Skłonił się.

– Zniknął pewien niewolnik panie – oznajmił. Jego twarz była szarajak popiół. – Na imię ma Lolon. To wytwórca sandałów, Metończyk.

– Co o nim wiesz? – spytał Parmenion z kamiennym spokojem.

– Kupiłem go kilka miesięcy temu od komendanta Pelagomi. Był do-

brym robotnikiem, a według innych niewolników – cichym, zamkniętym w sobie mężczyzną. Nic więcej me wiem.

– Co ten człowiek robił w pokoju mojego syna? – zagrmiał Filip. – Jak się w ogóle dostał do pałacu?!

– Nie wiem, panie, jednak wyznał Melissie, jednej z moich niewolnic, że miał kiedyś w Metone rodzinę. Jego dzieci zabili nasi żołnierze, żonę zaś sprzedano do niewoli. – Fechtmistrz odchrząknął i głośno przełknął ślinę. – Sądzę, że powodowała nim osobista zemsta. Władca zerwał się z tronu.

– Musiał mieć współników... W przeciwnym razie, gdzie jest Aleksander? Ilu jeszcze Metończyków wprowadziłeś do pałacu?

– Żadnego, panie. Zresztą, wcale me wiedziałem, że Lolon pochodzi z Metone. Przysięgam!

– To nie wina Attalosa, królu – zauważył Spartamn. – Szturmowaliśmy mnóstwo miast i zalaliśmy nasz kraj niewolnikami. Dlatego właśnie w chwili obecnej człowieka można kupić ledwie za czterdzieści drachm, choć trzy lata temu trzeba było zapłacić dwieście. Prawie każdy niewolnik w Pełli miałby powód, by cię zabić.

– Mam w nosie ich nienawiść! – warknął Filip. – Ale masz rację. Parmenionie, fechtmistrz nie jest niczemu winien. – Odwrócił się do dowódcy straży i poklepał go po ramieniu. – Wybacz mi mój gniew, przyjacielu.

– Był w pełni zrozumiały, panie, sam jestem na siebie wściekły za to niedopatrzenie – odparł Attalos i skłonił się. Później, kiedy Spartamn usiadł sam w jednej z czterdziestu pałacowych komnat gościnnych, fechtmistrz przyłączył się do niego.

– Dlaczego mnie bronisz? – spytał. – Nie jestem twoim przyjacielem... I me pragnę nim być.

Parmenion zajrzał w zimne oczy mężczyzny i dostrzegł w nich napięcie. Attalos przybrał srogą minę. mocno zaciskając wąskie usta, które teraz wyglądały niemal jak szrama.

– Nie chodzi o przyjaźń, mój drogi – odparł – tylko o prawdę. Cóż, nie cieszy mnie twoje towarzystwo, a zatem jeśli nie masz nic więcej do powiedzenia, bądź tak uprzejmy i zostaw mnie w spokoju. Attalos wszakże me odszedł. Wręcz przeciwnie – wszedł głębiej do pokoju, usiadł na krześle z wysokim oparciem i nalał sobie puchar rozwodnionego wina. Przez chwilę saczył je powoli.

– No dobrze – odezwał się w końcu. – Sądziś, że opowieść o gwiazdach jest ważna?

– Nie wiem – przyznał Spartamn – ale zamierzam się tego dowiedzieć.

– Niby w jaki sposób?

– Gdy po raz pierwszy przybyłem do Macedonii, spotkałem pewnego tnatusa, mężczyznę o wielkiej mocy. Odszukam go. Jeśli w porwaniu Aleksandra wykorzystano czary, mój czarodziej będzie o tym wiedział. I odgadnie ich źródło.

– A gdzie znajdziesz tego... człowieka magii?

– Będzie siedział na skale – odparł Parmenion.

Imperium o nazwie Makedon

Aleksander otworzył oczy i zadrżał z zimna. Leżał w błocie, wokół panowała nieprzenikniona ciemność. Pamiętał, że krzyczał przerażony... Pamiętał, że spadał przez mieniące się miriadami gwiazd niebo, a kiedy jaskrawe światło w tysiącu barwach zapłonęło mu przed oczyma, stracił

przytomność. Teraz wokół niego nie było już kolorów. Otaczał go jedynie odrętwiający chłód i mrok górskiej nocy. Wstał. Już miał odejść, gdy nagle usłyszał głosy, więc instynktownie przykucnął i zapatrzył się na zacienioną linię drzew, z której dochodziły groźne dźwięki.

– Przysięgam ci, panie, że dziecko jest tutaj. Moje zaklęcie ściągnęło je na wzgórze. Ostrzegałem cię jednak, że to miejsce może nie być tym właściwym. W każdym razie chłopiec przebywa najdalej w promieniu stu kroków stąd.

– Znajdź go albo nakarmię twoim sercem drapieżne worgule. Chłopiec ponownie zadrżał, chociaż tym razem nie z zimna. Jeden z głosów brzmiał jak jego ojca, lecz był głębszy i bardziej lodowaty. Aleksander nie dostrzegał mówiących, wiedział jednak, że się zbliżają. W pobliżu rosły krzewy, więc wczuł się między nie i skulił. Jasne światło pochodzące z wielu pochodni zamigotało wśród drzew i chłopiec zobaczył w jego blasku mężczyznę o złotym oku, który wszedł na stok. Obok niego stanął kapłan w ciemnych szatach, za nimi zaś szło dwudzie-
stu wojowników. Trzymali smolne szczapy wysoko i dokładnie penetrowali zarośla. Podczas szukania, rozsuwali paprocie długimi lancami. Pokryta liśćmi gleba była wilgotna i miękka. Aleksander głęboko wbił w nią palce, przetoczył się cicho na plecy, po czym nałożył na siebie garście ziemi oraz zgniłej roślinności. Czuł, jak insekty biegają w panice po jego korze; mały robak prześlizgnął się po jego lewej łydce. Ignorując niewygodę, omazał błotem twarz i włosy. Z bijącym sercem czekał na żołnierzy.

— Tysiąc drachm dla tego, który znajdzie dziecko! — zawołał król.

— Tak jest! — ryknęli wojownicy, salutując pochodniami.

Ze swojej kryjówki chłopiec dostrzegał jedynie nogi zbliżających się prześladowców. Byli boso, na łydkach zaś mieli ochronne nagolenniki ze spiżu, ozdobione zawiłymi wzorami. Ornamenty różniły się, lecz w centrum każdego znajdował się ten sam motyw przypominający okolone promieniami słońce. Aleksander mocno się zdziwił, gdy Ź takie samo słońce stanowiło godto Macedonii, a jednak zbroje wojowników nie wyglądały ani na macedońskie, ani na frygijskie — napierśniki były bardziej wyszukane, natomiast hełmy udekorowane kruczymi skrzydłami, nie zaś pióropuszcami z końskiego włosa, które nosili gwardziści jego ojca.

Mimo strachu żołnierze zaintrygowali chłopca. Nie przypominali żadnych wojów, których widział w życiu, na obrazach czy też ściennych malowidłach.

W tym momencie powietrzem targnął potężny grzmot i niebo przecięła błyskawica.

Nagle nad chłopcem pojawiła się lanca. Gdy jej właściciel rozchylił gałęzie krzewu, zastygła na moment, po czym zniknęła. Mężczyzna poszedł

dalej.
Aleksander pozostał w miejscu, aż wszystko całkowicie ucichło. W końcu,
gdy deszcz przestał padać, zmarznięty wypełził z kryjówki i wspiał się na stok.
Podniósł głowę i zapatrzył się w gwiazdy na bezchmurnym niebie. Natych-
miast poczuł strach, zdał sobie bowiem sprawę z faktu, że żadnej z nich nie
zna. Gdzie podział się Łucznik i Wielki Wilk, gdzie Człowiek z Włócznie
i Matka Ziemia? Wyszukał Gwiazdę Północną i badawczo przyjrzał się nie-
biosom. Nie, ani jednej znanej mu gwiazdy.
Szukający go żołnierze zeszli już z góry. Chłopiec zdecydował się pójść
w przeciwnym kierunku.
Linia drzew pogrążona była w posępnej ciemności, lecz Aleksander prze-
kłęknął lęk i wszedł głębiej w las. Po chwili ujrzał ołtarz ze swego snu. Stał na
małej polanie, złowieszczy i groźny, otoczony popekanymi kolumnami. A za-
tem to tutaj próbowali go wezwać kapłani.
Polana była pusta, chociaż pod rozłożystym dębem ciągle jeszcze tliło się
małe ognisko. Aleksander podbiegł do ognia, kłękł przy nim i dmuchnię-
ciem nieco rozjarzył dogasające polana. Poszukał suchego drewna, lecz nie
znalazł żadnego, usiadł więc przy zamierającym blasku i przytrzymał roztrzę-
sione rączki nad resztkami ciepła.
— Gdzie jestem? — szepnął. — Jak wrócę do domu? — Łzy trysnęły mu z oczu. Ogarnęło go przemożne przerażenie. — Nie będę płakał —
powiedział
sobie dzielnie. — Wszak jestem synem króla.
Podniósł mokre gałązki i położył je w gorącym popiele na krawędzi ognia,
aby wyschły, potem wstał i zaczął się rozglądać po polanie.
Koniecznie
potrzebował więcej suchego drewna na ognisko, inaczej umrze z wyziębienia.
Co rusz przechodziły go dreszcze i drętwiały mu palce. Ponieważ na ołtarzu
nic nie leżało, ruszył w las. Tutaj mrok był jeszcze gęstszy, gałęzie drzew
tworzyły coś na kształt nieprzenikalnego baldachimu. Jednakże teren był
suchszy, toteż chłopiec znalazł sporo popekanych gałęzi. Zebrał ich naręcze
i wrócił do ognia.
Cierpliwie pracował nad podsyceniem nikłego ognia. Starał się go nie zdusić,
więc dokładał jak najmniejsze gałązki, bardzo powoli karmiąc tańczą-
ce języki płomienia. W końcu drżące ciało dziecka zaczęło się rozgrzewać.
Trzy razy jeszcze wracał w głąb lasu. Gromadził zapasy drewna, dzięki którym
miał nadzieję przetrwać noc. Podczas czwartej wędrówki wydało mu się,
że słyszy w ciemnościach jakiś dźwięk. Przystanął. Cisza, po chwili jednak
chłopiec wychwycił ukradkowe kroki, które napełniły go paniką.
Upuści!

drewno i pognął do ogniska. Pędem przebiegł polanę, potem kucnął przy ogniu, wyszarpnął płonącą gałąź i uniósł wysoko nad głowę. Z lasu wypadło stado szarych wilków. Polowały. Błyskawicznie go okrążyły. Ich żółte oczy jarzyły się złowrogo, lśniły obnażone kły. Były to ogromne bestie, większe nawet niż bojowe psy ojca Aleksandra, a chłopiec nie posiadał żadnej broni z wyjątkiem płonącej gałęzi. Wyczuł ich głód. Wgryzał się w jego umysł, podchodząc do niego falami. Bały się ognia, lecz puste brzuchy dodawały im odwagi. Chłopiec stał zupełnie nieruchomo. Zamknął oczy i skoncentrował się na swoich umiejętnościach. Przebił się mentalnie przez barierę głodu i wściekłości, wyszukał przywódcę stada, dotknął jego duchowego jądra i wniknął w jego wspomnienia. Narodziny w mrocznej jaskini, wczesne niewinne bójki z braćmi i siostrami, późniejsze dużo bardziej zacięte walki i bitwy w okresie dorastania, krwawe potyczki o przywództwo... Blizny i ból, długie polowania, zwycięstwa. W końcu dziecko otworzyło oczy. Ty i ja jesteśmy jednością – przesłał mu myśl wielki szary wilk, następnie zadarł łeb i zbliżył się do niego. Aleksander odłożył gałąź w ognisko i czekał, aż zwierzę podejdzie. Jego szczęki znalazły się na wysokości twarzy dziecka. Chłopiec ostrożnie wyciągnął rękę i pogłaskał włochatą głowę, a później splątane futro na szyi. Pozostałe wilki zaintrygowane kręciły się niespokojnie po polanie. Młody książę pozwolił swemu umysłowi na wędrówkę, błędząc myślami przez stok i las za stokiem, aż w końcu zdał sobie sprawę z bijącego gdzieś niedaleko w spokojnym rytmie serca. Należało do śpiącej łąni. Podzielił się tym wizerunkiem z przywódcą stada i wskazał na południe. Wilk odszedł dostojnym krokiem, stado zaś ruszyło za nim. Chłopiec opadł na kolana tuż przy ogniu. Był zmęczony i przestraszony, a równocześnie niezwykle z siebie dumny. Jestem królewskim synem – obwieścił głośno światu – i przeżyłem ciężki lęk. – No, no, nieźle ci poszło – odezwał się jakiś głos za jego plecami. Aleksander zamarł. – Nie bój się, dziecko – powiedział mężczyzna, który podszedł do chłopca i przykucnął obok ognia. – Nie jestem twoim wrogiem. – Przybysz był niewysoki, włosy miał krótko przycięte i siwe, brodę mocno kręconą. Nosił spódniczkę ze skóry i łuk przewieszony przez szerokie ramiona. Na polanę przytruchtał również jego koń. Nie miał czapraka ani uzdy, a jednak stanął tuż za mężczyzną i wsunął mu nos pod pachę. – Spokojnie, Kajmalu – szepnął wojownik i pogładził wierzchowca po chrapach. – Wilki już odeszły. Ten młody książę wyprawił je w pogoń za łąnią. – Dlaczego nie wyczułem twojej obecności? – spytał Aleksander. –

I czemu wilki nie złapały twojego zapachu?

– Na oba pytania jest ta sama odpowiedź... Ponieważ nie chciałem, by mnie znalezione.

– Jesteś zatem magusem!

– Magusemi nie tylko – odparł przybysz. – Lecz mimo moich rozlicznych przymiotów mam jeden irytujący nałóg: jestem z natury ciekawski i obecna sytuacja ogromnie mnie intryguje. Ile masz lat, chłopcze?

– Cztery.

Mężczyzna pokiwał głową.

– Jesteś głodny?

– Tak – przyznał Aleksander. – Nie widzę jednak u ciebie sakwy zjedzeniem.

Czarownik roześmiał się i zanurzył rękę w skórzanym woreczku, który nosił u boku. Woreczek był maleńki, a jednak (choć wydawało się to niemoż-

liwe) właściciel wyciągnął z niego wełnianą tunikę, którą rzucił chłopcu.

– Nasze oczy czasem nas zwodzą, a prawda jest ukryta głębiej, niż nam się zdaje – wyjaśnił. – Odziej się. – Książę wstał i włożył strój przez głowę.

Był idealnie dopasowany, skrojony z miękkiego, ciepłego materiału, obszyty

zaś skórą. Kiedy dziecko usiadło, wojownik obracał tuż nad płomieniami

żelazny szpikulec różna, na którym skwierczało mięso.

– Nazywam się Chiron – przedstawił się. – Witaj w moim lesie.

– Ja jestem Aleksander – odparł chłopiec. Aromat piekącego się jedzenia całkowicie zawładnął jego zmysłami.

– I synem króla. Którego króla, mój mały?

– Moim ojcem jest Filip, król Macedonii.

– Cudownie! – ucieszył się Chiron. – A jak się tutaj dostałeś?

Chłopiec opowiedział mu o śnie, nocy wypełnionej gwiazdami i swoim długim locie przez ciemność. Magus z uwagą wysłuchał jego opowieści, a później wypytał o Macedonię i Pellę.

– Ależ na pewno znasz mojego ojca – odparł zaskoczony Aleksander.

– Jest najpotężniejszym królem w całej Grecji.

– Grecja? Hmm... to ogromnie interesujące. Na razie posilmy się. –

Chiron zdjął mięso ze szpikulca i wręczył chłopcu sporą porcję.

Książę wziął

ostrożnie, obawiał się bowiem, że gorący tłuszcz oparzy mu palce.

Jednakże

mięso, chociaż dobrze upieczone, było zaledwie ciepłe i malec jadł je za-

chłannie.

– Zabierzesz mnie do ojca? – spytał z nadzieją po skończonym posiłku.

– Hojnie cię wynagrodzi.

– Obawiam się, mój chłopcze, że spełnienie twojej prośby wykracza poza moje możliwości.

– Dlaczego? Masz przecież konia. Na pewno nie jesteśmy daleko od domu.

– Nie mógłbyś być od niego dalej. Nie jesteś wcale w Grecji, ale w krainie zwanej Achaja. Rządzi nią Filippos, pan Makedonów. To król-
de-
mon. Właśnie on stał na wzgórzu. Jego kapłani wykradli cię z twojego pałacu.

Nadal cię poszukuje. I choć moja moc czasowo zablokowała magię jego złotego oka, cóż... Nie, Aleksandrze, nie mogę cię zabrać do domu.

– Jestem zatem zgubiony? – wyszeptał chłopiec. – Nigdy już nie zobaczę mojego ojca?

– Nie wysnuwajmy zbyt pochopnie ostatecznych wniosków – doradził Chiron, lecz jego szare oczy unikały spojrzenia Aleksandra.

– Po co ten... Filippos mnie ściga?

– Nie jestem pewien – odparł bez przekonania magus.

Chłopiec popatrzył na niego ostro.

– Chyba nie mówisz mi całej prawdy.
– Masz zupełną rację, młody książę. Proszę jednak, byś chwilowo mnie nie naciskał. Położymy się teraz spać, a jutro zabiorę cię do mojego domu.
Tam możemy zastanowić się, co dalej.
Chłopiec spojrział w szare oczy mężczyzny, nie wiedząc czy może mu zaufać. Decyzja była trudna. Chiron nakarmił go przecież i ubrał, nie wyrządzając mu żadnej krzywdy, lecz fakt ten nie stanowił bynajmniej wskazówki co do dalszych planów mężczyzny. Od ogniska buchało ciepło i Aleksander położył się przy ogniu z zamiarem przemyślenia całej sprawy...
I zasnął.
Obudził go dotyk męskiej dłoni na ramieniu. Magus łagodnie nim potrząsał. Minęło kilka minut, zanim chłopiec uprzytomnił sobie, że zabójcza moc, którą posiadał, w żaden sposób nie zraniła siwowłosego czarodzieja.
— Musimy stąd uciekać... I to zaraz – rzucił Chiron. – Makedonowie wracają!
— Skąd wiesz? – spytał Aleksander sennym głosem.
— Kajmal stale nas strzeże – wyjaśnił magus. – Wysłuchaj mnie, bo to co powiem, jest niezmiernie ważne. Spotkasz się z... innym przyjacielem.
Jego wygląd zaskoczy cię, lecz zaufaj mu. Musisz mu zaufać.
Wyjaśnisz, że Chiron kazał mu zabrać cię do domu. Powiedz mu, że gonia was Makedonowie i dlatego trzeba uciekać... Pod żadnym pozorem nie wolno mu walczyć.
Rozumiesz?
— A ty dokąd pójdziesz? – spytał chłopiec z lękiem.
— Nigdzie nie pójde – odparł Chiron, po czym wręczył mu łuk i kołczan.
— Obserwuj i ucz się. – Wstał szybko, podbiegł do rumaka, po czym się odwrócił i popatrzył na chłopca. Nagle wielka głowa wierzchowca spoczęła na ramieniu mężczyzny i przez chwilę obaj stali nieruchomo niczym posagi.
Aleksander zamrugał, ponieważ wydało mu się, że ponad mężczyzną i koniem powietrze zaczęło falować z gorąca. Nieoczekiwanie pierś Chirona spuchła, głowa porośla długim włosom, broda pociemniała. Potężne mięśnie wypełniły mu pierś, nogi naprężyły się i wykrzywiły, stopy zaś przekształciły się w kopyta.
Aleksander siedział zdumiony i niemal sparaliżowany, podczas gdy koń i magus złączyli się w całość. Łeb wierzchowca zniknął, z jego tułowia zaś wyrastał teraz męski korpus. Chłopiec pamiętał, że takie mitologiczne stworzenia nazywano centaurami. Dziwna istota tupnęła przednim kopytem i stanęła dęba, po czym na widok dziecka pokłusowała ku niemu.
– Kim jesteś? – zahuczał głos głęboki jak odległy grzmot. Książę stał i patrzył w zniekształconą twarz. Z Chirona nie pozostało prawie nic. Oczy były szeroko rozstawione i brązowe, twarz – pełna, broda w kolorze kasztanowym i prosta.
– Nazywam się Aleksander i mam dla ciebie wiadomość od Chirona – odrzekł.
– Jesteś bardzo mały. A ja taki... głodny.

– Chiron nakazał mi, abym cię ostrzegł przed Makedonami. Są bardzo blisko.

Centaur odchylił głowę w tył i wściekle zaryczał. Następnie zobaczył w ręku chłopca łuk i wyciągnął ku niemu przednią kończynę.

– Daj mi go. Pozabijam tych Makedonów.

– Chiron nalegał również, byś natychmiast ruszył do domu. Potrzebuje cię. Nie możesz walczyć z Makedonami.

Centaur przybliżył się do niego, opuścił wielką głowę i przypatrzył mu się z uwagą.

– Jesteś jego przyjacielem?

– Tak.

– W takim razie nie zabiję cię. Teraz oddaj mi łuk, a wrócę do domu.

– Chiron powiedział, że masz mnie ze sobą zabrać – skłamał szybko Aleksander, wręczając osobliwemu stworowi łuk i kołczan.

Centaur skinał głową.

– Możesz jechać na moim grzbiecie, istotno ludzka, ale jeśli spadniesz. Kamiron nie zatrzyma się dla ciebie.

Wyciągnawszy dłoń, pomógł wsiąść chłopcu, po czym klusem oddalił się z polany. Chłopiec ześlizgnął się i prawie spadł.

– Chwyć się mojej grzywy – polecił Kamiron. Aleksander uniósł wzrok. Dostrzegł długie włosy wyrastające z grzbietu centaura i złapał je obiema rękoma. Centaur przeszedł w cwał, potem w galop. Dotarł do linii drzew i wpadł między nie.

Bezpośrednio przed nimi stało mniej więcej pięćdziesięciu konnych. Kamiron wbił w ziemię przednie kopyta, zatrzymując się tak gwałtownie, że księżę ledwie uratował się przed upadkiem. Jeźdźcy dostrzegli go i rozpierzchli się półkolistą tyralierą, starając się schwytać go w pułapkę. Kamiron wyjął strzałę i napiął łuk.

– Pozabijam Makedonów – oświadczył gniewnie.

– Nie! – krzyknął Aleksander. – Jedź do domu. Do domu! Chiron cię potrzebuje!

Centaur odchrząknął i ruszył galopem. Makedońska strzała śmignęła nagle tuż przy jego głowie. W cwale Kamiron zwolnił cięciwę. Strzała przebiła na wylot pierś jednego z wojowników. Mężczyzna niczym piorunem spadł z wierzchowca. Cóż z tego, skoro kolejne strzały furkotały wokół nich jedna za drugą. Któraś z nich drasnęła przednie biodro centaura.

Kamiron wrzasnął bardziej z wściekłości niż z bólu, ale biegł nadal. Jeźdźcy niemal ich okrążyli i Aleksander poczuł narastającą rozpacz. W momencie gdy sądził, że zostali pokonani, centaur skręcił w prawo, wycełowując jednocześnie strzałę w drugiego jeźdźcę. Mężczyzna spadł z konia i na krótki moment w makedońskich szeregach utworzyła się szczelina.

Kamiron szybki niczym burzowy wiatr wskoczył w nią i pognął przed siebie.

Jego kopyta zadudniły na polanie. Konni popędzili za nim. Centaur zwiększył prędkość i zarechotał głośno. Jego śmiech dotarł do wojowników, którzy poczęli wykrzykiwać przekleństwa pod jego adresem.

– Oszukałem ich! – zawołał Kamiron. – Jestem najwspanialszy!

– Tak – zgodził się Aleksander, trzymając się mocno grzywy. – Jesteś wspaniałą. Daleko stąd jest wasz dom?

– Gdybyś zamierzał pokonać ten dystans pieszo, czekałaby cię długa droga – odparł centaur. – Ale Kamiron szybko ją przejedzie. Naprawdę jesteś przyjacielem Chirona?

– Tak, przecież ci mówiłem.

– Lepiej dla ciebie, żeby to była prawda – ostrzegł go centaur. –

Jeśli

Chirona nie będzie w domu, zabiję cię, karzełku i wyszę cały szpik z twoich

kości.

!

Granica tracko-macedońska

Parmenion ściągnął lejce wałacha, po czym obrócił się i spojrzął za siebie

ponad wzgórzami ku odległej rzece Aksios. Już jej nie dostrzegał, wiedział

jednakże bez cienia wątpliwości, że nadal jest śledzony. Jeździec denerwował

go, lecz zbyt szybko się nim nie przejmował.

Dostrzegł go już drugiego dnia za Pella. Był jedynie odległą kropką na

horyzoncie, lecz gdy Parmenion skręcił na północny wschód, on także zjechał

z głównego szlaku.

Odległość była dość spora, więc nie mógł go zidentyfikować. Zauważył jedynie, że mężczyzna miał na sobie połyskujący hełm oraz napierśnik i jechał

na wysokim pstrokatym siwku. Od tej pory Spartanin posuwał się ostrożniej,

ponieważ zbliżał się do Tracji, a nie miał ochoty na konfrontację ze strażą

graniczną.

Ziemia ciągnęła się przed nim w serii wąwozów i kotlin, rzadko zalesio-

nych i pofałdowanych. Płytkie strumienie, dopływy wielkiej rzeki

Mesty,

spływającej aż do morza w pobliżu wyspy Tazos, iskrzyły się w promieniach

słońca.

Strategos skierował kasztanowego wałacha do małego zagajnika i przy strumieniu zeskoczył na ziemię. Koń stał cicho, strzygąc uszami, jego nozdrza

zaś drżały od słodkiego zapachu górskiej wody. Spartanin zdjął czapkę z lwiej

skóry i starannie wytarł grzbiet rumaka garścią suchej trawy. Motak usilnie

go nakłaniał, by wziął wierzchowca Bessosa, jednak Parmenion wybrał kasz-

tanka. Miał grube pęciny i zrównoważony temperament. Wprawdzie nie był

szczególnie szybki, lecz za to niezwykle wytrzymały. Spartanin pogładził go

po pysku, po czym poprowadził nad strumień. Tam pozwolił mu odpocząć, a sam podszedł do pobliskiego głązu i usiadł. Zasiłuchał się w szum

płynącej

wody i dochodzące spośród drzew ptasie trele.

Sześć lat wcześniej podróżował tym samym szlakiem na zachód, do Macedonii. Właśnie wtedy poznał inagusa Arystotelesa.

– Jeśli będziesz mnie potrzebował, odszukaj mnie – powiedział mu wówczas czarodziej. „Tak, tak – pomyślał Parmenion – to jest najodpowiedniejsza chwila na spotkanie z Arystotelesem”.

Rozwiązał rzemyki przy hełmie z wyprawionej skóry, zdjął go i przeczesał

palcami mokre od potu włosy. Mimo nadchodzącej zimy powietrze było suche

i gorące. Spartanin czuł strużki potu spływające po plecach pod skórzanym napierśnikiem.
Fedra nigdy nie potrafiła zrozumieć, dlaczego jej małżonek ubiera się jak biedny najemnik. Co gorsza, spytała go otwarcie, po co w ogóle bierze udział w poszukiwaniach Aleksandra.
– Masz w Macedonii poważanie i władzę – szepnęła. – Mógłbyś przejąć tron. Armia poszłaby za tobą. A wtedy Filotas miałby przed sobą przyszłość... wypełniłby przeznaczenie naznaczone mu przez bogów.
Czemu przejmujesz się losem dziecka-demonia?
Zbył ją milczeniem. Zarzucił na grzbiet wałacha czaprak i odjechał z wielkiego domu, nawet nie oglądając się za siebie.
Minał wioski położone na swojej posiadłości i pierwszy postój zrobił sobie dopiero w małym miasteczku u podnóża Gór Kruzyjskich. Tam kupił zapasy: suszone mięso i owoce dla siebie oraz ziarno dla konia.
Miasteczko rozrastało się. Na jego peryferiach powstały nowe budynki, stanowiące jawny znak rosnącej potęgi i bogactwa Macedonii. W kraju osiedlało się wielu byłych najemników, którzy kupowali ziemię za pieniądze zarobione w kampaniach Filipa. Podobnie kalecy eks-żołnierze, którzy dorobili się sporej emerytury w królewskiej służbie. Ponieważ w miasteczku panował spory ruch, Parmenion z ulgą opuścił, kierując się ku azyłowi pustych, spokojnych przestrzeni.
Po kilku godzinach drogi zatrzymał się na popas na łączce nad strumieniem. Puścił konia luzem, a sam usiadł nad brzegiem i jeszcze raz rozważył wszystkie możliwości. Nie miał pojęcia, gdzie przetrzymywany jest Aleksander, nie znał nawet motywów porwania, toteż całą nadzieję pokładał w obietnicy magusa, którego spotkał jeden jedyny raz w życiu. A jeśli Persowie wywieźli już chłopca z Macedonii? Co wtedy? Może jest zakładnikiem w Suzie? Czy sam jest w stanie go uwolnić? – spytał siebie. Nawet gdyby Parmenionowi udał się ten wyczyn, żaden zemsty Filip natychmiast powiodłby swoją armię na wschód, w samo serce perskiego królestwa...
Te ponure myśli trzepotały w jego umyśle niczym irytujące ómy. Odsunął Je gniewnie, przypominając sobie radę Ksenofonta:
„Kiedy ktoś cię prosi, abyś poruszył górę, zapomnij o jej rozmiarze. Spróbuj po prostu obłuzować pierwszy kamień”.
W tej sprawie symbolicznym pierwszym kamieniem było odnalezienie Arystotelesa.
Pozwalając wałachowi na wypoczynek, strategos wdrapał się na wierzchołek wzgórza i spojrział w kierunku, z którego przybył. Szukał podążającego za nim jeźdźca. Niestety, z powodu falującego od upału powietrza widok był kiepski i Parmenion nie dostrzegł nigdzie najmniejszego śladu ruchu. Jechał aż do zmroku, po czym rozbił obóz w górskiej dolinie. Przy

sporym
głazie rozniecił niewielkie ognisko i ogrzał się w jego ciepłe.
Wiedział, że
następnego dnia dotrze do miejsca, w którym po raz pierwszy i jedyny
spotkał
magusa. Modłać się, żeby Arystoteles tam był, zasnął niespokojnie.
Wyruszył w środku nocy i na dwie godziny przed świtem dotarł na
podgórze masywu Kerkine. Wiał tu chłodniejszy wiatr, toteż kiedy
Spartanin
zachęcał wierzchowca do wspinaczki po pokrytym piargiem wzniesieniu,
szczelniej owinał się czarnym płaszczem. Tuż przed szczytem dostrzegł
czterech konnych, którzy blokowali wąską przełęcz. Za nimi stało
jeszcze
dwóch jeźdźców. Parmenion rzucił okiem na skały po lewej stronie. Tu
z kolei
czekało dwóch łuczników z napiętymi cięciwami.
– Piękny dzień na jazdę – odezwał się nagle smagły wojownik dosia-
dający silnego czarnego rumaka. W chwilę później dźgnął obcasami
konia
i podjechał do przodu. Miał ostre rysy twarzy, gęstą czarną brodę,
dziobate
policzki, oczy – ciemne i głęboko osadzone. Jego towarzysze zastygli
w gotowości do ataku z rękoma na rękojeściach mieczów.
– Rzeczywiście – zgodził się Parmenion. – Czego chcecie ode mnie?
– Wjechałeś na trackie ziemie, Macedończyku. Musisz opłacić granic-
ne myto. Bądź tak uprzejmy i wręcz nam zawartość sakiewki wiszącej u
twego
boku.
– Po pierwsze – sprzeciwił się Spartanin – nie jestem Macedończy-
kiem, po drugie nawet dla niezbyt lotnego umysłu jest oczywiste, że
najemnik
ma pełną kiesę nie podczas jazdy do Persji, a dopiero wówczas gdy z
niej
wraca.
– Hmm... Może i tak – odparł mężczyzna, uśmiechając się chytrze. –
Masz wszakże pięknego konia. Zadowolimy się opłatą w naturze.
Nagle twarz wojownika groźnie spoważniała. Strategos skorzystał z
okazji
i kopnięciem ponaglił wałacha do galopu. Dwie strzały przecięły
powietrze,
nieznacznie tylko chybiać. Parmenion ruszył na jednego z rabusiów,
rumak
staranował jego konia barkiem i jeździec zwałił się na ziemię.
Spartanin
wyciągnął miecz i zaatakował pozostałych mężczyzn, ci jednak
rozproszyli
się. Zdołali wszak ponownie się sformować i ruszyć za nim w pogoń.
Przełęcz skręcała w prawo. Gdy strategos zniknął rzeźmieszkom z po-
la widzenia, ściągnął lejce, niemal w miejscu osadził rumaka i
zawrócił.
T kiego posunięcia zbójcy absolutnie nie przewidzieli. Wyjeżdżając
zza
krętu, oczekiwali widoku uciekającej ofiary, a zamiast tego znaleźli
się z nią
oko w oko.
Wałach pędził nieustraszenie w sam środek niebezpieczeństwa. Parme-
nion ciał mieczem w szyję jednego z jeźdźców, powalając go na ziemię.
7 tętnicy trysnęła krew. Kasztanek stanął dęba i uderzył kopytem
drugiego
mężczyznę, którego koń potknął się i upadł.
Smagły przywódca wydał z siebie bitewny okrzyk i rzucił się na
Sparta-
nina. Wódz zablokował chaotyczne cięcie, a jego riposta rozcięła na
dwie

części twarz mężczyzny i pozbawiła go prawego oka. Pozostali rabusie czmychnęli w panice. Parmenion zeskoczył z konia i podszedł do leżącego herszta. Mężczyzna usiłował wstać, równocześnie przyciskając dłoń do zniszczonego oczodołu i daremnie próbując zatamować krwotok.

– Ty pomioście dziwki! – wrzasnął zbir i podniósłszy miecz, ruszył szaleńczo na Spartanina, który zrobił unik i wytrenowanym pchnięciem zagłębił ostrze w pachwinę napastnika. Wyjając z bólu, Trak zwałił się na ziemię. Parmenion dobił rannego cięciem w kark, potem przestąpił ciało i chwycił lejce wałacha.

– Niezła walka – dotarł do niego znajomy głos. Strategos zaklął cicho.

– Czego tu chcesz, Attalosie? Królewski fechtmistrz zeskoczył lekko z pstrokatego siwka i podszedł do Spartanina.

– Nie radujesz się na mój widok? No cóż, rozumiem. Ale widzisz... zaintrygowała mnie twoja opowieść o czarodzieju na skale. Pomyślałem, że może spotkanie z tak niezwykłym człowiekiem sprawi mi przyjemność. Parmenion z jawną wrogością potrząsnął głową.

– Wolałbym spać z jadowitym wężem, niż cieszyć się twoim towarzystwem w podróży. Wracaj do Pełli. Attalos uśmiechnął się, słysząc tę zniewagę, lecz w jego lodowatych oczach pojawiły się złośliwe błyski.

– Mówią, że z ciebie doskonały strateg, Spartaninie. Szanuję cię za twoją mądrość. Teraz wszakże nie wykazujesz się zbytym rozsądkiem. Przypuść-
my, że ten... czarodziej... rzeczywiście zaprowadzi cię do chłopca. Sądź, że jesteś w stanie uratować go w pojedynkę? Wiem, że mnie nie lubisz, Parrnenionie, ale nie zaprzeczysz, że jestem najlepszym szermierzem w Macedonii.

– Nie o to chodzi – warknął strategos.

– A o co?

– Nie ufam ci – odparł krótko Spartanin.

– Tylko tyle? Na bogów, człowieku, o co mnie podejrzewasz? Że pode-
tnę ci gardło we śnie?

– Być może. Na szczęście, nie będziesz miał ku temu okazji, ponieważ dalej jadę sam.

– Moim zdaniem, to niezbyt mądre posunięcie – wtrącił się jakiś męski głos. Obaj wojownicy błyskawicznie się odwrócili i ujrzeli osobnika, który ze skrzyżowanymi nogami siedział na wielkim, płaskim głazie.

– Skradasz się cicho niczym duch – szepnął fechtmistrz, wyjmując miecz z pochwy.

– Rzeczywiście, młody Attalosie. Odłóż broń... Niezbyt grzecznie jest atakować kogoś, kto staje podczas kłótni po twojej stronie. – Arystoteles popatrzył na Parmeniona. – Radziłbym przyjąć ofertę królewskiego zabójcy. Jego pomoc może się okazać nieoceniona podczas poszukiwań chłopca. A wierz mi, że będziesz jej potrzebował.

– Gdzie go przetrzymują? – spytał Spartanin.

– W królestwie przeklętych – odparł magus. Zeskoczył z głazu, po czym ruszył ku wysokiej skalnej ścianie. Tam zniknął. Ignorując Attalosa, strategos ściągnął lejce wałacha i podążył za czarodziejem. Tak

jak za
pierwszym razem, pozornie lita ściana skalna okazała się nie bardziej
trwała
od mgły i mężczyzna wraz z koniem znaleźli się w zimnej jaskini, w
której
niczym smocze zęby z kopulastej powały zwisały wielkie stalaktyty.
Wła-
chowi nie podobało się owo przejmująco wilgotne, zimne miejsce, toteż
zaczął
drżeć. Parmenion uspokajająco poklepał zwierzę po szyi i szepnął mu
kilka
kojących słów. Attalos przeszedł przez ścianę za nim.
- Czy widziałeś już dość, by się zabawić? - mruknął Spartanin.
- Prawie - odparł fechtmistrz. - Dokąd ten człowiek poszedł?
Wódz wskazał na odległy snop złotego światła słonecznego. Obaj wojow-
nicy skierowali się ku niemu. Wyszli w końcu z szerokiego wylotu
jaskini
i znaleźli się w zielonej dolinie. U stóp wzniesienia, obok górskiego
strumie-
nia, stał biały dom. Mężczyźni wskoczyli na konie i zjechali do
budyńku.
Arystoteles czekał przy uginającym się wręcz odjadła i wina stole.
- Przejdźmy teraz do sedna waszej wizyty - zagaił mag po skończonym
posiłku. - Dziecka imieniem Aleksander nie ma już w tym świecie.
- Chcesz powiedzieć, że nie żyje? - syknął Attalos. - Nie wierzę
w to!
- Żyje - wyjaśnił cierpliwie magus. - Zabrano je przez portal do
równoległego świata... Dlatego właśnie wartownicy twierdzili, że
widzieli
w korytarzu gwiazdy. Aby uratować chłopca, musicie wyruszyć w podróż
do
innego świata. Pokażę wam drogę.
- Mówisz nonsensy - zagrmiał fechtmistrz i gwałtownie wstał od
łu P° czym zwrócił się ironicznie do Spartanina: - Zamierzasz
siedzieć
tu i słuchać tych głupstw?
Zanim wydasz opinię - odparł strategos - rozejrzyj się wokół siebie.
Cdzie są góry, które przejechaliśmy? Gdzie rzeka Mesta? Nie widzisz,
że już
jesteśmy w innym świecie?
- gee, to tylko jakaś sztuczka - wymamrotał zabójca, choć mimowol-
nie obrócił się, obserwując nieznaną horyzont.
Parmenion zlekceważył wątpliwości Attalosa i podjął rozmowę z Arysto-
telesem.
- Dlaczego zabrali chłopca?
Czarodziej pochylił się i położył łokcie na szerokim blacie.
- Tamtym światem rządzi okrutny król. To człowiek opętany pragnie-
niem nieśmiertelności. Aby ją zdobyć, musi pożreć serce pewnej
szczególnej
ofiary. Jego kapłani poinformowali go o złotowłosym dziecku...
wyjątkowym
dziecku.
- Ten alternatywny świat... Czy przypomina nasz własny? Będziemy
umieli się w nim poruszać? - spytał Spartanin.
- Nie potrafię ci jednoznacznie odpowiedzieć na to pytanie - odparł
magus. - Między tymi dwoma światami istnieje wiele podobieństw, ale
są
też ogromne różnice. Żyją w nim centaury i rozmaite stworzenia, o
których
słyszałeś tylko w mitach: wilkołaki, harpie, gorgony i przeróżne inne
potwory
Mroku. Mówimy bowiem o świecie magii, przyjacielu. A jednak to wciąż
Grecja, tyle że... nieco inna.
- Król, o którym wspomniałeś... Jak się nazywa?

– Filippos, władca Makedonów. Rozwieję twoją następną wątpliwość...
Tak, to odpowiednik Filipa, któremu służysz.
– Szaleństwo – zadrwił Attalos. – Po kiego licha tu siedzisz i wysłuchujesz takiego szwargotu? Przecież to czyste bzdury!
– Tak jak ci już przedtem powiedziałem – odrzekł chłodno Parmenion
– ucieszę się, gdy wrócisz do Pełli. Co do mnie... pojedę do tej drugiej Grecji.
I odnajdę księcia. Staniesz u mego boku, Arystotelesie?
Magus potrząsnął przecząco głową i odwrócił wzrok.
– Nie mogę... Jeszcze nie teraz. Wierz mi, że bardzo tego żałuję.
– Zbyt niebezpieczna wyprawa dla ciebie, czarodzieju? – szydził fecht-
mistrz.
– Rzeczywiście. Masz rację – zgodził się Arystoteles bez śladu urazy.
– Ale przybędę po was, gdy tylko będę mógł i zawprowadzę was bezpiecznie do domu. O ile przeżyjecie...

KSIEGA DRUGA

352 rok p.n.e.

Lasy Olimpu

Ścigający Aleksandra Makedonowie byli tuż-tuż. Kamiron wspiał się na wzniesienie. Chłopiec spojrział w górę na pokryte śniegiem szczyty i za-
drżał.

– Jak wysoko jedziemy? – zawołał.

– Aż do groty Chirona – odparł centaur. – Czyli na sam dach świata. Aleksander zerknął za siebie. Pościg znajdował się całkiem blisko, więc

chłopiec widział emblematy z opromienionym słońcem na ich czarnych napierśnikach i koniuszki lanc połyskujące w świetle słońca. Centaur galopował, pozornie niestrudzony, młody jeździec zaś kurczowo trzymał się kaszta-
nowej grzywy.

– Daleko jeszcze? – spytał swego wierzchowca.

Kamiron przerwał wspinaczkę i wskazał na las, który wyglądał na górskich stokach jak zielona mgła.

– Tam! Makedonowie nie podążą za nami. Jeśli zaryzykują, niechybnie zginą. – Naprężył mięśnie tylnych nóg i skoczył do przodu, niemal zrzucając chłopca ze swego grzbietu. Następnie popędził z wielką prędkością ku drzewom.

Kiedy zbliżyli się do granicy lasu, wyjechały im na spotkanie cztery inne

centaury. Wszystkie były mniejsze od Kamirona i tylko dwa z nich brodate.

Uzbrojone w łuki sformowały tyralierę i czekały. Kamiron zatrzymał się przed nimi.

– Czego tu chcesz, banito? – spytał przywódca grupki. Głowę miał śnieżnobiałą, a boki złote.

– Jadę do groty Chirona – odparł nieśmiało rumak Aleksandra. – Uciekamy przed Makedonami.

– Nie jesteś tu mile widziany – wtrącił drugi. – Sprowadzisz na nas kłopoty.

– Dostałem rozkaz od Chirona – zaprotestował Kamiron. – Muszę być mu posłuszny.

– Lizus! – parsknął trzeci centaur. – A cóż to za istota ludzka ci towarzyszy? Jesteś jej niewolnikiem?

– Nie jestem niewolnikiem żadnego człowieka – odparł Kamiron niskim głosem. Aleksander czuł, jakmięśnie centaury napinają się.

Odchyliwszy

się w tył, chłopiec podniósł rękę, przyciągając uwagę nowo

przybyłych.

– Oddalibyście jednego ze swoich na pastwę wrogom? – spytał z pozoru obojętnie.

– Przemówisz, gdy cię spytamy, człowieczku! – warknął białobrody przywódca.

– Nie – spierał się książę. – Odpowiedz mi na pytanie... A może za bardzo się boisz?

– Pozwól mi go zabić, ojczy! – krzyknął młodszy, naciągając cięciwę.

– Nie! – zagrzemiał białobrody. – Pozwolimy im przejechać!

– Ale, ojczy...

– Mają przejechać, zrozumiałeś? – Centaury odsunęły się i Kamiron pocwałował między drzewa. Tu kręciło się więcej ich pobratymców.

Wszyscy

nosili łuki. Gdy Aleksander się obrócił, dostrzegł Makedonów. Z trudem

wspinali się po zboczu. Usłyszał ich śmiertelne wrzaski, gdy centaury wy-

strzeliły pierwszą serię.

Wjechali głębiej w las, a wówczas odgłosy bitwy powoli zamarły.

Kamiron milczał podczas drogi, a chłopiec wyczuwał jego straszliwą udrękę, nie znajdował jednakże żadnych słów pociechy, więc po prostu

siedział na szerokim grzbiecie. W końcu dotarli na polanę i

zatrzymali się

przed wlotem do groty. Centaur wjechał do wnętrza i pomógł swemu

jeźdź-

cowi zsiąść.

– Ani śladu po Chironie – zauważył niechętnie wierzchowiec. Jego oczy były zadumane i gniewne.

– Mogę ci podziękować? – spytało nieśmiało dziecko. – Uratowałeś mi życie i zachowałeś się bardzo odważnie.

– Jestem najdzielniejszy z nich wszystkich – odparł dumnie Kamiron. – I najsilniejszy – dodał, podnosząc ramiona i napinając ogromne bicepsy.

– Rzeczywiście – zgodził się Aleksander. – Nigdy nie spotkałem nikogo silniejszego.

Centaur obrócił głowę ku chłopcu.

– Gdzie jest Chiron, mały? Mówiłeś, że tu będzie.

– Neeee – odparł powoli książę. – Powiedziałem tylko, że mam cie rosić, abys przyjechał w to miejsce... I zapewnił mi bezpieczeństwo, rhyron twierdził, że można ci zaufać. Wspominał o twojej odwadze.

___ . jestem ranny – oświadczył nagle Kamiron, dotykając płytkiego cięcia

boku. Krew zaczęła już krzepnąć wokół rany, wcześniej jednak spłynęła po

przedniej nodze i zlepiła mu sierść.

___ . jeśli w grocie jest woda, oczyszczę ci ranę – odezwał się z troską

chłopiec

___ . Dlaczego nie ma tutaj Chirona? Czemu nigdy go nie ma? Potrzebuję go – Nagle przemawiał żalonym tonem. Był chyba o krok od paniki. – Chironie! – zawołał. Dźwięk odbił się echem od ścian groty. – Chironie!

___ Przyjdzie – obiecał Aleksander. – Ale teraz musisz odpocząć. Nawet istota tak silna jak ty jest na pewno zmęczona po takiej długiej jeździe.

___ Nie jestem zmęczony. Za to odczuwam głód – mruknął złowieszczo i skupił ciemne oczy na dziecku.

– Opowiedz mi o sobie – poprosił szybko Aleksander. – Nigdy nie spotkałem centaury, chociaż słyszałem o was wiele historii.

– Nie chcę rozmawiać. Chcę jeść – odburknął Kamiron. Niespodziewanie odwrócił się i kłusem wypadł z groty. Chłopiec usiadł na skale. Również

był głodny i znużony, nie ośmielił się jednak zasnąć, póki nieprzewidywalny

centaur znajdował się blisko niego. Po chwili postanowił zbadać jaskinię. Nie była głęboka, lecz bogata w małe nisze, które wyglądały, jakby wykonała je ręka człowieka. W pierwszej Aleksander zauważył, że ściana po prawej stronie ma nieco inny odcień szarości od otaczającego kamienia. Wyciągnął dłoń i spróbował dotknąć skały... Jego palce przeniknęły przez nią. Przeszedł przez ścianę. Znalazł się wewnątrz pięknie umeblowanego pokoju, obwieszonego jedwabiami. Ściany pokryto subtelnymi scenami z Homera: drewniany koń przy bramach Troi, statek Odyseusza przy wyspie syren, czarodziejka Kirke zmieniająca mężczyzn w świnie. Chłopiec podszedł do okna i wyrzwał na skrzący się ocean. Odbicie na tafli pokazało mu imponujący budynek z białego marmuru, wsparty rzędem kolumn, dużo większy niż pałac ojca w Pełli i nieskończenie piękniejszy. Aleksander udał się na rekonesans. Trafiał do wielu bibliotek z dziesiątkami półek wypełnionymi setkami zwojów i do sal obwieszonych licznymi malowidłami bądź zastawionych statuetkami. W jeszcze innym pokoju znalazł szkice zwierząt, ptaków, lwów i stworzeń o fantastycznych kształtach; niektóre miały szyje dwukrotnie dłuższe od ciał, inne zaś nosy zwisające aż do ziemi. W końcu dotarł do kuchni. Na hakach wisiały upieczone w miodzie prosiaki, stały beczki z kiszonymi jabłkami, worki z suszonymi morelami, gruszkami, brzoskwiniami i owocami, których młody książę nigdy nie widział. Usiadł przy szerokim stole i próbował wszystkich po kolei. Nagle przypomniał sobie o centaurze. Napełnił srebrną tacę owocami i mięsiwem wszelkich gatunków. Wrócił z ciężarem do pierwszego pomieszczenia i przez przenikalną ścianę dostał się ponownie do groty.

– Gdzie byłeś? – zawołał na jego widok Kamiron. – Wszędzie cię szukałem.

– Poszedłem zdobyć dla ciebie trochę jedzenia – wyjaśnił Aleksander i podsunął centaurowi tacę. Bestia wzięła ją bez słowa i natychmiast zaczęła wkładać ją do swych przepastnych ust; mięsa i owoce równocześnie. W końcu beknęła i odrzuciła tacę na bok.

– Lepiej – mruknęła. – Teraz chcę Chirona.

– Dlaczego inne centaury cię nie lubią? – spytał chłopiec, sprytnie zmieniając temat.

Kamiron spoczął na podłodze jaskini i skupił ciemne oczy na złotowłosym dziecku.

– Kto ci powiedział, że mnie nie lubią? Kto ci coś takiego powiedział?!

– Nikt mi tego nie powiedział. Sam zauważyłem ich niechęć, gdy wjechaliśmy między drzewa.

– Jestem od nich silniejszy – stwierdził centaur. – Nie potrzebuję ich.

Nie potrzebuję przyjaciół.

– Ja jestem twoim przyjacielem – oświadczył Aleksander.

– Nie potrzebuję przyjaciół! – zagrzemiał Kamiron. – Ani jednego!

– I nie czujesz się samotny?

– Nie... No tak. Czasami – przyznał centaur. – Ale nie czułbym się samotny, gdybym tylko pamiętał wszystkie zdarzenia. Skąd na przykład wzięłem się w lesie, w którym się spotkaliśmy? Nie pamiętam, jak się tam dostałem. Często bywam taki zagubiony. Kiedyś tak nie było, wiem, że tak nie było. Hmm... To znaczy sędzę, że tak nie było. Jestem ogromnie zmęczony.

– Prześpij się chwilę – zaproponował chłopiec. – Po krótkim odpoczynku poczujesz się lepiej.

– Tak. Spać – sapnęło nieszczęsne stworzenie. Niespodziewanie szarpnęło głową i posłało księciu groźne spojrzenie. – Jeśli Chiron nie zjawi się do rana, zjem ciebie.

– Porozmawiamy o tym, gdy się obudzisz – szepnęło dziecko. Kamiron przytaknął. Głowa opadła mu na pierś. Po kilku minutach jego oddech uspokoił się i pogłębił. Aleksander siedział w milczeniu, obserwując dziwną istotę, aż odkrył, że jej samotność powoli znika. Centaura ponownie otoczyła migotliwa mgiełka i stworzenie zmieniło kształt, rozdzielając się na dwoje. Po chwili książkę zobaczył Chirona. Magus spał na podłodze obok swego konia Kajmala. Chłopiec podszedł do czarodzieja i lekko dotknął jego ramienia. Mężczyzna obudził się i ziewnął.

– Doskonale sobie poradziłeś, mały – pochwalił go. – Wiedziałem, że niebezpiecznie jest zostawić cię z... nim, jednak naprawdę zrećnie wybrnąłeś z opresji.

— Kim jest Kamiron? – spytał książkę.

— Jak wszystkie centaury, składa się częściowo z ciała ludzkiego i częściowo z końskiego. Jest po części mną, po części Kajmalem. Kiedyś potrafiłem go kontrolować. Teraz stał się dla mnie zbyt silny, więc rzadko go przywołuję. Musiałem wszakże zaryzykować, ponieważ Kajmal nie zdołałby unieść nas obu i nie ucieklibyśmy Makedonom.

, — inne centaury nazywały go wygnańcem. Nienawidzą go.

— Ach, no cóż, to dłuższa historia. Podczas pierwszej próby zaklęcia i zespolenia straciłem kontrolę nad Kamironem, który najechał ich wioskę. – Chiron uśmiechnął się i potrząsnął głową. – Wybrałem na przemianę kiepski moment. Kajmal pałał akurat żądzą i szukał klaczy. Mój centaur, pełen niemal dziecięcego entuzjazmu, próbował zainteresować sobą wiele wioskowych samic. No i samce nie potraktowały go za te awanse zbyt uprzejmie. Wygnały go z lasu.

– Rozumiem – powiedział chłopiec.

– Naprawdę? Doprawdy, niezwykle z ciebie czterolatek.

– Powiedz mi jednak, dlaczego Kamiron cię poszukuje. Przecież nie możecie nigdy... się spotkać. Skąd w ogóle cię zna?

– Trafne pytanie, Aleksandrze. Masz niezwykle bystry umysł. Kajmal wie o mnie i mnie szanuje. Kamiron jest nami, a jednocześnie żadnym z nas dwóch, a jednak Kajmal stale tęskni za ponownym zjednoczeniem ze swoim panem. Och to skomplikowana kwestia. Przeprowadziłem bezsensowny,

smutny eksperyment, którego nigdy już nie powtórzę. Choć muszę przyznać, że mój centaur jest interesującą istotą. Podobnie jak konie łatwo się przeraża, choć jest i zdolny do wielkiej odwagi. Chiron wstał i ponownie przeprowadził chłopca przez ścianę do pałacu za grota.

– Tutaj przez jakiś czas będziemy bezpieczni. Jednak nawet moja moc nie wytrzyma długo oporu przeciw Filipposowi.

– Do czego jestem mu potrzebny, Chironie?

– Filippos jest potężny, lecz śmiertelny, pragnie zaś żyć wiecznie. Do tej

pory spłodził sześcioro dzieci i każde z nich poświęcił Arymanowi, bogowi

Mroku. Mimo tych zbrodni pozostał śmiertelnikiem. Sądzę, że kapłani wska-

zali mu ciebie jako potencjalną siódmą ofiarę. Dlatego cię szuka. Nie dziwię

się zresztą. Jesteś wyjątkowym dzieckiem, Aleksandrze. Wyczuwam w tobie

ogromną, mroczną siłę. Filippos chce ją od ciebie przejąć.

– Pojmuję – odpowiedziało dziecko. – Jednak ta mroczna moc stanowi moje przekleństwo. Powiedz mi, jak to możliwe, że cię dotykam i nie spr-

wiam ci bólu.

– Niełatwo to wytłumaczyć, młody książę. Moc, którą posiadasz... albo raczej moc, która tobą zawładnęła... jest podobna do potęgi Filipposa. Choć

z drugiej strony różnią się, bo są związane z waszymi indywidualnymi cecha-

mi. Twój demon, tak go nazwijmy, potrzebuje ciebie, by przeżyć. Z tego też

względu w moim towarzystwie pozostaje nieco uśpiony. Dlaczego?

Ponieważ

wie, że pomagam ci przeżyć, więc równocześnie i jemu.

– Mówisz o mojej mocy w taki sposób, jakby nie należała do mnie.

– Bo nie należy – odparł magus. – Masz w sobie demona, potężną istotę imieniem Kadmilos. Ów zły duch pragnie przejąć nad tobą pełną kontrolę.

Chłopcu nagle spierzchły usta, ręce zaś poczęły drżeć.

– Co się stanie ze mną, jeśli Kadmilos zwycięży?

– Staniesz się taki jak Filippos. Miejmy nadzieję, że do tego nie dojdzie.

Jesteś ogromnie dzielnym młodym człowiekiem o nieugiętym duchu. Może zdołasz utrzymać go z dala od siebie. Pomogę ci, wykorzystując wszystkie

znane mi sposoby.

– Dlaczego?

– Kolejne trafne pytanie, chłopcze. Już odpowiadam. – Czarodziej westchnął. – Dawno temu, według twoich miar jakieś dwadzieścia lat temu

albo więcej, polecono mi kształcić innego małego chłopca, który również był

opętany. Nauczyłem go wszystkiego, co sam umiałem, niestety moja mądrość

nie wystarczyła. Dziecko wyrosło na króla-demonia. Teraz otrzymałem drugą

szansę... Zaopiekowania się tobą.

– Z Filipposem jednak ci się nie udało – zauważył Aleksander.

– Jesteś od niego silniejszy, młody książę – odrzekł Chiron. – Teraz ty mi coś powiedz. Czy w twoim świecie istnieje ktoś wystarczająco mądry,

by potrafił cię odszukać?

Chłopiec skinał głową.

– Tak. Parmenion. Na pewno po mnie przyjdzie. Jest największym wodzem i najwspanialszym wojownikiem w Macedonii.

– Będę go wypatrywał – obiecał mu magus.

Kamienny krąg, czas

11 ii • /11• 11

Arystoteles zabrał obu swoich gości do starożytnego lasu porastającego

dolinę tak głęboką, że wydawała się leżeć pod ziemią. Rosły w niej masywne drzewa o pniach dziesięć razy grubszych niż macedońskie dęby. Ich

konary splatały się ze sobą i całkowicie przesłaniały niebo. Ziemię pokrywały

wysokie po kostki pokłady zgniłej roślinności, toteż wojownicy prowadzili

swoje wierzchowce z obawą, że któryś potknie się na ukrytym wyboju lub

przysypanym liśćmi korzeniu. Mógłby złamać sobie nogę.

W tym niesamowitym lesie nie śpiewały ptaki, a powietrze było zimne i całkowicie bezwietrzne. Trzej mężczyźni szli w milczeniu, czarodziej jako

pierwszy. Wreszcie dotarli na polanę. Attalos wziął wielki haust powietrza,

gdy światło słoneczne dotknęło w końcu jego skóry, potem rozejrzał się wokół

siebie. Otaczały go ogromne kamienne kolumny. Nie były okrągłe ani wyko-

nane z kilku kamiennych bloków, każdą bowiem uformowano z pojedynczego

kawałka granitu. Nierówno ociosane, wysokością trzykrotnie przewyższały

przeciętnego mężczyznę. Niektóre już upadły, inne popękały lub nawet roz-

szczepiły się. Parmenion wszedł w kamienny krąg. Pośrodku, na marmuro-

wych „nogach”, stał ołtarz ofiarny. Spartanin przesunął palcami po kanalikach

na krew, po czym odwrócił się do magusa.

– Kto zbudował tę... świątynię?

– Ludzie z Akkadii. Są całkiem straceni dla historii... odeszli. Ich czyny

są niczym piasek unoszony przez wiatr historii.

Fechtmistrz zadrżał.

– Nie podoba mi się to miejsce, czarodzieju. Po co tu przyszliśmy? Niedaleko stąd znajdują się wrota do innej, nieznannej Grecji. Stańcie przy ołtarzu, przygotujcie zaklęcie otwarcia.

Arystoteles wrócił do zewnętrznego kręgu, usiadł po turecku na trawie, ręce złożył na piersi, zamknął oczy.

– Hmm... Jaka twoim zdaniem przedstawi nam wymówkę, gdy portal się nie otworzy? – spytał Attalos z wymuszonym uśmiechem. Parmenion popatrzył w zimne błękitne oczy swego towarzysza i dostrzegł w nich strach.

– Najwyższy czas, abys wyprowadził swego konia z kręgu – mruknął cicho.

– Sądysz, że się lękam?

– Byłbyś głupcem, gdybyś się nie bał – odparował strategos. – Ja się boję.

Fechtmistrz odprężył się.

– A zatem Spartanie też się czasem czegoś lękają? Cóż, powiem, że doskonale ukrywasz to uczucie. Jak długo jeszcze...

Nieoczekiwanie krąg rozjarzył się światłem. Konie stanęły dęba, rżąc ze

strachu. Wojownicy ściągnęli mocniej lejce i uspokajali przerażone zwierzęta.

Światło zgasło nagle i mężczyźni ogarnęła absolutna ciemność, toteż przez

chwilę sądzą, że oślepli. Parmenion zamrugał nerwowo i spojrzał w niebo.

Stopniowo, gdy jego wzrok przyzwyczaił się do otaczającego mroku, dostrzegł gwiazdy lśniące wysoko w niebiosach.

– Myślę – oświadczył bardzo cicho – że przedostaliśmy się do innego świata.

Attalos spętał nakrapianego siwka, podszedł do krawędzi kręgu i zapatrzył

się w południowym kierunku na góry i doliny.

– Znam to miejsce – stwierdził. – Popatrz tam! Czyż to nie Olimp? – Następnie odwrócił się i wskazał na srebrną wstęgę długiej i szerokiej rzeki.

– A tam płynie Aliakmon. Wcale nie jesteśmy w alternatywnym świecie, Parmenionie!

– Arystoteles wspominał, że kraina będzie bardzo przypominać naszą Grecję – zauważył Spartanin.

– Ciągle nie mogę uwierzyć w to, co mówił.

– Czegóż trzeba, by cię przekonać? – spytał strategos, potrząsając głową. – Przeszedłeś przez litą skałę góry i w ciągu jednego uderzenia serca

pokonałeś przestrzeń czasową, z dwunastej w południe w samą północ. Mimo

to nadal twierdzisz, że padłeś ofiarą oszustwa.

– Zobaczmy – wymamrotał fechtmistrz, wrócił do siwka i rozwiązał mu nogi. – Poszukajmy innego miejsca na obozowisko, to jest zbyt otwarte.

Lepiej nie rozpalać tu ognia. – Wskoczył na konia i wyjechał z kręgu, kierując

się na południe, ku drzewom.

Wódz już miał pójść w ślad za swoim towarzyszem, gdy nagle w głowie odezwał mu się słaby i odległy głos magusa.

– Wiele chciałbym ci powiedzieć, przyjacielu. – mówił – Niestety, nie mogę. Twoja obecność w tym świecie jest absolutnie konieczna. Masz nie

tylko uratować księcia... Dam ci jedynie dwie rady. Po pierwsze, pamiętaj,

że wrogowie twojego wroga mogą się stać twoimi przyjaciółmi. Po drugie,

jedź do Sparty. Traktuj te wskazówki jak zagrożony statek światła morskiej

latarni. Sparta jest kluczem!
Głos ucichł. Parmenion dosiadł konia i popędził za Attalosem.
Rozbili obóz przy małym strumieniu, który wił się przez las. Spętali konie,
po czym siedzieli w milczeniu, ciesząc się ciepłem ogniska. Strategos ułożył się wygodnie na ziemi, zamknął oczy i skupił umysł na problemie, który go dręczył: jak znaleźć dziecko w całkowicie obcym kraju?
Arystoteles powiedział mu tylko, że chłopca nie przetrzymują Makedonowie. W jakiś sposób zdołał im uciec. A jednak mimo swoich umiejętności czarodziej nie potrafił zlokalizować Aleksandra. Wiedział jedynie, że malec przebywa gdzieś w pobliżu Olimpu. Ludzie Filipposa nie przestali go szukać.
Spartanin otulił się płaszczem i zasnął.
Obudził go odgłos ni to szeptu, ni to śmiechu odbijającego się echem po lesie. Była jeszcze noc. Usiadł prosto i spojrzał na Attalosa, ale zabójca spał spokojnie obok zagasłego ogniska. Parmenion wstał i spróbował zlokalizować źródło dźwięku. W pewnej odległości od siebie zobaczył migotliwe światła, jednak drzewa i zarośla uniemożliwiały zarówno ich dokładną lokalizację, jak i identyfikację ich natury. Strategos podszedł do zabójcy i poruszył jego ramieniem. Fechtmistrz obudził się i skoczył na równe nogi z mieczem w ręku. Spartanin gestem nakazał mu milczenie, potem wskazał na błyskające światła i ruszył ku nim. Attalos podążył za nim, nie chowając ostrza.
Doszli w końcu do okrągłej polany. W żelazne obręcze na drzewach wsunięto pochodnie. Pośrodku polany siedziała grupka młodych kobiet ubranych w połyskujące chitony. Niewiasty popijały wino ze złotych pucharów.
Nagle jedna z nich wstała z kręgu i zawołała czyjeś imię. Chwilę później przybiegło do niej małe stworzenie z dzbanem i napełniło jej puchar. Parmenion poczuł, że fechtmistrz zastygł zaskoczony, ponieważ istota była satyrem: nie wyższym niż dziecko, o spiczastych uszach, pozbawionym włosów tułowiu i koźlich tylnych kończynach z rozszczepionymi racicami.
Dotknawszy ręki Attalosa, strategos wycofał się. Mężczyźni wrócili do swego obozu.
– Sądysz, że to były nimfy? – spytał niepewnie zabójca.
Wódz wzruszył ramionami.
– Nie wiem – przyznał. – Jako dziecko niewiele się nauczyłem o mitach i legendach. Teraz żałuję, że nie nabyłem rzetelnej wiedzy.
Nagle odległy śmiech zamarł i rozległy się krzyki – wysokie i przeszywające. Obaj wojownicy wyciągnęli miecze i pobiegli w stronę drzew.
Parmenion jako pierwszy wypadł na polanę.
Wokół kręcili się uzbrojeni żołnierze. Niektóre kobiety zdążyły umknąć, ale przynajmniej cztery powalono na ziemię. Klęczeli nad nimi mężczyźni

w czarnych płaszczach. Strategos widząc jedną z dziewczyn uciekającą przed napastnikami, skoczył przed siebie i zranił mieczem szyję pierwszego żołnierza, po czym zablokował ostre cięcie drugiego, zwalając ciężarem swego ciała z nóg oprawcę.

Słyszac szcęk mieczy, wszyscy wojownicy opuścili nimfy i ruszyli do ataku. Było ich co najmniej dziesięciu. Spartanin cofnął się.

— Kim, na Hadesa, jesteście? — zapytał czarnobrody żołnierz, podchodząc do Parmeniona z obnażonym ostrzem.

— Moje imię brzmi Śmierć — odparł zimno wódz.

Mężczyzna roześmiał się ponuro.

— Jesteś może półbogiem? Powtórnie zrodzonym Herkulesem? Zdaje ci się, że potrafisz zabić dziesięciu Makedonów?

— Może i nie — zgodził się strategos, patrząc na żołnierzy, którzy utworzyli wokół niego półokrag. — Na pewno wszakże zacznę od ciebie.

— Żabiego! — rozkazał mężczyzna.

W tym momencie zza kręgu wynurzył się Attalos. Jednego z wojów dźgnął sztyletem, drugiemu rozciął twarz. Spartanin korzystając z okazji, że Make-

donowie znaleźli się w niebezpieczeństwie, wydostał się z okrażenia.

Czar-

nobrody przywódca odparował pierwsze pchnięcie, drugie jednak przesunęło

się po jego skórzanej spódniczce i rozcięło mu arterię w pachwinie.

Teraz królewski fechtmistrz miał kłopoty. Rozpaczliwie odpierał ataki czterech napastników, a pozostali trzej skoncentrowali się na Parmenionie.

Strategos jeszcze raz się wycofał, po czym podjął walkę i smagnął mieczem

ku szyi przeciwnika. Ranny przewrócił się, Spartanin zaś nieomal stracił

równowagę. Pobiegł za nim jakiś żołnierz. Wódz opadł na kolano i dźgnął go

mieczem w brzuch. W tej chwili zaatakował go drugi, więc szybko wyciągnął

ostrze z ciała napastnika.

— Pomóż mi, Parmenionie! — krzyknął Attalos. Spartanin zerwał się i popędził przez polanę. Fecht mistrz zabił już jednego mężczyznę i zranił

drugiego, teraz zaś walczył oparty plecami o pień dębu. Po twarzy i ramieniu

ściekała mu krew.

— Jestem z tobą! — zawołał wódz, starając się odwrócić uwagę napastników. Gdy jeden z nich skierował się ku niemu, jego gardła dosięgło ostrze

Attalosa. Fecht mistrz odpychał nieprzyjacielskich wojowników. Nagle zrobił

unik, dzięki czemu miecz zerwał mu jedynie hełm z głowy.

Parmenion stanął u boku towarzysza i we dwóch odpierali ataki pozosta-

łych czterech żołnierzy.

Nieoczekiwanie spośród drzew dotarł do nich ogłuszający ryk. Makedonowie w panice uciekli z polany.

— Na Zeusa, było blisko — odezwał się fechtmistrz.

— Xo jeszcze nie koniec — odszepnął wódz.

Z lasu wyszło trzech ogromnych mężczyzn. Każdy mierzył ponad siedem stóp. Pierwszy miał zamiast głowy byczy łeb i dźwigał potężny topór o dwóch

ostrzach. Twarz drugiego wydawałaby się ludzka, gdyby nie jedno wielkie

oko o dwóch źrenicach pośrodku czoła. Ów cyklop niósł pałkę nabita żelaz-

nymi gwoździami. Trzeci miał głowę lwa. Nie nosił żadnej broni, lecz jego ręce kończyły się długimi jak sztylety szponami. Za osobliwą trójcą stały śmiertelnie przestraszone kobiety.

— Schowaj miecz — polecił Parmenion swemu towarzyszowi.

— Chyba oszalałeś!

— Zrób to! I to szybko! Te dziwaczne stworzenia są strażnikami kobiet.

Może dojdziemy z nimi do porozumienia.

— Śnij dalej, Spartaninie — odparł szeptem Attalos. A jednak, mimo że demoniczne bestie ruszyły ku nim, schował broń do pochwy. Dwaj wojownicy

stali bez ruchu, czekając na nacierające potwory. Cyklop podszedł najbliższej

i podniósł nabitą gwoździami pałkę.

— Zabijacie... Makedonów. Dlaczego? — spytał głębokim głosem. Słowa dźwięczały w jego przepastnych ustach jak uderzenia w bęben.

— Zaatakowali kobiety — odrzekł strategos. — Przyszliśmy im na pomoc.

— Dlaczego? — spytał powtórnie potwór. Parmenion spojrzał na pałkę, którą tamten dzierżył nad głową.

— Makedonowie to nasi wrogowie — wyjaśnił, odrywając wzrok od przerażającej broni.

— A naszymi... wrogami... są... wszyscy... ludzie — wydukał cyklop, cedząc słowa.

Lwiogłowy po jego prawej stronie przykucnął nad martwym żołnierzem, oderwał mu ramię i po chwili zaczął je ogryzać. Jednak ani na chwilę nie

spuścił brązowych ślepi z Parmeniona. Z lewej nadszedł minotaur.

Opuścił

rogatą głowę i zajrzał wodzowi prosto w twarz.

— Podaj mi powód, wojowniku, dla którego nie mielibyśmy was zabić.

Mówił szeptem. Fakt ten bardzo zdziwił Spartanina, zwłaszcza że stwór przemawiał głosem łagodnym i niezwykle spokojnym.

— Podaj mi najpierw powód, dla którego mielibyście to zrobić — odciął się.

Minotaur usiadł i kiwnięciem dał mu znak, by przyłączył się do niego.

— Przedstawiciele twojej rasy są wszędzie. I niszczą nas. Nie ma krainy,

gdzie jesteście bezpieczni... Z wyjątkiem jednej jedynej. Kiedyś ta ziemia

całkowicie należała do nas, teraz zaś musimy się ukrywać w lasach i kniejach.

Wkrótce wyginą wszyscy przedstawiciele starszych ras. Znikną na zawsze

synowie i córki Tytanów. Pytasz, dlaczego miałbym cię zabić? Ponieważ nawet jeśli jesteś dobrym i bohaterskim człowiekiem, twoi synowie i synowie

twoich synów, będą ścigać moich synów i synów moich synów. Czy taka odpowiedź ci wystarczy?

— Tak — przyznał Parmenion. — A jednak ma w sobie słabe punkty. Jeśli mnie zabijesz, wtedy moi synowie rzeczywiście będą mieli powód, by cię znie-

nawidzić i tym samym wprowadzić w życie twoją wizję. Jeżeli jednak zostanie-

my przyjaciółmi, moi synowie przyjadą cię poznać i spojrzą na ciebie życzliwie.

— Kiedy spełni się twoja przepowiednia? — spytał minotaur.

— Nie wiem. Mogę mówić tylko za siebie. Ale wiesz co? Wydaje mi się, że jeśli za naszą pomoc ukarzą nas natychmiastową egzekucją,

niewiele

będziecie się różnić od Makedonów. Syn Tytanów powinien okazać więcej wdzięczności.

— Dobrze mówisz. I podoba mi się, że nie dostrzegam w twoich oczach

strachu. Doskonale też walczysz. Na imię mam Brontes. To są moi bracia, Steropes i Arges.

– Ja jestem Parmenion. A oto mój... towarzysz, Attalos.

– Nie zabijemy was – zapewnił go Brontes. – Nie tym razem. Za waszą pomoc nagrodzimy was, darując życie. Tyle że jeśli kiedykolwiek ponownie wejdziecie do naszego lasu, wówczas was zabijemy. – Minotaur odwrócił się, gotów do odejścia.

– Poczekaj! – zawołał za nim Spartanin. – Szukamy pewnego dziecka z naszego kraju. Uprowadził je król Makedonów. Możecie nam pomóc? Brontes zakołysał wielką głową.

– Dwa dni temu Makedonowie gonili jakiegoś centaury. Podobno na jego grzbiecie siedziało złotowłose dziecko. Pędzili na południe, do lasu centaurów. Nic więcej nie wiem. Do tego lasu nie ma wstępu żaden człowiek z wyjątkiem Chirona. Centaury nie wpuszczą was. Nawet nie będą z wami rozmawiać. Powitają was strzałą w serce albo w oko. Strzeżcie się! Pięść Attalosa trafiła wodza w podbródek, zwalając go z nóg.

Parmenion uderzył twardo w ziemię, później przetoczył się na plecy i podniósł wzrok na rozwścieczonego Macedończyka, który stał nad nim z zaciśniętymi pięściami.

Z płytkiego przecięcia na policzku ciągle płynęła mu krew.

– Wstrętny synu dziwki – syknął fechtmistrz. – Co sobie myślisz, na mroki Hadesu? Sami przeciw dziesięciu! Na Heraklesa, mogliśmy zginąć. Parmenion usiadł prosto i potarł podbródek. Po chwili wstał.

– W ogóle się nie zastanawiałem – przyznał.

– Świetnie! – sztychł jego towarzysz. – Nie życzę sobie, by mi wyryto na grobie: „Attalos umarł, ponieważ strategos zapomniał pomyśleć”.

___ Coś takiego już się nie powtórzy – obiecał Spartanin, ale zabójca nie zamierzał mu tak łatwo wybaczyć.

___ Chciałbym wiedzieć, dlaczego tym razem do tego doszło? Dlaczego pierwszy wódz Macedonii bez zastanowienia pędzi na pomoc nieznanym kobietom? Towarzyszyłeś armii plądrującej Metone, Amfipolis i tuzin innych miast... Nigdy nie widziałem, żebyś biegał po mieście, ratując kobiety i dzieci.

Czym się różni ta kraina?

___ Niczym – odparł Spartanin. – Zresztą mylisz się. Nigdy nie byłem świadkiem gwałtów i mordów. Organizowałem ataki na te miasta, lecz moja praca kończyła się w momencie, gdy żołnierze burzyli mury. Nie ponoszę odpowiedzialności za barbarzyństwo, które się odbywało później, choć miałem świadomość, że do niego dojdzie, moja wina, ale nigdy wszakże nikt nie popełniał okrutnych czynów w moim imieniu, a już na pewno nie brałem w nich udziału. Co do moich dzisiejszych działań, przyznaję, że postąpiłem niewybaczalnie. Przybyliśmy tu ratować Aleksandra, a ja naraziłem naszą wyprawę na niebezpieczeństwo. Jednakże zapewniam, coś takiego już się nie powtórzy. Nic więcej nie mogę dodać.

– No cóż ja mogę. Jeżeli następnym razem zdecydujesz się zachować jak romantyczny głupiec, nie spodziewaj się, że stanę u twego boku.

– Wcale tego nie oczekiwałem – oświadczył Parmenion, przyjmując kamienny wyraz twarzy. – I powiem ci coś jeszcze, Attalosi... Gdy jeszcze

raz mnie uderzysz, zabiję cię.
– Śnij słodko, Spartaninie – odparł fechtmistrz. – Nigdy nie zdołasz mnie pokonać ani na miecze, ani na włócznie.
Strategos już miał coś odrzec, kiedy zobaczył rządę kobiet przechodzących przez polanę. Kierowały się ku nim. Pierwsza, która podeszła, pokłoniła się nisko przed wojownikami, potem popatrzyła z nieśmiałym uśmiechem. Była szczupła i złotowłosa, miała fiołkowe oczy i przepiękną twarz.
– Dziękujemy wam, panowie, za ratunek – powiedziała, a jej głos brzmiał słodko i harmonijnie niczym muzyka.
– Z przyjemnością wam pomogliśmy – odrzekł fechtmistrz. – Jakżesz inaczej mogliby się zachować prawdziwi mężczyźni?
– Jesteś ranny – spytała z troską, a zbliżając się, podniosła dłoń i dotknęła jego twarzy. – Pozwól nam opatrzyć twoje rany. Mamy zioła i uzdrawiające proszki.
Ignorując Parmeniona, kobiety otoczyły Attalosa. Poprowadziły go do powalonego drzewa, posadziły i obsiadły wokół. Młoda dziewczyna w sukni z nigotliwego błękitu usiadła mężczyźnie na kolanach i przyłożyła rozłożysty zielony liść do rany na jego policzku. Kiedy zdjęła liść, skaleczenie zniknęło. Skóra wydawała się gładka i jednolita. Kolejna kobieta podobnie uleczyła cięcie na lewym przedramieniu mężczyzny.
Z lasu ponownie wyszedł satyr. Przyniósł Spartaninowi puchar wina. Parmenion podziękował, usiadł i wypił łyk. Osobliwe stworzenie odeszło, uśmiechając się nerwowo.
Strategos zadumał się.
Próba ocalenia kobiet była dokładnie taka, jak ją określił Attalos: romanotyczna, niemądra i, biorąc pod uwagę szansę wygranej, niemal samobójcza.
Z tego względu wódz był w ponurym nastroju. Siedział z dala od grupy i rozmyślał. Przypomniawszy sobie czysto estetyczne doznania, które poczuł podczas obserwacji kobiet... A kiedy usłyszał ich krzyki, zapłonął w nim nagły gniew. Obrazy przesuwają mu się przed oczyma jeden po drugim... Sam już nie wiedział, po raz który miał przed sobą ciała metońskich dzieci niedbale rzucone na przerażające wzgórze śmierci. Metone miało właśnie zostać zniszczone. Parmenion przejechał przez nie, nadzorując burzenie budynków. Zatrzymał się na głównej agorze, przez którą przejeżdżały wozy z ciałami.
Obok niego jechał Nikanor. Strategos obrócił się do niego i zadał mu jedno proste pytanie:
– Dlaczego?
– Co dlaczego, mój przyjacielu? – odparł zdziwiony Nikanor.
– Dzieci. Po co je zabito?
Wojownik wzruszył ramionami.
– Kobiety trafiają na niewolnicze rynki Azji, mężczyźni zaś do Pelagonii, gdzie budujemy nowe fortece. Na małe dzieci nie ma popytu.
– I to jest odpowiedź? – spytał szeptem wódz. – Że nie ma na nie popytu?
– Jakaż mogłaby być inna? – rzucił obojętnie Nikanor.

Parmenion wyjechał z miasta, nie oglądając się za siebie. Przyniósł sobie solennie, że nigdy już nie będzie się przyglądał następstwom takich zwy- cięstw. Teraz, tutaj, w tym magicznym lesie, uprzytomnił sobie okropną prawdę. Był tchórzem. Jako wódz uruchomił ciąg zdarzeń, które doprowadzi- ły do takich okropności, a wierzył, że nie oglądając ich, nie ponosi za nie winy. Sącząc wino, uznał, że nie potrafi unieść ciężaru swego żalu, i z oczu polały mu się łzy. Gdy spływały po policzkach, odniósł wrażenie, że wraz z nimi opuszcza go wszelkie poczucie własnej wartości. Nie wiedział, w którym momencie zasnął, lecz obudził się w miękkim łóżku w pokoju o ścianach z pnących winorośli i suficie z liści. Czuł się wypoczęty i uwolniony od psychicznego brzemienia. Odrzucił kołdrę i spuścił nogi z łóżka. Podłogę stanowił mech, miękki i elastyczny pod stopami. Nie zauważył winorośli. Podszedł do roślinnego muru, wsunął ręce w wiszącą ścianę i rozsunął listowie. Oślepił go blask słońca. Wyszedł na rozległą polanę, której skraj porastały dęby. Przez moment stał nieruchomo, przyzwyczajając oczy do światła. Na odgłos szumiącej wody odwrócił się i dostrzegł kaskadę tryskającą ponad białym marmurem i two- rzącą głęboką sadzawkę, którą obsiadła grupka kobiet. Kilka nimf pływało również w kryształowo czystym źródle. Śmiały się, bawiąc i rozpryskując wodę, z której kropel powstawały krótkotrwałe, maleńkie tęcze. Kiedy Parmenion zmierzał w ich kierunku, po prawej stronie zamajaczyła czyjaś sylwetka. Rozpoznał minotaura Brontesa. Stworzenie skłoniło się niezdarnie, potem pokiwało wielką, byczą głową.

— Witaj w moim domu – oświadczyło.
— Jak tu trafiłem?
— Przyniosłem cię.
— Po co?
— Wypiłeś dużo wina, człowieku. Trunek wywołał u ciebie senność, a później sny. Nagle pojawili się Makedonowie, więc pani rozkazała mi przetransportować cię tutaj.
— Gdzie Attalos?
— Twój towarzysz nadal śpi... I jeszcze pośpi. Chodźmy, pani czeka. – Minotaur ruszył ku kaskadzie, a gdy ją minął, skręcił w prawo.

Przeszli zagajnik, za którym pojawiła się inna ściana z winorośli. Stały przy niej dwie kobiety. Rozstały się przed minotaurem. Brontes wszedł do altany, a Spar- tanin za nim. Znaleźli się w naturalnym, wspieranym przez wysokie cyprysy korytarzu. Jego dach porastały kwiaty, pod którym latały ptaki wszelkich gatunków. Pikowały, nurkowały lub kręciły się wysoko w górze, między wielobarwnym kwieciami. W pomieszczeniu było wiele sadzawek otoczonych głazami z białego marmuru. Wszędzie rosły ogromne kwiaty – szkarłatne i w kolorze łososiowe- go różu. Żółte, kamienne ścieżki wiły się w pobliżu sadzawek.

Przecinały po-
rośniętą mchem podłogę. Wszystkie prowadziły do podium na dalekim
końcu.
Minotaur siedł przed siebie, lekceważąc kobiety i satyrów, którzy
obsiedli
brzegi sadzawek. W końcu stanął przed podium. Siedzieli tam obaj jego
bracia, Steropes i Arges. Spartanin ledwie rzucił na nich okiem, jego
wzrok
przyciągnęła bowiem naga kobieta, zajmująca tron wyrzeźbiony z
ogromnego
bloku lśniącego marmuru. Włosy miała białe, ale nie w zmęczonym,
nijakim
odcieniu starości, przywodziły raczej na myśl niezwyciężoną biel
górskiego
śniegu. Jej oczy były szare, twarz – nietknięta zębem czasu,
pozbawiona
zmarszczek i gładka, choć wcale niemłoda. Wódz zapatrzył się na
smukłe
ciało o małych piersiach i chłopięcych biodrach.
Skłonił się nisko. Kobieta wstała z tronu, zeszła z podium, po czym
wzięła
go za ramię i poprowadziła ku przeciwległemu wyjściu z sali, a dalej,
przez
winorośle. Nagle znaleźli się w kotlinie wśród skąpanych w
promieniach
słońca wzgórz.
– Kim jesteś, pani? – spytał strategos, kiedy usiadła pod rozłożystym
dębem.
– Ludzie nadali mi wiele imion – odparła. – Sądzę, że jest ich więcej
niż gwiazd. Możesz nadal zwracać się do mnie tym pięknym słówkiem
„pani”.
Lubię jego dźwięk. Teraz spocznij obok mnie, Parmenionie, i opowiedz
mi
o swoim synu Aleksandrze.
Minał długi moment, zanim Spartanin uprzytomnił sobie, co
powiedziała,
a gdy w końcu pojał jej wszechwiedzę, przeszył go lodowaty dreszcz
strachu.
– Aleksander to syn mojego króla – wyjaśnił, kładąc się na trawie
obok kobiety. – Porwał go Filippos. Przybyłem, by odprowadzić go
do...
jego ojca.
Uśmiechnęła się. Jej mądre oczy bez trudu wytrzymały jego spojrzenie.
– To twoje dziecko, które spłodziłeś podczas nocy tajemnic. Czyn ten
zawstydzia cię. Ten wstyd nosisz w sobie... obok licznych innych win i wiel-
kich smutków. Znam cię, człowieku, znam twoje myśli i lęki. Możesz ze
mną
rozmawiać otwarcie.
Odwrócił wzrok.
– Przykro mi, że tak wiele rozumiesz, pani. Przykro mi, że
przyniosłem
mój... mrok... w tak piękne miejsce.
Dotknęła palcami jego twarzy, przez chwilę gładząc skórę.
– Nie troskaj się z powodu tego wstydu. Jedynie dzięki poczuciu winy
przeżyłeś po wypiciu trunku, którym cię poczęstowałam. Ponieważ tylko
osoba z gruntu dobra miewa wyrzuty sumienia. Nie jesteś złym
człowiekiem,
Parmenionie. Masz w swoim sercu dobro, w swej duszy zaś prawdziwą
wielkość. Nie można tego powiedzieć o twoim towarzyszu. Zachowałam go
przy życiu tylko dlatego, że go potrzebujesz. Attalos prześpi jednak
twój pobyt
tutaj i nie zobaczy mojej krainy.
Wstała z wdziękiem, ruszyła na skraj wzgórz i zatrzymała się na

długa
chwile. Patrzyła na dalekie góry. Parmenion podszedł do niej i
wysłuchał jej
opowieści o tym dziwnym świecie.
– Tam daleko na zachodzie leżą góry Pindos, a na południu, za doliną
płynie rzeka Penejos. Znasz je, ponieważ istnieją również w twoim
własnym
świecie. Jednakże dalej na południu znajdują się nie znane ci miasta:
Kadmos,
Tospe, Leonida. Walczą one w lidze przeciw Filipposowi i wkrótce
poniosą
klęskę. Ateny zostały zniszczone podczas wiosny. Wkrótce pozostanie
tylko
jedno polis opierające się tyranowi: Sparta. Kiedy znajdziesz
Aleksandra,
zabierz go tam.
– Najpierw muszę go znaleźć – odrzekł wojownik.
– Chłopiec przebywa z magusem Chironem i jeszcze przez jakiś czas
będzie bezpieczny. Wkrótce wszakże Filippos go odszuka. Las centaurów
przestanie stanowić dla Makedonów barierę.
Odwróciła się do niego, wzięła pod ramię i poprowadziła z powrotem
przez polanę do winnej sali.
— Kiedyś... – odezwała się łagodnym, ale smutnym głosem – kiedyś
pomogłabym ci w poszukiwaniach. Teraz już nie. Umieramy powoli... my,
magiczne istoty. Nasza magia zanika, a czary słabną wobec potężnych
mieczy
Makedonów. Udzielam ci mego błogosławieństwa, Parmenionie. Niewiele
więcej ci mogę dać.
— Wystarczy, pani. Nawet tego daru nie jestem wart – oznajmił jej,
po
czym skłonił się i pocałował ją w rękę. – Dlaczego jednak udzielasz
mi
błogosławieństwa?
– Być może nasze cele są podobne. Jak już wspomniałam, świat magii
umiera. W moim świecie krąży znana nam wszystkim legenda. Podobno ma
do nas trafić złotowłose dziecko, dzięki któremu nasza ziemia
ponownie
zaślśni. Sądziś, że Aleksander może być tym złotowłosym malcem?
– Skąd mógłbym wiedzieć?
– No tak, rzeczywiście... Ach, gdybym potrafiła odgadnąć
przyszłość...
niedaleką, lecz równocześnie na tyle odległą, bym mogła ochronić swój
lud.
Obecnie, niestety, widzę jedynie przeszłość i utraconą sławę. I może
zbyt
kurczowo trzymam się głupich legend. Teraz prześpij się. Obudzisz się
ods'wieżony!
Stało się tak, jak powiedziała.
Parmenion zbudził się przy obozowym ognisku, owinięty płaszczem.
Konie pasły się przy strumieniu. Po drugiej stronie zagasłego ognia
spał
Attalos. Na jego twarzy i ramionach nie było śladu po ranach.
Spartanin wstał, przeszedł przez las i zatrzymał się na polanie.
Ciała już
usunięto, jednak wyschnięta krew nadal plamiła ziemię.
Wrócił do ogniska i zbudził Attalosa.
– Miałem bardzo dziwny sen – powiedział fechtmistrz. – Śniło mi się,
że uratowaliśmy jakieś nimfy. Był z nimi minotaur, a także...
cholera, już nie
pamiętam... – Wstał i starł z płaszcza brud. – Dlaczego zapominamy
sny?
Nienawidzę tego – dodał. – Chociaż... pamiętam te nimfy. Cudowne
kobiety, nie do opisania piękne. A ty? Jak spałeś?
– Bez snów – odparł Spartanin.

Deare obserwowała odjeżdżających na zachód Parmeniona i Attalosa, później wyszła z lasu na środek obozowiska. Jej włosy nie były już długie i piomiennoczerwone, lecz intensywnie brązowe i przycięte krótko. Twarz miała teraz bardziej kwadratową, nos dłuższy, oczy – niegdyś w odcieniu morskiej zieleni – orzechowe ukryte pod gęstymi brwiami.

– No cóż, ideałem piękna raczej nie jesteś – mruknął Arystoteles, gdy stali w kamiennym kręgu po zniknięciu Macedończyków.

– I dobrze. Uroda tylko by mi przeszkadzała – odparła głosem głębokim, prawie chrapliwym.

Gdy przeszła przez portal, obaj wojownicy akurat wjeżdżali do lasu. Podążyła za nimi, trzymając się w pewnej odległości. Nie podeszła do obozowiska. Początkowo wprawdzie zamierzała przedstawić się jeszcze tej samej nocy, potem jednak przeniknęła umysły mężczyźni, aby zrozumieć naturę ich lęków. Bali się siebie. Parmenion nie ufał zimnokickiemu zabójcy, Attalos zaś pogardzał aroganckim, w swoim mniemaniu, Spartaninem. Kapłanka zdała sobie sprawę, że powinni spędzić jeszcze trochę czasu tylko we dwóch. Otuliła się więc płaszczem i zasnęła.

Obudziły ją czyjeś śmiechy. Później usłyszała, że wojownicy skradają się przez poszycie. Opuściła swe ciało, wzniosła się w powietrze i przyjrzała scenie z góry. Jako pierwsza zobaczyła odzianych w ciemne płaszcze make-dońskich żołnierzy. Szli przez las, kierując się ku kobietom. Wraz z pierwszymi krzykami pospieszyła do Parmeniona. Odkryła w nim szereg szalejących emocji. Z jednej strony pragnął uratować panny, z drugiej, i to pragnienie było silniejsze, chciał pozostać bezpieczny, skupiając swą uwagę na Aleksandrze. Derae instynktownie skorzystała ze swej mocy i napełniła go nową siłą. Natychmiast uprzytomniła sobie, że popełniła błąd.

Skoro stawał sam jeden przeciwko dziesięciu, groziła mu śmierć. Jej ukochany mężczyzna mógł umrzeć... Skoncentrowała się na Attalosie i natychmiast zrozumiała jego intencję. Z pewnością nie zamierzał pospieszyć z pomocą towarzyszy. Jego umysł całkowicie wypełniała jedna myśl: „Chronić siebie!” Ponieważ kapłanka nie miała innych pomysłów, zintensyfikowała jego lęk. Jeśli Parmenion umrze, fechtmistrz na zawsze zostanie w alternatywnej Grecji. Wszystkie jego bogactwa na nic się zdadzą. Nigdy już nie zobaczy swoich pałaców i konkubin. Spędzi życie jako najemny żołnierz w zupełnie obcym mu świecie. W chwilę później Attalos zapłonął potężnym gniewem, wyciągnął miecz i popędził strategosowi na ratunek. Walczyli wspaniale, jednak rzeź przyprawiła kapłankę o mdłości, toteż tuż po jej zakończeniu wróciła do swego ciała. Towarzyszył jej wstyd. Poczuli się winni. Wszak to ona manipulowała zdarzeniami, co było sprzeczne z jej wiara. Długo w noc starała się zracjonalizować własne

czynny.

Makedonowie byli zdecydowani na gwałt i mord. Gdyby nie interweniowała, wykorzystaliby kobiety, a następnie zabiliby je, ponosząc całkowitą odpowiedzialność za zgładzenie pięknych panien. Teraz wszakże krew żołnierzy plamiła jej ręce.

„A cóż innego miałam zrobić?” – spytała siebie. Wszelkie działanie, podobnie jak jego brak, i tak prowadziło do tragedii, ponieważ nie miała czasu

wpłynąć na wszystkich Makedonów. „Ach, gdybym miała taką władzę” – myślała. Spowolniłaby ich odruchy, dzięki czemu Parmenion i Attalos zyskaliby ogromną przewagę...

Przepełniona żalem uzdrowicielka zasnęła. Śniła o centaurach i królud-

monie. W środku snu zbudził ją dotyk czyjejs ręki. Gdy usiadła prosto,

dostrzegła nagą białowłosa kobietę, która siedziała na powalonym drzewie.

Za nią stał minotaur, którego Derae widziała na polanie. Księżyc wzniósł się

wysoko i w jego poświacie nieznajoma wydawała się niemal eteryczna.

— Dobrze sobie poradziłaś, wieszczko – odezwała się przybyła. — Ocaliłaś moje dzieci.

— Postąpiłam niewłaściwie. Nie powinnam się była wtrącać – odparła jej kapłanka.

— Nonsens. Twoje decyzje uratowały nie tylko moich ludzi, ale także dwóch mężczyzn, za którymi podążasz. Gdyby nie zareagowali odpowiednio,

Brontes wraz z braćmi zabiłby ich podczas snu.

— Z jakiego powodu? – spytała Derae gniewnie. — Jaką krzywdę ci wyrządzili?

— Są ludźmi – odparła kobieta. — To dostateczny powód.

— Czego chcesz ode mnie?

— Płynie w tobie magiczna krew. Jej zawdzięczasz dar proroctwa. Parmenion zaś to człowiek mocy. Jesteście obcy w mojej krainie, toteż muszę

wiedzieć, w jakim celu przybyliście? Chcecie czynić dobro czy zło?

— Nigdy świadomie nie pomogę Chaosowi – obruszyła się uzdrowicielka. — Co wcale nie oznacza, że zawsze będę czynić dobro. Przez wiele lat

walczyłam z Duchem Chaosu, gdyż pragnęłam uniemożliwić mu ucieleśnienie się i opętanie ludzkiej duszy. Jednakże... stało się inaczej, jestem spraw-

czyniającego narodzin.

— Tak wiem. Parmenion spłodził Iskandra i teraz król-demon szuka dziecka. — Kobieta milczała przez jakiś czas, roztargniona i zamyślona.

Wreszcie ponownie spojrzała na wieszczkę. — Świat magii umiera. Masz moc, by go ocalić?

— Nie.

Nieznajoma pokiwała z rezygnacją głową.

— Ja również tego nie potrafię. Ale jeśli dziecko jest naprawdę Iskan-

drem... — Westchnęła. — Nie mam wyboru. — Odwróciła się do minotaura i położyła smukłą dłoń na jego ogromnym barku. — Idź z nią, Brontesie,

1 chroń przed niebezpieczeństwami. Gdy stwierdzisz, że chłopiec nie jest

Iskandrem, wtedy wróć do mnie. Jeżeli nim jest, zrób wszystko, by doprowadzić go do portalu.

— Nie spoczne, matko – obiecał. — Jeśli nim jest. — Blask księżyca osłabł, wraz z nim zniknęła białowłosa kobieta. Minotaur wszakże

pozostał.

Derae próbowała przeniknąć jego umysł, lecz napotkała na niewidzialną barierę.

– Nie musisz odgadywać moich myśli – oświadczył jej przesadnie słodkim głosem. – Nie stanowią dla ciebie zagrożenia.

– Przy jawnej nienawiści z waszej strony muszę brać pod uwagę każdą ewentualność, nieprawdaż? – odparowała.

Zbył jej pytanie wyniosłym milczeniem.

Las centaurów

Aleksander wygrzewał się w słońcu przed wejściem do grotty. Znajdował się wysoko w górach, obserwując niebo i rozległe równiny. Mimo strachu czuł się w lesie centaurów cudownie swobodny. Nikt tu nie umierał od

jego dotyku, a także sypiał dużo spokojniej bez sennych koszmarów.

Po-

przedniego dnia wylądował mu na dłoni niewielki srebrno-szary ptak.

Jak

gdyby nigdy nic usadowił się na niej wygodnie i odpoczywał, nie okazując

cienia lęku. Księżę odwzajemnił tę ufność, pieszczotliwie gładząc główkę

pierzastego pisklęcia. Tej formy rozkoszy Aleksander nigdy dotąd nie zaznał.

Tęsknił za domem, matką i ojcem, ale tęsknotę tę nieco kołosał nowo odnale-

zioną radość życia.

Z grotty wyszedł Chiron.

– Piękny dzień, młody księżę – zagaił.

– Tak, rzeczywiście. Opowiedz mi o centaurach.

– Co chciałbyś wiedzieć? – spytał magus.

– Jak żyją? Wiem co nieco o koniach i pamiętam, ile muszą zjeść i wypić. Ich gardła i żołądki są przystosowane do jedzenia trawy i picia wielkich

ilości wody. A końskie płuca są wprost ogromne. Zupełnie nie wyobrażam

sobie, jak funkcjonują centaury. Czy mają dwa zestawy płuc? Żywią się tylko

trawą? A jeśli tak, jak sobie radzą, skoro nie mogą zginać szyi w sposób

typowy dla koni?

Czarodziej zachichotał.

– Dobrze pytanie, Aleksandrze. Jesteś nieprzeciętnie bystrym malcem. Widziałeś mnie z Kajmalem... Prawdziwe centaury egzystują podobnie.

Żyją

tak jak zwykli mężczyźni i kobiety, tyle że łączą ich szczególne więzi z ich

wierzchowcami. Scalają się w jedną istotę podczas dnia, a po zmroku rozdzie-

lają się.

– Co się dzieje, kiedy koń umrze? Czy centaur może sobie znaleźć innego?

– Nie. Po śmierci konia z mężczyzny... albo kobiety... błyskawicznie uchodzi życie. Umiera w ciągu doby, góra dwóch.

– Czy to samo przydarzy się tobie, jeśli Kajmal umrze? – spytał Aleksander.

– Nie, ponieważ nie jestem prawdziwym centaurem. Do naszego połączenia dochodzi za sprawą magii. Z tego właśnie powodu Kamiron czuje się

tak strasznie wyobcowany. Zagubiony, jeśli wolisz.

Chiron podał chłopcu kromkę słodkiego chleba. Przez kilka minut obaj jedli w milczeniu. Potem chłopiec ponownie się odezwał:

– Jak się to wszystko zaczęło? – zapytał ostrożnie.

– Ho, ho, doprawdy zadałeś bardzo kłopotliwe pytanie – odparł magus.

– Nie jestem chyba wystarczająco mądry, by ci na nie wyczerpująco odpo-
wiedzieć. Kiedyś świat był przepełniony naturalną magią. Była w
każdym
kamieniu i strumyku, w każdym drzewie i wzgórzu. Wiele tysięcy lat
temu
przedstawiciele pewnej ludzkiej rasy postanowili wykorzystać tę moc. Cho-
dzili po ziemi niczym bogowie... I rzeczywiście prawie byli bogami,
ponie-
waż nieomal osiągnęli stan nieśmiertelności. Cechowali się niezwykłą inteli-
gencją, żywą wyobraźnią, dociekliwością. Urodziły im się dzieci zwane
Tytanami, które same wybierały, czy chcą być gigantami, czy też
poetami.
Żyli w czasach cudów, lecz trudno ten okres opisać... szczególnie
czterolat-
kowi, nawet tak genialnemu jak ty. Pewnie widywałeś na dworze swego
ojca
mężczyzn i kobiety stale goniących za nowinkami: za płaszczem w
niespoty-
kanym kolorze czy suknią z unikalnej materii i o oryginalnym kroju.
Tytani
w starym świecie również poszukiwali nowych kształtów z materii
życia.
Niektórzy zapragnęli być ptakami, posiadać skrzydła i wznosić się do
nieba.
Inni chcieli pływać w morskich głębinach. Po jakimś czasie ziemię
zaludniły
dziesiątki najrozmaitszych hybryd.
Magus zamilkł, wyraźnie zatopiony myślami w przeszłości.
– No i co się stało później? – niecierpliwie spytał szeptem
Aleksander.
– To, co zawsze w takich przypadkach. Doszło do wielkiej wojny.
Nastała era zdumiewającego okrucieństwa i rzezi. W tej straszliwej
konfron-
tacji zużyto ogromną ilość magii. Popatrz wokół siebie. Rzuć okiem na
drzewa. Wydaje się niemożliwe wycięcie wszystkich. Jeśli jednak
człowiek
coś sobie postanowi, dokona tego, choćby jego zamysł był przerażająco
niszczyielski... Chcę ci tylko uprzytomnić, że wszystko się
wyczerpuje,
każda rzecz ma swój koniec i – jak puchar wina – posiada dno. Także
czary.
Wojna trwała przez kilka stuleci i mnóstwo prawdziwej mocy zniknęło
bezwrotnie. Ten las jest jednym z ostatnich. W nowym świecie ludzie
kamienie są martwe, a większość strumieni i wzgórz jest wolnych od
magii-
podobnie z dziećmi Tytanów. Te, które przetrwały, trzymają się
kurczowo
ostatnich magicznych stref. Łączą je z nimi łańcuchy silniejsze niż
śmierć.
__Twoja opowieść jest potwornie smutna – zauważył chłopiec. –
Magia już nie wróci?
__Kto wie, może kiedyś... Pewnego dnia niczym wspaniałe kwiat obro-
dzi nasionami, które wykiełkują... Jednak szczerze mówiąc, bardzo w
to
wątpię – Czarodziej westchnął i mówił dalej: – A nawet jeśli do tego
dojdzie, człowiek i tak znów wszystko zepsuje. Każdą rzecz potrafi
zniszczyć.
Nie, lepiej już chyba, żeby magia zniknęła na zawsze.
– Ale jeżeli zniknie, czy centaury nie umrą wraz z nią?
– Rzeczywiście umrą. Podobnie jak nimfy, satyry, driady i cyklopi,
ale

również złe worgule, gorgony, hydry i ptaki śmierci. Wiedz, że nie wszystkie magiczne stworzenia są przyjazne. Niektóre są sługami Zła. No tak – podsumował, wstając – dość już na dziś o moim świecie. Teraz opowiedz mi o swoim.

Rozmawiali jeszcze przez jakiś czas, lecz Aleksander najwyraźniej nie potrafił zaspokoić ciekawości magusa, bo dostrzegał w nim rosnącą irytację.

– Gniewasz się na mnie? – spytał w końcu. – Denerwuje cię mój brak wiedzy?

– Ależ skąd. Nie chodzi o ciebie, dziecko – odparł Chiron wymijająco, po czym zaczął schodzić po stoku. Chłopiec pobiegł za nim i wziął go za rękę.

– Powiedz mi! – błagał. Czarodziej zatrzymał się i klęknął przed nim. Rysy twarzy mu złagodniały.

– Mam pewne marzenie, Aleksandrze. Żywiłem nadzieję, że pomożesz mi w jego spełnieniu. Jesteś bardzo młody i wiesz tak niedużo. To nie twoja wina. Jak na czterolatka, wydajesz się naprawdę rezolutny.

– A czego szukasz?

– Świata pozbawionego zła – odparł z żalem Chiron. – A także innych niemożliwych rzeczy. Poczekaj na mnie przy wejściu do grotty. Muszę pospacerować przez chwilę, aby coś sobie przemyśleć i zaplanować.

Aleksander obserwował magusa, który zszedł z góry i zniknął wśród drzew, a później sam wspinał się na wzgórze i usiadł przed grotą. Przez kilkanaście minut grzał się w ciepłym słońcu. W końcu głód zmusił go do wstania. Przeszedł przez iluzoryczną ścianę i ponownie znalazł się w pałacu.

W kuchni zjadł trochę miodowych ciasteczek i suszonych owoców. Nigdy nie spotkał wewnątrz żadnych służących, a jednak ktoś regularnie uzupełniał zapasy. Gdy chłopiec się najadł, chęć rozwikłania tej zagadki skłoniła go do Wędrowki po pałacowych dziedzińcach. Szukał jakichkolwiek oznak życia.

Na ziemi nie dostrzegł jednakże innych śladów prócz własnych, toteż wrócił do pałacu. Bez celu krążył po pomieszczeniach, znudzony i samotny. Przez jakiś czas przeglądał zwoje i księgi w jednej z wielu bibliotek. Nic go specjalnie nie zaciekało, zwłaszcza że wszystkie zapisane były symbolami, których nie potrafił odczytać. W końcu dotarł do małego pokoju o oknach wychodzących na zachód. Stał tu okrągły stół przykryty aksamitnym obrusem. Z początku pomyślał, że mebel jest ze złota, ale kiedy dokładniej zbadał sześć rzeźbionych nóg, odkrył, że są drewniane i tylko przyozdobione ornamentem z grubych złotych liści. Wspinał się na krzesło, ściągnął aksamit i przypatrzył się czarnej jak węgiel powierzchni. Była tak ciemna, że wcale nie odbijała światła. Odniósł wrażenie, że zagląda w przepastną studnię.

Tytułem próby ostrożnie dotknął dłonią stołu. Natychmiast ją cofnął, gdyż przez blat przetoczyły się mroczne fale, załamując się na

podwyższonej
krawędzi. Zafascynowany ponownie dotknął blatu. Był chłodniejszy niż
śnieg, a jednak osobliwie kojący.
Płaszczyzna rozjaśniła się, następnie zblękitniała. Później
przemknęła
przez nią chmura. *
Aleksander roześmiał się głośno.
– Powinny tu latać ptaki – krzyknął. Scenka rozwijała się wedle jego
życzenia. Chłopiec dostrzegł łabędzie. Szybowały po niebie kluczami.
—
Cudownie! – zawołał. – A gdzie ład? – Wizja znowu się zmieniła,
oszałamiając księcia tak bardzo, że ledwie zdążył się złapać krawędzi
stołu,
by nie spaść z krzesła. Nagle zobaczył las, lecz jakby z wielkiej
wysokości.
Drzewa kurczowo przylegały do gór niczym zielony dywan. – Pokaż mi
Chirona! – rozkazał.
Sylwetka magusa błyskawicznie się zmaterializowała. Czarodziej
siedział
przy strumieniu i rzucał do wody kamienie. Minę miał smutną i
Aleksander
poczuł wyrzuty sumienia, że jego obecność zakłóciła spokój człowieka,
który
dobrowolnie wybrał tę samotnię, by odgrodzić się od zła niczym robaka
zżerającego ten magiczny świat.
– Pokaż mi Filipposa! – polecił.
Lustrzany stół pociemniał i księżę zobaczył armię obozującą pod
murami
spalonego miasta. Złowieszcze kontury namiotów jaśniały na tle
odległej
łuny. Przed największym namiotem pośrodku obozu stał czarny tron z
rzeź-
bionego hebanu. Zasiadał na nim król Makedonów.
U jego stóp klęczeli odziani na czarno kapłani. Jeden z nich coś
mówił,
lecz chłopiec nie słyszał słów. Przy samej krawędzi blatu pojawiły
się jakieś
blade kształty i Aleksander zadrżał ze strachu. Koszmarne stworzenia
podpeł-
zły i otoczyły króla. Miały trupio bladą skórę, oczy mroczne jak
węgiel pod
workowatymi powiekami, czaszki łyse i kościste. Z łopatek wyrastały
im
łuskowate skrzydła, a palce kończyły się szponami.
– Zbliżenie! – rozkazał chłopiec.
Zaczarowany blat wypełniła odrażająca twarz. Chłopiec zauważył, że
zęby
potwora wewnątrz bezustnych warg są spiczaste, ostre, nadgniłe i
pozielenia-
ła- rnocno kontrastowały z purpurowymi dziąsłami. Nagle stworzenie
odwró-
ciło głowę i wpiło się w dziecko ciemnymi, lśniąco-ciemnymi oczyma o
żrenicach
niczym szparki.
— Na pewno mnie nie widzi – pocieszał się księżę.
Nagle blat eksplodował i wyłoniło się zeń szponiaste łapsko. Zatonęło
w tunice Aleksandra i dotknęło jego ciała. Chłopiec poczuł, że
osobliwe
lustro przyciąga go, i wrzasnął. Usilnie próbował odepchnąć od siebie
łusko-
wate ramię.
Niespodziewanie z jego palców wystrzeliła zabójcza moc o takiej sile,
że
ramię maskary obróciło się w pył.

Książę rzucił do ucieczki, jednak upadł na podłogę. Szponiaste łapsko nadal przywierało do jego tuniki. Oderwał je i odrzucił jak najdalej, a następnie pośpiesznie zebrał aksamitny obrus i cisnął go na lustrzaną powierzchnię.

Gdy to zrobił, usłyszał niski dźwięk, jakby jęk, a potem straszliwe słowa:

– Wiem, gdzie jesteś, dziecko. – To był głos Filipposa. – Nie uciekaj mi.

Aleksander w panice wybiegł z pokoju. Niestety, potknął się o kamienny próg, runął na podłogę i potłukł sobie kolana. Łzy trysnęły strumieniem z jego oczu, fizyczny ból przypominał mu bowiem o okrutnym wrogu, który na niego czyha. „Idą po mnie, zaraz tu będą!” – krzyczał w myślach. Pędził po długich schodach z łomoczącym ze strachu sercem, aż w końcu wypadł z grotu na światło słoneczne.

Trwożliwie spojrzął na niebo w poszukiwaniu łuskowatych istot, wreszcie nieco uspokojony usiadł na skale. Mimo palącego słońca jego ciałem targały spazmatyczne dreszcze.

Zobaczył go centaur z łukiem i kołczanem, wybiegł spośród drzew i przycwałował do niego. Był to białobrody przywódca z żółtawobrazowymi bokami. Zatrzymał się przed Aleksandrem.

– Dlaczego płaczesz? – spytał. Pochylił się, dotykając kciukiem policzka dziecka, i osuszył łzę.

– Moi wrogowie idą po mnie – powiedział chłopiec, usiłując powstrzymać łęk.

– Gdzie wygnaniec, który cię tutaj przyniósł?

– Odszedł. Teraz jestem z Chironem.

Centaur skinął głową. Jego piwne oczy wyrażały zadumę.

– Wrogowie, o których mówisz, chłopcze... Czy to magiczne istoty?

– Mają skrzydła i łuski. Na pewno nie są ludźmi.

– Worgule – syknął centaur. – Ich dotyk przynosi chorobę, tchnienie zaś – zarazę. Dlaczego król-demon cię szuka?

– Chce mnie zabić – wyjaśnił chłopiec. – Pragnie żyć wiecznie. – Trząsał się jeszcze mocniej, a w dodatku strużki potu ściekały mu po twarzy.

Miał zawroty głowy i mdłości.

– A zatem... Czy to ty jesteś Iskandrem? – zahuczał centaur. Jego głos docierał z ogromnej odległości, jakby z otchłani przeszłości, odbijając się echem wśród grobowców wymarłej cywilizacji.

– Eee... Tak mnie... nazywali – odpowiedział Aleksander. Świat zawirował i książę spadł ze skały na miękką trawę. Zimne źdźbła łaskotały jego twarz, lecz pierś nadal mu płonęła, a mroczna mgła wypełniła jego umysł.

Kytin odstawił łuk i strzały, zgiał przednie kończyny, pochylił się i wziął dziecko w ramiona. Malec płonał z gorączki. Centaur rozsunął podartą tunikę i zaklął, widząc ślady szponów na drobnym ciałku. Ropa już sączyła się z ran, skóra wokół była pomarszczona i chora. Zapominając o broni, Kytin pogalopował szaleńczo w dół po zboczu, przecinając wąską ścieżkę wśród

drzew
i płytki strumień.
Nagle zastąpiły mu drogę dwa inne centaury.
– Co to za dziecko? – spytał twardo jeden z nich.
– Iskander – wyjął Kytin. – Umiera! – Nie czekaj aż na odpowiedź,
popędził dalej. Płuca płonęły mu z wysiłku spowodowanego zbyt szybkim
tempem biegu, oddychał nieregularnie, niemal konwulsyjnie. A jednak
gnał,
coraz głębiej w serce lasu. Już prawie zapadł zmierzch, gdy przybył
do wios-
ki położonej na brzegach szerokiej rzeki. Tutejsze domy, idealnie
kuliste
z ogromnymi, ziejącymi mrokiem wejściami, i pozbawione okien, zostały
zbudowane z drewna i słomy. Za dziesiątkami budynków ciągnęły się
szerokie
pastwiska i bezdrzewne wzgórza. Na łąkach pasły się stada koni,
ludzie
siedzieli wokół ognisk. Kytin również poczuł przemożną potrzebę
przemiany.
„Jeszcze nie” – nakazał sobie z wysiłkiem. Jeszcze przez jakiś czas
musiał
pozostać centaurem. Iskander go potrzebował!
Zatrzymał się przed jednym z okrągłych domów, oddzielnym nieco od
reszty, i wykrzyczał imię. Cisza. Ponowił wezwanie, ale wciąż bez
efektu,
więc stał i cierpliwie czekał. Wiedział, że kobieta jest w środku.
Nie mógł jej
teraz niepokoić, choć czuł się martwy ze strachu, ponieważ życie
wysączało
się z dziecka niczym warki strumień pokonujący tamę z piasku.
Wreszcie w progu domu pojawił się stary kuc. Potrząsnął grzywą i
pokłu-
sował ku wzgórzom.
– Gea – zawołał centaur. – Wyjdź. Potrzebuję cię.
Przed dom wykuśtykała staruszka.
– Jestem zmęczona – wyjaśniła.
– Ale to jest Iskander – nalegał Kytin, pokazując jej dziecko na
swoich
rękach. – Dotknął go worgul.
Stara kobieta wsparła brodę o czubek łaski.
Dlaczego dopiero teraz? – wyszeptwała. – Kiedy jestem już taka
słaba – Przez moment milczała, potem głęboko wciągnęła powietrze i
się
wyprostowała. – Wnieś go do środka, Kytinie. Zrobię, co w mojej mocy.
Centaur odprężył się, wszedł do domu i położył nieprzytomnego chłopca
na wąskim wyrku. Aleksandrowi posiniały wargi, miał urywany oddech
i wstrząsały nim drgawki.
— Musisz go uratować – ponaglił Geę Kytin. – Musisz!
— Zamilknij, głupcze – odburknęła. – Dokonaj wreszcie transformacji.
Aż ci się boki trzęsą. Nie pokonasz natury. Przemień się, zanim
publicznie
narobisz sobie wstydu.
Kytin odszedł.
Staruszka usiadła na łóżku obok umierającego dziecka. Gdy wzięła jego
dłoń w swoją, poczuła gorączkę szalejącą w ciele malca.
– Powinieneś być przybyć do nas dwadzieścia lat temu – szepnęła. –
Wtedy miałam prawdziwą moc. Teraz jestem stara i niemal bezużyteczna.
Mój
kuc umiera, pewnie nie doczeka zimy. Co mam zrobić, Iskandrze? O ile
naprawdę nim jesteś.
Chłopiec poruszył się i jęknął.
– Par... menion!
– Cicho, mały – uspokoiła go Gea. Rozsunęła tunikę i położyła pomar-
szczoną, kościstą rękę na ropiejących ranach. Gorąco oparzyło jej

skórę.
Zacisnęła usta. – Że też w świecie magii rodzą się takie podłe
kreatury... –
warknęła nieprzyjemnym głosem. Jej ręka zaczęła się jarzyć, kości pod
skóra
przypominały pajęczynę. Wyglądało to tak, jakby staruszka przykrywała
pod
dłonią latarnię. Z piersi chłopca podniósł się szary opar i przesunął
się przez
wyciągnięte palce kobiety. Rany zamknęły się szczelnie, ropa wyciekła
na
piers dziecka. Opar zawisł na moment w zwartej kuli. Gdy wybuchła,
dom
wypełnił się straszliwym smrodem. Aleksander stęknął, ale
równocześnie
kolory wróciły na jego blade policzki.
Dziecko westchnęło.
Gea zatoczyła się i sięgnęła po laskę. Do pokoju wszedł starszy
mężczy-
zna, pochylony i zdeformowany.
– Żyje? – spytał cienkim głosikiem, szepcząc przez zgniłe zęby.
– Żyje, Kiarisie. Przyniosłeś go na czas. Skąd masz pewność, że ten
malec to Iskander?
Starzec podszedł powoli do krzesła przy płonącym piecyku, usiadł i
wy-
ciągnął ręce do ognia.
– Tak mi powiedział. No i tyran go szuka, Geo. Chce go zabić i dzięki
temu zyskać nieśmiertelność. Kim innym zatem może być ten chłopiec?
– Zwyczajnym ludzkim dzieckiem i nikim więcej. Tyran nie jest nie-
omylny. Już kilka razy się pomylił.
– Nie tym razem. Czuję to.
– W kościach, jak mniemam – rzuciła oschle. – Zdaje mi się czasem,
że twój koń ma więcej rozumu niż ty. Worgule oznaczyły tego chłopca.
Wiesz,
co to oznacza? Że odtąd będą wiedziały, gdzie się znajduje. Ile czasu
minie,
zanim usłyszymy łopot ich skrzydeł ponad naszym lasem? Hmm? No ile?
– Lecz jeśli chłopiec faktycznie jest Iskandrem, musimy go chronić za
wszelką cenę. W nim cała nasza nadzieja, Geo!
– Nadzieje! Marzenia! – prychnęła staruszka. – Sajak dym na wietrze.
Kiedyś nieustannie śniłam o Iskandrze. Teraz już nie. Czekam tylko na
śmierć
mojego kuca. Niech opuści ten padół śmierci i bestialstwa. Popatrz
tylko na
dziecko. Ile ma lat? Cztery, pięć? Sądziś, że jest zdolne pokonać
Zło?
Przecież jego wargi wciąż jeszcze tęsknią za matczynymi piersiami!
Kiaris potrząsnął przecząco głową. Rzadkie białe włosy uniosły się
jak
aureola wokół jego twarzy.
– Kiedyś miałaś w sobie wiarę. Niestety, zestarzałaś się i twoja
wiara
zniknęła. Widzisz, ja również jestem stary, ciągle jednak przepełnia
mnie
nadzieja, że Iskander nas uratuje, odnowi magię i przywróci ją!
– Śnij dalej te bzdury, stary durniu, skoro taka twoja wola, lecz tak
czy
owak na jutro przygotuj łuk i włócznię. Ponieważ worgule niechybnie
tu dotrą,
po nich zaś przyjdą Makedonowie. Twoja głupota ściągnie na nas
wszystkich
zagładę.
Kiaris wstał wzburzony.
– Lepiej umrzeć w walce, niż żyć bez nadziei, Geo. Mam synów i oni

mają swoich. Pragnę, żeby dożyli powrotu magii. Będę walczył z worgulami do ostatniego tchnienia. Nie zabiorą tego dziecka!

– Znajdź sobie lustro, niedołęgo – zadrwiła z niego. – Kiedyś słowa Kiarisa-Kytina uderzały w świat niczym grzmot. Teraz zaś ledwie możesz ustać bez laski. Nawet przemieniony nie ubiegiesz daleko.

– Żal mi ciebie – mruknął. Podszedł do łóżka i położył dłoń na czole nieprzytomnego dziecka. – Śpij spokojnie, Iskandrze – szepnął.

– Sprzedaj go Filipposowi – doradziła cynicznie. – Wtedy zachowasz się naprawdę mądrze.

– W rozpaczy nie ma mądrości – odrzekł.

Parmenion i Attalos wyjechali z lasu i skierowali się ku dalekiej równinie, przez którą przepływała migotliwa rzeka Penejos. Na niebie zgromadziły się chmury, ogromne i ciężkie. Niosły w sobie obietnicę burzy, ale wiatr nadal jeszcze był ciepły, a natura czekała na deszcz. Fechtmistrz jechał na siwku obok Spartanina.

– Dokąd jedziemy, strategosiel

– Przejedziemy równinę, a później lasy – odparł wódz, wskazując na zachodnie wzgórza. Porośnięte drzewami, wyginały się jak czubki gigantycznych hełmów.

Spadły pierwsze krople deszczu, niebo przecięła błyskawica, a po chwili powietrzem wstrząsnął stłumiony grzmot. Wierzchowiec Attalosa stanął dęba, niemal zrzucając swego jeźdźca. Kolejna błyskawica przeorała zygzakiem nieboskłon i zaczęła się ulewa. Konie szły teraz stępa z pochylonymi głowami –

Obaj wojownicy mokli, w milczeniu niestrudzenie kontynuując podróż.

W tych warunkach konwersacja była niemożliwa. Przypadkiem spojrzawszy w lewo, fechtmistrz dostrzegł na trawie zmasakrowane ciało. Oderwane nogi leżały obok. Dalej zobaczył kolejne zwłoki, potem jeszcze jedno, podobnie nieludzko rozszarpane. Skręcając w prawo, klepnął Parmeniona w ramię i wskazał na trupy. Spartanin pokiwał głową, lecz nic nie powiedział. Większą część poranka jechali przez pobojuwisko po stoczonej jakiś czas temu bitwie, aż w końcu deszcz ustał i słońce przebiło się przez rozstępujące się chmury.

– Tysiące trupów – zagaił niepewnie Attalos, patrząc przez ramię, ponad równiną. – Nawet nie zabrano im broni.

Strategos ściągnął lejce wałacha.

– Domyślam się, że stoczyli tam główną bitwę – stwierdził i machnął ręką ku niskiemu pasmu wzgórz. – Wnosząc z układu ciał, szereg po lewej rozproszył się, a pokonana armia starała się uciec na zachód.

Natrafili na konnych, którym starali się dać odpór. W tej potyczce nikt nie zamierzał brać jeńców, toteż wszyscy zostali wycięci w pień.

– Ten świat wcale się tak bardzo nie różni od naszego – zauważył Attalos z wymuszonym uśmiechem. Jednak jego uśmiech szybko zbladł.

– Mylisz się. Ta wojna nie przypomina żadnej, w której brałem udział

– mruknął Spartanin. Jego jasne oczy badawczo penetrowały pole bitwy.

–

To nie była zwykła w naszym świecie walka o dominację, po której pozwała się wrogowi pochować zmarłych, ale zaplanowana rzeź. Nie chciałbym uczestniczyć w takim konflikcie.

Fechtmistrz zeskoczył z konia i podszedł do najbliższej leżących zwłok. Ukląkł i podniósł tarczę martwego wojownika. Była wymodelowana z drewna

i wzmocniona spiżem. Zabity nadal zaciskał ją w pięści.

– Widziałeś kiedyś coś takiego? – spytał, podając tarczę Parmenionowi.

– Nie. Ten emblemat przedstawia Heraklesa zabijającego węże w korysycie. U nas Tebańczycy nosili buławę Heraklesa.

– Niczego tu nie rozpoznaję – oświadczył Attalos, trącając stopą zwłoki

i przewracając je na plecy. Podniósł wygięty hełm i obrócił go w dłoniach.

Wykonano go ze skóry, pokryty był cienką warstwą czegoś, co wyglądało na

spiż. Hełm nie miał grzebienia czy pióropusza ani też osłon na policzki,

jedynie dwa krzywo odlane krucze skrzydła, luźno przykute do skroni, i nie-

wielką, metalową pionową sztabkę na wysokości czoła. – Paskudne wykonanie – podsumował fechtmistrz. – A te skrzydełka nie służą żadnemu celowi – dodał. – Popatrz tylko na tę nosową wypustkę. Jest zbyt wąska,

aby chronić twarz. Ten hełm jest kompletnie bezużyteczny... O czym jego

właściciel niechybnie się dowiedział.

Odrzucił hełm na ziemię i ponownie dosiadł konia.

– Te ciała leżą tu od tygodni, może nawet od miesięcy. Jak to możliwe,

że nikt ich dotąd nie złupił?

– Może nikt w tej bitwie nie przeżył – odparł Parmenion.

Po trawie przesunęły się jakieś cienie. Spartanin podniósł wzrok i zobaczył

dwadzieścia bladych kształtów szybujących na niebie. Leciały na zachód,

machając powoli wielkimi skrzydłami. Mimo jaskrawego słońca i wysokości,

na której frunęły, wyraźnie było widać ich nieludzkie kształty.

– A cóż to, na Hekate?! – spytał szeptem fechtmistrz.

Do stworzeń dołączyła druga eskadra nadciągająca z północy. Strategos przysłonił oczy i dostrzegł kolejne istoty – nadlatywały z południa i zachodu.

– Nadchodzą ze wszystkich stron – zauważył.

– Chyba kierują się w stronę lasu. Wiesz, co ci powiem, Parmenionie? Zaczynam mieć serdecznie dość tego paskudnego świata.

– Ja też – zgodził się wódz i poderwał wałacha do galopu. Attalos już miał za nim podążyć, kiedy dostrzegł kolejne ciało. Łucznik leżał na plecach,

twarz miał rozoraną przez kruki. Macedończyk zeskoczył, zdjął mężczyźnie

z ramienia skórzany kołczan, potem zabrał krótki, wygięty łuk z rogu. Zarzucił

kołczan na ramię, wskoczył na siwka i ruszył za Spartaninem.

Dobrze się czuł z łukiem w ręku. Uwielbiał tę broń, bo zadawała milcząca

śmierć i stanowiła niewielkie ryzyko dla zabójcy. Parmenion był przed nim

i Attalos wyobraził sobie, jak strzela mu w tył głowy. Tak, niech strzała

przebiję jego mózg! „Nie!”, powstrzymał się w myślach. Nie mógłby go zabić w taki sposób. Chciał widzieć jego minę. Chciał zobaczyć, jak znika z twarzy wroga arogancja i duma.

„I zobaczę – obiecał sobie. – Natychmiast gdy znajdę chłopca... I drogę do domu”.

Chiron spacerował wzdłuż strumyka. Dręczyły go posępne myśli. Świat magii umierał w szybkim tempie. Pozostało już niecałe sto magicznych stref na ziemi, na której niegdyś czary wyciekały z każdej skały i z każdego drzewa.

W samej Achai było ich już tylko siedem. Klęknął nad wodą, złożył dłonie w miseczkę i się napił. Filippos był takim żywym i inteligentnym dzieckiem. Prędko się uczył i często śmiał. Niestety, miał w sobie zło, Ducha Chaosu, który go w końcu pokonał, niszcząc wszystko, co było w nim ludzkie, wszystko, co łączyło się z pięknem i dobrocią.

Smutek spadł na Chirona niczym olbrzymi demon. Magus nie wiedział, co robić. Popatrzył w niebiosy.

__ Może nadszedł już czas, by umrzeć – szeptał. – Może zbyt długo żyję __ Wstał, opuścił las i ruszył po wzniesieniu. Rozpoczął długą wspinaczkę do groty.

Minał pasącego się Kajmala. Zamachał do niego, lecz koń go nie zobaczył.

Zanim czarodziej dotarł do groty, rozbolewały go nogi, więc zatrzymał się na chwilę odpoczynku. Wyjął uzdrawiający kamień z woreczka u boku i popatrzył na niego.

Moc wpłynęła w jego kończyny i po raz wtóry zapragnął odzyskać w pełni młodzieńczą siłę. Ach, gdybyż strumień magii znowu wypełnił jego krew!

Tyle że czary złotego kamienia już prawie wyschły. Chiron nie chciał wy-czerpać ich do końca, nawet nie miał odwagi spróbować. Włożył kamień z powrotem do woreczka, wszedł do groty, później do pałacu, szukając Aleksandra.

Nigdzie nie dostrzegł chłopca. Początkowo nie martwił się tym. Pałac był wielki, liczył dziesiątki pokoi. Wszystkie znane czarodziejowi dzieci ogromnie lubiły penetrować nieznanne pomieszczenia, a w wielu tutejszych pokojach znajdowały się przedmioty, które powinny zafascynować tak inteligentne dziecko jak Aleksander. Jednak wraz z upływem czasu niepokój Chirona rósł. Pocieszał się wszakże, że chłopiec ma chyba dość rozumu, by nie powędrować samotnie w las...

Nagle dotarł do pokoju z lustrzanym stołem i na zimnej marmurowej podłodze zobaczył odciętą rękę; jej szpony były zabarwione krwią.

– Nie! – wyszeptał. – Tylko nie to! – Gdy podszedł do stołu, dostrzegł, że ktoś pośpiesznie i niedokładnie przykrył blat materiałem. Drżącymi rękoma podniósł aksamitny obrus i... Jego oczom ukazał się namiot Filipposa.

Król siedział na hebanowym tronie. Spojrzał na magusa. Złote oko tyrana

błysnęło w świetle ognia.

– Ach! Więc wróciłeś, przyjacielu – odezwał się Filippos. – Jak ci się

wiedzie?

– Obawiam się, że lepiej niż tobie – odparł zimno Chiron.

– Jakżeż to możliwe? Wszak jestem Makedonem i moje armie podbijają

wszystko, co stanie mi na drodze. Poza tym, jestem niezniszczalny.

– Nie jesteś już ludzką istotą, królu. Nie ma w tobie niczego z

chłopca,

którego znałem i kochałem.

Perlisy śmiech Filipposa wypełnił salę.

– Nonsens, Chironie! Nadal nim jestem. Ale ponieważ stałem się męż-
czyzną, nie mogę postępować jak dziecko. Czym się różnię od władców,
którzy rządzą przede mną? Niczym.

– Nie będę z tobą dyskutował. Nie jesteś już człowiekiem. Twoja dusza

od dawna jest martwa. Dzielnie walczyłeś z Mrokiem, lecz w końcu cię

pokonał. Żal mi ciebie.

– Oszczędź mi swej litości, Chironie – oświadczył król bez śladu

gniewu. – Twoje współczucie jest niepotrzebne. Nie poniosłem klęski,
wręcz

przeciwnie... Pokonałem Ducha Chaosu, który mi teraz służy. A ty, mój

drogi, posiadasz coś, czego pragnę. Oddasz mi to dobrowolnie... czy

mam

użyć siły?

Czarodziej potrząsnął głową.

– Będziesz musiał spróbować... jeśli potrafisz. Zresztą, na nic ci

się nie

przyda. Dziecko nie zapewni ci nieśmiertelności. Nie jest Iskandrem,

lecz

synem króla rządzącego inną krainą.

Filippos wstał.

– Sprawdzę to. Jeśli chłopiec nie okaże się Iskandrem, będę szukał

dalej.

Zdobędę nieśmiertelność, której pragnę, Chironie, bo jest mi

przeznaczona.

– Nie mam ci nic więcej do powiedzenia! – zawołał Chiron. – Odejdź!

– Przesunął ręką nad powierzchnią stołu i zaledwie na moment lustro

zamigotało w ciemnościach. Później ponownie pojawiła się twarz

makedoń-

skiego króla.

– Widzisz – syknął Filippos. – Nie masz już nawet dość mocy, by

przegonić mój wizerunek. Przyślij mi dziecko albo twoja krew spłynie

po

moim ołtarzu. Wiesz, że to zrobię, Chironie. Żyjesz setki lat, ja zaś

unicestwię

cię w jednej chwili. Trach i już cię nie będzie. Odczuwasz

przerażenie,

prawda? Widzę je w twoich oczach. Przynies mi chłopca, a będziesz

żył.

Oprzyj mi się, a wtedy twoja śmierć będzie się ciągnąć równie długo,

jak

trwało twoje życie.

Lustro pociemniało. Magus przykrył je, po czym opuścił salę, zbiegł

po

schodach, przebiegł grotę i wypadł na dwór.

Tu ujrzał łuk Kytina i kołczan. Leżały w miejscu, w którym centaur je

porzucił. Nad swoją głową Chiron usłyszał łopot skrzydeł.

Kytin przejechał nasłonecznioną polanę, po czym stanął na tylnych

koń-

czynach i wysłał strzałę prosto w serce krążącego w powietrzu

worgula.

Skrzydła potwora opadły, a po chwili jego blade cielsko runęło na

trawę.

Czarna strzała przeleciała tuż obok głowy Kytina, który obrócił się i

posłał
drugą strzałę w brzuch napastnika.
Bitwa trwała już od jakiegoś czasu. Jedenastu centaurów zległo na
ziemi
obok ponad trzydziestki zabitych worguli. Potwory nie dawały wszakże
za
wygraną, ich wielkie skrzydła trzepotały, a śmiercionośne pociski
cięły po-
wietrze.
– Skryjmy się pod drzewami! – krzyknął Kytin. – Nie wleca tam! –
Większość centaurów uciekła do lasu, jednak niektóre nie usłyszały
komendy,
gdyż słowa zagłuszył tupot kopyt, uderzenia skrzydeł i krzyki
umierających.
Walczyli do końca. Jeden z worguli spadł Kytinowi na plecy. Ostre
szpo-
ny wbiły się staremu centaurowi w ramię. Kytin wrzasnął z wściekłości
i bólu, potem bryknął i zrzucił wstrętne stworzenie z grzbietu.
Skrzydła monst-
rum rozłożyły się szeroko, amortyzując upadek. Kytin skoczył do
przodu,
chwycił w ogromne ręce chudą szyję i przekreślił ją dziko, łamiąc
kręgosłup
potwora.
Nagle strzała wbiła się centaurowi w plecy. Trucizna natychmiast
wpły-
nęła w jego krew niczym kwas. Bliskość śmierci zdopingowała dzielne
stworzenie do działania. Kytin obrócił się i stanął dęba, po czym
pogalopował
do szałasów Gei. Wpadł do środka, przestąpił przebite strzałą ciało
starej
uzdrowicielki, podniósł nadal śpiące na łóżku dziecko i wziął je w
ramiona.
Jego nogi prawie ugięły się pod ciężarem, lecz ostatnim wysiłkiem
woli zdołał
wynieść chłopca na światło dzienne, następnie pognął z łoskotem do
lasu.
Jeszcze dwie strzały go raziły – jedna przeszła mu ciało tuż obok
długiego
kręgosłupa, druga musnęła go w zad. W końcu wszakże minął napastników
i wkroczył na górską ścieżkę.
Worgule wzbily się ponad drzewa, na szczęście miały utrudnione
zadanie,
gdyż konary splatały się tu w naturalny baldachim. Chmury
obrzydliwych
stworzeń krążyły na niskiej wysokości, lecz zarośla były gęste i
utrudniały
worgułowidoczność.
Kytin galopował dalej. Trucizna krążyła w żyłach jego nóg. Dwa razy
potknął się i prawie runął na ziemię, ale zdołał zebrać resztki siły i
odwagi.
Przy
życiu trzymała go już tylko moc jego marzenia.
Iskander! Tak! Musiał uratować tego chłopca. Ocalenie świata magii
leżało teraz w jego rękach.
Pobiegł dalej w las. Szukał jaskini lub dużej dziupli, gdzie mógłby
ukryć
malca. Jednakże jego oczy przesłaniała siwa mgła. Trucizna
nieodwołalnie
mamiła mu zmysły. Kytin nie mógł się skupić. Przez głowę przelatowały
mu
jednocześnie setki myśli, stare wspomnienia, sceny triumfu i
tragedii. Ponow-
nie przypomniał sobie lot z Boasem, wielką jazdę do Kadmos,

małżeństwo

z Elena, narodziny pierwszego dziecka...

Chłopiec obudził się i zaczął się szarpać w ramionach centaura.

– W porządku, Iskandrze – uspokajał go Kytin. – Uratuję cię.

– Masz krew na podbródku. Ścieka ci ciurkiem na brodę – zauważyło trwożliwie dziecko. – Jesteś ranny.

– Wszystko będzie dobrze.

Kytin zwolnił, tylne nogi ugięły się pod nim. Aleksander wypadł mu z ramion i wylądował na plecach. Chłopiec stracił oddech.

Worgul wyleciał nagle spośród wysokich gałęzi, trzymając w wyciągniętych łapach linę. Aleksander próbował uciec, ale nadal nie mógł złapać tchu.

Pętla opadła mu na ramiona i zacisnęła się zwarem. Malec wznosząc się

w powietrze, krzyknął.

Niespodziewanie strzała trafiła worgula w bok. Potwór wypuścił linę z dłoni, próbując umknąć, lecz trzasnął skrzydłami w gałąź, wykonał salto

w powietrzu, spadając na ziemię. Zabił się.

Dwóch jeźdźców podjechało galopem. Aleksander spojrział na nich.

– Parmenionie! – krzyknął radośnie. Spartanin zeskoczył na ziemię i wyciągnął miecz. Czarna strzała poszybowała ku niemu, ale odbił ją płazem.

Kolejna przecięła powietrze. Któryś z krążących nad nimi worguli zaskrzeczał

z bólu. Spartanin chwycił chłopca i dosiadł swego wałacha.

– Nie! – krzyknął książę. – Nie możemy stąd odjechać! Mój przyjaciel jest ranny!

– Twój przyjaciel nie żyje, dziecko – przerwał mu Attalos, naciągając cięciwę łuku. – Dokąd teraz, strategosiel Nadlatuje ich coraz więcej.

– Do groty! – zawołał Aleksander.

– W którym kierunku? – spytał wódz. Posadził chłopca przed sobą na koniu.

– Tam, na stok! – odrzekł książę i wskazał na przesiekę między drzewami.

– Zdołamy ich prześcignąć? – zapytał z powątpiewaniem fechtmistrz.

– Ciężko będzie – odparł Parmenion. – Ale nie mamy wyboru.

Popędzili wierzchowce wąskim szlakiem. I wkrótce dotarli do stoku.

– W górę! – zawołał Aleksander. Spartanin spojrział we wskazanym kierunku. Czarny otwór groty znajdował się niecałe dwieście kroków od nich.

Obejrzał się. Worgule zbliżały się szybko. Zrozumiał, że nie zdołają im uciec

i nie dotrą do groty na czas!

Attalos wysforował się naprzód. Potężny siwek obciążony mniejszym ładunkiem pędził ku schronieniu. Nagle czarna strzała wbiła się w grzbiet

wierzchowca. Zwierzę biegło siłą inercji jeszcze przez parędziesiąt metrów,

a potem przednie nogi ugięły się pod nim i padło. Fechtistrz zwał się na

ziemię, lecz natychmiast uniósł się na kolana. Trzymając w rękach łuk,

spozstrzegł, że jego koniec był złamany. Odrzuciwszy go na bok, Attalos

wyciągnął miecz.

Spartanin zeskoczył obok niego i klepnął zad wałacha. Rumak poniósł dziecko ku grotce. Aleksander przywarł mocno do grzywy.

Nagle błyskawica uderzyła w krążące zastępy worguli, rozpraszając je i zabijając więcej niż dwadzieścia spośród nich. W chwilowym zamieszaniu

Parmenion dostrzegł szansę ucieczki.

– Biegnijmy! – krzyknął, odwracając się i pędząc w górę po stoku.

Na drodze stanął im siwowłosy mężczyzna. Nie patrzył na nich, ale

podnosił ręce i wskazywał na niebiosa. Gdy z jego palców wystrzeliło ośle-
piające białe światło, powietrze wypełniło się zapachem płonącego
ciała, a od-
skał odbiły się echem śmiertelne wrzaski worguli.
Nie odwracając się za siebie, wojownicy pobiegli do groty, gdzie
czekał
Aleksander.

— Chodźcie za mną! — rozkazał chłopiec i przeprowadził ich przez
iluzoryczną ścianę do pałacu.

— Czy te potwory podażą za nami? — spytał strategos.

— Chiron twierdzi, że nie zdołają pokonać blokady — odparł ksiązę.

— Przekonamy się — mruknął Parmenion. Podniósłszy miecz, poczekał,
aż Attalos do niego dołączy.

Pojawił się magus.

— Jestem wam winien podziękowania — oświadczył z uśmiechem.

— Niby dlaczego, w końcu po to nas tu przysłałeś — skomentował
zgryźliwie Spartanin. — Ale miło cię znowu widzieć, Arystotelesie.

— Obawiam się, że zaszła pomyłka — odparł czarodziej. — Nie znam
was, panowie.

— A cóż to znowu za gra? — syknął Attalos, podchodząc do Chirona
i przykładając mu miecz do gardła. — Wysłałeś nas w świat szaleństwa,
a teraz twierdzisz, że nas nie znasz? Bez żartów, człowieku! Jakoś
nie mam

dzisiaj nastroju na krotochwile.

— Poczekaj! — wtrącił Parmenion, odsuwając ostrze fechtmistrza. — Jak
się nazywasz, przyjacielu?

— Chiron — odparł magus. — I pierwszy raz w życiu słyszę imię —
Arystoteles. Hmm... to naprawdę fascynujące. Prawdopodobnie egzystuje
również w waszym świecie. W innej postaci. Zastanawiam się, w ilu
jeszcze
rzeczywistościach żyję?

— Wierzysz mu? — zagrmiał królewski zabójca. — Przecież to nasz
magik!

— Nie — stwierdził z przekonaniem Spartanin. — Przyjrzyj się uważnie.
Jest bardziej przysadzisty, poza tym Arystoteles ma niewielką bliznę
na

prawej skroni. Różnią się tylko tymi dwoma drobiazgami. Zanim się
jednak

wdamy w dyskusję, upewnijmy się, czy jesteście bezpieczni. Te
stworzenia

dadzą radę tu wejść?

— Nie od razu — odparł magus. — Na nieszczęście wróg ma wielu
sojuszników, a moja moc nie jest już taka jak kiedyś.

Parmenion podszedł do okna i wyjrzał na roziskrzony ocean.

— Nadal przebywamy w twoim świecie, Chironie, czy też to jakiś ko-
lejny?

— Ten sam, po prostu w innym miejscu. W Achai jest siedem ośrodków
starożytnej mocy. Potrafię między nimi podróżować. Ten pałac stoi nad
Zatoką Malin.

— Malin? Czyżbyś mówił o Malis? — spytał Parmenion. Po chwili
zadumy dorzucił: — Jest gdzieś w pobliżu przełęczy o nazwie podobnej
do

Termopil?

— Właściwie tak. Dwa dni jazdy na południe.

— W takim razie najbliższym dużym miastem powinny być Teby.

— Nie ma tu miasta o takiej nazwie — odpowiedział magus.

— Biała pani wspominała o Kadmos.

— Jaka biała pani? — wtrącił Attalos, lecz pozostali mężczyźni go
zignorowali.

— Tak jest Kadmos, najpotężniejsze miasto centralnej Achai — przyznał
Chiron. — Niestety, oblegają je Makedonowie. Nie pokonamy Filipposa.

Jaki

masz plan?

– Musimy dostać się do Sparty – odrzekł Parmenion.
– Dlaczego właśnie tam? – spytał Attalos. – I kim jest ta dama? Czy ktoś mi powie, o co tu chodzi?
– Dobrze pytanie, przyjacielu – stwierdził czarodziej, potem położył dłoń na ramieniu fechtmistrza. – Chodźmy do kuchni. Przygotuję jedzenie, usiadzimy i porozmawiamy. Wielu spraw również ja nie rozumiem. Później, gdy usiedli na otwartym dziedzińcu, Spartanin opowiedział fechtmistrzowi o spotkaniu z panią polany i jej radzie.
– To nie był sen. Po walce z Makedonami podano nam środki nasenne. Nie wiem, kim była owa dama, ale potraktowała mnie dobrze i wierzę, że udzieliła mi rozsądnej rady.
– Nie chcę o tym słuchać – warknął Attalos. – Skoro nie miała dość manier, aby mnie zbudzić. Dlaczego wybrała akurat ciebie, Spartaninie?
Czyżby uznała mnie za pomagiera, który nosi za tobą sandały?
– Nie potrafię odpowiedzieć na twoje pytania. Polana emanowała magią i pięknem. Nie sędzę, żeby jej mieszkańcy pożąдали ludzkiej obecności.
Przypuszczam, że po prostu chcieli jakoś wyrazić swoją wdzięczność za uratowanie nimf.
– Doprawdy? Świetnie ją odczułem, śpiąc na gołej ziemi. Zresztą, niech ich piekło pochłonie! Nie dbam o nich ani o wszystkie inne przeklęte monstra zamieszkujące ten zdeformowany świat. Interesuje mnie tylko jedna kwestia:
w jaki sposób wrócimy do domu? – zapytał, obracając się do magusa. Czarodziej rozłożył bezradnie ramiona.
– Nie wiem.
– A kto ma wiedzieć?! – zagrzmiął fechtmistrz. Wstał, wyszedł do ogrodu i zszedł po schodach na szeroką plażę.
– Twój przyjaciel odreagowuje przerażenie agresją – zauważył Chiron.
– Nie powiem, żebym go obwiniał.
Parmenion skinął głową.
W/ Macedonii jest naprawdę kimś. Lubi nad wszystkim panować. Tutaj drży jak liść targany wiatrem.
Wyczuwam, że raczej nie jesteście przyjaciółmi. Dlaczego zatem towarzyszy ci w poszukiwaniach?
__ Kieruje się kilkoma motywami – odparł Spartanin. – Po pierwsze, nie chce dopuścić, abym sam uratował Aleksandra. Pragnie mieć udział w sławie i jest gotów dla niej zaryzykować życie.
– A ty, Parmenionie? Boisz się?
__ Oczywiście, że tak. Nie znam tego świata i nie potrafię się w nim odnaleźć. Mimo to jestem optymistą. Znalazłem młodego księcia i na razie jesteście bezpieczni. To mi wystarczy.
Chłopiec wyszedł na dwór i wdrapał się strategosowi na kolana.
– Wiedziałem, że po mnie przyjdiesz, Parmenionie. Uprzedzałem cię, nieprawdaż, Chironie?
– Zgadza się, książę, uprzedzałeś. Świetnie się znasz na ludziach.
– Dlaczego zabrałeś z sobą Attalosa? Nie lubię go.
– Przybył ci na pomoc – wyjaśnił wódz. – Idź na plażę i porozmawiaj z nim.
– Muszę?
– To najbardziej zaufany wojownik twojego ojca, a Filip mało kogo obdarza przyjaźnią. Idź, pomów z nim. I dopiero potem go osądzaj.
– Po prostu starasz się mnie pozbyć, bo chcesz w cztery oczy porozmawiać z Chironem.
– W istocie, ale i tak idź pogawędzić z Attalosem – przyznał Spartanin z szerokim uśmiechem.

– Niech wam będzie – stwierdził naburmuszony chłopiec. Zeskoczył na ziemię i odszedł.

– Wspaniałe dziecko – zauważył magus – i kocha cię z całego serca. Parmenion zignorował tę ostatnią uwagę. Wstał i energicznie rozprostował zdrętwiałe plecy.

– Opowiedz mi o swoim świecie, czarodzieju. Chciałbym zrozumieć, co się tu dzieje.

– Co konkretnie chcesz wiedzieć?

– Interesuje mnie układ sił, sojusze, atuty bitewne stron, słowem wszyst-
ko. Zaczniij od Filipposa. Kiedy objął tron... I jak?

Chiron nalał sobie puchar wina, wypił kilka łyków i dopiero wtedy odpowiedział.

– Dziesięć lat temu zamordował swego brata Perdikkasa i zdobył koronę. Potem wtargnął z armią do Ilirii i ruszył dalej na północ. Podbijał miasto za miastem i przejmował kopalnie. Pierwsze wypowiedziały mu wojnę Ateny, Podobnie osady Trydentu...

– Trydentu?

– Ziem Halkidyki.

– Ach, tak. U nas ta kraina nazywa się Chalkidike. Kontynuuj.

– Trzy lata temu zmiażdżył armię Trydentu. Potem podbił Trację.

– A co na to perskie imperium?

– Imperium? – spytał Chiron, chichocząc.–Przecież Persję zamieszkuje tylko nieokrzesani barbarzyńcy. Jakim cudem mogliby stworzyć imperium?

Spartanin ze zdziwienia aż odchylił się w tył.

– Kto zatem rządzi krainami Azji?

– Nikt. To dzicz zamieszkała przez koczownicze plemiona, które wyrzynają się w nieustających wojnach. Na wybrzeżu leżą greckie miasta. Kiedyś rządziły nimi Ateny albo Sparta, ale nie ma tam... imperium. Czy w twoim świecie istnieje?

– I to jakie – odparł Parmenion. – Największe, jakie świat kiedykolwiek widział. Wielki Król rządzi od granic Tracji aż po krańce ziemi. Nawet Grecja... Achaja, jak ją nazywasz... płaci daninę Persji. Ale, ale... Opowia-
dałeś o zdobyciu Tracji.

Magus pokiwał głową.

– Armia Makedonu przeszła przez kraj niczym pożar lasu, niszcząc na swej drodze wszystko. Każde miasto, każdą osadę. Ludność sprzedano na targach niewolników albo wycięto w pień. Potem Filippos pomaszerował na południe do Tesaloniki. Bitwa odbyła się niedaleko stąd. Przeciwko tyranowi walczyły połączone wojska Kadmosu i Aten. Zostały całkowicie zmiażdżone. Król ominął Kadmos i uderzył na Ateny. Spalił akropol i wybił niemal wszystkich obywateli. Jedynie nielicznym udało się uciec na morze. Teraz Kadmos samotnie stawia czoło rozgniewanemu władcy. Nie wytrzyma długo. Następna będzie Sparta.

– Filippos nie jest przecież niezwyciężony – mruknął Parmenion. – Chyba można go jakoś pokonać?

Chiron potrząsnął głową.

– Gdy był dzieckiem... tak jak Achilles... został zanurzony w wodach rzeki Styks. Jest uodporniony na rany. Tyle że... W przeciwieństwie do przypadku Achillesa, jego matka niczego nie zaniedbała. Król-demon

nie ma
więc achillesowej pięty ani innego słabego punktu. Żadna strzała
nawet go nie
draźnie, żaden miecz nie przetnie mu skóry. Gdy miał lat dwadzieścia,
tuż po
koronacji poprosił pewnego czarnoksiężnika o wielkiej mocy, aby mu
stwo-
rzył oko ze złota. Widzi ono wszystko i w dodatku pozwala mu czytać
z ludzkich serc niczym z księgi. Czarodziej wykonał polecenie,
Filippos wziął
oko, potem wyłupił sobie własne i zastąpił je ową magiczną kulką Sam
rozumiesz, Parmenionie, że nikt nie może go ani pokonać, ani
przechytrzyć.

Z wyprzedzeniem zna najtajniejsze plany swoich przeciwników.

— Co się stało z owym czarnoksiężnikiem o wielkiej mocy? Może on
mógłby wskazać sposób na pokonanie własnego tworu?

— Nie, przyjacielu. Ja jestem tym czarnoksiężnikiem i nie potrafię
ci
pomóc.

Attalos siedział na plaży. Czuł na swojej twarzy ciepłe słońce, choć
promienie były znacznie mniej gorące od jego gniewu. Przymus podróży
z nienawistnym Spartaninem dostatecznie go drażnił, sądził jednak, że
aby

uratować księcia pojedą do Tracji albo na Chalkidike. Nie spodziewał
się

wyprawy do przerażającego miejsca pełnego potworów i szaleństwa.

Namyśl o latających monstrach aż zadrżał. Czy zwyczajny wojownik miał
w ogóle szansę na pokonanie takich bestii?

Rozpiął napierśnik, zdjął ubranie i nagi ruszył ku morzu, ciesząc się
chłodnym wiatrem na ciele. Rzucił się w wodę i zanurkował. Płynął,
wyko-

nując długie, lekkie ruchy rąk. Wynurzył się w sporej odległości od
brzegu.

Obok niego śmigały połyskujące ławice małych półprzezroczystych
rybek.

Zamachał ręką w wodzie i zaśmiał się, kiedy rybki rozproszyły się we
wszystkich kierunkach.

Tę rzeczywistość przynajmniej znał. Rozkoszował się uczuciem
swojskości.

W końcu morze go zmęczyło i skierował się z powrotem do brzegu. Na
piasku strząsnął wodę z długich włosów.

Obok jego zbroi czekał Aleksander.

— Nieźle pływasz — powiedział chłopiec.

Attalos przełknął przekleństwo. Nie lubił tego dziecka. Ludzie
nazywali

je demonem, który niewiele miał w sobie z człowieka. Potrafił zabić
samym
dotykem.

Fecht mistrz skinął głową na powitanie i usiadł na skale, czekając, aż
słońce

wysuszy mu skórę.

— Lękasz się? — spytał Aleksander. Przekrzywił główkę i patrzył z
roz-

brajająco niewinną minką.

— Niczego się nie boję, mój książę — odparł. — I każdy, kto twierdzi
co

innego, odpowie gardłem za podobną potwarz.

Dziecko skinęło głową z powagą.

— Postąpiłeś bardzo dzielnie, przychodząc tak daleko, aby mnie
znaleźć.

Wiem, że mój ojciec sownie cię wynagrodzi.

Attalos roześmiał się.

— Mam trzy posiadłości i więcej pieniędzy niż zdołam wydać do końca
życia. Nie potrzebuję złota, książę Aleksandrze. I bez wahania

oddałbym całą królewską nagrodę za ponowne zobaczenie Macedonii.

– Zobacysz swój kraj. Parmenion znajdzie doń drogę.

Attalos powstrzymał się przed ciętą ripostą.

– Pokładasz wiarę w swoich bohaterach – mruknął po długiej chwili.

– Nie lubisz go, prawda?

– Nikogo nie lubię. Poza twoim ojcem, Filipem. A ty, chłopcze, nazbyt jesteś bystry i za wiele rzeczy dostrzegasz. Strzeż się, Aleksandrze. Talent ten może się kiedyś obrócić przeciwko tobie.

– Nigdy nie walcz z Parmenionem – ostrzegł go książę. – Zabije cię, Attalosisie.

Fechtmistrz nie odpowiedział, choć uśmiechnął się pogardliwie pod nosem. Chłopiec stał przez chwilę w milczeniu, potem spojrzął mu w oczy.

– Wiem, co wmawiają ci pochlebcy. Że jesteś najlepszym szermierzem w kraju, a także najbardziej zaufanym... zabójcą mego ojca. Wiedz wszakże jedno. Jeśli Parmenion umrze w tajemniczych okolicznościach, wskażę cię.

I wkrótce ty również umrzesz.

Attalos westchnął.

– Nie przybyłem do tego koślawego świata, aby słuchać twoich pogroźek, chłopcze. Przyszedłem cię uratować! Możesz mnie nie lubić, twoje prawo... Właściwie, dlaczego miałbyś mnie lubić? Raczej nie jestem miłym człowiekiem. Jeśli jednak kiedyś będę miał okazję zmierzyć się ze Spartaninem, twoje groźby z pewnością mnie nie powstrzymają. Sam decyduję o swoich czynach i poniosę za nie pełną odpowiedzialność. Pamiętaj o tym.

– Obaj będziemy o tym pamiętać – powiedział Aleksander.

– To prawda – przyznał mężczyzna.

– Porzuć jałowe myśli o pobiciu Filipposa – doradził Chiron – To niemożliwe. \

– Nic nie jest niemożliwe – zapewnił go Parmenion.

Wędrowali po pałacowych ogrodach, sycąc się ostatnimi promieniami słońca.

– Źle mnie zrozumiałeś – kontynuował Chiron. – Stajesz przeciw potęgom, o jakich ci się nawet nie śniło. Starcie z nimi to czyste szaleństwo.

Dlaczego sądzisz, że tak potężna istota chciałaby spędzić życie w kruchej ludzkiej powłoce? Choćby nawet w ciele króla...

Parmenion przystanął przy strumieniu i usiadł na drewnianej ławce.

– Wytłumacz mi – poprosił.

Magus wyciągnął się na trawie i westchnął.

– To naprawdę nie jest prosta sprawa. Duch Chaosu nie posiada naturalnego kształtu. Jest... z ducha. Z pozoru zarówno nieśmiertelny, jak i wieczny.

A więc... rodzi się pytanie: „Wjaki sposób istnieje?” Nadażasz za mną?

– Hmm, na razie nic nie rozumiem, czarodzieju, ale z całych sił wytężam umysł, więc kontynuuj.

___ W takim razie rozpatrzmy wszystko punkt po punkcie. Jaki był najważniejszy moment w twoim życiu?

___ A cóż to ma do rzeczy? – spytał nagle zaniepokojony strategos.

___ Zaufaj mi, wojowniku – nalegał czarodziej.

Parmenion głęboko zaczerpnął oddechu.

___ Wiele lat temu... Wydaje mi się teraz, że było to w innym życiu...

Kochałem pewną kobietę. Przy niej nawet słońce świeciło jaśniej. Była dla mnie niezwykle ważna. Najważniejsza...
– Co się z nią stało?
Twarz Spartanina stężała, błękitne oczy błyskały zimnym światłem.
– Odebrano mi ją i zgładzono. Przejdź do sedna, magusie, ponieważ tracę już cierpliwość.
– Już przeszedłem! – odparł Chiron. Wstał i usiadł obok Spartanina. – Przemyśl swoje uczucia w tamtym momencie. Wyobrażałeś sobie dalsze wspólne życie i zupełnie nieoczekiwanie... zamiast niego spotkały cię rozpacza, żal i gorzkość. Podobnie z Duchem Chaosu. Z pozoru wydaje się nieśmiertelny i wiekuisty... lecz to nie do końca prawda. Potrzebuje pożywienia.
Nie wiem, co go stwarza: ból, udręka czy zawiść... Może wszystko to razem, może jest ojcem i matką gorzkości. W pewnym sensie fakt ten nie ma znaczenia.
Tak czy owak, do życia potrzebuje on krwi, cierpienia i chaosu. Wniknął w ciało Filipposa i kroczy w nim po świecie, rozlewając oceany nienawiści.
Niedługo każdy niewolnik, każda wdowa, każde osierocone dziecko doświadczy nienawiści. I wszyscy zapragną zemsty. Po Filipposie pozostanie już tylko wspomnienie, a Makedonowie nadal będą sobą gardzić... Rozumiesz? Nie można go pobić, ponieważ nawet niszcząc go, karmisz jedynie ducha, który go opętał.
– Co zatem sugerujesz? Mamy się potulnie położyć przed tyranem i z uśmiechem oraz błogosławieństwem zaoferować mu na tacy swoje życie?
– Tak – odparł Chiron. – Wtedy bowiem przeciwstawimy się Chaosowi najskuteczniej, przeciw jego zepsutej mocy postawimy... moc miłości. Ale to tylko marzenie, które nigdy się nie spełni. Nie znam nikogo o takiej potędze ducha, by był gotów odpowiedzieć na przemoc wybaczeniem, a na zło miłością. W najlepszym razie możemy z demonem walczyć bez nienawiści.
– Dlaczego stworzyłeś oko dla Filipposa? – spytał nagle Parmenion.
– Żywiłem złudną nadzieję, że użyje go do zobaczenia prawdziwego siebie... swojej prawdziwej duszy. Nie użył. Niestety, na tym polega mój problem. Zawsze próbowałem dostrzec dobro w każdym człowieku, naiwnie wierząc, że ono zwycięży. A dobro zwycięża ogromnie rzadko. Silny mężczyzna zawsze będzie chciał rządzić. Pragnienie władzy tkwi w jego naturze.
Jednak aby rządzić, musi pokonać innych. – Westchnął. – Wszyscy nasi bohaterowie to ludzie raczej gwałtowni, nieprawdaż? Nie znam imion heroów z twojego świata. Na pewno jednak jest u was tak samo.
– To prawda – zgodził się Spartanin. – Achilles, Herkules, Agamemnon, Odyseusz. Wszyscy to ludzie miecza. Tyle że... Jeśli źli ludzie wybierają miecz i lancę, dobrzy muszą postąpić identycznie.
– Gdybyż sytuacja była taka prosta – skomentował oschle Chiron. – Na nieszczęście, dobra i zła nie można rozróżnić w tak prosty sposób. Dobro nie nosi złotej zbroi, a zło nie zawsze ubiera się na czarno. Któż może

wiedzieć, gdzie tkwi zło? W swoim świecie jesteś wodzem. Czy łupisz miasta?

Zabijasz kobiety i dzieci?

– Tak – odparł strategos i zrobiło mu się nieswojo.

– I służysz wtedy siłom dobra?

Parmenion niechętnie przytaknął.

– Rozumiem już, o co ci chodzi. Jesteś dobrym człowiekiem, magusie. Pojedziesz z nami do Sparty?

– A mam wybór? – odparł czarodziej ze smutkiem. Wstał, prawdopodobnie chciał odejść, lecz się odwrócił. – Po Achai krąży pewna legenda, bardzo piękna legenda. Głosi ona, że pewnego dnia magia powróci. Maja nam przynieść złotowłose dziecko, syn bogów. Ma przywrócić pokój i harmonię.

Świat znowu zalśni. Czyż nie jest to wspaniałe marzenie?

– Trzymaj się go – doradził cicho wódz.

– Trzymam się go. Sądziłem nawet, że tym dzieckiem jest Aleksander. Niestety, również on nosi w sobie przekleństwo Chaosu. Ileż istnieje światów, Parmenionie? Czy Mroczny Bóg śledzi je wszystkie? Na każdym wycisnął swoje piętno?

– Nie poddawaj się rozpaczy – oznajmił Spartanin. – Pomyśl inaczej. Jeśli masz rację, może w większości z tych światów złotowłose dziecko już się pojawiło.

– Cudowna myśl – zgodził się Chiron. – Teraz muszę cię na chwilę opuścić. Jesteście tutaj bezpieczni. Ale obserwuj morze. Filippos użyje całej swojej mocy, aby zlokalizować Aleksandra.

– Dokąd idziesz?

– Wracam do lasu. Jestem potrzebny moim pobratymcom. Strategos odkrył, że nastrój czarnoksiężnika jest zaraźliwy i sposępniał.

Wyprawił się na spacer wzdłuż linii klifów wznoszących się nad plażą. Daleko pod sobą widział Attalosa i Aleksandra. Siedzieli na białym piasku, pogrążeni w ożywionej rozmowie. Zatrzymał się i przez parę minut ich obserwował.

„Mój syn” – pomyślał i smutek uderzył go znienacka niczym cios obuchem. Filotas, Nikki i Hektor też byli jego synami, a jednak żywił wobec nich uczucia ambiwalentne. Natomiast tego chłopca... złotowłose dziecko, kochał ponad wszystko. „Z rozpamiętywania przeszłości nie wynika nic dobrego” – przywołał się do porządku, ale słowa, chociaż prawdziwe, nie apewniły mu pociechy. Na wspomnienie owej nie dającej się cofnąć przeszłości ogarnął bowiem wodza żal przemieszany ze wstydem. Podczas weselnej nocy na Samotrace, kiedy Filip oczekiwał na przybycie oblubienicy, Parmenion go... zdradził. Czynu, jakiego się dopuścił, nie dało się inaczej określić, jak właśnie zdrada. Ponieważ król leżał w pijackim zamroczeniu, Spartanin wdział płaszcz Kadmilosa oraz rytualny hełm, który całkowicie zakrywał twarz i wszedł do oświetlonego pochodniami pokoju, w którym leżała Olimpias. Położył się na niej, kobieta pożądliwie zarzuciła mu ramiona

na kark, a jej sprężyste uda otoczyły jego biodra...

— Wystarczy! — niemal krzyknął, próbując przegonić bolesne wspomnienie. W pewnym sensie to była podwójna zdrada. Nawet teraz to rozumiał.

Duma i ponad wszystko ceniony honor kazały mu kiedyś wierzyć, że nigdy nie zdradziłby przyjaciela. A dopuścił się zdrady. Najgorsze jednak (wciąż gnębiły go z tego powodu wyrzuty sumienia), że choć mentalnie wstydział się swego czynu, jego ciało nadal pamiętało pożądanie i rozkosz tamtej nocy.

Z tego właśnie względu cierpliwie znosił humory Filipa i sporadyczne drwiny. Poczucie winy połączyło go z macedońskim królem więzami silniej- szymi niż miłość. Jakby przez wierną służbę mógł w jakiś sposób odpokuto- wać swój niecny czyn i wymazać z pamięci wstyd.

— Nigdy mi się to nie uda — szepnął.

Olimpias była wówczas tak zwodniczo podobna do Derae. Szczupła i piękna. Jej czerwonozłote włosy[^]połyskiwały kusząco w świetle pochodni.

Próbowała mu zdjąć hełm, skarżyła się, że zimny metal rani jej twarz, lecz Parmenion przycisnął jej drobne ręce do pościeli i zignorował błagania.

Pierwszą część nocy spędziła w Lesie Tajemnic, gdzie wdychała święty dym. Źrenice miała nienaturalnie rozszerzone i podczas ich miłości straciła przytomność. Fakt ten bynajmniej go nie powstrzymał...

Ochłonał dopiero po powrocie do apartamentów Filipa. I zaraz też niczym zmora zważyło się na niego przemożne poczucie winy. Król leżał na tapczanie nagi i pogrążony w pijackim śnie. Spartanin zdjął hełm i spojrzał na człowieka, któremu przysiągł wierność. Na krótką chwilę sparaliżował go niemal fizycz- nie odczuwany żal. Ubrał nieprzytomnego monarchę w płaszcz i hełm, po czym zaniósł go do sypialni Olimpias i położył obok niej.

Wrócił do swojej kwatery. Usiłował usprawiedliwić swój czyn. Aida, właścicielka pałacu, w którym gościli, powiedziała wcześniej Filipowi, że jeśli nie skonsumuje małżeństwa w ciągu tak zwanej „świętej godziny”, związek zostanie anulowany. Macedoński król roześmiał się wówczas buń- czucznie, nigdy dotąd bowiem jego męskość go nie zawiodła, pogrożka jedynie więc go rozbawiła. A jednak podczas długiego nocnego oczekiwania

— mimo ostrzeżeń Parmeniona — wychylał kolejne puchary ciężkiego samo- trackiego wina. Biesiadne wyczyny Filipa były wręcz legendarne, słynał z tego, że żadna ilość alkoholu nie była w stanie go powalić, toteż Spartanina zaskoczyła szybkość, z jaką król upił się tej feralnej nocy.

Początkowo strategos desperacko próbował go ocucić, potem wszakże zajrzał do sypialni, gdzie Olimpias leżała naga na szerokim łożu. Starał się przekonać samego siebie, że myślał tylko o swoim królu i jego zranionej dumie — gdyby rano cała Samotraka usłyszała o klęsce Filipa w małżeńskim łożu, stałby się niechybnie pośmiewiskiem. Ale było to jedynie

kłamstwo,
które usilnie starał się sobie wmówić. Zresztą wymówka ta przyszła mu do
głowy znacznie później, kiedy, nie mogąc zasnąć, obserwował świt.
Od tamtej pory żył w stanie permanentnej udręki, która bolała niczym stale
jątrząca się rana. Bał się, że prawda wyjdzie na jaw, a poza tym był świadkiem,
jak jego ukochany syn dorasta w domu innego mężczyzny.
– Mam nadzieję, że obmyślasz plan, dzięki któremu wrócimy do domu
– stwierdził Attalos, podchodząc do niego cicho.
– Nie bardzo – wyznał szczerze Parmenion. – Naszły mnie wspomnienia. Przyjemnie się pływało?
– Tak, czuję się teraz odświeżony i gotów na wszelkie wyzwania. A tych
nam pewnie nie zabraknie. Gdzie czarodziej?
– Wkrótce wróci. Poszedł sprawdzić, czy centaury nie potrzebują jego pomocy.
Na klifowej ścieżce pojawił się Aleksander. Stopnie, po których się wspinał, były dla niego zbyt wysokie. Pomachał Spartaninowi, podszedł do
niego i usiadł blisko. Wódz instynktownie! otoczył chłopca ramieniem.
Attalos
nie odezwał się, ale Parmenion poczuł na sobie jego czujne spojrzenie.
– Musimy udać się do Zatoki Korynckiej – rzucił szybko do fechtmistrza – potem zaś do Sparty. Miejmy nadzieję, że Arystoteles znajdzie sposób, aby nas stamtąd zabrać.
– Nadzieję? – zadrwił zabójca. – Potrzebuję czegoś znacznie solidniejszego niż nadzieja. A właściwie po co jedziemy do Sparty? Lepiej wróćmy
do tamtego kamiennego kręgu. Możemy tam rozbić obóz i poczekać.
Stamtąd
nas przecież wysłał i pewnie tam właśnie się pojawi.
Parmenion stanowczo potrząsnął głową.
– Wróg czai się wszędzie i potrafi zlokalizować Aleksandra za pomocą magii. Sami nie damy rady. W Sparcie nam pomogą. Tam nic nam nie grozi.
A Arystoteles jest przecież magusem. Znajdzie nas.
– Nie jestem przekonany. Może poczekamy tutaj? – spierał się Attalos.
– Chciałbym, ale Chiron uważa, że nawet tutaj jesteście bezpieczni zaledwie przez krótki czas. Król ma długie ręce i potężną moc.
Zaczynasz
żałować, że postanowiłeś mi towarzyszyć?
Fechtistrz zachichotał.
___ . Zacząłem tego żałować już w momencie, gdy wyjechaliśmy z kamiennego kręgu. Ale oczywiście cię nie opuszczę, Spartaninie.
Nawet przez chwilę w to nie wątpiłem.
___ Popatrzcie! Statek! – zawołał Aleksander, wskazując na morze, po którym wdzięcznie żeglowała trirema. Jej czarny żagiel furkotał, trzy rzędy
wioseł podnosiły się i rytmicznie opadały w połyskującą błękitną toń.
Dziób
statku powoli się odwracał. Statek kierował się ku wybrzeżu.
Im bliżej podpływał, tym wyraźniej obserwatorzy dostrzegali uzbrojonych
mężczyzn na wielkim pokładzie. Było ich około setki.
___ Przyjaźnie nastawieni, jak sądzisz? – spytał Attalos, gdy statek przy-
bił do brzegu, a wojownicy zaczęli powoli wchodzić na piasek.
– To Makedonowie – rzucił trwożliwie chłopiec. – Przypłynęli po mnie.
– Jeśli tak, to wielu z nich dzisiaj zginie – oświadczył spokojnie fechtmistrz.

– Wracajmy do pałacu – polecił Parmenion. Wziął księcia na rękę i zaczął się oddalać od krawędzi klifu. Makedońscy żołnierze powoli ruszyli pod górę. Czekająca ich długa wspinaczka stromą ścieżką. Słońce odbijało się od włóczni i mieczy. Parmenion wbiegł do pałacowych kuchni, gdzie zostawił napierśnik, hełm i ostrze. Przywdziawszy zbroję, ponownie podniósł Aleksandra i popędził z nim na szerokie schody. Przeskakiwał po dwa stopnie naraz. – A jeśli te skrzydlate maszki nadal czają się po drugiej stronie? – spytał Attalos, kiedy dotarli do iluzorycznej ściany. – To umrzemy – odburknął Spartanin. Wyciągnął miecz i przeszedł do grotty Chirona. Była pusta. Postawił chłopca na ziemi, podszedł do wylotu jaskini i rozejrzał się po górskich stokach. Nad martwym siwkim złowróbnymi kruki wyklócały się o padlinę. W pobliżu konia leżały zwłoki ponad trzydzie- stu worguli, jednak ptaki starannie ich unikały. Natomiast po wałachu Parmeniona nie było już nawet śladu. – W lesie będziemy bezpieczniejsi – stwierdził Attalos. Spartanin pokiwał głową i cała trójka wyszła na stok. Bez problemów dotarli do drzew. W lesie panowała nienaturalna cisza. Żadnych ptasich treli, podmuchy wiatru nie poruszały sklepionych gałęzi nad uciekinierami. Dziwna martwota zaniepokoiła obu wojowników, lecz Aleksander był szczęśliwy, że może wędrować obok swego bohatera i trzymać go za rękę. Weszli głębiej między drzewa. Starali się nie zboczyć z wydeptanego przez zwierzyne wąskiego szlaku, który skręcał, wznosił się i opadał, aż dotarł do płytkiego strumyka. Lodowata górską woda szemrała na białych kamieniach. – Przekraczamy go, czy idziemy wzdłuż niego? – spytał szeptem fechtmistrz. Zanim jego towarzysz zdołał odpowiedzieć, ze szlaku przed nimi dało się słyszeć jakieś poruszenie. Trzask łamanych gałęzi pod nogami. Później stłumione przez poszycie leśne komendy. Strategos chwycił dziecko i wycofał się ku krzewom. Fechtistrz siedł obok niego. Jednakże zanim zdążyli znaleźć odpowiednią kryjówkę, po drugiej stronie strumienia pojawił się wojownik w hełmie z kruczymi skrzydełkami. – Jest! – zawołał na ich widok. – Dziecko jest tutaj! Natychmiast przyłączyło się do niego kilkunastu innych podobnie odzianych na czarno żołnierzy. Attalos wyciągnął z pochwy miecz. Parmenion błyskawicznie zawrócił. Za nimi ciągnęła się wąska dróżka. Naprzeciwko rosły gęste zarośla ciernistych krzewów i jeżyn. Ze swojego miejsca Spartanin nie widział końca drogi, choć przed sobą dostrzegł ślady kopyt jeleni, które prowadziły w górę wzniesienia. Makedonowie wpadli do wody. Wśród drzew odbijały się echem ich triumfalne okrzyki. – Biegiem! – zarządził strategos. Z całych sił przyciskając Aleksandra do piersi, ruszył jelenim szlakiem. Podczas biegu ciernie wbijały mu

się
w łydki i uda. Dwukrotnie się potknął, gdy piach zapadł się pod jego sanda-
łami. Wzniesienie okazało się spadziste, szlak wił się, aż w końcu
wódz
wybiegł na szerszy trakt. Po jego obu stronach dostrzegł ogromne,
sękate
dęby. Zerknął przez ramię na Attalosa, który pędził mniej więcej
dziesięć
kroków za nim, Makedonowie prawie deptali mu po piętach. Jeden z nich
zatrzymał się na moment, by cisnąć włócznię.
– Uważaj! – krzyknął Spartanin i królewski zabójca w ostatniej chwili
uskoczył na lewo. Włócznia musnęła go, po czym wbiła się w ziemię
przed
nim. Podbiegł do niej, wyrwał ją z ziemi, odwrócił się
niespodziewanie i rzucił
ją w napastnika. Żołnierz padł z przeszytym gardłem.
Attalos odwrócił się na pięcie i ruszył pędem za Parmenionem.
Spartanin
biegł, stale rozglądając się za wąskim szlakiem, po którym wrogowie
musie-
liby się poruszać pojedynczo. Z każdym krokiem jego gniew rósł. Nie
był
przyzwyczajony do takich sytuacji. Na nic zdawały się tu wszelkie
strategie
czy subtelne plany. Nie toczyli bitwy, raczej brali udział w
polowaniu. Jako...
zwierzyna. Żadny krwi nieprzyjaciel miał nad nimi tak wielką przewagę
liczebną, że właściwie pozostawało im tylko jedno wyjście – ucieczka.
Ale
dokąd? Z tego, co Parmenion wiedział, zmierzali ku jeszcze większym
siłom
wroga lub, co gorsza, latającym potworom.
Czuł irytację graniczącą z wściekłością. Przez całe życie obmyślał
taktycz-
ne plany i zastawiał strategiczne pułapki, by pobić przeciwnika. Był
stratego-
sem, wodzem... Aż nagle, teraz... zredukowano go do roli ogarniętej
paniką
ofiary, której ocalenie mogła zapewnić jedynie ucieczka.
„Nie – powiedział sobie – ucieczka owszem, ale na pewno nie panicz-
na”. Nigdy nie czuł paniki!
W młodości był długodystansowym biegaczem, najszybszym i najlep-
szym w Sparcie i Tebach. Wiedział, że teraz również – mimo iż
obarczony
dzieckiem – zdoła przegonić Makedonów. Problemem był jedynie cel.
pokaż miał biec? Spojrzał na niebo, próbując ustalić swoje położenie
w lesie.
Grota pozostała na lewo. Nie warto było do niej wracać. Po przejściu
przez
ścianę, trafiliby na następną grupę prześladowców. Nie, grota
absolutnie nie
wchodziła w rachubę.
Ścieżkę przed nim tarasowało powalone drzewo. Przeskoczył je bez
wysiłku. Przed nim szlak rozgałęział się. Jedna odnoga wznosiła się
na stok,
druga opadała do zacienionej doliny. Obok Spartanina zafurkotała
lśniąca
włócznia. Uskoczył w prawo i skierował się ku dolinie.
Nagle około trzydziestu kroków przed nim na ścieżce pojawiło się
trzech
żołnierzy. Przeklinając, skręcił w lewo i skoczył między niskie
krzewy. Przez
kilka minut wspinał się po stromym wzniesieniu, w końcu wynurzył się

na
okrągłej polanie w kotlinie otoczonej cyprysami. Po chwili dołączył
do niego
Attalos. Twarz miał nabrzmiała od wysiłku, pot lśnił na jego
poczerwieniałej
skórze.
– Już dłużej... nie mogę... biec – powiedział fechtmistrz, łapiąc
oddech.
Parmenion zlekceważył jęki towarzysza, podbiegł do pobliskiego drzewa
i posadził Aleksandra na jednej z niższych gałęzi.
– Ukryj się w rozwidleniu – polecił dziecku. – Z dołu nie będzie cię
widać. – Chłopiec przykucnął w gałęziach cyprysa.
Spartanin wyjął miecz z pochwy i pobiegł z powrotem na krawędź stoku.
Zajął najdogodniejszą pozycję i zamarł w oczekiwaniu. Niebawem
pojawił
się przed nim pierwsi makedońscy wojownicy. Ostrze strategosa
bezlitośnie
rozplatało im gardła, po czym z wrzaskiem spadali w dół, między
kamratów.
' Z lewej strony na polanę dotarło kolejnych trzech Makedonów.
Attalos
wybiegł im na spotkanie. Blokował pchnięcia i ripostował. Jednego
trafił
w aortę szyjną, z której trysnęła karmazynowa fontanna.
Niespodziewanie jednak pojawiła się główna część wrogich sił. Kruczo-
czarni wojownicy ostrożnie otoczyli Macedończyków. Parmenion cofnął
się,
fechtmistrz przylgnął do niego plecami w bojowej pozie. Włócznie
Makedo-
nów otoczyły ich szczelnym lasem stalowych grotów.
– Powinienem być jednak skorzystać z twojej rady – szepnął ironicznie
królewski zabójca.
– Gdzie dziecko? – warknął smagły, ciemnooki żołnierz o ospowatej
twarzy.
Attalos zachichotał.
– Trudno uwierzyć, że taki brzydał potrafi mówić.
– Gdzie dziecko? – powtórzył zimno mężczyzna. Krąg włóczni się
zacieśnił.
Jeden z napastników runął nieoczekiwanie do przodu. Z tyłu czaszki
sterczała mu strzała. Potem kolejny wrzasnął, gdy grot strzały na
wylot przebił
mu udo.
– Padnij! – krzyknął Parmenion. Szarpnął fechtmistrza za ramię i po-
ciągnął na ziemię.
Strzelano teraz ze wszystkich stron. Dwaj martwi Makedonowie padli
obok Spartanina z brzeszczotami w plecach, trzeci dostał w oko.
Wrogowie pa-
dali pokotem, jak rażeni gromem. Część z ocalałych po pierwszej serii
usi-
łowała uciec z powrotem na szlak, lecz tam ukazała się potężna
sylwetka mi-
notaura Brontesa. Jego obosieczny topór bezlitośnie ciął napierśniki
i hełmy.
Dwóch Makedonów zdołało jakoś go minąć. Zbiegli po stoku. Znik-
nęli z pola widzenia, lecz natychmiast rozległy się ich straszliwe
wrzaski,
a w chwilę później wódz dostrzegł zbliżających się stamtąd braci
minotaura
– lwiogłowego Steropesa i cyklopa Argesa.
Przeraźliwa cisza zapadła nad polaną. Parmenion odrzucił ciało, które
go
przygniotło, wstał i schował miecz do pochwy. Wszędzie wokół ziemia
zasłana była trupami. Z lasu wyszły centaury z łukami i kołczanami.
Twarze

mieli zacięte, oczy – niemal zwierzęco dzikie.

– Dobrze cię znowu widzieć – przywitał Spartanin Brontesa, gdy ten się zbliżył.

Minotaur pokiwał wielką byczą głową.

– Nieźle biegasz – pochwalił wodza. Minał go i podszedł do cyprysa, na którym ukrywał się Aleksander. Odłożył topór i wyciągnął w górę ręce. –

Chodź do mnie, Iskandrze! – zawołał.

Chłopiec wysunął się z gałęzi i wpadł w ramiona bestii.

– Naprawdę jesteś Iskandrem? – wyszeptał Brontes.

– Tak mnie nazywają – odparło dziecko.

– I potrafisz otworzyć Portal Giganta?

– Zobaczymy – odparł ostrożnie Aleksander.

Minotaur wrócił z chłopcem w ramionach do miejsca, gdzie czekali Parmenion i Attalos.

– Centaury przekazały nam wiadomość o przybyciu Iskandra. Pani kazała nam go chronić. Jeśli trzeba, poświęcimy dla niego życie. Ale nie wiem, czy podołamy. Makedonów jest mrowie, a nas niewielu.

– Koniecznie musimy się dostać do Sparty – wyjaśnił Parmenion. – Tam chłopiec będzie bezpieczny.

– Podobno spartański król to wspaniały człowiek – zauważył Brontes.

– Nie walczy z magicznym ludem. A portal i tak nadal pozostaje zamknięty.

Dobrze, pójdziemy z tobą do Sparty.

Strategos pokiwał głową, potem obrzucił centaury lustrującym spojrzeniem.

— Jakimi dokładnie siłami dysponujemy? – spytał.

— Tylko ta dwudziestka przeżyła.

— Wysłaliście kogoś na zwiad?

— Nie – przyznał Brontes.

Spartanin przemierzył polanę, przestępując nad ciałami, w końcu stanął

oko w oko z młodym centaurem, stworzeniem o potężnej piersi, kasztanowych włosach i bujnej brodzie.

— Kto tu dowodzi? – spytał.

— Jestem Cheops, syn Kytina-Kiarisa. Nikt nami nie dowodzi.

— No cóż, Cheopsie, ja jestem strażnikiem Iskandra i przejmuję dowództwo. Proszę was o bezwzględne posłuszeństwo.

– Nie zniesiemy rozkazów od człowieka – odparł Cheops. Twarz mu poczerwieniała z gniewu.

– Wolna droga – rzucił z pozoru beztrosko Spartanin. – Sami spróbujemy ocalić Iskandra.

Centaur przestępując z nogi na nogę, warknął nieprzyjaźnie. Parmenion spokojnie czekał, wytrzymując miazdzące spojrzenie magicznej istoty.

– Musimy za wszelką cenę chronić Iskandra – oświadczył Cheops. – Nie możemy odejść.

– No to nie macie wyjścia, jak tylko podporządkować się mojej władzy – oznajmił strategos. – Wyślij na zwiad piątkę... swoich. Niech wypatrują Makedonów. Lepiej żeby nas ponownie nie zaskoczyli.

– Stanie się wedle twoich słów – odparł Cheops z niechęcią.

Parmenion odwrócił się od centaury i dostrzegł Chirona. Magus szedł ostrożnie przez polanę, klucząc między plamami krwi. Podszedł, wziął Spartanina pod ramię i odciągnął go na stronę.

– Nie jesteś z nimi uczciwy – szepnął. – Chłopiec nie jest Iskandrem. Wiesz o tym równie dobrze jak ja.

Wódz westchnął.

– Wiem tylko jedno, czarodzieju. Aby ocalić Aleksandra, musimy dotrzeć do Sparty. Nie cofnąć się przed niczym, a ich pomoc może się okazać

nieoceniona.

– Pomyśl o tych stworzeniach... Co z ich nadziejami? Nie rozumiesz, że Iskander jest wszystkim, co mają? Stanowi obietnicę, która trzyma ich przy

życiu. Ma przywrócić magię i zakończyć panowanie człowieka.

– O co chodzi z tym Portalem Giganta? – spytał strategos.

– Na południe od Sparty, o dzień drogi od niej, znajduje się las, a w nim,

na wzgórzu stoją dwa kolosalne filary połączone przez wielkie kamienne

nadproże. To właśnie wspomniany portal.

– Ale dokąd prowadzi?

– Donikąd – odparł Chiron. – Jednak zgodnie z legendą Iskander otworzy go. Wzrośnie do wysokości najwyższego drzewa i położy dłonie na

obu filarach. Wtedy magia powróci i ponownie zaleje nasz świat. Sam rozumiesz, że Aleksander nie zdoła tego zrobić. Nie jest przecież złotowłosym dzieckiem.

– Co chcesz przez to powiedzieć, magusiel że powinienem zrezygnować z pomocy jedyńskich sojuszników, jakich zdobyłem w twoim dziwnym świecie? Mam skazać chłopca na śmierć? Nie, nie zrobię tego. Sami dokonali

wyboru. Do niczego ich nie zmuszałem.

– To nie jest argument – zauważył czarodziej. – Wiesz, że się mylą, ale pozwalasz im trwać w błędzie, chcesz ich bowiem wykorzystać do włas-

nych celów. W ten sposób ratując chłopca, prawdopodobnie ich skazujesz na śmierć.

– Czy coś nie w porządku, Chironie? – spytał z niepokojem Brontes, podbiegając do nich.

– Pojałeś wszystko dokładnie? – rzucił magus Parmenionowi.

Spartanin wpatrzył się w niego zimnymi, błękitnymi oczyma.

– Tak – odparł. – Jutro zabierzemy Iskandra w przeznaczone mu miejsce.

Odwrócił się i wtedy zobaczył kobietę.

Na jego widok Derae głęboko wciągnęła powietrze. Nogi się pod nią ugięły, mięśnie nagle odmówiły posłuszeństwa, ręce zaś zadrżały. „Tak blisko!” – pomyślała. Rozmawiali wprawdzie na Samotrace, wtedy jednak kapłanka pozostała w kapturze i welonie. No i była całkowicie skupiona na

czekającym ją zadaniu. Teraz poczuła się znowu szesnastolatką.

Pamiętała

delikatność jego dotyku, słodycz jego oddechu...

– Znasz mnie, pani? – spytał. Nie był to głos młodzieńca, którego kochała, a jednak po plecach natychmiast przebiegł jej dreszcz.

Wykorzystała

swoje umiejętności, dotknęła mentalnie jego umysłu i wyczuła w nim fale

emocji: ciekawość, empatię i – choć jej obecne młode ciało w niczym nie

przypominało tego sprzed lat – podniecenie. Szybko się wycofała.

– Tak, znam cię – odparła pewnym głosem.

Jej orzechowe oczy wytrzymały jego sondujące spojrzenie.

Stał przez moment, milczący i niezdecydowany. Podszedł do nich

Brontes.

– To przyjaciółka bogini, mojej matki – oświadczył Brontes. – Jest czarodziejka.

Spartanin skinął głową, jednakże nie oderwał wzroku od ciemnowłosej kobiety.

– Musimy stąd natychmiast zniknąć – stwierdził, odwracając się

w końcu do minotaura. – Znasz te lasy. Jaka trasę proponujesz?

– Nie odpowiadaj – przerwała mu szybko Derae. – Jesteśmy śledzeni.

Brontes położył ogromne łąpsko na trzonku wiszącego u pasa topora. Parmenion rozejrzył się czujnie po polanie.

— Spokojnie, w pobliżu nie ma nikogo — wyjaśniła kapłanka. — Obserwują nas z daleka.

— Kto? — spytał minotaur.

— Jakiś kapłan króla Filipposa.

— Możesz nas przed nim osłonić? Zgodnie ze słowami mojej matki posiadasz taką moc.

— Być może. — Derae usiadła na trawie i zamknęła oczy. Jej duch unióśł się swobodnie w powietrze. Snop światła przesunął się ku niej. Podniosła rękę, a wówczas pojawił się błysk, który rozbił snop na tysiące iskier. Unosiły się przez chwilę wokół niej niczym robaczki świętojańskie.

— Umrzesz — wrzasnął ogolony na лыso kapłan, zbliżając się do niej.

— Wszyscy umrzemy. Któregoś dnia — odparła. Podniosła dłonie i świetliki wróciły do kapłana, łącząc się w złotą taśmę, która otoczyła jego głowę i oślepiła go. — Wracaj do swego pana — powiedziała Derae. Mężczyzna zniknął.

Otworzyła oczy i wstała.

— Odszedł — powiedziała Brontesowi. — Teraz możesz mówić bez lęku. — Istnieją tylko dwie drogi do Sparty: na południowy wschód, przez Peleponez i Karynt, albo na północny zachód — do morza, a później okrętem wzdłuż wybrzeża do Gytejonu.

— A może od razu na zachód? — spytał Parmenion. — Wystarczy przekroczyć góry Pindos i dostać się do zatoki.

— Nie, nie. Tam czeka nas pewna śmierć! — odrzekł minotaur. — Nie zdołamy przejść przez las Gorgona. Zamieszkują go worgule, no i sam król Gorgon. To najpodlejsza z bestii, zamiast serca ma kamień. Mógłbym opowiedzieć ci o nim wiele złego, ale... przysięgam... że wówczas język by mi poczerniał, a twoja dusza uschłaby od moich słów. Jeśli wybierzemy tę trasę, równie dobrze od razu możemy wypić truciznę...

— Nie gorączkuj się — przerwał mu Spartanin. — Powiedz mi o nim coś więcej, nie bój się — rozkazał.

— Po co? Na pewno tamtędy nie pójdziemy.

— Rozmawiasz ze strategosem — wtrąciła się Derae. — Zaufaj mu. Brontes westchnął.

— Las ciągnie się na południe aż do Zatoki Karyneckiej. Jest olbrzymi, Wręcz przepastny i niemal nie zbadany. Jednak każde wzgórze, dolina czy równina roją się od stworzeń Chaosu.

Kapłanka obserwowała wodza. Minę miał zaciętą i nieprzeniknioną, ale tym razem Derae nie próbowała czytać w jego myślach.

— A ty co nam poradzisz, pani? — spytał nagle.

— Armie Makedonu otaczają nas ze wszystkich stron — stwierdziła. — Nadchodzą z północy, południa i wschodu. Mają w swoich zastępach rozliczne krwiożercze bestie... worgule na niebie, inne monstra na ziemi.

— Zdołamy im umknąć?

Derae wzruszyła ramionami.

— Nie z dwudziestoma centaurami. Makedonowie szukają dziecka. Filippos jest z nimi duchowo połączony. Na każdym szlaku, który obierzemy, czai się niebezpieczeństwo. Moja moc ochroni nas przed królem-demonem, lecz jedynie przez jakiś czas. Niestety, niezbyt długi. Tyran jest zbyt silny.

– A zatem, i tak musimy iść na zachód? Chcemy tego czy nie...

– W pewnym sensie – przyznała.

– Przemyślę tę kwestię. Najpierw wszakże znajdziemy bezpieczne miejsce na rozbiście nocnego obozu.

Góry Pindos
Brontes podążał ścieżką do pasma płytkich jaskiń. Zostawił Parmeniona, Aleksandra, Chirona i Attalosa w jednej z nich, a sam z braćmi i ciemnowłosą kobietą wybrał schronienie w pobliżu. Centaury zniknęły o zmroku; wróciły po zapadnięciu nocy w ludzkiej postaci, po czym wybrały sobie oddzielną jaskinię położoną nieco na północ od pozostałych. Chiron milczał, fechtmistrz doglądał ogniska przy dalekiej ścianie, a Parmenion wyszedł z zamiarem sprawdzenia, czy w ciemnościach światło z jaskini jest widoczne na zewnątrz. Z satysfakcją stwierdził, że nie było. Wrócił więc do środka, a otulony w jego płaszcz Aleksander spał spokojnie przy małym ogniu. Spartanin usiadł sam w wejściu do jaskini, obserwując gwiazdy.

– Głowisz się nad planem na jutro? – spytał Attalos. Minał wodza i usiadł plecami do ściany.

– Nie, rozmyślałem o mojej młodości.

– Mam nadzieję, że była przyjemna.

– Nieszczególnie – odparł strategos, wzdychając. Nocne niebo było bezchmurne, jaskrawy księżyc oblewał drzewa srebrnym światłem. Borsuk zaszurał gdzieś w trawie, potem skoczył w zarośla.

– Podobno byłeś mistrzem w Sparcie – zauważył zabójca. – Zgarnąłeś tyle nagród, dlaczego zatem odszedłeś?

Parmenion potrząsnął głową.

– Skąd się biorą takie historie? Mistrzem? Bynajmniej. Nienawidzili mnie tam, uważali za mieszańca, półkrwi Macedończyka, wyśmiewali się, bili. W Sparcie zarobiłem jedynie sińce i nauczyłem się nienawiści, która całkowicie owładnęła mną na długi czas. Byłeś kiedyś zakochany, Attalosie?

– Nie – przyznał Macedończyk, nagle wyraźnie zaniepokojony.

– Ja byłem... raz. I dla tej miłości złamałem prawo. Spałem z niezamężną dziewczyną z dobrej rodziny. Ją z tego powodu zabito, ja zaś zostałem wyzwany i położyłem trupem w pojedynku pewnego wspaniałego młodzieńca. Co gorsza, doprowadziłem do klęski rodzinnego miasta, a przy okazji sprowadziłem śmierć na jedynego przyjaciela, jakiego kiedykolwiek miałem.

Nazywał się Hermias i zginął pod Leuktrami, bohatersko trwając u boku króla, którego był faworytem i którego do końca darzył gorącą miłością.

– Wszyscy ludzie umierają – rzucił cicho fechtmistrz. – Ale wiesz co, Spartaninie? Zaskakujesz mnie. Sądziłem, że jesteś zimnym jak lód wodzem, człowiekiem walki, który nigdy nie przegrał żadnej bitwy. Wydawało mi się, że zawsze prowadziłeś wspaniałe życie... błogosławione, jeśli wolisz to słowo.

Strategos się uśmiechnął.

– Często niewłaściwie oceniamy życie drugiego człowieka. Pamiętam, że w Tebach mieszkał pewien bogaty kupiec. Ludzie patrzyli na niego z za-

zdrościami, przeklinając jego szczęście i zazdroszcząc mu złotych pierścieni, które nosił, a także ogromnego domu, który zbudował na wzgórzu wysoko ponad miastem. Nikt wszakże nie wiedział, że ów bogacz pracował kiedyś jako niewolnik w trackiej kopalni, że przez dziesięć lat wykonywał ciężką pracę fizyczną, aż wykupił się z niewoli, a później minęło jeszcze pięć lat... zanim uzbierał niewielką kwotę, którą postawił na bardzo ryzykowne przedsięwzięcie. Dopiero dzięki niemu się wzbogacił. Nie zazdrość mi, Attalosie.

– Nie powiedziałem, że ci zazdrozczę – odburknął fechtmistrz. Nagle uśmiechnął się. – Hmm... chociaż zapewne tak właśnie jest. Chyba nie potrafisz cię polubić, Parmenionie, lecz naprawdę cię szanuję. No dobrze, wystarczy na dziś tych duserów. W jaki sposób dotrzemy do Sparty? Wódz wstał i energicznie rozprostował plecy.

– Podażymy na zachód, przekroczymy góry Pindos, następnie pojedziemy wzdłuż wybrzeża, trzymając się wysokich wzgórz i lasów.

– Mówisz o kilkutygodniowej podróży. Może uznasz mnie za defetystę, ale... Czy naprawdę sędzisz, że kilkoro ludzi, trzech potworów i dwudziestu

centaurów przejedzie przez całą Grecję... nawet tę Grecję... i nikt nas nie zauważy?

– Centaury nie są w tym świecie niczym niezwykłym – odparł strategos. – Zresztą będziemy podróżować przeważnie nocą, a wtedy centaury przybierają ludzką postać. Co do Brontesa i jego braci, cóż... zgadzam się

z tobą. Tyle że wszyscy trzej dysponują kolosalną siłą i w razie jakichkolwiek

kłopotów po drodze mogą się okazać doprawdy bezcenni.

– Nie wątpię, że spodziewasz się kłopotów. I to sporych.

– Tak. Mamy wielki problem, którego nijak nie potrafisz rozwiązać. Skoro Filippos przy użyciu czarów zlokalizował Aleksandra w naszym świecie,

ty, tym łatwiej znajdzie go w swoim. Gdziekolwiek pójdziemy i jakkolwiek

dobrze się ukryjemy... wróg zawsze będzie blisko nas.

– Bo chłopiec przyciąga go niczym końskie gówno muchę? – podsunął fechtmistrz.

– Wulgarnie porównanie, ale przyznaję, że dość trafne – zgodził się niechętnie Spartanin. – Chociaż kapłanka twierdzi, że zdoła nas przez jakiś

czas uchronić przed magicznym okiem demonicznego króla.

– A więc taki jest twój plan. Współ z mitologicznymi bestiami wyprawimy się w daleką drogę, żywiąc nadzieję, że gdy dotrzemy do celu, co nie

wyduje się wcale takie pewne, Arystoteles znajdzie nas i przeniesie swoimi

czarami do domu?

– Nie inaczej. Treściwie to przedstawiłeś. Masz lepszy plan?

– Muszę przyznać, że jakoś nic mi nie przychodzi do głowy – przyznał Attalos. – Martwi mnie zresztą jeszcze jedna kwestia. Sam Aleksander. Czy

rzeczywiście jest tym... Iskandrem, na którego nasi nowi kompani czekają?

– Nie, nie jest nim.

– Zatem domyślasz się, do czego może dojść, kiedy bestie odkryją ten fakt? Prawdopodobnie strasznie się rozłoszczą.

– Może i tak – odparł Parmenion. – To wszakże inny problem.

– Już się cieszę na rozmowę o nim – chrząknął ironicznie fechtmistrz.

– Powiem ci coś, Spartaninie. Życie w twoim towarzystwie rzadko bywa nudne.

Przed świtem strategos wciąż siedział zatracony w myślach. Nagle dostrzegł monstrualną sylwetkę Brontesa. Minotaur wynurzył się spośród drzew porastających podnóże górskiego stoku. Przez chwilę szedł, po czym opadł na kolana. Wokół niego zamigotała upiorna, nienaturalnie blada mgiełka, w której poruszały się jakieś nieokreślone kształty. Parmenion przejęty zgrozą obserwował, jak łeb ogromnego byka znika. Zamiast niej pojawiła się wdzięczna głowa młodego mężczyzny o bladej skórze i włosach w odcieniu polerowanego spiżu.

Młodzieniec podniósł wzrok, zauważył przypatrującego mu się człowieka i znieruchomiał. Przez moment klęczał, później usiadł prosto i odwrócił się od Spartanina.

Wódz zszedł po oświetlonym poświata księżycową wzniesieniu i usiadł obok Brontesa.

– Przyglądanie się czyjejs przemianie to zwykłe grubiaństwo – mruknął z pretensją minotaur. – Wiem jednak, że przybyłeś z innego świata, trudno więc od ciebie oczekiwać znajomości naszych zwyczajów.

– Dlaczego musicie przybierać inną formę?

– A dlaczego wy, ludzie, musicie jeść albo oddychać? Nie znam odpowiedzi na twoje pytanie. Tak już jest i tyle. Wiem jedynie, czego potrzebuję i nie zwracam sobie głowy jałowymi kwestiami. Umarłbym bez przemiany.

A ponieważ magia z dnia na dzień słabnie, przemiany są coraz trudniejsze i coraz bardziej bolesne. Ale Iskander to zmieni. Przywróci naszemu światu magię.

– O ile Filippos go nie schwyta – zauważył Parmenion.

– Właśnie. Skoro o tym mowa, jaką wybrałeś trasę ucieczki?

– Przez las Gorgona.

– To wszyscy umrzemy.

– W tej jednej sprawie musisz mi zaufać, Brontesie. Jestem zwyczajnym człowiekiem, toteż nie rozumiem waszych tajemnic ani mocy magii, znam się wszakże na prowadzeniu wojen, walce z wrogiem i obronie.

– Gorgon cię zabije, Parmenionie. Nienawidzi ludzi jeszcze bardziej niż ja.

– Liczę na to, że nienawidzi również Filipposa – odparł strategos. – U nas mawia się, że wróg twojego wroga musi być twoim przyjacielem.

– Gorgon nie ma przyjaciół. Nie ma ich i... nigdy nie miał.

– Tak dobrze go znasz? – spytał cicho Parmenion.

– Nie chcę o tym rozmawiać.

Derae nie spała, lecz jej duch unosił się po nocnym niebie, szukając po świecie szpiegów. Nie natrafiła na ślad żadnego i fakt ten ją zaniepokoił.

Czyżby bali się jej mocy? A może raczej znaleźli sposób zneutralizowania jej i nawet teraz znajdując się w jaskini, podsłuchują? Takie myśli z pewnością jej nie pocieszały.

Stwierdziła, że potrzebuje snu. Położyła się i przykryła rdzawym płaszczem, który dał jej Arystoteles. Strój uszyto z grubej wełny, która w

zimna
noc grzała, a w upalny dzień chłodziła. Otuliła się nim mocniej. Sen
jednak
nie przychodził.
Nie wiedziała, czego powinna się spodziewać po tym dziwnym nowym
świecie. Wprawdzie przygotowała się na niespodzianki, ale Chiron ją
zdu-
miał. Był niemal kopią Arystotelesa i zapragnęła poznać jego
wspomnienia.
Łagodnie dotknęła mentalnie jego umysłu, lecz w tym samym momencie
magus zdał sobie sprawę z jej obecności. Nie zamknął się przed nią,
ale
pozdrowił ją duchowym uśmiechem.
Z pewnością nie był Arystotelesem, nie pamiętał ani Macedonii, ani
znanej
kapłanki Grecji. Jednak jego pamięć okazała się rozległa,
przepełniona wy-
marłymi już nacjami i zapomnianymi cywilizacjami. Czarodziej
odwiedził
Akkadię i Atlantyde. Bywał tam w licznych wcieleniach: wojownika,
czarno-
księżnika, półboga, demona... Jest nieśmiertelny za sprawą magii tych
sa-
mych złotych kamieni, które Derae widziała u Arystotelesa.
– Jesteś zadowolona? – spytał.
To pytanie przywróciło ją do teraźniejszości.
__ Tak – odparła.
Przypomniała sobie zasadzkę, którą przygotował Brontes ze swymi
strasz-
liwymi braćmi i centaurami. Ocalili Macedończyków. Minotaur wyszedł
na
zwiady, dostrzegł pościg i odkrył, gdzie dojdzie do potyczki. Kobieta
mimo-
wolnie zadrżała na wspomnienie tamtej rzezi.
__ Skąd pochodzisz, moja droga? – spytał ją Chiron podczas drogi z
pola
bitwy do jaskini.
__ Jestem kapłanką, uzdrowicielką – odpowiedziała. – Pewien przyja-
ciel usilnie mnie nakłaniał do przyjscia tutaj i udzielenia pomocy
Parme-
nionowi.
– Ten przyjaciel... Czy wyglądał tak jak ja?
– Rzeczywiście, jak brat bliźniak.
– Ciekawe. Zastanawiam się, jak dużą część naszych historii dzielimy.
Chciałbym go kiedyś spotkać. Przybędzie tu za tobą?
– Nie sądzę. Coś w tym świecie wielce go przeraża.
Magus zachichotał.
– Mnie również pewne kwestie przerażają. Długo znasz Parmeniona?
– Spotkaliśmy się wcześniej... lecz trwało to krótko – odparła
szczerze.
– Tak? Zaskakujesz mnie. Zauważyłem, że niemal nigdy nie spuszc-
zasz z niego wzroku. Czy powodem jest jedynie uroda tego wielkiego
wojownika?
– Istnieją tematy, których powinieneś starannie unikać, panie –
odparła
zimno.
– Jak sobie życzysz, pani. – Zostawił ją i udał się do Brontesa.
W nocy Derae spała niespokojnie. Obudziła się wraz ze świtem. Mały
Aleksander zajrzał do wejścia jaskini i uśmiechnął się na widok
kapłanki.
– Miłego dnia – zagaił. Wszedł do jaskini i usiadł po turecku obok
kobiety.
– I tobie, młody książę. Wcześniej wstałeś.
– Nie potrzebuję dużo snu. Jak masz na imię?

– Możesz mnie nazywać Tena.
– Aha. Ale to nie jest twoje imię, prawda?
– Nie powiedziałam, że to moje imię. Mówiłam tylko, że możesz mnie tak nazywać.
– W takim razie ty powinnaś mnie nazywać Iskandrem.
– Dobrze, Iskandrze. Boisz się?
– Nie – odparł z szerokim uśmiechem. – Jest przy mnie Parmenion. W całej Grecji nie ma większego wojownika ani lepszego wodza.
– Pokładasz w nim sporo wiary, Iskandrze. Musisz go podziwiać.
– Bardziej od niego kocham jedynie mojego ojca. Skąd do nas przybyłaś?
– Jestem uzdrowicielką. Mieszkam w pewnej świątyni po drugiej stronie morza, blisko ruin Troi.
– Zawsze byłaś uzdrowicielką?
– Nie. Kiedyś byłam zwyczajną dziewczyną, która pragnęła poślubić ukochanego mężczyznę. Niestety, moje marzenie nie mogło się spełnić.
– Dlaczego? – Zadał pytanie w tak naturalny sposób, że Derae roześmiała się i wyciągnęła rękę, chcąc poczochnąć mu włosy. Już, już miała ich dotknąć, gdy poczuła płonący ból w dłoni i cofnęła ją. Chłopiec wykrzywił twarz w grymasie bóleści.
– Przepraszam. Nie przydarzyło mi się to od długiego czasu. Sądziłem, że tutaj jestem wolny od tego przekleństwa.
Kapłanka przewyciężyła lęk, ponownie wyciągnęła rękę i dotknęła palcami złoty kosmyk nad zielonymi oczyma dziecka. Ból ponownie ją zaatakował, ale nie okazała tego.
– Miałam tylko skurcz – skłamała, malec jednakże potrząsnął głową.
– Jesteś niesamowicie uprzejma, pani, ale proszę cię, nie dotykaj mnie więcej. Nie chcę patrzeć, jak cierpisz.
U wejścia do jaskini pojawił się cień, a po chwili wszedł Parmenion.
– Tu jesteś – powiedział, klękając obok księcia. – Chodź, musimy przygotować się do marszu.
– Ma na imię Tena – oświadczyło dziecko. – Jest niezwykle miła. – Malec, kiedy skończył mówić wypadł pędem z jaskini, a Derae spojrzała Spartaninowi głęboko w oczy.
– Zdecydowałeś już, strategosie, którądy pójdziemy?
– Tak. – Usiadł przy niej. – Jesteś pewna, pani, że nigdy się nie spotkaliśmy?
– A wydaje ci się, że tak? – odpowiedziała pytaniem.
– Sam nie wiem. Twoja twarz nie jest mi znajoma, lecz odnoszę wrażenie, że cię znam.
– Rzeczywiście, spotkaliśmy się już kiedyś – przyznała. – Na wyspie Samotraka.
– To ty! – szepnął. – Skryłaś się pod kapturem i welonem. Sądziłem, że jesteś w żałobie.
– Byłam w żałobie. I nadal w niej jestem. Cóż – oświadczyła, wstając wdzięcznie – twierdziłeś, że musimy się przygotować do wymarszu.
– Zgadza się. Domyślasz się pewnie, dokąd planuję iść? – spytał i również się podniósł.
– Do lasu Gorgona.
Uśmiechnął się, a wówczas jego twarz stała się niesamowicie chłopięca.
Derae musiała odwrócić wzrok.
– Nie ma innej drogi – stwierdził.
___ Wiem. Jaki jest twój plan?
___ Dojdziemy na brzeg lasu. Brontes mówi, że droga zajmie nam trzy dni.
Tam was zostawię, a sam wyprawię się do Gorgona.
___ Po co chcesz tak ryzykować? Co zyskasz?
Uśmiech wodza zbladł.
,___ Nie możemy iść inną drogą. Na otwartej przestrzeni natychmiast

nas
złapia- Nie ma kryjówek ani szansy ucieczki. Las da nam schronienie i
na-
dzieję na dotarcie do zatoki.
- Brontes uważa, że zło, które tam się czai, jest gorsze od
Makedonów.
- I ja mu wierzę.
- Więc skąd pomysł, żeby udać się do Gorgona samopas? Co możesz
mu zaoferować?
- Marzenie o Iskandrze. Powiem, że chłopiec potrafi otworzyć Portal
Giganta i przywrócić magię. Zły czy dobry, Gorgon jest istotą
magiczną.
Będzie negocjował.
- Pójdę z tobą - zaproponowała.
- Nie ma potrzeby byś narażała się na niebezpieczeństwo. Poradzę
sobie
sam z leśnym królem.
- Mimo to będę ci towarzyszyć. Posiadam wiele talentów, mój drogi.
Być może okaza się użyteczne.
- Nie wątpię w to.
Przez dwa dni podążali na zachód, coraz wyżej w góry, aż dotarli do
długiej
przełęcz, która prowadziła w dół, do lasu Gorgona. Pod nimi
rozciągało się
morze drzew. Rano trzeciego dnia, kiedy ukryli się przed nagłą burzą
pod
szerokim nawisem skalnym, usłyszeli na ścieżce odgłos kopyt. Attalos
i Par-
menion obnażyli miecze i wyszli w burzę, za nimi pospieszyli Brontes
i Chiron.
Ścieżką kłusował wierzchowiec bez jeźdźca. Na widok magusa podniósł
wielką głowę i zarżał.
- Kajmal! - krzyknął czarodziej, podbiegając do konia i gładząc go
czule po szyi. - Dobrze cię widzieć, przyjacielu.
Chwycił za grzywę zwierzęcia i wskoczył na grzbiet. Deszcz zelżał,
a Chiron podjechał na Kajmalu do Spartanina.
- Wyprawię się na zwiad - oświadczył. - Znajdę was przed zmrokiem.
- Bądź ostrożny, magmie. Jeśli wrócą worgule, możemy pilnie potrze-
bować ciebie i twojej magii - ostrzegł go strategos.
Burza minęła, a zza chmur wyłoniło się słońce, zalewając swym
blaskiem
góry. Ruszyli w drogę z centaurami na przedzie. Parmenion wbiegł na
wznie-
szenie, przysłonił dłonią oczy i sprawdził, czy nikt za nimi nie
jedzie.
Attalos przyłączył się do niego.
- Zauważyłeś coś? - spytał.
- Nie jestem pewien. Przyjrzyj się dobrze, tam za sosnami, nieopodal
tej
rozpadliny w skałach. Zdawało mi się, że widzę męczyzną
poruszającego się
między nimi.
- Nic nie widzę. Chodźmy dalej.
- Poczekaj! - krzyknął Spartanin. Chwycił fechtmistrza za ramię i po-
ciągnął kilka stóp w dół. - Spójrz teraz!
Na wschodzie w odległości wielu mil schodził po zboczu rząd wojowni-
ków. Światło słoneczne odbijało się od hełmów i grotów włóczni. Ponad
nimi
krażył worgul.
- Ilu ich jest? - spytał Attalos.
- Ponad pięćdziesięciu. Na szczęście poruszają się na piechotę, co
oznacza, że nie zdołają dogonić nas przed zmrokiem. Niemniej jednak,
musimy się pospieszyć.
- Dlaczego? Niełatwo im będzie wyśledzić nas w lesie.

– Najpierw potrzebujemy zgody, aby do niego wejść – wyjaśnił Parmenion.

– Od kogo?

– Od zamieszkujących las potworów – odparł wódz i szybkim krokiem dołączył do reszty.

– Potworów? Nie wspomniałeś dotąd nic o potworach – zawołał fechtmistrz, biegnąc za nim.

Spartanin zwolnił i się uśmiechnął.

– Lubię cię zaskakiwać, Attalosie. – Nagle spoważniał i ponownie złapał swego towarzysza za ramię. – Być może nie wrócę. Jeśli tak, postaraj się doprowadzić Aleksandra do Sparty.

– Pójdę z tobą. Przyzwyczaiłem się już do twego towarzystwa.

– Nie. Jeśli obaj umrzemy, co stanie się z chłopcem? Musisz z nim zostać.

Do podnóża gór podróżnicy dotarli dopiero o zmierzchu. Centaury odjechały, by poszukać sobie miejsca do spania, a Brontes, Steropes i Arges przygotowali ognisko w środku kręgu białych głazów. Attalos z Aleksandrem ułożyli się obok ognia i odpoczywali, a Derae podeszła do obserwującego las Spartanina.

– Kiedy wjedziemy? – spytała.

– Chciałbym o świcie – odrzekł. – Jednakże Makedonowie depczą nam po piętach, więc nie możemy tak długo czekać. Gdzież, na Hekate, jest Chiron?!

– Najlepiej byłoby wkroczyć do lasu przed zapadnięciem nocy – zauważyła kapłanka.

Parmenion skinął głową.

– Zatem musimy przyspieszyć. – Wielkimi krokami podszedł do głazów i nakreślił pozostałym plan.

Jesteś szaleńcem – zagrmiał Brontes. – Czy w ogóle zdajesz sobie sprawę z tego, co chcesz zrobić? Nie rozumiesz?! Gorgon cię zabije, a jeśli nawet nie... na pewno wyda cię Filipposowi.

– Pewnie się nie mylisz, przyjacielu, niestety nie mamy wyboru. Jeśli nie wrócę do świtu, wybierz najlepszą według ciebie drogę do zatoki i ruszajcie bezzwłocznie.

To powiedziawszy, odwrócił się i oddalił, idąc przez polanę ku mrocznej (crawędzi puszczy.

Obok niego odważnie kroczyła Tena.

– Jesteśmy już obserwowani? – spytał cicho.

– Tak. Wiele istot przypatruje nam się z drzew. Chcą nas zabić – dodała.

Poczuła, że Parmenion sztywnieje. Zawahał się, zwolnił, a ręka sama opadła na rękojeść miecza.

– Możemy jeszcze zawrócić – szepnęła kapłanka.

– Te stworzenia... – zaczął cicho. – Potrafisz czytać w ich myślach?

– Tak, choć z tym myśleniem to znaczna przesada...

– Potrafisz z nimi rozmawiać?

– Z tym jest gorzej, mogę jednak w niewielkim stopniu wywierać na nie wpływ. Co mają zrobić?

– Niech mnie zabiorą do króla Gorgona.

– Dobrze, zatem policz do dwudziestu, a potem krzyknij jego imię. W tym czasie wpłynę na ich podświadomość.

Wzięła kilka potężnych haustów powietrza, a gdy się uspokoiła, wysłała swego ducha między drzewa. Mentalnie dotknęła pierwszej napotkanej istoty,

w połowie gada, w połowie kota... i się cofnęła. W umyśle maskary obse-
syjnie pojawiały się obrazy rozlewu krwi i rozszarpywanych na kawałki ludzkich ciał. Kobieta uznała stwora za zbyt mało inteligentnego, więc się
przemieściła, kierując się do worgula siedzącego na najwyższych gałęziach
dębu. Błede oczy wpatrywały się w dwójkę ludzi. Worgul także rozkoszował
się myślami o mordzie, i Derae wyczuła w nim ciekawość.
– Gorgon! – krzyknął Parmenion. – Chcę mówić z królem Gorgonem!
Worgul stężał, niepewny, co ma robić. Szept kapłanki docierał w głąb jego
umysłu. Jej myśli trafiały wprost do jego podświadomości:
Muszą ich zabrać do mojego pana. Będzie się gniewał, jeśli tego nie
zrobiją.
Pewnie mnie nawet zabije. Jeden z pozostałych doniesie mu, że
człowiek go
wołał. Mój pan obwini za to mnie.
Stwór rozpostarł skrzydła i wzbił się w powietrze. Pikując, zbliżył się do
intruzów, po czym wylądował ostro około dwadzieścia kroków od nich.
Derae otworzyła oczy i instynktownie sięgnęła po dłoń Parmeniona.
Worgul podszedł bliżej. Na płaskim terenie, jego szponiaste łapy wyda-
wały przykry chrobot.
– Chcesz zobaczyć mojego pana?
– Tak – odparł Parmenion.
– Przychodzisz od Filipposa?
– Będę rozmawiał tylko z królem Gorgonem – odparł twardo Spartanin.
– Zaprowadzę cię, człowieku.
Worgul obrócił się i ruszył niezdarnie ku drzewom. Jego długie stopy o trzech stawach utrudniały mu chodzenie; przez cały czas musiał
pozostawać
schylony. Wiele razy poślizgnął się, lecz machając skrzydłami,
odzyskiwał
równowagę.
III Parmenion podążył za monstrem, trzymając kapłankę za rękę.
– Co myślą pozostałe bestie? – spytał szeptem.
– Jedna z nich zamierza na ciebie skoczyć w momencie, gdy wejdiesz do lasu. Strzeż się! Ale nie zabijaj tej istoty. Zostaw ją mnie!
Spartanin wypuścił dłoń kobiety ze swojej i poszedł dalej. Zacisnął palce
na rękojeści miecza. Pot zalewał mu twarz, serce waliło szaleńczo, choć nie
tylko ze strachu. Dotyk ręki kapłanki niczym ogień rozgrzał mu krew i oży-
wił go. Zbliżał się powoli do mrocznego zagajnika, który wyglądał złowrogo.
Nie dochodził z niego żaden dźwięk, żaden ptasi śpiew, nawet pisk nieto-
perza...
Nagle z gałęzi spadło mu na głowę gadzie stworzenie. Parmenion w ostat-
niej chwili odskoczył, lecz mały drapieżca spadł na ziemię już bezwładny.
Worgul sykiem ostrzegł kolejnego, chętnego do ataku gada, po czym na sztywnych nogach podszedł do nieprzytomnego stworzenia.
– Jest martwe? – spytał.
– Nie, śpi – wyjaśniła Derae.
Worgul klęknął przy ciele, wbił szpony w szyję małej bestii i oderwał jej łeb.
– Teraz jest martwe – syknął, zlizując krew ze szponów.
Powoli ruszyli dalej przez gęstniejący mrok. Derae słyszała odgłosy

zwierząt przebiegających przed nimi i nerwowo skaczących po gałęziach nad

ich głowami. Na szczęście nie były one już takie groźne.

– Święta Hero! – szepnęła Derae.

– Co takiego?

– Pan tego lasu... Gorgon. Dotknęłam go. Ocieka nienawiścią.

– Przeciw komu jest skierowana?

– Przeciwko wszystkim.

Szlak się rozszerzył i worgul poprowadził ich niżej, do ogromnej kotliny,

w której płonęły dziesiątki ogni. Czekala tam na nich monstrualna postać,

usadowiona na tronie z czaszek. Gorgon miał ciemnozieloną, pokrytą brązo-

wymi cętkami skórę, ogromną głowę, pysk przepastny, wypełniony długimi

i ostrymi kłami, a na głowie – zamiast włosów – wiły mu się dziesiątki

węży- Strategos podszedł do niego i uklonił się.

___ Śmierć twoim wrogom, panie – zagaił.

Wzgórza Arkadii

Daleko na południu, po drugiej stronie Zatoki Karynckiej, na niskich wzgórzach Arkadii, wśród marmurowych grobów poległych bohaterów

zapłonęło nagle jaskrawe światło. Zalśniło niczym drugi księżyc, zamigotało,

po czym zgasło.

Młody pasterz dostrzegł ten dziwny błysk i zastanowił się, czy aby nie

zapowiada burzy, jednak jego owce i kozy nie wyglądały na zaniepokojone.

Nocne niebo było czyste, gwiazdy błyszczwały jasno, a intensywna poświata

księżycowa spowijała ziemię w łagodnym świetle.

Przez chwilę chłopiec rozmyślał o niezwykłym zjawisku, szybko jednak odpędził od siebie próżne myśli i otulił się płaszczem. Czułnie

spoglądał na

swoje stado i krańce pastwiska w poszukiwaniu ewentualnego zagrożenia ze

strony wilka lub lwa.

W pobliżu przebywał wszakże tylko jeden wilk, którego zresztą młody owczarz nie mógł dostrzec, ponieważ zwierzę kuliło się za marmurowym

kamieniem nagrobnym na pobliskich wzgórzach. Wilk również ujrzał światło,

które eksplodowało wokół, oślepiając i przerażając swym blaskiem.

Wystra-

szony zapomniał nawet o głodzie.

Zestarzał się ostatnio, minęło sporo czasu, odkąd inne samce

przegnały go

ze stada. A przecież niegdyś był potężnym przywódcą, przed którym wszyscy

drżeli. Był przebiegły i morderczy. Jednak nigdy w swoim długim życiu nie

doświadczył bliskości tak jaskrawego światła, i dlatego przyprawiało go ono

o niepokój i zmieszanie.

Nagle poczuł coś, co doskonale znał i czego się lękał. Zapach człowieka!

Istota była prawdopodobnie całkiem blisko niego.

Zwierzę nie poruszyło się. Zapach dobiegał z lewej strony. Wilk powoli

obrócił głowę, żółtymi ślepiami wypatrując jakichkolwiek oznak ruchu.

Człowiek leżał na marmurowej płycie. Jego naga skóra w zimnym blasku księżycy wydawała się wręcz trupiooblada. Jęknął i poruszył się.

Zwierzę

pamiętało, że niedawno skoczyło na tę samą płytę, by się rozejrzeć za ewentualną ofiarą do upolowania. Wtedy nie wyczuło ludzkiego zapachu. Teraz jednak z pewnością znajdował się tam mężczyzna. Wilk dożył sędziwego wieku, ponieważ wiedział, kiedy można popisać się odwagą, kiedy zaś należy zachować ostrożność. Człowiek, który spada z nieba w aureoli nienaturalnego światła raczej nie skłania do brawury. Chociaż stary wilk był przeraźliwie głodny, czym prędzej oddalił się ku północnym lasom. Jak najdalej od ludzkiego zapachu. Hełm poruszył się. Kamień był zimny i w dodatku uwierał w plecy. Mężczyzna stęknął, przewrócił się na bok i opuścił potężne nogi na bok płyty. Usiadł, ziewnął i rozprostował ramiona. Noc była chłodna, choć całkiem przyjemna. Dostrzegł wilka, który zbiegał po stoku w stronę lasu. Wyciągnął rękę po miecz i natychmiast uprzytomnił sobie, że jest nagi i nieuzbrojony. – Gdzie jestem? – spytał głośno. – Jak tu trafiłem? W pierwszym momencie nie poczuł niepokoju. Był przecież wojownikiem. .. Zaprawionym w boju, weteranem wielu kampanii, pewnym swej siły. Starał się przywołać wspomnienia, lecz niczego nie pamiętał. I wtedy dopadł go strach, graniczący z paniką. Nie tylko nie miał pojęcia, w jaki sposób dostał się w to tajemnicze miejsce, ale – co zdało mu się nieporównanie groźniejsze od obcego otoczenia – z dziko walącym sercem uzmysłowił sobie, że korytarze jego pamięci są milczące i puste. – Kim jestem? – wyszeptał. „Hełm. Jestem Hełm”. – A kim niby jest ów Hełm? – Imię nie stanowiło zbyt wielkiej pociechy, ponieważ nie towarzyszyły mu jakiegokolwiek obrazy z przeszłości. Mężczyzna spojrział na swoje dłonie. Były szerokie i stwardniałe, o krótkich, mięsistych palcach. Na przedramionach dostrzegł wiele blizn, niektóre miały postrzępione krawędzie, inne były gładkie i proste. Niestety, zagadką pozostawały okoliczności, w jakich się ich nabawił. „Zachowaj spokój” – powiedział sobie w myślach. Najpierw powinien się rozejrzeć. Wtedy właśnie zrozumiał, że znajduje się na cmentarzu pełnym posągów i marmurowych grobowców. Tłumiąc przerażenie, zeskoczył lekko z płyty i rozpoczął poszukiwania. Niektóre z kamieni nagrobnych popękały już i rozpadły się. Inne pozarastały zielskiem. „A zatem od dawna nikt nie dogląda tej nekropolii” – ocenił Hełm i zadrżał pod wpływem zimnego wiatru. „Gdzie, u licha, podziały się moje rzeczy?” – zadał sobie pytanie. Przecież nie mógł za dnia defilować przed ludźmi nagi niczym najbiedniejszy niewolnik. Niespodzianie po lewej stronie dostrzegł jakiś błysk i na chwilę zdało mu się, że widzi przed sobą wojownika w złoconym napierśniku i pełnym hełmie ze spiżu. Hełm napiął mięśnie i zacisnął pięści, gotując się do walki. Jednakże, gdy wpatrzył się uważniej w intruza, odkrył, że

ów
złowieszczo milczący żołnierz w rzeczy wistości jest jedynie
kompletną zbroją
osadzoną na drewnianym stelażu.
Zbliżył się ostrożnie do konstrukcji, po czym rozejrzał się bacznie
po
cmentarzu.
Hełm był niezwykle piękny, chociaż nie posiadał ani pióropusza, ani
czuba. Kopuła czaszkowa wydawała się idealnie gładka, bez śladu
wykle-
pań czy nitowania. Płatnerz musiał być prawdziwym mistrzem. Część
twa-
rzową wymodelowano w rysy brodatego mężczyzny o surowym spojrze-
niu, wysokim czole i ustach wykrzywionych w straszliwym uśmiechu.
Pan-
cerz również stanowił przykład artyzmu i znakomitej roboty – ramiona
ze
spiżowych płytek wyściełanych skórą, klatka piersiowa uformowana
iście
herkulesowo z odwzorowaną drobiazgowo muskulaturą, szczególnie wo-
ków splotu słonecznego. Pod napierśnikiem znajdowała się spódniczka
ze
skórzanych pasów nabijanych spiżem oraz para irchowych butów do jazdy
konnej.
Obok leżała pochwa z mieczem. Hełm podniósł ją i wyjął broń. Na widok
ostrza serce zabiło mu mocniej i natychmiast powróciła mu pewność
siebie.
Obosieczny miecz z polerowanego żelaza był idealnie zrównoważony i
do-
skonałe leżał w dłoni.
Wojownik po krótkim namyśle uznał, że to na pewno jego zbroja.
„Czyja,
jeśli nie moja?” – spytał sam siebie.
Ubrał się w minutę. Pancierz pasował jak ulał, podobnie buty.
Spódniczka
osiadła mu swobodnie na biodrach, pochwa miecza wślizgnęła się lekko
w spiżową klamrę przy lewym biodrze. Na końcu mężczyzna podniósł hełm
i nałożył go powoli na swoje krótko przycięte włosy. Gdy tylko hełm
usadowił
się na głowie, Helma przeszył potworny ból, jakby przypalano go żywym
ogniem. Wojownik wykrzywił się straszliwie, krzyknął i spróbował
zdzjąć
hełm, niestety ciekły metal już mu się wżarł w skórę, wlał w jego
nozdrza
i usta, wniknął w kości twarzy...
Nieoczekiwanie ból zniknął.
Wojownik otworzył oczy i odkrył, że klęczy. Wstał i ponownie starał
się
zdzjąć hełm. Podniósłszy prawą rękę, dotknął warg. Były metalowe!
Zimne,
a jednak giętkie. Dotykał je palcem. Język również okazał się
metaliczny
w dotyku, choć równocześnie miękki i sprężysty.
Najwyraźniej całą twarz Hełm miał teraz spiżową. Jakimś magicznym
sposobem hełm połączył się z jego skórą i stał się częścią jego
ciała.
– Co się ze mną dzieje?! – zawołał przerażony. Własny głos zabrzmiał
mu w uszach dziwnym echem.
„___ Nic specjalnego – odparł ktoś cicho. – Przygotowujesz się jedynie
do wykonania czekającego cię zadania.
Odwrócił się błyskawicznie, miecz błysnął mu w dłoni. Nikogo nie spo-
strzegł-
– Gdzie jesteś?
___ Blisko – rzekł głos. – Nie trwóż się. Jestem twoim przyjacielem.

– Pokaż się zatem... przyjacielu.
i– To nie jest konieczne. Znajdujesz się na wzgórzach Arkadii. Musisz się wyprawić na północ, w stronę Zatoki Karynckiej.
– Nie jestem twoim niewolnikiem! – zagrmiał wojownik.
– Nie masz najmniejszego pojęcia, czym albo kim jesteś – odparł głos tonem spokojnym, nawet przyjaznym. – Wiedz wszak, że wszystkie odpowiedzi są przed tobą. Na początek musisz odszukać złotowłose dziecko.
– A gdy już je znajdę... co wtedy?
Pytanie zawisło bez odpowiedzi.
– Jesteś tu jeszcze? Odpowiadaj, gdy pytam! ...Niech cię szlag!
Na cmentarzu panowała przytłaczająca cisza.
Attalos usiadł prosto, oparł się plecami o głaz, przyglądając się badawczo swoim towarzyszom. Brontes siedział naprzeciwko niego, wpatrzony wielki-
mi, orzechowymi oczyma w ogień. Obok niego wyciągnął się lwiołgłowy Arges. Położył grzywiastą głowę na swoim potężnym, muskularnym ramieniu, jasnobrazowymi oczyma zaś zagapił się na fechtmistrza. Cyklop Steropes spał, świszcząc głośno przez zęby. Attalos przeniósł spojrzenie na klifową ścieżkę, na której samotny centaur wypatrywał śladu Makedonów.
Nagle leżący obok niego Aleksander poruszył się, jęcząc we śnie.
Fecht-
mistrz zerknął ponownie na Argesa. Stwór nadal go obserwował.
– Dlaczego mi się przyglądasz? Coś ci się nie podoba? – rzucił. Lwia paszcza otworzyła się i wydobył się z niej stłumiony pomruk.
Brontes odwrócił wzrok od ognia.
– Chyba cię nie lubi – zauważył.
– Nie będę z tego powodu płakał – odciął się Attalos.
– Skąd w tobie tyle agresji, człowieku? – spytał minotaur. – Wyczuwam gniew, a także gorycz, może frustrację.
– Zostaw mnie w spokoju – odwarknął zabójca. – I dopilnuj, żeby twój włochoaty braciszek trzymał się ode mnie z dala, w przeciwnym razie może się kiedyś obudzić jako duch z macedońską stalą w sercu. – Z tymi słowami wyciągnął się na ziemi i odwrócił plecami do braci.
Gorycz? No tak, fechtmistrz doskonale wiedział, kiedy się w nim zrodziła.
Pojawiła się w dniu, gdy ojciec zabił jego matkę. Jej śmierć odmieniła Attalosa na zawsze. Zanim skatowana kobieta wydała ostatnie tchnienie, chłopiec godzinami słuchał krzyków. Był wtedy młody, zaledwie dwunastoletni, lecz tego dnia wydorósł. A w dwa lata później wszedł ukradkiem do sypialni ojca z lśniącym i ostrym jak brzytwa nożem, po czym z wprawą podciął mężczyźnie gardło. Odsunął się i z satysfakcją obserwował, jak śpiący budzi się z ustami pełnymi bulgoczącej krwi. Ojciec machał chaotycznie rękoma, usiłując wstać, potem konwulsyjnie zatykał dłońmi tryskające arterie.
Agonia nie trwała długo. Gorycz? Cóż te stworzenia mogły wiedzieć o jego goryczy!
Ponieważ nie mógł zasnąć, wstał i wyszedł z obozu. Księżyc stał wysoko, wiał chłodny, nocny wiatr. Fechtmistrz zadygotał na całym ciele i podniósł wzrok na klifową ścieżkę. Nigdzie nie dostrzegł centaura.
Niepokój wkradł się w jego serce. Badawczo przyjrzał się skałom w poszukiwaniu oznak ruchu.
Niczego nie zauważył, tylko wiatr szeleścił w suchej trawie na

zbozczach
urwiska. Fechtmistrz pospiesznie wrócił do kręgu głazów, przy których
spalo
trzech braci. Lekko klepnął Brontesa w ramię. Minotaur jęknął i
podniósł
wielką, ciężką łapę.
– O co chodzi?
– Strażnik zniknął. Zbudź braci! – szepnął Attalos, następnie
podszedł
do śpiącego Aleksandra, posadził go sobie na ramionach i ruszył do
lasu.
Kiedy dotarł na otwarty teren, z północy dobiegły go wrzaski. Spośród
skał
galopem wypadła grupka jeźdźców, ściganych włóczyniami i strzałami.
Młó-
dzieniec na jasnym wierzchowcu niemal zdołał uciec, lecz nagle z
nocnego
nieba opadł worgul. Strzała trafiła rumaka w szyję. Zwierzę zważyło
się na bok,
zrzucając młodzieńca. Jeździec wstał, zatoczył się i upadł, gdy druga
strzała
dosięgła jego ciała.
Fecht mistrz zaczął biec. Aleksander obudził się. Nie krzyknął, lecz
tylko
otoczył ramionami kark swego wybawiciela i mocno się do niego
przytulił.
Attalos usłyszał odgłosy galopującego konia, obrócił się i wyjął z
pochwy
miecz. Na szczęście ku niemu biegł ogromny centaur z napiętym łukiem
w dłoni.
– Kamiron! – zawołał radośnie Aleksander. Centaur zwolnił.
– Mnóstwo Makedonów – wyjaśnił zwięźle. – Zbyt wielu dla nas.
Większość centaurów zginęła.
Fecht mistrz schował ostrze, chwycił się grzywy Kamirona i wskoczył mu
na grzbiet.
– Pędem do lasu! – rozkazał. Wierzchowiec szarpnął do przodu tak
gwałtownie, że Macedończyk z trudem utrzymał równowagę.
Od południa i północy zbliżali się wojownicy w ciemnych płaszczach.
Na
szczęście, droga na zachód do lasu nadal pozostawała otwarta. Kamiron
gnał
przez otwarty teren, wokół świszczwały strzały.
Nagle z nieba zaatakował ich worgul. Centaur skręcił i stanął dęba.
Strzała
wbiła się w ziemię tuż obok niego. Kamiron naciągnął łuk i posłał
strzałę
w powietrze. Trafił potwora w prawy bok, przebijając mu płuco. Worgul
złożył skrzydła i bezwładnie runął na ziemię.
Galopujący centaur skierował się ku drzewom. Makedonowie zostali da-
leko za nim. Las zamknął się wokół nich, lecz Kamiron ciągle biegł.
Przeska-
kiwał leżące drzewa i głazy, rozpryskiwał strumienie, aż wbiegł na
wzgórze
prowadzące do małej kotliny otoczonej wysokimi sosnami. Tutaj
zwolnił.
– Złe miejsce na kryjówkę. Wkroczyliśmy do lasu Gorgona.
Attalos przełożył nogę i zeskoczył na ziemię.
– Może, ale tymczasem jesteśmy tu bezpieczniejsi niż w środku odby-
wającej się na zewnątrz jatki. A poza tym chyba nie mamy innego
wyjścia –
mruknął oschle, po czym położył Aleksandra na ziemię. Chłopiec usiadł
i przycisnął ręce do skroni.
– Jesteś chory? – spytał fechtmistrz, klękając obok chłopca. Dziecko
podniosło wzrok i mężczyzna zapatrzył się w wilcze, żółte oczy o

zwężonych
żrenicach.

– Nic mi nie jest – odezwał się książę nienaturalnie głębokim głosem. Gdy zaskoczony Attalos zrobił krok w tył, chłopiec parsknął śmiechem. Złowieszczym i okrutnym.

– Nie obawiaj się mnie, zabójco. Dobry z ciebie sługa. Nic ci nie grozi.

Fechtmistrz z wrażenia aż zaniemówił. Pociemniała skóra przy skroniach

chłopca niespodziewanie spuchła, zafalowała, rozciągnęła się nad uszami

i w dół aż do szyi. Chwilę później nad czołem wyrosły malcowi bycze rogi –

czarne jak heban połyskiwały w świetle księżyca.

– Podoba mi się ten las – rzekł chrapliwym głosem Duch Chaosu. – Zostajemy.

– Śmierć twoim wrogom, panie – powtórzył Parmenion, kłaniając się nisko.

– Ty jesteś moim wrogiem – syknął Gorgon.

Spartanin wyprostował się i uśmiechnął, nie odwrócił jednakże wzroku od

bladych oczu siedzącego przed nim potwora.

– Rzeczywiście, w pewnym sensie tak... ponieważ jestem człowiekiem. Tyle że potrafię dać ci wszystko, czego pragniesz.

– Nie masz najmniejszego pojęcia, czego pragnę. Ale mów dalej. Bawisz mnie. I wiedz, że twoja bliska śmierć sprawi mi ogromną przyjemność.

– Kiedyś, dawno temu byłeś wojownikiem – zaczął Parmenion cicho.

– Jesteś wszak dzieckiem Tytanów. Posiadałeś moc przemiany kształtu, mogłeś szybować w przestworzach albo pływać w wodnych głębinach.

Jednak

Po wielkiej wojnie zostałeś wygnany tutaj i utknąłeś w swoim ostatnim wcieleniu. Teraz na całym świecie magia umiera, lecz ty przeżyjesz, Gorgo-

nie. Wiesz o tym. Będziesz żył przez tysiąc lat tutaj, w lesie mrocznej magii.

Jednak pewnego dnia nawet ten las zniszczą topory ludzi...

Potwór podniósł się z trudem. Węże na jego głowie wiły się i syczały.

– Przyszedłeś do mnie, żeby mamieć mnie pseudotajemnicami, które już znam? Przystajesz mnie śmieszyć, człowieku.

– Przyszedłem, żeby zaoferować ci ziszczenie wielkiego marzenia – odparł Parmenion.

– I jakie jest niby to moje wielkie marzenie?

– Bądź ostrożny, Parmenionie – głos Teny rozległ się w jego umyśle.

– Nie potrafia odczytać jego myśli.

– Masz wiele marzeń – rzucił z pozoru niedbale strategos. – Nieustannie śnisz o zemście i pielęgnujesz w sobie nienawiść do ciemieców, którzy

skazali cię na ten los. Ale ponad wszystko prześladuje cię jedno wielkie

i niespełnione marzenie... Pragniesz przywrócić magię i odzyskać wolność.

Gorgon usiadł ponownie na tronie z czaszek.

– I ty ją potrafisz przywrócić? – spytał. Jego przepastna paszcza wykrzywiła się w pogardliwym uśmiechu.

– Ja nie, lecz Iskander to potrafi.

Przez chwilę król milczał, potem pochylił się, a jego blade oczy błysnęły.

– Mówisz o dziecku, którego poszukuje Filippos. Wiele za nie ofiarowuje. Mnóstwo kobiet... nie takich nijakich jak twoja towarzyszka, ale

pięknych, łagodnych i słodkich. Obiecał, że potwierdzi moją władzę nad tym

lasem. Sądzę, że przyjmę jego ofertę.

– Po cóż tak desperacko pragnie tego dziecka? – spytał ostro wódz.

– W celu zdobycia nieśmiertelności.
– Nieśmiertelny człowiek! Będzie ci taki odpowiadał? Przecież nienawidzisz ludzi... A poza tym? Czego jeszcze chce?
– A czegoż jeszcze mógłby chcieć?
– Magia umiera, Gorgonie. Iskander jest waszą ostatnią nadzieją. Bez niego wszyscy niebawem uschniecie i wyparujecie niczym kałuża w upalnym słońcu. Taki jest właśnie ostateczny cel Filipposa – pozbyć się was wszystkich z tego świata.
– To dziecko faktycznie jest Iskandrem?
– Tak – odparł Parmenion.
– I potrafi zdjąć przekleństwo ze mnie i mojego ludu?
– Tak.
– Nie wierzę ci. Pora umierać, człowieku.
– Czy tylko tego pragniesz? – spytał Spartanin, wskazując półkolistym gestem polanę. – Czyżbyś zadowolili się egzystencją potwora, którym obecnie jesteś? A mógłbyś przecież żyć jak bóg. Nie pamiętasz już tego? W takim razie, żal mi ciebie.
___ Oszczędź mi swojej litości! – zagrzmiał król. – Oszczędź mi jej dla dobra swego i kościstej kobiety, która stoi obok ciebie!
___ Jakie nosisz imię? – spytała nieoczekiwanie Tena. Jej głos brzmiał czysto i słodko.
– Nie znasz go? Mam na imię Gorgon.
– Nie... Chodzi mi o to, które nosiłeś przedtem... w pięknych złotych czasach?
– Ja... A cóż to cię obchodzi?
– Zapomniałeś już, czy tak? – spytała, podchodząc do niego i uparcie patrząc mu w oczy.
– Pamiętam – odparł niechętnie. – Zwałem się kiedyś Dionios. – Król opadł na oparcie tronu, napięte mięśnie ramion osłabły. – Przemyśle wasze słowa. Ty i twój mężczyzna możecie zostać z nami dziś wieczorem. Będziecie bezpieczni, póki nie rozważę tego, co mi powiedzieliście.
Tena skłoniła się, podeszła do strategosa i razem oddalili się na skraj polany.
– O co chodziło z tym imieniem? – spytał Spartanin.
– Gorgon ma umysł zbyt potężny do przeniknięcia, ale gdy mówiłeś o powrocie magii, jeden wizerunek stale migotał w jego myślach. Widziałam przystojnego mężczyznę o pięknych jasnoniebieskich oczach. Domyśliłam się, że tak wyglądał przed laty.
– Dobrze cię mieć u swego boku – oświadczył. Uniósł jej dłoń i z gąlanterią pocałował. – Jesteś mądra i posiadasz niezwykłą intuicję.
– A poza tym koścista i nieładna – przerwała mu z uśmiechem.
– Wcale nie – szepnął. – Jesteś piękna.
Wyrwała rękę z jego uścisku i odsunęła się.
– Nie szydź ze mnie, wodzu.
– Ależ to absolutna prawda. Piękno to coś znacznie więcej niż przemijające fizyczne powaby. Masz odwagę, dobroć i przenikliwy intelekt. A jeśli wątpisz w moją szczerłość, wnuknij w mój umysł i sprawdź.
– Nie muszę. Wierzę ci.
– Dlaczego się zatem gniewasz?
– Dawno temu miałam kochanka – wyjaśniła, odwracając się od Parmeniona. – Oboje byliśmy młodzi i snuliśmy wspólne plany na przyszłość. Wbrew sobie rozstaliśmy się i tęskniłam za nim przez wiele lat.
– Co się stało?

– Pewni ludzie rozdzielili nas i posłali mnie na morze. A później byłam

przetrzymana w świątyni, aż zgodziłam się zostać kapłanką.

– A ten mężczyzna? Nie próbował cię odnaleźć? Czyż jego miłość nie była tak wielka jak twoja?

– Sądził, że umarłam.

– Przykro mi – powiedział Parmenion i znowu wziął ją za rękę. – Doskonale rozumiem twój ból, gdyż sam doświadczyłem podobnego nieszczęścia.

– Ale jesteś teraz żonaty i masz dzieci. Na pewno zapomniałeś o swojej pierwszej miłości...

– Nigdy! – zaprotestował z przejmującym żalem w głosie, a słowo zabrzmiało jak skarga wobec niesprawiedliwości losu, z którą wciąż się me mógł pogodzić.

Las Gorgona

Przez większą część nocy leśne stworzenia siedziały wokół obozowych ognisk. Nie słychać było żadnych śmiechów czy pieśni. Król tkwił na tronie z czaszek, jego poddani zaś tulili się do siebie w zawziętym milczeniu.

Tena spała z głową na ramieniu strategosa, jednak on sam czuwał.

Panowała

nienaturalna cisza. Parmemon zgadywał, że stworzenia czekają na coś i trwał

na straży, spięty i czujny; godziny mijały.

Przed świtem stworzenia wstały, oddaliły się nieco od tronu, po czym utworzyły szpaler. Spartam położył Tenę na ziemię i także się podniósł.

Kończyny miał zdrętwiałe, więc przeciągnął się energicznie. Napięcie wisiało

w powietrzu. Gorgon wstał z tronu i spojrzał na wschód.

Spośród drzew wyłonił się tuzin niesamowitych bestii. Wlokły po ziemi związanego więźnia, pokrwawionego i rannego. Parmenion zaklął pod nosem.

Więźniem był Brontes.

Dręczyciele wyglądali na skrzyżowanie gadów z kotami. Mieli kończyny pokryte futrem, twarze zaś łuskowate. Wymachiwali w powietrzu ząbkowa-

nymi nożami lub krótkimi mieczami.

– Czekaście! – zawołał Spartanin. Podszedł i stanął nad skrepowanym minotaurem, który popatrzył na niego bez wyrazu. Strategos błyskawicznie

wyciągnął ostry jak brzytwa sztylet i przeciął Brontesowi więzy. – Nie ruszaj

się – polecił mu cicho, potem wstał i twardo spojrzał w oczy leśnemu królowi.

– To mój przyjaciel i sojusznik – oświadczył. – Jest pod moją ochroną.

– Pod twoją ochroną, mówisz? A kto ciebie chroni, człowieku?

– Ty, panie... Do czasu, aż podejmiesz decyzję.

– A więc, Brontesie – syknął Gorgon, podchodząc do więźnia – masz teraz za przyjaciela człowieka. Pamiętasz tego ostatniego? Niczego się od tej

Pory nie nauczyłeś, co?

Minotaur nie odezwał się, lecz opuścił głowę, unikając wzroku króla. Gorgon wydał z siebie przykry dźwięk, który od biedy mógłby uchodzić za

śmiech.

– Był więziony na Krecie – wyjaśnił Parmenionowi. – Król trzymał go w labiryncie pod miastem. Karmił go świńskimi wnętrznościami i innym

podłym mięsem. Pewnego dnia wrzucił mu do labiryntu nieznanego bohatera.

Ale durny Brontes go nie zabił, prawda, bracie? Nie, zaprzyjaźnił się z męż-
czyną i razem uciekli. Wyobraź sobie zaskoczenie mojego drogiego
bracisz-
ka, kiedy ów bohater po powrocie do domu chełpił się, że pokonał
morder-
czego minotaura-ludożercę. A później? Został królem, Brontesie?
Sądzę, że
tak. I... jak wszyscy królowie... zabijał nudę, polując na magiczne
istoty.
W ten właśnie sposób ludzie tworzą legendy.
- Zabij mnie - rzucił minotaur - zanim zanudzisz mnie na śmierć.
- Ach, jakże mógłbym cię zabić, Brontesie? Chroni cię przecież czło-
wiek. Ależ z ciebie szczęściarz. - Nagle Gorgon wykonał szybki ruch
stopa,
trafiając minotaura w szczękę i powalając go na ziemię.
- Brakuje ci wrogów, panie? - spytał Parmenion.
- Nie przeciągaj struny, człowieku! To moje królestwo.
- Wcale tego nie kwestionuję, panie. Jednak... kiedy magia wróci,
wróci
dla wszystkich dzieci Tytanów. Wszystkich... łącznie z moim
przyjacielem
Brontesem.
- A jeśli go zabiję?
- Wtedy będziesz musiał zabić również mnie. Ponieważ natychmiast cię
zaatakuję.
Gorgon potrząsnął głową, jego węże poruszyły się konwulsyjnie, po
czym
klęknął przy minotaurze.
- Co mam z tobą zrobić, bracie? - spytał. - Ten osobnik jest gotów
za ciebie umrzeć. Jakże upadliśmy, że dbamy o ludzką litość? -
Zerknął na
Spartanina i ponownie potrząsnął głową. - Otrzymasz odpowiedź przed
świtem. Ciesz się czasem, który ci pozostał.
Strategos podszedł do Brontesa i pomógł mu wstać. Na piersi i plecach
minotaura dostrzegł dziesiątki płytkich cięć, z których nadal sączyła
się krew.
- Co się stało? - spytał, prowadząc przyjaciela do miejsca, gdzie
spała
Tena.
- Makedonowie nas zaskoczyli. Centaury zginęły, podobnie moi bracia.
Zdołałem uciec do lasu, ale tam mnie schwytali. Wszystko stracone,
Parme-
nionie.
- Gdzie chłopiec?
- Twój przyjaciel wyniósł go z obozu, nie wiem wszakże, czy uciekli.
- Przykro mi z powodu twoich braci, przyjacielu. Powinienem był
wprowadzić wszystkich do lasu Gorgona.
___ Nie obwiniaj się, wodzu. Wdzięczny ci jestem za wstawiennictwo.
Niestety, jedynie opóźniłeś naszą niechybną śmierć. Smutne to, lecz
prawdzi-
we. Leśny król bawi się nami, pozwalając nam żywić próżne nadzieje.
O świcie ukaże prawdziwe oblicze zła.
___ Nazwał cię bratem.
___ Nie chcę rozmawiać na ten temat. Prześlpię te ostatnie godziny. Co
go
straszliwie zirytuje, jak mniemam. - Minotaur wyciągnął się na
trawie,
ogromną głowę przyłożył do ziemi.
___ Opatrzę twoje rany - zaproponował wódz.
___ Nie ma potrzeby. Zagoją się do czasu, kiedy trzeba będzie stawić
czoło
losowi. - Brontes zamknął oczy.
Parmenion dotknął ramienia Teny. Kobieta zbudziła się natychmiast.

- Aleksander zaginał. Możesz ustalić miejsce jego pobytu?
- Nie potrafię w tym miejscu oderwać się od swojego ciała. Mroczna magia jest tutaj zbyt silna. Co zrobimy?
Strałegos wzruszył ramionami.
- Może jeszcze coś wymyślę, by go przechytrzyć, a w najgorszym razie wbiję węzłogłowemu draniowi sztylet w serce, jego ludziom zaś rozkażę się poddać.
- Nie wątpię, że przynajmniej spróbujesz - oświadczyła z uśmiechem.
- Spartańskie wychowanie. Nigdy nie przyznawać się do klęski.
- Ja również jestem Spartanką - odparła. - Straszni z nas głupcy. - Roześmiali się, po czym Parmenion otoczył ją ramieniem.
- Pośpij jeszcze - doradził. Jego uśmiech powoli zbladł. - Zbudzę cię o świcie.
- Jeśli nie masz nic przeciwko temu, posiedzę z tobą. Możesz mi opowiedzieć swoje życie.
- W moim życiu nie zdarzyło się nic, co mogłoby zainteresować kapłankę.
- Więc opowiedz mi o swojej pierwszej miłości. Jak ją spotkałeś? Chciałabym o niej posłuchać.
Rogate dziecko wkroczyło na środek polany i wpatrzyło się zmrużonymi oczyma w ciemny las.
- Chodźcie do mnie! - zawołało. Jego głos odbił się echem od drzew. Zwierzęta z wolna, jedno po drugim, ruszyły ku niemu, tworząc wokół wielki krąg. Attalos stał blisko centaura Kamirona, który z przerażeniem w swych brązowych, szeroko otwartych oczach przestępował nerwowo z nogi na nogę.
- Uspokój się i to już - polecił fechtmistrz.
1- Wcale się nie boję - odrzekł centaur.
- Tym bardziej więc stój nieruchomo, niech cię szlag!
- Chcę stąd zniknąć i to zaraz, chcę biegać po otwartej przestrzeni. Duszę się w tym smrodzie. Potrzebuję Chirona. Muszę go natychmiast znaleźć.
- Wstrzymaj się! - rozkazał Macedończyk. - Nie czyn żadnych nierozważnych ruchów. Jeśli uciekniesz, i tak cię złapią. A... co ważniej sze...
mnie razem z tobą.
Kolejne maski podchodziły potulnie do Aleksandra i w milczeniu klękały przed nim. Zapach był porażający i fechtmistrz o mało się od niego nie udusił. Nagle obok niego przemknęła łuskowata bestia. Jej chropowata skóra musnęła ramię mężczyzny. Na szczęście stwory wykazywały niewielkie zainteresowanie człowiekiem czy centaurem; całkowicie się koncentrowały na złotowłosym dziecku.
Chłopiec wrócił do Attalosa.
- Posadź mnie na grzbiecie centaura - polecił. - Gdy fechtmistrz wykonał rozkaz, Kamiron poruszył się niespokojnie. Rogaty książę poklepał go po boku. Jego paznokcie były teraz czarne i szponiaste. - Ależ mamy słabowite ciało - oznajmił Duch Chaosu, patrząc na swoje ręce. - Ale urośnie.
Chodźcie, odszukajmy Parmeniona. Kieruj się na południe, centaurze.
- Nie chcę cię nieść. Ranisz mnie - jęknął Kamiron.
- Twoje życzenia mnie nie obchodzą. Ale jeśli taka tw, oja wola, możesz umrzeć tutaj i to zaraz.
Centaur krzyknął, gdy pazury demona ponownie rozorały mu ciało.
- Oto prawdziwe cierpienie - rzucił Duch Chaosu. - A teraz ruszaj...

Nie za szybko. Attalosie, pójdiesz obok mnie. Moi słudzy czują twoją krew.

Jej aromat wzmacnia ich głód. Trzymaj się blisko mnie.

– Tak, mój książę. Ale dokąd się właściwie udajemy?

– Na wojnę i rzeź. Dwóch królów w jednym lesie to o jednego za dużo. Nad drzewami powoli wschodziło słońce. Panowała ponura cisza, której nie zakłócały nawet pojedyncze ptasie trele. Koszmarne świta Gorgona wciąż

tkwiła w szpalerze przed tronem. Stwory stały jak skamieniałe, nie rozmawia-

ły, czekały jedynie na świt. Parmenion podniósł się i rozprostował zdrętwiałe

plecy. Tena poszła w jego ślady. Brontes jęknął i poruszył się wraz z dotykem

pierwszych słonecznych promieni. Rany zagoiły się w nocy i jego masywny

tułów płamiła obecnie tylko zaschła krew.

– Niebawem staniami się ofiarami ulubionej rozrywki Gorgona – szepnął Brontes. – Gdybyś zabił teraz kobietę, oszczędziłbyś jej cierpień.

– Nie – odrzekł Parmenion cicho. – Rozegramy tę partię do końca.

– Jak wolisz.

We troje przeszli w szpalerze wyczekujących monstrów. Przystanęli przed

tronem. Leśny król podniósł blade oczy, przeszywając Spartanina piorunują-

cym spojrzeniem.

__Przemyślałem dokładnie twoje słowa, wojowniku. Nie przekonałeś mnie.

__ Nawet ci się nie dziwię – stwierdził wódz. – Trudno wytrwać przy marzeniu, skoro jest się przeklętym od niepamiętnych czasów i dotąd zdawało

się ono jałową mrzonką. Każdy by się zniechęcił. Tak wiele rozczarowań, tyle

goryczy i nienawiści. Dlaczego miałbyś ot, tak mi uwierzyć?

__ Chciałem ci też oznajmić, że postanowiłem cię zabić – kontynuował Gorgon, jakby nie słyszał wyrodu Parmeniona. – Zapewniam cię, że będziesz umierał długo i boleśnie.

__ Czy to oznacza, że zamierzasz przyjąć ofertę Filipposa? – spytał spokojnie wódz.

– Tak. Odnajdę dziecko i dostarczę je królowi Makedonów.

– W zamian za co? Za kilka niewiast? Za wszechwładzę nad lasem? Nie za tanio się sprzedajesz? Filippos daje ci tylko to, co i tak już posiadasz. A

co

z twoimi ludźmi? Co oni dostaną? Odbierasz im szansę na zdjęcie z nich

przekleństwa. Co im pozostanie?

– Służą mi! – zawołał gniewnie Gorgon, wstając z tronu. – Zrobią to, co im rozkażę. Myślisz, że twoje słodkie słowa ich poruszają? Tak, moje stwory,

jesteście przeklęte po wsze czasy i nie ma żadnego Iskandra, który was uratuje.

Iskander był marzeniem wymyślonym przez istoty, które nie miały dość odwagi, by egzystować bez nadziei. Ale wiesz co, człowieku? Na coś się

jednak przydasz. Twoje przedśmiertne wrzaski nieco nas rozerwą.

Rzędy potworów zaczęły okrażać troje więźniów. Brontes wydał z siebie niski warkot, strategos wyciągnął miecz. Derae stała nieruchomo z wzrokiem

wbitym w leśnego króla. Badała mentalnie jego umysł.

– Życie bez nadziei – odezwała się wysokim, wyraźnym, zupełnie pozbawionym strachu głosem – wcale nie jest odważne. Stanowi raczej najgorszą formę tchórzostwa. Oznacza, że poddałeś się bez walki.

Zawsze
byłeś tchórzem, Dioniosie, czy dopiero zły los cię takim uczynił? A
może
kiedyś miałaś wspaniałe marzenia, a radość miłości wypełniała twoją
duszę?
– Przez fale goryczy płynące od Gorgona zobaczyła nagle w jego umyśle
krótką wizję – młoda kobieta i mężczyzna stali na brzegu oceanu.
Trzymali
się za ręce. Paroksyzm wściekłości gwałtownie rozmył ten obraz.
– Nigdy nie zaznałem miłości! – ryknął.
– Kłamiesz! A Persefona?!

Gorgon zatoczył się niczym rażony gromem, po czym krzyknął. Jego
przeraźliwy głos wręcz mroził serce. Kapłanka zrozumiała wszystko w
jednej
chwili, wrota pamięci króla bowiem rozstały się na moment. Piękna
młoda
dziewczyna i on, urodziwy syn Tytanów, szli obok siebie, śmiali się,
dotykali
czule, kochali. Ujrzała ich w wielu kształtach: morskich ptaków,
delfinów
i innych prześlicznych stworzeń, których nazw nawet nie znała. Jednak
Per-
sefona była zwyczajną kobietą i cała magia Tytanów nie zdołała jej
uchronić
przed śmiercią od tajemniczej zarazy, która przybyła z północy.
Gorgon padł na ziemię i zaczął w szale uderzać pięściami w ziemię.
Leśne
potwory cofnęły się, milczące i skonfundowane. Król wstał ociężale.
Wężę
zwisłały z jego głowy zwiotczałe i bez życia. Wyciągnął zza paska
długi sztylet
o ząbkowanej krawędzi i podszedł do Derae.
– Sądziś, że Persefona kochałaby cię jako oprawcę? – spytała zimno.
Potwór westchnął i upuścił broń.
– Przyjrzyj się dziecku – szepnął. – Jeśli będzie Iskandrem, pomogę
wam. Lecz jeśli nie, wasz skowyt potrwa całą wieczność.
Przez kilka minut strategos stał bez ruchu, spoglądając to na wysoką
kobietę, to na wężogłowe monstrum. W końcu schował miecz do pochwy.
W jego głowie rozległ się szept Teny:
Nie ruszaj się, milcz – nalegała.
Gorgon odwrócił się od nich, wrócił na tron, opadł nań bezwładnie i
zatopił
twarz w dłoniach.
Tena dotknęła ramienia Parmeniona, po czym wróciła pod drzewa, w za-
cienione miejsce, gdzie spędzili ubiegłą noc. Spartanin podążył za
nią.
– Co się dzieje? – spytał. – Czy leśny król kłamie? A może naprawdę
nam pomoże?
– W tej chwili to nie Gorgonem powinniśmy zaprzętać sobie głowę –
odparła jak najciszej. – Książę-demon gromadzi armię. Zdaża ku nam
opętany żądzą natychmiastowego pokonania leśnego króla.
– Książę-demon? – spytał wódz. – O kim mówisz?
– Duch Chaosu przejął władzę nad Aleksandrem. Dziecko przemieniło
się w rogate stworzenie z kłami i szponami. Widzisz, Parmenionie,
winą za tę
transformację należy obarczyć las, tak gęsto nasycony mroczną magią.
Duch
czerpie z niego moc. Chłopcu towarzyszy Attalos oraz centaur imieniem
Kamiron, lecz Duch Chaosu zdążył już przejąć kontrolę nad setkami
stronni-
ków Gorgona.
– Jakim sposobem się o tym dowiedziałas? Sądziłem, że nie możesz
w tym lesie uwolnić swego ducha.
– Potrafię skontaktować się ze znanymi mi osobami, o ile nie są zbyt

daleko. Wyczuwam myśli i lęki Attalosa. Niedługo zjawi się u nas osobliwa armia.

– Z którego kierunku nadejdzie?

– Od północy – odparła, wskazując przecinkę wśród drzew.

– Czy demon całkowicie panuje nad dzieckiem?

– Tak.

Parmenion westchnął, potem cicho zaklął.

.__ Wyjdę im naprzeciw – oświadczył.

__ Duch Chaosu cię zabije!

__ Nie mam wyboru – odparł ze znużeniem. Jeden z worguli nadleciał z głębi lasu i wylądował przed królem. Strategos wielkimi krokami wrócił do tronu. Gorgon wysłuchał przemowy latającego potwora, potem zerwał się na równe nogi. Jego oczy płonęły gniewem, pięści miał zaciśnięte.

.__ Twój dzieciak wypowiada mi wojnę! – zagrzemiał.

.__ Powinieneś być się tego spodziewać, panie – odparł Parmenion. – Przecież nie wie, czy gościmy u ciebie, czy też jesteśmy twoimi więźniami.

Pójdę po niego i sam go do ciebie przyprowadzę.

– Ten rzekomy Iskander – zauważył król – ma rogi i kocie oczy. Legendy nic nie wspominają o takich szczegółach.

– Potrafi zmieniać kształty, królu, tak jak ty niegdyś. Domyślasz się zapewne, że ma wielką moc. Puść mnie do niego.

Gorgon skinął głową, lecz równocześnie gwałtownym gestem wskazał na Tenę i Brontesa.

– Oni zostają – syknął. – Jeśli kłamiesz, umrą w katuszach.

Spartanin ukłonił się ceremonialnie.

– Jak sobie życzysz, panie – odrzekł spokojnie.

Skłoniwszy się po raz ostatni, odwrócił się ku północy i odszedł z polany.

Gdy znalazł się pod osłoną drzew, zaczął biec po wąskiej ścieżce długimi, regularnymi susami. Skoncentrował się na czekającym go problemie. Jak miał sobie poradzić z bogiem? Jakich argumentów użyć?

Szept Teny ponownie rozległ się w jego umyśle:

Wyczuwam Aleksandra. Nie został w pełni pokonany. I jeszcze jedna kwestia... Demon i chłopiec są połączeni. Duch Chaosu nie zdążył osiągnąć ostatecznej formy. Jest ciągle... nie wiem, jak to ująć... dziecinny? Głos umilkł. Spartanin wbiegł na stok. Tu droga była szersza.

– Bardziej na lewo! – zawołała Tena. – Nie więcej niż dwieście kroków.

Zarośla były tu gęste, więc Parmenion nie mógł nigdzie zboczyć i z tego względu postanowił się cofnąć aż do zakrętu. Usłyszał odgłosy zbliżającej się szybko i całkiem jawnie sporej armii, więc zwolnił, a kiedy wyszedł prosto na nich, zastygł w oczekiwaniu. Z pozoru spokojny, w istocie doznał prawdziwego szoku na widok księcia-demonia dosiadającego gigantycznego centaury.

Aleksander miał teraz bladoszarą cerę, ze skroni zaś rzeczywiście wyrastały mu czarne, cętkowane bycze rogi. Włosy mu zbielały, złote oczy zwęziły się

Pod ciężkimi brwiami, wargi wykrzywiły i rozszerzyły. Z ust sterczały mu długie i ostre kły. Po uroczym dziecku nie pozostał nawet ślad.

– Ach, mój wódz do mnie zmierza! – odezwał się głęboki głos. – Witaj, Parmenionie!

Za chłopcem stała monstrualna armia, a obok niego Attalos, którego twarz zmieniła się w pozbawioną wyrazu maskę.

– To nie jest ani twój czas, ani twój świat – stwierdził Spartanin łagodnie. – Oddaj mi dziecko.

– Służ mi albo zginiesz! – odparł ostro Duch Chaosu.

– Nie, to raczej ty umrzesz – rzucił Strategos. – Sądysz, że tym popisem mocy zdobędziesz świat? Gorgon będzie z tobą walczył, a nawet jeśli go pokonasz, cóż takiego zyskasz? Nędzny las w świecie rządzonym przez innego ducha. Ducha, który kontroluje wojsko złożone z niepoliczalnych tysięcy istot. Dziecinne igraszki w świecie mężczyzn. Dość tej zabawy. Oddaj nam chłopca!

Demon obrócił się do Attalosa.

– Zabij go! – rozkazał. Fechtmistrz bez słowa wyjął miecz i podszedł do nieruchomo czekającego wodza. Jednak gdy stanął przed nim, odwrócił się i prowokacyjnie spojrział demonowi w oczy. – Zdradzasz mnie! – ryknął książę. – W takim razie obaj umrzecie.

– Czekaj! – zawołał Parmenion. – Twój świat jest daleko stąd. Tylko ze mną zdołasz do niego wrócić. Beze mnie pozostaniesz na zawsze uwięziony tutaj w ciele dziecka. Jak przetrwasz?

– Mam armię – odparł demon, lecz głos wyraźnie mu zadrżał, gdy lustrował zastępy otaczających go bestii.

– Nikogo z nią nie pokonasz – zauważył Parmenion. – Może nawet nie uda ci się wygrać z leśnym królem.

– A jeśli oddam ci chłopca?

– Wrócę z nim do naszego świata.

– Ciekawym, jak? – zadrwił demon. – Zaufasz Gorgonowi? Przecież on go bez namysłu zabije... to znaczy mnie.

– Musisz zatem zdecydować... i to szybko. Możesz mieć ten las... albo swój świat. Postanów coś, i niech cię szlag!

Przez chwilę demon siedział w milczeniu, zmrużone oczka utkwiał w Spartaninie. Wreszcie odprężył się.

– Pewnego dnia dopadnę was obu – oznajmił. – Rozszarpie was kawałek po kawałku... Jego głos odbijał się echem, jakby dochodził z wielkiej odległości, w końcu zaniknął. Rogi zaczęły się kurczyć, Aleksander zakwilił z bólu i spadł z centaury. Strategos podbiegł do niego, podniósł i odgarnął mu złote włosy z czoła. Dziecko w niczym już nie przypominało demona – pozostały mu jedynie blednące brązowe płyty skóry na skroniach.

Włosy znowu miał złote, twarz – piękną.

– Nie mogłem go... powstrzymać... mój przyjacielu – lamentował chłopiec. – Próbowałem! Naprawdę próbowałem!

– Zrobiłeś wystarczająco dużo. Wierz mi! Nie pozwoliłeś mu osiągnąć całej mocy. Pokrzyżowałeś mu szyki.

– Uważaj, Parmenionie! – krzyknął ostrzegawczo Attalos. Bestie zaczęły krążyć wokół mężczyzn i chłopca; wszystkie spoglądały złośliwie.

Bez kontrolującego je demona widziały przed sobą tylko troje ludzi i centaury.

– czterech wrogów, których miały ochotę rozerwać na strzępy. Spartanin podniósł się błyskawicznie, przyciskając księcia do piersi.

– Cofnąć się! – wrzasnął, lecz zwierzęta go zignorowały. Strategos uderzył mieczem atakujące go osobliwe stworzenie z głowajaszczurki.

Ostrze

rozplątało napastnikowi gardło.
W tej samej chwili straszliwy płacz wypełnił powietrze i wszystkie potwo-
ry padły na kolana. Wódz zerknął przez ramię. Gorgon wychodził potężnymi
krokami z lasu. Tena i Brontes podążali tuż za nim.
Rogata bestia o zdumiewających rozmiarach podniosła ogromny kij i ruszyła na leśnego króla. Oczy Gorgona zajarzyły się. Atakujące zwierzę zaczęło się zataczać i kurczyć, a jego mięśnie zanikać. Stawało się coraz.
cieńsze, aż w końcu upadło na ziemię, rozpadając się na wiele kawałków.
Powiał lekki wietrzyk, wznosząc chmurę kurzu w miejscu, gdzie padło stworzenie. Teraz nie zostały już po nim nawet kości.
Leśny król odwrócił się do Parmeniona.
– Przynieś mi dziecko! – rozkazał. Spartaninowi uginały się nogi, gdy szedł do Gorgona, choć miecz nadal trzymał w dłoni i był gotów wbić go królowi w brzuch przy pierwszej oznace zdrady.
– Bądź dzielny! – szepnął chłopcu. Aleksander skinął głową, a wtedy postawił go na ziemi. Książę zbliżył się do Gorgona i spojrzał w okrytą węzami twarz.
– Ukaż mi swoją moc – polecił król.
– Pokażę ci – odrzekł Aleksander. – Ale dopiero przy Portalu Giganta.
– A zatem rzeczywiście jesteś Iskandrem!
– Tak, naprawdę nim jestem – przyznało dziecko.
Chłopiec stał milcząco z głową przekrzywioną na bok i zielonymi oczyma obserwował wijące się węże.
– Czy są prawdziwe? – spytał nagle.
– Realność zależy od przyjętej perspektywy – odparł Gorgon. Klęknął i opuścił głowę. Węże podniosły się z sykiem. Ich rozwidlone języki wysunęły się spomiędzy ostrych zębów.
Aleksander nie cofnął się przed nimi.
– Nie są żywe – zauważył obojętnie.
– Jeśli cię ugryza, umrzesz – odparował Gorgon.
– Fakt ten nie czyni ich ani trochę bardziej realnymi. Ich oczy są ślepe.
Te istoty nie widzą i nie czują. Poruszają się, ponieważ tak im rozkazujesz.
– Są więc moją bronią, moim karzącym ramieniem... W tym sensie są realne.
– Rzeczywiście, ramieniem... – zgodził się chłopiec. – I właśnie tym są te węże... stanowią przedłużenie twojego ciała. Tak jak ręce albo nogi.
Tylko wyglądają jak węże.
– Obawiasz się mnie, dziecko?
– Niczego się nie boję – skłamał malec, prostując plecy i wyzywająco podnosząc podbródek.
– Ale uważasz mnie za potwornego i brzydkiego.
– Nie, raczej mnie fascynujesz. Dlaczego wybrałaś takie paskudne oblicze?
Leśny król zaryczał. Dźwięk z trudem przypominał śmiech.
– Wybrałam je, aby przerażać moich wrogów. I przerażałam ich. Ciągłe ich przerażam... Tyle że wtedy przegraliśmy wojnę i zostaliśmy... hmm...
ukarani. Rzucono na nas zaklęcie, które zmusiło nas do zachowania przybranych czasowo kształtów. Ty, Iskandrze, odwrócisz to zaklęcie.
– Jesteś złą istotą? – spytał Aleksander.
– Oczywiście. Przecież przegraliśmy. Przegranych zawsze nazywa się złymi, ponieważ to zwycięzcy śpiewają pieśni, które przechodzą do

historii.

A w tych kształtach, w których nas uwięzili... jaki mamy wybór?

Popatrz na

worgule! Ich dotyk jest śmiertelny, oddech niesie zarazę. Ile dobrych uczyn-

ków mogą dokonać z takim wyglądem? Zwycięzcy pozostawili nas z nienawiścią i goryczą w sercach. To oni określili nas mianem złych i... uczynili nas

złymi. Dostosowaliśmy się jedynie do ich oczekiwań. Wierzysz mi?

— Byłoby nieuprzejmie stwierdzić, że ci nie wierzę — odparło

rezolutnie

dziecko.

— To prawda — zgodził się Gorgon — ale pozwolę ci na tę jedną nieuprzejmość.

— W takim razie powiem, że się z tobą nie zgadzam. Parmenion

twierdzi,

że każdy człowiek ma wolny wybór. Gdyby to, co mówisz było prawdą, wtedy

wszyscy brzydcy ludzie byłiby źli, a wszyscy przystojni — dobrzy.

— Doskonale powiedziane, chłopcze — skomentował minotaur. — Mój

brat zapomniał powiedzieć, że sam wraz ze swoimi sojusznikami wywołał tę

wojnę, która zakończyła się rzezią. Poniosły w niej śmierć tysiące istot.

Król wstał i potrząsnął głową. Wijące węże zasyczały.

— Przerwałeś mi taką inteligentną rozmowę... No już dość, nie rozko-
pujemy popiołów historii, Brontesie. O ile sobie przypominam, po obu

stronach

było mnóstwo ofiar. Brat zabijał brata... Niech ta wojna skończy się

wraz

z nadejściem Iskandra.

— Nie wierzę, że kiedykolwiek ona się skończy, Dioniosie —
oświadczył

minotaur ze smutkiem. — Pokój nie leży w twojej naturze.

— Zobaczmy, bracie. Jak się miewa nasza matka? Czy ciągle usycha
z tęsknoty za mną?

Brontes warknął cicho, zacisnął pięści, a mięśnie ramion napiął tak
bardzo,

że grały mu pód skórą.

— Nawet o tym nie myśl — szepnął Gorgon. Jego blade oczy jarzyły się
niczym latarnie.

— Proszę, nie walczcie — błagał Aleksander.

— Nie będzie żadnej bijatyki — oświadczył ostro Parmenion. Podszedł
i stanął między minotaurum a leśnym królem. — Jesteśmy teraz
sojusznikami.

Mamy wspólnego wroga. Zgadza się, Brontesie?

— Sojusznikami? — wysyczał przez zęby minotaur i potrząsnął głową.

— On nie jest zdolny nawet do uczciwej walki. Nie wierzę w ani jedno
jego

słowo.

— Uwierzysz — spierał się Spartanin. — Nie masz innego wyjścia.

Wojnę, o której mówisz, toczyliście całe wieki temu. Kiedyś nadchodzi
czas,

gdy trzeba zapomnieć o waśniach. Ten czas nadszedł teraz. Tutaj, w
tym lesie.

Będziemy towarzyszami na dobre i na złe. Wojna się skończyła.

— Póki on żyje, ta wojna się nie skończy — odparł Brontes. Odwrócił
się

i oddalił w stronę lasu. Chłopiec przeniósł wzrok na leśnego króla i
wydało

mu się, że dostrzega na zdeformowanym obliczu wyraz rozczarowania,
prawie

smutku. Szybko jednak powróciła nań sardoniczna mina.

— Twoja misja nie zaczęła się najlepiej, Iskandrze — zauważył Gorgon.

- Ważne rzeczy nie przychodzą łatwo - odparł Aleksander.
- Jesteś niezwykle mądrym dzieckiem. Mógłbym cię nawet polubić, gdybym tylko przypomniał sobie, jak się coś takiego odczuwa.
- Pamiętasz - zapewnił go chłopiec, szeroko się uśmiechając. - Ja również cię lubię.
Aleksander oddalił się od leśnego króla. Dostrzegł Kamirona, który trzy-
mał się z dala od tłoczących się na polanie potworów. Centaur drżał, przednimi kopytami grzebał w ziemi. Książę podszedł do niego, lecz ten na jego widok cofnął się kilka kroków.
- Zraniłeś mnie - oznajmił, gwałtownie mrugając.
- To nie ja - wyjaśnił Aleksander kojącym tonem. Wyciągnął rękę. - Czy to stworzenie wyglądało tak jak ja?
- Tyle że miało rogi - odparł centaur. - Nie lubię tego miejsca. Chcę stąd uciec.
- Niedługo je opuścimy - zapewnił go chłopiec. - Mogę pojechać na twoim grzbiecie?
- Dokąd?
- Na poszukiwanie Chirona.
- Nigdy go nie znajdę - wymamrotał Kamiron. - Porzucił mnie. Już zawsze będę sam.
- To nieprawda - stwierdził Aleksander. Podszedł do stworzenia i wziął je za rękę. - Nie jesteś sam. Będziemy przyjaciółmi, ty i ja. Do czasu, aż znajdziemy Chirona.
Centaur pochylił się do przodu.
- To jest złe miejsce - szepnął. - Zawsze takie było. Jeśli wsiądziesz na mój grzbiet, wywożę nas stąd. Popędzę jak wiatr. Zaniosę cię do tych dalekich gór. Nie złapią nas.
- Tu wokół panuje zło, przyjacielu - tłumaczył Aleksander. - A w tym lesie jesteśmy bezpieczniejsi niż w górach. Zaufaj mi. - Kamiron drżąc, nie odpowiedział, jednak w oczach nadal miał strach. - Jesteś potężną istotą - oświadczył nagle książę. - Jesteś najsilniejszym z centaurów. Niczego się nie boisz. Jesteś najszybszym, najodważniejszym, najwspanialszym z wojowników.
Kamiron pokiwał głową.
- Tak, tak, jestem właśnie taki. Wierzę ci. Jestem wielkim wojownikiem.
Nie lękam się byle czego.
- No właśnie. Niedługo udamy się nad morze, a potem do Sparty. Pojadę na twoim grzbiecie i ty mnie ochronisz.
- Nad morze, tak, nad morze. Czy będzie tam Chiron? Czy jest blisko?
- Niezwykle blisko. Powiedz mi, gdzie byłeś, gdy... obudziłeś się ostatnio?
- W lesie, w pobliżu gór. Słyszałem krzyki i wrzaski. Makedonowie zabijali centaury! Wtedy zobaczyłem ciebie.
- Pamiętasz, gdzie to było?
- Wokół dostrzegłem tylko drzewa i skały, i... strumień. Tak mi się zdaje. Nie pamiętam, jak tam trafiłem. Niczego zbyt dobrze nie pamiętam.
- Podczas naszego pierwszego spotkania miałeś na pasku skórzany woreczek, w którym znajdował się złoty kamień. Nie masz go już?
- Woreczek? A tak... miałem go. Chyba zostawiłem go nad strumieniem. Przestraszyły mnie krzyki. Czy był ważny?
- Nie, po prostu zastanawiałem się, gdzie jest. Wkrótce odjedziemy, ale

najpierw muszę porozmawiać z Parmenionem.

Spartanin siedział, głęboko pogrążony w rozmowie z kapłanką Teną i Attalosem, lecz kiedy chłopiec podszedł, grupa zamilkła.

– Muszę z tobą pilnie pomówić – oświadczył Aleksander.

– Oczywiście, książę – odparł strategos. Klęknął i z uwagą przypatrzył się dziecku.

— Chodzi o Chirona.

— Sądzę, że jest już dla nas stracony.

— Wcale nie. Chiron to centaur Kamiron. – Szybko opowiedział wodzowi o swoim pierwszym spotkaniu z magusem i o jego przemianie w centaury.

— Tyje że teraz Kamiron utracił swój magiczny kamień i obawiam się, że nie będzie mógł wrócić do ludzkiej postaci.

— Niewiele możemy zrobić – stwierdził wódz. – Ale zabierzemy go ze sobą. Hmm... a powiedz mi tak w ogóle... Jak sobie radzisz? Chłopiec spojrzał mężczyźnie w oczy i wyczytał w nich troskę.

– Dobrze. Wziął mnie przez zaskoczenie. Magia w tych lasach jest bardzo silna i bardzo mroczna.

– Pamiętasz, co się działo?

– Wszystko pamiętam. W jakiś dziwny sposób czułem się spokojny.

Wszystko widziałem, choć nie mogłem nad tym zapanować. Z drugiej strony

byłem wolny, bo nie musiałem podejmować żadnych decyzji. Duch Chaosu ma olbrzymią moc, Parmenionie. Zrozumiałem to doskonale, gdy dotykał umysłem zwierząt. Natychmiast ulegały jego woli.

– Nadal czujesz jego obecność?

– Nie. Odnoszę wrażenie, że zasnął.

– Masz dość siły, by go powstrzymać przed... następną ingerencją?

– Tak sądzą. Ale przecież nie ma pewności, że mi się uda, prawda?

– Staraj się, jak tylko możesz – doradził Spartanin. – I powiadom mnie zaraz, kiedy się obudzi.

– Masz moje słowo. Co robimy?

– Król zamierza poprowadzić nas nad morze. Tam znajdziemy sposób na pokonanie Zatoki Karynckiej... u nas zwanej Koryncką. Następnie udamy

się na południe przez Arkadię i Spartę. Potem... jeszcze nie wiem.

– Naprawdę potrafisz otworzyć Portal Giganta – szepnął Aleksander.

– Nie myśl o tym teraz – odparł Spartanin równie cicho. – Nie jesteś osobą, za którą cię biorą.

– Och, ależ jestem – odparło lekko dziecko. – Wierz mi, Parmenionie, faktycznie jestem Iskandrem.

Przez trzy dni niewielka wyprawa podążała na południe przez las.

Prowa-

dził Gorgon, trasę zaś pilotowały trzy worgule, które to opadały, to wlatywały

w niebo ponad drzewa i szukały śladów pogoni. Aleksander jechał na Kami-

ronie, któremu drugiego ranka znacznie się poprawił humor.

– Pamiętam wczorajszy dzień – oświadczył nagle księciu centaur. – Cudowne uczucie. Położyłem się spać i obudziłem się dokładnie w tym samym miejscu.

– Wspaniale – odparł chłopiec z roztargnieniem.

Parmenion często kroczył obok leśnego króla, a Derae i Attalos szli na

samym końcu za centaurem i jego małym jeźdźcem.

Przez pierwsze dwa dni kapłanka niewiele rozmawiała z fechtmistrem.

Wolała iść w milczeniu, wieczory zaś spędzała na poważnych konwersacjach

ze Spartaninem. Jednakże rankiem trzeciego dnia Attalos zaczął opóźniać

marsz, zostając w tyle. W pewnym momencie we dwoje znaleźli się jakies

trzydzieści kroków za pozostałymi.

– Coś się stało, że się tak wleciesz? – spytała kobieta.

– Chcę z tobą porozmawiać – wyjaśnił.

– Po co? Cóż, możemy sobie powiedzieć?

– Potrzebuję... Chciałbym... rady.

Kapłanka popatrzyła na niego z uwagą, następnie mentalnie dotknęła jego

ducha. Odkryła, że w mężczyźnie szaleńczo falują skomplikowane emocje i szybko się wycofała.

– Jak mogę ci pomóc?

– Jesteś wieszczką, nieprawdaż?

– Tak.

– I potrafisz przewidzieć przyszłość?

– Istnieje wiele rozmaitych przyszłości, Attalosie. Zmieniają się z dnia

na dzień. Powiedz mi, co cię martwi.

– Demon powiedział, że kiedyś zabije mnie i Parmeniona. Czy mówił prawdę?

Derae spojrzała na zaszępioną twarz fechtmistrza.

– Co zrobisz, jeśli potwierdzą jego groźbę?

– Nie wiem. W moim świecie miałem tylko martwych wrogów. Czułem się bezpiecznie. Aleksander zaś jest synem jedyne przyjaciele, jakiego

kiedykolwiek miałem. Nie mógłbym go... – Umilkł. – Czy przepowiesz mi przyszłość?

– Nie, to nie byłoby zbyt mądre. Nosisz w sobie wielką nienawiść i gorycz, Attalosie. Wydarzenia z twojej młodości splamiły twą duszę. Jednak

miłość i lojalność wobec Filipa może stać się odkupieniem.

– Powiesz mi chociaż, czy chłopiec rzeczywiście stanowi dla mnie zagrożenie?

Wahała się zaledwie przez moment.

– Daj rękę – rozkazała. Posłuchał i wysunął lewą dłoń. Prawa pozostała

na rękojeści miecza. Derae zalała fala emocji – gwałtownych i okrutnych-

Niemal nią zawładnęły. Ujrzała matkę zabita przez ojca, potem ojca zamor-

dowanego przez młodego Attalosa. W następnych latach śledziła czyny roz-

goryczzonego młodzieńca, który posyłał na śmierć dziesiątki ludzi:

przy po-

mocy noża, łuku, miecza bądź trucizny. W końcu westchnęła i puściła je-

go rękę.

— I co mi powiesz? – spytał.

— Wbrew twemu przekonaniu, masz wielu wrogów – odparła cichym, srunutnym głosem. – Nienawidzą cię prawie wszyscy ludzie, którzy cię znają.

Wierz mi, zabójco, w obecnej chwili książę nie zagraża ci.

— Ale będzie moim wrogiem, prawda?

— Jeżeli przeżyje – mruknęła, wytrzymując jego spojrzenie. – Jeśli ktokolwiek z nas przeżyje.

– Dziękuję ci – powiedział, wyminął ją i dołączył do grupy.

Tej nocy, gdy większość spała, kapłanka przysiadła obok Parmeniona na szczycie wzgórza i zrelacjonowała mu rozmowę z Attalosem.

– Sądziś, że spróbuje zabić chłopca? – spytał.

– Jeszcze nie teraz. Ale to żalony, pozbawiony moralności człowiek o spaczonych w dzieciństwie psychicze. Niewiele w nim dobra.

– Będę miał na niego oko. Ale powiedz mi, pani, dlaczego właściwie Arystoteles cię do nas przysłał?

– Uważał, że mogę ci pomóc. Mylił się?

– Ależ skąd, lecz nie o to pytałem. Dlaczego przysłał akurat ciebie? Czemu nie kogoś innego?

– Czy moje towarzystwo jest dla ciebie aż takie przykre? – spytała zaniepokojona.

– Gdzieżby tam! Jesteś dla mnie niczym chłodny wietrzyk w upalne letnie popołudnie. Koisz moją duszę, która dzięki tobie... odpoczywa. Nie radzę sobie najlepiej z kobietami, Teno. Robię się przy nich niezręczny i nerwowy. – Zachichotał. – Natura twojej płci jest dla mnie wciąż nieodgadniona.

– Sugerujesz, że kobiety reprezentują inną rasę?

– Czasami faktycznie tak myślę – przyznał. – Kiedy byłem bardzo młody, często obserwowałem, jak Derae biegała. Ukrywałem się na wzgórzu i patrzyłem na ścigające się dziewczęta. Poruszały się z tak wielką gracją, że sam czułem się niezgrabny i niezdarny... Wspomnienia mają w sobie tyle uroku, choć napawają smutkiem przemijania.

– Mimo to przyjemnie jest przywoływać miłe chwile z przeszłości – przyznała. – To one nadają życiu smak i barwę. Cieszymy się nimi. Opowiedz mi o swojej rodzinie.

– Sądziłem, że chcesz słuchać o miłych sprawach – odburknął, patrząc w dal.

– Nie kochasz swojej żony?

– Kochać Fedrę? – zapytał ironicznie, potrząsając przy tym głową. – Wyszła za mnie z pewnego powodu... o którym nie chcę rozmawiać.

– W takim razie, nie mów.

Nagle posłał jej krzywy uśmiešek.

– Dlaczego zadałaś mi to pytanie, Teno? Jesteś przecież wieszczką. Znasz odpowiedź. – Uśmiech przygasł, twarz mężczyzny spoważniała. – Znasz wszystkie moje sekrety? Myśl o kłamstwie przemknęła jej przez głowę, lecz kapłanka odrzuciła ją.

– Tak – odrzekła cicho. Pokiwał głową.

– Tak sądziłem. Wiesz zatem, dlaczego za mnie wyszła.

– Aby się pozbyć niechcianego daru proroctwa.

– A także? – naciskał, wpatrując się w nią zimno.

– Ponieważ miała wizję, że spłodzisz boga-króla, który będzie rządził światem.

– I teraz – dodał Parmenion ze smutkiem – wychowuje biednego Filotasa na boga. Napełnia mu umysł mirażami przyszłej sławy. To jest straszna iluzja i nie mogę w żaden sposób jej zapobiec. Czy to jest cena, którą muszę zapłacić za swoją... zdradę?

– Jesteś dobrym człowiekiem – powiedziała i ujęła go za rękę. – Nie pozwól, by wyrzuty sumienia z powodu jednego nieszczęsnego błędu zmarnowały ci życie.

– A wszystko mogło przecież potoczyć się zupełnie inaczej, Teno. Gdyby tylko pozwolono mi poślubić Derae. Może nie byłbym bogaczem, ale za to miałbym prawdziwy dom i dzieci. – Wstał i popatrzył ponad oświetlone księżycem korony drzew. – Niestety, zawracanie rzeki czasu to jałowe zajęcie i nic dobrego z niego nie wynika. Nie pobraliśmy się. Derae została zabita, ja zaś jestem Parmenionem, Śmiercią Narodów. Ale mogę z tym żyć.

Wróćmy teraz do obozu. Może dzisiejszą noc uda mi się przespać bez snów.

Piątego dnia podróży na południe zwolnili. Worgule odleciały na zwiad

poprzedniej nocy i nie powróciły. Po ich zniknięciu Gorgon stał się znacznie czujniejszy. Stale wyruszał na rozpoznanie, nie kryjąc zdenerwowania. Bron-
tes przez dwa dni podróży milczał, idąc z dala od reszty kompanów, a odpo-
czywając w samotności usiłował schować swą, ogromną byczą głowę w dło-
niach. Attalos natomiast robił się coraz bardziej gburowaty i co rusz łypał
okiem na Aleksandra.
Spartanin zaczynał się tym wszystkim poważnie niepokoić. W dodatku las
był coraz gęstszy, niewiele światła przebijało się przez wysokie sklepienie
splęcionych ze sobą gałęzi, a powietrze wypełniał zapach gnijącej roślinności-
Jednak nie tylko smród czy brak światła przerażały strategosa. Wyczuwał
w tym miejscu aurę zła, które atakowało mu umysł, duszę zaś napełniało
strachem.
Tej nocy po raz pierwszy rozpalili ognisko. Attalos i Tena usiedli przy
skwierczących polanach. Fechtmistrz natychmiast zapatrzył się ponuro
w tan-
czące płomienie. Brontes oddalił się i usiadł oparty plecami o pień rozłożys-
tego dębu. Wódz podszedł do niego.
— Cierpisz? — spytał.
Minotaur z trudem podniósł głowę. Cienka strużka krwi pociekła z jego
prawego nozdrza.
— Muszę się... przemienić — odparł szeptem. — Niestety, transformacja
nie może się odbyć tutaj. Jeśli nie opuścę tego lasu w ciągu dwóch
dni, umrę.
— Wiedziałeś, że tak będzie?
— Tak.
— I mimo to poszedłeś z nami? Doprawdy, brak mi słów, Brontesie.
Minotaur wzruszył ramionami.
— Iskander jest najważniejszy. Za wszelką cenę musi dotrzeć do Portalu
Giganta. Zostaw mnie, przyjacielu. Ciężko mi mówić z powodu bólu.
W tym momencie wrócił Gorgon, który pędząc przez zarośla, przemierzył
małą polanę i z furją rozkopał żagwie, obsypując szatę Teny iskrami.
— Co, na Hadesa, robisz? — zagrmiał Attalos.
— Żadnych ognisk! — syknął leśny król.
— Dlaczego? Czyż nie jesteśmy w twoim lesie? — odparł fechtmistrz. —
Czego mielibyśmy się tu obawiać?
— Wszystkiego — odparł Gorgon, kierując się ku Parmenionowi. — Do
lasu weszli Makedonowie — wyjaśnił. Oczy mu błyszczały. — Przybyło
ponad tysiąc wojowników, podzielonych na pięć oddziałów. Dwa są za
nami,
dwa na wschodzie i jeden przed nami.
— Czy wiedzą, gdzie jesteśmy?
— Obawiam się, że tak. Wiele worguli opuściło mnie i przyłączyło się
do
Makedonów. Widzisz, człowieku, w tym lesie lojalność to pojęcie
raczej mało
znane. Rządzą innymi stworzeniami, ponieważ jestem z nich największy
i najsilniejszy. Moja korona jest bezpieczna tak długo, póki moi
poddani
lękają się mego gniewu. Jednak worgule bardziej się boją Filipposa.
Nie

dziwię im się, ponieważ dysponuje potężniejszą mocą ode mnie.
– Kiedy dotrzemy do morza?
– Za dwa dni... O ile będziemy podróżować szybko. Trzy, jeśli zachowamy niezbędne środki ostrożności.
Spartanin potrząsnął głową.
– Brontes nie przeżyje trzech dni.
Gorgon rozciągnął paszczę w parodii uśmiechu. Węże na jego głowie Podniosły się i obnażyły zęby.
– A jakież to ma znaczenie? Ważne, żeby Iskander dotarł do portalu. A zaczynam w to wątpić. Ten las stanowi moje dominium, nad którym sprawuję magiczną kontrolę, a jednak nie potrafię zapobiec zlokalizowaniu
Przez Filipposa naszej pozycji. Twoja koścista towarzyszka również już
prawie wyczerpała swoją moc i niedługo przestanie nas chronić.
Jesteśmy
zmęczeni, człowieku. Kiedy magia nas opuści, nie znajdziemy w tym lesie
żadnej kryjówki. Rozumiesz? Mówiąc obrazowo, kapłanka i ja
przesłaniamy
obecnie las duchową mgiełką, pod którą się ukrywamy. Z każdą kolejną godziną król-demon wyczerpuje nasz obronny potencjał. Wkrótce –
niczym
burzowy wiatr – rozproszy zasłonę i staniemy się zupełnie bezbronni wobec
jego złotego oka. Wybacz, lecz w tej sytuacji jakoś nie martwi mnie tak błahy
problem jak życie Brontesa. – Gorgon położył się i zamknął oczy. __
Zarządzam dwugodzinny odpoczynek – zakończył cicho. – Ruszamy przed świtem.
Strategos wrócił do wygaszonego ognia. Aleksander spał spokojnie obok centaura Kamirona. Parmenion zdjął płaszcz i okrył nim dziecko, po czym
pogładził je po główce.
Attalos na jego widok zmrużył oczy w grymasie niechęci, lecz natychmiast
skrył ją pod obojętną miną.
– Dlaczego bestia jest taka nerwowa? – spytał, machnąwszy ręką ku śpiącemu Gorgonowi.
– Tysiąc Makedonów wchodzi do lasu.
– Tylko tysiąc? Drobnostka dla strategosa, prawda? Co zrobisz tym razem? Wezwiesz na pomoc straszdyła siedzące w konarach? A może same drzewa wyrwą korzenie z ziemi i pomaszerują jako nasza armia?
– Kierujesz swój gniew w niewłaściwą stronę – zauważył Spartanin.
– Nie jestem twoim wrogiem.
– Ach! Czyli przyjacielem... Przedni dowcip.
Parmenion odwrócił się z irytacją. Z pewnej odległości przypatrywała się
im obu wysoka wieszczka. Jej głos wyszeptał w jego umyśle:
Obserwuje nas jeden z kapłanów Filipposa. Przełamał nasze pole ochron-
ne, słucha waszej rozmowy i przekazuje ją królowi-demonowi.
Spartanin w żaden sposób nie pokazał po sobie, że odebrał jej przekaz.
Odwrócił się ponownie do fechtmistrza.
– Wiem, że trudno ci w to uwierzyć, Attalosisie, ale powtórzę raz jeszcze.
Nie jestem twoim wrogiem. A tutaj, w tym strasznym miejscu, rzeczywiście
jestem twoim przyjacielem. Zostaniemy w okolicy jeszcze przez dwa dni,
potem wyruszymy na wschód drogą przez góry. Kiedy wyjdziemy z tego lasu,
od razu poprawi ci się nastrój. Twoje rozdrażnienie jest efektem zła,

które nas
otacza. Wierz mi.
– Wara od mojego nastroju, martw się o siebie! – syknął fechtmistrz.
Odszedł! – usłyszał w głowie głos Teny. – Gorgon go odprawił.
Strategos pochylił się ku Attalosowi.
– Uważnie mnie posłuchaj. Ze wszystkich stron czyhają na nas wrogowie i jeśli mamy przeżyć, musimy trzymać się razem. Uważasz mnie za swojego wroga? Może i faktycznie nim jestem. Tutaj wszakże muszę polegać na tobie, ty zaś musisz zaufać mnie. Bez tego nasze szanse... i tak marne...
obrócą się w pył. Obu nam zapowiedział śmierć Duch Chaosu.
Zdecydowałem się jednak zignorować jego groźbę. Nie zna przyszłości, więc zawsze pozostanę panem swego losu. Tak jak i ty... A co dwóch, to nie jeden.
Decyduj zatem. • • hmm... Czy mogę ci ufać?
.. Po cóż zadajesz to pytanie? I tak nie uwierzysz, jeśli odpowiem zgodnie z twoim życzeniem.
– Mylisz się, Attalosisie. Wypowiedz magiczną formułę, a uwierzę.
Fechtistrz uśmiechnął się ironicznie.
– No cóż, niech ci będzie... Możesz mi zaufać – rzucił oschle. – Zadowolony?
– Tak. Odpoczywamy dwie godziny, po czym ruszamy na południowy zachód.
– Ale powiedziałeś...
– Zmieniłem zamiar.
Nie ufaj jego słowom – rozległ się w głowie szept Teny, ale Parmenion ją zlekceważył.
Rozciągnął się na wilgotnej trawie i zamknął oczy. Tak jak powiedział, niemal zewsząd otaczali ich wrogowie. Nadchodzili z trzech stron, kierowani przez złowieszczą moc króla Makedonów. Spartanin dokonał szybkiego przeglądu sojuszników: centaur, umierający minotaur, kapłanka, zabójca o zdeformowanej osobowości i leśny król przesiąknięty złem.
Umysł wodza wypełniły ponure myśli. Wreszcie zasnął snem niespokojnym i pełnym dręczących wizji.
Attalos leżał, nie mogąc zasnąć. Miał mętlik w głowie. Groźba demona jątrzyła się w jego umyśle niczym ropiejąca rana. Przy swoich umiejętnościach mógłby bez problemu niepostrzeżenie przemknąć się przez obozowsko i poderżnąć chłopcu gardło. I po strachu, zagrożenie raz na zawsze zlikwidowane. Tyle że Aleksander był synem Filipa, jedyne go człowieka, na którego przyjaźni Attalosowi kiedykolwiek zależało.
„Nie potrzebuję przyjaciół” – powiedział sobie. Jednak słowa odbiły się echem w jego umyśle – mdłe i nieprzekonujące. Życie bez macedońskiego króla wydawało się nic nie warte. Filip był niczym słońce, był jedynym ciepłem, którego fechtmistrz zaznał od czasu dzieciństwa.
„Przecież nie musi wiedzieć, że to ja zabiłem jego dziecko”. Tak, ten pomysł był całkiem kuszący. Wywabić chłopca z obozu i zabić w ustronnym miejscu, łamiąc tym serce Filipa...
Kiedy fechtmistrz przewrócił się na bok, ciemność się rozstąpiła i wąskie Promienie księżyca przebiły się przez splecione konary. Rozległ się

ledwie
słyszalny dźwięk, jakby świst wiotkiej trzciny tnącej powietrze.
Podniósł
wzrok ku niebu i dostrzegł worgula opadającego z górnych gałęzi
wysokiej
sosny. Stwór wylądował bezgłośnie i ruszył ostrożnie ku s'piacemu
Aleksan-
drowi.
Attalos nie poruszył się. Worgul złożył skrzydła, pochylił się nad
dziec-
kiem i...
„No proszę – pomys'lał triumfalnie Macedończyk. – Oto rozwiązanie
wszystkich problemów!”
Szponiaste łapy maskary prawie zacisnęły się na szyi chłopca...
Fecht-
mistrz wbrew sobie rzucił się na pomoc, sztylet błysnął w księżycowej
poświacie, po czym zatonał w plecach worgula. Zwierzę wydało piskliwy
krzyk. Jedno skrzydło rozłożyło się, a drugie przyspilił mu do
grzbietu
sterczący sztylet. Gorgon zerwał się z legowiska i podbiegł do
worgula.
Umierające stworzenie plasnęło o ziemię rozwartą bezsilnie paszczą.
Parme-
nion i pozostali członkowie wyprawy, obudzeni agonálním charkotem
skry-
tobójcy, w milczeniu otoczyli truchło.
Fecht mistrz wyrwał sztylet z ciała worgula.
– Bądź ostrożny – mruknął beznamiętnie leśny król – jego krew jest
trująca. Jedna kropla i po tobie.
Attalos wbił ostrze w ziemię przy swoich stopach, wytarł je starannie
o kępę mchu i dopiero wtedy schował do pochwy.
Gorgon przewrócił worgula na plecy.
– Należał kiedyś do moich... – bąknął. – Pora ruszać.
– Uratowałeś mi życie – powiedział Aleksander. Podbiegł do fecht-
mistrza i spojrzał mu w twarz.
– Jesteś zaskoczony, mój książę?
– Tak – przyznał chłopiec.
– A ty? – prowokacyjnie spytał Attalos Spartanina.
Strategos potrząsnął głową.
– Dlaczego miałbym być zaskoczony? Czyż nie dałeś mi swego słowa?
– Słowa rozwiewają się w powietrzu jak dym – odparł mężczyzna
cicho. – Nie pokładaj zbytnej wiary w słowach.
– Gdybyś był równie cyniczny, jak ci się zdaje, nie kiwnąłbyś palcem
w obronie księcia – odparował wódz.
Attalos nie znalazł celnej riposty. Obrócił się na pięcie i wrócił na
swoje
posłanie. Podniósł płaszcz, którego używał jako koca, otrzepał go z
brudu,
zarzucił na ramiona i spiał turkusową broszą, którą otrzymał od
Filipa-
Pogardzał sobą. Wyrzucał sobie własną słabość. Jak mógł tak głupio
zaprze-
paścić szansę na pozbycie się chłopca?! Czuł się przybity i
skołowany.
Pozostali przygotowywali się do wymarszu – z wyjątkiem kapłanki,
która
siedziała w milczeniu pod rozłożystym dębem.
pełną napięcia ciszę przerwał Gorgon:
___ Trzymajcie się blisko mnie, ponieważ tam, dokąd zmierzamy, jest
bardzo ciemno i niebezpiecznie.
Tena nadal siedziała pod drzewem, więc Attalos poszedł sprawdzić, co się
dzieje.
___ Jesteśmy gotowi – oznajmił.

— Ja zostaję — wyszeptała.
— Przecież to czyste szaleństwo.
— Muszę.
Zauważywszy ociąganie się Teny, dołączył do nich Parmenion. Wieszcza zmierzyła go badawczym spojrzeniem.
— Ruszajcie już — powiedziała z wymuszonym uśmiechem. — Odnajdę was, jeśli mi się powiedzie.
— Powiedzie, co? — spytał z troską Spartanin, klękając obok niej.
— Muszę powstrzymać Makedonów i oszukać króla-demonia.
— Jak? — spytał z powątpiewaniem Attalos.
— A tak! — wyjaśniła, wskazując za siebie. Fechtmistrz i wódz posłusznie się odwrócili. Po drugiej stronie obozowiska zobaczyli... samych siebie śpiących przy płonącym jaskrawo ogniu. W pobliżu leżał także Gorgon, Kamiron i minotaur Brontes, do którego tulił się Aleksander. — Narzućcie ostre tempo, bo duch Filipposa niebawem powróci.
— Nie zgadzam się, narażasz się na straszliwe niebezpieczeństwo — oświadczył Parmenion.
— Wszyscy jesteśmy w niebezpieczeństwie — nalegała. — Idźcie już! Attalos uznał, że Spartanin nie ma nic więcej do powiedzenia, i chwycił go za ramię.
— Nie traćmy czasu i wykorzystajmy szansę. Musimy ocalić chłopca, pamiętasz? Idziemy! — Strategos zdjął rękę fechtmistrza ze swojego ramienia, jednak odszedł od Teny i stanął obok Gorgona.
— Ona ma wielką moc — zauważył leśny król, przyglądając się własnemu wizerunkowi oddalonemu kilkanaście kroków od niego.
Wódz nie odpowiedział.
Gorgon poprowadził ich w głąb lasu. Parmenion i Brontes szli tuż za nim, Attalos zamykał pochód.
Zgodnie ze słowami króla, szlak był mroczny, więc do świtu przeszli niewiele. Kiedy anemiczne światło brzasku przebiło się przez splecione gałęzie, nieco przyspieszyli. Ranek rozpoczął się w grobowej atmosferze — ani jedna ptasia pieśń nie powitała słońca.
Mniej więcej w połowie poranka nadal idący na przedzie kolumny Gorgon nagle zamachał ręką i rzucił się w zarośla. Mimo ogromnego cielska poruszał się z zaskakującą prędkością. Cała grupka błyskawicznie podążyła za nim.
Spartanin tak gwałtownie odciągnął Kamirona na bok, że kopyta centaury na moment niemal zawisły w powietrzu.
— Cicho! — syknął strategos, Z północy dotarły do nich hałasy wielu ludzi przebijających się przez zarośla. Fechtmistrz podczołgał się do linii krzewów i wyjrzał. Dostrzegł gromadę żołnierzy — wynurzali się z lasu zaledwie trzydzieści kroków od niego. Maszerowali gęsiego, włócznie nie- dbale trzymali na sztorc blisko ciała. Najwyraźniej nie spodziewali się ataku.
Po przejściu oddziału Gorgon wstał z kryjówki i grupa ponownie wyruszyła, kierując się na północ.
Parmenion podszedł do Attalosa.
— Ilu naliczyłeś? — spytał.
— Osiemdziesięciu pięciu. A ty?
— Tak samo. Zapewne przed nami jest ich jeszcze więcej. — Wódz zerknął ze strapieniem za siebie. — Mam nadzieję, że im uciekła. Attalos pokiwał tylko w milczeniu głową.

Derae siedziała w poświęceniu księżycowej, zatopiona w przygnębiających myślach. Coś jej mówiło, że właśnie rozpoczęła się ostatnia noc w jej życiu.

Aby zapewnić Parmenionowi przewagę czasu nad Makedonami, musiała wykorzystać resztkę swojej mocy, lecz zaklęcie działało tylko tu, na tej

polanie, gdzie lada chwila pojawia się wojownicy króla-demonia.

Noc była zimna, pnienie okolicznych drzew skąpane w srebrze. Na polanę wbiegł lis, którego przyciągnęło ścierwo worgula. Zwierzę ostrożnie obiegło

ciało potwora, lecz gdy pochwyciło w nozdrza zgniły smród rozkładu, dało

nura w zarośla.

Derae wzięła głęboki wdech. Złoty kamień był ciepły w jej ręku.

Oglądając

go, zachwyciła się nad jego pięknem i mocą. Podarował jej go

Arystoteles,

gdy stali w kamiennym kręgu.

– Czegokolwiek zapragniesz... czegokolwiek rozsądnego... kamień spełni twoje życzenie – powiedział jej wówczas. – Potrafi przemienić piasek

w wodę i na odwrót. Używaj go rozważnie.

Kamień stanowił niewielką bryłę złotej rudy, poprzecinaną regularnymi czarnymi liniami. Kiedy jednak utrzymywał zaklęcie, czarne kręgi tężały.

Moc bladła.

– Gdzie się dzięki niemu dostałeś? – spytała maga.

– W inny czas – odparł. – Zanim oceany połąkły Atlantydę. Później świat nieodwracalnie się zmienił.

Kapłanka zacisnęła kamień w pięści i spojrzała na drugą stronę

polany, na

miraż śpiącego strategosa. Z zaskoczeniem uzmysłowiła sobie, że znowu spędzili razem pięć dni. Pięć w Sparcie i pięć w Achai...

Wróciła myślami do tamtego lata z ich młodości. Oczyma wyobraźni znów ujrzała ogrody w posiadłości Ksenofonta nieopodal Olimpi, gdzie, komplet-

nie lekceważąc ryzyko wynikłe z naruszenia społecznych zakazów, spędziła

z parmenionem najwspanialsze chwile swojego życia. Hasali radośnie po łąkach, całowali się, poznawali swoje ciała, kochali. Pięć dni...

Najdłuż-

sze a równocześnie najkrótsze pięć dni z jej życia. Najdłuższe, ponieważ

wspomnienia tego okresu nadal w niej trwały, gdyż ciągle pamiętała każdą

namiętną chwilę, najkrótsze zaś z powodu ciężaru jałowych lat, które nastąpiły

po nich.

Sprawczynią nie kończącego się pasma cierpień, jakich doświadczyła Derae, okazała się wieszczka Tamis. A jednak kapłanka nie potrafiła jej za to

nienawidzić. Przecież ta stara kobieta miała prawdziwą obsesję na punkcie

jednego marzenia... marzenia o uratowaniu świata. Jej umysł całkowicie

opanowała misja, której wszystko poświęciła – przeszkodzić Bogu Mroku w narodzinach. Podążając ścieżkami wielu alternatywnych przyszłości, Ta-

mis odkryła tożsamość wszystkich mężczyzn, którzy mogliby zostać wyko-

rzystani przez Chaos do splodzenia demonia. Potrzebowała teraz jedynie niezwykłego wojownika – którego użyłaby jako broni przeciwko nim – wojownika Źródła.

Dla osiągnięcia upragnionego celu sprawiła, że Derae wyklęto w

Sparcie

i ze związanymi z tyłu rękoma wrzucono do morza jako rytualną ofiarę w pobliżu wybrzeża Troi. Gdy kochanek dowiedział się o losie dziewczyny,

zapłonął straszliwą nienawiścią, która odmieniła jego przeznaczenie i skiero-

wała go na drogę zemsty. Tamis obmyśliła doprawdy misterny plan, aby Parmenion wypełnił los, który mu wyznaczyła.

,3yłoby lepiej – pomyślała Derae – gdybym umarła w tym morzu".

Niestety, stara wieszczka uratowała ją, a potem latami więziła w świątyni,

napełniając jej głowę kłamstwami i półprawdami.

I po cóż to wszystko?

Spartanin zabił wszystkich potencjalnych ojców z wyjątkiem jednego. Samego siebie.

– Czas zapomnieć o tamtym życiu. Tęsknota mi go nie przywróci – oświadczyła głośno.

Zadygotała, kiedy strach wdarł się do jej umysłu. Zerknęła w górę ducho-

wymi oczyma i dostrzegła wizerunek Filipposa unoszącego się w powietrzu

ponad obozowiskiem. Jego złote oko wpatrywało się w nią intensywnie i czytało w jej myślach. Ponieważ skupiła się na wspomnieniach odległej

przeszłości, zagłuszyła wszelkie lęki dotyczące teraźniejszości.

Tymczasem

jego potężne oko penetrowało jej umysł niczym lodowaty wiatr.

W oddali usłyszała odgłosy skradających się przez las żołnierzy i trwoga

powróciła. Kobieta chciała zwilżyć wargi, lecz język miała zbyt suchy. Serce

zaczęło jej szaleńczo łomotać.

Właśnie w tym momencie poczuła podniecenie Filipposa przypatrującego się z góry śpiącemu dziecku. Derae zapłonęła gniewem. Odwołała zaklęcie

i z satysfakcją obserwowała szok, jakiego doznał król, gdy ciała zniknęły.

Wzniosła się ponad ciało i stawiała czoło Filipposowi.

– Uciekli ci – rzuciła.

Przez chwilę się nie odzywał, potem jego przystojną brodatą twarz roz-

świetlił uśmiech.

– Jesteś niesamowicie sprytna, czarownico. Ale przede mną nie ma ucieczki. Złapię ich prędzej czy później. Kim właściwie jesteś?

– Wrogiem – odparła.

– Potęgę człowieka ocenia się po randze jego wrogów, Derae. Gdzie jest

chłopiec?

Złote oko rozjarzyło się, na szczęście kapłanka zdążyła umknąć z powro-

tem do swego ciała. Zacisnęła ręce na chroniącym jej myśli złotym kamieniu.

– Naprawdę mam nadzieję, że zaznasz choć trochę rozkoszy przed śmiercią – odezwał się ironicznie król. – Znam moich ludzi, niezłe z nich

ogiery.

Żołnierze wypadli z krzewów i otoczyli polanę. Derae wstała i czekała na

śmierć. Czuła teraz całkowity spokój.

Dwóch wojowników podbiegło do niej i chwyciło ją brutalnie za ramiona,

trzeci stanął przed nią.

– Gdzie są? – spytał. Prawą ręką złapał ją za gardło, jego palce wbiły

się w jej policzki.

– Tam, gdzie ich nie znajdziesz – odparła zimno. Puścił ją, po czym uderzył otwartą dłonią. Cios rozciął jej wargę.

– Radzę ci zmadrzeć, bo gorzko tego pożałujesz – ostrzegł ją.

– Nie mam ci nic do powiedzenia.

Powoli wyciągnął sztylet.

– Powiesz mi wszystko, o co poproszę – warknął.

– Mylisz się i to bardzo.

Przysunął sztylet bliżej jej szyi.

– Powiesz mi wszystko, co chcę wiedzieć – zapewnił ją zdecydowanym głosem. Twarz mu poczerwieniała. – Jeśli nie teraz, to za jakiś czas.

– Drugą

ręką objął szyję kapłanki. Sztyletem przeciął materiał tuniki, potem rozdarł

ją, obnażając piersi i brzuch kobiety. Schował ostrze do pochwy i położył obie

ręce na jej ciele. Zaczął ją oblesnie obmacywać, po czym próbował rozsunąć

jej nogi.

Umysł Derae zalała falująca żądza otaczających ją ze wszystkich stron mężczyzn. Żołnierz szeptał jej w ucho sprośne słowa.

Przez całe dorosłe życie podążała ścieżką Źródła. Była przekonana, że raczej umrze, niż kogoś zabije. Jednak brudne łapska tego żołdaka kalające

jej ciało sprawiły, że nie czuła się już kapłanką. Całe lata nauk, medytacji,

oddania i poświęcenia Sprawie... Stała się ponownie dumną Spartanką.

w końcu płynęła w niej krew rasy niewyciężonych wojowników...

Gwałtownie podniosła głowę i spojrzała mu w oczy.

.__ Umrzyj – szepnęła. Oczy mężczyzny rozszerzyły się. Kamień w rękę Derae rozgrzał się. Przez chwilę żołnierz łapczywie chwycił powietrze, po

czym upadł w tył. Krew trysnęła mu z oczu, uszu, nosa i ust.

– To wiedźma! – krzyknął ktoś, gdy ciało oficera osunęło się bez życia

na ziemię. Wojownicy trzymający kapłankę zacisnęli uchwyt na jej ramio-

nach, lecz Derae podniosła ręce, które przeobraziły się w syczące kobry.

Żołnierze natychmiast odskoczyli. Kapłanka obróciła się na pięcie i wycelo-

wała w nich węże. Z paszcz kobr wystrzeliły błyskawice i powaliły obu mężczyzn.

Obróciła się ponownie, tym razem w stronę pozostałych wojów, którzy natarli na nią z obnażoną bronią. Błysk jaskrawego światła przeszedł przez

polaną, oślepiając żołnierzy, którzy zaczęli się potykać ze strachu o siebie

i padać na ziemię jeden po drugim.

W panującym zamieszaniu Derae opuściła obozowisko i zniknęła w lasie.

Szła w milczeniu na południe. Mocniej otuliła nagie ciało płaszczem.

Drzewa były tu rzadsze, toteż gwiazdy jasno lśniły nad jej głową.

Kapłanka

poruszała się ni to truchtem, ni to szybkim marszowym krokiem.

Podążała

ścieżką, która opadała do koryta mrocznego strumienia spływającego po czarnych kamieniach.

Za sobą słyszała coraz odleglejsze krzyki makedońskich wojowników,

wiedziała, że już jej nie schwytają. Błądziła w ciemnościach, nie wiedząc,

w którym kierunku zmierza.

Uprzytomniła sobie, że za dnia byłaby w nieporównanie trudniejszej

sytuacji. W blasku słońca Filippos wysłałby worgule, które

penetrowałyby las

z góry. Noc wszakże należała do niej! Zastawiła na wroga pułapkę, zwiódła go i zabiła... Przynajmniej jednego człowieka. Ruszyła biegiem. W jej ciele szalała dzika radość, która napełniała ją siłą. Nagle zachwiała się i zwolniła. „Zabiłam człowieka!!!” Radość zniknęła. Zastąpiło ją paraliżujące przerażenie. „Kim, czym się stałam?” – zapytała się z trwogą. Przyjrzała się mrocznym koronom drzew. Jej duch wzdrygnął się przed niechęcią lasu. W tym miejscu panowało wszechogarniające zło. To ono było odpowiedzialne za jej czyn. To ono zniweczyło lata poświęceń... Upadła na kolana i modliła się o wybaczenie. Wysyłała swe myśli w przestrzeń, w próżnię i poza nią. Poczowała, jak odbijają się echem w ogromnej pustce. Z pozoru nikt ich nie słyszał i na pewno nikt na nie nie odpowiadał. Wstała znużona i podjęła wędrówkę na południe. Przysięgła sobie, że nigdy już więcej nikogo nie zabije, i postanowiła dotrzymać tej przysięgi do końca życia. Nigdy nikogo nie zabije! Rankiem trzeciego dnia po rozstaniu z kapłanką Parmenion obudził się i ujrzał Gorgona klęczącego nad uśpionym Brontesem. Minotaur nie poruszał się i leśny król delikatnie położył rękę na piersi brata. Spartaninowi niemal zamarło serce. Przez ostatnie dwa dni Brontes szedł z trudem i często się potykał. Nie chciał rozmawiać, oczy miał szkliste i przekrwione, kończyny zaś ciężkie niczym ołów. – Dasz radę, dojdiesz – zapewniał go strategos poprzedniego dnia po południu. Jednak minotaur nie odpowiedział: ogromna bycza głowa opadła mu na pierś, spojrzenie utkwił tępo w ziemi. Uciekinierzy wcześniej rozbili obóz, ponieważ Brontes nie był w stanie dotrzymać kroku reszcie... Parmenion wstał i podszedł do Gorgona. – Nie żyje? – spytał. – Żyje jeszcze. Ale to chyba kwestia godzin – odparł smętnie król. Spartanin również klęknął przy minotaurze. Krew ciekła stworzeniu z obu nozdrzy. Ledwo oddychało. – Jak możemy pomóc? – spytał Spartanin. – Nie możemy – chrząknął Gorgon. – Kiedy wyjdziemy z lasu? – Nie prędzej niż pojutrze. – Niezależnie od obranego kierunku? – naciskał wódz. Król potrząsnął głową. – Niekoniecznie. Gdybyśmy się udali bezpośrednio na wschód, znaleźlibyśmy się na skraju lasu wcześniej. Wtedy jednak czekałby nas dzień marszu nad morze. Tyje że wyszlibyśmy w pobliżu miasta Kalidon w królestwie Etolii. Władca tej krainy jest wasalem Filipposa, w Kalidonie zaś stacjonuje jego wojsko w sile ponad trzystu chłopów. Będą pilnie obserwować las. – Poniósłbyś Brontesa? Gorgon przekrzywił ogromną głowę, jego palce zacisnęły się na płaszczu Parmeniona. Przyciągnął mężczyznę do siebie.

– Oszalałeś?! Dla waszych mrzonek porzuciłem swoje królestwo. Większość moich poddanych zwróciła się przeciwko mnie. Po co? Żeby zabrać złotowłose dziecko do Portalu Giganta. Uwierzyłem wam. A teraz chcesz zaryzykować wszystko dla niego?! – spytał, wskazując na umierającego brata.

__ Nie, wcale nie zamierzam ryzykować. Jednak... strzegący lasu żołnierze nie mogą być przecież wszędzie. Poza tym istnieje jeszcze inna kwestia, Gorgonie – dodał łagodnie. – Przyjaźń. I lojalność. Brontes świadomie oświecił swe życie, decydując się na tę wyprawę. Mam wobec niego dług, a ja zawsze spłacam swoje długi.

__ Ha! A gdybym to ja tu leżał? Też zaryzykowałbyś dla mnie swoje życie?

__ Tak.

Król puścił go i uśmiechnął się. Jego jasne oczy rozjarzyły się. Strategos nie potrafił nic wyczytać z jego twarzy.

__ No cóż, wierzę ci. Rzeczywiście jesteś głupcem... Podobnie jak minotaur. Czemu więc nie mielibyśmy popełnić kolejnego szaleństwa? W końcu,

co za różnica, jedno mniej czy więcej. Jesteś człowiekiem honorowym i podbiłeś tym moje serce: będę niósł Brontesa aż do rana. – Podniósł brata niczym

piórko i przerzucił sobie jego ciało przez ramię.

Parmenion zbudził resztę grupy i wkrótce ruszyli za Gorgonem na wschód. W ciągu godziny drzewa przerzedziły się i z oddali rozległy ptasie

trele. W końcu dotarli na skraj lasu. Znaleźli się na stoku górującym ponad obwarowanym miastem.

Król położył delikatnie minotaura na trawie i się odsunął. Spartanin klęknął obok leżącego i musnął palcami jego ramię.

– Słyszysz mnie, przyjacielu? – wyszeptał.

Brontes cicho jęknął i otworzył oczy. Krew popłynęła spod powiek karmazynowymi łzami.

– Zbyt... późno.

– Nieprawda. Skup się, użyj całej siły, jaką posiadasz. Spróbuj! Minotaur zamknął oczy, gdy podszedł do niego Gorgon.

– Odejdź, królu. Chory potrzebuje odosobnienia. Słońce go wzmocni. Czuję, że nie cała magia wygasła. W pobliżu Brontesa mrowią mnie stopy,

więc jest nadzieja.

Parmenion oddalił się w cień drzew, odwracając oczy od ciała na trawie.

– Przeżyje? – spytał Aleksander, biorąc Spartanina za rękę.

– Tak, ale musi sam tego chcieć – wyjaśnił wódz.

– Jestem bardzo głodny – powiedział nagle Kamiron. – Czy wkrótce będziemy jedli?

– Wszyscy jesteśmy głodni – odburknął Attalos. – Przestań więc narzekać!

– Upoluję coś – oznajmił centaur. Zanim ktokolwiek zdążył go powstrzymać, z łukiem w ręku pogalopował po stoku w dół. Kierował się na

Południowy wschód.

– Wracaj! – wrzasnął w końcu oniemiały postępkami centaura Parmenion, lecz Kamiron już go nie słyszał. Biegł, doskonale widoczny przez

strażników patrolujących mury Kalidonu. W ciągu kilku minut bramy się otworzyły i z miasta wyjechał dziesiątek konnych. Rozpoczął się pościg za centaurem.

– Przynajmniej odciągnął ich od nas – zauważył cynicznie Attalos. Parmenion nie odpowiedział. Zerknął na Brontesa i stał się świadkiem przemiany. Ciało minotaura było skapane oślepiającym światłem słońca, w którym skóra stworzenia połyskiwała niczym złoto. Wielka głowa kurczyła się, rogi znikwały. Brontes zgiał ramię i stęknął. Światło zaczęło słabnąć. Gdy Spartanin i leśny król podeszli do niego, był już złotowłosym młodzieńcem, przystojnym i błękitnookim.

– Dziękuję ci, Parmenionie – odezwał się, chwytając strategosa za rękę.

– Podziękuj raczej Gorgonowi – odparł wódz. Pomógł Brontesowi wstać. – To on cię tutaj przyniósł.

– Nie wątpię, że miał swoje powody – odrzekł minotaur.

– Wręcz przygniata mnie twoja wdzięczność, bracie – mruknął złośliwie król. Węże na jego czaszce syczały i obnażały kły. Odwrócił się do Parmeniona. – Musimy iść dalej. Nie zamierzasz chyba ratować centaury? Chociaż powiedz słowo, wodzu, a otoczę dla ciebie to miasto. Spartanin uśmiechnął się.

– Nie ma takiej potrzeby. Prowadź!

– Ależ nie możemy zostawić Kamirona – lamentował Aleksander.

– Nie zdołamy mu pomóc, książę – odparł ze smutkiem strategos. Mroczny cień zamigotał na trawie. Gorgon spojrział w niebo. Przez chwilę wysoko ponad nimi krążył worgul, następnie odleciał ku północy.

– Widzicie – rzekł król. – Musimy pędzić co tchu nad morze. Na południowy zachód maszerowali bardzo powoli. Od kilku dni odżywiali się jedynie kwaśnymi jagodami, grzybami o paskudnym smaku, pijąc słoną wodę zalegającą cuchnące sadzawki. Parmenion był coraz słabszy, a Attalos dwukrotnie wymiotował. Jedynie Gorgon nie tracił sił, nieustrudzenie pokonując drogę wielkimi susami z chłopcem na ramionach. O zmroku rozbili obóz pod nawisem skalnym. Król zezwolił na rozpalenie ogniska, które ogromnie podniosło obu wojowników na duchu.

– Kiedy pokonamy zatokę, ile czasu zajmie nam droga do Sparty? – spytał Parmeniona fechtmistrz.

– Gdybys'my znaleźli gdzieś konie, to jeszcze trzy dni – odparł strategos.

– Dlaczego właściwie kierujemy się do Sparty? – wtrącił Gorgon. – Dlaczego nie zmierzamy wprost do portalu?

– W Sparcie mam nadzieję spotkać przyjaciela – powiedział wódz. – Magusa o potężnej mocy.

— Oby faktycznie miał wielką moc, w przeciwnym razie Sparta niezadługo stawi opór Filipposowi. Jeszcze przed twoim wejściem do mojego lasu worgule wspominały mi, że Makedonowie idą na południe. Karynt już się opowiedział po stronie króla-demonów. Kadmos został pokonany i zniszczony. Tylko jedna armia walczy jeszcze przeciwko Filipposowi. Ale Spartanie go nie pokonają. Ich polis może upaść, zanim przekroczyliśmy zatokę.

— Jeśli tak się stanie – odparł wódz – wtedy ruszymy prosto do Portalu Giganta. Sądzę jednak, że tyranowi nie pójdzie tak łatwo ze spartańską armią. Spartanin ocknął się z lekkiego snu w środku nocy. Ogień migotał, jednak

w zaroślach usłyszał jakieś szmery. Wyciągnął miecz i dyskretnie obudził Attalosa. Razem ruszyli w stronę niebezpieczeństwa. Nagle rozsunęły się krzewy i do obozowiska wpadł Kamiron z martwą łanią na ramionach. Dostrzegł obu wojowników i posłał im szeroki uśmiech.

– Jestem wielkim myśliwym – obwieścił triumfalnie. – Zobaczcie, co przyniosłem!

Gorgon opuścił obozowisko i skierował się na wschód. Attalos wziął łanię, oprowił ją ze skóry i nadział najwyborniejsze kawałki na ostrze miecza. Po kilku minutach powietrze wypełniło się aromatem mięsiwa pieczonego nad świeżo rozpalonym ogniem.

– Przysięgam na Zeusa, że nigdy nie czułem wspanialszego zapachu – szepnął fechtmistrz, uparcie wpatrując się w tłuszczyk kapiący w płomienie.

– Świetnie się sprawiłeś – pochwalił centaura Aleksander. – Jestem z ciebie dumny. A co się stało z mężczyznami, którzy cię ścigali?

– Nikt nie jest szybszy od Kamirona – odparł wyniośle. – Biegłem, aż ich konie się spieniły, potem skręciłem na zachód. Potężny jest Kamiron.

O tak! Żaden jeździec nie potrafi go dogonić.

Mięso było twarde i żylaste, jednak nikt nie narzekał. Parmenion jadł i czuł, że siła wraca w jego mięśnie. Pożarł trzy porcje, zlizując tłuszczyk z palców.

– Zdajesz sobie sprawę – mruknął wesoło Attalos, kładąc się na plecach z pełnym brzuchem – że w Macedonii wychłostalibyśmy myśliwego, który sprzedałby nam tak kiepskie mięso?

– Oczywiście – odparł rażno Spartanin. – Ale czyż mimo tych przerostów nie było doskonałe?

– Wręcz cudowne – rozmarzył się fechtmistrz.

– Faktycznie, cudowne – oświadczył kwaśno leśny król, wyłaniając się z ciemności. – Dzięki tej łani centaur zostawił za sobą krwawy trop, po którym nawet ślepiec może do nas trafić. A Makedonowie zapewne są już na tyle blisko, że wyczuli unoszący się w powietrzu zapach pieczonego mięsa.

– Wziął księcia w ramiona i ruszył na południe.

– Żle zrobiłem? – spytał nerwowo Kamiron. Parmenion poklepał go po barku.

– Musimy coś jeść – odparł. – Dobrze zrobiłeś.

– Dobrze? Na pewno dobrze? – krzyknął radośnie centaur. Najwyraźniej wracała mu pewność siebie.

Pokrzepieni towarzysze wyruszyli nocą. Jeszcze przed świtem dotarli do ostatniego rzędu wzgórz nad Zatoką Karyncką. Wojownicy Filipposa deptali im po piętach. Strategos dwukrotnie dostrzegł za sobą światło księżyca odbijające się od zbroi lub czubków lanc. Gdy wyszli z lasu, Gorgon chwycił sterczący korzeń drzewa, rozerwał go na dwoje i podniósł nad głowę. Stojąc nieruchomo jak posąg, zaczął śpiewać w języku nie znanym Macedończykom.

– Co on robi? – spytał Brontesa Parmenion.

– Wywołuje zło z lasu – odparł młodzieniec, po czym ruszył na szczyt wzgórza, by stamtąd rozejrzeć się po oświetlonym luną świtu morzu. W końcu leśny król przerwał śpiew i z korzeniem w ręku dołączył do

byłego minotaura. Razem schodzili na plażę. Czekala ich długa droga. Pozostali podążyli za nimi. Kamiron miał kłopoty na stromej ścieżce. W pewnym momencie potknął się, zsunął i wpadł na Brontesa, zwalając go z nóg. Parmenion i Attalos podeszli do centaury z obu stron, wzięli go pod ręce i podtrzymywali przez resztę drogi. W końcu znaleźli się na brzegu. Wysoko ponad nimi pojawili się pierwsi żołnierze.

– Co teraz? – zapytał niepewnie Attalos. – Płyniemy?

– Nie – odparł Gorgon i znowu podniósł nad głowę korzeń drzewa. Zamknął oczy i ponownie odśpiewał pieśń. Spartanin spojrział z ciekawością na klifową ścieżkę. Ponad stu makedońskich wojowników powoli schodziło po zdradzieckiej pochyłości. Nieoczekiwanie z korzenia wydobył się dym. Popłynął nad morzem i opadł na fale. Woda mocno pociemniała i zaczęła wrzeć, na powierzchni unosiły się żółte gazy, wybuchając płomieniem. Po chwili z ciemnych fal podniosła się stara trirema o zgniłym kadłubie i strzępach zamiast żagli. Podpłynęła do brzegu. Parmenion przełknął z trudem ślinę, patrząc, jak statek tnie powierzchnię wody. Przy wiosłach siedziały szkielety, a na pokrytych grubą warstwą muszli pokładach leżały gnijące zwłoki. Spartanin odwrócił się. Makedonowie byli już prawie w zasięgu strzału z łuku. Statek osiadł na mieliźnie w pobliżu grupki podróżników. Z górnego pokładu wysunęła się kładka i uderzyła w piasek.

– Jeśli chcecie żyć, wspinajcie się na pokład! – zawołał Gorgon, stawiając Aleksandra na dziurawym trapie. Strategos i Attalos podążyli za dzieckiem, potem po deskach wcałował Kamiron. Jego kopyta tonęły w oślizgłym drewnie. Trirema ruszyła z prądem wody. Wojownicy Filipposa stali na plaży, zniechęceni z przerażenia i wstrętu. Niektórzy otrząsnęli się z szoku i wysłali ku statkowi serię strzał i włóczni, większość jednak po prostu patrzyła, jak statek śmierci znika w szarej mgłę opadającej na ciemne, nocne morze. Na widok nadchodzących żołnierzy Derae ukryła się za pniem ogromnego dębu. Morze było tak blisko, a jednak nieprzyjaciel zagradzał jej drogę.

Badawczo przyjrzała się wierzchołkom klifu, szukając sposobu omińnięcia Makedonów, niestety wojownicy rozciągnęli się w tyralierę i obstawili wszystkie ścieżki na plażę. Czuła irytację. Doszła aż tutaj i... dalej ani rusz. Udało jej się uniknąć wielu patroli przeszukujących las i znaleźć się nad zatoką niemal równocześnie z Parmenionem i resztą grupy. Cofnęła się głębiej w las i pędziła na zachód tak długo, aż znalazła się w bezpiecznej odległości. Wtedy skręciła i pobiegła wzdłuż klifów, wypatru-

jąc drogi prowadzącej w dół w stronę morza. W niektórych miejscach
całkiem
niedawno morze wyrwało duże partie skalnej ściany. Ścieżek nie było.
Derae
zwolniła, potem wyjrzała ponad urwiskiem. Szukała jakiegoś
zaczepienia dla
rąk, występów skalnych, dzięki którym mogłaby się opuścić niżej i
zejść. Nie
znalazła jednakże bezpiecznej drogi.
– Tam jest czarownica! Widzę ją! – rozległ się krzyk.
Derae obróciła się i zobaczyła kolejnych żołnierzy. Wybiegali właśnie
z lasu. Rozproszyli się, starając się odciąć jej drogę ucieczki.
Odróciła się
do lica klifu i spojrzała na fale wściekle uderzające w kamienisty
brzeg.
Wzięła głęboki wdech, rozwiązała rzemyki płaszcza i stanęła naga na
szczy-
cie urwiska.
Momentalnie rzuciła się w dół. Niech się dzieje, co chce. Jej ciało
wygię-
ło się w łuk, po czym zaczęło spadać. Dla równowagi rozłożyła
ramiona.
Mimo to czuła, że traci kontrolę nad ciałem i z całych sił starała
się opanować
lot, kierując głowę w dół. Morze i skały zbliżały się w zaskakującym
tempie,
choć jednocześnie wydawało jej się, że leci bardzo długo. W ostatniej
chwili
złożyła ręce nad głową i plusnęła zgrabnie w wodę. Siła uderzenia
wydusiła
całe powietrze z jej płuc, na szczęście ominęła skały i zanurkowała
głęboko
pod fale, mocno uderzając w piaszczyste podłoże. Podciągnęła nogi pod
siebie, wybiła się i ruszyła ku powierzchni. Płuca o mało jej nie
rozsadziły.
W górę, w górę, w górę... Wznosiła się ku iskrzącemu ponad nią
światłu.
„Umrę!” Ta paniczna myśl dodała jej sił i kąpielniczka jeszcze mocniej
starała
się wznieść. Kiedy wyłoniła się na powierzchnię wody, wzięła tylko
szybki
wdech, zanim fala ponownie ją przykryła i lekko pchnęła na skałę.
Kobieta
uspokoiliła się. Płynęła pod wodą, wznosząc się i opadając. Czasem
pozwalała
posiniaczonemu ciału łagodnie unosić się z prądem. Przez chwilę czuła
się
bezpieczna, wolna od nacierających na nią fal. Tuż obok niej wodę
przebiła
włócznie, za nią dziesiątek strzał. Derae zanurkowała pod
powierzchnię
i popłynęła dalej w morze, ku gęstej, białej mgłę, która wydawała się
wysą-
czać spod fal.

Dostrzegła statek śmierci. Ślizgał się po falach.
– Parmenionie! – zawołała. – Parmenionie!
Spartanin zobaczył ją i – co niewiarygodne – widmowy statek zwolnił,
a jego popękany dziób obrócił się ku niej. Kiedy się zbliżył,
wyciągnęła rękę
w górę i chwyciła wiosło, które poruszyło się gwałtownie, spychając
ją
z powrotem pod fale. Gdy ponownie wypłynęła na powierzchnię,
zobaczyła,

jak Parmenion skacze przez lewą burtę statku. Później przytrzymał się wiosła i wyciągnął rękę ku kobiecie. Złapała go za nadgarstek i w następnej chwili poczuła, że mężczyzna jej życia uwalniając z morskiej toni. W końcu stanęła na balustradzie, stopami miażdżąc gnijącą czaszkę, która pękła i stoczyła się w wodę. Na szczęście, strategos był tuż obok. Otoczył ją ramieniem, przytulił i pocałował czule w czoło.

– Cieszę się, że cię znowu widzę – oświadczył.

– Widzisz zbyt wiele – jęknęła wstydliwie. Odwróciła się i weszła na pokład.

Attalos zdjawszy płaszcz, otulił nim jej ramiona.

– Witaj z powrotem, pani – zagaił. – Niecierpliwie cię wyglądaliśmy.

– Dziękuję za troskę, mój drogi. – Ciepło jego powitania szczerze ją zaskoczyło. Odwzajemniła uśmiech. Parmenion przeskoczył przez poręcz i już miał przemówić, kiedy rozległ się głos Gorgona:

– Na zachodzie widzę okręt! To trirema!

Wszyscy podbiegli do burty i zapatrzyli się na podpływający okręt. Był prawie czterdzieści długości za nimi, ale wszystkie trzy rzędy wioseł zanurzały się gładko w wodę, toteż trirema zbliżała się niezwykle szybko.

– Fascynujący okręt – rzucił fechtmistrz do Derae. – Widzisz spiżowy taran na dziobie? Jest groźniejszy dla kadłuba statku niż niejedna rafa.

– Damy radę im umknąć? – spytał Parmenion leśnego króla. Gorgon zachichotał i wskazał na otaczające ich kościotrupy.

– Moja załoga miała już lepsze dni – odparł. – Ale cóż, zobaczymy, co się da zrobić.

Spod pokładów wydobył się straszliwy jęk. Wiosła podniosły się i zanurzyły w wodzie. Fecht mistrz spojrział za burtę. Dostrzegł szkieletowe ręce trzymające zgniłe drewno. Statek śmierci przyspieszył, ale nie na tyle, by uciec ścigającej go triremie.

– Skręt w lewo! – zawołał Spartanin.

Szkielet przy sterze przetoczył się na prawo, a w ślad za jego ruchem statek śmierci skręcił w lewo. Trirema prześlizgnęła się obok nich, wiosłarze desperacko szarpali za wiosła. I nagle wrogi okręt ich staranował, „zabijając” dwudziestu albo i więcej wiosłarzy-widma... Pękali niczym spróchniałe pałki.

Z pokładów triremy błysnęły strzały. Parmenion rzucił się ku Derae i pociągnął ją na pokład. Grot strzały odbił się od hełmu fechtmistrza. Statki ponownie się rozdzieliły. Mgła wokół nich zgęstniała. Statek śmierci wślizgnął się w widmową chmurę.

Przez mniej więcej godzinę płynęli w całkowitym milczeniu. Słuchali krzyków wroga, którego szukali po osłoniętej całunem mgły morzu. W pewnym momencie niebo nad nimi pociemniało, błyskawica przecięła niebo, dźwięk grzmotu z hukiem uderzył w zatokę.

Zaczął padać deszcz. Statek śmierci zwalniał...

– Moja moc słabnie – zwierzył się Gorgon. – Wkrótce nasz statek rozpadnie się i zatonie... po raz drugi i ostateczny.

Znajdowali się niecałą milę od ład. Niestety, sztorm działał przeciwko

nim.

Nieoczekiwanie burzowy wiatr rozproszył mgłę. Kiedy Parmenion zerknął za siebie, dostrzegł triremę w całej okazałości. Błyskawica zaświeciła jeszcze raz, odbijając się od spiżowego tarana na dziobie nieprzyjacielskiego okrętu, który pędził ku nim z szaleńczą prędkością.

Aleksander kulił się na smaganym wiatrem pokładzie. Trzymał się mocno drewnianego masztu, a statek śmierci podnosił się i opadał na falującym, szarpanym sztormem morzu. Ze swego miejsca chłopiec dostrzegał jedynie podrzucany przez rozszalałą wodę ogromny dziób ścigającej ich triremy.

Ogromna fala uderzyła nagle w statek śmierci i część górnego pokładu załamała się pod jej ciężarem. Kamiron wypuścił z rąk popękany maszt i zaczął się zsuwać ku rozszalałym falom. Księżę krzyknął, lecz w ryku burzy nikt go nie usłyszał. Widząc centaury w niebezpieczeństwie, Brontes rzucił się ku niemu przez smagany deszczem pokład i złapał stworzenie za rękę.

Przez chwilę księżę sądził, że minotaurowi uda się uratować przyjaciela, ale statek straszliwie się zakołysał, poddając się uderzeniu drugiej fali, która zmyła obu z pokładu.

Aleksander spróbował wstać i pójść do tkwiącego na rufie Parmeniona, poślizgnął się jednak i omal nie puścił masztu. Podbiegła do niego Tena

i mocno go przytrzymała.

– Kamiron zniknął! – lamentowało dziecko. Kapłanka pokiwała głową, nic jednak nie odrzekła. Kolejny fragment pokładu – blisko dziobu –

wpadł do morza.

Chłopiec usiłował mentalnie zlokalizować centaury.

Na początku miał w głowie pustkę, potem wszakże jego umysł wypełniła najśłodsza muzyka, jaką kiedykolwiek słyszał. Wysokie, radosne tony zagłu-

szwały wszelkie myśli związane z Kamironem. Statek drżał, zgniłe drewno

stękało pod zaciekłymi atakami sztormu, a księżę słyszał jedynie eteryczna

pieśń dochodząca spod wody. Przez jakiś czas pozwalał muzyce rozbrzmie-

wać w głowie, czekając, aż jego mocją przetłumaczy. Odczytywanie tonów

przekraczało jednakże jego umiejętności. Muzyce nie towarzyszyły słowa,

a tylko emocje: cała gama radości i upojenia szczęściem. Aleksander skupił

się na ustaleniu jej źródła, lecz dźwięk dochodził z równą siłą ze wszystkich

stron jednocześnie. Zazwyczaj chłopiec potrafił zlokalizować każde ptaszę

śpiewające wśród drzew. Tyle że ptaki były jednostkami, natomiast ta muzyka

wydawała się zupełnie inna. Jakby śpiewacy byli empatycznie połączeni.

Właśnie w tej chwili statek śmierci zatonął. Woda wlewała się przez wszystkie otwory. Pokład pękł na połowę, morze zaryczyło wokół dziecka

i kapłanki. Księżę musiał oderwać ręce od masztu.

Kobieta spróbowała chwycić chłopca mocniej. Jednak statek przechylił

się
i oboje wpadli do wody. Aleksander czuł, że morze stara się nim
zawładnąć,
jednak nie poddawał się, gdyż muzyka wypełniała mu całą duszę.
Kiedy przykryły go fale, poczuł obok siebie miękkie, osobliwie ciepłe
ciało. Wypychało go na powierzchnię. W końcu chłopiec znalazł się nad
wo-
da i wziął potężny haust powietrza. Machał rękoma, by utrzymać się na
po-
wierzchni. Ciemnoszara forma wynurzyła się obok niego, na jej
grzbiecie
dostrzegł wygiętą płetwę. Chwycił się tej płetwy i kurczowo do niej
przywarł.
Delfin trzepnął ogonem i popłynął ku odległemu brzegowi. Melodia jego
pieśni nadal wypełniała umysł dziecka i koła wszystkie jego lęki.
Taran na dziobie triremy trzasnął w drewnianą rufę statku śmierci.
Siła
uderzenia zrzuciła Spartanina z nóg. Ślizgając się przez zalewany
deszczem
pokład, mężczyzna złapał kawałek balustrady i próbował wstać.
Zobaczył
Gorgona, który cisnął korzeń drzewa wysoko w powietrze. Sztormowy
wiat
uniósł drewno ku pokładowi triremy.
Połączone ze sobą dwa statki bezwładnie poddały się żywiołowi.
Wiośla-
rze na triemie wiosłowali zawzięcie, starając się oderwać od
przeklętego
statku. Jednak magia, która dotąd utrzymywała statek śmierci na
wodzie,
zniknęła i przesiąknięte wodą deski obciążały okręt, ciągnąc jego
dziób w dół.
a rufę wypychając coraz wyżej nad wodę.
Statek śmierci przewracał się, wciągając Parmeniona w topiel, on
jednak
trzymał się mocno lewą ręką pokładu, natomiast prawą usiłował rozpiąć
napierśnik. Wiedział, że nie będzie w stanie płynąć z takim ciężarem.
Potężna
fala uderzyła w pokład, wypychając tym razem wodza za burtę.
Impet uderzenia zdarł mu hełm z głowy, pozostawiając pancierz, choć
wisiał ledwie na kilku rzemieniach. Mężczyzna próbował zachować
spokój.
wyjął sztylet i przeciął ostatnie rzemyki. Zbroja opadła, gdy kilka
razy
energicznie poruszył ramionami. Kiedy wypłynął na powierzchnię,
zauważył,
że oba statki znikają pod falami.
Po swojej prawej stronie przez chwilę widział Attalosa. Fechtmistrz
de-
speracko walczył, by utrzymać głowę nad wodą, po czym zniknął w
odmętach.
Strategos puścił sztylet i szybko podpłynął do towarzysza. Attalos
nadal
był w pełnym rynsztunku i woda wciągała go zdradziecko. Spartanin
zanur-
kował. Dzięki energicznym ruchom nóg szybko przybliżał się do
tonącego
fechtmistrza.
Wokół panowały upiorne ciemności, ale gdy na mgnienie oka błyskawica
rozjaśniła niebo, wódz dostrzegł nadal walczącego z wodą
Macedończyka.
Chwycił go za naramiennik i popłynął wraz z mężczyzną ku powierzchni.
Ciśnienie o mało nie rozerwało płuc, na szczęście w chwilę później
zdołał się

wynurzyć. Attalos wyłonił się obok niego, jednak natychmiast zaczął tonać pod ciężarem napierśnika. Parmenion zanurkował ponownie, szukając sztyletu, który fechtmistrz nosił na lewym biodrze. Na szczęście, znalazł broń; była na swoim miejscu. Wyciągnął ją i przeciął rzemienie napierśnika. Sztylet okazał się ostry jak brzytwa i mokra skóra natychmiast się rozstała. Attalos zanurzył głowę, zrzucając pancerz. Wolny od balastu, znalazł się w końcu na powierzchni. Następną falą uniosła wysoko obu wojowników i strategos dostrzegł odległą linię brzegową. Płynął powoli, nie chciał bowiem zbyt szybko tracić sił. Kierował się ku plaży. Czasami pozwalał prądowi nieść się ku brzegowi. Nie oglądał się za siebie, nie wypatrywał fechtmistrza, nie zastanawiał się nad losem księcia i innych osób. Walczył samotnie z potęgą morza i sztormu. Całkowicie skoncentrował się na jednym celu. Pragnął przeżyć! Za wszelką cenę!

KSIEGA TRZECIA

352 rok p.n.e.

Klify Arkadii

Ektalis siedział z dala od swoich ludzi pod małym nawisem skalnym i wpatrywał się w deszcz. Wielkie krople spadały kaskadą na szary kamień. W kryjówce Ektalisa było w miarę sucho, choć od czasu do czasu wiatr nawiewał strugi wody, które zalewały oficerowi gołe stopy i zaciekaly pod spżowe nagolenniki. Gdy tak obserwował ponuro chłostaną sztormem zatokę, nachodziła go ochota, by znaleźć się z powrotem w Karyncie wraz

z żoną i synami. I to zaraz.

Zerknął w lewo, gdzie w płytkiej jaskini kulił się jego

dziesięcioosobowy

oddział, później spojrział w prawo. Na zewnątrz siedziało pięciu

Makedonów.

Całkowicie lekceważyli ulewę, obserwując uważnie morze.

Ektalis poczuł nienawiść rosnącą w gardle niczym strumień żółci po zbyt kownej biesiadzie. Obmierzli barbarzyńcy! Dlaczego takie cywilizowane

miasto jak Karynt zawarło przymierze z królem-demonem? Nie potrafił pojąć,

jak do tego doszło. I teraz za towarzystwo miał siepaczy armii diabła.

„Gdybyś był prawdziwym mężczyzną – odezwało się jęczące sumienie – zbuntowałbyś się przeciwko decyzji na agorze, gdy eforowie przedłożyli

kwestię pod publiczne głosowanie”. Nie odważył się wówczas zaprotestować,

dzięki czemu... pozostał przy życiu. Debata była niezwykle ożywiona.

Le-

man, Parsidan i Ardanas, sami dobrzy przyjaciele Ektalisa, przemawiali

bohatersko przeciwko aliansowi... Jeszcze tego samego wieczoru wszyscy

zostali zamordowani. Teraz niepodzielnie rządził Filippos.

Oficer zadrżał z zimna, kiedy wiatr cisnął wielkie krople deszczu na jego

i tak już przemoczony biały płaszcz.

Znajdź złotowłose dziecko – polecił mu wódz. – Tak brzmi rozkaz twojego króla.

Ektalis już, już miał odpowiedzieć wodzowi, że Filippos nie jest jego królem... Ale nie powiedział tego i pewnie dzięki temu nadal żył.

Zasalutował

tylko milcząco, zebrał żołnierzy i ruszył z nimi na zachód.

Początkowo kapłani twierdzili, że chłopiec przebywa w lesie Gorgona

Ostatnia wiadomość jednak głosiła, iż dziecko znajduje się na pokładzie statku

kierującego się ku wybrzeżom. Było dziesięć zatok, w które mógł wpływać

statek. Ektalis polecił ludziom, by strzegli ich wszystkich.

Później przybyło pięciu Makedonów – srogich, dumnych i hardych wojowników o lodowatym spojrzeniu. „Cóż napawa ich taką dumą?” -- zastanowił się oficer. Zaledwie dziesięć lat temu wypasali jeszcze owce na

dzikich wzgórzach swego barbarzyńskiego kraju... Nie mieli pojęcia o kultu-

rze, a ich historia – o ile w ogóle znali ten termin – dałaby się spisać na

wewnętrznej stronie owczej skóry. Teraz obracali się wśród przedstawicieli

cywilizowanych narodów i patrzyli na nich z góry. Traktowali wszystkich jak

niewolników. „Nas traktują jak niewolników!” – poprawił się w myślach.

Nagle zdał sobie sprawę, że rzeczywiście nimi są. Tak, tak, byli niewolni-

kami spełniającymi marzenie szaleńca, który postanowił zamordować małego

chłopca...

Od wschodu na niebie pojawił się skrawek błękitu, po chwili odległe wzgórze zalało słońce. Widok ten poprawił Ektalisowi humor zaledwie na

moment, gdyż wkrótce zauważył niepokojące poruszenie wśród Makedonów.

Jeden z nich wskazał na linię brzegową. Gdy oficer spojrział w tamtym kierunku, dostrzegł dziecko. Wynurzało się z wody.

Serce w nim zamarło. Wszyscy znali przeznaczenie chłopca – miał zostać

ofiarowany królowi-demonowi. A ten na pewno go zabije!

Deszcz przestał padać, a chmury zupełnie się rozstały. Ektalis wrócił do

swoich ludzi. Wysłał dwóch, by sprowadzili żołnierzy strzegących zatok,

następnie poprowadził swoich wojowników klifową ścieżką na plażę.

Podą-

żali za pięcioma Makedonami, którzy już wyciągnęli miecze.

Następne zdarzenie Ektalis zapamięta na bardzo długo. Ni stąd, ni zowąd

nieopodal płycizny pojawił się delfin. Obok niego sunęła naga kobieta,

trzymając się jego płetwy grzbietowej. Delfin podpłynął do brzegu.

Kobieta

wstała i ruszyła przez fale ku plaży.

– Sławię cię, Posejdonie, panie głębin – szepnął stojący obok oficera żołnierz. Pozostali Karyntianie też zaczęli się modlić. – Panie, popatrz na nas

łaskawie, błogosław nasze rodziny i nasze miasto.

Bogini podeszła do chłopca, klęknęła obok niego i wzięła go w ramiona. Ma-

kedonowie dotarli do plaży i z podniesionymi mieczami ruszyli na przybyszów.

– Stójcie! – krzyknął Ektalis, barbarzyńcy jednak go zignorowali.

Pobiegł za nimi wraz ze swymi ludźmi. Szczupły makedoński żołnierz

za-
machnął się mieczem, gotów wbić go kobiecie w brzuch. Ektalis rzucił się na niego i kopnięciem zwałił z nóg.

__ Co czynisz, na Hekate? – zagrmiał oficer Makedonów: wysoki, barczysty wojownik o zaplecionej w trzy warkocze brodzie.

__ To jedna z córek Posejdona, Kanosie. Nie widziałeś, że przypląnęła na

delfinie?

Kanos potrząsał głową.

__ Głupcze! To zwyczajna wiedźma i tyle. Odsuń się i to już.

– Nie! – krzyknął Ektalis i wyciągnął miecz. – Nie pozwolę jej skrzywdzić. Bierzcie dziecko, ale kobiety nie rańcie.

– Jeśli staniesz przeciwko mnie – syknął Kanos, błyskając ciemnymi oczyma – tym samym przeciwstawisz się mojemu królowi. A to jest zdrada!

– Trudno – odparł niepewnie oficer, daremnie próbując stłumić strach. Kanos dostrzegł jego przerażenie i roześmiał się. Jego pogardliwy rechot

ugodził Ektalisa głębiej niż cięcie miecza. Mężczyzna poczuł, jak resztki jego

odwagi topnieją.

– Powiedz tylko słowo, kapitanie, a posiekamy tego psa na kawałki – mruknął któryś z karynckich wojowników. Ektalis zdziwił się. Dotąd sądził,

że jego podwładni nisko go cenią, bo zawsze miał problem z podejmowaniem

szybkich decyzji. Rozumiał ich niechęć, ponieważ nigdy nie był człowiekiem

czynu. Kanos odwrócił się i popatrzył na ośmiu Karyntian.

– Sądzicie, że popsujecie mi szyki? Wierzycie, że pięciu Makedonów nie pokona was wszystkich? No cóż, zastanówcie się dobrze, bezwartościowe

szumowiny. Jestem mentalnie połączony z arcykapłanem, a przez niego z królem. Wiedzą o wszystkim, co się tutaj dzieje. Jeśli nadal będziecie mi się

opierać, umrzecie i wy, i wasze rodziny. Dotarło do was, tępaki?

Kanos zauważył, że Karyntianie się odsuwają. Opuścili miecze i zwrócili

się ponownie w stronę kobiety. Jednak gdy do niej podszedł, znowu przeszko-

dził mu Ektalis.

Kanos gwałtownie natarł na Karyntianina, lecz ten odparował cięcie, raniąc twarz Makedona, który w ostatniej chwili odskoczył, i natychmiast

odpowiedział pchnięciem w pachwinę Ektalisa. Rana była poważna, pewnie

nawet śmiertelna. Oficer nie miał już nic do stracenia, więc zaatakował.

Ostatkiem sił zadał poziome cięcie, rozszczepiając twarz Kanosa prawie na

dwoje na wysokości ust, po czym zatopił ostrze w mózgu przeciwnika. Makedon zwałił się bezwładnie na ziemię. Pod jego ciężarem miecz wypadł

Ektalisowi z ręki. Osunął się na kolana, czując, że umiera.

Bogini podeszła do niego i podniosła miecz. W tej samej chwili omdlały

Ektalis upadł u jej stóp.

– Tak... mi... tak mi przykro – wyszeptał.

Derae obróciła umierającego kapitana na plecy, ignorując obecność pozostałych Makedonów. Jej duch wpłynął w ciało Ektalisa, przemierzył jego

"

arterie i żyły, aż dotarł do straszliwej rany ziejącej w jego

podbrzuszu
Najszybciej jak potrafiła, zajęła się uszkodzoną arterią przy pachwinie. Wreszcie zasklepiła ją, zwiększając dziesięciokrotnie zdolność gojenia. Dotarłszy do rozszarpanego mięśnia, kapłanka najpierw spowolniła upływ krwi, potem idealnie połączyła tkanę."^Skórzana spódniczka, którą nosił Karyntianin nieco osłabiła siłę pchnięcia, jednak rana w pachwinie i tak była poważna
Tylko dzięki błyskawicznej pomocy kapłanki kapitan miał szansę przeżyć.
Derae wróciła do swego ciała i otworzyła oczy.
– Kobieta może odejść – oświadczył wysoki wojownik makedoński__ ale chłopiec jest nasz.
– Weźcie go sobie i ruszajcie – odparł niechętnie karyntki żołnierz, który pierwszy stanął po stronie Ektalisa.
– Chłopiec zostaje – odezwał się nagle jakiś obcy głos, głęboki i metaliczny. Derae obróciła się i zobaczyła nieznanego wojownika, którego twarz skrywał spiżowy hełm, a jego zbroja lśniła jaskrawo w blasku słońca. Szedł spokojnie po piasku. Gdy się zbliżył, odkryła, że spiż przykrywający jego rysy to nie maska, lecz żywy metal... Rozróżniła spiżowe powieki nad spiżowymi oczyma, spiżową brodę i usta.
– Kim jesteś? – spytał przybysza nowy makedoński przywódca: żołnierz o jastrzębiej twarzy i imieniu Plios.
– Jestem Hełm. Ten chłopiec należy do mnie.
– To się jeszcze okaże! – zawołał złowieszczo Plios. Czterech żołnierzy skoczyło na spiżowego woja, lecz Hełm jednym ruchem miecza rozplątał gardło pierwszemu z wrogów i zablokował gwałtowne cięcie drugiego. Obrócił się na pięcie i uderzył Pliosa łokciem w twarz, rozbijając mu nos i ciskając go wprost na czwartego napastnika. Zakrwawiony miecz podniósł się, opadł... i kolejny Makedon przypłacił atak śmiercią. Hełm skoczył na Pliosa, który próbował uchronić się przed śmiertelnym pchnięciem, jednak oślepił go ból złamanego nosa i miecz przybysza łatwo zagłębił się w jego gardle. Ostatni Makedon rzucił się na Helma, ale spiżowy wojownik uniknął ciosu i ciachnął mieczem kark napastnika. Ten potknął się i upadł twarzą w piasek. Hełm uderzył go ponownie, niemal odcinając mężczyźnie głowę.
– Chłopiec jest mój – oświadczył Karyntianinowi.
W tym momencie ocknął się Ektalis i popatrzył dezorientowany na Derae.
– Czy ja umarłem? – spytał.
– Nie. Zostałeś uleczony.
– Chwała ci, o wielka bogini.
Z uśmiechem pomogła mu wstać. Poruszeni i zaskoczeni jego ozdrowieniem Karyntianie podeszli i zgromadzili się wokół swego kapitana. Kapłanka zerknęła badawczo na przybysza.
– Zamierzasz zrobić chłopcu krzywdę? – spytała.
__ Nie, pani – odparł metalicznym głosem. – Potrzebuję go jednak.
,__ Do czego?

— Musi mnie uwolnić od przekleństwa tego hełmu.
— Skąd wiesz, że potrafi to uczynić?
. — Ktoś kazał mi go odszukać.
— Kto taki?
— Nie wiem — odparł ze znużeniem. — W ogóle mało wiem.
Derae dotknęła mentalnie umysłu mężczyzny i znalazła tam potwierdzenie jego słów. Rzeczywiście, Hełm nie posiadał żadnych wspomnień sprzed przebudzenia na płycie cmentarnej. Kapłanka nie znalazła żadnej wskazówki co do jego tożsamości. Wycofała się i przywołała Aleksandra.
— Potrafisz pomóc temu żołnierzowi? — spytała.
Przez moment chłopiec milczał.
— Jeszcze na to nie pora — wyszeptał w końcu.
Ektalis zarzucił swój biały płaszcz na ramiona nagiej bogini. Tymczasem dwaj Karyntianie ściągnęli zbroje z martwych Makedonów. Jednemu zdjęli tunikę i ofiarowali ją Derae. Mężczyźni milczeli przejęci zgrozą. Widzieli boginię wynurzającą się z morza, a następnie obserwowali, jak przywróciła do życia martwego kapitana, po czym zaczarowany wojownik wyciął w pień Makedonów. Odtąd nic już nie będzie dla nich takie samo. Czekali, aż oficer do nich przemówi.
Ektalis odprowadził ich na bok, z dala od wojownika, bogini i dziecka. Stanęli obok skupiska skał, około pięćdziesięciu kroków na zachód.
— Wszyscy byliście świadkami cudu — zagał. — Czułem, że miecz przeszywa mi podbrzusze. A jednak nie mam już rany. Widzieliście też córkę Posejdona płynącą na delfinie. Jakież wnioski wysnujemy z tych zdarzeń, moi bracia?
Nikt nie odpowiedział. Nikt nie wiedział. Ektalis pokiwał głową, rozumiejąc ich lęki. Makedoński przywódca, Kanos, przestrzegł ich przecieź, że Filippos już wie o zdradzie. Ich życie wisiało na włosku.
— Spartanie nadal walczą przeciw tyranowi — zauważył Ektalis. — Sądzę, że powinniśmy się do nich przyłączyć. Zresztą, czy mamy inne wyjście? Możemy najwyżej dotrzeć do najbliższego portu, wsiąść na statek do Egiptu, a tam najać się jako najemni żołnierze.
— A co z naszymi rodzinami? — spytał młody wojownik.
— Rzeczywiście, co się z nimi stanie? — powtórzył Ektalis smutnym tonem. — Na razie nie zobaczymy ich, nie ma na to najmniejszej nadziei, chyba że tyran zostanie obalony.
Ale Spartanie są skazani na klęskę, nie mają najmniejszych szans — bąknął szczupły brodac, który jako pierwszy stanął przy swoim oficerze.
— Wczoraj bez wahania przyznałbym ci rację, Samisie. Ale dzisiaj widziałem moc bogów i wiem, że nie są życzliwi Filipposowi. Zostałem zabity, a jednak żyję. Jestem nowym człowiekiem, Samisie. Nigdy już nie będę zginał kolan przed złem.
— A inni? — spytał Samis. — Nie widzieli wszak cudów. Kiedy przybędą, jak ich przekonamy, by za nami podążyli? A jeśli zwrócą się przeciwko nam albo wydadzą nas królowi-demonowi?

Oficer skinał głową.

– Masz rację. Musimy więc ukryć ciała, a tamtych odesłać wprost do obozu. Nikt poza nami nie musi nic wiedzieć.

Samis nagle się uśmiechnął.

– To szaleństwo – stwierdził – lecz pójdę z tobą. Nienawidzę przekleństw Makedonów... Zawsze czułem do nich nienawiść. Jeżeli mam umrzeć w bitwie, wolę polec w walce z tymi barbarzyńcami.

– Czy wszyscy się zgadzają? – spytał Ektalis.

– Tak – odparło chórem siedmiu Karyntian.

– W takim razie ukryjmy ciała i wracajmy na szczyt klifu.

Parmenion wreszcie wyczuł grunt pod nogami i ciężko walcząc z przybrzeżnymi falami, dobrnął do plaży, padając bez sił na piasek. Woda uderzyła

go i pociągnęła w tył, lecz Spartanin wbił palce w piasek, rozpaczliwie

walcząc z prądem. Z trudem wstał, zatoczył się i chwiejnym krokiem ruszył

ku schronieniu – płytkiej jaskini w licu klifu. Deszcz smagał jego zmęczone

ciało, wiatr wył wściekle. Jaskinia nie była zbyt głęboka, ale mniej w niej

wiało i było sucho.

Parmenion osunął się na ziemię i obejrzał za siebie, na wzburzone morze,

nie dostrzegł jednak nawet śladu po Attalosie.

Deszcz osłabł, chmury rozwiały wiatr. Słaby promień słońca przebił się przez obłoki na wschodzie i nad zatoką pojawiła się tęcza. Wyglądała jak

ogromny most. Strategos odniósł wrażenie, że sztormowe chmury uciekają

przed światłem. Po chwili niebo lśniło już klarownym błękitem, a w kilka

sekund później burza pozostała już tylko wspomnieniem: morze było jasne

i ciche, plaża i urwiska – skapane w świetle słońca. Parmenion wstał i ruszył

ku brzegowi, badawczo wpatrując się w migoczącą wodę. Na plaży leżało sporo ciał, a jedno unosiło się twarzą w dół w płytkim rozlewisku.

Wszystkie

należały do załogi makedońskiej triremy.

„Co teraz, wodzu? – zapytał siebie z ironią. – Jaki cudowny plan masz na podorędziu?”

Usłyszawszy dźwięk, sięgnął po miecz. Pochwa okazała się wszakże pusta. Zaciśnął pięści i odwrócił się. Gigant Gorgon stał z rękoma na biodrach,

obserwując go.

— Obiecałeś, że spełnicie moje marzenie – zauważył spokojnie potwór.

— Powiedz mi zatem, gdzie jest Iskander?

— Żyjemy – odparł Spartanin, wpatrując się w rozjarzone ślepia. – Ja i ty. Jeśli chłopiec również przeżył, na pewno spełni twoje marzenia. Jeśli nie,

lepiej się z nimi pożegnaj.

— Zwiodłeś mnie obietnicami – zauważył leśny król. – Powinienem był cię zabić, tak jak planowałem. Może zresztą uczynię to nawet teraz,

miałbym przynajmniej trochę satysfakcji.

— Złudnej – wtrącił szybko strategos. – Ponieważ wtedy naprawdę stracisz wszystko. Podjąłeś już przecież decyzję. Stałeś przeciwko Filippo-

sowi... Na dobre czy na złe. Nie ma powrotu. Uspokój się i poszukajmy pozostałych.

— Chcesz, żebym przetrząsnął morskie dno? Kraby pewnie już obsiadły ciało dziecka. Tak czy owak, on nie był Iskandrem. – Podniósł okoloną wężami głowę i wydał ogłuszający ryk przepełniony gniewem i

frustracja.

Parmenion napiął mięśnie i czekał na atak bestii.

– Teraz ujrzysz jego prawdziwą duszę – odezwał się Brontes. Odwrócili się. Minotaur siedział na kamieniu. Nie był już młodzieńcem, ale ponow-

nie istotą magiczną – wielką i rogatą.

– Podejrzywałem, bracie, że wrócisz, aby mnie do reszty pognać – wymamrotał Gorgon. – Jakie słowa pociechy mi oferujesz?

– Nie mam ci nic do powiedzenia. Poza tym, że człowiek ma rację. Póki nie dowiemy się, czy Iskander żyje, musimy kontynuować wyprawę. Ja w każdym razie idę dalej, nawet w twoim paskudnym towarzystwie.

Król roześmiał się. Jego dobry humor nagle wrócił.

– Zgoda, idę. Wiedz jednak jedno, człowieku – ostrzegł Spartanina. – Jeśli dziecko nie żyje, podążysz za nim do Hadesu.

Parmenion nic nie powiedział, ponieważ właśnie wtedy w jego głowie rozległ się słodki głos Teny:

Jesteśmy bezpieczni. Aleksander i ja. Znajdujemy się niecałą godzinę marszu na wschód od was. Wyczerpany Attalos śpi w zatoce na zachodzie niedaleko od was. Niedaleko. Nie potrafia zlokalizować centaury.

– Dziękuję ci – oświadczył głośno strategos.

– Grozę ci śmiercią, a ty mi dziękujesz? – spytał Gorgon. – Jesteś osobliwym człowiekiem.

– Dziecko żyje – wyjaśnił Spartanin. – Kontynuujmy poszukiwania.

– Skąd o tym wiesz? – spytał minotaur.

Wódz zignorował jego pytanie.

– Jestem bardzo zmęczony. Ale jeśli zachowałeś jeszcze trochę sił, Brontesie, udaj się ku zachodowi, do następnej zatoki i sprowadź Attalosa,

który tam wypoczywa. Będę ci ogromnie wdzięczny.

– To czarownica – wtrącił leśny król. – Żyje, prawda?

– Tak – odparł Parmenion rozpromieniony. – Żyje.

– Czy jest twoją kochanką? – spytał Gorgon.

– Nie.

– Ale chciałbyś, aby się nią stała, prawda?

Spartanin oddalił się, lecz pytanie Gorgona wciąż dźwięczało mu w gło-

wie. Głos czarodziejki faktycznie napełnił jego serce radością. Siła odczuwa-

nych emocji zaskoczyła go. „Wyrzucić z głowy takie pomysły” – nakazał sobie

surowo. Tena nie jest przecież jedną z kapłanek Afrodyty, które sprzedają

swoje usługi za srebro.

Położył się w jaskini. Próbował zapaść w kojący sen, lecz kobieca twarz

wciąż majaczyła mu przed oczyma. Jego myśli daleko odbiegły od bitew i magii, planów i strategii.

Marzył, że leży w dębowym gaju Arkadii. Słońce zachodziło za górami, a obok niego leżała Tena z głową na jego ramieniu. Czuł spokój.

Gładził ją

po włosach i całował, kiedy jednak popatrzył z miłością na jej oblicze, rysy

kobiety zamigotały i przemieniły się w twarz Derae.

Zalało go wtedy potężne poczucie winy. Wizja pierzchła, lecz i sen odszedł

na dobre.

Derae, nieświadoma udręk mężczyzny, ogromnie się ucieszyła, gdy wresz-

cie odszukała go mentalnie. Poczwała wielką ulgę, upewniwszy się, że Parme-

nion żyje. Teraz jej dusza szybowała wysoko ponad rozdartą wojnami Achaja.

Pokonała zatokę i znalazła się nad miastem Karynt otoczonym białymi mura-

mi obronnymi.

Daleko w dole kapłanka dostrzegła armie tyrana: falangę i konnicę make-
dońską, najemnych łuczników z południowych wysp, wojowników z Ilirii i Tracji. Umysły wszystkich tych ludzi opętane były jednym pragnieniem: rzezi.

Derae poleciała na południe, szukając Sparty, tej dziwnej krainy. Za-
nim do niej dotarła, natrafiła na kolejną armię. Ci żołnierze zamierzali stawić

czoło Makedonom. Wojsko, chociaż mniejsze liczebnie, maszerowało dum-
nie. Kapłanka pobieżnie zlustrowała umysły wojowników. Pochodzili z Kad-

mos. Ich miasto zostało zniszczone, ale odwaga w sercach jego mieszkańców

pozostała. Towarzyszyli im żołnierze z Argolidy i Mesenii oraz buntownicy

z Aten i Eubei. Kobieta przeszukała zastępy zjednoczonych wrogów Make-

donu i z zaskoczeniem odkryła, że ze Sparty wywodzi się jedynie trzystu

mężczyzn.

Zdziwiona podażyła dalej i po chwili krążyła już nad miastem bliźniaczo

podobnym do swego ojczystego. Liczne miejsca wydawały się identyczne (znalazła Pałac z Krowiego Złota i posąg Zeusa na szczycie akropolu), jednak

wiele ulic wyglądało nieco inaczej. Aleja Poległych nie pyszniła się statuą

Ateny. a świątyni Afrodyty Derae w ogóle nie zauważyła. Natomiast koszary

budowano w pobliżu świętego jeziora. Chociaż kobieta wiedziała, że ta inna

Sparta nie ma nic wspólnego z jej rodzimym domem, to jednak duszę kapłanki

wypełnił smutek i tęsknota, bo miasto było łudzaco podobne do tego, które

zachowała w pamięci.

Wyczuwając obecność osobliwych obcych emocji, odziała ducha w zbroję z białego światła, a na jej duchowym ramieniu spoczęła błyszcząca tarcza.

Nagle pojawiła się przed nią zakapturzona postać w białej szacie. Twarz

kobiety pozostawała w cieniu.

– Kim jesteś? – spytał znajomy głos.

– Tamis? – szepnęła Derae. – Czy to naprawdę ty?

– Któż inny miałby strzec Sparty w godzinie próby? – odparła stara wieszczka. – Ale pytałam o twoje imię. Nie słyszałaś?

– Nazywają mnie Tena. Nie jestem twoim wrogiem.

– Wiem o tym, dziecko. Wejdz do mego domu.

Zakapturzona postać zmieniała się w świetlistą kulę i zaczęła opadać ku

miastu. Derae podażyła za nią małego domku, który zanikał w gaju drzewek

cyprysowych nad świętym jeziorem. Były w nim tylko dwa pomieszczenia, wyposażone w ascetyczne meble z surowego drewna. Za podłogę służyło gołe

klepisko; żadnych ozdób czy choćby dywanika. W maleńkiej sypialni na lichym posłaniu leżała stara kobieta. Jej ślepe oczy pozostawały

otwarte, na

wychudłe ciało narzuciła cienki koc.

– Wyczuwam twoją obecność – oświadczyła słabym szeptem, który

przywodził na myśl szelest zeszlých liści. – Czekałam na ciebie.

Derae nie była w stanie wykrztusić z siebie słowa. Choć to nie była

znana
jej Tamis, kobieta, której ingerencja doprowadziła do narodzin Boga Mroku,
mimo to widok „bliźniaczki” wyzwolił w kapłance mieszanię uczuć, których
natury do końca nie rozumiała i nad którymi nie potrafiła zapanować.
– Porozmawiaj ze mną dziecko – poprosiła staruszka. – Tak długo już czekam tu na ciebie, że często wątpiłam, czy aby własne wizje mnie nie
zwiiodły.
– Dlaczego na mnie czekałaś? Co mogę dla ciebie zrobić?
Stara wieszczka uśmiechnęła się.
– Tylko Źródło potrafi odpowiedzieć na twoje pytanie, ja zaś jestem zaledwie najmamiejszą z jego służek. Ale powiem ci, że widziałam Ducha
Chaosu w krwawym pochodzie po ziemi, słuchałam krzyków umierających, lamentu pędzonych do niewoli owdowiałych niewiast. Mam za sobą trudne lata Teno, trudne, samotne lata... Nawet teraz, gdy wreszcie dotarłaś, ciem-
ność nadciąga nad moje miasto.
Co chcesz, żebym uczyniła?
– Czy on jest z tobą?
– O kim mówisz?
– O tym, który miał nadejść. O strategosle.
– Tak, jest tutaj.
Tamis westchnęła i zamknęła opalowe oczy.
– Spartański król pędzi na spotkanie ze śmiercią. Nic już nie zmieni jego
przeznaczenia. To niezwykle szlachetny wojownik, godny podziwu mężczy-
zna, dobry człowiek... Pomagałam mu przez te wszystkie straszliwe lata.
Niestety, los nieustannie krzyżował mi szyki, a i teraz działa przeciwko mnie.
Zbliża się święto Apollina. Kapłani uznali, że w tym uroczystym dniu spar-
tańska armia nie powinna maszerować do boju, toteż królowi towarzyszą wyłącznie gwardziści. Z tego też względu zginie w bitwie.
Derae nie odpowiedziała. W jej własnym świecie działo się podobnie – Sparta wielokrotnie cierpiała z powodu głupoty kapłanów. Kiedy perski król
Kserkses poprowadził armię do Grecji, Spartanie odmówili wymarszu z po-
vodu religijnego święta. Król zabrał więc tylko gwardzistów w sile trzystu
ludzi. Ta żalosna grupka miała zablokować Przełęcz Termopilską. Trzy setki
przeciw ćwierci miliona. Odważni i waleczni, opierali się perskiej hordzie
przez wiele dni, w końcu jednak barbarzyńcy wycieli ich w pień.
– Jakie miałaś wizje? – spytała kapłanka staruszkę.
– Widziałam strategosa, złotowłose dziecko oraz wojownika o spiżowej twarzy. Wizji tej towarzyszyła tęcza i ucieczka podczas sztormu.
Sądziłam,
że zwiastuje ona kres panowania Boga Mroku. Może się jednak myliłam. Może na próżno żywiłam nadzieję.
– Czy próbowałaś nie dopuścić do narodzin Boga Mroku? – spytała Derae, wspominając misterne intrygi Tamis w swoim świecie.
– Długo rozważałam, jak temu zapobiec, lecz w końcu uznałam, że to szaleństwo. Źle postąpiłam?
– Nie, nie – wtrąciła szybko kapłanka. – Zrobiłaś mądrze, bardzo mądrze. Sprowadzę tu strategosa. Nie wiem jednak, czego zdoła dokonać.
– Wkrótce się okaże, drogie dziecko. Może Źródło cię błogosławi.

– Błogosławi mnie na wiele sposobów – mruknęła Derae, ale nie otrzymała od ślepej wieszczki odpowiedzi. Parmenion zbudził się z niespokojnego snu, jego umysł zaprzętały setki problemów. Głowa pękała mu z bólu, usiadł więc i głęboko oddychał. Aleksander żył i fakt ten już sam w sobie stanowił swego rodzaju zwycięstwo. Strategos wiedział jednak, że w bitwie, podobnie jak w życiu, liczy się jedynie ostateczne zwycięstwo. A Filippos miał znacznie większe szanse na wygrana- „Nie wszystko naraz, powoli” – strofował się w myślach Spartanin- Brontes nie powrócił jeszcze z Attalosem, Gorgon siedział niedaleko, obserwując zatokę. Wódz oparł się plecami o lico klifu i starał się uspokoić rozszalałe myśli. przez większość swego życia walczył z przeciwnikiem znacznie od niego ilniejszym. W Sparcie koledzy pogardzali nim i musiał samotnie stawiać czoło ich nienawiści. W Tebach udało mu się pokonać spartańskich okupantów. Wtedy właśnie zadał pierwszą wielką klęskę spartańskiej armii. W Persji wodził kampaniami pomniejszych satrapów i gubernatorów prowincji. Zawsze znalazł drogę do zwycięstwa. Wreszcie w Macedonii pomógł młodemu, osaczonemu przez wrogów księciu stworzyć naród, którego obawiał się cały świat. Natomiast tutaj, w królestwie magii, nie był ani strategosem, ani wodzem, lecz obcym. I czuł się bezbronny w świecie, który ledwie rozumiał. Dostrzegając wszakże pewne podobieństwa pomiędzy jedną a drugą Grecją. Filippos był królem Makedonu i zdążył już utworzyć armię, zdolną stłumić wszelki bunt. Sparta nadal pozostawała miastem niezwykłych bohaterów. Istniały jednak diametralne różnice. Tym światem rządziła magia. Takie stworzenia jak Gorgon, Brontes czy Kamiron nie budziły niczyjzego zadziwienia, stanowiły bowiem nieodłączny element tej krainy. Niebo patrolowały skrzydlate bestie, a król-demon potrafił czytać w sercach i umysłach swoich wrogów. „W jaki sposób mam go pokonać?” – zastanawiał się wódz. Chiron powiedział mu, że król jest odporny na wszelką broń. Jego ciało było też niewrażliwe na trucizny. – Widziałem go rannego tylko raz – wspominał magus. – Był wtedy dzieckiem i bawił się ostrym sztyletem. Przeciął sobie palec i krwawił. Rana zagoiła się jednak błyskawicznie. Matka zbeształa chłopca w mojej obecności, a potem zwróciła się do mnie i podała sztylet. „Tnij”, poleciła. Początkowo odmówiłem, ale nalegała, więc wziąłem ostrze i leciutko przejechałem nim po ramieniu dziecka. Nie udało mi się przeciąć skóry. – W jaki sposób zranił się sam? – spytał Parmenion. – Zakłęcie chroni Filipposa przed wrogami, lecz gdyby zechciał popełnić samobójstwo, zrobiłby to.

Spartanin uśmiechnął się na wspomnienie tamtej rozmowy. Pozostawała mu tylko jedna strategia, choć zdawała się zupełnie nierealna... Z drugiej strony, kraina przecież była magiczna, czyż nie? Musiał zatem tylko znaleźć metodę pokonania najpotężniejszej armii tego osobliwego świata i przechy-

trzyć króla, który potrafił dotrzeć do jego umysłu... a na końcu zmusić go, by odebrał sobie życie. „Doprawdy, jakież to proste!” – pomyślał z ironią.

– Dlaczego się uśmiechasz? – spytał Gorgon.

– A dlaczego nie? Słońce świeci.

– Jesteś frapującym człowiekiem, Parmenionie – zauważył leśny król. Odwrócił wielką głowę i spojrzał ponad falami. Spartanin siedział nieru-

chomo i obserwował go. W świetle słonecznym skóra ogromnych ramion Gorgona wydawała się cieńsza. Była nakrapiana plamami w kolorach lasu – ciemną zielenią i rdzawym brązem, miejscami ustępując bledszym odcieniom leśnej trawy i igliwia młodej sosny. Węże zwisały mu z głowy ospale i bez życia, a jego oczy straciły swój demoniczny blask.

– Czego szukasz? – spytał wódz.

– Niczego. Zapamiętuję. Minęło już ponad sto lat, odkąd ostatnio przy-

patrywałem się morzu. Miałem kiedyś dom... jeszcze z Persefoną, na wyspie Andros. Często chodziliśmy wtedy na plażę pływać i leniuchować. Zagrze-

bałem te wspomnienia tak głęboko w pamięci, że niemal się rozmyły. Ach, ależ z niej była piękność. Nawet latem jej cera pozostawała blada jak marmur, a oczy stale przywodziły na myśl turkusy, choć wcale nie były zimne i błękit-

ne, lecz ciepłe i zachwycające niczym letnie niebo. – Gorgon westchnął, potem z jego zdeformowanych ust wydobył się smutny, chrapliwy dźwięk.

–

Po cóż w ogóle to sobie przypominam? Umysł mi chyba szwankuje.

– Spędziłeś zbyt dużo czasu w lesie – wyjaśnił łagodnie strategos.

– A tak, to akurat prawda. Wiesz? Persefoną miała urzekający głos. Siadywaliśmy pod markiza, obserwowaliśmy zachód słońca nad falami i wte-

dy śpiewała. Hmm... Nie pamiętam słów, a jedynie nastrój spokoju i radości. Byłem wtedy człowiekiem aroganckim, jak to młodzieńcy. Nie potrafiłem sobie wyobrazić momentu, gdy nie będzie jej obok mnie... chwili, gdy moja Persefoną przestanie wysyłać pieśnią słońce na jego conocny wypoczynek.

– Nikt ci nie odbierze wspomnień, przyjacielu. Nigdy!

– Nie mam przyjaciół, człowieku – odburknął sucho król. Wstał i odszedł. Spartanin patrzył przez kilka minut na giganta, po czym udał się za nim na brzeg.

– Znam twój ból, sam doświadczyłem podobnej straty – stwierdził. – Może zabrzmiało to banalnie, lecz prawda jest taka, że wszyscy nosimy podobne bliźny i musimy z nimi żyć. Zrobię wszakże wszystko, co w mojej mocy, aby dotrzymać danej ci obietnicy. Iskander twierdzi, że jest wybranym.

Wierzę
mu i zaryzykuję życie dla spełnienia jego misji. Wiedz, leśny królu,
że wojna,
w którą się uwikłaliśmy, przekracza horyzonty naszego umysłu. Tu nie
chodzi
tylko o ten świat i o nas. Jesteśmy jedynie rozbitkami, którzy walczą
o prze-
trwanie. Tym bardziej nikt nie powinien odrzucać przyjaźni... nawet
ty,
dumny syn Tytanów.

– Zamierzasz mnie pouczać? – syknął Gorgon.

– Może i zamierzam. Uważam, że lata, które spędziłeś w mrocznym
lesie, zdeformowały twoje postrzeganie świata.

Król skinął głową.

– To prawda – przyznał bez przekonania. Po chwili uśmiechnął się –

A może jestem tym, kim zawsze byłem: potworem.

– Czy Persefona pokochałaby potwora?

___. Cóż, człowieku, nie rozumiesz mnie. Pewnie by nie pokochała. Ale
toczyła się straszliwa wojna i wszyscy popełnialiśmy czyny, które
skalały

nasze dusze. Nie ma ucieczki przed złymi wspomnieniami. Mój brat
Brontes

ma rację. Nie wiesz, co zrobiłem, nie masz pojęcia, jakie kolosalne
zło

zapisalem na kartach historii.

__I nawet nie chcę wiedzieć – odparł Spartanin – ponieważ wówczas
może rzeczywiście myślałbym o tobie inaczej. Wszystko to jednak
zdarzyło

się w przeszłości, jest w niej ukryte i niech tam pozostanie. Dzisiaj
opowie-

działeś się po stronie sprawiedliwych i pragniesz uratować magiczne
istoty.

Jeśli zwyciężysz, nie zmyjesz wprawdzie z siebie popełnionych
grzechów, ale

przynajmniej zyskasz nadzieję na przyszłość.

– Czy w ogóle mamy cień szansy na zwycięstwo – spytał Gorgon –

skoro Filippos zebrał wszystkie siły przeciwko nam?

– Nie mówimy o pokonaniu Filipposa w bitwie, lecz o otwarciu Portalu
Giganta. Jeśli Spartanie przez jakiś czas zaabsorbują czymś armię
króla-de-

mona, może Iskander zdaży wypełnić swoje przeznaczenie.

Gorgon westchnął.

– Opuszczę cię teraz, człowieku. Skoro chwilowo... jesteś bezpieczny,
wróć do lasu i spróbuję zgromadzić wszystkich, którzy mnie nie
zdradzili.

Później udam się z nimi pod portal.

– Jak pokonacie zatokę?

– Obejdziemy ją. Będziemy podróżować starożytnymi ścieżkami mię-
dzy Achają a Hadesem. Żaden człowiek nie waży się nimi chodzić, jeśli
chce

pozostać przy zdrowych zmysłach. Jednak moi... ludzie mogą nimi
kroczyć.

Wykonałem już swoją część umowy, człowieku. Przeprowadziłem cię przez
morze. Teraz ty musisz dotrzeć z Iskandrem do Portalu Giganta.

– Zwyciężymy lub zginiemy, panie. Tylko tyle możemy zrobić. Ale
rozstańmy się przynajmniej jak przyjaciele.

– Dlaczego jest to dla ciebie takie ważne?

– To jest ważne dla nas obu – odparł Parmenion, wyciągnawszy rękę.

Gorgon spojrział na nią, potem spojrział mężczyźnie w oczy.

– Już ci mówiłem, że jesteś niezwykłym człowiekiem. I nie pamiętam,
kiedy po raz ostatni rozmawiałem z kimś o przyjaźni. – Ucisnął

Spartani-

nowi dłoń. Przez chwilę stali w milczeniu.

W końcu leśny król majestatycznie wszedł w morze i odpłynął.

Było już późne popołudnie, gdy Brontes wrócił z Attalosem.

Fechtmistrz
miał posiniaczoną twarz, spuchnięte prawe oko, gdyż fala rzuciła go na skały,
Jednak wcale nie narzekał, gdy usiadł obok Parmeniona.
– Trudno go było dobudzić – stwierdził minotaur – ale nie chciałem, abym go tu przyniósł. Uparł się i już.
– Cieszę się, że żyjesz – zagaił Spartanin, chwytając Macedończyka za ramię.
Attalos uśmiechnął się.
– Uratowałeś mi życie. Nie zapomnę ci tego. Napierśnik wciągnąłby mnie pod wodę... Co teraz?
– Znajdziemy pozostałych i ruszymy dalej na południe.
– A potem?
– Nie wiem.

Fechtmistrz skinął głową.
– Tak właśnie myślałem. Nie zrozum mnie źle, chodzi o to... No cóż, przyzwyczaiałem się do ciebie, strategosie. I moja wiara w twoje umiejętności z każdym dniem rośnie.
– Niby dlaczego? Przecież nie potrafiłem zmusić drzew, by wyrwały z ziemi korzenie i pomaszerowały z nami.
Attalos zachichotał.
– Wybacz mi, Spartaninie, ten przeklęty las nasycił moją duszę złem. Przestałem być sobą. Na wszystkich bogów, przysięgam, że miło jest znaleźć z powrotem na otwartej przestrzeni. Brontes twierdzi, że Aleksander jest bezpieczny. Czy to prawda?
– Tak – przyznał strategos. – I pora go odnaleźć. Najpierw wszakże muszę porozmawiać z minotaurem.
Wstał i podszedł do Brontesa, który siedział na górującym nad morzem głazie.
– Gdzie mój brat? – spytał minotaur.
– Odszedł.
Brontes skinął głową.
– Sądziłem, że może się jednak zmienić. Ale czegoż się można spodziewać po kimś takim?
– Zapewnił mnie, że wraca do swego lasu, pragnie bowiem zebrać swoich wiernych poddanych. Zamierza dotrzeć ze swoją armią pod portal.
Wierzę mu.
Minotaur podniósł głowę i roześmiał się gorzko.
– Gorgonowi nie można ufać, Parmenionie. To istota Mroku.
– Zobaczymy. Tak czy owak, tymczasem przynajmniej udawajmy, że mu wierzymy.
– W jakim celu?
– Ponieważ jeśli twój brat naprawdę poprowadzi swoje bestie na południe, magiczne stworzenia mogą pomyśleć, że chce je zaatakować.
– I tak właśnie się prawdopodobnie stanie – mruknął Brontes.
– Posłuchaj. Odrzuć nienawiść. Potrzebuję cię. Musisz się wyprawić samotnie do lasu porastającego teren wokół portalu. Pragnę, abyś przygotował leśnemu królowi drogę.
___ Nigdy! To zdrajca i zabójca.
___ W takim razie dopilnuję, żeby Iskander nie wypełnił swego przeznaczenia.
Minotaur zerwał się na równe nogi.
___ Ośmielasz się mi grozić, człowieku?! – krzyknął w napadzie szału.
___ Tak – odparł Parmenion. – Co się z tobą dzieje? Wojna się skończyła a to przecież twój brat. Bez jego pomocy nikt z nas nie przeżyje.
___ Pomaga nam, bo ma w tym cel. Nie zapominaj o tym!
___ A czyż ty postępujesz inaczej? Czy nie zagroziłeś, że mnie zabijesz?

Jesteś tutaj tylko z powodu Iskandra.

— Nic nie rozumiesz! Gorgon zamordował moje dzieci i zgwałcił moją... naszą... matkę. Nie ma w nim ani krzty dobra. Został zrodzony w Mroku i w nim dorastał. Wymagasz ode mnie, żebym przygotował mu drogę?!

Lepiej

niech świat magii umrze, niż miałyby zawdzięczać swe odrodzenie takiej parszywej istocie jak mój brat.

— Sam nie wierzysz w to, co mówisz — szepnął Spartanin. — Przemawia przez ciebie nienawiść. Przemyśl sobie trawiące cię żal i gorzycz.

Rozumiem

cię, ale weź pod uwagę, że mówimy o przyszłości wszystkich magicznych stworzeń. Nie masz prawa podejmować za nie decyzji. Jesteście

umierająca

rasa, która pokłada całą nadzieję na przetrwanie w jednej osobie: w Iskandrze.

Teraz idź do lasu i zrób, co trzeba.

— Zdradzisz mnie przed Iskandrem, jeśli ci odmówię?

— Nie — przyznał strategos. — Nie zdradzę. Przemawiał przeze mnie gniew. Zrobisz, o co proszę?

— Zastanowię się nad tym — obiecał Brontes, ale gdy mówił, patrzył w dal, unikając spojrzenia wodza.

Równina Mantinejska

Hełm pierwszy zobaczył dwóch mężczyzn, którzy wyłonili się z lasu i ruszyli ku czekającej grupie. Obserwował ich uważnie, nerwowo zaciskając dłoń na rękojeści miecza. Dziewięciu Karyntian stało w napięciu,

lecz złotowłose dziecko wykrzyczało jakieś imię i popędziło ku nowo przy-

byłym.

Pierwszy z mężczyzn pochylił się i pochwycił chłopca w ramiona. Hełm zauważył, że obcy nie ma miecza, ale kroczy wyprostowany i porusza się

rytmicznie jak wytrawny wojownik. Drugi mężczyzna miał jasne oczy, ruchy

zaś kocie i zdecydowane. „Lew i wilk” — pomyślał o nich Hełm.

Wyższy mężczyzna postawił dziecko na ziemi, poczochnął mu włosy, po czym bacznie przyjrzał się wyczekującym żołnierzom. W końcu jego spojrze-

nie spoczęło na Hełmie. Przez chwilę przypatrywał się błękitnymi oczyma

spiżowej twarzy. Jego oblicze przybrało kamienną maskę.

Karyntianie czekali na powitanie, jednak nowo przybyły zwrócił się bezpośrednio do Helma:

— Kim jesteś? — spytał spokojnie, bez śladu arogancji, choć władczym tonem.

„Tak, tak — pomyślał spiżowy żołnierz — oto człowiek nawykły do rozkazywania”.

— Chciałbym ci odpowiedzieć. Niestety, nic nie wiem o swojej przeszło-

ści. Ktoś mi nakazał odnaleźć dziecko. Tyle wiem. To wszystko.

— W jakim celu miałeś je odnaleźć?

!— Tego również nie wiem. Na pewno wszakże nie w złym. Czuję to.

— Mam na imię Parmenion. Jeśli pojedziesz ze mną, będziesz wypełniał moje polecenia. Jeśli nie odpowiada ci moje dowództwo, możesz teraz odejść-

— Odpowiada — odparł Hełm lekkim tonem.

Mężczyzna uśmiechnął się i skinął głową, po czym odwrócił się do Karyntian, a w szczególności do Ektalisa.

— Dziękuję ci, panie, że pomogłeś chłopcu. Ty i twoi ludzie wiele ryzykowaliście i gratuluję wam odwagi. Widzę, że wszyscy macie konie, uważam zatem, że najsmardziej będzie pojechać natychmiast na południe i dopiero tam kontynuować naszą rozmowę. Nawet podczas krótkiej pogawędki wróg nie przestaje się zbliżać.

Kapitan pokiwał głową i wydał rozkaz: „Na koń!” Parmenion podszedł do

kobiety i położył rękę na ramieniu. Hełm nie czekał na ewentualną wymianę zdań między nimi, lecz dyskretnie oddalił się ku szczypiącym trawę luzakom.

Wierzchowce Makedonów były mniejsze od koni Karyntian, za to – szerokokopiersne, o grubych pęcinach, hodowane raczej dla wytrzymałości niż prędkości. Spiżowy wojownik wybrał sobie wałacha deresza. Chwycił się grzywy i zgrabnie wskoczył na grzbiet.

– Znasz się na koniach – rzucił Spartanin. – Sam bym go wybrał. Przez dwie godziny grupa jechała w milczeniu, kierując się na południowy wschód przez łagodne wzgórza. Omijali małe wioski i miasta. Trzymali się linii drzew.

W końcu, gdy tylko słońce zaczęło zachodzić, rozbili obóz w osłoniętej kotlinie.

Strategos przywołał do siebie Ektalisa.

– Musimy wyznaczyć wartowników – oświadczył. – Jednego na tym stoku, drugiego w lesie na północ od nas.

Kiedy oficer zaszalutował i odszedł, Hełm uśmiechnął się. Honory wyglądały naturalnie, a jego nowy dowódca przyjął je jako coś zupełnie oczywistego.

– Sądzę, że przywykłeś do większych armii niż ta – zauważył Hełm.

– Rzeczywiście – odparł wódz. Jego ręka spoczywała na rękojeści makedońskiego miecza, który przypasał sobie do boku. – Na nieszczęście, nie dysponujemy większą. Mogę zobaczyć twój miecz?

– Oczywiście – odparł żołnierz. Wyjął broń z pochwy, obrócił ją rękojeścią do przodu i podał Parmenionowi.

– Piękna broń. Skąd ją masz?

– Kiedy się obudziłem, leżała tuż obok mnie. Wraz ze zbroją i hełmem.

– Dlaczego pomyślałeś, że należy do ciebie?

– Nie potrafię ci odpowiedzieć na to pytanie, panie. Po prostu... Byłem nagi i samotny, a zbroja była niemal idealna. Szczególnie hełm, który, jak widzisz, stopił się z moją twarzą.

Spartanin milczał przez chwilę.

– Martwisz mnie, wojowniku – oznajmił, i Hełm niespodziewanie uprzytomnił sobie, że ma przed sobą mężczyznę z obnażonym mieczem, podczas gdy sam pozostaje bezbronny. – Skąd wiesz, że nie przysłał go Filippos?

– Nie wiem – odparł zgodnie z prawdą Hełm. – Ale na pewno nie ustalimy tego teraz.

– Dobrze walczysz. Cieszę się twoimi umiejętnościami. Dzięki twojej rozprawie z Makedonami ja i Attalos zdobyliśmy broń, za co jestem ci wdzięczny. Wnosząc z twoich dotychczasowych czynów, chyba nie jesteś wrogiem... Aczkolwiek nigdy nie wiadomo.

– Przyjmuję twoje słowa, Parmenionie. Jednakże co z nich wynika?

– Że tak czy owak jesteśmy w śmiertelnym niebezpieczeństwie – odparł wódz. Oddał Hełmowi miecz, odwrócił się i odszedł.

Wczesnym popołudniem następnego dnia jeźdźcy dotarli do pogórza wznoszącego się nad Równiną Mantinejską – szerokim, płaskim terenem, który ciągnął się pomiędzy górami, stanowiącymi granicę królestwa Argolidy.

W oddali ujrzeli dwie potężne armie gotowe do bitwy. Tena zeskoczyła z konia, usiadła na klifowym występie i zamknęła oczy. Jej duch wzniósł się ponad czekające wojska.

To, co zobaczyła, przygotowało ją o dreszcz i pospiesznie wróciła do

swej
cielesnej powłoki. Ocknąwszy się, krzyknęła ze strachu.
– Co się dzieje? – spytał Parmenion. Zeskoczył z konia, klęknął obok
niej i chwycił ją za ramię.
– Wyślij resztę na południe – szepnęła. – Powiedz im, że dołączymy
do nich później.
– Dlaczego?
– Zaufaj mi! Ty musisz pójść inną ścieżką. Odeślij resztę! Pospiesz
się.
Mamy niewiele czasu.
Spartanin przywołał do siebie Attalosa.
– Dalej ruszacie beze mnie, przyjacielu. Ty dowodzisz. Zabierz Alek-
sandra na południe... nawet do samego portalu, jeśli to będzie
konieczne.
Dołączę do was, kiedy tylko będę mógł.
– Powinniśmy trzymać się razem – spierał się fechtmistrz.
– Nie ma czasu na debaty. Musisz chronić chłopca. Brontes odszedł, by
przygotować drogę armii Gorgona, wy zaś musicie bezpiecznie dotrzeć
na
południe. Nic więcej nie mogę ci powiedzieć, nic więcej bowiem nie
wiem.
Macedończyk przeklął cicho, potem wskoczył na wierzchowca.
– Uważaj na siebie, Spartaninie! – zawołał i popędził całą grupę na
południe.
Strategos wrócił do kapłanki.
– Zdradź mi teraz wszystkie szczegóły – polecił.
– Poczekaj – doradziła. – Właśnie zaczyna się bitwa.
Wódz przyjrzał się obu armiom. Z tej odległości żołnierze wyglądali
dokładnie tak samo jak maleńkie rzeźbione figurki, którymi wygrał
swoją
pierwszą potyczkę z Leonidasem trzydzieści trzy lata wcześniej w
innym
Świecie. Przypominali zabaweczki: błyszczące i jaskrawe, przesuwające
się
po zapyłonej równinie. Nie byli wszakże zabawkami. W ciągu kilku
minut
żywi, oddychający ludzie mogli zostać wycięci w pień. Miecze i
włócznie
będą ciąć i rozłupywać ciała i kości... Czarne chorągwie zawirowały
na
wietrze i armia Makedonu... wojownicy w czarnych płaszczach pewnie
pomaszzerowali naprzód. Po ich lewej stronie pędziła konnica z
zamiarem
otoczenia flank wroga.
Wtedy jednak Spartanie rozpoczęli przeciwnatarcie. Żołnierze w
błękit-
nych płaszczach i lśniących hełmach wypadli z kryjówek wśród głazów
przy
podstawie wzniesienia. Parmenion uśmiechnął się. Spartański król
wybrał
najlepszą strategię! Parmenion wyteńczył wzrok i wypatrzył zarys
monarchy
stojącego w centrum spartańskiej falangi. Trzystu ludzi w zwartej
formacji
głębokiej na sześć rzędów, szerokiej na pięćdziesiąt tarcz. Była to
formacja
obronna, ustawiona w środku pola, otoczona najemnikami.
– Stara się utrzymać solidny środek – zauważył strategos. – Widzisz,
jak pozostałe oddziały formują się wokół Spartan? – Kolejne oddziały
sprzymierzonej konnicy wyjechały z prawej strony, lecz Makedonowie
prze-
formowali rzędy, by stawić czoło napastnikom. Strategosowi wydawało
się,
że wojska Makedonów reagują odpowiednio jeszcze przed atakiem

Spartan.

Z zamieraj ącym sercem przypomniał sobie, że przecież Filippos potrafi czytać w myślach.

Mimo to Spartanie atakowali i udało im się nieco odepchnąć Makedonów. Spartańskie centrum zafalowało nagle. Parmenion obserwował, jak król do-

siada wspaniałego siwka i odjeżdża ku rezerwom jazdy. Bitwa rozgorzała na

dobrze, wielkie masy ludzkie starły się w krwawym boju.

– Teraz! – wyszeptał Parmenion. – Teraz! Poprowadź atak! – Spartański król, jak gdyby go usłyszał, pogalopował na wielkim siwku.

Jego

konnica popędziła za nim. Słońce odbijało się od czubków lanc.

Na nieszczęście, na drugim skrzydle sprzymierzona konnica nagle usta-

piła. W szeregach jeźdźców wkradła się panika, zawrócili wierzchowce i pierz-

chnęli z pola bitwy. Makedonowie wpadli w wyłom i zaczęli otaczać cen-

trum sprzymierzonych wojsk. W dwóch najemniczych dywizjach nastąpił rozłam. Konni umykali, zwiększając szczelinę na prawo od spartańskiej falangi.

– Na słodkiego Zeusa, nie! – wrzasnął Parmenion. – Przegrają!

Spartański król ruszył ze swoją konnicą do ataku. Prowadził ludzi w de-

sperskiej szarzy przez pole bitwy, usiłując zasklepić szczelinę, strategos

wiedział jednak, że próba ta skazana jest na klęskę. Strach ogarniał kolejne

oddziały sprzymierzonej armii niczym ogień pustoszący trawy i w końcu wszyscy z wyjątkiem Spartan porzucili tarcze i uciekli.

Spartańska falanga zamknęła się w bojowy czworobok i zaczęła się wycofywać ku wąskiej przełęczy w górach. W chwilę później król

przepr-

wadził ostatni rozpaczliwy atak na centrum sił wroga. I o mały włos nie dotarł

do Filipposa. Nagle Parmenion dojrzał króla-demona. Parł jak taran do przodu

na gigantycznym czarnym wierzchowcu. Siekał na prawo i lewo, wycinając

sobie drogę ku przeciwnikowi. Czyjaś włócznia zacięła siwego wierzchowca.

Koń szalał z bólu i spartański król nie mógł nad nim zapanować.

Galopował teraz ku strategosowi i Tenie. Ścigał go tuzin jeźdźców w czar-

nych płaszczach. Zerknął w tył, dostrzegł ich i zwrócił konia w stronę

piargowej skarpy. Zwierzę z trudem wspięło się na skalny występ. Król zna-

lazł się w pułapce bez wyjścia, więc spartański władca zeskoczył z rumaka,

gdy tylko pierwsi Makedonowie dotarli do szczytu. Pierwszy koń stanął dęba,

gdy król do niego podbiegł, i zrzucił jeźdźca, wtedy jednak przybyli inni.

Zeskoczyli z wierzchowców i ruszyli na samotnego wojownika.

Parmenion szczerze żałował dzielnego króla. Był doskonałym dowódcą, którego zdradzili tchórze i ludzie o podłych sercach. Miał ochotę

pogalopować

do niego i walczyć u jego boku, niestety dzielił ich wąwóz, a poza tym mężny

władca i tak był skazany na śmierć: przed nim stał tuzin wrogów, za nim

znajdowała się przepaść. Walczył śmiało i z wielkim talentem, lecz w

końcu
czyjś miecz podciął mu gardło. Upadł i zawisł na krawędzi otchłani.
Strategos
krzyknął w udręce, gdy spartański monarcha zsunął się z występu. Jego
ciało
w spiżowej zbroi długo spadało, nim uderzyło o stok, zsunęło się po
nim
i trzasnęło w skały. Parmenion jęknął i odwrócił wzrok.
– Tak blisko... tak blisko zwycięstwa – szepnął.
– Wiem – odparła Tena. – Teraz musimy poczekać.
– Na co? Dość już widziałem.
– To jeszcze nie wszystko, mój drogi – powiedziała.
Żołnierze Filipposa odsunęli się od występu. Wyraźnie zastanawiali
się
nad sposobem wydobycia ciała. Jednak klif był zbyt stromy, więc
ponownie
dosiedli koni i zniknęli z pola widzenia.
– Teraz – zawołała kapłanka. – Zanim zdołają zajechać od północy,
musimy zabrać ciało.
– Po co?
– Nie ma czasu na tłumaczenie. Zaufaj mi. – Dosiadłszy konia, po-
pędziła go na szczyt wzgórza, a potem w dół po łagodnej pochyłości ku
równinie. Jej towarzysz nie miał ochoty oglądać zmasakrowanego ciała
wiel-
kiego wojownika, ale także wsiadł na wierzchowca i podążył za nią. W
końcu
dotarł do pokrwawionych zwłok. Kapłanka zsiadła z rumaka, podeszła do
ciała i łagodnie przetoczyła je na plecy. Obok trupa leżał nieco
wygięty hełm
czerwonym pióropuszem, jednak napierśnik pękł przy ramieniu. Z ciała
wystawała złamana biała kość.
Twarz mężczyzny wydawała się nietknięta. Otwarte błękitne, lecz bez
wyrazu oczy wpatrywały się w niebo. Strategos podszedł do ciała i
stał jak
wryty- Serce mu załomotało, nogi się ugięły.
. – Przykro mi – szepnęła kobieta. – Stoisz przed ciałem Parmeniona,
króla Sparty.
Spartaninowi nie przychodziły do głowy żadne stosowne słowa, stał
więc
tylko, patrząc na „własne” zwłoki. Wcześniej, jeszcze w lesie widział
magię
teny, gdy stworzyła iluzję sobowtórów smacznie śpiących przy obozowym
ognisku. Jednak owa iluzja była w jakimś sensie zabawna, choć
równocześnie
wiązali obawy z jej powodzeniem, od czego zależała ich szansa
przeżycia.
Natomiast obecną sytuację cechował absolutny realizm. Martwy
mężczyzna
u stóp Parmeniona tak bardzo wydawał się jego bliźniakiem, że
strategos
poczuł po jego śmierci wręcz fizyczny ból towarzyszący zazwyczaj
utracie
ukochanej osoby. Co gorsza, tragedia wypełniła jego umysł
przygnębiająca
świadomością ludzkiej śmiertelności. Martwy król był uosobieniem jego
dawnych marzeń i ambicji. A jednak został zabity w kwiecie wieku.
Jego ciało
spadło z wysoka. Było pokiereszowane, potrzaskane...
Wódz wzdrygnął się, po czym zaczerpnął potężny haust powietrza.
– Musimy go przenieść. – Kapłanka wyrwała go z zamyślenia. –
Zanim wrócą Makedonowie.
– Po co? – spytał Parmenion. Nie chciał dotykać swego sobowtóra.
– Ponieważ nie mogą się dowiedzieć, że umarł. I pospiesz się!
Strategosowi zadrżały ręce, lecz podniósł zwłoki, zarzucił je sobie

na
ramię, zaniósł do makedońskiego wałacha i przerzucił je zwierzęciu
przez
grzbiet. Koń był silny, jednak z pewnością nie udźwignie podwójnego
ciężaru
przez długi czas. Parmenion odwrócił się ku Tenie. Siedziała na
głazie.
– Weź mojego konia i jedź do lasu – rozkazała. – Zjawię się tam przed
zmrokiem.
– Nie zostawię cię tu samej. Zabiją cię.
– Nie, nawet mnie nie zobaczą. Gdy wjedziesz między drzewa, rozbierz
ciało i zagrzeb je. Potem nałóż zbroję króla. Jedź już! – Wódz
ściągnął lejce
o wałach zaczął odchodzić powolnym krokiem. – Czeka! – zawołała
kapłanka. Podniosła leżący miecz spartańskiego władcy, potem hełm i
podała
oba przedmioty swemu towarzyszowi. – Jedź już, mamy mało czasu.
Teren był kamienisty i ubity, toteż kopyta wałacha niemal nie
pozostawia-
ły śladów. Spartanin się odwrócił. Kobieta siedziała nieruchomo,
wyraźnie
oczekując Makedonów. Starał się nie patrzeć na zwłoki swego
sobowtóra, lecz
mirno niechęci stale na nie popatrywał. Krew przestała już płynąć,
lecz smród
popękanych wnętrzności był coraz intensywniejszy. Parmenion pomyślał,
Ze
w śmierci nie ma godności i pocwałował ku linii drzew.
Gdy wjechał do lasu, postąpił zgodnie z instrukcjami Teny. Rozebrał
trupa
wykopał w gliniastej ziemi płytki grób i wrzucił do niego ciało.
Upadło na
plecy; martwe oczy zapatrzyły się w strategosa, w otwartych ustach
jakby
zawisło pytanie.
– Nie mam monety dla przewoźnika – oświadczył Parmenion nieżyja-
cemu. – Byłeś wszakże człowiekiem odważnym, toteż sędzę, że
znajdziesz
Pola Elizejskie i bez niej.
Szybko zasypał zwłoki, po czym usiadł prosto, dygocząc.
Po pewnym czasie otrząsnął się z odrętwienia i podniósł miecz króla.
Zupełnie nie zaskoczyło go odkrycie, że ma przed sobą tę samą broń,
która
zdobył ponad trzydzieści lat temu w innej Sparcie. Legendarna broń
Leonida-
sa, króla mieczowego, pięknie wyrzeźbiona i cudownie ostra.
Leonidas! Sławne imię z przeszłości, a równocześnie imię pierwszego
wroga Parmeniona, brata Derae, z którego strony strategosa
nieustannie
spotykały szyderstwa, z namowy którego bywał bity, prowodyra kampanii
nienawiści i przemocy...
Epoka ta ostatecznie dobiegła końca w bitwie pod Leuktrami, kiedy
strategiczny geniusz Parmeniona przyczynił się do klęski spartańskiej
falangi,
zabicia króla i uwolnienia Teb od spartańskiej hegemonii. Wraz z tą
bitwą
skończyło się też spartańskie panowanie w całej Grecji.
Strategos doskonale pamiętał dzień zwycięstwa w turnieju gier
strategicz-
nych, w którym spartańscy młodzieńcy toczyli bitwy przy użyciu
rzeźbionych
żołnierzyków. Decydująca okazała się taktyczna przebiegłość i
nowatorska
strategia. Finał odbywał się w domu Ksenofonta, wygnanego wodza

ateńskie-
go, bliskiego przyjaciela króla Sparty, Agesilaosa.
Agesilaos, szczerze wierząc w zwycięstwo swego bratanka, Leonidasą,
zaoferował jako nagrodę legendarną broń jego imiennika. Tyle że
Leonidas
nie wygrał. Jego armię drewnianych żołnierzyków rozgromił
znenawidzony
mieszaniec, poniżany przez kolegów pół-Macedończyk... Nawet sam król
nim pogardzał.
I tak ów miecz trafił się Parmenionowi.
A jednak po leuktryjskiej bitwie, w której strategos zmiażdżył potęgę?
Sparty, właśnie Leonidas przyszedł omówić warunki zabrania z pola
ciał
zabitych spartańskich wojowników. Przyszedł do Parmeniona...
Leonidas – mimo klęski – pozostał dumny i arogancki. Mimo to w pew-
nym momencie tamtej rozmowy strategos (z powodów, których nigdy
całko-
wicie nie pojął) oddał mu miecz, kładąc na zawsze kres ich wzajemnej
wrogości.
A teraz znowu siedział w obcym lesie z bliźniaczym ostrzem w dłoni.
Jaką decyzję winienem podjąć?" – zastanowił się po raz kolejny. Odpo-
wiedź nasuwała się sama. Król Sparty, Parmenion, poległ. Spartańska
armia
straciła przywódcę.
król-demon triumfował.
Na szczęście nie była to wygrana ostateczna. Losy tego świata
spoczęły
obecnie w rękach strategosa.
Derae patrzyła za wodzem, póki nie zniknął jej z oczu, potem
rozluźniła
się uspokoiła umysł i skoncentrowała swoją moc. Tak przygotowana
wyru-
szyła w mentalną podróż; szukała makedońskich jeźdźców, którzy
pędzili po
ciało znenawidzonego wroga.
Znajdowali się w odległości pół mili od niej. Kapłanka skupiła się na
przywódcy oddziału, Teoparlisie; krępy, ciemnokim mężczyźnie. Był
silny
i nieustraszony, jego serce stwardniało jeszcze w dzieciństwie za
sprawą lat
niewoli i katorżniczej pracy. Derae wpłynęła w jego podświadomość i
spo-
kojnie zaczęła przygotowywać jego umysł. Następnie zajęła się jego
towarzy-
szami. Wywierała wpływ na jednego po drugim.
Gdy w końcu otworzyła oczy, żołnierze w półkolistym szyku podjeżdża-
li ku skałom. Ich oczy penetrowały otaczające głązy. Na rozkaz dowód-
cy wszyscy ściągnęli lejce, zeskoczyli z koni i rozpoczęli piesze
poszu-
kiwania.
Derae głęboko zaczerpnęła powietrza. Żaden z mężczyzn jeszcze jej nie
zauważył. Wstała.
– Nie ma go tutaj – obwieściła cichym, lecz pełnym majestatu głosem.
Najbliższy Makedon aż stracił oddech, zatoczył się, a oczy
rozszerzyły mu się
ze strachu. Nie dostrzegał bowiem wysokiej, kościstej kobiety w źle
dopaso-
wanym chitonie, lecz boską wojowniczkę w doryckim hełmie i złotym na-
pierśniku. Na jej ramionach siedziała sowa o bystrym spojrzeniu. Oczy
ptaka
błyskały jaskrawo w blasku słońca.
Dwudziestu wojowników zastygło w niemym zadziwieniu przed Ate-
ną- Nagle bogini mądrości i wojny uniosła złotą włócznię i wycelowała
ją

w Teoparlisa.

– Wróć do swojego króla – poleciła nie znoszącym sprzeciwu tonem
– i powiedz mu, że Parmenion żyje.
– Pani, Filippos nazwie nas kłamcami i na miejscu uśmierci – zaprotestował.

– Wyciągnijcie miecze – rozkazała cicho. Natychmiast wykonali jej polecenie. – Teraz przyjrzyjcie się im.

Ostrza poruszyły im się w rękach i zmieniły w wijące się węże.

Krzycząc

z szoku i przerażenia, mężczyźni odrzucili broń. Wszyscy z wyjątkiem

Teo-

Parlisa.

– To ciągle jest mój miecz – oświadczył, choć twarz mu pobladła a dłonie drżały.

Ostrze ponownie zeszyt wniało, wąż zniknął.

– Zgadza się, Teoparlisie. Jesteś silny i dzielny – oceniła Derae. __.

Skoro magia cię nie zwiódła, możesz bez lęku pójść do swojego króla i przekonać go. Czyż nie posiada on cudownego oka, dzięki któremu czyta

zwykłym śmiertelnikom w myślach? Będzie wiedział, że nie kłamiesz.

– W jaki sposób człowiek mógłby przeżyć taki upadek? – spytał.

Kapłanka wskazała na wojownika stojącego obok Teoparlisa.

– Podnieś miecz – rozkazała. Mężczyzna posłuchał. – Przetnij sobie dłoń.

– Nie! – krzyknął żołnierz, jednak broń sama się uniosła, a lewa ręka Makedona otworzyła się wbrew jego woli. – Nie! – krzyknął po raz wtóry,

lecz ostre żelazo wniknęło już w ciało i krew trysnęła z rany.

– Przytrzymaj dłoń w górze. Niech wszyscy zobaczą – rzuciła Derae.

– To nie jest złudzenie, Teoparlisie, dotknij rany. – Dowódca

posłuchał. –

Czy jest prawdziwa?

– Tak, pani.

– Teraz uważaj... i się ucz.

Zamknęła oczy. Cięcie było płytkie i równe, toteż w przeciągu kilkunastu

sekund zdołała zasklepić tkankę. Minutę zajęło jej gojenie, które zazwyczaj

trwa około dziesięciu dni. Gdy otworzyła oczy, mężczyźni zebrali się wokół

rannego wojownika i patrzyli na rękę zalaną krwią.

– Zetrzyj krew – nakazała Derae. Żołnierz posłuchał i wytarł rękę o skraj czarnego płaszcza. Pozostała mu jedynie niewielka blizna.

– Teraz już wiecie, w jaki sposób król przeżył upadek – wyjaśniła. –

Uzdrowiłam go. I powiem wam coś jeszcze: tego człowieka ukochali bogo-

wie. Następnym razem zobaczycie go w dzień swojej śmierci... Jeśli Parme-

nion tak zdecyduje.

– Jego sojusznicza armia została rozbita – spierał się Teoparlis.

– Może, ale teraz musicie stawić czoło całej potędze Sparty.

– Pięć tysięcy wojowników, choćby nie wiem jak dobrych, nie oprze się niezliczonym makedońskim zastępom.

– Zobaczymy. Teraz odejdźcie. Przekażcie moje słowa Filipposowi-

Powiedzcie mu, że jeżeli pomaszkuje na Spartę, zginie.

Dowódca skłonił się i wrócił do konia. Pozostali poszli za jego przykładem.

Derae pozwoliła rozwiać się iluzji i wojownicy odnieśli wrażenie, że bogini Atena zniknęła na ich oczach. Nie zauważona odeszła na zachód, w odległy las.

Znalazła strategosa. Siedział przy świeżo zasypianym grobie.

– Zajmiesz jego miejsce? – spytała.

__ Nie wiem, Teno – odparł. – Kierowaliśmy się do Sparty, ponieważ sądziliśmy, że tak będzie najbezpieczniej i że spotka się tam z nami

Arysto-
teles- Co teraz? Spartanie zostali pozbawieni wojskowego przywódcy, a
Ma-
kedonowie w każdej chwili mogą ruszyć na miasto.
__ Więc chyba nie masz wyboru?
Wzruszył ramionami.
__ Moglibyśmy udać się do portalu i pomóc Aleksandrowi w wypełnieniu
przeznaczenia. Jeśli ma w ogóle jakieś, jeśli rzeczywiście jest
Iskandrem...
Może zresztą czeka tam na nas Arystoteles, który zabierze nas do
domu, zanim
przybędą Makedonowie.
- A król-demon?
- Filipposem nie zaprzęgam sobie głowy, kobieto. To nie jest mój
świat.
__ Jego słowom brakowało wszakże przekonania, a spojrzenie błądziło
ku
grobowi. Westchnął i wstał. - Dobrze, powiedz mi więc, jaka decyzja
będzie
właściwa - poprosił.
- Pytasz mnie czy jego? Ten człowiek był w pewnym sensie tobą,
Parmenionie. Spytaj zatem samego siebie, czego chciałbyś, gdyby role
się
odwróciły. Wolałbyś widzieć rodzinne miasto podbite, a swoich
poddanych
zniewolonych i mordowanych? A może żywiłbyś nadzieję, że twój brat
bliźniak zdoła osiągnąć coś, czego tobie się już nie uda?
- Daruj sobie te gierki, dobrze znasz moją odpowiedź. Jednak najważ-
niejszy jest przecież młody książę.
- I sytuacja zasadniczo się nie zmieniła - zauważyła spokojnie. -
Potrzebujemy silnej Sparty, by powstrzymać Makedonów i dać
Aleksandrowi
czas na dotarcie do portalu. Kto skuteczniej wesprze Spartan w walce
niż
ich król?
- Tyle że ja nim nie jestem. Nie mogę się w niego wcielić, Teno.
Pewnie
Parmenion miał rodzinę. Żonę, synów, córki. Wyczują, że coś jest nie
tak.
A nawet jeśli nie, znieważylbym jego pamięć...
- Znieważylbyś jego pamięć, gdyby to on walczył za ciebie?
- No nie - rzekł. - A jednak nie wyobrażam sobie siebie w roli
spartańskiego władcy. Zresztą, co z Attalosem i Karyntianami?
Przecież
wiedzą, że nie jestem królem.
- Attalos ma własną misję do spełnienia i niech tak zostanie. My zaś
musimy pojechać do Sparty i to już. Jest mnóstwo do zrobienia, a
zostało
niewiele czasu, ponieważ Filippos w ciągu kilku dni pomaszeruje na
miasto.
Nagle strategos przeklął.
- Dlaczego właśnie ja? - krzyknął. - Przyszedłem tu uratować swo-
jego syna, a nie wplątywać się w wojnę, która nic mnie nie obchodzi.
Derae milczała przez moment, potem podeszła do mężczyzny i z namasz-
czeniem położyła mu dłoń na ramieniu.
- Mój drogi, wszak znasz odpowiedź na to pytanie. Dlaczego ty? Ponie-
waż tu jesteś. Po prostu dlatego. Teraz pora działać.
Parmenion podszedł do grobu.
- Nie znałem cię - oświadczył cicho. - Jednak ludzie dobrze o tobie
mówią. Zrobię wszystko, co w mojej mocy, dla twojego miasta i
poddanych.
Szybko wdział wygiętą zbroję martwego monarchy i przypiął do boku
miecz Leonidas. W końcu odwrócił się do Derae i uśmiechnął.
- Mamy sporo do zrobienia - przypomniała mu.

– No to zaczynajmy – odparł lekko.
Przez dwie godziny jechali na południe, potem skręcili ku wschodowi, pędząc przez faliste wzgórza. O zmroku zatrzymali się w zniszczonej i opuszczonej osadzie. Strategos rozпалиł ognisko przy ruinach wałów obronnych.
Siedzieli w milczeniu, patrząc w płomienie. Derae powstrzymała się od czytania w jego myślach. W końcu się odezwał:
– Gdy odjeżdżaliśmy, królewscy gwardziści bronili przełęczy – rzucił nagle. – Uciekli?
– Dowiem się – odrzekła. W kilka minut później pokręciła głową. – Ponad jedna trzecia zginęła, lecz nadal bronią przed Makedonami wąskiego przejścia.
– Musimy dotrzeć do nich przed świtem. Jeśli zdołam przekonać królewskiego kapitana, że istnieje szansa na zwycięstwo, może unikniemy klęski.
– Sądziś – szepnęła – że potrafisz wygrać z królem-demonem?
– Walczyłem w wielu wojnach, pani, i nigdy nie przegrałem. Wierz mi, to nie arogancja przeze mnie przemawia, zważ, że jestem strategosem. Jeżeli istnieje sposób na pokonanie Filipposa, znajdę go. Albo ktoś mnie pogrzebie tak jak... ja mojego brata w tym bezimiennym grobie. Nic więcej nie mogę zrobić.
– Mówiłeś, że nic cię nie obchodzi ta wojna. Że to nie twój świat ani twoje miasto. Zawsze możesz pojechać do Portalu Giganta i tam poczekać na Arystotelesa.
– Nie, teraz już nie mógłbym.
– Dlaczego?
Wzruszył ramionami.
– Od pierwszego dnia w tym dziwnym świecie słyszę jedynie superlatywy o spartańskim królu. Nawet magiczne stworzenia mówią o nim dobrze, twierdząc, że na jego ziemiach nigdy nie były prześladowane. Był taki, jaki ja chciałbym być. Jednakże każdy z nas przeżył zupełnie inne życie. Ja zostałem najemnikiem, przepełnionym goryczą i nienawiścią. Potrafię jedynie walczyć. On został królem... i lepszym człowiekiem.
– Nieprawda... Też jesteś dobrym, szlachetnym i honorowym mężczyzną.
— Nazywają mnie Śmiercią Narodów, Teno. Nie jestem królem żadnego z nich, lecz raczej ich grabarzem.
— Kobieta, która nadała ci ten tytuł, myliła się... Myliła się we wszystkim, co zrobiła. Manipulowała twoim życiem, wyzwalała w tobie żal i podsycając nienawiść. Na szczęście, jej presja nie skrzywiła cię duchowo, wciąż jesteś wspaniałym człowiekiem.
— Znałaś ją? – spytał zaskoczony.
— Byłam... jej uczennicą. Ty zaś stanowiłeś główny cel jej planów, jej marzenie. Miałaś stanąć przeciwko Bogu Mroku. Była to wszakże daremna, zgubna wizja i Tamis umierała ze świadomością klęski. Parmenion z tego świata nie doświadczył goryczy i nienawiści. Rozumiesz? Nie bardzo się od ciebie różnił. Tak jak ty, był człowiekiem odważnym i szlachetnym,

inteli-

gentnym i czułym. – Z emocji wystąpiły jej na twarzy rumieńce, toteż odwróciła się od niego i szczelniej otuliła płaszczem.

Podszedł do niej. Poczula, że jego ręka dotyka jej ramienia.

– Gniewasz się na mnie? – spytał łagodnie.

– Nie – odparła. – Nie ma we mnie gniewu. Pozwól mi teraz się przespać. Jestem bardzo zmęczona.

Kiedy usłyszała, że wrócił do ogniska, zamknęła oczy.

Przełęcz Tegejska
Leonidas zarządził przeformowanie szeregów i wycofał się za linię tarcz.
Wojownicy po jego obu stronach zwarli szeregi, podnieśli wysoko tarcze i wyciągnęli przed siebie krótkie miecze. Nie mieli szans na zwycięstwo, tym razem liczyła się tylko honorowa śmierć. Leonidas przebiegł kilka kroków, potem wspiał się na wysoki głaz i spojrzał za siebie, w dół przełęczą.
Makedonowie odciągali zwłoki, przygotowując drogę na ponowne natarcie. Leonidas wyteżył wzrok, by przyjrzeć się nowym zmasowanym oddziałom. Złote opromienione słońca na czarnych napierśnikach wojowników oznaczały, że to królewscy gwardziści. „Więc w końcu wysyłają najlepszych”
– pomyślał. A przecież wcześniej Spartanie odparli ataki Ilirów, Traków i innych najemnych oddziałów. Ile razy pokonali pewnych sukcesu nieprzyjaciół? Dwadzieścia? Trzydzieści? Leonidas stracił rachubę. W każdym razie pole bitwy było już śliskie od krwi wrogów. Spartanie rozbili setki oddziałów tyrana. I rozbijają jeszcze drugie tyle.
Przełęcz była w tym miejscu wąska, liczyła niecałe siedemdziesiąt

kroków
i trzy spartańskie rzędy trzymały się twardo. Na razie. Mężczyzna zaklął cicho.
Księżyc stał wysoko, niebo było bezchmurne. Na szczęście Spartanie w porę wycofali się z pola bitwy, jednak utrzymanie przełęczy było z góry skazane na porażkę, ponieważ nawet obecnie makedońska konnica wspinała się ku nim po wysokich wzgórzach. Do rana Spartanie znajdują się w pułapce. Leonidas był znużony, chwytali go z przemęczenia kurcze, ponad wszystkim jednak smutek spowodowany klęską ciążył mu jak kamień. Początkowo bitwa wydawała się wygrana, potem jednak przekłęci Kadmejczycy zrejterowali. Tchórzliwe dranie! Gniew zapłonął w ciele wodza, ożywiając mięśnie nową energią. A jednak to nie ucieczka parszywych Kadmejczyków najbardziej go rozwścieczyła. Nie, adresatem jego gniewu był przede wszystkim nartański kapłan Apollina, Soteridas, który na długo przed bitwą oświadczył, że jej termin jest nieodpowiedni. A spartańska armia nie mogła maszerować bez boskiego błogosławieństwa. Teraz potwierdzało się, że Soteridas miał rację. Tyle że Leonidas doskonale wiedział, zresztą wszyscy walczący z nim Spartanie także zdawali sobie z tego sprawę, że gdyby na bitewnym polu stanęła cała armia, wspólnie posiekaliby Makedonów na kawałki. Zamiast tego, sprzymierzone wojska zostały rozdeptane na proch, król zabity. Leonidas zamknął oczy. Zabity... Wciąż nie mógł w to uwierzyć. Nieprzyjacielskie bębny dały sygnał do ataku. Spartański wódz zeskoczył z głazu i zajął swoje miejsce w pierwszej linii. Stał obok gigantycznego wojownika imieniem Nestos. Krew płynęła wielkoludowi z rany na policzku, napierśnik miał niemiłosiernie pogięty. – Przyszli – mruknął Nestos z uśmiechem. – Widocznie chcą umrzeć. Leonidas nie odpowiedział. Odziani na czarno Makedonowie jechali wprost na Spartan. Odgłos ich wojennych okrzyków odbijał się echem od ścian przełęczy. W tym momencie wśród gór rozległo się niskie dudnienie. Przypominało odległy grzmot. Leonidas zerknął w górę na strome skalne ściany po lewej. Wiele kamieni spadło z niego z łoskotem, po nich odłamki wielkości pięści. Na wierzchołku przełęczy, ponad Makedonami, wódz dostrzegł postać w złotej zbroi. Osobnik napierał na głaz, który zachybotał się na wąskim występie. Po chwili ogromna skała ześlizgnęła się z występu, prawie pociągając za sobą wojownika, po czym zleciała sześćdziesiąt stóp w dół i roztrzaskała się na drugim skalnym występie, sterczącym z lica klifu. – Lawina! – krzyknął jeden z makedońskich żołnierzy. Jego krzyk podjęli inni. Wroga szarża załamała się, jadący na jej czele wojownicy osadzili konie w miejscu z zamiarem zawrócenia z przełęczy. Wielki odłamek wapiennej skały grzmotnął w sam środek formacji wroga. Żołnierze zniknęli

pod
tumanami kurzu. Ich ciała zostały wręcz zmiażdżone. W szeregi
Makedonów
wkradła się panika, za wszelką cenę usiłowali uciec przed
śmiercionośną
lawiną. Kolejny wielki skalny odprysk zawisł nad ich głowami i runął,
zabijając dziesiątki wojowników.
Dławiąca chmura zafalowała, wiatr przeniósł kurz prosto w twarze
Makedonów ciągle czekających przy wylocie przełęczy.
Leonidas usiłował coś dojrzeć przez kłęby pyłu. Na szczycie klifu
znowu
dostrzegł wojownika w złotym napierśniku i humor natychmiast mu się
poprawił.
Król! – wrzasnął radośnie. – Król żyje!
Postać na wierzchołku klifu zakołysała się i wskazała na południe.
Leonidas w lot pojał sugestię. Makedonowie rozproszyli się, setki ich
poległo pod
skalnym gruzem. Nadszedł czas na odwrót.
– Formować szeregi – zawołał wódz. – Po sześciu w rzędzie!
Spartanie płynnie ustawili się w kolumny i wymaszerowali w zwartym
szeregu z przełęczy. Adiutant Leonidasa, porucznik Learchos, podszedł
do
niego wyraźnie czymś zaaferowany.
– Czy to naprawdę król?
– Tak sędzę. To on wywołał lawinę.
– Bądź pochwalony, o gromowładny Zeusie! Zatem wciąż jeszcze ma-
my szansę!
Wódz nie odpowiedział. Szansę? Z całej sprzymierzonej armii pozostała
już tylko spartańska falanga w liczbie pięciu tysięcy żołnierzy. Nie
mieli
konnicy, łuczników ani oszczepników. Tyran zaś dysponował przeciwko
nim
dwudziestoma tysiącami makedońskiej piechoty i dziesięcioma tysiącami
kawalerii. Jedyłą nadzieją była strategia defensywna – przyjęcie
bitwy na
górkich stokach albo na przełęczy, gdzie wroga konnica nie mogłaby
zostać
w pełni wykorzystana. Tyle tylko, że między Tegeą a Spartą ciągnęły
się
wyłącznie urwiste wzgórza i doliny. Kraj stał dla zdobywcy otworem.
„Parmenion znajdzie jakiś sposób” – pocieszył się wódz. Znajdzie go!
Uprytomnił sobie nagle, że w tym optymizmie przemawia przez niego
miłość
i lojalność, a nie racjonalne przesłanki, więc humor mu się
natychmiast
znacznie pogorszył.
W dzieciństwie byli wrogami, jednak Leonidas zawsze niezmiernie sza-
nował młodzieńca krwi mieszanej, po latach zaś ten szacunek
przeobraził się
w swego rodzaju respekt połączone z uwielbieniem. Byli sobie bliźsi
niż
bracia. A jednak... nawet tak genialny wódz jak Parmenion, jakież mógł
wymyślić plan w obecnej sytuacji? W jaki sposób przeciwstawić się
demo-
nicznym talentom Filipposa?
Przełęcz rozszerzyła się, a kiedy żołnierze wymaszerowali na równinę,
przygalopowało ku nim dwóch jeźdźców.
– Król! – krzyknął ktoś. Spartanie wyjęli miecze i zaczęli trzaskać
nimi
o spiżowe tarcze w geście pozdrowienia. Leonidas wybiegł na spotkanie
nadjeżdżającym.
– Witaj, panie! – zawołał. Król siedział przez moment w milczeniu

z twarzą pozbawioną wyrazu. W końcu uśmiechnął się.

– Miło cię widzieć całego i zdrowego, Leonidasie.

Głos miał zimny i osobliwie napięty. Wodzowi wydał się jakiś obcy. Przymomnił sobie jednak, jak trudne były ostatnie dwa dni. W dodatku król

spadł ze skały i chyba tylko cudem nie zginął.

– Jakiego wydasz rozkazy, panie?

– Bezwzględnie ruszamy na południe, do Sparty – odparł Parmenion.

Makedońska konnica nadal jest blisko. – Wódz skłonił się, potem spojrział

na towarzyszkę króla. Miała surowe oblicze i nie spuszczała wzroku z Leoni-

dasa. Parmenion nie przedstawił jej. Fakt ten zaskoczył wodza, nic wszakże

nie dał po sobie poznać. Wrócił na czoło kolumny.

Jeszcze dwie godziny po świcie maszerowali, aż wreszcie król

zarządził

postój. Leonidas wydał dyspozycje i żołnierze rozbili obóz w małym zagajni-

ku na stoku pasma niewysokich wzgórz. Spartanie z ulgą legli pod drzewami

na trawie.

Wódz rozstawił wartowników i polecił im wypatrywać nieprzyjaciela, po czym podszedł do miejsca, gdzie król Parmenion siedział wraz z

kobietą.

– Sądziłem, panie, że zginąłeś – zagaił i usiadł obok.

– Faktycznie, śmierć była blisko – odparł wymijająco władca. –

Świetnie walczyłeś na przełęczy. Jakiego ponieśliśmy straty?

– Osiemdziesięciu zabitych w bitwie na równinie, dalszych trzydziestu

na samej przełęczy. Zginęli: Epulis, Karaś i Ondomenos.

Król pokiwał głową, w żaden sposób jednakże nie okazał żalu. Leonidas z trudem powstrzymał zaskoczenie, Ondomenos należał bowiem do

najbliż-

szych towarzyszy Parmeniona.

– Makedońska jazda – odezwał się władca – dotarła do przełęczy, ale nie udało się w pogoń za nami. Odpocznijemy tu przez dwie godziny,

potem

ruszymy dalej na południe.

– Skąd o tym wiesz, panie?

Król uśmiechnął się.

– Przepraszam cię, przyjacielu. Umysł miałem zajęty czymś innym i zapomniałem o dobrych manierach. Pozwól, że ci przedstawię

wieszczkę

Tenę. Posiada liczne talenty, podczas bitwy ocaliła mi życie.

Wódz skłonił głowę.

– Jestem ci niezmiernie wdzięczny za pomoc, pani. Bez króla ani chybi bylibys'my skazani na nieuchronną klęskę. Skąd pochodzisz?

– Z Azji – odparła Tena. Parmenion wyciągnął się na ziemi i zamknął oczy. – Król jest znużony – dodała. – Może przejdziemy się i porozmawiamy? – zaproponowała Leonidasowi.

– Oczywiście – odparł zakłopotany. Zachowanie monarchy zaczynało go niepokoić. Bez słowa jednak wziął Tenę pod ramię. Przeszli na

skraj lasu

i tam usiedli na zwałonym pniu. Wódz zerknął za siebie ponad równiną.

– Król – wyjaśniła kobieta – spadł ze skalnego występu i mocno

uderzył się w głowę.

– Widziałem wklęśnięcie na jego hełmie, pani. To istny cud, że przeżył.

Jest silnym mężczyzną.

I najlepszym z ludzi, pani.

– Tak, jestem tego pewna. Znam go wszakże bardzo krótko. Opowiedz mi o nim.

– Z pewnością nawet w Azji słyszałaś o sławnym Parmenionie!

– Oczywiście. Chciałabym go wszakże poznać bliżej... jako człowieka

Podobno jest mieszanej krwi. W jaki sposób zatem został królem?

– Był naczelnym wodzem Sparty. Kiedy trzy lata temu Agesilaos zginął w Wielkiej Wojnie Ateńskiej, eforowie wybrali Parmeniona.

– Ale przecież nie jest spowinowacony z żadnymi rodami królewskimi – zauważyła kapłanka.

– To nie do końca prawda, pani. Dobrze się ożenił. – Leonidas zachichotał.

– Ożenił?

– Widzisz, pani, pochodzę ze szlacheckiego rodu. Po śmierci Agesilaosa sam mogłem się ubiegać o tron. Wiedziałem jednak... W tamtym mrocznym okresie, gdy Sparta była o krok od upadku, doskonale wiedziałem, że potrzebujemy lepszego władcy niż ja. Parmenion był wymarzoną wprost kandydatem. I dlatego wprowadziłem go do swojej rodziny. Poślubił moją siostrę, Derae.

Kapłanka milczała zaskoczona. Czowała, że serce coraz szybciej bije jej w piersi, ręce zaczynają drżeć. Gdy Leonidas pochylił się ku niej, zdała sobie sprawę, że zdradzają wyraz twarzy.

– Dobrze się czujesz, pani? – spytał głosem pełnym troski.

Nie miała siły odpowiedzieć. Znalazła się przecież w alternatywnym świecie. Nic ją tu nie powinno dziwić. Światem tym rządził Filippos, a Parmenion był królem tutejszej Sparty! „Ależ byłam głupia – powiedziała sobie w myślach. – Jak mogłam zapomnieć, że będzie tu także moja odpowiedniczka?!”

– Proszę, zostaw mnie na chwilę samą, Leonidasie – rzuciła z wymuszonym uśmiechem. – Mam wiele spraw do przemyślenia. – Zdezorientowany wojownik wstał, skłonił się i odszedł.

Gdy się oddalił, kobietę ogarnął potworny żal.

– Dlaczego jesteś nieszczęśliwa? – spytała Tamis. Derae ocknęła się i zobaczyła unoszącego się w powietrzu ducha starej czarodziejki.

– To długa historia i nie mam siły jej opowiadać – odparła szeptem kapłanka – ale podzielę się z tobą moimi myślami i wspomnieniami. Znajdziesz tam wszystkie odpowiedzi.

– Wolałabym nie ingerować w twój umysł – stwierdziła cicho Tamis.

– To nie będzie ingerencja – zapewniła ją Derae. – A ja wysoce sobie cenię twoje rady.

– Dobrze, zatem... – odrzekła wieszczka. Kapłanka poczuła w głowie lekkie ciepło, gdy Tamis wniknęła w jej umysł i przeszłość. W końcu wycofała się. – I cóż mam ci poradzić? – spytała.

Derae wzruszyła ramionami.

– Kocham go. Odnoszę wrażenie, że całe życie go kochałam. A jednak spędziliśmy razem jedynie pięć dni. I ten czas tutaj... Tyle że tutaj on mnie nie zna. Nie mogłabym patrzeć na nich... razem. Nie mogłabym!

– W tym świecie sprawy mają się zgoła inaczej, jak zresztą wszystko – zauważyła starszuszka spokojnie. – Tutejszy Parmenion nie uratował stąd pochodzącej Derae i nie przeżyli pięciu namiętnych dni. W tym świecie Derae kochała mężczyznę imieniem Nestos, lecz została zmuszona do poślubienia mieszańca, którego później obwołano królem. Żyją razem, a równocześnie osobno. Bez miłości.

– Ona go nie kocha?! Nie mogę w to uwierzyć.

– Powtarzam, że tutaj on jej nie uratował. Spotkali się zaledwie kilka razy przed ślubem. Derae była zaręczona z Nestosem, którego

podziwiała.

Sądzę, że nadal go podziwia i kocha potajemnie.

– Dlaczego moje życie tak się potoczyło? – wyszeptała rozpaczliwie kapłanka. – Dlaczego musiało tak wyglądać? Dlaczego „moja” Tamis zła-
mała mi życie? t

– Wyrzadziła wam obojgu wielką krzywdę. Nie usprawiedliwiam jej. Jednakże... gdyby tego nie zrobiła, nie spełniłaby się moja wizja i strategos

nie przybyłby do mojego świata, by go ratować.

– O czym ty mówisz?!

– Przypuśćmy, że twój Parmenion nigdy nie zasłużyłby sobie na miano Śmierci Narodów. Jak wówczas pomógłby Sparcie z mojego świata? Nigdy by tu nie dotarł, ponieważ nie urodziłby się Aleksander, który go tu sprowa-

dził... Pojmujesz?

Derae zrobiło się słabo. Potrząsnęła głową.

– Twierdzisz zatem, że znana mi Tamis postąpiła mądrze? Pokrętna ta twoja logika i jakoś do mnie nie przemawia!

Starucha wzruszyła ramionami.

– Źle mnie zrozumiałaś. W kontekście twojego świata postąpiła niewła-
ściwie, ponieważ jej działania doprowadziły do narodzin Ducha Chaosu i zniszczyły twoje marzenia o miłości. Ale tutaj? Tutaj dziecko może się

okazać Iskandrem i nadzieją na przywrócenie magii.

– Nie potrafię pojąć tych niuansów, Tamis.

– W końcu je zrozumiesz, moja droga. Każde działanie, które podejmu-
jemy, niesie za sobą liczne konsekwencje. Niektóre są dobre, inne –
złe. Na

Przykład twoje życie. Jako młoda dziewczyna zostałam porwana.

Konsekwen-

cja tego porwania stała się miłość do Parmeniona. Czyn był haniebny, lecz

jego wynik – cudowny. Albo inny przypadek. Chociaż moja imienniczka
myliła się, zabierając cię ze Sparty, dzięki temu zostałam
uzdrowicielką. Nikt

z nas nigdy nie może być pewien, dokąd go zaprowadzą własne czyny.

Dlatego właśnie adepci Źródła nie powinni używać broni zła.

Wszystkimi

naszymi działaniami musi rządzić miłość.

– Sądziś, że miłość nie może prowadzić do zła?

– Oczywiście, że może. Ponieważ z miłości rodzi się zazdrość, a za-
zdrość tworzy nienawiść. Jednakże jeśli prawdziwa miłość zwycięży,
czyny

inspirowane nią znacznie częściej przynoszą harmonię niż destrukcję.

– I pokonamy Filipa dzięki miłości, tak? – odparowała zjadliwie

Derae.

– Nie czuję do niego nienawiści – odparła Tamis. – Czuję do niego

wielką litość. W każdym razie to nie ja sprowadziłam tutaj

Parmeniona,

choć prawdopodobnie bym potrafiła. Nie użyłam też swoich mocy, by
zabić Filipposa, a mogłam to uczynić i pewnie by mi się udało. Nie
robię

niczego, jeśli nie znam w danej kwestii woli Źródła.

– Mam wrażenie, że unikasz odpowiedzialności – mruknęła kapłanka.

– Ponieważ nie możesz zaprzeczyć temu prostemu faktowi, że mój Parme-
nion jakoś się jednak tutaj znalazł. Jest wojownikiem, więc będzie
starał się

walczyć z Filipposem. W tej wojnie zginą tysiące ludzi. Bez wątpienia
zostanie w niej użyta... Jak ją nazwałaś? „Broń zła”.

Staruszka pokiwała głową.

– Być może. Nie mogę dla własnego widzimisię zmieniać losów świata.

Mogę jedynie bronić zasad Źródła w obliczu zła. Kiedy rak

rozprzestrzenia

się na ciało, czy chirurg, który go wycina postępuje w imię zła?

Kaleczy ciało
i powoduje ból. Czy mamy do czynienia ze złem? Wiele zasad z pozoru
wygląda niemądrze. Pewien król oblegał kiedyś miasto. Zapowiedział,
że
oszczędzi mieszkańców, jeśli wybiorą jedno dziecko i złożą mu je w
ofierze
na blankach. Ludzie zaczęli dyskutować nad tą propozycją. Czy zabicie
jednego dziecka jest moralnie usprawiedliwione wobec alternatywy
skazania
na śmierć setek innych dzieci? Przecież agresor w każdej chwili mógł
sforso-
wać mury i wtargnąć do miasta.
- Co zrobili?
- Odmówili.
- I co się stało?
- Król urządził masakrę. Nikt nie przeżył.
- Jaki z tego wniosek, Tamis?
- Oto pytanie dla ciebie, moja droga. Sądysz, że mieszkańcy
postąpili źle?
- Nie potrafię ci odpowiedzieć. Ale dziecko, które mieli poświęcić, i
tak
umarło, prawda?
- Tak.
- Więc dlaczego właściwie odrzucili ofertę?
Wieszczka westchnęła.
- Zrozumieli, że nie ma czegoś takiego, jak mniejsze zło. Wybór jest
zawsze taki sam. Zło rośnie, Derae. Ustąp raz, a już zawsze będziesz
ustępo-
wać... Znowu i znowu. A ty na ich miejscu zabiłabyś dziecko?
- Nie, oczywiście, że nie.
- Nawet po to, by ratować miasto?
- Nie.
- A więc po co pytałaś, czemu tamci odmówili?
- Ponieważ jestem przyzwyczajona do tego, że ludzie nieustannie po-
pełniają zło. Rozumiem też naturę egoizmu i kompromisu. Jestem wręcz
zdziwiona, że mieszkańcy miasta popisali się taką szlachetnością
ducha.
- Mieli wielkiego przywódcę, moja droga. Jego imię brzmiało Epami-
nondas. Był najlepszym przyjacielem króla Parmeniona. Ludzie kochali
go za
jego cnoty. Umierali za niego.
- Co stało się z jego przeciwnikiem?
- Maszeruje na Spartę, Derae. Był nim Filippos.
- Nie pojedę do Sparty - oświadczyła nagle kapłanka. - Pojadę na
południe, pod Portal Giganta. Nie zamierzam patrzeć na Parmeniona i
jego...
żonę. Nie chcę też ujrzeć go martwym.
- Sądysz, że poniesie klęskę?
- A czy ma w ogóle szansę na zwycięstwo, Tamis?
Stara kobieta nie udzieliła odpowiedzi. Nie znała jej.
Strategos leżał, nie mogąc zasnąć. Obecna sytuacja martwiła go, a
równo-
cześnie okropnie irytowała. Dotąd w swoim życiu nigdy nikogo nie
oszukał!
Jednakże jaki miał wybór? Gdybyż tylko mógł powiedzieć Leonidasowi:
„Nie
jestem twoim królem, jestem wojownikiem z innego świata...” Ale czy
wówczas pozostałby dowódcą spartańskiej armii? Bardzo wątpliwe.
Usiadł
na posłaniu i rozejrzał się po obozie.
Dostrzegł Nestosa, fechtmistrza, którego w swoim świecie zabił w
poje-
dynku, mszcząc się za śmierć Derae. Zauważył też Learchosa. Tego z
kolei

zabił przypadkiem w noc ataku na Hermiasa. Rozpoznał kilka innych twarzy, nie mógł sobie jednak przypomnieć imion. Zniknęły w jakimś odległym zakamarku pamięci.

Wstał.

– Oficerowie, do mnie! – zawołał.

Mężczyźni wstali, podeszli do niego i usiedli w kręgu. Ukłonili mu się

wszyscy poza gigantem Nestosem. Parmenion spojrział wojownikowi w oczy i dostrzegł w nich wrogość. Po chwili z lasu wyłonił się Leonidas i przyłączył

do grupy. Strategos popatrzył na jego smukłą twarz, mocno kręcone włosy

w odcieniu czerwonozłotym, jasnobłękitne oczy. „Mój wróg i mój przyjaciel”

– pomyślał.

– Mimo przegrania bitwy – zaczął – otrzymaliśmy dobrą lekcję Filippos jest kiepskim wodzem.

– Ciekawe rzeczy prawisz – warknął zjadliwie Nestos. – Bo jeśli mówimy o tym samym Filipposie, to nie przypominam sobie, by kiedykolwiek

przegrał choćby potyczkę. – Przemawiał gniewnym, niemal szyderczym tonem.

– Przewagę zapewnia mu złote oko, dzięki któremu czyta przeciwnikom w myślach. Stąd właśnie czerpie siłę i wyprzedza posunięcia wroga.

Rozu-

miecie? W ogóle nie musi przygotowywać strategicznej koncepcji bitwy. Po

prostu przechwytuje plany innych i rujnuje je. Uderza tam, gdzie się go

najmniej spodziewamy.

– I jakież dla nas pożytek z tego odkrycia? – spytał niepewnie Leonidas.

– A taki, że Filippos bez swego magicznego oka byłby słaby. Jego potęga

jest złudna. Jeśli zdołamy znaleźć sposób, by unieszkodliwić jego moc,

uczynić go „ślepy”, zniszczymy go – wyjaśnił Parmenion.

– Jak tego dokonamy? – spytał rzeczowo smukły Learchos.

– Znajdę sposób – obiecał strategos z przekonaniem, którego wcale nie czuł. – Teraz powiedz mi, Leonidasie, jak liczne wojsko możemy wystawić?

– Wystawić wojsko, panie? Wszak mamy stałą armię, która liczy pięć tysięcy żołnierzy.

Parmenion zamilkł. W jego Sparcie istnieli skiritajowie, wojownicy z gór

położonych na północnym zachodzie państwa. Czy jednak mieszkali też tutaj?

– Hmm... A gdybyśmy musieli zebrać wojsko niezupełnie... czyste w sensie narodowościowym – zaczął ostrożnie – gdzie szukalibyśmy sojuszników?

– Nie widzę żadnych, panie. Meseńczycy również stanęli po stronie Filipposa. Gdybyśmy mieli czas, moglibyśmy wprawdzie spróbować zjednać

sobie Kreteńczyków, niestety go nie mamy. Jesteśmy skazani na własne siły.

– Spytałem zatem inaczej. Założmy, że dajemy każdemu mężczyźnie w państwie miecz... Ilu wojowników byśmy zyskali?

– Chcesz uzbroić niewolników, panie?

– Właśnie.

– Piętnaście tysięcy... może nawet dwadzieścia. Ale żadni z nich wojownicy. Są niewyszkoleni, niezdiscyplinowani. A później... nawet gdyby-

śmy wygrali... Jak odbierzemy im tę broń?

– Nie wszystko naraz, mój przyjacielu. Najpierw musimy zwyciężyć.
– Uważasz, że spartańska armia nie poradzi sobie sama? – spytał Nestos. Jego ciemne oczy nadal płonęły z gniewu.
– W sprzyjających warunkach żadne wojsko na świecie nie może się równać z naszym – zgodził się strategos. – Ale powiedz mi, Nestosie, jak wygląda krajobraz między nami a Spartą? Na otwartym terenie FilippoS niechybnie nas pokona, jego konnica nas stratuje i popędzi prosto na naszą stolic? – A Sparty z tak wątlými siłami obronić nie zdołamy. Nie, musimy wydać Filipposowi otwartą bitwę, ale z pięcioma tysiącami ludzi go nie pokonamy.
___ Co zatem proponujesz? – zapytał Learchos.
___ Po powrocie do Sparty natychmiast zbierzecie wszystkich niewolników oraz każdego Spartanina poniżej sześćdziesiątego piątego roku życia i powyżej piętnastego. Niewolnicy, którzy zgodzą się walczyć z nami w ramię, otrzymają wolność. Do was będzie należało choćby powierzchowne wyszkolenie ich. Mamy pięć dni, może nawet mniej.
.– Dzieci, starcy i niewolnicy? – zadrwił Nestos. – Może lepiej od razu się poddajmy?
– Jeśli się boicie – odparł spokojnie Parmenion – możecie pozostać w domu z kobietami. Twarz olbrzymia bardzo pobladła.
– Ośmielasz się coś sugerować?
– Ośmielam się – odrzekł strategos. – Nie mam ochoty dowodzić tchórzami.
Nestos zerwał się na równe nogi, wysuwając miecz z pochwy.
– Nie! – krzyknął Leonidas.
– Zostaw go mnie – mruknął Parmenion. Podniósł się powoli, lecz nie złapał za broń.
– To szaleństwo – krzyknął Learchos. – Na litość Hery, Nestosie, schowaj ostrze!
– Nazwał mnie tchórzem! Nie przyjmę takiej obelgi od nikogo, nawet od króla.
– Mylisz się, arogancki sukinsynu! – warknął strategos. – Przyjmiesz ją ode mnie. Masz dwa wyjścia. Albo użyjesz tego miecza i zginiesz, albo klęknieš i poprosisz mnie o wybaczenie. Co wybierasz?
Nestos stał nieruchomo. Wiedział, że skupia się na nim wzrok wszystkich oficerów. W tym straszliwym momencie zdał sobie sprawę z tego, co uczynił i jaki los go czeka. Jeśli zabije króla – czego z całego serca pragnął – natychmiast napadną na niego towarzysze. Ale na kolana przed mieszańcem nie zamierzał padać. Co to, to nie!
– Sam ściągnąłeś na siebie mój gniew! – krzyknął. – Obraziłeś mnie!
– Dwa wyjścia – oświadczył oschle Parmenion. – Wybieraj, w przeciwnym razie zabiję cię tam, gdzie stoisz. Przez moment Nestos się wahał, potem upuścił miecz. Na kolana! – ryknął strategos. Gigant upadł z pochyloną głową. Król lekceważył go, jego spojrzenie błądziło po obserwujących wojownikach.
– czy ktoś jeszcze chce podważyć moje prawo do przywództwa?
– Nie ma wśród nas takiego, panie – odparł cicho Leonidas. – Jesteśmy z tobą. Sercem i duszą.
Parmenion zwrócił się ponownie do klęczącego Nestosa:

– Precz z moich oczu! – wrzasnął. – Od tej pory walczysz w pierwszym szeregu. Nikomu nie będziesz już rozkazywał. Nigdy więcej w mojej obecności nie otworzysz ust.

Nestos wstał i oddalił się od grupki oficerów.

– To wszystko – rzucił strategos. – Za godzinę wymarsz. Przygotujcie się. – Odwróciwszy się, odszedł w las.

Leonidas podążył za nim.

– Powinieneś to zrobić już trzy lata temu – zauważył. – Twoja cierpliwość zawsze mnie zaskakiwała. Ale powiedz mi, Parmenionie, dlaczego właśnie teraz?

– Nadeszła pora. Cieszę się, że tu jesteś, bo muszę z tobą pomówić. Popatrz na mnie, Leonidasie i powiedz mi, co widzisz.

– Mojego króla i przyjaciela – odparł zakłopotany.

– Przyjrzyj mi się uważnie. Nie wydaję ci się starszy bądź młodszy?

– Taki sam jak zwykle, może tylko trochę bardziej zmęczony.

Tena zbliżyła się do nich i Parmenion odwrócił się.

– Nie potrafię oszukiwać, moja droga. Po prostu nie mogę.

– Musisz – stwierdziła.

– Chcę, aby Leonidas znał prawdę.

Wytrzymała jego wzrok. Nie musiała czytać w jego myślach, wiedziała, że nie warto się z nim spierać.

– W takim razie ja mu pokażę – poprosiła. – Wtedy zobaczy wszystko.

– Jak sobie życzysz.

– Co się tu dzieje? – spytał zdezorientowany Leonidas. – Czego nie wiem?

– Usiądź przy tym drzewie i zamknij oczy – rozkazała kapłanka. – Przekażę ci wszystkie niezbędne informacje.

Zmieszany wódz wykonał polecenie. Usiadł na trawie i oparł się plecami o pień młodego cyprysu. Tena klęknęła przed nim i zamknęła oczy.

Ciepło, niczym letni wiatr, przepłynęło przez jego umysł. Nagle zobaczył Spartę z dużej wysokości. Uświadomił sobie szybko, że nie jest to wcale jego rodzinne miasto. Istniały subtelne różnice.

– Cóż to za miejsce? – spytał.

– Obserwuj, a wszystkiego się dowiesz – odparła Tena.

Leonidas dostrzegł młodego Parmeniona, znienawidzonego i ściganego, zobaczył siebie i swoją rodzinę. Nic jednak nie pasowało do jego wspomnień.

Mijały lata. Ujrzał pojedynek między Parmenionem a Nestosem, obserwował uwalnianie miasta, doświadczył porażki spartańskiej armii i śmierci króla.

[

Nie przestawał się dziwić.

Potem zobaczył Filipposa i ponownie zalała go wściekłość.

Błyskawicznie odkrył że ma do czynienia z kimś innym. Dostrzegł różnice. Filipposa nazywano Filipem. Nie był opętany, nie miał złotego oka, żadna magia go nie chroniła. Zdarzenia przetoczyły się przed oczyma wodza w przyspieszonym tempie. Widział wielkie bitwy, zwycięstwa, klęski... aż do porwania królewskiego syna i podróży strategosa do alternatywnej Achai.

W jego umyśle rozległ się szept Teny:

Przygotuj się, bo to, co teraz zobaczysz, będzie bolesne.

Ponownie zwarły się w boju bitewne szeregi. Kadmejczycy na prawej flance przerażeni uciekli z pola walki. Koń króla Sparty, Parmeniona... jego króla popędził ku zachodnim pasmom.

– Nie – jęknął Leonidas, kiedy władca z podciętych gardłem spadał

w przepaść. Jego martwe ciało roztrzaskało się o skały. – Och, nie! Człowiek, któremu służył i którego kochał, leżał teraz w grobie, a jego zbroję i hełm nosił mężczyzna podobny do niego niczym kropla woda. Wizja zniknęła. Wódz otworzył oczy. Na początku nie był w stanie mówić, potem potrząsnął głową.

– Nie jesteś moim królem – mruknął cicho.

– Nie – przyznał Parmenion.

– Ale jest strategosem – zauważyła Tena i położyła Leonidasowi rękę na ramieniu.

Wstał, głęboko oddychając.

– Wiedziałem, że coś jest nie tak – wyszeptał.

– Przykro mi, Leonidasie – bąknął Parmenion. – Nie zaplanowałem tego, po prostu tak chciałem los.

– Wiem... Wiedziałem.

– Jeśli uważasz, że powinienem odejść, powiedz tylko słowo, a zrobię to – ciągnął strategos. – Nie czuję się dobrze w roli oszusta.

– Gdyby role się odwróciły, mój król powiedziała by to samo. Był wielkim człowiekiem, życzliwym dla innych, choć potężnym. Dlatego właśnie tolerował arogancję Nestosa. Uważał, że zrobił mu krzywdę, że jest mu coś winny.

Cóż mogę powiedzieć? Nie wiem, co począć.

Tena zrobiła krok do przodu.

– Wiem, że straciłeś przyjaciela, najlepszego. Spytaj teraz siebie, co wolisz. Twój król nie żyje i niech Źródło poprowadzi jego duszę.

Jednakże masz przed sobą równie doskonałego strategosa. Co zrobiliby na twoim miejscu znany ci Parmenion?

Przez jakiś czas Leonidas milczał, wpatrując się w dalekie drzewa. W końcu przemówił:

– Byłeś ze mną uczciwy, strategosie. Cenię cię za to. Pojedziemy do Sparty i stworzymy armię. Nie wierzę, że zwyciężymy, a jednak będę walczył u twego boku. Ale jeśli przeżyjemy, musisz nas opuścić. Nie jesteś moim bratem. Chcę, żebyś po wszystkim odjechał z mojego świata.

– Masz na to moje słowo – obiecał Parmenion. – Czy mam ci przysiąc?

– Nie – odparł wódz. – Wystarczy mi twoje słowo... Wystarczy, że przyrzekniesz.

– A zatem... ciągnijmy ten... dramat – podsumował żartobliwie strategos, próbując rozładować napięcie. – Będę potrzebował twojej pomocy.

Wielu rzeczy nie wiem o tym świecie. Musisz mi służyć radą, szczególnie gdy dotrzemy już do miasta. Którym eforom mogę zaufać? Kim są moi wrogowie?

Czas ucieka...

– Wierzysz, że zdołamy pokonać Filipposa?

– Wiem, że potrafię unieszkodliwić jego czary. Chciałbym omówić z tobą moją strategię. Wszystko jednak i tak zależy od liczebności armii, jaką zdołamy zebrać.

– Zrobię to, o co mnie poprosisz. Aż do końca bitwy pozostaniesz władcą Sparty.

Leonidas wyciągnął rękę i strategos ją uściskał.

– Zwycięstwo albo śmierć – oznajmił wódz.

– Wolałbym zwycięstwo – odparł król.

Leonidas uśmiechnął się i odszedł, a Parmenion odwrócił się do Teny.

– Sądziś, że źle zrobiłem?
Potrzęsnęła głową.
– Nie, nie, przecież będziesz potrzebował przyjaciela w mieście.
– Mam ciebie.
– Nie – stwierdziła smutnym tonem – niejadę z wami do Sparty. Udam się na południowy zachód, do Portalu Giganta.
– Ale sądziłem...
– Ja również. Niestety, naprawdę nie mogę.
– Pani, będę za tobą... tęsknić.
– I ja za tobą. Masz jakieś polecenia dla Attalosa?
– Tak. I dla Brontesa. Czy potrafisz się ze mną porozumiewać mimo odległości?
Tena kiwnęła głową, podeszła do niego i uniosła jego dłoń.
– Przez cały świat – obiecała.
Siedzieli razem jeszcze przez prawie godzinę. Parmenion przedstawia! kobiecie swoje plany, aż wrócił spartański wódz.
– Ludzie są gotowi – powiedział.
– Ja także – odparł strategos.
Miasto Sparta
Wieści o porażce dotarły do miasta już wcześniej, toteż wracających żołnierzy nie witały tłumy mieszkańców. Maszerowali w zwartej formacji Aleja Poległych, kierując się do pałacu o marmurowych filarach.
– Trzymaj się blisko mnie – szepnął Parmenion Leonidasowi, gdy wrócili do pobliskich koszar. We dwóch przekroczyli wielką bramę. – Wiesz, że nigdy tu nie byłem. Naszej sprawie nie pomoże, jeżeli zabłądzą i się zgubią.
Wódz się uśmiechnął.
– Na parterze znajduje się sześć andronitisów, kuchnie zaś tuż przed tobą. Twoje kwatery są na pierwszym piętrze po prawej stronie. Parmenion skinął głową i zerknął na ponuro pomalowane ściany korytarza prowadzącego do marmurowych schodów. Wszędzie widział bitewne sceny, nawet mozaika na podłodze ukazywała spartańskich wojowników w bitewnym szyku. Uśmiechnął się.
– Sparta wszędzie jest taka sama – zauważył. – Nawet w alternatywnym świecie.
Starszawy służący podszedł do nich i skłonił się.
– Priastes – szepnął Leonidas.
– Witaj w domu, panie – odezwał się sługa. – Przygotowałem ci kąpiel i posiłek. – Starzec skłonił się jeszcze raz, po czym odwrócił się i zaczął wspinąć na schody. Obaj wojownicy podążyli za nim. Po obu stronach schodów stały posągi spartańskich bohaterów z włóczniami. Strategos żadnego z nich nie rozpoznał. Priastes wspinał się na szczyt schodów i skręcił w prawo, do szerokiego korytarza z kilkoma pokojami, których okna wychodziły na wschód. Parmenion wszedł za sługą do jednego z nich i znalazł się w małej komnacie. Stała tam wysoka do biodra, pokryta spiżem balia napełniona gorącą, pachnącą wodą. Służący rozpiął mu napierśnik, resztę stroju król zrzucił sam.
Kąpiel była rozkoszna, gorąca woda sprawiła ulgę jego zmęczonym mięśniom. Starzec nalał do złotego pucharu rozwodnionego wina, wypił łyk i podał puchar swemu władcy.
– Dziękuję ci, Priastesie, to wszystko – odezwał się strategos i wygód.
nie ułożył się w wannie. Sługa uklonił się i wyszedł. Parmenion starł podróżny

kurz ze skóry, po czym wstał z kąpieli. Leonidas wręczył mu ręcznik, który król owinał sobie wokół talii. Później wyszedł na balkon. Zimny wiatr owiał go i mężczyzna zadrżał. – Ależ dobrze się czuję – oświadczył. – Zawsze jest mądrze usunąć nieświeży zapach potu i koni, zanim człowiek przywita się z żoną – stwierdził ostrożnie wódz. – Z żoną? Z jaką żoną?! Leonidas wziął głęboki wdech. Gdy za sprawą wieszczki Teny prześledził życie Parmeniona w alternatywnej Grecji, przypomniał sobie tragedię związaną z jego młodzieńczą miłością. – Hmm, nie będzie to dla ciebie łatwe, przyjacielu. W tym świecie poślubiłeś moją siostrę Derae. – Jest tutaj? W tym pałacu?! – Oczywiście. Ale wiedz jedno: twoja żona cię nie kocha. Miała wyjść za Nestosa, jednak obowiązek okazał się ważniejszy. Poślubiła ciebie, dzięki czemu objąłeś tron. Parmenion spuścił wzrok. Przez chwilę patrzył na swoje ręce. Drżały. – Nie mogę się z nią zobaczyć – szepnął. – Nawet nie wiesz... – Wiem – odparł szeptem Leonidas. – Wierz mi, wszystko wiem. Jednakże obraliśmy drogę, z której nie ma odwrotu. Bądź silny, przyjacielu. Derae nie zechce się z tobą widywać. Możesz jej unikać. Powiedz sobie, że to nie jest kobieta, którą kochałeś, lecz ktoś obcy. Mieszkasz obecnie w innym świecie... No dobrze. – Łagodnie zmienił temat. – Jakie masz plany bitewne? Strategos potrząsnął głową, bez powodzenia próbując wyrzucić z głowy myśli o Derae. – Nie będziemy ich omawiać szczegółowo. Ponieważ nie ma z nami Teny, nie wiem, czy nie jesteście obserwowani. – Mamy własną wieszczkę. Jest stara, ale kiedyś dysponowała ogromną mocą. Mam ją wezwać? – Jeszcze nie teraz. Jeśli posiada dar, natychmiast odgadnie moje oszustwo. Nie, nie. Najpierw wezwij eforów. Spotkam się z nimi dzisiaj- Sprowadź Tamis jutro rano. Teraz powiedz mi, którzy z eforów opowiedzieli się przeciwko bitwie z Filiposem? – Chirizofos i Soteridas. Obaj są niekwestionowanymi przywódcami rady. Chirizofos jest bogaty i wielu mężczyzn żyje na jego koszt lub w inny sposób korzysta z jego opieki, natomiast Soteridas to równocześnie arcykapłan w świątyni Apollina. Właśnie on odczytał omeny i z tego powodu armia odmówiła udziału w bitwie. __ Powiedz mi coś... Znalazłbyś dziesięciu mężczyzn o otwartych umysłach, ale umiejących trzymać język za zębami? __ Oczywiście – odparł Leonidas. – Ale po co ci oni? __ Niech podczas naszego zebrania przeszukają domy obu głównych eforów. __ Co spodziewasz się w nich znaleźć? __ Mam nadzieję, że nic. Musimy wszakże wziąć pod uwagę możliwość, że jeden z tych dwóch... albo obaj... są opłacani przez Filipposa. Ty i twoi ludzie musicie szukać wszelkich związków z Makedonami: listów, makedońskiego złota i innych dowodów rzeczowych. – Stanie się tak, jak mówisz.

- I wyślij jeźdźców, niech wypatrują makedońskiej armii.
- Tak... królu. - Przystojny Spartanin skłonił się i oddalił.
- Leonidasie!
- Panie?!
- Zrobię, co w mojej mocy, aby dorównać... jemu.
- Nie wątpię w to, drogi przyjacielu. A ja będę zawsze stał przy tobie.

Po wyjściu wodza Parmenion ponownie napełnił puchar rozwodnionym winem i, stojąc bez ruchu, przyglądał się miastu ponad jego wschodnimi

kwaterami. Stąd widział rynek, na którym sprzedawcy już rozmieszczali swoje stragany z jedzeniem. Liczni posłańcy biegali wąskimi uliczkami.

Nieśli kupcom nowiny o handlowych konwojach lub ładunkach. Przed pałacem służący sprząтали brud poprzedniego dnia. Nieczystości

wypływały z otwartych glinianych rur każdego domu i płynęły ulicami. Wysoko nad miastem, na akropolowym wzgórzu spoglądał ku górą posąg Zeusa - postawny, dumny i surowy.

Strategos przypomniał sobie słowa Leonidasa - ponad połowę z czterdziestu tysięcy mieszkających tutaj ludzi stanowili niewolnicy albo służący. Parmenion, będąc w ponurym nastroju, rozmyślał o zbliżającej się bitwie. Wiedział, że jego wojsko i tak nie dorówna liczebnością makedońskiej armii. Jego brat bliźniak nie miał szans. Tak, tak. Nie ilość była kluczem, lecz

Jakość... I atak z zaskoczenia. Jak jednak można zaskoczyć człowieka, który zna wszystkie zamierzenia przeciwników? Czy Filippos nawet teraz

czytał w jego myślach?

Myśl ta nie była pocieszająca. Makedonowie nadchodzili, ale jak dawno temu opuścili swoje miasto? walczyli w bitwie zaledwie kilka dni temu. Być może tyran pozwoli

nieco odpocząć wojownikom. Niech się nacieszą owocami zwycięstwa: da im czas

na gwałty i łupienie podbitych terytoriów. Tylko ile dni? Pięć? Trzy? Na pewno nie uważał, że Spartanie stanowili poważne zagrożenie... Przecież mieli zaledwie pięciotysięczną armię. Dodatkowe oddziały

niewolników też z pewnością go nie zmartwią.

Nagle drzwi za strategosem otworzyły się i powietrze wypełnił zapach słodkich perfum. Parmenion od razu wiedział, kto wszedł, i powoli się odwrócił. Serce mu kołatało, w ustach poczuł suchość.

Derae stanęła przed nim, ubrana w białą suknię zdobioną złotą nitką. Kobieta miała długie rude włosy, które zgarnęła z twarzy i ułożyła na karku

w postaci zawiłych splotów. Jej oczy były zielone, skóra przypominała wypolerowane złoto. Aż stracił oddech, gdy zbliżyła się do niego. Po

tylu latach znowu stał twarzą w twarz z osobą, którą niegdyś kochał i stracił.

- Derae! - szepnął.

- Okryłeś Nestosa hańbą - powiedziała ze złością. Jej oczy płonęły wściekle. - I będę cię za to nienawidzić do końca twojego życia!

Parmenion nie mógł mówić. Szok był zbyt wielki. Poczuli, że drżą mu nogi,

i odsunął się od balkonu. Już od ponad trzydziestu lat kochał Derae. Nie,

próbował sobie powiedzieć, nie tę kobietę! Inną! Jednak logika okazała się

nieskuteczna, gdy patrzył na piękność, którą miał przed sobą. Jej

postać żyła
w jego pamięci przez trzy dekady i teraz jej widok odbierał mu
odwagę.
– Mów! – zażądała.
Potrzaskał głową i podniósł puchar z winem. Oderwał wzrok od Derae,
próbując przegonić czar.
– Nie masz mi nic do powiedzenia?
Poczuł straszliwy gniew.
– Nestos może się uważać za szczęśliwca, że pozostał wśród żywych –
odparł w końcu. – A co do twojej nienawiści, pani, nie potrwa długo.
Prawdopodobnie mamy przed sobą zaledwie pięć dni życia. Jeśli chcesz
je
spędzić z Nestosem, idź do niego. Masz moje błogosławieństwo.
– Twoje błogosławieństwo? Trochę na to za późno. Wykorzystałeś mnie
do swoich celów. Poślubiłeś mnie, bo chciałeś zostać królem. Ukradłeś
moje
szczęście... A teraz udzielasz mi łaskawie błogosławieństwa. No cóż,
prze-
klinam je! Nie potrzebuję go.
– Powiedz mi zatem, czego potrzebujesz – poprosił. – Jeśli tylko
będzie to w mojej mocy, spełnię twoje pragnienie.
– Nic mi nie możesz ofiarować – odparła, po czym obróciła się na pię-
cie i zamasytym krokiem ruszyła do wyjścia.
– Derae! – zawołał. Zatrzymała się, lecz nie odwróciła. – Zawsze cię
kochałem – powiedział. – Zawsze.
Wtedy obróciła się i spojrzała mu wyzywająco w oczy. Jej policzki
płonęły
karrnazynowo, oczy błyszczały. Ale w chwili, gdy zobaczyła jego
minę, złość
w niej osłabła. Kobieta bez słowa rzuciła się do drzew i wybiegła z
pomieszczenia.
Podszedł do tapczanu i usiadł, a w jego głowie kłębiły się posępne,
przygnębiające myśli.
Wkrótce stary służący Priastes wrócił do kwater królewskich i skłonił
się
w oczekiwaniu na dyspozycje.
– Co dziś nałożysz, panie? – spytał.
– Przyjdzie się jak na bitwę – odparł strategos.
– Który napierśnik ci podać?
– Obojętnie – odburknął. – Sam wybierz, Priastesie. Wszystko jedno,
który.
– Tak, panie. Czy dobrze się czujesz? – spytał starzec.
– Doskonale.
– No tak – mruknął przemądrzale sługa. – Królowa się gniewa. Nasz
świat się rozpada, a królowa się złości. Zawsze taka była. Czemu nie
weźmiesz
sobie kolejnej żony, chłopcze? Większość królów tak czyni... a ona
nie dała
ci wszak synów. – Starego najwyraźniej łączyły ciepłe stosunki z
królem.
Parmenion wbrew sobie poczuł, że ta przyjacielska rada ukoiliła jego
skołatane
nerwy. Odpowiedział bez zastanowienia:
– Kocham tę kobietę.
– Naprawdę? – rzucił zdumiony Priastes. – Od kiedy? I właściwie
dlaczego? Wierzę, że ma piękne ciało i szerokie biodra, dobre do
rodzenia
dzieci. Tyle że... na Zeusa, ma wstrętne usposobienie.
– Jak długo jesteś ze mną, Priastesie?
– A cóż to za pytanie, królu?
– Jak długo? Dokładnie? Przypomnij mi.
– Dałeś mi wolność po bitwie pod Orchomenos. Kiedyż to było...
W roku gryfa? Sporo czasu minęło od tej pory.
–r Tak, rzeczywiście – zgodził się strategos. Odpowiedz ta niczego mu

nie wyjaśniła. – Czy bardzo się zmieniłem podczas tego okresu?
– Nie – odparł sługa z chichotem. – Ciągle jesteś taki sam: nieśmiały, a równocześnie arogancki. Poeta i wojownik w jednej osobie. Ta wojna była dla ciebie trudna, chłopcze. Wyglądasz dziś znacznie starzej. Jesteś zmęczony 'przybity. Klęski nie są dla mężczyzn.
– Do kolejnej postaram się nie dopuścić.
– I uda ci się – powiedział z mocą Priastes i znowu się zaśmiał. – Zgodnie ze wszystkimi przepowiedniami miałeś zginąć w ostatniej bitwie. Nie mierzyłem w nie! „Nie mój Parmenion” – powtarzałem sobie. Wiedziałem, że nikt na świecie cię nie pokona. Na pewno byś zwyciężył, gdyby nie Kadmejczycy. Słyszę też, że uporałeś się z Nestosem. Najwyższa pora! Ileż to razy ci radziłem, byś ukarał go za butę i pozbawił oficerskich szlifów? No ileż, co?
– Zbyt wiele. Teraz przynieś mi zbroję. I powiadom mnie, gdy przybędą eforowie.
Służący wyszedł do tylnego pokoju po kaftan z wyprawionej ogniem czarnej skóry, pozłacany napierśnik i spódniczkę z nabijanych spidem skórzanymi pasków.
– Wystarczy taka?
– Tak. Przynieś mi coś do jedzenia, a ja tymczasem się ubiorę.
– Mogę cię prosić o przysługę, panie?
– Oczywiście.
– Leonidas mówi, że chcesz uzbroić każdego mężczyznę w odpowiednim wieku... łącznie z niewolnikami. Mają wziąć udział w bitwie. A co ze mną? Mam tylko siedemdziesiąt trzy lata i ciągle jeszcze jestem silny. Stanę u twego boku.
– Nie – odparł Parmenion. – Starsi mężczyźni zostaną. Będą bronić miasta. Priastes najwyraźniej nie zamierzał ustąpić, a jego niezadowolenie przybrało na sile.
– Chciałbym być z tobą... tego ostatniego dnia. Strategos spojrzął w szare oczy starca.
– Sądziś, że polegnę, prawda? – spytał cicho.
– Nie, nie, skąd – odparł szybko sługa, ale nie patrzył królowi w oczy.
– Chciałbym tylko ci towarzyszyć... dzielić z tobą sławę i zwycięstwo. Nigdy nie miałem syna, Parmenionie, ale dbam o ciebie od prawie piętnastu lat. I kocham cię ponad wszystko, chłopcze. Wiesz o tym?
– Wiem. Chętnie zatem przystanę na twoją prośbę. Pojedziesz ze mną.
– Dziękuję ci. Przyniosę coś do jedzenia. Ciastka i miód? A może wolałbyś trochę solonego mięsa?
Gdy Priastes poszedł do kuchni, strategos ubrał się i wyszedł na balkon. Po raz kolejny uprzytomnił sobie, że Parmenion z tego świata był wspaniałym człowiekiem: cierpliwym i dbającym o innych. Z jakiego innego powodu pozwoliłby słuzącemu na tak nieformalne zachowanie? I dlaczego miałyby od tylu lat tolerować niesubordynację Nestosa? Teraz starzec chciał jedynie umrzeć obok swego umiłowanego pana. Nie mógł mu tego zabronić.

– Byłeś lepszym człowiekiem niż ja, Parmenionie – szepnął, patrząc w rozgwieżdżone niebo.

Pod balkonem i poza pałacowymi murami Sparta zaczęła się budzić. Niewolnicy ruszali ku rynkowi, otwierano sklepy, kupcy prezentowali towary na wysokich stołach.

Tutejsi mieszkańcy nie różnili się zbyt od ludzi z rodzinnego miasta wodza. Brakowało tu jednak Ksenofonta i Hermiasa. Ten ostatni –jedyne przyjaciel strategosa z jego spartańskiej młodości – stawał zawsze po jego stronie, gdy inni okazywali nieszczęsnemu mieszkańcowi jedynie nienawiść i pogardę. Hermias poległ w bitwie pod Leuktrami. Walczył wtedy przeciwko parmenionowi...

.– Eforowie czekają, panie – przerwał jego rozmyślania Leonidas.

.– Niech najpierw coś zje – warknął Priastes, który wszedł za spartańskim oficerem.

Wódz uśmiechnął się.

.– Zachowuje się jak wilczyca, która chroni swoje młode – skomentował.

– Trzymaj język za zębami, chłopcze. Stary człowiek nie panuje już nad sobą jak dawniej i przypadkiem może ci go przytrzasnąć – odciął się służący, stawiając srebrną tacę przed królem. Strategos zjadł szybko miodowe ciasteczka i popił je dużą ilością mocno rozwodnionego wina. W końcu odprawił starca i zwrócił się do Leonidasas.

– Nie znam tych eforów – zauważył. –Przedstaw mi ich po imieniu.

– Dobrze. Moi zaufani ludzie zmierzają właśnie do domów Chirizofosa i Soteridasa. Dołączę do nich, gdy tylko zebranie się rozpocznie.

– Jeżeli znajdziesz coś obciążającego, wróć do pałacu i przybądź na naradę. Nic nie mów, tylko dyskretnie wskaż mi zdrajcę.

– Tak zrobię.

– Doskonale. Prowadź na zebranie.

Opuścili królewskie kwatery i zeszli schodami w szpalerze posągów. Znaleźli się w długim korytarzu. Służący kłaniali się Parmenionowi, a wartownicy w królewskich ogrodach przypatrywali mu się z szacunkiem, gdy w towarzystwie Leonidasas przemierzał pałacowe komnaty. W końcu przekroczyli podwójne drzwi, których pilnowali dwaj uzbrojeni we włócznie i tarcze żołnierze. Obaj zsalutowali, potem rozsunęli włócznie i pchnięciem otworzyli drzwi.

Strategos znalazł się w ogromnym andronitisie. Tapczany stały pod ścianami, podłogę zdobiła wspaniała mozaika ukazująca Apollina jadącego na ogromnym lamparcie. Oczy boga wykonano z szafirów, zwierzęcia – ze szmaragdów. Dach wspierało dwanaście kolumn po każdej stronie, meble były inkrustowane złotem. Gdy Parmenion wszedł, sześciu eforów natychmiast zerwało się z miejsc. Leonidas ruszył między nimi. Strategos pilnie wsłuchiwał się w celowo głośno wymawiane przez przyjaciela imiona.

– Deksiposie, przysiągłbym, że robisz się z każdym dniem grubszy. Od Jak dawna nie odwiedzałeś gimnazjonu, co? .. .Ach, Kleandrze, jakie nowiny

w sprawie ładunków? Polegam na nich, przecież muszę spłacić długi hazardowe... Cóż tam, Likonie? Nonsens, po prostu miałem ostatnio pecha przy kościach. Odegram się.

Parmenion w milczeniu podszedł do wielkiego tapczanu przy północnej ścianie i przeciągnął się. Przez cały czas z uwagą słuchał rozmowy. Zbliżył się do niego jakiś mężczyzna – wysoki i barczysty, ubrany w prostą błękitną tunikę przepasaną paskiem z czarnej skóry obrzeżonej srebrną nitką. Włosy miał stalowosiwe, oczy zdumiewająco błękitne.

– Cieszę się, że przeżyłeś, panie – odezwał się głębokim, a jednocześnie chłodnym głosem.

Leonidas stanął obok niego.

– My także bardzo się cieszymy, Soteridasie – mruknął. – Gdyby król nie spowodował skalnej lawiny, żadnego z nas nie byłoby tutaj.

– Słyszałem o tym – rzekł efor. – Cóż jednak znaczy tak małe zwycięstwo wobec ogromnej klęski.

– Rzeczywiście, ponieśliśmy klęskę – zgodził się Parmenion spokojnie, bez trudu wytrzymując spojrzenie mężczyzny. – Ale czy w takim razie nasza przegrana była z góry przesadzona? Tak czy nie, Soteridasie?

– Co masz na myśli, panie?

– Czyż nie przewidziałeś jej? Wszak wciąż przypominałeś nam o złych omenach związanych z bitwą. No, dość już próżnego gadania. Zaczynajmy!

Rozejrzał się po sali. Soteridas usiadł obok Chirizofosa. Na szyi tego ciemnowłosego mężczyzny o potężnej, wydatnej szczęce błyszczał gruby złoty naszyjnik. Efor ubrany był w zieloną szatę z połyskliwego materiału.

– Dzisiaj – oświadczył strategos – musimy sobie odpowiedzieć na jedno tylko pytanie. Jaka przyszłość czeka Spartę?

Leonidas skłonił się i wyszedł. Drzwi zamknęły się za nim bezgłośnie.

– Cóż, jestem pewien – odezwał się Chirizofos, rozkładając bezradnie ręce w teatralnym geście – że istnieje jedna tylko odpowiedź. Musimy się porozumieć z Filipposem. Obecnie nie możemy stanąć przeciwko niemu.

– Zgadzam się – dodał pospiesznie Soteridas. – Króla Makedonów nie sposób pobić, o czym nawet nasz własny strategos zdążył się już przekonać.

– Irytuje mnie tak jednoznaczne stawianie sprawy i głosowanie za takim rozwiązaniem – oznajmił Deksipos, niski, smagły wojownik, łysiejący i brodaty. – Z drugiej strony jednakże nie widzę sposobu pokonania Filipposa. Ze względu na ogromną liczebność swojej armii w bezpośrednim starciu mógłby łatwo otoczyć nasze flanki, narzucając nam defensywną formację bojowego czworoboku, a wtedy wyciąłby nas w pień przy użyciu samych oszczepników i łuczników.

– I tak będziemy z nim walczyć! – ryknął nieoczekiwanie Kleander. Parmeniona zaskoczył fakt, że tak mizernej postury człowiek potrafi wydać

265

z siebie równie potężny głos. Efor wyglądał na wychudzonego, skórę miał

pożółkła, oczy zamglone. – Cóż innego możemy zrobić, bracia? Nie mamy do czynienia ze zwyczajnym agresorem, lecz z wcielonym demonem.

Podda-

nie się nie uratuje nas przed zemstą. Lepiej już umrzeć na polu bitwy!

___ Z szacunkiem, Kleandrze – osadził go Chirizofos. – I tak umierasz.

Wszyscy ogromnie ci współczujemy z powodu choroby, lecz przyznasz, że masz do stracenia znacznie mniej niż reszta mieszkańców... Choćby na przykład kobiety i dzieci.

– Tak, umieram, lecz wcale nie dlatego optuję za walką. Nasze dzieci nie będą bezpieczniejsze niż dzieci Kadmosu. Stawmy czoło nieprzyjacielo-

wi. Nie widzę szans na kompromis.

– Żadna wojna nie sprzyja racjonalnej ocenie sytuacji – zauważył chłodno Chirizofos. – W każdej przedstawia się swego wroga jako bestię.

Filippos to król i wojownik w jednej osobie. Jest nie do pobicia, jest niezwy-

ciężony. .. Lecz to jedynie człowiek.

– Nie zgadzam się z tobą w tej ostatniej kwestii – wtrącił kolejny głos.

Strategos obrócił się, by zobaczyć mówcę. To był Likon, najmłodszy z eforów,

przystojny młodzieniec mniej więcej dwudziestopięcioletni, ciemnowłosy

i ciemnooki. – Widziałem makedońskiego króla, byłem też świadkiem zła,

które poczynił w Metone i Platejach. Zgadzam się z Kleandrem: musimy z nim

walczyć.

Dyskusja zdawała się ciągnąć bez końca.

– Dość! – wrzasnął w końcu Parmenion, po czym zwrócił się przez całą salę do wysokiego, mocno zbudowanego mężczyzny o gęstej czarnej brodzie.

– Nie przemówiłeś jeszcze, Timasjone. Nie masz zdania na omawiany przez nas temat?

Efor wzruszył ramionami.

– Nie jestem zdecydowany, panie. Serce mi mówi: „Walcz”, lecz rozum każe się wstrzymać. Mogę spytać, co głoszą omeny?

Soteridas wstał. Skłonił się najpierw królowi, potem eforom.

– Dzisiaj – odparł – składaliśmy w ofierze Ojcu Wszystkich Ludzi, Zeusowi, kozła. Jego wątroba okazała się nakrapiana, brzuch dotknięty ra-

kiem. Powiem więc, że we wróżbach śmierć i zniszczenie towarzyszą każdej

próbie stawienia oporu Filipposowi. Bogowie są przeciwko nam.

– Tak jak pod Mantineją? – zaryzykował pytanie Parmenion.

– W istocie, panie – zgodził się główny kapłan.

– Bitwa miała niezwykle interesujący przebieg – stwierdził strategos. Przełamaliśmy natarcie wroga i prawie wzięliśmy centrum. Niestety, trzystu Spartan nie zdołało zwyciężyć... Oczywiście, batalia mogłaby być

jeszcze bardziej interesująca, gdybyśmy dysponowali pięcioma tysiącami

żołnierzy.

– Bogowie przemawiali przeciwko wojnie – przypomniał Soteridas.

– Tak nas w każdym razie poinformowałeś. Ciekawe, że bogowie Achai stają po stronie króla-demonia. Ale cóż... Nie jestem jasnowidzem i nie

zamierzam kwestionować mądrości Zeusa. Powiedz mi, Chirizofosie, jak zatem ułagodzić króla Makedonów i ocalić Spartę?

– Nie możemy tego w ogóle brać pod uwagę! – zawołał Kleander.

– Milczeć! – zagrzemiał Parmenion. – Chcę usłyszeć opinię Chirizofosa. Twoja kolej jeszcze nadejdzie, Kleandrze. Chirizofos wstał i zaczął mówić. Z jego ust popłynęły gładkie, pocieszające słowa. Jego zdaniem trzeba wysłać do Filipposa ambasadorów z propozycją braterskiej przyjaźni i trwałego pokoju. Powinni zanieść dary. Po wszechnie wiadomo, że Filippos jest wspaniałym jeźdźcem i Chirizofos sam chętnie mu podaruje kilka swoich najlepszych trackich wierzchowców. W ten sposób Sparta uniknie wojny, a w dodatku sprzymierzy się z najsilniejszym państwem na świecie. Przemawiał jakiś czas, wreszcie zasugerował, że Filippos, jako wojownik czy król, niedługo z pewnością poprowadzi swoje wojska na północ i na zachód, pragnąc podbić etruskie i achajskie miasta Italii. Jeszcze dalej na zachodzie leżą bajeczne ziemie Galów, którzy stawiają sobie domy ze złota i drogocennych kamieni, a ich władcy są uważani za nieśmiertelnych. – Prosząc teraz o pokój – zakończył Chirizofos – w gruncie rzeczy, pozbędziemy się Filipposa z Achai na długi czas. Ja naturalnie chętnie będę przewodniczyć delegacji – dorzucił, siadając na tapczanie. – Naturalnie! – prychnął Kleander. W tym momencie do pomieszczenia wkroczył Leonidas. Parmenion wpatrzył się w drzwi i poczekał na jego sygnał. Kiedy wódz wskazał na Chirizofosa i Soteridasa, strategos skinał głową. Do andronitisu weszli uzbrojeni gwardziści. Powoli podeszli do tapczanów, na których leżeli zdrajcy, i stanęli za oparciami. Chirizofos głośno przełknął ślinę, twarz mu poczerwieniała. – Co tu się dzieje, panie? – zapytał Kleander. – Niebawem się dowiesz, trochę cierpliwości – odrzekł król. – Stoimy na krawędzi przepaści. Wielkie zło podkrada się do naszego miasta. Mieliśmy sposobność pozbyć się go, niestety Filippos pokrzyżował nam szyki, ponieważ jego agenci są wszędzie. – Przerwał i przez moment przypatrywał się obu zdrajcom. Parmenion poczuł napływającą wściekłość. Ci dwaj spowodowali śmierć spartańskiego króla i tysięcy wojowników na mantinejskim polu. Miał ogromną ochotę przemierzyć pokój i wbić miecz w ich zdradzieckie serca. Gdy się uspokoił, odezwał się: – Mrok lubi korumpować. Zwłaszcza podatni nań są ludzie słabej woli lub pożądlivi i chciwi. Obaj eforowie zdradzili swoje miasto, swój lud i swego króla. Prowadzili sekretne negocjacje z Filipposem i spiskowali przeciwko nam. Pomogli królowi-demonowi ciężyc pod Mantineją. Nie wiem, co otrzymali za swoją zdradę, i niewiele mnie to obchodzi. Próbowali skazać nas wszystkich na śmierć. Ich zbrodnia zapisana jest krwią. Chirizofos wstał ciężko, a Soteridas poblądłszy na twarzy, siedział nie-

ruchomo.

— Zrobiłem to dla Sparty! — upierał się Chirizofos. — Nie można mówić o zdradzie. Zawsze było wiadomo, że Filippos w końcu zwycięży. Tylko głupiec chciałby zaprzeczyć tej oczywistej prawdzie. To zresztą przeszła

sprawa i nie warto jej roztrząsać. Jestem jedynym człowiekiem, który może

obecnie uratować to miasto. Makedoński król mi ufa i będzie ze mną pertrak-

tował- Beze mnie nie zdołacie przeżyć. Przemyślcie to sobie!

— Już to sobie przemyślałem — odburknął strategos. — Sparta będzie wal-

czyć i Sparta zwycięży. Jednak ty i arcykapłan stanęliście po niewłaściwej stro-

nie, toteż nie pożyjecie dostatecznie długo, by zobaczyć jej triumf. Leonidasie!

— Tak, panie?

— Usuń te... kreatury. Skazuję obu na śmierć. Wykonaj moje polecenie natychmiast. I niech ich ciała spoczną w bezimiennych grobach.

Chirizofos wyszedł na środek mozaikowej podłogi andronitisu, oddalając

się od strażników.

— Nie bądźcie głupcami! — krzyknął. — Potrafię was uratować!

Nagle wyjął sztylet i ruszył na Parmeniona. Król wstał z tapczanu, wyrwał

miecz z pochwy i wbił go w migotliwą zieloną szatę. Efor jęknął i upadł. Stra-

tegos wyciągnął miecz z ciała umierającego mężczyzny i jaskrawoczerwona

tętnicza krew zabarwiła zielony jedwab. Chirizofos osunął się na kolana, zacis-

kając ręce na brzuchu; oczy mu się zaszklily i po chwili przewrócił się na bok.

Żołnierze odciągnęli jego ciało, zostawiając na mozaice krwawy ślad. So-

teridas pozostał na swoim miejscu. Jego twarz nie wyrażała żadnych emocji.

Bez słowa pozwolił się wziąć pod ramiona i wyprowadzić dwóm żołnierzom.

— Na bogów, panie! — wyszeptał Kleander. — Nie mogę w to uwierzyć. Przecież pochodził z dobrej, spartiackiej rodziny. Ze szlachetnego

rodu,

z rodu... bohaterów.

— Ocenianie człowieka wyłącznie po jego przodkach to głupota — odparował Parmenion. — Znam bardzo dzielnych synów tchórzzy i synów złodziei, którym można powierzyć cały skarbiec narodu. Zdrada nie

tkwi we

krwi człowieka, Kleandrze, lecz w jego duszy.

— Co teraz, panie? — spytał Leonidas.

Rozpoczynamy przygotowania do wojny.

Po dwudniowej jeździe na południowy zachód od miasta Attalos, uniósł-
zły ramię, zatrzymał pozostałych. Rozejrzał się po tej zapomnianej

przez

bogów krainie: usianej skałami, czyhajacej na nieostrożnych, w
zdradzieckich

jarach, rzadko zadrzewionej i poprzecinanej wartkimi strumieniami. W

trakcie

podróży ze swą grupką minęli nieliczne wioski założone na tej

niegościnnej

ziemi, jednak zatrzymywali się jedynie przy zagrodach położonych na uboczu.

Tam prosili o jedzenie i ziarno dla koni.

Fecht mistrz zaczynał się poważnie niepokoić. Pościg zbliżał się coraz
bardziej. Hełm pierwszy zauważył żołnierzy — wczoraj późnym

wieczorem,
gdy zachodzące słońce odbijało się od czubków lanc licznej konnicy.
Pogoń
znajdowała się może godzinę za uciekinierami. Falujące z gorąca powietrze
utrudniło dokładną ocenę, lecz Attalos uznał, że jeźdźców jest
przynajmniej
pięćdziesięciu.
Nagle jadący obok niego Ektalis wskazał na zachód, na chmurę pyłu.
– Pościg – rzucił do fechtmistrza. – Prawdopodobnie Meseńczycy.
Służą tyranowi.
Uciekinierzy skręcili na południowy wschód. Jechali długo w ciemnościach nocy. Jednakże konie były zmęczone i kiedy księżyc skrył się za
nietypowymi dla tej pory roku chmurami, fechtmistrz musiał zarządzić postój.
Ludzie rozbili obóz wśród głazów na stoku. Nie rozpalili ogniska.
Ektalis
wystawił warty i większość ludzi zasnęła.
Attalos czuwał. Siedział samotnie i patrzył na północ, obserwując szlak.
Podszedł do niego Hełm.
– Powinieneś wypocząć – doradził.
– Nie mogę. Ponure myśli, plany, lęki wypełniają mi głowę... Kręca się
w niej niczym rozzłoszczone osy.
– Jak daleko do magicznego lasu? – spytał spiżowy wojownik. Poświata księżycowa odbijała się niesamowicie od jego metalowej twarzy.
– Jeszcze dzień drogi. Tak w każdym razie mówił Brontes.
– No cóż, może nam się przydarzyć tylko jedno z dwojga – oświadczył Hełm. – Zwycięzimy albo umrzemy.
– Bardzo pocieszające – mruknął fechtmistrz.
– Mnie każde wyjście zadowala – padła odpowiedź.
Hełm uśmiechnął się, wrócił między głazy i położył się na legowisku. Attalosa otoczyła cisza. Zimne podmuchy chłodziły mu twarz. Przez godzinę siedział samotnie, przygnębiony, niemal nieszczęśliwy, aż odgłos
końskich kopyt wyrwał go z zadumy. Wstał i wyjął miecz. Dlaczego wartownicy go nie ostrzegli? Gdy wierzchowiec wyszedł stępa spośród głazów, Macedończyk zobaczył jeźdźca. Była nim Tena. Zsiadła z rumaka. Fechtmistrz schował ostrze do pochwy i zbliżył się do wieszczki.
– Gdzie Parmenion? – spytał.
– W Sparcie. Przygotowuje armię.
– Co robi!?! Powinien być tutaj z nami. Niech król Sparty sam walczy w swoich bitwach.
__ Teraz Parmenion jest spartańskim królem.
.__ A cóż to za nowe szaleństwo?!
__ Jestem bardzo spragniona. Przynieś mi trochę wody, a wtedy porozmawiamy – odparła kapłanka. Podeszła do stoku i usiadła. Przyniósł jej wodę
i przysiadł się do niej. Tena napiła się, po czym opowiedziała zdarzenia, które
doprowadziły do podjęcia przez strategosa takiej decyzji, oraz przedstawiła
sytuację, którym musiał stawić czoło.
__ przecież nie ma nadziei na zwycięstwo – zauważył Attalos. – Nie jestem wodzem, kobieto, lecz nawet ja pojmuję, że podstawowym celem bitwy
jest złamanie skrzydeł formacji wroga i otoczenie centrum. Jeśli się to nie
udaje, sami zostajemy wtedy otoczeni i zniszczeni. Pięć tysięcy żołnierzy nie
jest w stanie pokonać armii, którą widzieliśmy na równinie.

– Wiem o tym – odparła ze znużeniem.
– Chcesz mi zatem powiedzieć, że Parmenion tam umrze?! Po co?
W imię Hekate, z jakiego powodu?
– Bo jest człowiekiem honoru.
– Honoru? A cóż honor ma wspólnego z taką bezsensowną śmiercią?
Przecież nasz strategos niczego tym ludziom nie zawdzięcza. Ma za to obowiązki wobec Aleksandra i wobec swojego króla.
– Na szczęście księżę pozostaje pod twoją opieką, a Parmenion ci ufa.
– Och, niech będzie przeklęty! Sądzi, że jest bogiem? Że zdoła pobić każdego, kto mu stanie na drodze? Filippos zetrze go w proch.
Kapłanka przetarła zmęczone oczy.
– Parmenion nakazuje ci zabrać Aleksandra dalej, do lasu. Masz ustalić miejsce pobytu Brontesa. Gdy się spotkamy we trójkę, przedyskutujemy plan strategosa.
– Jeśli ten plan zakłada mój i chłopca powrót do Macedonii, poprę go, jednak nie oczekuj, że pojedę do tutejszej Sparty albo wezmę udział w jakiejś samobójczej bitwie z królem-demonem.
Powiał zimny wiatr i dreszcz przebiegł po ciele fechtmistrza. W chwilę później dobiegł go syczący głos i Attalos poczuł, że mu ścierpła skóra.
– To bardzo mądrze z twojej strony – oświadczył ktoś. Macedończyk wyciągnął miecz i obrócił się, szukając rozmówcy. Przed nim unosiła się blada sylwetka, uformowana z mgły. Powoli postać nabierała realnego kształtu, aż zmieniła się w barczystego mężczyznę. Był brodaty i potężny, a jego prawe oko lśniło niczym płynne złoto. Tena siedziała oniemiała. – Ach, mój drogi
– szepnął Filippos. – Interesujące, że stanąłeś po przeciwnej stronie. Przecież twoje serce i dusza aż się do mnie rwą. Wszystko mi mówi, że jesteś mój. Powinieneś maszerować obok mnie. Mogę ofiarować ci bogactwa, kobiety, ziemie, całe imperia. Czemu zatem opowiedziałeś się przeciwko mnie? Dla dziecka, które pewnego dnia cię zabije? Oddaj je mnie, a przestanie ci zagrażać.
– Nie będę ci służył – odparł fechtmistrz chrapliwym głosem.
– Nie, wolisz służyć mojej gorszej wersji, Filipowi. Wybierasz służbę zwyczajnemu człowiekowi? Wszak mógłbyś podążać za bogiem... Władza, jaką ci ofiaruję, zadowoliliby twoje dumne ego, nieprawdaż? Tak, tak, czytam to w twoich myślach. Pomyśl, Attalosie... Miałbyś setki pałaców, rządziłbyś całymi narodami. Byłbyś królem!
– Jego obietnice nie są nic warte... – przestrzegła kapłanka, lecz dziwnie piskliwym tonem. Jej wyjaśnienie nie zabrzmiało przekonująco.
– On wie! – przerwał jej król-demon. – Wie, że mówię prawdę. Wie, że wojownicy o jego talentach zawsze budzą nienawiść i zazdrość ze strony ludzi mało znaczących. Nawet Filip odwróci się od niego pewnego dnia. Tutaj zaś... dzięki mnie... Twój towarzysz, kobieto, mógłby zdobyć wszystko, czego pragnie jego dusza. Czyż nie jest tak, mój drogi?
– Rzeczywiście – odparł fechtmistrz. – Mógłbym ci służyć.
– W takim razie służ. Na początek przynieś mi dziecko. Jeśli wolisz, poczekaj na przybycie moich jeźdźców. Nagrodzę cię, tak czy owak.

Magiczna postać Filipposa zamigotała, zbladła i zniknęła. Attalos odwrócił się do kapłanki.

– Nie zdołamy go pokonać. To niemożliwe.

– I co zrobisz?

– Zostaw mnie w spokoju, Teno. Muszę się zastanowić.

– Nie – spierała się – nie tego potrzebujesz. Musisz czuć, nie myśleć.

Demon nazwał Filipa zwyczajnym, mało znaczącym człowiekiem. Zgadzasz się z nim?

– Co za różnica, czy się z nim zgadzam. W życiu odnosi się albo zwycięstwo, albo klęskę. W tej wojnie zwycięzcą jest Filippos.

– Zwycięstwo lub klęska?! Życie to nie wyścig – wyjaśniła. – Człowiek, który nie przegrywa bitwy, ale umiera samotnie, przez nikogo nie kochany... nie wygrywa. Zanim mnie zarzucisz kontrargumentami, uświadom sobie jedno. Gdybyś rzeczywiście się ze mną nie zgadzał, nie służyłbyś tak wiernie Filipowi. Bądź uczciwy, Attalosi, przecież szczerze kochasz swego władcę.

– Tak, kocham go! – krzyknął. – I dlatego jestem takim samym durniem jak Parmenion. A przecież tutaj mógłbym zostać królem!

– Zgadza się, mógłbyś. Wystarczy, że zdradzisz Filipa i pozwolisz zamordować jego syna.

Fecht mistrz milczał przez chwilę, potem opuścił głowę.

– W swoim życiu zdradziłem wielu ludzi – odparł w końcu cicho. – To nie jest wcale takie trudne.

– Ach, no tak, zapewne... Jednakże czy zdradziłeś kiedyś przyjaciela?

– spytał Hełm, nagle wyłaniając się z cienia.

– Nigdy nie miałem przyjaciela – odburknął Attalos.

– A ten... Filip?

Macedończyk westchnął.

– Filip mi ufa. Wie, jaki jestem i co zrobiłem w przeszłości, a jednak mi ufa--- Nawet nazywa mnie swoim przyjacielem. – Nagle roześmiał się przepełniony był gorczyczą. – Tak, jestem jego przyjacielem. Umarłbym za niego-. • I prawdopodobnie umrę.

– Cóż – mruknął spiżowy wojownik. – Jeżeli zakończyliśmy rozmowę na ten temat, chciałbym znów się położyć.

Attalos odwrócił się do Teny.

– Nie zdradzę chłopca.

Wstała i podeszła do niego.

– Jesteś lepszym człowiekiem, niż sądzisz – stwierdziła krótko. Spojrzała w jasne oczy mężczyzny, ten jednak potrząsnął głową.

– Jestem, jaki jestem – odparł. Obserwowała, jak wracał w stronę głazów i układał się samotnie. Na chwilę wniknęła w jego umysł. Dzięki swej mocy uspokoiła jego lęki i przyniosła mu kojący sen. Przy okazji poprawiła sobie humor. Tak, tak, tym razem Filippos się pomylił. Niby dobrze odczytał myśli Attalosa, niby właściwie je zinterpretował... a jednak popełnił omyłkę. Po raz pierwszy nieomylny dotąd tyran był w błędzie.

Derae ledwie mogła w to uwierzyć. Ze wszystkich ludzi fecht mistrz, wydawał się najłatwiejszy do skuszenia. Łatwa ofiara, bo przepełniona nienawiścią. .. Na szczęście, mężczyzna, mimo swej mrocznej natury, odparł zaku- sy króla-demonia.

Kapłanka usiadła i oparła się plecami o głąz. W chwili, gdy Filippos im

się objawił, była akurat połączona myślowo z Attalosem, zamierzała bowiem go wzmocnić i wspomóc. A tu się okazało, że Macedończyk jest wystarczająco silny i bez niej. W jego mrocznej duszy migotała maleńka iskierka – miłość do Filipa.

„Skąd ona się właściwie wzięła?” – zastanowiła się kobieta.

Fecht mistrz był zdolny niemal do każdego zła, a jednak okazał się nieprzekupny. Uśmiechnęła się.

– Piękna noc – zauważył Hełm i usiadł obok kapłanki.

– Sądziłam, że pragniesz się przespać. Skinał głowę.

– Tak, ale sen bez marzeń jest pokrewny śmierci, pani.

– Pamiętasz coś ze swojego życia?

– Nie.

– Wydajesz się przygnębiony. Nie chciałabym zostać okradziona z mojej przeszłości. Uśmiechnął się, rozsuwając nieco metaliczne wargi. Pod nimi ukazały się spiżowe zęby.

– Ja nie znam swojej przeszłości, nie pamiętam jej. I wiesz, ten brak wiedzy w pewnym sensie napawa mnie spokojem. Może byłem złym człowiekiem? Może mam na sumieniu czyny, których bym się wstydził?

– Nie wyczuwam w tobie żadnego zła, Hełmie.

– To świat nas kształtuje, Teno. A zło rodzi zło. Jeśli człowiek dorasta z nienawiścią w sercu, wtedy jego działaniami będzie rządzić nienawiść. Tak może być w przypadku Attalosa. A ja nie posiadam wspomnień. Jestem nieukształtowany, niczym bryła kamienia oczekująca na dłuto rzeźbiarza.

– Nieprawda, może i nic nie pamiętasz, ale w głębi duszy nie zmieniłaś się – odparła. – Wybawiłeś Iskandra, ryzykując własne życie. I wiesz, co to przyjaźń i lojalność.

– Cóż, chłopiec mógłby mnie uwolnić od... zaklęcia. Mam zatem czysto egoistyczne powody, by dla niego walczyć.

– Moje życie było długie – wyjaśniła Derae. – Dłuższe niż można by sądzić po moim młodym ciele. Z doświadczenia wiem, że zło znajduje podatny grunt u ludzi słabych. Zarówno mężczyzn, jak i kobiet. A ty nie jesteś słaby. Zaufaj mi. Nie powiem ci, że byłeś bardzo dobrym człowiekiem czy też świętym, gdyż zbyt sprawnie władasz mieczem. Ale na pewno nie jesteś zły.

– Przekonamy się – odparł.

Parmenion stał z Leonidasem i Learchosem przy północnym wejściu do gimnazjonu. Beznamiętnie obserwowali niewolników, służących i starców w czasie musztry. Oficerowie przeszli się między ludźmi. Pozdrowili weteranów – często dawnych towarzyszy – i skierowali ich na zachodni kraniec do prowizorycznej zbrojowni. Oparte o ściany stały tam setki mieczy, tarcz i włócznie.

W oddali strategos słyszał kakofonię setek młotów. Miejscy płatnerze pracowali gorączkowo, starając się wytworzyć jak najwięcej mieczy, noży, grotów strzał, czubków włócznie i hełmów.

– Ilu zgromadziliśmy do tej pory ludzi? – spytał król.

– Cztery tysiące – odparł Leonidas. – W gimnazjonie więcej się nie zmieści. Ci są z południowej i wschodniej części miasta. Ochotnicy z północy i zachodu mają się zebrać po południu.

– Jak mam ocenić przydatność poszczególnych osób w takim tłumie? – spytał Learchos. – I w jaki sposób wpoimy im dyscyplinę w niecałe dwa dni.

– Niewielu umiejętności wymagam od niewolników – odparł król. – Mają się tylko nauczyć ataku frontального w linii i walki w zwartej formacji.

– Niewielki zatem będzie z nich pożytek – zauważył Leonidas. – 'Może i na początku bitwy ustawią się w zwartą formację, co z tego, gdy pod naporem wroga szeregi błyskawicznie się rozpadną, a nasi „żołnierze” na powrót staną się tym, kim w istocie są – motłochem.

– Pewnie tak będzie. Mimo to ćwiczcie z nimi do upadłego wyznaczone pozycje. Gdy zacznie się bitwa, ludzie mają się poruszać równie sprawnie jak najwspanialszy spartański wojownik. Znajdź także pięciuset zdolnych łuczników. Będziemy ich potrzebować do powstrzymania szarży makedońskiej konnicy.

– Stanie się wedle twego rozkazu, panie – oświadczył Leonidas.

– Doskonale. Wrócę przed południem, by dozorować musztrę.

– Mam ci towarzyszyć podczas spotkania z Tamis? – spytał wódz.

– Nie – odparł Parmenion z krzywym uśmiechem. – Jeśli jest prawdziwą wieszczką, sama wszystko zrozumie. Jeśli nie, na nic nam się nie przyda.

Strategos wjechał przez główną bramę na niemal całkowicie opuszczone tereny pałacowe. Cała służba płci męskiej poza Priastesem znajdowała się w gimnazjonie. Przy stajniach zeskoczył z siwej klaczy i wyprowadził ją na koński wygon. Zdjął czapkę z lamparcanej skóry i powiesił go na ogrodzeniu. Klacz zarżała i pogalopowała po wygonie. Zarzucała głową przy płocie i stawała dęba, oznajmiając swą obecność wierzchowcom, które pasły się na małej łące.

Parmenion wszedł do pałacu i przywołał Priastesa. Starzec przybiegł szybko z górnych pokojów.

– Oczekuję wieszczki Tamis. Przyprowadź ją do moich kwater.

– Tak, panie, ale nie lepiej spotkać się z nią w zachodnich ogrodach?

– Sądziś, że moje kwatery są nieodpowiednie dla wieszczki?

– Ależ skąd, panie – odparł urażony sługa. – Jednak Tamis jest bardzo stara, a schody niezwykle strome. W ogrodzie zaś panuje chłód. Przyniosę wam tam wino i owoce.

Król uśmiechnął się na zgodę i poszedł długim, zimnym korytarzem do malowniczego zachodniego ogrodu. Zdobilo go mnóstwo pięknych, krętych ścieżek i maleńkich fontann zbudowanych wokół czterech wierzb, których gałęzie zanurzały się w sztucznie utworzonych strumykach. W cieniu stało wiele marmurowych siedzisk. Strategos rozparł się wygodnie na jednym z nich, rozluźniając mięśnie szyi i pleców. Był zmęczony i roztargniony.

Ubiegła noc spędził na nie kończących się naradach, najpierw z Leonidasem, potem z ciężko chorym Kleandrem i innymi eforami. O świcie wciąż jeszcze był na nogach; omawiał strategię z komendantami koszar, z których

powołał
kadetów. Wybrał dwa tysiące chłopców w wieku piętnastu, szesnastu
lat. Miał
dla nich specjalne zadanie.
Sądząc po położeniu słońca, do południa zostały dwie godziny.
Parmenion
miał spuchnięte i obolałe powieki, a grzbiet zdrętwiał mu od
ciężkiego
napierśnika.
Priastes przyniósł haftowane poduszki, które rozłożył na ławach i
odszedł.
Gdy wrócił, niósł w dłoniach kamienny dzban ze schłodzonym winem i
misę
owoców: pomarańczy, granatów i jabłek. Wszystko postawił przed
królem.
– Powinieneś się kilka godzin przespać, panie – powiedział.
– Prześpię się... wkrótce.
W ogrodzie panowała kojąca cisza. Król oparł się o miękkie poduszki
i zamknął oczy. Zamierzał rozważyć tak wiele planów, dopracować
fortel,
obmyślić pułapki...
Obudził się na zalanej księżycową poświata łące. Czuł się odświeżony
i rześki. Nie miał na sobie zbroi, a nocny wiatr przyjemnie chłodził
jego ciało.
– Witaj, Parmenionie – odezwał się jakiś głos. Strategos usiadł
prosto
i spojrzał przed siebie. Kobieta siedziała pod rozłożystym dębem.
– Gdzie jesteśmy? – spytał.
– W neutralnym miejscu, daleko od wojen i innych zagrożeń. Jak się
czujesz?
– Wypoczęty. Jesteś Tamis, którą znałem w swojej Sparcie?
– Nie. Zatem i ty nie jesteś Parmenionem, którego znałam. Jak mogę ci
pomóc? Wiedz jedno: na pewno dla ciebie nikogo nie zabiję ani nie
pomogę
zabić.
– A potrafisz mnie ochronić przed złotym okiem?
– Jeśli tego sobie życzysz...
– Muszę również wiedzieć, w których momentach jesteśmy obserwowana-
ni. To niezmiernie istotne.
– Filippos przyglądał się twojemu spotkaniu z eforami, przypatrywał
się
też śmierci Chirizofosa i egzekucji na Soteridasie. A także
dzisiejszej porannej
musztrze.
– A słyszał rozmowę z Kleandrem wczoraj w nocy?
– Nie mam pewności. Lepiej jednakże załóż, że zna twoje plany.
– Widzi nas teraz?
– Nie – odparła Tamis. – Znajdujemy się we śnie. Twoje słowa są
znane tylko tobie, mnie i Źródłu Wszechrzeczy.
– To dobrze. Gdzie jest chłopiec?
– Razem z towarzyszami dotarł w pobliże magicznej krainy. Grozi im
wielkie niebezpieczeństwo. Ściga ich ponad setka meseńskich jeźdźców.
Za
nimi podążą następni.
– Możemy im jakoś pomóc?
– Nie.
Parmenion zaczerpnął powietrza, wyrzucił lęk o Aleksandra ze swego
umysłu i całkowicie skoncentrował się na obronie Sparty.
– Ważne, żeby Filippos nie obserwował nas, gdy będziemy opuszczać
miasto. W tym cała moja nadzieja. Król-demon nie może się domyślić,
że coś
przed nim ukrywamy. Nie wiem, czy to możliwe. Rozumiesz mnie?
.– Nie bardzo – przyznała się wieszczka.
.– Mój plan jest prosty, ponieważ będę dowodził wojskiem żółtodzio-

bów. Musimy przekonać Filipposa, że posiadam armię złożoną z niewolników, dzieci oraz starców i że tylko niewielką częścią tej armii stanowi spartańska falanga. Jego strategia powinna się opierać właśnie na tej wiedzy.

Jedyną nadzieję pokładam w powodzeniu tego fortelu. Całą naszą nadzieję!

– A na czym właściwie polega ów fortel?

– Chciałbym, aby Filippos zaatakował najsilniejsze ogniwo mojej armii.

– Cóż to ma wspólnego z wojskiem opuszczającym Spartę?

– Na razie ci, pani, tego nie powiem. I wierz mi, że nie zamierzam cię obrazić.

– Rozumiem – odparła cicho. – Nie znasz mnie, Parmenionie, więc nie masz do mnie zaufania. To mądre podejście. Dam ci podarek, który ci pomoże. Znajdziesz go po przebudzeniu. Gdy naszymyjniak zrobi się ciepły, będziesz wiedział, że jesteś obserwowany, a przez cały czas, gdy będziesz go nosił, żadna zła siła nie zdoła wnikać do twego umysłu ani poznać twoich myśli.

Obudził się wyspany i odprężony. Nic go nie bolało. Usiadł prosto, rozejrzał się po niebie i ze zdziwieniem odkrył, że nadal jest południe.

Napełnił puchar winem i saczył chłodny płyn. Priastes wszedł do ogrodu, zatrzymał się przed swoim panem i skłonił.

– Mam smutne nowiny, królu – oświadczył. – Tamis nie przyjdzie. Umarła ubiegłej nocy.

Strategos zaklął cicho i już miał przemówić, kiedy poczuł ciepło na gardle.

Podniósł rękę. Jego palce dotknęły naszymyjniaka.

– Dziękuję ci, Priastecie, to wszystko.

– Damy radę wygrać bez jej pomocy? – spytał z troską starzec.

– Nie – odparł Parmenion. Wstał, opuścił ogród i wrócił do swoich pokojów. Na ścianie wisiało lśniące lustro ze spiżu. Strategos przystanął przed nim i popatrzył na siebie. Naszymyjniak składał się ze złotych płytek przetykanych żółtymi kamykami pokreślonymi czarnymi żyłkami.

Był nadal gorący. Król dostrzegł ruch w lustrze: mglistą postać unoszącą się pod zdobionym malowidłami sufitem. Zamigotała, zbladła i zniknęła.

Naszymyjniak natychmiast stracił swe ciepło.

– Dziękuję ci, Tamis – szepnął strategos.

Prawdziwa rozpacz – ocenił Leonidas, gdy wraz z Learchosem weszli do małego andronitisu, w którym oczekiwał na nich Parmenion. Stało tu jedynie pięć tapczaników. Podłogę ozdobiła mozaika ułożona w wizerunek bogini Artemidy zamieniającej myśliwego Akteona w jelenia. Leonidas usiadł.

– Tylu mężczyzn i prawie same wojskowe beztalencia – dodał. Zdjął hełm i położył go na podłodze przy swoich stopach, po czym podniósł nogi i ułożył je wygodnie na tapczanie. Priastes napełnił dwa puchary wina i podsunął je młodemu oficerom.

- Tak, żeby zrobić z nich jako takich żołnierzy trzeba miesięcy szkolenia

- wtrącił Learchos, wzdychając. - A nawet wtedy...

Strategos popatrzył na obu mężczyzn i zmusił się do uśmiechu.

- Zbyt wiele oczekujecie - rzucił. - Poświęciliście im zaledwie jeden dzień. Powiem wam, że osobiście jestem zadowolony z postępów.

Łucznicy

wyglądają całkiem obiecująco, a metody oficera prowadzącego szkolenie wywarły na mnie duże wrażenie... Ten... Darykles jest naprawdę dobry. A jutro pójdzie nam jeszcze lepiej.

- Musi pójść lepiej - oświadczył Kleander, stając w progu. - Nasi wywiadowcy donoszą, że Filippos przygotowuje się do wymarszu. Król wstał, podszedł do efora i podprowadził go do kanapy. Twarz chorego

mężczyzny zalana była potem, oczy płonęły mu od gorączki.

- Siadaj, przyjacielu - polecił łagodnie Parmenion. - Widzę, że cierpisz.

- Mój koniec się zbliża - odparł szeptem Kleander. - Medyk wciąż mnie przestrzega, że mogę nie dożyć bitwy. Zamierzam mu udowodnić, jak

bardzo się myli.

- Iz pewnością ci się uda - zgodził się strategos. - Musisz żyć. Ponieważ po naszym wymarszu przejmiesz dowództwo nad obroną miasta. Weterani i młodzi uczestnicy walk będą służyć pod twoimi rozkazami. Więk-

szość ulic Sparty ma zostać zabarykadowana, z wyjątkiem Alei: Poległych i Ateny.

- Przecież obie prowadzą na agorę - wtrącił Learchos. - Konnica przeciwnika bez trudu wjedzie do centrum miasta.

- Tam właśnie powinna dotrzeć - wyjaśnił z kamienną twarzą Parmenion. - Właśnie tego chcę. Tam setkami trafiają do grobu...

Dyskutowali nad planem aż do późnej nocy. W końcu Kleander zapadł w sen. Obaj spartańscy oficerowie wrócili do królewskich koszar.

Priastes

przykrył śpiącego efora wełnianym kocem, a strategos opuścił andronitis i wspiał się po schodach do swoich kwater.

Księżyc był już wysoko, jednak mimo znużenia Parmenion nie mógł zasnąć. Myślał o Attalosie i Aleksandrze, martwił się, że Tena nie próbowała

skontaktować się z nim. Ogarnął go strach, lecz się nie poddał. „Nie wszystko

naraz!” - przypomniał sobie maksymę swego mentora.

Przy łóżku służący zostawił mu dzban z zimną wodą i owoce. Strategos usiadł na posłaniu i się napił. Wyszedł na balkon, aby popatrzeć na uspięne

miasto. Nocne powietrze ziębiło jego nagie ciało.

Pomyślał o Filipie i Macedonii, o Fedrze i swoich synach. Byli tak daleko

stać. • • Tak niemożliwie daleko.

„Nie masz szans na zwycięstwo” - odezwał się sceptyk w jego głowie. Przypomniał sobie niewolników, którzy popołudniu ćwiczyli w gimnazjone. Trzech ludzi poważnie się zraniło. Jeden potknął się i upadając, nadział

się na własny miecz. Drugi źle obliczył cel, wpadł na swego towarzysza

i złamał nogę. Trzeciego trafiła w ramię niedbale wypuszczona przez kogoś

strzała. Niezbyt to pomyślny początek dla nowej spartańskiej armii. Parmenion pomyślał o wspaniałych wojownikach, których wyszkolił przed laty w Macedonii. Teoparlis, Koenos, Nikanor... Wyobraził sobie, że

wraz z oddziałami przechodzą przez portal do tego świata i stają obok

niego
w bitwie przeciwko tyranowi.
- Oddałbym za to dziesięć lat mojego życia - wyszeptał.
Również tę myśl przegnał z głowy. Powinien się skoncentrować na tym,
czym dysponuje. Pięć tysięcy najprzedniejszych żołnierzy. Spartan! Z
takimi
ludźmi nie sposób przegrywać bitwy!
„Nie próbuj się oszukiwać”, szepnął głos w jego umyśle.
Usłyszał, że drzwi do pokoju otwierają się, i poczuł słodkie perfumy
Derae.
- Nie mam ani czasu, ani energii walczyć z tobą, pani - oznajmił jej,
gdy weszła. Rozpuszczone włosy opadały jej swobodnie na ramiona.
Miała
na sobie jedynie długą, powłóczystą lnianą szatę haftowaną złotem.
- Przyszłam w dobrej wierze - odparła. - Jak idzie szkolenie?
Wzruszył ramionami.
- Na razie trudno powiedzieć - rzucił. Cały dzień motywował i zachę-
cał swoich oficerów, nie zaskoczyło go więc odkrycie, że nie ma już
siły
kłamać.
- Dlaczego powiedziałaś, że mnie kochasz? - spytała. Podeszła i sta-
nęła przed nim na balkonie.
- Ponieważ to prawda - odrzekł po prostu.
- Czemu więc dopiero teraz mi o tym mówisz?
Nie potrafił znaleźć odpowiedzi, toteż stał bez ruchu i patrzył na
oświe-
loną księżycem twarz kobiety. Badawczo przyglądał się każdemu
szczegóło-
wi. Królowa była starsza niż Derae z jego snów, a jednak ciągle
jeszcze młoda.
Usta miała pełne, skórę aksamitną. Sam nie wiedział, kiedy jego ręce
spoczęły
łagodnie na jej ramionach. Po chwili jego palce ślizgały się pod jej
szatą,
gładząc skórę. Ciepło jej ciała było oszałamiające.
- Nie - szepnęła, odpychając go. - To nie jest odpowiedź.
- Wiem - odrzekł i opuścił rękę.
Razem wrócili do pokoju.
- W ciągu dwóch lat ani razu me posłałeś po mnie, nigdy mnie nie
poprosiłeś, bym dzieliła z tobą łożo. Teraz... gdy Sparta stoi na
krawędzi
przepaści... oświadczasz mi, że mnie kochasz. Nie ma w tym krzty
sensu.
Uśmiechnął się.
- Zgadzam się z tobą - przyznał. - Napijesz się wina? - Skinęła
głową, a wtedy napełnił dwa złote puchary. Nie tracił czasu na
dolewanie
wody. Bez słowa podał Derae puchar, po czym położył się na długiej
sofie
przy ścianie balkonowej. Kobieta usiadła na krześle naprzeciwko
niego.
Przez jakiś czas w milczeniu sączyli wino.
- Naprawdę kochasz Nestosa? - spytał.
Potrzęsnęła głową i się uśmiechnęła.
- Myślałam tak przed laty, gdy ojciec planował moje małżeństwo z Nes-
tosem. Jednak... im więcej czasu z nim spędzałam, tym lepiej
dostrzegałam
jego prostacki i arogancki charakter.
- Dlaczego zatem z taką zaciekłością go broniłaś?
- Bo mi go zabrałaś - odparła. - Nie rozumiesz?
- Chyba rozumiem. Małżeństwo z Nestosem zostałoby przynajmniej...
skonsumowane i mogłabyś odegrać w życiu jakąś rolę. A tak? Miał cię
wykorzystywać wódz o zimnym sercu, któremu zachciało się być królem.
Ależ był ze mnie głupiec!

– Dlaczego nigdy nie zaprosiłeś mnie do swego łóża? Czy ta myśl była aż tak bolesna?

– Nie rozmawiajmy o goryczy sprzed lat ani o dawnej głupocie. Mężczyzna, którym byłem, zmarł pod Mantineją. Temu, którym jestem teraz, zostało być może kilka dni życia. Mówmy o teraźniejszości, Derae. Tylko tyle mamy. Jesteśmy jedynie tu i teraz... – Zdjął nogi z tapczanu, wstał i wyciągnął rękę do żony. Przyjęła jego dłoń. Pociągnął ku sobie kobietę, która pochyliła się i delikatnie pocałowała go w policzek. Pod wpływem długo tłumionej namiętności zadrżał. Zaprzagnął zedrzeć z ciała Derae szaty i zanieść ją na łóżko. Nie zrobił tego jednak. Gładził skórę jej szyi i ramion, potem przeczesał palcami rudozłote włosy. Przytuliła się do niego. Przez materiał poczuł ciepło jej ciała. Jego ręce przesunęły się w dół po plecach Derae. Gdy spoczęły na biodrach, kobieta podniosła głowę, a on czule pocałował jej wargi. Otoczyła go ramionami. Jej palce przez chwilę błąkały się po pagórkach zmęczonych mięśni pleców, ciepło zalało całe jego ciało. Odprężył się.

– Twoje ręce mają uzdrowicielską moc – szepnął.

– Nic nie mów – odparła. Wspięła się na palce, by go pocałować. Rozsunął jej szatę, która opadła z ramion na podłogę. Jej piersi dotknęły jego ciała. Poczul twardość jej sutek. Położył ją na łóżku i legł obok niej, prawą ręką gładząc biodro i udo kobiety. Przesunął dłoń ku łonu i zatopił palce w jej miękkich, jedwabistych włosach łonowych. Derae jęknęła, gdy jego palec wślizgnął się powoli do jej wnętrza. Strategos niemal przestał myśleć. Nie zastanawiał się, co czyni. Czuł tylko miłość i pożądanie. Nie szaloną, lubieżną żądzę, jak w trakcie tej straszliwej nocy z Olimpias, ale pragnienie, które zrodziło się w ciągu całego życia z tłumionych uczuć i niemożliwych do spełnienia marzeń. Miał ją przed sobą! Miał przed sobą Derae! Nie zmarła, jej białe kości nie wietrzały na morskim dnie! Nie! Umiłowana kobieta była obok niego! Wróciła! A wraz z nią miłość, którą stracił kilkadziesiąt lat temu. Obrazy z przeszłości przewinęły się przed jego oczyma, gdy położył się na ciele Derae. Poczul, jak jej nogi przesuwają się ponad jego biodrami. Przypomniał sobie pięć wspaniałych dni w Olimpii. Słońce cudownie świeciło na olśniewająco turkusowym niebie, a pod nim dwoje młodych kochanków ignorowało cały świat i jego prawa. Strategos pamiętał uśmiech młodziutkiej Derae, słyszał jej śmiech odbijający się echem od gór. Znowu razem! Namiętność omamiła mu zmysły i nagle wódz stał się błogo obojętny na to, co wokół się działo. Zniknął król-demon, nie było armii potworów, portali między światami ani magów. Przyszłość się nie liczyła. Ważna była wyłącznie dzisiejsza noc.

Plecy kobiety wygięły się w łuk, a ona sama zaczęła krzyczeć.
Krzyczała
i krzyczała. Parmenion wszakże nie przestawał... Nie mógł przestać.
Namięt-
ność wypełniała całe jego ciało, każdą cząstkę, aż poczuł, jak
jego dusza
odpływa. Stracił przytomność i wpadł w słodką i wszechogarniającą
ciem-
ność. W ostatniej chwili na jawie pomyślał, że nigdy już nie chce się
obudzić.
Wzgórza Gytejonu
Attalos wbił miecz w pierś napastnika, wyszarpnął ostrze i zepchnął
ciało
z krawędzi. Kolejny żołnierz pojawił się przed fechtmistrem,
rzucając
w niego krótki oszczep. Zabójca odskoczył w bok i grot utknął w
plecach
karynckiego wojownika walczącego obok Helma.
Gdy Attalos odzyskał równowagę, natarł na oszczepnika, lecz ten
uskoczył
przed nim i zniknął.
- Wracaj tu, suczy pomocie! - zawołał fechtmistrz. - Gdzie jesteś?
Meseńczycy wycofywali się spod skalnej kryjówki, wlokąc za sobą ran-
nych. Attalos zerknął za siebie, próbując oszacować straty własne
orszaku
Aleksandra. Trzech Karyntian nie żyło, stan czterech rannych wydawał
się
krytyczny. Wieszcza pomagała uzdrowić najciężej rannych, księżę zaś
sie-
dział nieruchomo obok nich. Jego dziecięca twarz była zupełnie
pozbawiona
wyrazu.
Fecht mistrz starł krew z płytkiego cięcia na czole i podszedł do
Helma.
- Ilu? - spytał.
- Dwunastu zabiliśmy, sześciu innych z pewnością nie podejmie dalszej
walki.
- Mało - mruknął Attalos.
- Wkrótce zabijemy więcej - odparł Hełm.
Fecht mistrz zachichotał.
- Zaczynam cię lubić. Szkoda, że musimy tutaj umrzeć.
- Na pogrzeb zawsze zdążymy, a na razie coś wymyślmy - zauważył
zgrzyźliwie wojownik.
Przyłączył się do nich Ektalis.
- Nie damy rady utrzymać tej pozycji zbyt długo. Jest ich za dużo.
- Widzę! - warknął Attalos. - Sugerujesz, żebyśmy się poddali?
- Nie, po prostu widzę, co się dzieje. Jeszcze jeden frontalny atak i
będzie
po nas. Nie zdołamy ich powstrzymać.
. - Masz jakiś plan?
. - Możemy uciec do lasu. Tam byłoby im trudniej nas wyśledzić.
Attalos wspiał się na najbliższy głąz. Jego wzrok spoczął na drzewach
odległych o niecałą milę. Zdawały się niezwykle bliskie, lecz równie
dobrze
mogły rosnać po drugiej stronie oceanu, ponieważ pod niewielką skarpa
zgrupowało się ponad trzydziestu wojowników na attyckich
wierzchowcach.
Konie były wyższe od makedońskich i karynckich. Z tego, co
fecht mistrz
zauważył, wydawały się też dużo szybsze.
- Nie przejedziemy nawet połowy dystansu - oświadczył Ektalisowi.
- Gdy tylko znajdziemy się na równinie, wybija nas do nogi.
- Więc nie pozostaje nam nic innego jak polec w walce - powiedział
Karyntianin.

Attalos przygryzł język, tłumiac gniewną ripostę. Pokiwał tylko z rezygnacją głową. Poprzedniego dnia umknęli wprawdzie pogoni, lecz tym razem byli bez szans. Kiedy dotarli do kręgu głazów wypatrzonych przez Helma, czuli się ocaleni. Nadzieja ta jednak była krótkotrwała. Teraz została im śmierć na równinie lub wśród skał. Na myśl o tak banalnym końcu Attalos poczuł narastającą wściekłość. Za wszystko obarcza! winą Parmemona. Gdyby Spartanin został z nimi, nic by się im nie przydarzyło. Ale nie, musiał odgrywać rolę bohatera. – Ściągają posiłki – zauważył spiżowy wojownik. Fechtmistrz popatrzył na północ. W chmurze kurzu pędziło co najmniej pięćdziesięciu kolejnych meseńskich konnych. Attalos zaklął siarczyście. – Co tam, niech przybędzie nawet cała jazda. Czemu nie?! Cóż za różnica? Trzydziestu to i tak dla nas zbyt wielu. Równie dobrze mogłoby ich być osiemdziesięciu... albo stu osiemdziesięciu. – Znowu zaklął. Pod nimi Meseńczycy czekali na swoich kompanów i fechtmistrz obserwował dwóch wrogich oficerów, którzy oddalili się od żołnierzy. Prawdopodobnie zamierzali przedyskutować strategię. Słońce zaczynało zachodzić, a niebo ponad odległymi górami stawało się płomiennie czerwone. Do Attalosa zbliżyła się Tena. – Zabiorę Aleksandra do lasu – zaproponowała nieśmiało. – Złapią was – zaprotestował. – Nie zobaczą nas – odparła ze znużeniem. – Niestety, nie mogę zrobić tego samego dla ciebie i pozostałych. Moja moc niemal się wyczerpała. Resztą nawet w naj lepszym okresie nie byłabym w stanie sprawić, by tak duża grupa stała się niewidzialna. Fechtmistrz się odwrócił. Emocje wrzały w nim z morderczą furją. – Weź go! – wrzasnął. – Zabieraj go i bądźcie przeklęci! Przez chwilę kapłanka stała bez ruchu, potem odwróciła się i poprowadziła księcia do koni. Wybrała jedno ze zwierząt, posadziła dziecko na jego grzbiecie i usiadła za nim. Karyntianie obserwowali ją w milczeniu. Hełm podszedł do wierzchowca. – Dokąd jedziecie? – spytał cicho. – Do lasu. Nikt mnie nie powstrzyma. – Chłopiec jest dla mnie ogromnie ważny. Jeśli się zgubi, nie poznam swojej przeszłości. – Wiem. A jednak jego przeznaczenie jest ważniejsze niż twoje pragnienia. – Nie dla mnie, pani. – W takim razie musisz dokonać wyboru, Hełmie – odparła obojętnie. Była zupełnie spokojna. – Możesz wyciągnąć miecz i mnie powstrzymać. Wtedy jednak król-demon na pewno dostanie Aleksandra. Nie zdołamy przecież utrzymać tego wzgórze. Otacza nas zbyt wielu nieprzyjaciół. – To prawda – przyznał po krótkim namyśle. – Masz rację, pani. Życzę wam powodzenia – dodał po chwili. Podniósł rękę i poklepał księcia po szczupłym udzie. – Mam nadzieję, że ci się uda, chłopcze. Nie chciałbym umierać na próżno. Dziecko skinęło głową, lecz nic nie powiedziało.

Tena ścisnęła lejce i koń wyszedł stępa między głązy, potem powoli zaczął schodzić po stoku. Attalos, Hełm i Karyntianie obserwowali ją, gdy jechała pośród Meseńczyków. Żaden nie poruszył się, by ją zatrzymać ani nijak nie pokazał po sobie, że w ogóle ją widzi. Makedońska klacz swobodnie przeszła przez obóz nieprzyjaciela i ruszyła dalej ku drzewom. Attalos wyjął z woreczka na biodrze osełkę i zaczął ostrzyć miecz.

– Cóż, przynajmniej pokrzyżowaliśmy szyki wrogowi—oświadczył Hełm.

– Zaiste, wielka to pociecha – syknął fechtmistrz.

– Zawsze jesteś taki nieuprzejmy?— spytał wojownik.

– Nie, tylko na chwilę przed śmiercią.

– Rozumiem. Nie widzisz zatem najmniejszych szans na zwycięstwo? Attalos obrócił się i wyzywająco popatrzył mężczyźnie w oczy. Aż kipiał z wściekłości i był bliski szaleństwa, gdy jednak zobaczył szeroki uśmiech na metalicznej twarzy i kpiące spojrzenie w spiżowych oczach, natychmiast opuściła go złość. Parsknął szczerym śmiechem. Naprawdę zrobiło mu się wesoło.

– Może się założymy? – zaproponował Hełm.

– O to, kto zabije więcej wrogów? – spytał z radością fechtmistrz.

– Tylko o jaką stawkę? Nie mam pieniędzy.

– W tej chwili ja również. A jednak założmy się... powiedzmy o tysiąc złotych monet.

– Dotąd kładłeś trzech na moich dwóch – zauważył Hełm. – Żeby było uczciwie, uważam, że powinniśmy zacząć liczyć trupy od nowa. Od najbliższego ataku.

– A więc zakład stoi?

– Absolutnie – odparł spiżowy wojownik.

– Nadchodzą! – zawołał Ektalis.

Kapłanka zatrzymała się w cieniu drzew. Aleksander milczał, sztywno wyprostowany i naprężony. Łagodnie połączyła się z nim mentalnie.

– Zostaw mnie! – usłyszała nagły rozkaz. Chłopiec dysponował tak potężną energią duchową, że Derae o mało nie spadła z siodła. Mimowolnie krzyknęła.

Chwilę później wokół niej rozległy się odgłosy końskich kopyt. Z zarośli wyszło mnóstwo centaurów dzierżących w rękach napięte łuki.

– Witaj, Iskandrze – odezwał się jeden z nich. Był wysoki, białobrody, z bujną grzywą. Jego złocista na grzbiecie skóra na bokach przechodziła w żółtawobrazową, ogon miał długi i bielszy niż chmury. – Nazywam się Estipan. Chodź za mną, a zabiorę cię do Portalu Giganta.

– Nie – odparł książę. – Sądziś, że przywrócę wam magię, podczas gdy moi przyjaciele i sprzymierzeńcy umierają na moich oczach? Obserwowałeś bitwę na wzgórzu. Wiem o tym dzięki swej potężnej mocy. Twój brat Orases spytał cię, czy powinniście interweniować. Odparłeś mu, że jeśli jestem Iskandrem, nie zginę i przyjadę do was. Cóż, przyjechałem. A teraz wykonasz mój rozkaz!

Estipan stanął dęba, po czym z łoskotem uderzył przednimi kopytami w ziemię. Twarz miał karmazynową z gniewu.

– Jak śmiesz mi rozkazywać?! – wrzasnął. – Przybyłeś do nas wypeł-

nić swoje przeznaczenie.

– Nieprawda! – odrzekł chłopiec. – Powiedziałbym raczej, że przybyłem do was, by wypełnić wasze przeznaczenie. Najpierw jednak musicie zasłużyć na moją przyjaźń. Rozumiesz? Potrzebuję dowodów w postaci czynów, a nie ulotnych słów. Teraz poleć swoim pobratymcom, by zaatakowali Meseńczyków.

Jeśli tego nie zrobisz, wrócę do moich przyjaciół i zginę

wraz z nimi. Nie muszę ci chyba przypominać, co to oznacza,

Estipanie. Magia

zniknie z tego świata, a wszystkie magiczne stworzenia razem z nią.

Złotobrazowy centaur zawahał się. Pozostali wpatrzyli się w mego,

czekając

na rozkaz.

– Jeśli twoja moc jest taka wielka – oświadczył w końcu – dlaczego sam nie uratujesz swoich przyjaciół?

– Ponieważ pragnę sprawdzić twą lojalność i odwagę – powiedziało dziecko. – Dość tego! Teno, chcę wracać. Niech mój los się wypełni.

– Nie! Jeśli mnie do tego zmusisz, porwę cię! – ryknął groźnie

Estipan.

– Sądzisz, że ci się uda? Chodź zatem, tchórze, i poczuj dotyk śmierci!

– Nie jestem tchórzem!

– To tylko puste słowa, Estipanie, podczas gdy mnie interesują czyny. Nie mów mi... Pokaż!

Centaur ponownie stanął dęba.

– Za mną, przyjaciele! – zawołał i pogalopował na równinę. Ponad sześćdziesiąt uzbrojonych w łuki i noże centaurów popędziło za nim.

Aleksander

odprężył się i niemal bezwładnie osunął w ramiona kobiety.

– Ależ się czuję wypalony – szepnął. Kapłanka zsiadła, zdjęła go z konia i postawiła na ziemi. Książę wyciągnął się na trawie, głowę położył

sobie na ręce. Po kilku sekundach już spał. Tena spojrzała na wzgórze.

Meseńscy wojownicy mozolnie wspinali się po nim jeden za drugim. Z tej

odległości wyglądali jak mrówki. Jednak centaury szybko się do nich zbliżały.

Kobieta połączyła się mentalnie z Attalosem, jednak nie przemówiła do niego, ponieważ akurat walczył zaciekle z kilkoma napastnikami naraz i nie

chciała go rozpraszać. Usiadłszy na trawie, wyzwoliła swego ducha. Uniósł

się swobodnie i skierował ku stokowi. Tylko trzech obrońców wzgórza pozostało przy życiu – fechtmistrz, Hełm i Ektalis – lecz zostali zepchnięci

na zachodnią ścianę głązów.

Spiżowy wojownik zablokował właśnie pchnięcie, raniąc gardło przeciwnika.

– Siódmy! – zawołał triumfalnie. – Nigdy mnie nie dogonisz, Attalosie!

Słowa zaskoczyły kapłankę. W dodatku zauważyła, że fechtmistrz się uśmiecha. Uniosła się wyżej i obserwowała centaury podchodzące do podstawy

wzgórza. Ich strzały ze świstem dosięgały wbiegających na głązy Meseńczyków; niektórzy ogarnięci paniką pędzili do swoich wierzchowców.

Jednak

wewnątrz kręgu głązów walka trwała nadal. Hełm otrzymał rany cięte w ramiona,

kręgu głązów, krew sączyła mu się także z prawego uda. Attalos nie odniósł poważ-

niejszych obrażeń, a rana na czole zasklepiła się, tworząc

postrzępioną czerwoną kreskę. Ektalis również nie był ranny, chociaż ogromnie zmęczony. Fechtmistrz zablokował kolejny szaleńczy cios i odepchnął ramieniem napastnika. Mężczyzna osunął się na ziemię, lecz Attalos poślizgnął się na mokrych od krwi skałach i upadł wraz z nim. Natychmiast nadbiegło dwóch innych wrogich wojowników; zamierzali skorzystać z okazji i przygwoździć go do ziemi. Szczęśliwym trafem, na drodze stanął im Ektalis. Pierwszego powalił potężnym pchnięciem w brzuch, jednak drugi trafił go mieczem, rozcinając mu kark. Dzielny Ektalis poległ w walce. Fechtmistrz chwiejnie wstał na nogi i, plecy w plecy z Hełmem, walczył dalej. Natarł na niego jakiś żołnierz, lecz w tym samym momencie strzała trafiła go w skroń, zatoczył się i padł martwy. Kolejne strzały zafurkotały w powietrzu i pozostali przy życiu Meseńczycy odrzucili miecze i czmychnęli w panice. Hełm słańiał się, więc Attalos chwycił go za ramię, chcąc go podtrzymać.

– Ilu? – spytał królewski zabójca.

– Dziewięciu. A ty?

– Tylko sześciu. Jestem ci dłużny tysiąc złotych monet.

– W tej chwili zadowolilibym się dzbanem dobrego czerwonego wina i łagodną niewiastą o miękkim łonie.

Wśród skał pojawił się białogrzywy centaur. Pędził ku dwóm wojownikom, starannie omijając ciała zabitych.

– Przysłał nas Iskander – wyjaśnił.

Fechtmistrz spojrział na martwego Ektalisa.

– Trochę się spóźniłeś – odparł posępnie.

Miasto Sparta

Parmenion obudził się tuż przed świtem. Pokój był pogrążony w niemal całkowitych ciemnościach, jedynie z balkonowego okna padał srebrny snop księżycowego światła. Wódz był sam... kompletnie zziębnięty. Usiadł na posłaniu i roztarł zdrętwiałe ramiona. W pomieszczeniu panowało przenikliwie zimno. Przetrzęsnał posłanie, szukając koca lub płaszcza, niestety bez skutku. Jedyne ciepło pochodziło z naszyjnika, który miał na szyi. W mroku, poza snopem poświaty, coś się poruszyło. Spartanin zerwał się na nogi i wyciągnął z pochwy miecz.

– Pokaż się – rozkazał.

Przez poświatę przeszła widmowa postać. Ciałem strategosa wstrząsnęło przerażenie. Zjawa wyglądała jak kopia Filipa – poruszała się pewnie i śmiało, a jej włosy i broda lśniły niczym skóra pantery. Od macedońskiego władcy mężczyznę różniło jedynie złote oko. Parmenion cofnął się przed duchem króla-demonu.

– Boisz się mnie? Niezwykle to mądre z twojej strony – odezwał się upiór. – Równocześnie stajesz przeciwko mnie, co świadczy o twojej głupocie. Znam wszystkie twe posunięcia i myśli. Twoje plany leżą przede mną

niczym owoce na tacy. Zupełnie nie pojmuję, dlaczego upierasz się przy tej bezsensownej walce.

– Czego ode mnie chcesz? – spytał Spartanin.

– Znasz dziecko o złotych włosach. Przyprawdź je do mnie, a oszczędzę cię i twoje miasto. Chłopiec nic dla ciebie nie znaczy i tak naprawdę

wcale nie pochodzi z twojego świata. Jest wcielonym demonem i nosi w sobie

ziarno zła, które trzeba zniszczyć.

– Demonem, mówisz? Tedy powinien mieć w tobie przyjaciela, Filip" posie.

– Ależ, Parmenionie, jestem zwyczajnym człowiekiem – odparł król Makedonów tonem spokojnym i przyjaznym. Jego złote oko błyskało w bla-

dym świetle. – I jak wszyscy ludzie, czasem popełniam błędy, za które odpowiadam. Powinieneś to zrozumieć, gdyż jesteś wojownikiem i wspania-

Jym wodzem. O mało mnie zresztą nie pokonałeś. Przecież jestem tylko człowiekiem... Jedyne wojowniczym monarchą, który pragnie zbudować imperium. Tacy królowie istnieli przecież od zarania dziejów i zawsze będą

istnieć. Zresztą wszyscy wielcy ludzie pragną władzy. Spójrz na mnie! Wi-

dzisz we mnie demona?

– Nie zwiedzisz mnie, Filipposie! Widzę w tobie mężczyznę, który zabił własne dzieci, ponieważ chciał zostać bogiem. Widzę w tobie człowieka

opętanego. Nie próbuj mnie oszukać, bo i tak nie dam się zwieść.

– Nie oddasz jednego dziecka za całe miasto? Wszak chłopiec nawet nie jest Spartaninem! Jesteś szalony czy tylko głupi?

– Twoje obelgi mnie nie poruszają – powiedział strategos. – I mylisz się, wcale się cię nie boję. Wiele się nauczyłem w trakcie bitwy pod

Mantineją. Odkryłem, że jesteś kiepskim wodzem i talentu strategicznego

masz tyle co nic. Stale polegasz na swoim czarodziejskim oku. Jedyne dzięki

niemu odnosisz zwycięstwa. Bez niego byłbyś nikim! W najbliższych dniach

stawisz czoło potędze Sparty. I poznasz smak porażki. Może nawet czeka cię

śmierć. Wiem bowiem, jak cię zabić, Filipposie.

– Bardzo śmieszne. Już rozumiem, ty oszalałeś! Nie pokonasz mnie.

Jestem nietykalny i niezwyciężony. Nie działa na mnie ostrze miecza ani

żadna znana człowiekowi trucizna. Przyprawdź do mnie te swoje pięć tysięcy

żołnierzy i drugie tyle niewolników i starców. Zobaczmy, jak sobie poradzą

z armią Makedonu! Tym razem żadna fałszywa bogini cię nie ocali.

Rozkażę

moim wojownikom, aby cię wzięli żywcem, a później obedrę cię ze skóry.

Dosłownie!

Wódz roześmiał się.

– Czyżbyś się jednak mnie obawiał, demonie? Czy tak smakuje strach? Postać króla zamigotała i rozmasała się. Rysy jego twarzy wykrzywiły się,

zdeformowały i rozciągnęły. Oblicze poszarzało i pokryło cętkami, oczy

zmieniły w karmazynowe szczeliny, usta zaś w ogromną, pozbawioną warg paszczę, która przypominała szramę. Gdy demon ją otworzył, Spartanin dostrzegł w środku wielkie kły. Po chwili z ciemnych włosów wyrosły

zakręcone czarne, baranie rogi. Ich koniuszki niemal dotknęły zniekształconej czaszki. Potwór natarł na Parmeniona, który stał w bezruchu z wyciągniętym przed siebie mieczem.

– Strach, człowieku? – Dotarł do wodza lodowaty syk. – Pytasz mnie, czy znam strach? – Strategos poczuł suchość w ustach, jednak pewnie trzymał broń. Bestia przystanęła przed nim. Była znacznie od niego większa.

– Jestem panem tego świata. Ten świat należy do mnie. Zawsze był mój, gdyż wszystko, co istnieje, zrodziło się z Chaosu. Wszystko! Od najmniejsze-

go nasienia aż po największą gwiazdę. Chodziłem po tym świecie jeszcze przed pojawieniem się ludzi. Wówczas teren pod moimi stopami wrzał, a powietrze wypełnione było ogniem. Będę kroczył po nim również wtedy, kiedy kompletnie wyjałowuje, w całkowitej ciszy, której nie przerwie kwile- nie żadnego człowieka, ponieważ wszyscy wyginiecie! Ach, otoczy mnie wtedy popiół i pył, ciemność i przeraźliwy chłód. Będę tu stale, choć gwiazdy

się już wypala! I ty myślisz, że przenika mnie strach?

– Ciebie może faktycznie nie – przyznał Spartanin. – Sądzę jednak, że Filippos podświadomie poczuł lęk... W przeciwnym razie, nie stanąłbyś przede mną.

– Sprytnyś, człowieku. Ale nie uważaj się za przebieglejszego ode mnie.

Wiem, że jesteś oszustem. Obserwowałem cię w lesie i na morzu, gdy zatonał statek śmierci. Przegrasz, tak jak twój brat bliźniak. Nie możesz zwyciężyć,

W dodatku, doskonale zdajesz sobie z tego sprawę.

– Posłuchaj, wiem jedynie dwie rzeczy. Po pierwsze, że trzeba cię pokonać. Po drugie, że jest to możliwe. Twoja moc nie jest nieograniczona.

Zależy od ludzi, którzy ci służą. Gdy umrą, przegrasz.

– Cóż, jak już wspomniałem, jesteś sprytnym człowiekiem, Parmenionie. Twój los niestety wydaje mi się przesadzony. Spartańska armia na niewiele ci się zda, a niewolnicy rozproszą się i uciekną podczas pierwszej

szarży. Twoi Spartanie zostaną otoczeni i wybici co do jednego.

Jakiemu

celowi zatem służy twój opór?

Strategos nie odpowiedział, gdyż nie potrafił... Zajrzał jednak Filipposowi

w oczy i podniósł miecz. Demon zamigotał, lecz zanim zniknął, wyszeptał po

raz ostatni:

– Dopilnuję, żebyś przeżył. Wiesz po co? Byś mógł obserwować śmierć każdego mężczyzny, kobiety i dziecka z tego miasta. Umrzesz na końcu. Pomyśl o tym, śmiertelniku, ponieważ tak wygląda twoja przyszłość. Parmenion opadł na łóżko. Wypuścił miecz z ręki. Rozpacz zalała jego umysł, tłumiąc emocje i zaćmiewając rozum. Jak mógł marzyć o pokonaniu

takiej potężnej kreatury?!

Jestem przy tobie – odezwał się czyjś głos w jego głowie.

– Tena?

Tak, to ja.

– Widziałaś?

Widziałam i odczuwam dumą, że tak dzielnie przeciwstawiłeś się demono-

wi. Aleksander jest bezpieczny. Czekamy przy portalu. Nasza świta

jest liczna
i składa się ze stworzeń dysponujących wielką mocą i niesamowitymi
wprost
możliwościami. Jeśli Filippos zechce pojmać Aleksandra, będzie
potrzebował
naprawdę sporej armii!
Wódz poczuł ogromną ulgę.
– Przynajmniej jedna dobra nowina. Przekazałaś Brontesowi wiadomość ode mnie?
Tak. Niestety, nie potrafił przekonać magicznych stworzeń, by ruszyły ci
na pomoc: ludzie i ich metody szczerze je przerażają. Przez stulecia
człowiek
je ścigał i zabijał, zdradzał i oszukiwał. Obecnie interesuje je
tylko magia...
Brontes, Hełm i Attalos przyłączą się do ciebie. Ale... nikt poza
nimi...
– Przyznam, że spodziewałem się takiej reakcji. Tym niemniej odczuwam straszliwe rozczarowanie.
Zastanów się chwilą nad pewną kwestią – doradziła. – Filippos uznał cię za bliźniaka króla Parmeniona. Nie wiedział, kim naprawdę jesteś.
Nie
czytał w twoich myślach. Twoje plany są bezpieczne.
Nie potrafił powstrzymać uśmiechu.
– Mam tylko jeden plan, pani. Jeden gigantyczny plan... przerażająco
ryzykowny. Jeśli zawiedzie, przegramy.
Tylko jeden?
– Nie ma czasu na subtelności, Teno. Jeden rzut kośćmi... to
wszystko,
co mamy.
W takim razie musisz sprawić, aby potoczyły się odpowiednio... Wiem,
że
potrafisz- Jesteś wszak strategosem / nadzieją świata.
Dla uspokojenia Parmenion wziął głęboki wdech.
– Może w moich myślach Filippos nie jest w stanie czytać, lecz co do
innych... A nie mam wyjścia, muszę niektórym osobom przekazać mój
plan.
Tego dnia będę potrzebował pomocy. Twoim zadaniem będzie odwrócić
uwagę króla-demonia. Jeśli pozna moją strategię, wtedy naprawdę
wszystko
stracone... Potrafisz to uczynić?
Na moment zapadła cisza.
Zastanowiła się nad twoją prośbą – obiecała w końcu.
– Miło cię znowu słyszeć – oświadczył nagle.
Niech Źródło Życia będzie z tobą mój... przyjacielu.
– Wolałbym pięć tysięcy konnych, pani.
Dzień był długi, gorący i nieskończenie frustrujący. Niewolnicy w
nowych
napierśnikach i skórzanych spódniczkach stale rozmieszali i
rozpraszaali
szkolących ich oficerów... Dziesiątki z nich odrzucano, wielu
odnosiło obra-
żenia w trakcie ćwiczeń. Zwichnięte kończyny, rany cięte...
Parmenion przechadzał się między rekrutami. Oficerów wspomagał
w cierpliwości, proponował niewielkie zmiany w metodach treningu,
niena-
wykłych do broni ludzi zachęcał do wysiłku ciepłym słowem. I tak
toczył się
dzień...
Do popołudnia strategos pomagał koszarowym młodzikom przy blokowa-
niu ulic. Wnosił wraz z nimi meble z domów, napełniał worki ziemią
i kamieniami, później wciągał je na barykady.
– Niech oszczepnicy staną na wszystkich dachach wzdłuż Alei Poleg-
łych i Alei Królów – polecił Kleandrowi. – I niech to będą mężczyźni

O silnych ramionach, bo trzeba będzie daleko ciskać. A na agorze, za barykami ustaw kilka setek łuczników.
– Wedle rozkazu, panie – służbiście odparł nowo mianowany dowódca obrony miasta, mimo choroby czując narastającą nadzieję, która dodawała mu sił.

O zmierzchu, po powrocie do pałacu, Parmenion spędził dwie godziny z Leonidasem, Timasjonem, Kleandrem oraz resztą oficerów. Wysłuchił raportów związanych z postępami w szkoleniu.
– W ciągu dwóch dni prowizorycznie przeszkolimy sporo żołnierzy – oświadczył Leomdas. – Ale nie więcej niż pięć tysięcy. Reszta w poważniejszej bitwie tylko by przeszkadzała... Proponuję zostawić ich z Kleandrem.
Niech bronią miasta.
– Zgadzam się – przystał na sugestię król. – Ale ludzie nie wcieleni do armii nie powinni czuć się odrzuceni i bezużyteczni. Podzielcie ich na dwudziestoosobowe grupy. W każdej wybierzcie przywódcę. Niech regularnie składają raporty Kleandrowi. W czekającej nas bitwie morale musi zająć miejsce dyscypliny... Chcę, aby wszyscy to zrozumieli. Nie krytykujcie ludzi za brak umiejętności obchodzenia się z bronią czy za mezdarność. I w żadnym wypadku nie uświadamiajcie im, że spartańscy wojownicy sławę i renomę zawdzięczają długim latom mozolnych szkoleń. Najlepszych trzeba szczerze obsypywać pochwałami, słabszych stale podtrzymywać na duchu. Jeżeli nie możecie pochwalić ich za fachowość, chwalcie za odwagę. I traktujcie ich jak równych sobie. Każdy oficer, któremu nie spodoba się te metody, będzie musiał wrócić do swojego legionu. Widziałem dzisiaj wielu instruktorów krzyczących i wrzeszczących na rekrutów. Ma się to natychmiast skończyć, zrozumiano?
Czarnobrody Timasjon pochylił się.
– Doceniam twoje rady, panie, prawda jest jednak taka, że niezależnie od intensywności treningu, niewolnicy i tak nie pokonają makedońskiej falangi. Żeby wyszkolić dobrych wojowników, rzeczywiście potrzeba lat.
Tylko wtedy wykonują natychmiast każdy rozkaz, gładko zmieniają pozycje i formacje. Naiwnością byłoby sądzić, że niewolnicy nauczą się tego wszystkiego w tydzień albo jeszcze szybciej.
– Timasjon ma rację – zauważył Likon. – O sile każdej armii decyduje nie doborowe, z konieczności nieliczne oddziały uderzeniowe, lecz jej najslabsze formacje. My nie dysponujemy w ogóle konnicą, za to na skrzydłach naszej falangi pójda niewolnicy i starcy. Weteranom wprawdzie możemy zaufać, lecz są zbyt starzy. Nie wytrzymają długo ataku. A niewolnicy przy pierwszym starciu z wrogiem złamią się jak patyczki.
– Nie zamierzam się z wami spierać, przyjaciele – oświadczył Parme-

nion. – Jednak pozwólcie mi coś powiedzieć. Jeśli będziemy wciąż tylko rozprawać o porażce, wyróżymyja sobie. Gdy ruszymy do bitwy w przekonaniu, że przegramy, wtedy na pewno nie zwyciężymy. Rekruci są ludźmi. Zaufajcie mi, sprawią się dobrze. A jeśli nie przekonują was moje słowa, przynajmniej udawajcie, że w me wierzycie. Mam dość debat o nieuchronnej klęsce i naszych słabościach. Jesteśmy przecież w gronie samych oficerów, toteż doskonale pojmujemy naturę wojny. Wszystko, co dziś powiedzieliście, to prawda... ale dla dobra sprawy zachowajcie ją dla siebie. Ostatecznie bitwy wygrywa się bądź przegrywa w wyniku działań pojedynczego żołnierza. Wystarczy, że jeden człowiek się przestraszy, a panika błyskawicznie się rozszerza na pozostałych niczym zaraza. Czasem zaś, kiedy z pozoru słaby wojownik wykaże się hartem ducha, podrywa resztę do wielkich czynów. Nie chcę, by niewolnicy maszerowali z klęską w sercach. Mają kroczyć jak zaprawieni w bojach woje, pełni wiary w zwycięstwo. Dumni, przekonani, że ich spartańscy dowódcy ogromnie ich szanują. Nie obchodzą mnie racjonalne analizy... Nasza armia ma wyglądać na taran, któremu nic się nie oprze. A gdy wszyscy właściwie wykonają wyznaczone zadania, plan się powiedzie i wygramy. A wtedy marzenie się ziści.

– Naprawdę wierzysz, że możemy zwyciężyć? – spytał Leonidas.

– Nie wierzę, lecz po prostu wiem! Jesteśmy wszak Spartanami. Nie złamię nas! Nigdy. Raczej się zatrzymają na naszych mieczach i włóczniach.

Sadzę, że ich jazda nas ominie i na naszych oczach ruszy ku miastu w przekonaniu, że lęk o życie naszych żon, dzieci, matek i sióstr załamie w nas ducha walki... Wtedy zaszarżuje piechota wroga o przewadze liczebnej może nawet trzykrotnej. Następna godzina okaże się rozstrzygająca. W jej trakcie wygramy bądź przegramy bitwę.

– Skąd pewność, że konnica nas nie zaatakuje? – zapytał Likon.

– Widziałem taktykę Filipposa pod Mantineją. Król-demon me jest kawalerzystą, toteż do wszystkich ważniejszych zadań używa piechoty. Wiem, że jego głównym celem jest zdobycie miasta. A brak mu cierpliwości. Gdyby nas zmusił do odwrotu, bronilibyśmy Sparty do ostatniego człowieka, więc raczej ominie nas szerokim łukiem. Objedzie armię i ruszy na miasto, które ma wielką ochotę zburzyć.

– A jeśli się mylisz? – wtrącił Timasjon. – Co wtedy?

Parmenion uśmiechnął się z przymusem.

– Nie mylę się, jeśli jednak konnica Filipposa nie zaatakuje miasta wówczas Kleander wymaszeruje ze swoimi ludźmi i przyłączy się do nas na polu bitwy. Kolejna sprawa... Nie odziewajcie niewolników w czerwone płaszcze. Mają je nosić tylko Spartanie.

– Dlaczego? – spytał Kleander. – Czyż rekruci nie poczuliby się wtedy pewniej?

– Spartańskie legiony powinny się odznaczać. Niech wróg wyraźnie je zobaczy.

– Będziemy długo pamiętać ten dzień – mruknął Timasjon. – Pięć tysięcy Spartan przeciw czterdziestu tysiącom barbarzyńców!

– Zapewniam was, że Makedonowie również nigdy nie zapomną tego dnia – obiecał Parmenion.

Nestos przewracał się bezsennie na wąskim łóżku i słuchał chrapania pozostałych wojowników. W długim pokoju spało czterdziestu mężczyzn. Byli szeregowymi żołnierzami i żaden z nich nie chciał rozmawiać z gigantem.

Nestos czuł się samotny i rozgoryczony. Własny ojciec nie wpuścił go do domu i wiadomość o jego wstydzie już zdażyła obieć całą Spartę. Gdy szedł ulicą, przyjaciele go unikali. Odwracali głowy i udawali, że go nie widzą.

Spierzchnęły mu usta, więc wstał z pryczy i poszedł do jadalni. Nalał sobie puchar wody. Zimny wiatr owiał jego gołe plecy. Wojownik zadrżał. A zaledwie dwa lata temu życie wyglądało tak obiecująco. Z wzajemnością kochał Derae. Zaplanowano wspaniałe wesele. Ojciec był z Nestosa ogromnie dumny, gdyż ślub zapewniał więź z królewskim domem, toteż jego syn miał szansę ubiegać się w przyszłości o tron. Wszyscy wiedzieli, że Leonidas jest naturalnym dziedzicem, a Nestos pozostawał jego najbliższym przyjacielem. Och, jakże świetlana przyszłość go czekała, jaka cudowna!

Perspektywa ożenku stłumiła nawet frustrację Nestosa spowodowaną koniecznością służby mieszańcowi, którego eforowie mianowali naczelnym wodzem Sparty. Parmenionowi...

Teraz, bardziej niż kiedykolwiek dotąd, samo imię wroga ścisnęło gardło w paroksyzmie bezsilnej wściekłości. Serce giganta załomotało. Jeden dzień odcisnął się w jego pamięci na zawsze. Po śmierci Agesilaosa tron przejąć miał Leonidas... Wezwany do Pałacu z Krowiego Złota, Nestos cieszył się perspektywą spotkania z przyjacielem. Może otrzyma awans od nowego króla? Zastanawiał się, którym legionem będzie dowodził. Stało się inaczej. Dowiedział się o odwołanym ślubie. Jego oblubienica... jego prawdziwa miłość... miała teraz poślubić Parmeniona, ułatwiając mieszańcowi koronację.

– Powiniennem był go zabić tamtego dnia – szepnął nieszczęsny wojownik. Wyobraził sobie, jak ostrze miecza przeszywa na wylot Parmeniona, jak światło życia błędnie w oczach bękarta.

Ciężko usiadł przy długim kuchennym stole i nalał sobie kolejny puchar wody.

„Co teraz?” – zapytał siebie. Tylko śmierć może zmyć jego hańbę.

Sparta zostanie zniszczona, jej mieszkańców czeka masakra. Nestos wrócił myślami do Derae i oczyma wyobraźni zobaczył przerażający obraz. Barbarzyńcy wyciągają ją z pałacu, gwałcą, a potem zarzynają. Bogowie przeklęli miasto za to, że posadziło na tronie mieszańca! W pomieszczeniu zrobiło się zimniej, lecz mężczyzna ledwie to zauważył.

„Dlaczego miałbyś tu zostać i potulnie iść na rzeź jak baranek?” Ta nieproszona myśl przemknęła mu przez głowę, dziwiąc swoją oczywistością.

– A gdzie indziej mógłbym pójść?

„Popłyn na Kretę. Masz przecież na wyspie przyjaciół... i posiadasz spory majątek”.

– Nie mógłbym opuścić moich towarzyszy i rodziny.

„Niby czemu? Wszak oni odwrócili się od ciebie. Unikają cię na ulicy”.

– Niegodnie postąpiłem. Wyciągnąłem przeciwko królowi miecz.

„Mówisz o tym mieszańcu? O mężczyźnie, który użył tajemniczego zaklęcia, dzięki któremu zdobył tron i poślubił twoją kobietę?”

Zaklęcie? Dlaczego nie wpadł na tę myśl wcześniej! Tak, tak, na pewno o to chodziło. Leonidas rzeczywiście zachowywał się do pewnego czasu jak

zaczarowany. Z jakiego innego powodu szlachetnie urodzony Spartanin od-

rzuciłby prawo do korony?

„Zabij go”.

– Nie, nie mógłbym.

„Zgodnie z tradycją dawnych bohaterów zabij sprawcę swojej hańby.

Odbierz to, co ci się prawnie należy. Derae cię kocha. Uratuj ją.

Zabierz ją

z miasta i wywieź na bezpieczną Kretę”.

– Bezpieczną! Tak! Mógłbym ją uratować. Derae mnie kocha. Popłyn ze mną. Tam odnajdziemy nasze utracone szczęście. Krótka jazda do Gytejonu, potem statek. Tak! Zabić mieszańca i odzyskać swoją własność!

Ależ tak!

Zimno odeszło, w kuchni zrobiło się na powrót wilgotno i gorąco.

Nagła

zmiana temperatury przyprawiła Nestosa o dreszcz. Wstał i ruszył ku pryczy.

W milczeniu włożył szary chiton i wiązane do pól łydki sandały.

Narzucił

płaszcz, przypasał miecz i wyszedł z koszar.

W domu jego ojca panowała ciemność i cisza. Wojownik wspiał się przez okno parteru, przeszedł ukradkiem przez pokoje i dotarł do gabinetu ojca.

Tutaj w kamiennej ścianie za rzeźbionym dębowym kufrem była nisza, a w niej czekało pięć skórzanych woreczków, ciężkich od złota.

Mężczyzna

wziął dwa, opuścił dom i poszedł do stajni.

Jego wejście zbudziło leżącego na sianie stajennego. W sekundę

później

pięść giganta trafiła z wielką siłą w twarz służącego, łamiąc mu kość policz-

kową i pozbawiając go przytomności.

Nestos wybrał dwa najszybsze konie, obwiązał im kopyta materiałem i wyprowadził na oświetloną księżycem ulicę. Poszedł z nimi do Pałacu z Krowiego Złota. Głównych drzwi strzegło jedynie dwóch wartowników; obu znał. Przywiązał konie z dala od nich, pewnym krokiem minął bramę i zbliżył się do żołnierzy.

– Czego tu chcesz? – zapytał pierwszy. Nestos trafił go pięścią w szczę-

kę i wartownik upadł bez przytomności. Potem gigant skoczył na drugiego,

chwycił go za gardło i jednym szybkim ruchem podniósł z ziemi. Szyja mężczyzny głośno trzasnęła, kręgi popękały. Wcześniej Nestos wcale nie

zamierzał go zabijać i własne okrucieństwo przyprawiło go o przerażenie.

Upuścił ciało i szybko odszedł.

„Drugiego też zabij” – nakazał jakiś głos w jego głowie. Wyciągnął miecz i bez wahania zatopił go w gardle nieprzytomnego wojownika. Pchnął drzwi, wpadł do pałacu, wbiegł po długich schodach na trzecie piętro i ruszył zimnym korytarzem do apartamentów królowej. Serce biło mu szaleńczo, wargi pulsowały w gorączce. Drzwi do pokojów królowej były uchylone. Otworzył je jedynie na tyle, by wślizgnąć się do środka. Przez balkonowe okno wpadał do wnętrza jasny księżyc. Pierwszą rzecz, jaką Nestos zobaczył w tym świetle, była migotliwa zielona szata rzucona niedbale na tapczan. Podeszedł do niej, podniósł ją i przyłożył do twarzy, wciągając do płuc zapach perfum. Rozgrzany pożądaniem wkroczył do sypialni Derae. Stał w progu i przyglądał się oświetlonej księżycem królowej. Była naga. Leżała na boku, na pościeli, z głową na lewej ręce. Pot sperlił mu czoło. Jej złota skóra wydawała się w poświacie bielsza niż kość słoniowa, choć – miękka i ciepła – ponętnie połyskiwała. Nestos przełknął ślinę, podeszedł do łóżka i położył pokrwawiony miecz na pościeli. Wyciągnął rękę ku ramieniu Derae i przesunął po gołej skórze: w dół aż do talii i jeszcze niżej, po krzywiznę bioder. Kobieta jęknęła przez sen i przetoczyła się na plecy. Uśmiechnął się na myśl o przyszłych rozkoszach. Dom nad morzem, służba, dzieci... Nagle królowa zbudziła się, krzyknęła i zerwała z zamiarem ucieczki. Instynktownie złapał ją za kark i pociągnął.

– Przestań! – zawołał. – To ja, Nestos. Przyszedłem po ciebie. Chcę cię uratować!

Przestała z nim walczyć i skupiła zielone oczy na jego twarzy.

– Jak to uratować? Oszalałeś? Wchodząc tu, skazałeś się na śmierć.

– Nie dbam o to. Zabiłem dziś wieczorem dwóch ludzi i zabiję wszystkich innych, którzy spróbują mnie powstrzymać. Mam plan, Derae. Popłyniemy na Kretę. Tam mieszkają moi przyjaciele. Na wyspie odnajdziemy nasze szczęście. Ubieraj się, zostało nam niewiele czasu. Wszystko ci wyjaśnię po drodze.

.– Zwariowałeś!

– Nie! Posłuchaj mnie. Miasto jest skazane... Nikt ani nic go nie uratuje. Tylko mój plan może nam zapewnić szczęście. Nie rozumiesz? Będziemy razem.

Spojrząwszy na tapczan, dostrzegła zakrwawiony miecz.

– Co zrobiłeś?!

– To, co musiałem – odparł. Podniósł dłoń i przesunął palcami po jej piersi. Gwałtownie odsunęła się od niego.

– Parmenion cię za to zabije – szepnęła.

– W pałacu nie ma straży. A sam na pewno nie zdoła mnie pokonać. Nikt mnie nie pokona. Jestem najlepszy.

Niespodziewanie kobieta wyrwała się i stoczyła z łóżka. Rzucił się za nią, lecz mu się wymknęła i pobiegła do drzwi. Chwycił miecz i ruszył za nią, wypadła już jednak na korytarz i wrzasnęła z całych sił:

– Parmenionie! Parmenionie!

Złapał ją dopiero na szczycie schodów i pociągnął za włosy.
– Ty dziwko! Mówiłaś, że mnie kochasz, a teraz mnie zdradzasz!
– Nigdy cię nie kochałam! – odkrzyknęła i uderzyła go w policzek.
Odepchnął ją i podniósł miecz.
– W takim razie cię zabiję! – wrzasnął. Zdołała uniknąć ciosu i umknęła na schody. Biegła, przeskakując po dwa stopnie naraz. Pędził za nią, ale potknął się i upadł. Miecz wypadł mu z łoskotem z dłoni. Oszołomiony mężczyzna wstał i z haftowanego dywanika zdobiącego podstawę schodów podniósł broń. Obrócił się w poszukiwaniu uciekinierki.
– Widzę, że masz miecz – oświadczył spokojnie Parmenion. – Więc użyj go!
Stał nagi w korytarzu, jego żona kryła się za nim.
– Wybiła twoja godzina, mieszańcu – rzucił nienawistnie Nestos. Strategos uśmiechnął się i podniósł ostrze. Gigant natarł z impetem i wymierzył pchnięcie w brzuch, jednak Parmenion odskoczył na bok, odparował cios, przeciągając mieczem po nogach napastnika. Nestos zwałił się na podłogę, lecz szybko zdołał się podnieść.
•– Bądź ostrożniejszy – doradził król lodowato. – Gniew czyni człowieka niedbałym. – Nestos ponownie zaszarżował, tym razem celując w gardło przeciwnika. Parmenion opadł na kolano, toteż ostrze świsnęło tylko nad jego głową, po czym dźgnął Nestosa w pachwinę. Gigant krzyknął. Strategos wyrwał miecz z ciała i podniósł się. Nestos zrobił kilka chwiejnych kroków, po czym osunął się na kolana. Krew tryskała z rozerwanej arterii. Wojownik starał się wstać, ale siły szybko go opuszczały i w końcu runął z łoskotem, uderzając twarzą w zimny marmur korytarza. Wściekłość i szal uszły z niego wraz z krwią i życiem. „Co ja tu robię?” – pomyślał. Usłyszał odgłosy biegnących stóp i czyjś krzyk: – Ktoś próbował zabić króla! „Aha, więc po to przybyłem – skojarzył. – Zapewne przybyłem ocalić króla przed wrogami. Tak, tak. – Uspokojony, zamknął oczy. – Ojciec będzie ze mnie dumny”. To była jego ostatnia myśl. Parmenion odstąpił od ciała i zaprowadził nagą Derae do swoich apartamentów. Pchnięciem zamknął za sobą drzwi i rzucił miecz na podłogę. – Był opętany – oceniła kobieta. Zrobiła krok ku niemu i otworzyła ramiona. Przytulił ją łagodnie, splatając ręce na jej plecach. Stali tak przez chwilę. Żadne z nich nie słyszało, że drzwi się otwierają. Nie widzieli zatem wchodzącego Leonidasa. Spartanin przez chwilę milczał, potem odchrząknął. Strategos odwrócił się ku niemu, lecz nie wypuścił królowej z objęć. – O co chodzi, przyjacielu? – spytał wojownika. – Chciałem się upewnić, że nie zostałeś ranny... panie. – Och, Leonidasie, to było straszne – pożałowała się Derae. – Powinieneś widzieć jego oczy. Nigdy nie przypuszczałam, że w Nestosie jest tyle zła. – Zabił dwóch wartowników – odparł brat zimnym głosem. – Widzę, panie, że masz się dobrze, więc zostawię cię... was oboje. Rano będziemy

gotowi do wymarszu. Dziś mija pięć dni... o ile pamiętasz. – Skłonił się i wyszedł.

– Był w jakimś dziwnym nastroju – szepnęła królowa, przytulając się jeszcze mocniej do Parmeniona. Mężczyzna poczuł na piersiach dotyk jej ciepłej skóry.

„Nic dziwnego” – odpowiedział jej w myślach. Przecież Leonidas własnie zobaczył swoją siostrę w objęciach oszusta.

– Kocham cię – szepnęła Derae. – Obiecaj mi, że wrócisz.

– Nie mogę złożyć ci takiej obietnicy, nasz los jest niepewny – odparł ostro.

– Po prostu wypowiedz te słowa. Nie wierzę, że można cię pokonać. Jesteś Parmenion, król Sparty. Mój Parmenion!

Uśmiechnął się, trzymając ją mocno.

– Pewien mądry człowiek powiedział mi kiedyś, że nawet jeśli zamierzasz żyć wiecznie, powinieneś każdy swój dzień przeżyć w taki sposób, jakby

miał być twoim ostatnim. Pójdźmy za jego przykładem, moja pani.

Potraktuj-

my dzisiejszy wieczór, jakby był naszym ostatnim.

Poprowadził ją do swojej sypialni, położył się obok niej i

przyciągnął ją

do siebie. Kochali się spokojnie i powoli, ponieważ jego wypełniała właściwie

nie namiętność, lecz desperackie pragnienie. Chciał czuć dotyk skóry swej

ukochanej, być w niej, być jej częścią... Tuż przed orgazmem zwolnił i się

wycofał.

– Dlaczego przestajesz? – spytała, gładząc go po policzku.

– Nie chcę jeszcze kończyć. Nie teraz, nie dziś wieczorem... nigdy.

– Mój drogi, mówisz to z takim wielkim smutkiem. Nie powinieneś się martwić. Nie dziś wieczorem... nie ze mną.

Przesunęła palcami po jego piersi w dół, po napiętym brzuchu.

Dotknęła

nadal wzwiedzionego członka i otoczyła go palcami. Aż jęknął z rozkoszy.

– Boli cię? – Choć spytała poważnym tonem, w jej oczach dostrzegł kpinę.

– Jesteś rozwiązła, moja pani – oświadczył ze śmiechem, przewracając ją na plecy i kładąc się na niej. – Potraktuję cię tak, jak na to zasługujesz.

Ześlizgnął się z łóżka i ugryzł ją lekko w wewnętrzną część uda.

Krzyk-

nęła, rozwarła nogi, by uciec przed jego zębami, a wtedy wsunął między nie

głowę. Ustami muskał jej miękkie włosy łonowe, język wsunął w jej wnętrze.

Krzyknęła znowu, lecz ją zignorował. Szarpała się pod nim, starała się

umknąć, choć jego ręce trzymały ją pewnie i zdecydowanie. W chwilę później

odprężyła się i zaczęła jęczeć. Jej ciało gwałtownie wygięło się w łuk, nogi

się napięły. Tym razem krzyczała nie z bólu czy oburzenia, ale z podniecenia

i rozkoszy, którą dawał jedynie orgazm. W końcu opadła na łóżko, rozrzu-

ciwszy ramiona.

Parmenion położył się obok niej.

– Dobrze się czujesz jako kobieta rozwiązła? – spytał.

– Cudownie – przyznała. – Ale obiecaj, że nigdy mi nie zdradzisz, gdzie się nauczyłeś tej... pieśczo-

– Obiecuję.
– Nie, nie. Zmieniłam zamiar. Jednak mi powiedz.
– Przysięgam na moją duszę, że w tym świecie nigdy wcześniej tego nie robiłem.
– Nie wierzę, to nie może być prawda.
– Przysięgam. Jesteś pierwszą kobietą w całej Achai, którą pieściłem w ten sposób.
Uniosła się na łokciu i spojrzała mu w twarz, po czym się uśmiechnęła.

– Wierzę ci – odparła powoli. – Jest jednak pewna rzecz, której mi nie

Powiedziałeś.

– O, czyżbyś była wieszczką? – spytał, wymuszając uśmiech, którym zamierzał pokryć nagłe skrepowanie.

– Tamis powiedziała mi kiedyś, że mam dar, nie rozwinęłam go jednakże w sobie. Co zatem ukrywasz?

– W chwili obecnej – odparł, patrząc na jej nagie ciało – wydaje mi się, żenić.

– Sprawdzę – oznajmiła. Klęknęła. Całowała jego brzuch, muskając wargami coraz niżej.

– Och, nie! – zawołał, chwytając rękoma jej głowę. – Nie możesz! To nieprzystojne.

Jej śmiech odbił się echem po całym pokoju.

– Nieprzystojne? Król nie powinien wzgardzić pocałunkiem, który przystoi królowej!

Chciał się z nią spierać, lecz tylko do chwili, gdy dotknęła jego penisa

wargami. Kiedy jej usta zaczęły się rytmicznie przesuwają, stracił wszelką

ochotę na spory.

Później usiedli na tapczanie i saczyli wino zmieszane z wodą. Nagle usłyszeli kroki w korytarzu za głównym pokojem. Derae wstała i

wróciła do

sypialni, Parmenion tymczasem podniósł miecz i otworzył drzwi. Na zewnątrz

stało dwóch wartowników. Towarzyszył im Leonidas.

– Co się dzieje? – spytał strategos.

– Filippos rozpoczął nocny wymarsz. Chce nas zaskoczyć. Dwóch naszych zwiadowców dopiero co wróciło. Mówią, że jutro do dwunastej w po-

łudnie Makedonowie będą widoczni z miasta.

– Będziemy gotowi – obiecał król.

– Oczywiście. Czy moja siostra nadal jest z tobą?

– Tak.

– Mogę wejść?

– Nie, przyjacielu. To nasza... ostatnia noc. Rozumiesz?

– Jasne. Ale rano twoje posunięcia mogą ci się wydać mniej mądre.

– Moje życie pełne jest żalu, ale tej nocy na pewno nie będę żałował.

– Nie myślałem o tobie – odburknął Leonidas.

Prawdziwość słów wojownika uderzyła Parmeniona niczym cios. Gdyby nie kochał się z Derae, wtedy zapamiętałaby go jako lodowatego króla, który

nic do niej nie czuł. Jego śmierć niewiele by ją zmartwiła.

Niezależnie zresztą od wyniku jutrzejszej potyczki (zwycięży,

poniesie po-

rażkę czy umrze) Parmenion zniknie z życia królowej, ponieważ tak obiecał

Leonidasowi. Przez pięć dni był królem... albo aż do rozstrzygnięcia bitwy-

Potem znowu straci Derae.

Leonidas dostrzegł marsową minę króla, wyciągnął rękę i poklepał go p^o

ramieniu.

– Przepraszam, przyjacielu – szepnął. Wódz nie odpowiedział. Wycofał się, zamknął drzwi i stał przez chwilę w ciemnościach pokojów.

– Kto to był? – zawołała kobieta. Wszedł do sypialni i położył się obok niej.

– Leonidas. Makedonowie zjawia się jutro w mieście.

– Pokonasz ich – mruknęła sennie. Poglądził ją po włosach i przykrył ich oboje pościelą.

O świcie jeszcze nie spał. Nagle usłyszał, że Priastes wchodzi do zewnę-

trznego pokoju. Wstał bezszelestnie, wyszedł z sypialni i cicho zamknął za sobą drzwi. Priastes – w napierśniku, hełmie i nagolennikach – skłonił się na widok króla. Parmenion uśmiechnął się do niego.

– Wyglądasz jak bóg wojny – oznajmił.

Służący zachichotał.

– Kiedyś ludzie się mnie obawiali. Jeszcze coś pozostało we mnie z tego dzielnego żołnierza. Makedonowie szybko się o tym dowiedzą. No, jaką nałożysz zbroję, panie?

– Prosty napierśnik, nagolenniki, ochrony na nadgarstki. Będę walczył pieszo. I znajdź mi pozbawiony ozdób hełm.

– Zamierzasz stanąć w zwykłym szeregu? Kto cię stamtąd zobaczy w takiej lichej zbroi? – spytał zaskoczony starzec.

Strategos zastanowił się. Priastes miał rację. Dotąd Parmenion zawsze służył jakiemuś monarsze, satrapie lub miastu jako wódz. Tutaj wszakże sam był władcą i ludzie gotowali się do walki za niego. Zapewne byli nawet skłonni za niego umrzeć. Mieli zatem prawo zobaczyć swego władcę w działaniu...

Co więcej, to był obowiązek Parmeniona. Morale musi im zastąpić dyscyplinę.

Przypomniawszy sobie, ileż to razy Filip samym swym pojawieniem zmieniał przebieg bitwy. Wystarczyło, że pędził ku niebezpieczeństwu w złotej zbroi i hełmie z wysokim pióropuszem i wojownikom serca rosły z dumy.

– Masz całkowitą rację, mój drogi – oświadczył w końcu służącemu.

– Przyniesź zatem najjaskrawszą i najokazalszą zbroję, jaką posiadam. Starzec roześmiał się promiennie.

– Zatem złoty hełm z pióropuszem z białego końskiego włosa i ochraniaczami policzkowymi z rzeźbionej kości słoniowej. To dzieło wielkiej piękności, a jednak solidnie wykonane. Będiesz, panie, lśnił jak słońce, wzbudzając zazdrość w samym Apollinie.

– Nigdy nie jest mądrze wzbudzać zazdrość bogów.

– Ach, przecież Apollo jest od ciebie przystojniejszy. Ostatecznie, na pewno mu nie przeszkodzi twoja błyszcząca zbroja...

W przeciągu godziny, gdy słońce wzniosło się nad góry, Parmenion – po spotkaniu z Kleandrem i Radą Obrony Miasta, wyszedł przez pałacową bramę. Powitali go: Leonidas, Timasjon, Learchos i oficerowie. Wszyscy skłonili się na jego widok i król poczuł, że policzki mu czerwienieją. Hełm był rzeczywiście przepiękny, a zbroja lśniła w słonecznym świetle: bite złoto pokryte żelazem i spiżem. Nawet ochraniacze na nadgarstki i nagolenniki wykonano z rzeźbionej kości słoniowej i srebra. Na zbroję strategos narzucił biały płaszcz przetykany srebrnymi pasmami, które sprawiały, że

materia

w świetle świtu wyjątkowo połyskiwała.

Żołnierze zobaczyli go, wyciągnęli miecze i załaskotali nimi o tarcze,

powodując nieprawdopodobną kakofonię dźwięków. Podniósł rękę i oddał im

1 honory, po czym przesunął wzrokiem po zmasowanych rzędach wypełniających

Aleję Poległych.

Leonidas podszedł do niego z serdecznym uśmiechem na twarzy.

– Chyba nadeszła już pora, byś zdradził nam szczegóły swojego planu, co? – spytał.

Strategos skinął głową i przywołał do siebie oficerów. Naszyjnik Tamis

chłodził mu szyję. Parmenion mówił cicho, obserwując reakcje ludzi. Słuchali

w milczeniu. Leonidas pierwszy wyrwał się z pytaniem.

– Co, jeśli...?

Strategos podniósł rękę.

– Nie, przyjacielu. Nie ma żadnych „jeśli”. Pomyśl, co się stanie, jeśli

słońce zaleje ziemię ogniem? Albo jeżeli morza podniosą się ze swoich leż?

Nie mamy czasu na próżne rozważania. Widziałem króla-demona w akcji, wiem zatem, że mamy tylko jedną szansę na zwycięstwo. Piechota

Filipposa

koniecznie musi zaatakować spartańskich wojowników, zostawiając niewol-

ników. .. na początku... samych sobie. Jeśli zdołamy skłonić wrogiego króla

do takiego posunięcia, mamy szansę. Jeżeli nie, przegramy. No dobrze, wygłoszcie do legionów krótkie mowy, a później wymarsz.

Popatrzył po twarzach otaczających go mężczyzn. Żadnemu z nich nie podobała się jego strategia, a jednak nawet tutaj, w tej innej

Grecji, obowią-

zywała spartańska dyscyplina. Zasalutowali i odeszli.

Strategos wraz z Leonidasem wyszedł na czoło kolumny.

– Modłę się do bogów, żebyś miał rację, Parmenionie – szepnął wódz.

– Miejmy nadzieję, że cię słyszą – odparł król.

Szpica armii opuściła już miasto, gdy z południa galopem podjechali trzej

konni. Attalos i Hełm jechali obok siebie, tuż za nimi pędził

minotaur Brontes,

niezgrabnie usadowiony na wierzchowcu.

Fecht mistrz podjechał do strategosa, ściągnął lejce i zeskoczył na ziemię[^]

– Nie dostaniemy wsparcia z południa – oświadczył. Jego wzrok przyciągnęła wspinała zbroja Parmeniona.

– Żadnego me oczekiwałem. Stań obok mnie.

Brontes i Hełm również zsiadli z koni, puścili wierzchowce wolno, p^o czym przyłączyli się do strategosa.

– Witajcie, przyjaciele – powiedział, wyciągając rękę najpierw do brontesa.

– Przykro mi, że moi magiczni bracia nie pojedą z tobą, Parmenionie – rzekł minotaur – nie chcą brać udziału w wojnie, którą uważają za

wewnę-

trzną sprawę ludzi. Może zdołałbym ich przekonać, ale kiedy im

powiedzia-

łem, że rozmawiałeś o przywróceniu magii z Gorgonem, stanęli

przeciwno

tobie. Gdybyś się nie zaprzyjaźnił z tym wcielonym demonem, mógłbyś mieć

nawet drugą armię.

– Bez Gorgona Aleksander nie zdołałby dotrzeć do portalu – zauważył

strategos. – Ale to już nieistotne. Zostaliśmy sami i musimy znaleźć w tej samotności siłę... – Odwrócił się do Helma. – Sądziłem, że zostaniesz z Iskandrem. Czyż nie jest on kluczem do twoich wspomnień? – Kazał mi odejść – odparł spiżowy wojownik. – Powiedział, że przy tobie znajdę odpowiedź. – A ty, Attalosie? – spytał Parmenion. – Nie musisz mi towarzyszyć. – Przyzwyczaiałem się do twojego towarzystwa, panie. I nie mam ochoty przeoczyć nadchodzącej bitwy. Król-demon polował na mnie, teraz ja zapo-
luję na niego.
Strategos uśmiechnął się.
– No to zapolujemy na niego razem.

•
Pole krwi
Filippos wsiadł na bojowego wierzchowca. Zastanawiał się nad swoim największym wrogiem, przyglądał mu się mentalnie z oddali i co rusz usiłował odczytać jego myśli przy pomocy złotego oka. Ogarnęła go wściekłość, gdy odkrył, że mężczyzna w jaskrawej zbroi posiada ochronny amulet. Jego wzburzenia nie powodowała jednak żalosna strategia rywala, gdyż zawsze znajdował przyjemność w obserwacji rosnącej paniki przeciwnika, który stawiał czoło zadawanej mu przez Filipposa klęsce. Przypomniał sobie ostatnie spotkanie z Parmenionem i na wspomnienie obelgi rzuconej przez tamtego ponownie poczuł falę gniewu. Spartanin przemawiał o jego wojennych umiejętnościach z taką pogardą! Biedny wódz, naprawdę! „A przecież jestem Filipposem, największym królem, jakiego świat kiedykolwiek znał!” – pocieszył się. – Nie potrzebuję oka do pokonania podobnych tobie ludzi – mruknął na głos. – A jednak... dlaczego miałbym się pozbawiać drobnych przyje-
mności? – Zastanowił się, czy wodzowie Parmeniona odczuwają na myśl o bitwie rozpacz. Poglębił koncentrację i odszukał Leonidasa. Rozmyślasz nad swoją śmiercią? – usłyszał w głowie szept i wzdrygnął się, jakby go ktoś uderzył. Przemawiała do niego wiedźma, która podawała się za boginię Atenę. Zamknął swe ludzkie oko i przy pomocy złotego odszukał jej duchowy kształt. Derae unosiła się w powietrzu około dwudziestu kroków od niego. – Na nic twoje sztuczki, marna istoto, nie jesteś w stanie mnie zranić – rzucił. / wcale nie zamierzam – odparła. – Zło często niszczy samo siebie i to ci się dziś przydarzy. Odejdź, kobieto! Nie mam ani czasu, ani ochoty na dyskusje z tobą! Oczywiście, że nie masz – zadrwiła. – Tchórzliwy król musi najpierw przejrzeć myśli wroga. Bez tego nie jest w stanie zaplanować bitwy. No dalej, zrób coś, nie pozwól, żebym ci przeszkadzała. Wyobrażam sobie właśnie, że widok wszystkich tych robotników rolnych i niewolników odbiera ci odwagę... Przerwał jej dziecięcy głosik: Ten niby potężny władca wcale nie przedstawia się imponująco, prawda, Jenos? Filippos obrócił głowę i zobaczył szczupłego, złotowłosego chłopca, którego od tak dawna szukał.

– Znajdę cię, dziecko. Gdziekolwiek się schowasz, w końcu cię znajdę. Nic się przede mną nie ukryje.
Aleksander popatrzył na niego posępnie.
Zapewne – odparł miękko. – Ale jeśli mnie znajdziesz, zabiją cię.
Filippos roześmiał się, jednak gdy popatrzył na poważną twarz dziecka, uśmiech zamarł mu na ustach.
– Nikt nie może mnie zabić! Nikt ani nic! Słyszysz? Nic!
Ja potrafią – odparł szeptem chłopiec. – Wystarczy, że raz cią dotkna.
Ale, ale... przeszkadzamy ci pewnie, tchórz. Mamy polecić Parmenionowi, żeby zerwał z szyi ochronny naszyjnik? Czy wtedy łatwiej ci będzie pokonać armię niewolników?
Pogarda w głosie Aleksandra uderzyła władcę niczym ognisty bicz. Zaczął odpowiadać dziecku, lecz w tej chwili oba duchy zniknęły.
Rozwścieczony Filippos przejechał wzdłuż swoich szeregów bitewnych, wzywając do siebie wódzów i kapłanów. Żołnierze stali w milczeniu, gdy ich mijał. Włócznie trzymali pionowo, oczy skupili na wrogu czającym się jakieś osiemset kroków przed nimi.
Król Makedonów ściągnął lejce i odwrócił konia pyskiem na południe. Bitewny szereg wroga nie był dla niego zaskoczeniem: Spartanie w spiżowych hełmach, które całkowicie zakrywały im twarze, oraz w czerwonych płaszczach zajmowali równinę między dwoma wzgórzami. Niewolnicy zaś czekali w dwóch grupach po bokach. Za środkiem głównych sił Filippos dostrzegł łuczników i oszczepników. Wszyscy trwali w pogotowiu.
– Ilu ich jest? – spytał król.
Oficer konnicy podjechał do swego władcy.
– Pięć tysięcy Spartan, panie, i mniej więcej tyle samo niewolników. Nie wiem, ilu mają łuczników, trudno zobaczyć. Może z tysiąc.
Filippos nie musiał się oglądać za siebie, i tak doskonale znał liczebność swojej armii. Tuż za nim stali gwardziści w sile sześciu tysięcy – w szeregu bitewnym głębokim na dwadzieścia rzędów, szerokim na trzysta tarcz, tworząc ogromny czarny czworobok bojowy. Atakowali jak burza, ich potężne okrzyki przetaczały się niczym grzmot, a ich miecze okazywały się bardziej śmiercionośne niż pioruny samego Zeusa. Otaczało ich dziesięć tysięcy żołnierzy stałej armii makedońskiej, wielkich, silnych wojowników, świetnie wyszkolonych. Ich hełmy i napierśniki z polerowanego żelaza połyskiwały niczym srebro. Na prawym skrzydle rozlokowało się pięć tysięcy najemników z Tesalii, Tracji i Ilini. Nosili płaszcze we wszystkich kolorach tęczy i epatowali nieopanowaną żądzą krwi i mordy, toteż chociaż brakowało im dyscypliny, podczas bitew byli okrutni. Za nimi, na wysuniętej

prawej
flance, niecierpliwiła się konnica, głównie karyncka, w liczbie siedmiu tysięcy. A zatem dwadzieścia osiem tysięcy zaprawionych w wojnach żołnierzy makedońskiego władcy stało przeciwko pięciu tysiącom Spartan i motłochowi pospiesznie uzbrojonych niewolników i starców.

– Jego strategia jest żałosna – szydził Filippos. – I jasna jak słońce.

Zaprasza nas do ataku na centrum swoich wojsk. Dlatego Spartanie stoją na niższym terenie.

– Tak, panie, jeśli jednak wbijemy klin w ich szyki, wtedy niewolnicy wpadną w panikę i uciekną. To będzie szybkie zwycięstwo – wtrącił oficer.

– Dlatego właśnie powinniśmy zaatakować Spartan.

– Widziałeś ich pod Mantmeją. Szarża na środek jest jak ciskanie wody o ścianę. To doskonali żołnierze i nie załamia się łatwo. Nie, nie. Tego właśnie spodziewa się po nas król Parmenion. Mamy zaatakować jego falangę.

Liczy na to, że kiedy nasze kolejne natarcia spełzną na niczym i rozbija się jak 0 granitową skałę, duch walki opuści Makedonów. Gdy morale zniknie, na niewiele nam się przyda przewaga liczebna.

– Jakie są jego myśli, panie?

– Nie znam ich i nie chcę znać. Każ Karyntianom szerokim łukiem ominąć wroga. Niech uderzą od razu na miasto. Ciekaw jestem min Spartan, gdy zobaczą, że nie będzie bitwy. Potem wyślij do przodu zaciężne wojska 1 najemników. Powinni markować zamiar ataku na spartiacki środek. Kiedy znajdą się w odległości pięćdziesięciu kroków, rozpocznijcie prawdziwe natarcie. Najemnicy niech skręca w lewo, dwa legiony zaciężnych na prawo. Szturmujcie wzgórze i rozproszcie niewolników. Makedonowie niech pójda wtedy dalej i skręca, by zaszarżować na Spartan od tyłu, podczas gdy najemnicy zaatakują ich ze stoku. W tym momencie rozkażę gwardzistom wymarsz i w ten sposób otoczmy przeciwnika. Ale pamiętajcie, Parmeniona muszę dostać żywego.

– Tak, panie. Żywego.

Król odwrócił się do swego głównego kapłana, łysego mężczyzny o haczykowatym nosie i głęboko osadzonych ciemnych oczach:

– Jakie na dziś omeny, Farinie?

– Odbędzie się pojedynek królów, panie. Zostaniesz jego triumfatem, wróg legnie martwy u twoich stóp.

-- Ale ja chcę Parmeniona żywego!

– Niestety, nie dostaniesz go, panie. Skrzyżujesz ze swoim nieprzyjacielem miecze i zabijesz go.

Talent Farina był niekwestionowany, lecz mimo to król groźnie zwrócił ku niemu głowę. Złote oko błysnęło.

– Nie okłamujesz mnie?

– Mówię prawdę, panie; taki właśnie przebieg będzie miała dzisiejsza bitwa. Morze krwi, stopy zwłok, ale tyś zwycięski.

– Nigdy dotąd się nie pomyliłeś, Farinie. Ani razu.

– I teraz też się me mylę, panie.
Rozległo się bicie w macedońskie bębny bojowe. Dźwięk dryfował po polu bitwy niczym uderzenia serca jakiejś przerażającej mitycznej bestii.
Parmemon wyczuł strach otaczających go niewolników, zobaczył, że popa-
truja po sobie, a lęk potęguje w nich pragnienie. Obserwował pot spływający im po oczach.
– Jesteście odważnymi ludźmi – oświadczył. Jego głos poniósł się po ruchliwych szeregach. – Jestem dumny, że stoję tu, obok was. –
Najbliżsi
mu mężczyźni uśmiechali się nerwowo. – Niech ten hałas nie napawa was lękiem. Stłumcie strach i pomyślcie o broni w swoich rękach.
Przeciwnicy to tacy sami ludzie jak wy. Nie wyróżniają się niczym szczególnym. Umrą, tak jak wszyscy inni.
Zamilkł. Nie miał im nic więcej do powiedzenia. Nie był Filipem, nie posiadał jego zadziwiających talentów oratorskich. Ksenofont nazywał to przywództwem heroicznym. Zdolność jednego człowieka do obracania strachu w odwagę – metoda przypominała sposób, w jaki płatnerz kształtuje ostrze miecza z surowego kruszcu.
„Każda armia posiada coś w rodzaju zbiorowego ducha – oświadczył kiedyś Ateńczyk. – Wystarczy iskra, by tchórzostwo przeobraziło się w bohaterstwo, z dzikości w dyscyplinę. Dobry wódz lub król potrafi wychwycić cechy owego ducha, szybko poznaje jego naturę. Wie, że ów duch zarówno »karmi się« żołnierzami, jak i ich »żywi«. Może stanowić zarzewie paniki albo źródło wielkości. Niektórzy czerpią z niego to, co najlepsze, inni napełniają go pasją. A ci, którzy go ignorują, ponoszą klęskę”.
Parmenion zawsze „karmił” owego ducha przed bitwą, w gimnazjonie i podczas manewrów. Starał się poznać ludzi, którymi dowodził, napełniał ich ufnością – uczył wierzyć w siebie samych i w wodza. Był to proces długi-
trwały i w tym alternatywnym świecie strategos nie miał wystarczająco dużo czasu, by sprawdzić swój dar przekonywania.
Wróg ruszył do walki. Najpierw najemnicze i zaciężne oddziały pomaszerowały w takt bębnow. Żołnierze złączyli tarcze, posuwając się naprzód po płaskiej równinie, ku spartańskiemu centrum.
– Bogowie, ależ mam ochotę się wysikać – rzucił Hełm. Jego głęboki, metaliczny głos przerwał nagle ponure milczenie. Otaczający go wojownicy roześmiali się nerwowo, odreagowując napięcie. Parmenion także lekko się uśmiechnął. Spiżowy żołnierz doskonale opisał stan świetnie znany wszystkim wojownikom przed bitwą: wyschnięte usta i pozornie stale pełny pęcherz.
Trafił swoją uwagą w najodpowiedniejszy moment. Parmenion popatrzył na niego. Zaczarowany wojownik podniósł wzrok, uśmiechnął się i mrugnął jednym spiżowym okiem.

– Dziękuję ci – mruknął król, następnie popatrzył na zbliżającego się wroga i z wprawą go ocenił.
Nadchodziło ku nim pięć regimentów, czyli około piętnastu tysięcy ludzi.
Chmura kurzu wzniosła się daleko po lewej, strategos spojrzął w tamtą stronę i wyteżył wzrok. Oskrzydlała ich makedońska konnica.
– Darykles! – zawołał. Wysoki młody wojownik podniósł rękę. – Rozprosz swoich łuczników na wypadek, gdyby wroga jazda zamierzała zaatakować tyły. – Mężczyzna zasalutował, więc Parmenion zwrócił uwagę na piechotę.
Do tej pory wszystko szło zgodnie z jego przewidywaniami. Konnica objeżdżała wojska – prawdopodobnie aby napaść od razu na Spartę – podczas gdy piechota uderzała frontalnie. Jej zadaniem było zapewne szybkie przełamanie spartańskich szyków.
Nagle siły nieprzyjaciela rozdzieliły się, przełamując szeregi, by zaatakować flanki. Wojenne krzyki tworzyły przerażającą ścianę dźwięku. Łomot stóp na twardej, suchej równinie zagłuszyło nieustanne bicie w bębny. Filippos obserwował bitwę ze stanowiska dowódczego na czele swoich gwardzistów. Patrzył ze wstrętem, jak spartańscy niewolnicy usiłują ustawić się w formację – mężczyźni wpadali na siebie lub upuszczali tarcze. Odczuwał pogardę w miejsce bitewnego podniecenia. Bitwa zazwyczaj przepełniała go dziką radością i falującymi emocjami, jednak dzisiejsza potyczka niemal go nudziła. Istniało spore prawdopodobieństwo, że niewolnicy wpadną w panikę i uciekną, zanim jego wojska uderzą.
A później nastąpi prawdziwa rzeź.
Przeniósłszy wzrok na Spartan w czerwonych płaszczach, oszacował, że poruszają się płynnie i z dużą wprawą. Ustawiali się w formację zaczepną – lita falanga szeroka na dwieście pięćdziesiąt tarcz i głęboka na dwadzieścia rzędów przeformowała się w rząd pięciuset tarcz. Podniesione włócznie żołnierzy opadły w idealnej linii. To znalazło uznanie w oczach makedońskich.
– go króla. Tak, Spartame to jedyni godni go przeciwnicy!
Makedonowie ruszyli biegiem. Wojownicy rozdzielili się na oba skrzydła i popędzili przez pole. Filippos uśmiechnął się i zapatrzył w tumany kurzu.
Pragnął przezeń zobaczyć przerażenie w szeregach niewolników.
Niespodziewanie ze spartańskich flank wzniosły się chmary strzał i oszczepów. Trafiły prosto w nacierających Makedonów. Dziesiątki ich upadło, a jeszcze więcej potknęło się o leżące ciała. Jednak nic już nie mogło powstrzymać ataku żołnierzy króla-demonia.
Filippos na nowo poczuł podniecenie i ręce zaczęły mu drżeć. Wydawało się, że niewolnicy na prawym skrzydle wpadli w popłoch, zanim Makedonowie do nich dotarli...
Nie, wcale me ulegli panice!
Dokonał błyskawicznego przeformowania!
Początkowo król me mógł uwierzyć własnym oczom. Niewolnicy błyskawicznie połączyli tarcze w klasyczną spartańską atakującą falangę i

posuwali się w dół stoku w kontrnatarciu. Makedonowie tak bardzo się spieszyli, by rozbić wroga na miazgę, że przełamali szyki i całkowicie się skoncentrowali na odepchnięciu pędzących ku nim pseudowojuowników. Nie tworzyli obecnie żadnej bitewnej formacji – mroczna horda nacierała na wzgórze. Filippos spojrział naprawo. Z tej strony także nadbiegali niewolnicy w idealnej formacji atakującej.

„Ależ to czyste szaleństwo” – pomyślał. A jednak lodowaty strach napełniał jego umysł. Coś tu było niejasne. Ale... jakież to mogło mieć znaczenie? Czy niewolnicy zdołają wytrzymać frontalny atak? Kurz rósł coraz gęstszy, uniemożliwiając śledzenie rozwoju wypadków. Żółte oko połyskiwało, gdy duch króla-demona wzniósł się ponad bitewne szeregi. Pierwsi makedońscy wojownicy dotarli do niewolników, lecz wytrawni przeciwnicy kładli ich, jakby kosili suchą trawę. Miecze rozłupywały ciała, tarcze tworzyły zaporę niemożliwą do przejścia dla makedońskiej fali. Filippos popatrzył na główne siły spartańskie. Żołnierze stali bez ruchu, najwyraźniej nie zamierzając w żaden sposób wspomóc niewolników na flankach. Makedoński atak całkowicie się załamał. Pole było wręcz usłane trupami. Niewolnicy nadal parli naprzód, siekąc i tnąc. Ich miecze ociekały krwią. Makedonowie desperacko próbowali przeformować szeregi, lecz niewolnicy nie dali im ku temu sposobności. Król-demon obserwował rzeź z rosnącą konfuzją. Głupcze! – usłyszał w głowie głos. – Nie widzisz, co się tu dzieje?” – Zostaw mnie! – krzyknął.

„Parmenion cię przechytrzył. Odstawił bal przebierańców. Niewolnicy to Spartanie. Zamienili się płaszczami i hełmami. Zaatakowałeś kiepską formacją największych wojowników na świecie!”

– Co mam teraz zrobić?

„Nie wszystko jeszcze stracone. Wyślij gwardzistów przeciw spartańskiemu centrum”.

– I cóż nam to da?

„Spartanie będą musieli przerwać atak, co pozwoli naszym oddziałom na uporządkowanie szyków. Zrób to natychmiast, w przeciwnym razie poniesiesz klęskę!”

Filippos ocknął się i wyjął miecz.

– Naprzód! – krzyknął.

Sześć tysięcy elitarnych wojowników, duma Makedonu, mężczyźni o srogich twarzach i lodowatym spojrzeniu, podniosło ostrza i tarcze i pomaszerowało na niewolników otaczających spartańskiego władcę.

Miasto Sparta

Gdy do Sparty dotarły wieści o zbliżającej się wrogiej konnicy, dwóch młodych służących musiało zanieść Kleandra na dach. Ku wielkiemu oburzeniu starca. Z powodu chorych płuc miewał duszności i łatwo się męczył,

toteż musiał zdjąć nawet prosty, skórzany napierśnik i hełm, gdyż były dla niego zbyt ciężkie. W końcu służący wynieśli go na dach. Starzec oddychał nierówno, a gdy starał się głębiej zaczerpnąć powietrza, dopadał go szaleńczy kaszel, podczas którego fontanny krwawej śliny opryskiwały pobielony dach. Kleander wstał z trudem i ruszył powoli ku niskiej balustradzie otaczającej budynek. Stamtąd mógł dojrzeć Aleję Poległych. Na lewo od niej widniała obwarowana barykadami agora – wszystkie wyjścia zablokowano przewróconymi straganami. Po prawej starzec widział otwarte równiny i odległą chmurę kurzu, która zwiastowała najazd wroga. Podniósł rękę i wezwał Doriana, młodego Kadmejczyka, służącego z dawna pradziada. Młodzik przyniósł byczy róg, podniósł go do ust i zagrał jedną długą wyraźną nutę, która odbiła się echem po całym mieście. Kleander popatrzył po dachach. Na sygnał zareagowali ukryci oszczepnicy i łucznicy. Dając znak swej obecności, ponownie zniknęli starcowi z pola widzenia. Pot spłynął mu do oczu. Jego twarz pobladła i poszarzała mimo intensywnej opalenizny.

– Połóż się na chwilę, panie – szepnął Dorian i wziął swego pana pod ramię.

– Jeśli... się położę... umrę – odpowiedział i klęknął przy balustradzie.

Ból szarpał jego znużonym, schorowanym ciałem, ale Kleander odepchnął od siebie myśl o nim. Przecież król mu zaufał, powierzył zadanie obrony Sparty. Kleander wiedział, że za wszelką cenę musi wypełnić obowiązki.

Jeszcze raz przemyślał strategię i zastanowił się, czy nie przeoczył czegoś, co mogłoby wykorzystać wróg. Zablokował wszystkie ulice z wyjątkiem alei Królów i równoległej do niej Alei Poległych. Obie prowadziły na otwarty rynek, z dziesiątkami alejek i bocznych uliczek, które również zostały zabarykadowane przewróconymi straganami i meblami wyniesionymi z okolicznych domów. Pomyślał o wyznaczonych przez siebie dowódcach oddziałów. Niektórzy go niepokoiли, inni wręcz martwili. Ale cóż, skoro najlepsi wojownicy wymaszerowali z Parmenionem, nie warto zaprzatać sobie tym teraz głowy.

Wróg zbliżał się szybko. Starzec dostrzegał błyskające w słońcu hełmy i lance. Ku miastu galopowały tysiące jeźdźców. Ich widok sprawił, że serce Spartanina waliło niczym młotem. Skąd Filippos wziął aż tylu?!

– Ojcze Zeusie, daj mi siłę – pomodlił się. Zerknął na Dodana. – Zejdź już, chłopcze. I bądź gotów na mój sygnał. – Trzech mężczyzn przyłączyło się do nich. Dwóch niosło łuki i kołczany ze strzałami o długich brzeszczotach, trzeci usadowił się obok opartych o balustradę dwudziestu oszczepów o żelaznych trzonkach. Oszczepnik podniósł pierwszą broń, szacując jej

ciężar
i wyważenie. – Nie... póki nie dam... sygnału – ostrzegł Kleander.
Męż-
czyzna skinał głową i się uśmiechnął.
„Kiedyś byłem wojownikiem” – pomyślał starzec. W okazałej zbroi stał
z mieczem obok swego króla. Ścinał głowy jego wrogom i pysznił się
swoją
siłą i energią... Kolejny napad kaszlu szarpnął jego wychudzonym
ciałem.
Jaskrawe światła zatańczyły mu przed oczyma i poczuł, że się osuwa.
Służący chwycił go w ostatniej chwili. Kleandrowi pociemniało przed
oczami.
Wysiłkiem woli zwalczył ból i usiłował się skupić na galopującej
konnicy.
Widział, jak jeźdźcy się rozdzielają. Połowa popędziła ku Alei
Poległych.
W odległej przeszłości Sparta szczyliła się solidnymi murami
obronnymi,
jednak Likurg, legendarny prawodawca rasy wojowników, oświadczył pew-
nego dnia, że ściana utworzona z mężczyzn jest trwalsza od kamiennej,
i w kilku miejscach mury rozebrano. Dumna Sparta dysponowała wtedy
tak
silną armią, że za jego życia wróg nigdy nie zbliżył się do miasta na
niebez-
pieczną odległość.
Aż do tej pory...
Kiedy konnica wjechała w Aleję Poległych, Dorian popatrzył pytająco
na
Kleandra, starzec wszakże potrząsnął głową. Więc jeźdźcy pędzili
dalej, białe
płaszczki mknęły za nimi w powietrzu. Wielu spośród nich było
Karyntianami
i nosiło lekkie zbroje, lancę albo miecze. Polegali na szybkości
swoich
wierzchowców, a za obronę służyły im małe tarcze przypięte do lewych
przedramion. Kleander poczekał, aż znaleźli się prawie u wylotu alei.
– Teraz! – szepnął.
Na przeciągły sygnał rogu na każdym dachu powstali żołnierze. Nagle
oszczepy zafurkotały w powietrzu w mrocznym deszczu śmierci, który
spadł
na szeregi najeźdźców. Konie padały setkami, zrzucając jeźdźców na
bruko-
waną ulicę. W pozostałych przy życiu celowali łucznicy. Makedonowie
nie
mieli dokąd uciekać. Na białych płaszczach i tunikach zakwitły
karmazynowe
plamy, a krzyki umierających odbijały się echem od ścian domów.
Kleander
obserwował rzeź beznamietnie, po czym odwrócił się i zapatrzył na
czoło
nieprzyjacielskiej armady. Gdy wojownicy wjechali na agorę, spadł na
nich
grad pocisków.
Uzbrojeni niewolnicy wdrapali się na barykady i zaatakowali
zdezorien-
towanych najeźdźców. Gdy ściągnęli ich z rumaków, w ruch poszły noże
i siekiery. Krew tryskała strumieniami, kości pękały z trzaskiem, w
powietrzu
fruwały odrabane kończyny.
Masakrowani jeźdźcy w panice próbowali wydostać się z potrzasku,
niestety, mogli jedynie wrócić drogą, którą przybyli. A ulica za nimi
zawalona
była martwymi końmi i ludźmi.
Rzeź trwała nadal.

Kleander wychylił się ponad balustradę dachu.
Wzrok mu się zaćmił, ludzie wokół niego zbledli, zmieniając się w cienie.
Nieoczekiwanie świetlista postać stanęła przed nimi, jakby wynurzyła się z mgły. Starzec wstał lekko. Ból zniknął. Spojrzał w oczy stojącego przed nim promieniejącego wewnętrznym blaskiem mężczyzny.
– Dotrwaliśmy, panie. Miasto jest bezpieczne.
– Dobrze się sprawiłeś, kuzynie – oświadczył Parmenion, król Sparty. Kleander zerknął w dół, na własne kruche ciało. Leżało bez ruchu, zapomniane w ferworze walki. Takie wiotkie i liche, zniszczone chorobą... Kiedy się od niego uwolnił, poczuł prawdziwą rozkosz. Niemal natychmiast ogarnęła go jednak rozpacz. Skoro władca stał przed nim, zatem...
– Czy przegraliśmy, panie?
– Jeszcze nie. Bitwa toczy się nadal. Chodź, podąż za mną.
– Zawsze za tobą idę, panie. I zawsze pójdę. Ale dokąd zmierzamy?
– Na pole krwi, przyjacielu. Ponieważ czeka tam wielu Spartan. Potrzebuja przewodnika, zanim skończy się ten dzień.
:
Pole krwi
Mimo rzezi, jaka się odbywała po obu stronach, Parmenion nie zastanawiał się nad aktualną sytuacją na polu bitwy. Koncentrował się raczej na aspekcie psychologicznym. Makedonów ogromnie zaskoczył rozwój wypadków, a gdy najemnych żołnierzy niemal wycięto w pień, wpadli w panikę. Niektórzy już uciekali z pola walki. Wojska zaciężne ciągle dzielnie walczyły, a jednak ponosiły zatrważające straty. Perfekcyjnie wyszkoleni, przebrani za niewolników dzielni Spartanie spychali ich coraz dalej. Wynik bitwy nie był wszakże przesadzony. Strategos zerknął na prawo w stronę Leonidasa i Timasjona, gdzie prowadzili szturm. Spartanie utworzyli linię bojową, szeroką na dwieście tarcz, i stopniowo zawracali wroga z powrotem ku środkowi pola. Po lewej utknął Learchos. Teren wokół niego zavalony był stosami ciał usieczonych wrogów. Kurz kłębił się na polu bitewnym, drażniąc oczy Parmeniona, gdy ten przeniósł wzrok na rezerwy wroga, elitarnych makedońskich gwardzistów. Pędzili naprzód. Przeniknął go strach. Obok Spartan, byli to najbardziej zdyscyplinowani żołnierze Achai. Wygrali już dziesiątki starć. Nacierali. Masywna falanga wojowników w zwartej formacji, głęboka na co najmniej dwadzieścia rzędów. Siłą rozpędu wbijają się klinem w środek udających spartiatów niewolników! Przeklął w duchu. Gdyby otaczały go oddziały prawdziwych Spartan, dałby rozkaz do ataku i w odpowiedniej formacji ruszył wrogowi naprzeciw. Polegałby całkowicie na umiejętnościach swoich żołnierzy. Na nieszczęście miał wokół siebie jedynie domowych niewolników, posłańców, ogrodników i służących. Żaden z nich nie mógł się pochwalić wojennym doświadczeniem. W tym straszliwym momencie strategos uświadomił sobie, że nie ma wyboru. Jeśli nie przyjmą ataku, w mgnieniu oka zostaną zmiażdżeni. A

za-
tem-- Choć nie byli wojownikami, musieli stoczyć tę bitwę. A jedyna
możliwość to kontratak.
Co ciekawe, myśl ta uspokoiła Parmeniona i rozproszyła wszystkie jego
lęki, a w głębi duszy zaczął odczuwać wściekłą żądzę walki, jakiej
nigdy
przedtem nie doświadczył.
- Formacja ofensywna! - zawołał.
Podczas kilku dni szkolenia niewolnicy nauczyli się tylko dwóch
manew-
rów. Jednym z nich było - zarządzane właśnie przez strategosa -
gładkie
przejście z szerokiej linii obronnej w zwartą formację ofensywną.
- Dobosze, bijcie w bębny! - krzyknął król. - Krok na trzy!
Dziesięciu doboszów krocących w ostatnim rzędzie zaczęło nadawać
tempo mocnymi, rytmicznymi uderzeniami.
Parmenion stanął w trzecim szeregu. Żołnierze pomaszzerowali naprzód,
ku wrogowi. Pierwszy szereg niósł tarcze i miecze, mężczyźni w drugim
dzierżyli długie włócznie o żelaznych grotach. Kiedy grupa podeszła
blisko
do nieprzyjaciela, ci z pierwszego rzędu schowali miecze i chwycili
za czubki
opuszczonych włócznie, a żołnierze za nimi złapali w obie ręce
trzonki, po
czym wspólnie wycelowali długą broń w przeciwnika.
W przypadku niezbyt zdyscyplinowanego wojska lub źle ustawionej for-
macji początkowa faza bitwy była często decydująca. Zazwyczaj jednak,
gdy
walczyły dobrze wyszkolone oddziały, wojownicy blokowali włócznie
prze-
ciwnika tarczami i wynik pierwszego etapu potyczki zależał od siły i
liczeb-
ności falang, które ścierały się ze sobą niczym dwa ogromne byki.
- Wyrównać włócznie! - zawołał Parmenion i długa broń opadła
w niestarannej linii. Na szczęście, kłęby kurzu ograniczały wrogowi
pole wi-
dzenia, toteż prawdopodobnie nikt nie zauważył, jak niewprawnie
niewolnicy
władają włóczniami. - Dobosze, krok na cztery! - Wybijane w szybkim
rytmie dźwięki skojarzyły się strategosowi z dudnieniem gniewnego
serca.
- Teraz im pokażemy - rzucił idący obok króla Priastes. Jednak Par-
menion nie miał czasu na odpowiedź, gdyż wróg był już bardzo blisko.
Makedonowie nie nadchodzili wcale tak szybko, jak się spodziewał.
W gruncie rzeczy, wahali się, toteż ich szereg się załamał. Przez
moment
strategosa martwił ten fakt, później coś sobie uświadomił.
Najwyraźniej jego ludzie przerażali przeciwnika! Gwardziści widzieli,
że
żołnierze, których uważali za niewolników, roznieśli w pył najemników
i zdziesiątkowali regularną armię zaciężną, teraz natomiast wierzyli,
że sta-
jąją czoło najwspanialszemu wojsku na s'wiecie. Mężczyźni w ś*rodku
pierz-
szego szeregu zatrzymali się nagle, przestraszeni hałasem. Wskutek
ich nie-
przewidzianego postoju kolejne rzędy makedońskiej falangi zwarły się
i na-
tarły na pierwszy, pchając go bezwładnie naprzód. Odległość między
wrogami
gwałtownie malała.
- Dobosze, krok na pięć! - krzyknął Parmemon. Uderzenia w bęb-
ny były coraz szybsze, marsz również nabrał prędkości. - Przygotować
włócznie!

Makedońscy żołnierze niemal zamarli, gdy ruszyli do kontrataku. Drugi rząd włóczników ruszył przed siebie, żelazne groty załomotały o tarcze wroga.

Stłoczeni Makedonowie nie byli w stanie zablokować wszystkich włóczni i spora część ostrzy wsunęła się między tarcze.

– Drugi szereg, wycofać się! – rozkazał strategos i jego ludzie odciąg-

nęli skrwawione włócznie, po czym ponownie zaszarżowali.

Makedońska linia zafalowała, setki wojowników padły. A jednak formacja

się nie załamała.

Włócznicy nadal ich atakowali, lecz Makedonowie przeformowali się i skupili na obronie. Niewolnicy, dobywając miecze, dzielnie walczyli, jednak

impet spartańskiego natarcia niespodziewanie osłabł.

Szeregi walczących były gdzieś przzerwane.

Hełm wskoczył w jeden z wyłomów i ciał atakującego Makedona mieczem w twarz.

– Wyrównajcie szyki, bracia! – krzyknął. Jego rozkaz słyszany wzdłuż linii walczących wywołał natychmiastowy efekt. Niewolnicy zacieśnili rzędy

i wszelkie szczeliny zniknęły. Walka rozgorzała na dobre.

Nie było już mowy o ruchu naprzód. Dwie armie zwarły się w śmiertelnym

uścisku. Powietrzem wstrząsnął łomot tarcz uderzających o tarcze i szczęk

oręża.

Parmenion rozejrzał się wokół siebie. Niewolnicy trzymali się mężnie.

Obserwując ich, czuł dumę, lecz w chwilę później lęk. Makedonowie ciągle

jeszcze się wahali, wkrótce jednak niechybnie dostrzegą kiepskie wyszkolenie

jego ludzi i ruszą na nich ze zdwojoną siłą.

Uprzytomnił sobie, jak jego brat bliźniak czuł się pod Mantineją, gdy słodki smak zwycięstwa wydawał się tak bliski, a równocześnie tak odległy.

W szeregach wojowników utworzył się kolejny wyłom. Strategos już miał skoczyć ku szczelinie, kiedy pojawiła się w niej gigantyczna postać Brontesa

z ogromnym toporem w ręku. Przerażająca broń spadła akurat na jednego z Makedonów. Żołnierz padł z rozłupanym na dwoje hełmem i napierśnikiem.

Parmenion odwrócił się i dał znak, unosząc ramię.

– Tylne sześć rzędów w szeroką formację! – zawołał. Nikt się nie poruszył, ludzie patrzyli po sobie zdezorientowani. Nigdy nie

ćwiczyli tego

ustawienia. Król przełknął przekleństwo. – Tylne sześć rzędów za mną!

–

wyjaśnił głośno i wskazał na prawo. Rzędy zaczęły się przemieszczać.

!–

Przeformować się, atak z prawej flanki!

Ludzie zaczęli przemieszczać się za swoim królem w złotej zbroi.

Parme-

nion przebiegł szeregi bitewne.

.– Przeformować się w szeroką linię ofensywną! – rozkazał. Tę komendę ludzie zrozumieli i szybko zgrupowali się w trzy rzędy szerokie na dwieście

tarcz. Gdy strategos dotarł do pierwszego szeregu, wyciągnął miecz, zważył

w dłoniach tarczę, podniósł ją i poprowadził natarcie ku makedońskiej flance.

nie było tu doboszów, za to otoczył go jeszcze gęstszy, dławiący kurz.

W ostatnim momencie Makedonowie dostrzegli jego manewr i próbowali

zawrócić.

Parmemon wiedział, że niewolnicy nie mają wprawy w walce, żywił
wszakże nadzieję, że ten nagły atak spowolni wroga, zmuszonego do
równo-

czesnej obrony zarówno od frontu, jak i ze skrzydła.

Minotaur po jego lewej stronie nieprzerwanie rąbał toporem. Obok
niego

kroczył Hełm. Makedonowie padali przed nimi niczym sucha trawa pod
naporem wichury. Towarzyszył im Attalos. Ani o krok nie ustępował tej
dwójce, powalając jednego wrogiego żołnierza za drugim.

Niespodziewanie przed twarzą strategosa świsnął miecz. Parmenion błę-
skawicznie odchylił się, zasłonił tarczą i dźgnął ostrzem, niestety
jego riposta

została zablokowana. Król opadł na kolano i zaatakował sztychem
Makedona,

przedzierając się pod tarczą przez skórzaną spódniczkę mężczyzny i
zatapia-

jąc miecz w jego pachwinie Wyszarpnął broń i wstał, gotów zablokować
kolejny atak.

Wokół niego niewolnicy odważnie walczyli z wrogiem.

Makedonowie stawiali jednakże twardy opór.

A ponieważ byli wytrawnymi wojownikami, z czasem ich falanga zaczęła
nieubłaganie przeć do przodu.

Leonidas wycofał się za frontową linię, potem pobiegł szybko na stok.

Tu

odwrócił się i zlustrował przebieg bitwy. Plan Parmeniona doskonale
się

sprawdzał, jednak Makedonowie nadal mieli ogromną przewagę liczebną.

Wprawdzie traccy najemnicy uciekli z pola, lecz Spartanin zauważył,
że ich

oficerowie desperacko przegrupowywali tych, którzy pozostali. Zapewne
niedługo wrócą do bitwy.

Leonidas wypatrując dostrzegł wśród unoszących się tumanów kurzu
Parmeniona prowadzącego przebranych niewolników przeciwko gwardzi-
stom, natomiast Learchos ze swoimi cofał się powoli, ostro naciskany
przez

makedońskie wojska zaciężne. Tak jak w każdej bitwie, pierwsi padali
mniej

zręczni, słabsi, powolniejsi lub głupszy. Na tym etapie walczyli już
właściwie

tylko prawdziwi wojownicy. Makedonowie przezwyciężyli wreszcie lęk.

Minęło początkowe oszołomienie i zaskoczenie, toteż wykazywali
dyscyplinę

i szala zwycięstwa powoli zaczynała się przechylać na ich stronę.

Pole bitwy było usiane trupami, przeważnie Makedonów lub najemników,
lecz Spartanie także odnotowali duże straty. Leonidas przebiegł
byстрым

spojrzeniem po własnych liniach bojowych. Pierwotnie miał pod swoją
ko-

menda dwa i pół tysiąca ludzi, teraz pozostało mu nieco ponad dwa
tysiące

w falandze szerokiej na dwieście tarcz i głębokiej na dziesięć
rzędów.

Przeciwko nim stało mniej więcej cztery tysiące iliryskich
najemników

w czerwonych napierśnikach i hełmach z bawolimi rogami. Byli to
wytrzy-

mali, twardzi żołnierze, ale słabo wyszkoleni. Pułk Leonidasa spychał
ich co

prawda z pola bitwy, ale przeciwnicy ani nie wpadali w panikę, ani
nie

planowali odwrotu.

Wodza dręczyło niezdecydowanie. Niewolnicy z pewnością nie byli wsta-
nie pokonać potężnych gwardzistów, a Learchos na lewej flance

potrzebował natychmiastowego wsparcia. Gdyby jednak Leonidas wysłał mu na pomoc część swoich sił, z pozostałymi nie zdołałby stawić czoła Ilirom. Musiał podjąć jakąś decyzję. Kiedy zobaczył Parmemona, król prowadził flankowy atak przeciw gwardzistom. Było to odważne posunięcie, lecz bez wsparcia raczej skazane na klęskę.

W tej chwili wódz podjął decyzję i zbiegł na pole bitwy. – Tylne pięć rzędów: bojowy klin na lewo! – krzyknął. – Formacja dziesięć! – Pięć rzędów jego regimentu sprawnie przeszło na lewo i ustawiło się w formacji głębokiej na dziesięć rzędów, szerokiej zaś na pięćdziesiąt tarcz. Leonidas stanął w środku z dwoma oficerami obok siebie. – Król! – zawołał.

Mężczyźni w pierwszym rzędzie podnieśli tarcze i pomaszerowali w lewo. Ilirowie, wznosząc bitewne okrzyki, zaatakowali słabsze, prawe skrzydło falangi. Leonidas tego się właśnie obawiał. Żołnierze zawsze nosili tarcze na lewym ramieniu, toteż kiedy regiment obracał się w lewo, prawą stronę falangi automatycznie stawała się podatna na atak, ponieważ tarcze były skierowane do środka. Niestety, wódz nie miał wyboru. Po komendzie ustawienia bardziej standardowego bojowego czworoboku ruch do przodu stałby się prawie niemożliwy. Mężczyźni po prawej mieli jedynie miecze do obrony przed napastnikami, jednak za sprawą legendarnej już spartańskiej waleczności zadawali ciężkie straty Ilirom, którzy próbowali się przebić przez falangę.

Leonidas wiedział, że sytuacja nieuchronnie się pogorszy, ponieważ przeważający liczebnie Ilirowie nie ustępowali. Miał tylko nadzieję, że Timasjon ze swoimi oddziałami dostrzeże niebezpieczeństwo i – by chronić tyły – rozpocznie przeciwnatarcie.

– Powolny bieg! – krzyknął Leonidas. Nie miał doboszów, którzy mogliby go wspomóc w tym rozkazie, lecz Spartanie i tak zareagowali natychmiast. Pierwsza linia przesunęła się bardziej w lewo. Wódz zerknął za siebie. Timasjon polecił swoim ludziom wejście w utworzony przez Leonidasa wylot, dzięki czemu nacierający Ilirowie znaleźli się w pułapce między dwoma nieprzyjacielskimi formacjami.

Przed bojowym klinem utworzyła się szczelina i wódz ujrzał swego króla, który wraz z niewolnikami desperacko starał się powstrzymać nieprzyjacielskich gwardzistów.

Wrogowie otaczali teraz ze wszystkich stron zarówno ogromnego minotaura, jak i wojownika o spiżowej twarzy, lecz ani jeden, ani drugi nie zamierzał oddać pola.

– Król! – zawołał ponownie Leonidas.

– Król! Król! – odpowiedzieli gromko Spartanie.

Wódz zauważył, że Parmenion odwraca się i ocenia sytuację. W chwilę

później jego ludzie rozstapili się i zrobili miejsce dla nacierających Spartan. Leonidas pchnął tam swoich ludzi, którzy zaatakowali gwardzistów Filipposa. Wroga flankę załamała się pod niespodziewaną szarżą. Spartanie wbili się głębokim klinem w macedoński czworobok. Wódz spostrzegł króla-demona. Potężny Filippos stał otoczony swoimi ludźmi, w jego ręku połyskiwał wielki miecz. Zapanał chaos, bitwa w niczym już nie przypominała tradycyjnej walki, w której ścierały się dwie równoległe do siebie ustawione formacjami nieprzyjacielskiej armii. Aby odciążać prawe skrzydło, Leonidas postawił wszystko na jedną kartę – postanowił rozbić w pył centrum wroga.

Tam wszakże stał Filippos. Pół człowiek, pół demon, którego nie można było zabić!

Mimo bitewnego ferworu i intensywnego bólu ramienia, w którym dzierżył miecz, strategos szybko ocenił stan rzeczy. Podstawowy cel bitwy już

został osiągnięty!

Czuł się jak biegacz, który wprawdzie nie słyszy za plecami oddechu rywala, lecz szóstym zmysłem wyczuwa jego obecność. I wie, że potrafi mu

umknąć. Makedonowie walczyli ws'ciekle, lecz przez cały czas nie potrafili

pozbyć się strachu. Od wielu lat odnosili same zwycięstwa, miażdżyli kolejne

narody jeden po drugim, i to starcie miało być tylko kolejną masakrą. Parme-

nion szybko odebrał im nadzieję, toteż ich morale stało się kruche. W każdej

chwili mogli się załamać.

Strategos stawiał opór atakującemu napastnikowi. Jego natychmiastowa, mordercza riposta rozplątała gardło wroga. Mężczyzna z charkotem padł na

Plecy, a Parmenion miał chwilę wytchnienia. Obrócił się i zlustrował regiment

Learchosa, który ponownie wyruszył przeciwko zaciężnym oddziałom makedońskim.

Timasjon popędzał swoich ludzi do ataku na Ilirów. Wyraźnie zamierzali przebić się do centrum wrogiej armii.

Niewolnicy wokół króla nie cofali się ani o piędź, chociaż ponosili ogromne straty. Strategos poczuł w sobie siłę determinacji. Nie mógł prze-

grać! Ci ludzie zasłużyli na zwycięstwo.

Na taktyczne posunięcia nie było ani miejsca, ani czasu. Na polu bitwy odbywała się krwawa rzeź, a o ostatecznym rozstrzygnięciu decydowała już

tylko siła ramion, hart ducha i wola walki. Makedonami powodowała wyłącz-

nie żądza kolejnego podboju i towarzyszących mu grabieży i gwałtów, pod-

czas gdy niewolnicy walczyli o wolność, a Spartanie bronili swego miasta,

domów, rodzin i honoru. Różnica motywacji była doskonale widoczna na spływającym krwią polu bitwy, jeśli wziąć pod uwagę dysproporcje w liczeb-

ności i wyszkoleniu obu armii.

Uwagę Parmeniona przykuł nagły ruch na południowo-zachodnich wzgórzach. Wirujący kurz początkowo utrudniał widok, w końcu jednak król rozróżnił gigantyczną sylwetkę schodzącego z wzniesienia Gorgona. Za

mm

podążały setki leśnych bestii – niektóre gadzie i łuskowate, inne pokryte spletanym futrem. Wiele niosło broń w postaci sękatych dębowych konarów, większość wszakże była uzbrojona we własne kły i pazury. W górze krażyły worgule, które – na sygnał Gorgona – opadły nad makedońskie szeregi i zasypały wroga nasączonymi trucizną strzałami. Makedonowie na tyłach dostrzegli zbliżające się potwory, śmiertelnie się przerazili i – odrzuciwszy broń – czmychnęli z bitewnego pola. Co odważniejsi starali się połączyć tarcze przeciwko nowemu wrogowi. Leśne stworzenia zaatakowały ich z ogromną siłą. Potężne szpony z łatwością przebijały się przez zbroje i kolczugi, rozcinały głęboko ciało. Kości pękały niczym spróchniałe drewno. Nikt nie był w stanie stawić im oporu. Obrona gwardzistów załamała się. W kilka sekund zdyscyplinowana armia zmieniła się w roztrzęsioną, przerażoną horde. Ludzie myśleli tylko o jednym – o ucieczce. Największy postrach siał Gorgon. Wymachiwał dwiema żelaznymi lagami i zbierał krwawe żniwo. Jego jasne oczy aż się jarzyły z podniecenia. Wojownicy, którzy znaleźli się na jego drodze, krzyczeli histerycznie lub dosłownie nieruchomieli ze strachu, niemal kurcząc się w sobie. Chwilę później padali na ziemię niczym żęte zboże. Ilirowie przez chwilę z dezorientacją obserwowali panikę gwardzistów. Nagle popatrzyli na regiment Timasjona, po czym... odwrócili się i uciekli. Teraz króla-demonia otaczał jedynie zwarty czworobok gwardii przybocznej. Filippos wyciągnął miecz i czekał, spokojny o swój los – wszak uważał się za niezwyciężonego. Gorgon przełamał mur z tarcz i uderzył króla w ramię jedną z potężnych lag. Niestety, broń odbiła się od ramienia, a FilippoS doskoczył do leśnego króla i wbił mu ostrze w pierś. Ten zachwiał się i zatoczył. Z rany trysnęła ciemna krew. Demoniczny władca zaatakował ponownie, lecz w tym momencie na pomoc bratu rzucił się Brontes. Upuścił topór i zachodząc od tyłu, zwarł potężne łapska w żelaznym uścisku na piersiach Filipposa. Ten usiłował się wyrwać, a równocześnie dźgnąć mieczem nowego napastnika, minotaur jednakże przyszpilił jego ramiona do boku i podniósł go w górę. FilippoS wrzeszcząc, próbował się uwolnić, ale bez powodzenia. Pozostali na polu Makedonowie odrzucili broń, padli na kolana i błagali o litość. Początkowo – mimo próśb – ginęli, w końcu jednak Parmenion donośnym głosem przerwał niepotrzebną rzeź. – Dość! – zawołał, przekrzykując odgłosy bitwy – Darujcie im życie*. Dziwna, nienaturalna cisza zaległa na bitewnym poboju. Większość dotąd niepokonanych wojowników Makedonu uciekała na południe. Pozostali składali broń. Brontes rzucił króla-demonia na ziemię, odciągnął w tył jego ramię i zawołał, by przyniesiono rzemienie do związania. Jeden z łuczników

podał mu
zapasową cięciwę. Minotaur związał Filipposowi kciuki, wstał i
przyglądał
się pojmanemu, który niezdarnie usiłował podnieść się na kolana.
Hełm podszedł bliżej, stanął nad demonicznym władcą i spojrzął mu
w twarz. Nagle zatoczył się i wszyscy zebrani wokół sądzili, że
upadnie.
Attalos podskoczył do niego i podtrzymał go.
– Wszystko w porządku? – spytał Macedończyk. Spiżowy wojownik
nie odpowiedział, lecz oblicze zaczęło mu sztywnieć i puchnąć,
nabierając
cielesności. W końcu na powrót stało się ludzkie. Zaczarowany
wojownik
podniósł rękę do hełmu, który nie był już częścią jego twarzy.
A jednak go nie zdjął!
Strategos podbiegł do leżącego Gorgona. Krew leśnego króla spływała
strużką na rozmiękłą ziemię. Parmenion klęknął obok wielkiego
stworzenia,
wziął je za rękę i patrzył na nie bez słowa, gdyż nie potrafił
znaleźć dla
umierającego Tytana żadnych słów pocieszenia.
Gorgon otworzył oczy.
– Jesteś zaskoczony, że przybyłem? – spytał.
– Tak. Wierz mi jednak, przyjacielu, że twój widok prawdziwie urado-
wał moje serce. Prawdopodobnie uratowałeś nas przed klęską.
– Nie. I tak by się w końcu załamali. – Leśny władca próbował wstać,
lecz fontanna krwi trysnęła z okropnej rany w piersi. – Nie czuję
nóg.
Czyżbym umierał?
– Tak – szepnął strategos.
Gorgon uśmiechnął się.
– Ciekawe... że me czuję bólu. Obiecasz mi, że moi ludzie otrzymają
szansę przy portalu? Na ocalenie?
-- Oczywiście.
– Za przyjaźń z tobą... trzeba płacić... wysoką cenę. Ale...-Rannemu
opadła głowa, jego ciało zaczęło drżeć. Skóra na twarzy niemalże
zamigotała,
węże zniknęły. Parmenion do ostatniej chwili pozostał przy
umierającym
Tytanie, patrząc na powoli dokonującą się przemianę. Wreszcie, na
sekundę
przed śmiercią, Gorgon zmienił się w urodziwego ciemnowłosego
mężczyznę,
którym niegdyś był.
Strategos wstał. Czuł się znużony i przepełniał go smutek.
Brontes podbiegł i klęknął przy bracie.
– Dlaczego? – krzyknął. – Dlaczego to zrobiłeś? – Chwylił trupa za
ramiona i zaczął nim potrząsać.
– Nie słyszy cię już – wyjaśnił cicho Spartanin.
Minotaur oderwał spojrzenie od zabitego. Z jego wielkich, brązowych
oczu płynęły łzy.
– Powiedz mi coś, wodzu. Dlaczego właściwie pospieszył nam z
odsieczą?
– Z przyjaźni – odparł po prostu Parmenion.
– Przecież nie rozumiał znaczenia tego słowa.
– Zdaje mi się, że rozumiał. Z jakiego innego powodu on i jego
poddani
ryzykowaliby życie? Nie mogli nic zyskać w tej bitwie.
– Ale... moi towarzysze odmówili ci pomocy. A mój... brat umarł za
ciebie. Nie rozumiem. – Podniósł rogatą głowę i wykrzyczał swoją
udrękę
w niebo.
Filippos okrutnie się roześmiał.
– Tak, tak! – zawołał. – Lamentuj, żałosny potworze. Zabiłem go.

Uwolnij mnie, a zabiję i ciebie. Wszystkich was pozabijam!
Brontes wstał chwiejnie. Podniósł z ziemi topór. Król-demon tylko zaśmiał się pogardliwie, nim ostrze topora trafiło go w twarz. Nawet nie drasnęło skóry.
Hełm zrobił krok w stronę strategosa.
– Rozwiążcie go – oświadczył. Spartanin odwrócił się do Helma. Głos spiżowego wojownika stracił dotychczasową metaliczność.
– Wróciła ci pamięć? – spytał Parmenion, choć z góry znał odpowiedź.
– Tak. Rozwiąż go. Będę z nim walczył.
– Jego nie można zabić.
– Zobaczymy.
– Czekaaj! – szepnął strategos. Szybko zdjął otrzymany od Tamis nasyjnik i zawiesił go Hełmowi na szyi. – Teraz nie zdoła odczytać twoich myśli. – Wojownik skinał głową, wyciągnął miecz i ruszył ku Filipposowi-
Brontes spojrział pytająco na Parmeniona. – Uwolnij go – polecił władca Sparty. Minotaur przeciął toporkiem więzy. Król-demon zatoczył się, po czym wyprostował i obrócił w stronę nadchodzącego Helma. Na jego widok zarechotał.
– Gwarantuję ci szybką śmierć – oświadczył i podniósł miecz z miejsca, gdzie upadł podczas walki z Brontesem. – Chodź, z rozkoszą wyślę cię do Hadesu.
Hełm nie odpowiedział, ale też się nie zatrzymał. Filippos skoczył ku niemu i dźgnął go w brzuch. Wojownik odparł pchnięcie, a jego riposta rozcięła skórę na bicepsie demonicznego króla. Filippos odskoczył gwałtownie i spojrział z przerażeniem na sączącą się z rany krew.
– Przecież mnie nie można zranić! – krzyknął. – Nie można!
Wojownik stanął i lewą ręką zdjął hełm. Król-demon zatoczył się, światło w jego złotym oku zbladło.
Żołnierze obu armii zamarli, ponieważ przed macedońskim władcą stał jego brat bliźniak. Tyle że jego ślepe oko nie było złote, ale barwy opalu.
– Kim jesteś? – szepnął Filippos.
– Nazywam się Filip Macedoński – odparł wojownik.
Demoniczny król spróbował desperackiego ataku, który został łatwo odparty. W chwilę później ostrze Filipa zatoneło w gardle wroga, któremu w ustach zabulgotała krew.
– To za mojego syna – syknął macedoński monarcha. – A to za mnie!
– Miecz błysnął w zamaszystym poziomym cięciu. Odcięta głowa króla-
de-
mona upadła i potoczyła po twardo ubitej ziemi. Ociekające krwią ciało przewróciło się martwe.
– Czy taka śmierć ci wystarczy? – spytał ironicznie Filip.
Choć bitwa już się skończyła, spędzili na pobojujowisku jeszcze sporo godzin. Musieli podjąć wiele, często niełatwych i wymagających namysłu, decyzji o pokonanych. Rozbrojonych Makedonów zebrano razem i Parmenion przywołał do siebie oficerów nieprzyjacielskich oddziałów. Oznajmił im, że mogą wraz ze swoimi żołnierzami wrócić do Makedonu i wybrać sobie nowego króla. Najpierw jednak muszą złożyć świętą przysięgę, że pomogą odbudować zniszczone miasto Kadmos. Wyrazili na to zgodę bez szemrania. Skarbiec Filipposa bezwarunkowo przejęli w całości Sparta-

nie, ale strategos przyobiecał połowę jego zawartości ofiarom makedońskiej agresji, a każdy walczący dla niego niewolnik miał dostać dwadzieścia złotych monet.

Pozostałych przy życiu niewolników i część spartańskiej armii odesłano do miasta, Brontes zaś zgodził się poprowadzić stronników Gorgona do Portalu Giganta. Tam mieli poczekać na Parmeniona.

Przybyli emisariusze rozproszonych Ilirów i Traków błagali o pokój na każdych warunkach. Ustalono, że wojownicy natychmiast wrócą do ojczy- tych krain i pozostaną tam przez długi czas.

W trakcie wszystkich tych negocjacji makedońscy i spartańscy medycy Uwijali się wśród rannych żołnierzy obu walczących stron. Opatrywali ich w świetle pochodni i dokonywali na miejscu wszelkich koniecznych Za^ biegów.

Do końca dnia naliczono na polu bitwy ponad jedenaście tysięcy c;ai Makedonów, kolejne cztery tysiące zginęło w ataku na Spartę. Zabitych odarto ze zbroi, podczas gdy ich pozostali przy życiu kamraci kopali masowe groby

Zwłoki ośmiuset siedemdziesięciu poległych Spartan przygotowano do uro- czystego pogrzebu w mies'cie. Straty wśród niewolników oszacowano na ponad dwa tysiące. Spartanie wykopali im osobny grób, a Leonidas obiecał postawić tam pomnik.

Długo po północy Parmenion z ulgą wycofał się do namiotu Filipposa. Przyłączyli się do niego Filip, Attalos i Leonidas.

– Nie rozumiem – mruknął fechtmistrz, gdy się wygodnie rozsiadli – w jaki sposób zabiłeś króla-demona. Twierdził, że jest nietykalny.

– I tak było, nie mógł go zranić nikt poza nim samym – wyjaśnił znużonym głosem strategos. – A Filip był... jest... Filippossem, tym samym człowiekiem... to znaczy jego odpowiednikiem w innym świecie. Kiedy wyzwał króla-demona na pojedynek, uprzytomniłem sobie, że chroniące Filipposa zaklęcie nie potrafi ich rozróżnić, a tym samym przestanie działać.

Leonidas wstał.

– Zostawię was samych, przyjaciele, macie dużo spraw do omówienia – powiedział. – Mógłbym jednak najpierw zamienić z tobą słówko na osobności, panie? – Parmenion skinął głową i wyszedł za młodym Spartani- nem z namiotu.

– Wiem chyba, co zamierzasz powiedzieć – szepnął strategos. – Wierz mi, że nie zapomniałem danej ci obietnicy. Pozwolisz mi pojechać po raz ostatni do Sparty? Chciałbym się pożegnać z Derae.

Leonidas potrząsnął głową.

– Mylisz się, mój przyjacielu. Nie nalegam, byś dotrzymał danej mi obietnicy. Wręcz przeciwnie. Proszę cię na wszystkie świętości: zostań z na- mi. Jest tak wiele do zrobienia. Kto miałby objąć po tobie schedę? Timasjon?

Gdy tylko zostanie królem, natychmiast wywoła wojnę z Karyntem i Mesenią.

Zechce ukarać naszych wrogów, zrodzi się nowa nienawiść... Likon jest zbyt młody i zawzięty. Innych kandydatów nie widzę.

– Ależ są i to całkiem niezli. Będiesz wspaniałym władcą.

Wódz uśmiechnął się z przymusem.

– To nie tak, Parmenionie. Jestem wojownikiem i taka rola mi

wystarczy.

Pomyśl o tym, co ci powiedziałem. Bardzo cię potrzebujemy.

Po tych słowach odszedł w noc, obok błyszczących pochodni oświetlających bitewne pole. Strategos stał w milczeniu i patrzył na dolinę.

Nagle czyjaś

ręka dotknęła jego pleców.

– Leonidas ma sporo racji.

Parmenion skinął głową. Filip wziął go pod ramię i ruszyli na spacer.

Unikali ognisk obozowych, wokół których spali żołnierze.

– Pędziłbyś tutaj dobre życie, mój drogi. W tej Sparcie szanują cię

j traktują jako oswobodziciela. Mógłbyś zbudować własne imperium.

.– Nie mam takich ambicji, panie. Nigdy też nie chciałem być królem.

–

Westchnął. – Poza tym, to nie mój świat.

– Wiesz, że bardzo cię potrzebuję. Utrata ciebie byłaby dla mnie równie

bolesna jak zstąpienie do Hadesu. Dobrze jednak rozważ tę sprawę – doradził

władca.

– Dobrze, rozważę. Teraz jednak opowiedz mi, w jaki sposób zmieniłeś się w Helma.

Filip zaklął, potem się roześmiał.

– W dzień po twoim odejściu przyszedł się ze mną zobaczyć jakiś

człowiek. Mówił, że ma nowiny o Aleksandrze. Ponieważ nalegał na spotka-

nie sam na sam, wprowadzono go do moich pokojów. Został oczywiście

dokładnie obszukany. Nie miał broni. W gruncie rzeczy, poza ubraniem

nosił

jedynie mały skórzany woreczek z kamieniem pokrytym żyłkami złota.

Wy-

jaśnił, że to przynoszący mu szczęście talizman. Wszedł do pokoju...

Nic

więcej nie pamiętam. Obudziłem się na cmentarzu. Wyobrażasz sobie?!

Nie

wiem, jak mnie tutaj przetransportował, i nie mam pojęcia, dlaczego odebrał

mi pamięć i przemienił w spiżowego wojownika.

– Domyślam się, że ów mężczyzna to Arystoteles – odparł strategos – ale nie potrafię powiedzieć, dlaczego nie pozostawił ci wiedzy na

temat twojej

tożsamości, jednak metalowa twarz na pewno stanowiła dla ciebie dużą ochronę. Gdyby cię rozpoznano jako Filipposa, nie pożyłbyś długo.

– Filippos – szepnął monarcha. – Wypowiedziane imię zawisło na mo-

ment w powietrzu. – Rzeczywiście był mna? To znaczy... Sądziś, że

mógłbym się do niego upodobnić? Do tego niszczyciela? Tego demona?

– Nie, nie, panie. Król Makedonu był człowiekiem opętanym. Jego

poczynaniami kierował Duch Mroku.

– Może, ale jego armia podbijała świat tak samo jak moja w

przeszłości.

Niemiłe uczucie widzieć własne okrucieństwo z perspektywy ofiary.

– Doprawdy? – spytał prowokacyjnie Parmenion.

Filip zachichotał.

– Tak, naprawdę nieprzyjemne – uciał. – Kiedy wrócimy do domu,

przemyszę swoje plany. Kluczem do moich poczynań stanie się

dyplomacja.

Przekonam Ateńczyków, Spartan i Tebańczyków, by okrzyknęli mnie hege-

monem Grecji. Tylko z takim poparciem mogę rozpocząć wojnę z Persją.

Nigdy nie będę taki jak Filippos! Wierz mi, mój drogi, nigdy!

– Nie wątpię w to, panie. Nigdy nie przyszłoby mi do głowy, że

mógłbyś

się stać Filipposem.

– Przestań mówić do mnie „panie”. Tutaj ty jesteś królem, ja zaś

tylk0

prostym żołnierzem.

– Trudno zmienić stare przyzwyczajenia... Filipie.
Macedoński władca spojrział strategosowi w oczy.
– Nie zapomnę, co uczyniłeś dla mnie i dla mojego syna. Jesteś wiernym przyjacielem, Parmenionie, najlepszym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek miałem po swojej stronie. – Odpiął naszyjnik, który chronił jego myśli przed królem-demonem i zawiesił go na szyi wodza. Strategos poczuł się nieswojo i nic nie powiedział, król zaś zaśmiał się i klepnął go jowialnie w ramię.
– Komplementy zawsze cię krępowały, Spartaninie. Chodź, uczcimy twoje zwycięstwo. Napijmy się razem.
Gdy wrócili do namiotu, Attalos spał już na pryczy. W przyjaznym milczeniu wypili po jednym pucharze, po czym Filip oznajmił, że również czuje się znużony, i ułożył się na podłodze. Parmenion długo leżał bezsennie, w głowie kłębiły mu się przeróżne myśli, przez umysł niemal jak w kalejdoskopie przetaczała się seria wizerunków. Derae, Fedra, Tena, Aleksander, Leonidas... Dwa całkowicie odmienne światy. Który wybrać? Jakie wybrać życie? Króla czy wodza? Derae czy Fedrę? Tej drugiej nie kochał, lecz urodziła mu trzech synów i powinien do niej wrócić.
„Do diabła z powinnościami!” – pomyślał. Czyż nie miał prawa do szczęścia?
Wtedy jednak przypomniał sobie o małym Aleksandrze i tkwiącej w nim bestii. Dorastał kolejny Filippos, który zechce zniszczyć świat.
– Nie, nie, nie mogę tu zostać – szepnął.
I w tym momencie przepełnił go głęboki smutek.
Portal Giganta
Aleksander siedział samotnie nad brzegiem niewielkiego, obrośniętego drzewami jeziora i obserwował wzgórze, które wznosiło się na lewo od niego. Na jego szczycie rysowały się w blasku księżyca dwa bliźniacze filary Portalu Giganta, zwieńczone marmurowym nadprożem. Kamień pokrywały głęboko wryte inskrypcje w języku, którego chłopiec nie znał. Nigdy dotąd nie widział też liter o tak dziwnych kształtach.
Osobliwa brama już trzykrotnie go dziś przyciągnęła. Obchodził ją dokoła, przechodził między filarami i starał się zrozumieć ukryte na niej wiadomości.
Kolumny były ozdobnie rzeźbione i – z wyjątkiem bardzo subtelnych różnic – identyczne. Na lewej znajdowało się opromienione słońce otoczone osiemnastoma kulami, na prawej zaś kul było dziewiętnaście. Przy podstawie każdej widniał frapujący relief przywodzący na myśl odcisk pazurów tylnej łapy czteropalczastej bestii, a nad nim zarys kraba, pająka, a może trzygłowego potwora. Aleksander nie był jednak pewien. Zresztą doskonale wiedział, że być może w ogóle jego domysły rozmiągają się z intencją rzeźbiarza. Podniósł płaski kamyk i puścił kaczkę po tafli jeziora. Nie mógł przestać myśleć o portalu i leżąc na miękkiej trawie, usiłował rozwiązać tę zagadkę.
Z każdego filaru sterczał zwrócony ku przeciwległemu kamień;

wyglądały
razem jak dwa wskazujące na siebie palce. Zgodnie z legendą gigant,
który
stworzył portal, chwycił oba kamienie i zniknął.
Chłopiec jednakże nie był w stanie powtórzyć tego czynu, ponieważ gdy
łapał zajeden kamień i wyciągał rękę ku drugiemu, brakowało mu do
niego...
jakichś sześciu stóp.
Zaczął wątpić. Czy naprawdę był Iskandrem? Uwierzył w to wcześniej,
a jednak teraz nie potrafił otworzyć wielkiej bramy ani odkryć jej
sekretów.
– Co mam zrobić? – rzucił bezradnie w noc.
– Wszystko, co możesz – usłyszał znajomy głos. Odwrócił się i ujrzał
schodzącego ze wzgórza Chirona.
– Żyjesz! – krzyknął. Wstał szybko i wybiegł magusowi na spotkanie.
Czarodziej klęknął i wziął malca w ramiona.
– Tak, żyję. I cieszę się, że znowu jestem człowiekiem.
– Ale ty... to znaczy Kamiron... wypadł przecież za burtę podczas
sztormu. Nie miałem pojęcia, gdzie jesteś. Bałem się, że zginąłeś.
– Kamiron zdołał dotrzeć do brzegu i zagubiony skierował się na
połud-
nie. W końcu dotarł do lasu. Tam spotkał osoby, które go znały... i
mnie.
Pomogły mi dokonać transformacji. Nigdy więcej nie skusi mnie
przemiana!
– Po cóż w ogóle ryzykowałeś transformację tak blisko lasu Gorgona?
Magus odwrócił wzrok, po czym ponuro się uśmiechnął.
– Wcale nie zamierzałem się przemieniać. Ale widzisz, Aleksandrze,
byłem szczerze przerażony. Tak po prostu! Nadchodzili Makedonowie.
Par-
menion postanowił wkroczyć w głąb najniebezpieczniejszego i
najbardziej
demonicznego terytorium w całej Achai. – Wzruszył ramionami. – Za-
snałem, lecz śniły mi się straszne rzeczy. Bałem się. Przyszło mi do
głowy, że
Kamiron łatwiej ucieknie wrogom, nie podejrzewałem wszakże, że
centaur
zgubi kamień mocy i zostanie uwięziony w jego ciele. Może podświadomie
rozumiał, że tylko w ten sposób zyska szansę na normalne życie.
– Biedny Kamiron. Był taki szczęśliwy, że budzi się codziennie tylko
ze
swoimi wspomnieniami. Nawet nie podejrzewał, że jesteście jednością.
Chiron uśmiechnął się i usiadł obok chłopca.
– Sam długo by nie przeżył, moje dziecko. Centaury nie przyswajają
pożywienia. Nie wiedział o tym i o mało się nie zagłodził. Nie miał
szans na
niezależną egzystencję.
– Będę za nim tęsknił – jęknął Aleksander.
– A ja nie – odparł magus. – Wróćmy jednakże do twojego problemu.
Co odkryłeś w związku z portalem?
– Niewiele albo zgoła nic. Rzeźbienia na filarach nie są zupełnie
iden-
tyczne. Można by te różnice uznać za błąd rzemieślnika... chociaż
szczerze
mówiąc, wątpię w to. Dwa wystające kamienie to swego rodzaju uchwyt,
niestety, tak jak głosi mit, tylko gigant mógłby chwycić oba naraz.
– A więc mamy do czynienia z łamigłówką – oświadczył z namysłem
Chiron. – Napisy na nadprożu są akkadyjskie i pochodzą z
czterdziesto-
dwuliterowego starożytnego alfabetu Atlantydy. Akkadowie zredukowali
ów
alfabet do dwudziestu dziewięciu liter.
– Potrafisz odczytać napis?
– Oczywiście.

– Co mówi?

– Nic interesującego. Opowiada historię zbudowania filarów, przekazuje spis imion głównych magusów i aktualnego króla, na którego cześć wzniesiono portal. Portal zbudowano w tysięcznym roku akkadyjskiego imperium.

To wszystko.

– Oczekiwałem więcej – wyznał rozczarowany chłopiec. Chiron roześmiał się.

– Na przykład instrukcji obsługi? Nie wierzę, żeby w tamtych czasach ktokolwiek potrzebował instrukcji otwarcia bramy, gdyż wtedy była ona zawsze otwarta.

– Jak w takim razie promieniowała magią?

– Nie wierzę, że kiedykolwiek nią promieniowała...

– Co takiego?! – przerwało mu dziecko. – Chcesz powiedzieć, że nie jestem w stanie przywrócić temu królestwu magii?

– Boję się, że nie.

– Więc co mogę zrobić?!

– Portal, a jest ich wiele, pozwalał podróżować między kramami, światami, czasami. Na dalekim wschodzie były one nazywane lung mei, czyli smoczymi drogami, na zachodzie znano je jako bramy snów, a na zimnej, dalekiej północy nadawano im miano ścieżek bogów.

– I w czym niby pomogą mi te informacje, skoro nie mogę ich użyć do przywrócenia magii?

– Jeśli koń jest zbyt słaby, by dotrzeć do wody, co robi jeździec?

– Przynosi koniowi wodę – odparł Aleksander.

– Otóż to. Jeśli nie możesz Achai przywrócić magii, musisz tedy pozwolić ludziom lasu przejść przez portal do świata, w którym magia nadal jest żywa i silna.

– To znaczy, że muszę otworzyć portal?

– Sądę, że takie jest właśnie twoje przeznaczenie.

– Skąd będę wiedział, w którym kierunku ich wszystkich wysłać? Chiron wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia, ale sądę, że we właściwym czasie wszystko się wyjaśni.

Aleksander wstał i powoli zaczął się wspinać po stoku. Magus podążył za nim i razem ponownie zbadali filary.

– A ta część tutaj... Co to takiego? – spytał chłopiec, przesuwając palcami po zakrzywionych liniach, które tworzyły odcisk łapy bestii.

– Mapa Achai. Widzisz? Tutaj mamy Spartę, tam zaś Zatokę Karyncką.

– Widzę! W takim razie ten krab to będzie Chalkidike, którą nazywacie krainą Trydentu. – Podeszedł do prawego filara wskazał drugą mapę. – Ten rysunek wygląda prawie tak samo, tyle że zatoka jest węższa. I popatrz, tu ziemia Trydentu wydaje się nieco zmieniona – rozwidlenia tego niby-trójzębu są połączone.

Wrócił do pierwszego filaru i zdziwiony przyjrzał się mapie.

– Zobacz! Zatoka Karyncka zupełnie zniknęła. Co się stało, Chironie?

– Zmieniają się pod wpływem twojego dotyku – szepnął czarodziej. – Teraz ta po prawej w ogóle nie przypomina Achai. Wszystkie wysepki połączyły się z głównym lądem.

Podczas gdy patrzyli, mapy coraz szybciej się przekształcały – na ich oczach dokonywały się całe serie oszałamiających transformacji. Jakby czyjaś niewidzialna ręka rysowała węglem po kamieniu.

Aleksander zbliżył się do lewego filaru. Wyciągnął rękę i dotknął palcem małego wcięcia pośrodku niższej mapy. Wszelki ruch linii natychmiast ustał.

Po chwili mapa na prawym filarze również przestała się zmieniać. Chiron odchylił się i założył ręce na biodrach.

– Znamy już przynajmniej częściową odpowiedź – zauważył. – Wiemy, jak zorganizowali portal. Jedna mapa uosabia zapewne ten świat, druga natomiast – cel. Moim zdaniem nie mamy do czynienia z wrotami czasu. Widziałem wcześniej takowe. Były znacznie większe,.. I pamiętam kamienne kręgi. A jednak ta brama jest bardziej skomplikowana niż inne akkadyjskie przejścia, przez które podróżowano po imperium. Jest to zatem prawdopodobnie jeden z legendarnych sześciu portali prowadzących do alternatywnych światów.

– Gdzie znajdują się pozostałe?

– Jednym już podróżowałeś: Filippos przeciągnął cię przezeń z twojego świata do swojego. Wiem, że kolejna z bram leży na wschodzie, jednakże jej filary roztrzaskali zabobonni dzicy tubylcy. A inne? Nie mam pojęcia. Może na dnie oceanu, jeśli zatoneły wraz z Atlantydą? Albo pod lodowcem na dalekim krańcu naszego świata.

– W jaki sposób mam otworzyć portal? – spytał chłopiec.

– Nie wiem – przyznał Chiron. Przeszedł między filarami i obmacał kamienne uchwyty. – Strażnicy portali posiadali kamienie Sipstrassi, czyli bryłki mocy. Ja także mam ich kilka, lecz moje zapasy znajdują się daleko stąd, na nic nam się zatem nie przydadzą. Jedno wszakże jest pewne: ten portal wyglądał kiedyś identycznie jak inne. Różnice powstały później. Jeszcze przez godzinę badali bramę, aż Aleksander poczuł znużenie i położył się między filarami, by zasnąć. Śnił o Pełli, o pałacu swego ojca i o Parmenionie. Jego snom towarzyszył niepokój i strach, gdyż na krawędzi jego wizji unosiła się osobliwa mroczna mgła. Nie miał ochoty odwrócić głowy i spojrzeć na nią. Zawisła nieruchoma, czarna i złowieszcza. W końcu jednak chłopiec nie mógł już jej znieść, więc obrócił się... I stanął przed lustrem w ramie z dymu. W zwierciadle ujrzał własne odbicie.

– Nie jesteś mną – oznajmił książę.

– Nie jesteś mną – powtórzyło lustro, potem sobowtór roześmiał się odpychająco, a z jego skroni wyrosły rogi, które zakreśliły się w tył ponad uszami. – Nie zdołasz beze mnie otworzyć portalu – mruknął z ironią Duch Chaosu. – Wiesz o tym, prawda?

– Tak, wiem – przyznało dziecko.

– Co mi zatem zaoferujesz w zamian za pomoc?

– Nic – odparł chłopiec.

– Nic? Magiczne istoty rozszarpia cię na kawałki, jeśli je zawiedziesz.

– Zdaję sobie z tego sprawę – zgodził się pewny siebie Aleksander. – Tylko ty możesz im przeszkodzić.

– Dlaczego miałbym się wtracać?

– Po co pytasz, skoro doskonale znasz odpowiedź. Kim będziesz beze mnie?

– Nie są w stanie mnie zabić – odrzekł Duch Chaosu. – Po prostu poczekam sobie na kolejne... hmm... ludzkie naczynie.

– Ale przecież jesteś z natury niecierpliwy – zauważyło dziecko.

– Rzeczywiście, masz rację – przyznał Duch. – W takim razie pozwól, że powtórzę jeszcze raz: co oferujesz za moją pomoc?

– Nie zamierzam robić z tobą żadnych interesów – rzucił chłopiec. – Niech ci wystarczy, że wrócimy do naszego świata i będziemy toczyć kolejne zwycięskie bitwy...

– W końcu tobą zawładnę, dobrze o tym wiesz – mruknął Duch. – Podobnie jak mój brat w tym świecie całkowicie zapanował nad Filiposem. Ach, jakież radości mnie czekają, mój mały. Będziesz je ze mną dzielił. Nie powinienś mnie nienawidzić, bo spełnię twoje najskrytsze pragnienia. – W tej chwili pragnę jedynie opuścić to miejsce.

– Niech się zatem tak stanie. Widziałeś filary i mapy. Teraz popatrz na najwyższe rzeźbienia. Uosabiają gwiazdne mapy. Musisz je ujednoczyć, tak jak uczyniłeś z dolnymi. Kiedy pierwotny układ zostanie zduplikowany, brama się uaktywni. Wyobraź sobie na przykład człowieka stojącego między dwoma lustrami. Dopiero gdy ustawi się je pod odpowiednim kątem, ów osobnik idealnie tak samo odbije się w obu. Podobnie z portalem. Gdy filary będą we właściwym położeniu, alternatywny świat stanie dla tutejszych stworzeń otworem.

– Mogą wszakże trafić do naszego świata. Co wtedy? Nie chcę, by się tam dostały, gdyż cierpiałyby tam tak samo, jak cierpią tutaj. Właściwie w naszej Grecji czekałby je jeszcze gorszy los, ponieważ tutaj ludzie zawsze o nich wiedzieli, a naszych mieszkańców napawali by lękiem, więc ci znie-
nawidziliby je i pozabijali.

– Niegdyś magiczne istoty żyły także i w naszej Grecji. W przeciwnym razie, skąd wzięłyby się w twoich baśniach? A co do rozpaczy... Ona towarzyszy im zawsze i wszędzie – wyjaśnił Duch Chaosu. – Łączy się z ich naturą, jako że są w pewnym sensie niekompletni. Starzy bogowie używali ich, stworzyli dla własnej przyjemności. Teraz są jak niepotrzebne zabawki, Aleksandrze. Co dziwne, zwycięstwo w wojnie przypieczętowało ich śmierć.

A jednak pomożemy im, bracie. Ty i ja. Skierujemy ich do świata, w którym będą żyć magiczną pełnią i od nowa walczyć o przetrwanie.

– Potrafisz to zrobić? – spytał chłopiec.

– Potrafimy... my, ty i ja – odparł Duch. – Razem możemy zrobić wszystko. Nigdy o tym nie zapominaj. Zaczynamy.

Aleksander obudził się. Chiron leżał obok niego, pochrapując przez sen.

Książę wstał i popatrzył w górę na filar po lewej.

– Wejść na niego – rozkazał Duch Chaosu.

Wspinaczka nie była trudna, ponieważ wypukłe reliefy stanowiły dobre punkty zaczepienia dla rąk i nóg. Chłopiec wybrał drogę od frontu. W końcu tuż nad jego głową znalazła się rzeźbiona kamienna kula otoczona mniejszymi.

– Dotknij ręką środkowej kuli – poleciał Duch. – Aleksander posłuchał go i kamienie – podobnie jak wcześniej mapy – zaczęły migotać i się poruszać. – Przesuwa się – oświadczył Duch. – Teraz wejść na drugi filar i dopasuj tamte kule.

– Czy mogę ci zaufać? Skąd wiem, że nie wyprawisz tych biednych istot

na zatracenie do jakiegoś przerażającego świata?

– Rzeczywiście, osobiście chętnie bym je w taki wysłał – przyznał Duch. – Jednakże jesteś Iskandrem, obiecany wybawcą. Nie zgubisz ich.

– Nie rozumiem.

– Od dawna zapowiadano twoje przybycie, młodziutki książę. Portal oczekiwał właśnie ciebie. Kamienie same wiedzą, jak się obrócić, czekały

tylko na twój dotyk. Nie pojmujesz? Jesteś jedynie instrumentem w rękach

Losu. Ostatni człowiek, który przed laty przeszedł przez tę bramę, rozmyślnie

zmienił ułożenie kamieni. Tylko ty możesz uruchomić przepływ magii.

Mimo tak przekonujących słów chłopiec się nie poruszył.

– Cóż jeszcze mógłbym ci powiedzieć? – spytał Duch. – Uwierz albo nie, twój wybór.

Książę nie odpowiedział, lecz wyciągnął powoli dłoń i dotknął palcami kamiennej kuli. Filar zaczął wibrować; Aleksander o mało z niego nie spadł.

Szybko zszedł i odsunął się od portali. Szary kamień zaczął lśnić i powietrze

wypełnił osobliwy zapach przywodzący na myśl płonące liście. Był cierpki

i niezbyt przyjemny.

Chiron zbudził się, wstał niezdarnie i podszedł do chłopca.

– Rozwiązałeś łamigłówkę?

– Tak sędzę.

Kamienie lśniły teraz jeszcze jaśniej. W poświęceniu księżycowej wydawa-

ły się srebrne. Mapy i pasmo rzeźbień błysnęło płomieniami

muskającymi

przecięcia w kamieniu. Kule także się rozświetliły i wyglądały jak miniatury-

we słońca, stok zaś wydawał się skąpany w słońcu.

Przez migoczący portal można było dostrzec zatopioną w słońcu równinę między górami a odległym lasem. Chłopiec zrobił krok do przodu,

zamierza-

jąc przejść przez bramę, lecz magm chwycił go za ramię.

– Nie – szepnął. – Nie jest jeszcze otwarta.

Magiczne stworzenia wyszły spośród drzew. Książę odwrócił się i przyjrzał im uważnie. Poruszały się powoli, ze strachem wpatrzony w błyszczącą

bramę. Aleksander wiedział, że od stuleci marzyły o tej wędrówce. Ich nadzieje za chwilę miały się spełnić. Ustawiły się w półokręgu u podstawy

wzgórza. Centaury, driady, nimfy, wysocy mężczyźni, którym z ramion wyrastały wielkie skrzydła, ciemnoskóre worgule, gady, minotaury...

Ruchli-

wa, milcząca masa powoli zmierzała ku portalowi.

Promienie słońca z innego świata oblały cały teren złotym blaskiem, który

opromienił twarze nawet najpotworniejszych istot. Nikt się nie odzywał,

żadne z magicznych stworzeń nie wydawało dźwięków.

Chłopcu zaschło w gardle z przejęcia. Niczym gład na sercu czuł ciężar

ich oczekiwań.

Zamknął oczy i mentalnie odszukał Tenę. Siedziała sama pośrodku lasu.

Odkrył, że jest smutna, jednak w chwilę później coś – niby żelazna maska

– przesłoniło przed nim jej myśli.

Czego ode mnie żadasz? – spytała kobieta.

– Potrzebuję cię, aby rozpocząć podróż – odparł. Jej duch wzniósł się ponad ciało.

Chłopiec – nadal z zamkniętymi oczyma i całkowicie skoncentrowany – obserwował, jak duch wieszczki przechodzi przez rozmigotany portal i szybko wraca.

Masz przed sobą dziki, przepełniony bólem świat – obwieściła.

Aleksander ponownie wspiął się na filar po prawej stronie i dotknął palcami kamienia.

Portal powtórnie zmienił kolor – tym razem zaślnił jak wypolerowane złoto. Widok między filarami zmienił się. Teraz znajdował się tam jasnobłę-

kitny ocean i białozłota piaszczysta plaża.

– Sprawdź – poprosił Tenę księżę.

Nie ma potrzeby – odrzekł jej duch. – Wyczuwam tamtejszą magią. Jest czysta i zrodzona z radości.

Gdy Parmenion, Filip i Attalos wjechali do lasu, otoczyła ich całkowita

cisza. Księżyc stał wysoko, srebrna poświata zalewała drzewa spokojnym

blaskiem, odbijając się połyskliwie od strumienia i skał. Nigdzie wokół nie

było najmniejszych znaków życia.

W umyśle strategosa co jakiś czas rozlegał się głos Teny.

Posuwaj się na południe, aż dotrzesz do wodospadu. Wtedy skręć na zachód.

Jechali jeszcze prawie godzinę. Wreszcie wynurzyli się na rozległej pola-

nie zapełnionej magicznymi istotami. Zauważyli wśród nich centaury, cyklo-

pów, skrzydlatych mężczyzn i kobiety, driady i faunów. Spartanin zeskoczył

z konia i skłonił się na widok zbliżającej się białowłosej bogini.

Choć jej

nagie

ciało połyskiwało w świetle księżyca, wcale Spartanina nie

podniecało. Choć

kobieta stanowiła prawdziwy ideał piękna, wydawała się tak eteryczna, że nie

groziła jej żądza ze strony śmiertelnego mężczyzny.

– Witaj, Parmenionie – odezwała się. – Przebyłeś' długą i niebezpiecz-

ną drogę.

– A jednak dojechaliśmy, pani – odparł. – Gdzie jest chłopiec?

– Bada portal. Opowiedz mi o śmierci mojego syna.

– Umarł wśród przyjaciół – odparł.

Skinęła głową i uśmiechnęła się.

– To dobrze. Cieszę się, że została w nim choć iskra szlachetności.

– Więcej niż iskra, zapewniam cię, pani.

– A jednak wcześniej przez tysiąc lat z nikim się nie zaprzyjaźnił.

Jakież

wyjątkowe cechy posiadasz?

– Żadnych, o których bym wiedział.

Odeszła od niego i stanęła oko w oko z Filipem.

– Nigdy się nie spodziewałam, że będę miała sposobność pomówić

z kimś o twojej twarzy, panie. Nawet teraz ledwie się mogę zmusić do spojrzenia na ciebie.

– Nie jestem Filiposem.

– Wiem o tym. I wiem też, że doskonale walczysz.

– Nietrudno go było zabić. Przez całe życie uważał się za niezwyciężonego, nie czuł zatem potrzeby uczyć się choćby podstaw obrony.

– Jesteś królem w swoim kraju?

– Tak, pani.

– I także siejesz rozpacz i postrach wśród swoich sąsiadów?

– Tak – przyznał. – Grecja znajduje się w stanie permanentnej wojny, taka już jej natura. Wkrótce wszakże powstanie jeden naród, a wtedy przesta-

niemy się nawzajem zabijać.
– Oczywiście wedle ustanowionych przez ciebie zasad.
– Oczywiście – zgodził się.
– Odległe światy, a wciąż ta sama agresja i chęć dominacji – zauważyła smutno, po czym podeszła do Attalosa. – A ty, panie, czego się nauczyłeś w trakcie swej wizyty w moim królestwie.
Fechtmistrz wzruszył ramionami.
– Niewiele.
– Czy aby na pewno? Może chociaż zobaczyłeś siebie w innym świetle? Attalos uśmiechnął się.
– Wiem, kim jestem i czym jestem. Nie mam złudzeń co do własnej osoby.
– A jednak stawiałeś czoło demonicznemu królowi i nie uląkłeś się go. Czy własna postawa nie napawa cię dumą?
– Hmm... Nie. Zbyt blisko podszedłem, by się ot tak poddać. Cóż w tym za powód do dumy?
– Mylisz się, Attalosisie. Wkroczyłeś do tego świata z nienawiścią i goryczą w sercu. Sporą część negatywnych uczuć zostawisz tutaj. Zgadza się?
– Może i tak – przyznał.
Bogini wróciła do Parmeniona, ujęła go za ramię i poprowadziła w las.
– Znalazłeś tutaj miłość, człowieku – powiedziała. – Zostawisz ją i odejdziesz?
– Zostawię, bo muszę – odparł.
– Zatem nadal czujesz się winny?
– Tak. Muszę dopilnować, by Aleksander przeżył. Demon ciągle tkwi w jego wnętrzu, takjak było z Filiposem. Chłopcu będzie potrzebny prawdziwy przyjaciel, ktoś, kto o niego zadba, kto go kocha.
– Rzeczywiście będzie kogoś takiego potrzebował. – Zamilkła, odwróciła się i popatrzyła strategosowi w twarz. – Wiesz, że Aleksander zabije cię kiedyś w przyszłości?
– Wszyscy ludzie umierają i niczyja przyszłość nie jest zapisana w kamieniu.
– To nie tak, nie w twoim przypadku. Wierz mi, Parmenionie, Aleksander cię kiedyś zabije i nie ma od tego odwrotu. Twój los zapisany jest w gwiazdach, niosą go szepty na wietrze, jest wyrzeźbiony w wiekuistym kamieniu. Nie zdołasz przed nim uciec.
– Zobaczymy – oświadczył, choć w ustach poczuł nagłą suchość.
– Jesteś dobrym człowiekiem – zauważyła po chwili – i poniesiesz ze sobą moje błogosławieństwo. Niewiele mocy już posiadam, lecz wszelkie błogosławieństwo jest zawsze lepsze niż przekleństwo.
– Rzeczywiście, lepsze – odparł Spartanin. – Czy wszystkie nasze przyszłości są spisane w tym wiekuistym kamieniu?
– Nie. Tylko twoja i twojego syna. Już pora odszukać portal i opuścić to udręczone królestwo. Chodź, pożegnasz nas na zawsze.
Parmenion stał obok Filipa w środku ogromnego milczącego tłumu czekającego przed portalem. Wysoko ponad nimi na bezchmurnym niebie jasno lśnił księżyc, a gwiazdy błyszczały niczym klejnoty na sobolej skórze, natomiast miast za wielką bramą świat był przepięknie oświetlony słońcem, a stóg wzgórze wręcz promieniował złotym światłem.
– Magus – zawołał nagle Filip, wskazując na Chirona. – Właśnie ten czarownik rzucił na mnie czar!

– Nie sędzę, panie – odparł strategos. – Ten ma na imię Chiron i pochodzi z tego świata.

– Jeśli spotkam jeszcze jakichś kolejnych bliźniaków, oszaleję – mruk-
nał król Macedonii.

Chłopiec wrócił do filarów, chwycił sterczący kamień po prawej i wyciąg-
nał rękę ku kamieniowi po lewej. Przez moment stał, a głowa opadła mu w tył.

Smolisty dym wysaczył mu się z nozdrzy i ust, po czym popłynął wzdłuż piersi, spłynął po ramieniu i przybrał ludzki kształt, stając się kolejnym Aleksandrem – rogatym i żółtookim, dziwacznym i zdeformowanym lustrza-
nym odbiciem księcia. Chwyciwszy swego sobowtóra za rękę, Duch Chaosu dotknął palcami drugiego kamienia.

W tej chwili między filarami przemknęła błyskawica. Aleksandra odrzuciło na ziemię, a Duch wzleciał w powietrze.

Głos Tamis odbił się echem w umyśle Parmeniona.

Naszyjnik! Szybko! Załóż go chłopcu!

Strategos podbiegł do nieprzytomnego księcia i klęknął przy nim. Gdy zerknął w górę, zobaczył, że spływa ku nim mroczna forma Ducha Chaosu. Prędko rozpiął naszyjnik i zamocował go na szyi chłopca. Dym przy-
słonił dziecko, na szczęście w tym momencie powiał zimny wiatr, rozprasza-
jąc smugę.

Aleksander otworzył oczy.

– Czy portal się otworzył? – spytał.

Parmenion podniósł wzrok.

– Tak – odrzekł. Pierwszy z centaurów przechodził akurat między filarami.

Chłopiec usiłował wstać.

– Nie wyczuwam Boga Mroku – szepnął.

– Nie ma go wewnątrz ciebie – zapewnił go strategos. – Nosisz teraz naszyjnik o wielkiej mocy. Póki masz go na szyi, żadne zło nie zdoła wejść do twojego umysłu.

Podszedł do nich Filip i klęknął przy dziecku.

– Dobrze zrobiłeś, synu – oznajmił, wyciągnawszy ręce. Aleksander uściskał ojca. Macedoński król podniósł się, przyciskając chłopca do piersi.

Strategos ciężko westchnął i wstał. Magiczne stworzenia powoli przecho-
dziły przez portal do nowego świata.

Białowłosa bogini zrównała się z nim.

– Parmenionie, bądź dumny z tego dnia. Niezależnie od czekającej cię przyszłości.

– Będę, pani.

Odwróciła się z uśmiechem i przeszła przez bramę. W końcu zostali już tylko Chiron i Brontes. Magus zbliżył się do strategosa i wyciągnął rękę.

– Przykro mi, że przez większą część wyprawy nie mogłem ci towarzyszyć – powiedział. – I, tak szczerze mówiąc, to nie bardzo ci się przydałem...

– Dość zrobiłeś, przyjacielu – zapewnił go wódz. – Uratowałeś nas przed worgulami pierwszego dnia, a jako Kamiron zabrałeś złotowłosego księcia w bezpieczne miejsce. Co postanowiłeś?

– Przejdę przez portal i sprawdzę, co oferuje ten nowy świat. Na ziemi istnieje wszakże wiele portali i czuję, że jeszcze się gdzieś spotkamy.

– Z góry się na to cieszę.

Czarodziej pożegnał się z Aleksandrem i Filipem. Tymczasem do strategosa zbliżył się minotaur.

– Nigdy cię nie zapomnę, człowieku – oświadczył.

– Ani ja ciebie, druhu.

– Dałeś mojemu bratu szansę na wybawienie. Sądzę, że dobrze ją wykorzystał. Po kres mego życia będę ci za to wdzięczny. Niech zawsze

towarzysta ci bogowie, Parmenionie.

– Tobie również – odparł Spartanin.

Brontes odszedł między filary, a kiedy przeszedł na drugą stronę, zamigo-

tały ponownie, po czym ściemniały, stając się szarymi zimnymi kamieniami.

Alternatywny świat za nimi zadrżał i zniknął.

– Co teraz, strategosiel – spytał wodza Attałos.

Parmenion wzruszył ramionami. Odnosił wrażenie, że opuściła go energia.

Podszedł do pobliskiego drzewa i usiadł, opierając się o pień plecami. W kilka

dni przemierzył przeciw pół obcego świata, walczył w krwawej i decydującej

o losie tego świata bitwie i – choć tylko przez krótki czas – poznał życie

króla. Teraz ciało niemal zdrętwiało ze zmęczenia, w głowie zaś czuł pustkę.

Był osobiście zmieszany i znużony.

Usłyszał ciche kroki Teny. Gdy usiadła obok niego, uśmiechnął się.

– Co teraz? – spytał, powtarzając pytanie fechtmistrza.

– Poczekamy na Arystotelesa – odrzekła. – Czy wcielenie się w spartańskiego władcę sprawiło ci przyjemność?

– Tak – przyznał. – W tutejszej Sparcie odnalazłem też moją miłość, Derae. – Westchnął, po twarzy spłynęły mu łzy. Odchrząknął, lecz jeszcze

przez moment patrzył gdzieś w bok.

– Mógłbyś zostać – szepnęła wieszczka.

– Nie. Moim przeznaczeniem jest powrót do mojego świata. Muszę czuwać nad Aleksandrem. A jakie ty masz plany?

– Wrócę do mojej świątyni. Jestem uzdrowicielką i czekają na mnie ludzie spragnieni cudu.

– W twoim głosie słyszę smutek, pani. Nie powinnaś go odczuwać – powiedział. Wyciągnął rękę i ujął jej dłoń.

– Życie przepełnione jest smutkiem – odparła – a jednak... to nasze życie. Dobry z ciebie człowiek, Parmenionie. Mam nadzieję, że jeszcze znajdziesz szczęście. – Wstała i odeszła. Powoli zeszła ze wzgórza i zniknęła

między drzewami.

W jej głowie – jakby z wielkiej odległości – zahuczał nagle głos Arystotelesa.

Czy stworzenia przeszły przez portal? – spytał magus.

– Tak.

Wszystkie? Co do jednego?

– Tak, wszystkie. Łącznie z twoim bliźniakiem.

Teraz pomóż mi przejść do świata, w którym się znajdujecie.

– W jaki sposób?

Słuchaj mojego głosu. Wyobraź sobie mnie. Resztę, zrobi Sipstrassi. Derae poczuła, jak czarodziej chwyta jej ducha i ciągnie go, niemal wydzierając go z jej ciała. Krzyknęła i zaczęła się opierać jego sile. Ból był

taki ogromny, że ponownie krzyknęła. Na szczęście zniknął równie niespo-

dziewanie, jak się pojawił, a w chwilę później wyrosła przed nią mglista

forma, która powoli przybrała kształt Arystotelesa. Magus zatoczył się i osunął

na kolana, konwulsyjnie wbijając się palcami w ziemię, na której klęczał.

– To była trudna podróż – powiedział. – Masz moją wdzięczność, Derae.

– Odeślij mnie z powrotem – szepnęła. – I przywróć mi poprzednią postać.

– Zapewne jednak pragniesz zatrzymać młodość? – spytał, wstając.

– Nie! – zawołała Tena-Derae. – Chcę być taka jak przedtem.

Potrząsnął głową w niewierze i podniósł rękę. W palcach jaskrawo zalśnił mu złoty kamień. Ciemne włosy kapłanki na powrót stały się niemal całkowiec srebrne; tylko nieliczne zachowały rudy odcień. Skóra twarzy obwisła, oczy zamglily się i ponownie oślepyły. Derae na powrót stała się kobietą w średnim wieku.

– Jak możesz tego pragnąć? – spytał szeptem Arystoteles.

– Taka jestem – wyjaśniła mu. – Teraz wyślij mnie z powrotem.

– Pożegnałaś się?

– Powiedziałam tyle, ile mogłam.

Magus po raz drugi wznosił złoty kamień, który zabłyszczał. Po kilku sekundach wieszczkę otoczyło łagodne światło. Gdy osłabło, Derae zniknęła.

Czarodziej wspiał się na wzgórze i zbliżył się do oczekujących go istot.

– Chiron! – krzyknął Aleksander. – Wróciłeś!

.– Tak – odparł czarodziej. – Przyszedłem zabrać cię do domu.

– Który to z nich? – spytał Filip chłodno.

– Uważam, że ten jest Arystotelesem – odparł Parmenion z uśmiechem.

– Jesteś pewien?

– Co sądzisz, Attalosisie?

– Zgadza się. To Arystoteles, panie.

– Dobrze, zatem – rzekł Filip, po czym zrobił głęboki wdech i ryknął.

– Suczy synu!

Szybko ruszył ku magusowi.

Czarodziej odskoczył zaskoczony i przestraszony.

– Musiałem cię tu przysłać, panie! – tłumaczył się.

– Dlaczego odebrałeś mi pamięć?

– Trudno to wyjaśnić, lecz jeśli dasz mi szansę, wszystko ci opowiem.

– Też chciałbym usłyszeć twoją historię – dodał strategos spokojnie.

Król Macedonii złożył ręce na piersi.

– Zaczynaj więc, magusie, lecz ścierpię tylko dobrą opowieść – syknął.

Jego oczy nadal błyskały gniewnie.

Arystoteles spoczął, pozostali usiedli przed nim w półokręgu.

– Nazywam się Arystoteles – zaczął.

– Wiemy o tym, niech cię szlag! Kontynuuj! – grzmiał Filip.

Czarodziej podniósł rękę, prosząc o milczenie.

– Opowiem wszystko po swojemu, jeśli pozwolisz, panie. Teraz jestem Arystotelesem, kiedyś wszakże byłem Chironem i mieszkałem tutaj wraz z magicznymi istotami. Tu po raz pierwszy spotkałem Parmeniona i Helma, pozbawionego pamięci wojownika. A także Attalosa, fechtmistrza. W tym świecie widziałem – także po raz pierwszy – złotowłose dziecko nazywane Iskandrem. I tak jak to niedawno widzieliście, przeszedłem przez portal wraz z uchodzącymi potomkami Tytanów. Dla was działo się to zaledwie przed kilkoma chwilami, dla mnie zaś od opuszczenia tego królestwa minęły aż cztery stulecia.

– Co ci się w tym czasie przydarzyło? – spytał Parmenion.

– Zbadałem wiele lądów, znalazłem inne portale, ścieżki prowadzące

między światami. Przebyłem setki mil. Ponieważ tęskniłem za ludzkim towa-
rzystwem, toteż w końcu wróciłem do Azji, a później do Grecji. I tam ponownie usłyszałem o Parmenionie. Zdałem sobie sprawę z tego, że w trakcie moich podróży zatoczyłem olbrzymie koło w czasie: dotarłem do pewnego punktu, zanim strategos w ogóle wkroczył do Achai! Kwestia ta stała dla mnie wielki problem. Długo zastanawiałem się, czy powinienem Wmieszać się w bieg zdarzeń. A może wcześniej już w nie ingerowałem? I wtedy mnie olśniło: oczywiście, że tak, ponieważ kiedy Parmenion po raz pierwszy przyjechał do Achai, powiedział Chironowi, że przysłał go tu jakiś czarownik z innego świata. Mało tego, dodał, że ów człowiek wyglądał tak jak ja. Zdałem sobie sprawę z tego, że wpadłem w niebezpieczną sieć. Musiałem ponownie przywrócić poprzedni stan rzeczy, aby nie ingerować w przeszłość i nie zniszczyć siebie. Taki paradoks podróży w czasie, moi przyjaciele... Wysłałem więc Parmeniona i Attalosa przez portal, potem odszukałem ciebie, panie. Nie miałem pojęcia, jakie przygody wam się przytrafiły, ponieważ moje wspomnienia tego okresu były nieco zaćmione... Byłem przecież Kamironem. Rozumiecie mój dylemat? Gdy was spotkałem po raz pierwszy, nic wam nie mogłem powiedzieć, gdyż sam nic nie wiedziałem. Chciałem z wami pójść, ogromnie chciałem wam pomóc, lecz nie mogłem. Niektóre prawa są niezmiennie. Niemożliwe jest przejście przez portal w czasie czy przestrzeni do miejsca, gdzie już istniejesz. Żaden człowiek nie może spotkać samego siebie. Toteż mogłem zrobić tylko jedno – czekać z nadzieją i modlić się, że zdarzenia rozegrają się identycznie jak przedtem. – Przez chwilę wydawało mi się, że rozumiem, co mówisz – stwierdził Filip. – Niestety, pojąć ciebie to zadanie równie niewykonalne, jak próba złowienia gołymi dłońmi pstrąga w rwącym potoku. – Doceniam twoje starania, panie – odparł magus. – Ty przeżywałeś swoje przygody po raz pierwszy, dla mnie zaś stanowiły one część własnej historii. Zdarzyły się już wcześniej. Musiałem polegać na wiedzy Chirona. Mnie jako Chirona... A Chiron wiedział jedynie tyle, że wojownik imieniem Hełm zjawił się na polu bitwy i zabił Filipposa. I że ów mężczyzna był królem Makedonu w innym świecie. Chiron... czyli ówczesny ja... wiedział również, że tego króla pozbawiono pamięci. Próbowałem rozwiązać ten problem od, że tak powiem, drugiego czasowego końca i po prostu przekształciłem liczebność. – To właśnie miałem na myśli! – prychnął Filip. – W jednej chwili zaczynam pojmować twoje słowa, w następnej zaś ich sens mi się wyslizguje... Tak czy owak, odpowiedz mi na jedno pytanie: czyim pomysłem... •• pierwotnie było odebranie mi wspomnień i wprowadzenie mnie? – Eee. Mamy do czynienia z kołem czasu, panie. A zatem nie istnieje ani

początek, ani koniec. Nikogo nie można obwinie.

– Nikogo?! Posłuchaj mnie, magusie, jestem królem i wiem z doświadczenia, że zawsze znajdzie się ktoś, kogo można oskarżyć. Tak już jest na

świecie. Wszedłeś do mojego pałacu i... jakkolwiek by patrzeć... porwałś

mnie. Powinieneś odpowiedzieć za swój czyn głową. Podaj mi choć jeden powód, dla którego miałbym okazać ci łaskę.

Czarodziej rozłożył ręce i uśmiechnął się.

– Cóż, nasuwa mi się, panie, tylko taka oto odpowiedź: spróbuj mi coś zrobić, a zmienię cię w jaszczurkę i po prostu rozdepczę.

Filip milczał przez moment, potem odwrócił się do Parmeniona.

– Hmm, to chyba dobry powód, nieprawdaż wodzu?

– Zgadzam się, panie.

– Podobasz mi się, magusie – mruknął macedoński monarcha. –

Przyznasz wszakże, że jesteś mi dłużny jakieś zadośćuczynienie. Jak spłacisz

ów dług?

– A czego chciałbyś, panie?

– Pojedź ze mną do Pełli w roli nauczyciela mojego syna.

Arystoteles roześmiał się.

– Taka pokuta będzie dla mnie prawdziwym darem – odparł – więc akceptuję ją z wielką chęcią.

– Doskonale! A teraz zabieraj nas do domu.

– Nasz strategos nie pożegnał się jeszcze z królową – zauważył czarodziej. Jego uśmiech zbladł. – Kobieta czeka u stóp wzgórza.

Wódz westchnął, wstał i ruszył w dół, ku drzewom.

Derae siedziała na zwalonej kłodzie. Na jego widok wstała.

– Chciałeś odjechać, nie zobaczywszy się ze mną? Bez pożegnania?

– Przyznam, że tak. Wiem, że postąpiłbym jak tchórz, czułem jednak, że

nie potrafię odbyć z tobą tej ostatniej rozmowy. Mówiłaś z Leonidasem?

– Tak, wszystko mi powiedział. Czy jestem taka jak ona?

Skinał głową.

– W każdym calu.

– Więc nie mnie kochałeś – szepnęła z żalem.

– Ależ ciebie, ciebie kochałem – zapewnił ją. – Rzeczywiście początkowo pieściłem w sobie wspomnienie mojej Derae, jednak kobietą, którą kochałem, byłaś ty, moja droga. Ciebie kochałem i ciebie Kocham.

– Nie możesz zostać?

– Nie. Muszę się opiekować Aleksandrem. To mój obowiązek. I sens mojego życia. Wybaczysz mi?

Skinała głową i przez chwilę tuliła się do niego. Pocałowała go w policzek,

Po czym łagodnie odepchnęła od siebie.

– Odejdź więc, skoro musisz – szepnęła. – I to szybko, bo każda chwila

dłużej rozdziera mi serce. Wiem, że któregoś dnia powrócisz. Znam twój

sekret, Parmenionie. Znam przyczynę zmuszającą cię do opieki nad księciem.

Wierzę jednak, że twoje przeznaczenie jest tutaj. Pewnego dnia wrócisz. Będę

na ciebie czekać. Do końca moich dni.

– Nie mogę ci tego obiecać, Derae – wyznał ze smutkiem – chociaż pragnę tego najbardziej na świecie.

– Nie musisz mi niczego obiecywać. Ubiegłej nocy miałam sen. Ukazał mi się siwobrody czarodziej i kazał przyjść tu dziś wieczorem.

Powiedział, że

wrócisz do swojego świata, ale też dodał, że zrobi wszystko, co w jego mocy

by kiedyś' odesłać cię z powrotem do mnie. Poczekał.

Strategos nie odpowiedział. Wycofał się kilka kroków i odszedł na

wzgórze

Arystoteles stał bez ruchu. Gdy Spartanin podszedł do niego, podniósł rękę.

Portal ponownie zamigotał...

KSIEGA CZWARTA

Miasto Mieza, 337 rok p.n.e.

Arystoteles siedział samotnie w opuszczonym ogrodzie szkolnego budynku. Spoglądał ku północy, obserwując burzowe chmury, które wynurzały się zza wysokich gór Bora. Powiał zimny wiatr. Magus zadygotał i owinał się

szczelniej szarym wełnianym płaszczem.

Zerknął za siebie, ku domowi i ujrzał swoją żonę Pytiadę. Zbierała zioła

w niewielkim ogródku przy kuchni. Wkrótce czarodziej miał stąd odejść:

bezwrotnie zostawić za sobą ostatnich czternaście lat, pożegnać się z Miezą,

z Macedonią... z Grecją.

Westchnął. Nieśmiertelność stanowiła nieznośny ciężar, lecz – podobnie

jak narkotyki Egiptu – zniewalała. Paradoksalnie, brak perspektywy nieod-

wołalnej śmierci intensyfikował jedynie strach przed umieraniem. Im dłużej

magus żył, tym bardziej stawał się znudzony, a równocześnie im częściej

tęsknił za spokojem grobu, tym głębiej przerażała go myśl o nim.

I te wspomnienia...

Tak wiele... Trzy tysiące lat wcześniej prawie od nich oszalał. Na szczęs-

cie uratował go Pendarnk. Nauczył go mądrzej używać kamienia. Każde jego

przeszłe życie redukowało się do jednego kluczowego słowa, zamkniętego

rozdziału w jego umyśle. Makedońskie lata obracały się wokół

Iskandra. Gdy

przywołał to imię, w wyobraźni ponownie zobaczył złotowłose dziecko, 'śniący portal oraz wszystkie lata, które poprzedziły jego otwarcie.

Dotarł do

takiej wprawy, że kluczowe słowa lśniły w jego umyśle niczym gwiazdy.

A były to całe konstelacje gwiazd...

– Cóż nowego mnie czeka? – zastanowił się głośno.

Odpowiedź przyszła szybko. Była ostra niczym ukłucie w serce.

"Nie ma niczego nowego pod słońcem. Wszystko jest marnościami".

Uśmiechnął się i wspomniawszy mijający właśnie okres, w którym był filozo-

fem. Złote czasy. Dokonał w nich pewnych odkryć, kilka razy przeżył przy-

jemne zaskoczenie.

„Dlaczego zatem ogarnia mnie taka melancholia?” – zadumał się. Wokół ławki, którą zajmował, znajdowało się tuzin siedzeń. Teraz były puste, lecz

jeszcze tak niedawno byli tu synowie macedońskich szlachciców: młodzi mężczyźni, pełni nadziei i marzeń. Zawsze w środku zasiadał

Aleksander.

Wyróżniał się spośród nich, lśnił niczym słońce.

Tak, Arystoteles już znał przyczynę swego smutku.

„Aleksander!”

Magus wstał, podszedł do północnej bramy, otworzył ją i wyszedł na podgórze góry Bermios. Podczas epok, które przeżył, widywał różnych ludzi:

wielkich, mądrych, ludzi wojny, pewnych siebie, aż aroganckich, niedbałych

o przeszłość.

A jednak właśnie w przeszłości kryły się odpowiedzi na

wszyst-
kie pytania związane z tajemnicami życia... Choć odwracało się od
niej każ-
de kolejne pokolenie. Śmiertelnicy zawsze na oślep pędzili ku
przyszłości,
zapominając o lekcjach historii.
„Pokładałem w tobie wielkie nadzieje, młody książę” – pomyślał. Chłó-
piec miał wspaniałą, chłonny umysł, był może najświetniejszym uczniem
Arystotelesa od czasów Salomona, późniejszego króla Jerozolimy.
Zdolniej-
szym nawet od Pendarrika, władcy Atlantydy.
Cóż pociągało tego chłopca? Mądrość? Pogoń za wiedzą? Nie. Słyszał
raczej surmy wojenne, gonił za tą dziwką o imieniu Zwycięstwo. Mimo
iż
w jego ciele tkwił uwięziony Duch Chaosu, pozostawał mężczyzną, a
męż-
czyźni zawsze będą pożądać sławy.
A inni podążą za nim. Arystoteles wyobraził sobie ich młodziutkie
twarze
rozjaśnione tęsknotą za przyszłością, która wydawała im się bogata w
obiet-
nice: Ptolemeusza, Nearchosa, Filotasa, Nikkiego, Derdasa i innych.
Jak
wszyscy młodzieńcy, szczycili się swoją siłą i pogardzali dokonaniem
włas-
nych ojców.
Arystoteles zatrzymał się przy wąskim strumieniu. Usiadł, oparł się
ple-
cami o głaz, który chronił go przed wiatrem, i śledził kołującego w
górze
jastrzębia. Nagle ptak jak kamień spadł z nieba i wpił pazury w
młodego
królika, który dopiero co wyszedł w mrok ze swojej norki. Schwytyany
gryzoń
nawet nie walczył, gdy jastrząb uniósł go w powietrze; zwierzątko
bezwładnie
zawisło w ptasich szponach. Magus wysłał swojego ducha, by dotknąć
królika
Był już martwy.
– Przeklinam wszystkie jastrzębie – oświadczył głośno.
– Może ma młode do wykarmienia – odparł czyjś głos. Arystoteles
podniósł wzrok i uśmiechnął się do wysokiego mężczyzny, który
wychodził
spośród drzew. Parmenion podszedł i siadł obok filozofa, krzywiąc
się, gdy
jego artretyczne kolano nie chciało się zgiąć.
.– Byłem przekonany, że właśnie tutaj cię znajdę – oznajmił
strategos,
po czym zdjął hełm i przeczesał dłonią mokre od potu stalowosiwe
włosy. –
Filip chce, żebyś przyjechał do Pełli na ślub.
Czarodziej potrząsnął głową.
– Nie ma mowy, nie będę w nim uczestniczył, Parmenionie.
– Króla nie ucieszy twoja odmowa.
– Nic mnie nie obchodzi jego gniew. Wybieram się smoczą ścieżką do
innego świata.
– APytiada?
– Zostawię jej pieniądze. Nie będzie płakać z powodu mojego odejścia.
Grzała moje łóżko, lecz łączyło nas niewiele miłości. – Z uwagą
przyjrzał
się wodzowi, jego ostro wyrzeźbionym zmarszczkom, sinym workom pod
jasnobłękitnymi oczyma. – Wyglądasz na zmęczonego, przyjacielu.
Parmenion wzruszył ramionami.
– Mam sześćdziesiąt trzy lata. To chyba normalne, że męczą mnie

długie

kampanie.

– Pewnie zdołasz teraz wypocząć. Skoro Filip pokonał Ateńczyków i Tebańczyków pod Cheroneją, stał się prawdziwym władcą Grecji.

Gdzież

miałby obecnie szukać wrogów?

– Wszędzie – odparł strategos z krzywym uśmiechem.

– Zgoda – przyznał magus, odwzajemniwszy grymas. – Powinienem raczej spytać: kto jest w stanie mu zagrozić? Nie pozostała już żadna armia,

która mogłaby mu stawić czoło. Filip rządzi od Tracji po Epir, od Pajonii po

Tesalię. Wszyscy składają mu hołd, nawet Ateny. Podobno po zwycięstwie

pod Cheroneją postawili mu pomnik. Niewiarygodne!

– Nie tak bardzo. Ateńczycy spodziewali się, że pomaszerujemy na ich miasto i je splądrujemy. Zamiast tego Filip ich oszczędził i zaproponował

pokój. Poczuli ogromną wdzięczność.

– Dlaczego ich oszczędził? Ateny od lat były mu prawdziwym cierniem. Parmenion wzruszył ramionami.

– Nasz monarcha stale pamięta złe uczynki swego bliźniaka z Makedonu. Postanowił sobie, że nigdy takich nie popełni. Ma jednak jedno wielkie

marzenie: pragnie rozszerzyć swoje królestwo na wschód.

– Dokąd chciałby pójść? Nie zdoła pokonać potężnej Persji.

– Nie ma wyboru. Macedonia posiada obecnie ogromną armię: konnicę, maszyny oblężnicze, najemników. Wszyscy żołnierze potrzebują jedzenia,

wszystkim trzeba płacić. Gdzież indziej miałby się udać Filip po pieniądze?

przecież Wielki Król rządzi ponad setką narodów. Wszystkie są bogate.

– I tu masz swoją odpowiedź – zauważył czarodziej. – Sto narodów, każdy posiada armię. Wielki Król mógłby skrzyknąć przeciwko wam milion ludzi.

– Wiem – odparł ze znużeniem Parmenion.

Arystoteles wstał i wyciągnął rękę, by pomóc się podnieść strategosowi

Spartanin poczuł dotkliwy ból w kolanie, prostując nogę.

– Chyba powinienem się poruszać tylko konno – mruknął).

– Chodź, wracajmy do domu. Napijemy się na pożegnanie.

Długo w noc siedzieli i rozmawiali w małym andronitisie na tyłach szkoły

Piecyk z węglami płonął pośrodku pomieszczenia, szereg latarni migotał na

ścianach. W pokoju było ciepło i nocny wiatr trzaskał okiennicami jedyne-

go okna.

– Jesteś zadowolony? – spytał nagle filozof. Wódz uśmiechnął się, ale nie odpowiedział. – Żałujesz, że nie zostałeś w Achai?

– Oczywiście, że żałuję. Ale głupotą jest rozpamiętywanie popełnionych

w przeszłości błędów.

Magus skinął głową.

– Jesteś mądry. Jak się miewa Filotas?

Parmenionowi poczerwieniała twarz z irytacji.

– Jak zwykle. Rzadko ostatnio rozmawiamy. Stał się potwornie arogancki, choć równocześnie płaszczy się przed Aleksandrem niczym

zwyczajny

niewolnik. Staram się na niego nie złościć. Wiem, że życie syna wodza jest

niełatwe. Chłopiec czuje potrzebę uznania. Chce być lepszy niż ojciec.

– Ma wielkie ambicje – stwierdził czarodziej cicho.
– Matka od urodzenia poi go rojeniami o sławie. Powinienem być temu przeszkodzić już dawno temu.
– Jego ambicja może cię pewnego dnia zgubić – ostrzegł Parmeniona Arystoteles. – Chłopak marzy, że zostanie królem.
– Mrzonki. Zresztą nie ma ani dość rozumu, ani siły.
– Wiem. Uczyłem go przez trzynaście lat. A jednak wyrasta na całkiem dobrego wodza. Może się wyróżni.
– Nieźle sobie radził w kampanii trybalskiej, ale chwałę za zwycięstwo i tak przypisano Aleksandrowi. Pilotasowi zapewne było trudno to znieść.
– Nie jemu jednemu!
Strategos potrząsnął głową.
– Nie wierz we wszystko, co słyszysz, czarodzieju. Filip nie jest zazdrosny o syna. Kocha go i jest dumny z jego dokonań. Tak samo jak ja.
– Podobno nowa wybranka macedońskiego władcy jest w ciąży i urodzi mu syna. Aleksander nie przyjmie tego łatwo.
– Dlaczego? – odparował wódz. – Ma wszak osiemnaście lat i jest dziedzicem tronu. Nic tego nie zmieni.
– Och, daj spokój, przyjacielu, niech cię nie oślepią przywiązanie. Rozważ dobrze. Filip żeni się z Kleopatram, wysoko urodzoną Macedonką. Wszystkie jego poprzednie żony były cudzoziemkami. Kleopatra ma poparcie Altagosa. Nie sądzisz, że wielu macedońskich szlachciców uzna to dziecko za prawowitego następcę? Tyś sam mieszanej krwi. Pomyśl. Matka Aleksandra to Epirka, więc on również jest mieszzańcem.
– Nie chcę o tym nawet słyszeć! – warknął Parmenion.
Arystoteles westchnął i położył się na tapczanie.
– W porządku, zatem nie rozmawiajmy o tym. Skończmy wino i pożegnajmy się.
Tuż przed świtem magus, ubrany w długą podróżną tunikę i ciężki płaszcz, wszedł bezszelestnie do pokoju, w którym spał Spartanin. Strategos był pogrążony w głębokim śnie. Czarodziej podszedł w ciemnościach do jego Józka, wyjął z woreczka na biodrze mały złoty kamień i musnął nim prawe kolano przyjaciela. Wódz poruszył się i jęknął cicho, lecz się nie zbudził. Moc kamienia przedostała się do żył śpiącego mężczyzny i Parmenion nieco odmłodniał – stalowosiwe włosy lekko mu pociemniały, głębokie zmarszczki na twarzy spłycały się.
– Jeszcze jeden dar, mój drogi – szepnął Arystoteles. – Nie ostatni jednak. Pewnego dnia wrócę.
Wycofał się do drzwi, wyszedł z domu i udał się do strumienia na podgórzu. Tam szybko odnalazł płytką jaskinię, częściowo ukrytą wśród gęstych krzewów. Przystanął na chwilę, by rozkoszować się pięknym blaskiem porannego słońca na tle zielonego krajobrazu.
„Dlaczego właściwie odchodzę akurat teraz?” – po raz tysięczny zadawał sobie to samo pytanie i wciąż nie znajdował na nie odpowiedzi, ale tym razem zjawiała się w jego umyśle. Była brutalna i gorzka. Nadchodziły czasy krwi i Bóg Mroku rósł w siłę. Magus niemal fizycznie czuł obecność Ducha wiszącego nad ładem niczym niewidoczna mgła, wirującego w sercach

ludzi,
wpływającego w ich umysły, wsączającego im jad w uszy.
Czy Parmenion sądził, że naszyjnik na długo zdoła ochronić chłopca?
Był
to wszak tylko metal, wzmocniony potęgą kamienia Sipstrassi. W każdej
chwili jego zbawcza siła mogła zostać unieszkodliwiona, wystarczyło
zederżać
go z szyi jednym szarpnięciem. A wtedy?
Wtedy powróciłby Bóg Mroku!
Powróci, na pewno powróci. Prędzej czy później. Nic go nie
powstrzyma.
„Uciekam zatem” – zdał sobie sprawę. Tak, unikał ostatecznej bitwy,
która kiedyś nieuchronnie nadejdzie.
– Chcę po prostu żyć – oświadczył głośno. – Wykonałem swoją część
roboty. Lepiej być żywym psem niż martwym lwem. – Nie był jednakże
Przekonany.
Rzucił ostatnie spojrzenie na macedońską ziemię i wkroczył do
jaskini.
I nikt w całej Grecji nigdy więcej go już nie ujrzał.
Pella, lato 337 roku p.n.e.
Aleksander siedział sztywno wyprostowany. Od czasu do czasu muskał
wargami puchar z winem, lecz niewiele pił. Głównie słuchał towarzyszy
dyskutujących nad przyszłą perską kampanią. Jak zawsze najczęściej do
po-
wiedzenia miał Filotas. Księcia ciągle dziwiło, że syn może tak
bardzo
przypominać ojca z wyglądu, a równocześnie odziedziczyć niewiele
spośród
jego talentów. Filotas był wysoki i smukły, dobrze biegał i całkiem
meżle
sprawował się jako oficer konnicy, niestety subtelności strategii
niemal cał-
kownie mu umykały. A jednak – jak wielu mężczyzn o ograniczonej
inteligencji – po fakcie zawsze potrafił wskazać, w którym momencie
popelniono pomyłkę.
– Na przykład pod Cheroneją – wyjaśniał pozostałym syn Parmeniona
– mój ojciec nigdy nie powinien rozciągnąć tak szeroko lewej flanki.
Gdyby
nie szarża Aleksandra, Filip by zginął.
Książę uśmiechnął się i nic nie powiedział. Nie przeszkadzało mu, że
towarzysze uważali go za młodego boga wojny, jednak prawda nie była
bynajmniej taka prosta.
– Każdy z nas będzie królem – oznajmił Ptolemeusz. – Będziemy mieć
złote trony i po tysiąc konkubin.
– Nie wiedziałabyś, co z nimi robić – mruknął Nearchos i zachichotał
Aleksander wraz z innymi roześmiał się z zażenowania Ptolemeusza. Był
on
najmłodszym z jego kompanów i jego wiecznie dobry humor stał się już
prawie legendą.
– Krótka byłaby radość z rozwiązania tej zagadki – rzucił Ptolemeusz.
szczerząc zęby w uśmiechu.
– Jeśli wszyscy będziecie królami – wtrącił książę – co pozostanie dw
mnie?
– Ty naturalnie otrzymasz tytuł króla nad królami – odrzekł Ptoleme-
usz. – Będziesz rządził światem, a my staniemy się twoimi satrapami.
. – I pozabijamy wszystkich twoich wrogów – dodał Filotas.
– Interesująca myśl. Czym się jednak zajmiecie, kiedy ich zabraknie?
– Wielki człowiek zawsze ma wrogów – stwierdził autorytatywnie
ptolemeusz. – W przeciwnym razie, po co człowiek chciałby być wielki?
Byłoby nudno.
– Jak rozumiem – zaśmiał się Nearchos – już teraz sobie tworzysz listę
nieprzyjaciół. Tak na zapas.
– Zgadza się. Zacząłem od ciebie, nisko urodzony durniu!
Nearchos roześmiał się głośno i dźwięcznie. Jego rechot był

zaraźliwy.

– Ode mnie? Czy to aby mądre posunięcie? Nie chcesz zatem, abym nadal mówił dobrze o tobie mojej siostrze?

– Celną riposta! – zawołał Ptolemeusz, pocierając brodę. – Masz rację. Pora nie jest odpowiednia, bym robił sobie z ciebie wroga. Zatem na pierwszy

ogień pójdzie Filotas. On stanie się moim pierwszym wrogiem.

– Dość tego gadania po próżnicy – uciał Aleksander. – Wszyscy jesteście pijani. Idźcie do domu! Zamierzam o świcie pojeździć konno. Słyszałem, że I wica atakuje bydło i stada kóz w pobliżu małej wioski na północ

od miasta. Czeka mnie chyba niezgorsze polowanie.

– Ukatrupię tę bestię gołymi rękoma – mruknął Nearchos. Wstał i napiął mięśnie. Podobnie jak jego ojciec, Teoparlis, miał nieprzeciętnie szerokie

ramiona i ogromną beczułkowatą pierś.

– Jeśli ci się nie uda, mógłbyś spróbować zabić ją oddechem – zauważył żartobliwie Ptolemeusz. – Wreszcie na coś by się przydały te wszystkie

cebule, które nieustannie pochłaniasz.

Nearchos skoczył do szczupłego młodzika z pięściami, lecz potknął się i upadł na mały stolik zastawiony słodyczami. Wstał chwiejnie na nogi i wypadł za przyjaciela do królewskiego ogrodu. Tymczasem Filotas odwró-

cił się do Aleksandra i skłonił.

– Do jutra, panie – pożegnał się cicho.

– Nie powinienesz nazywać mnie panem. Nie jestem królem – odparł łagodnie książę.

– Jeszcze nie – rzucił najstarszy syn Parmeniona. Skłonił się jeszcze raz, po czym wielkimi krokami wyszedł z pokoju.

W końcu z Aleksandrem pozostał jedynie Krateros. Starszy od pozostałych, prawie dwudziestoletni, był zwykle milczącym introwertykiem, lecz

wyraźnie lubi! suto zakrapiane biesiady z towarzyszami.

– Coś cię kłopotczy? – spytał książę.

– Kostkę masz nadal spuchniętą po upadku i paskudnie kulejesz. Czy to dobry moment, by polować na lwy?

Aleksander klepnął mężczyznę w ramię.

– Z kostką będzie lepiej do rana i starannie ją owinę. Ale, ale...

Zdaje

mi się, że nie moje zwichnięcie cię martwi.

Krateros wzruszył ramionami i uśmiechnął się.

– Rzeczywiście jestem nieco niespokojny, mój panie. Na dworze sporo się mówi o ślubie króla i dziecku, które nosi Kleopatra.

Uśmiech błyskawicznie zniknął z twarzy księcia.

– Nie powinienesz się tym gnębić. Nie dbam o ten ślub. Mój ojciec ma już sześć żon.

– Nie takich jak ta.

– Skończ temat, Kraterosie – ostrzegł książę. – O pewnych sprawach nie należy rozmawiać.

– Skoro taka twoja wola, posłucham cię jak zawsze. Ale wiedz jedno: jeśli tylko będziesz mnie potrzebował, jestem na każde tve skinienie.

– Wszyscy królewscy paziowie przysięgają wierność królowi. Królem zaś jest Filip – zauważył ostro Aleksander.

– Możliwie. Ja wszakże służę tobie, mój panie.

Książę podszedł blisko do przyjaciela i popatrzył w jego głęboko osadzo-

ne, ciemne oczy.

– Takie uwagi nawet na książęta mogą sprowadzić śmierć. Rozumiesz mnie? Nigdy nie poprowadzę rebelii przeciw Filipowi. Nigdy! Gdybym chciał

jego zguby, pozwoliłbym, by go zabili pod Cheroneją, kiedy padł pod nim

wierzchowiec. Nic więcej nie powiem. Tak czy owak, nie ma się czego

obawiać, Kraterosie. Nie ma czego!
Towarzysz skłonił się i odszedł. Zamknął za sobą drzwi. Aleksander powędrował z powrotem na środek pokoju, podniósł puchar z winem i przez chwilę saczył jego zawartość. Książę właściwie nie lubił alkoholu ani jego skutków, toteż postanowił, że ten puchar będzie ostatni na dziś.
– Powinieneś go posłuchać, mój synu – odezwała się Olimpias, wchodząc do pomieszczenia z zacienionego zewnętrznego korytarza.
– Zazwyczaj uprzejmie jest oznajmiać swoją obecność.
– Jesteś na mnie zły?
Potrzęsnał głową i uśmiechnął się. Matka zbliżyła się i pocałowała go w policzek. Jej rudozłote włosy przetykane były obecnie srebrem, lecz oblicze miała ciągle młode, a ciało – smukłe.
– Dlaczego wszyscy wietrzą w tej sprawie niebezpieczeństwo? – spytał Aleksander. – To przecież tylko kolejne wesele.
– Popierają Attalos... a Attalos cię nienawidzi.
– Uratował mi kiedyś życie, ryzykując własne. Nigdy tego nie zapomnę – To były dawne czasy! – odparła. Oczy jej zapłonęły. – Teraz podjudza króla przeciwko tobie, zatruwa jego umysł. Czyżbyś tego nie widział?
– Może i widzę, lecz nie zamierzam się mieszać w plany króla. Filip zbudował swoje królestwo od zera. Zewsząd otoczony przez wrogów, bez niczyjej pomocy uczynił Macedonię mocarstwem, którego wszyscy się obawiają. A cóż takiego ja dokonałem? Zabrałem armię na północ i podbiłem plemię dzikusów. Czy tak skromne zwycięstwo można w ogóle porównywać zczynami władcy, który podbił Trację, Ilirię, Chalkidike, Tesalię, Pajonię oraz zmiażdżył połączone armie Aten i Teb? – Roześmiał się i delikatnie chwycił matkę za ramiona. – Rozumiesz, co mówię? Mój ojciec nic mi nie jest dłużny. Jeśli postanowi uczynić swego nowego syna spadkobiercą, jakim prawem miałbym mu się przeciwstawić?
– Pytasz o prawo? – zagrzmiała, odsuwając się od niego. – Jesteś jego dziedzicem, jego pierworodnym synem. Twoim przeznaczeniem jest rządzić. I pomyśl o jeszcze jednym drobiazgu, Aleksandrze: jeśli zostaniesz wydziedziczony, znajdą się ludzie, którzy postanowią cię zgładzić. Nie będziesz już wówczas walczył o koronę, ale o własne życie.
– Niemożliwe – odparł. – Filip nigdy nie rozkaże mnie zabić. Tak jak ja nigdy nie poparłbym spisku przeciwko niemu. Zresztą, całe to gadanie jest niebezpieczne. Słowa padają jak iskry na suchą trawę. Wolałbym ich nie słyszeć.
– Jesteś zbyt ufny – powiedziała. – Niebawem do Pełli przyjedzie pewna kobieta. Może ona cię przekona.
– Któż to taki?
– Pewna pani z Samotrake. Na imię ma Aida i jest wieszczką o wielkiej mocy. Opowie ci o przeznaczonym ci losie. Książę nie odezwał się, za to odwrócił się od matki i ruszył zdecydowanym krokiem ku drzwiom.
– Zobaczysz się z nią? – zawołała za nim Olimpias.
– Nie, nie zobaczę się – odburknał gniewnym głosem. – Czy żadne z was nie ma dość przenikliwości, by przewidzieć, do czego to wszystko prowadzi? Kiedy Filotas zwraca się do mnie per „panie”, kiedy

Krateros

mówi, że stawia mnie ponad moim ojcem, kiedy ty pragniesz mnie zwrócić przeciwko Filipowi... sprowadzacie tylko dodatkowe niebezpieczeństwo na

mnie i na siebie. Trzymaj tę Aidę z dala ode mnie.

– Ależ my to wszystko robimy właśnie dla twego dobra... Ponieważ się o ciebie troszczymy! – krzyknęła kobieta. Młodzieniec bez słowa wyszedł

do oświetlonego księżycem ogrodu i oddalił się.

Trawa przebierała karmazynowy odcień. Krew ściekała na spękana, jałowawą ziemią. Niebo miało kolor popiołu, było szare i jakby pozbawione życia.

w powietrzu nie latał ani jeden ptak, najlżejszy nawet powiew wiatru nie

niepokoił równiny. Filip klęknął i dotknął ręką karmazynowych łądyżek ziel-

ską, brudząc sobie skórą. Wstał z drżeniem i po raz pierwszy zauważył leżące

wokół niego ciała. Setki tysiący zwłok. Trawa wyrastała przy nich, z nich, przez

nie. Wstrząsnął nim dreszcz zgrozy. Jednemu ze spoczywających na plecach

mężczyzn zielsko wyrastało nawet spod powiek.

– Cóż to za przekłate miejsce? – krzyknął król. Dźwięk zamarł natychmiast po wydobyciu się z gardła.

– Nie czujesz się tu dobrze ?

Trzymając miecz w dłoni, obrócił się. Przed nim, odziany w czarno-złota

zbroja, stał Filippos, król-demon.

– Przecież ty nie żyjesz! – wrzasnął macedoński monarcha, cofając się kilka kroków.

– Tak – zgodził się z nim władca Makedonu.

– Odejdź ode mnie!

– Czy w taki sposób traktuje się brata? – spytał Filippos, atakując bliźniaka. Ich miecze uderzyły o siebie z brzękiem. Jednym cięciem skaleczył

przeciwnika. Z otwartej na szyi rany chlusnęła krew. Filippos rzucił się na

prawo, starając się upaść twarzą do ziemi. Powoli zdołał się podnieść na

kolana, plecami do wroga. Filip czekał. Król-demon wstał i powoli skierował

twarz w jego stronę. Filip krzyknął. Zniknęło brodate oblicze,

bliźniacza kopia

jego własnego. Teraz Filippos miał złote włosy, oczy koloru morskiej wody

i twarz porażającej piękności.

– Aleksander?

– Tak, ojczu, to ja, Aleksander – odparł król-demon, uśmiechając się i podchodząc z wyciągniętym mieczem.

– Nie rób niczego, co mnie zmusi do zabicia cię! Proszę!

– Nie jesteś w stanie mnie zabić, ojczu. Nie! Jednakże ja z łatwością zabiję ciebie.

Ciemne rogi wyrosły młodzieńcowi ze skroni i skrzyły się nad uszami. Jego

oczy zmieniły kolor z błękitno-zielonych na żółte, źrenice zwęziły się. Filip

chwycił miecz i wyczekał, aż demon ruszy do ataku. Wtedy spróbował szyb-

kiego pchnięcia w gardło, ale jego broń była ciężka, a ruchy powolne. Obserwował z bezradnym przerażeniem, jak miecz Aleksandra odparowuje jego własny. Później broń podniosła się – błyszcząca i ostra...

Książę trafił

ojca w gardło, pchnął miecz ku górze i wkuł czubek ostrza w mózg-
Filip
poczuł w głowie coś na kształt ognistego języka...
Krzyknął i obudził się zły potem. Kobieta u jego boku poruszyła
się.
lecz nadal pozostała pogrążona we śnie, nawet kiedy król usiadł. W
głowie
mu huczało, w członkach czuł niemoc, jak po długiej chorobie. Stara
rana na
nodze rwała boleśnie, jednak zdołał zejść z łóżka i kulejąc,
przeszedł sypialni?
do najbliższego tapczanu. Dzban z winem na stoliku był pusty. Filip
przeklął
i osunął się na kanapę, opierając dzban na udach.
Stale mu się śnił ten sam sen. I Filip nigdy nie mógł w nim pokonać
Aleksandra.
„Powiniem zabić go zaraz po narodzinach” – pomyślał. Zimny wiatr
powiał przez pokój, król zadrżał i wrócił do łóżka. Leżąca obok niego
Kleopatra wciąż spała. Czule pogładził jej włosy. Była taka piękna i
taka
młoda. Przesunął ręką w dół i położył dłoń na jej brzuchu, ciągle
płaskim
i sprężystym mimo trzymiesięcznej ciąży. Nosila w łonie jego syna.
Nie był
opętany przez demona ani zrodzony z ciemności i czarów, lecz jego
własny
i poczęty jak najbardziej naturalnie. Gdy chłopiec dorośnie, będzie
kochał
swego ojca, nie zaś planował jego morderstwo.
„Czy faktycznie jesteś do tego zdolny, Aleksandrze? Kochałem cię.
Zary-
zykowałbym wszystko dla ciebie”.
Na początku Filip ignorował plotki, które usłużnie powtarzał mu
wiecz-
nie przyprochlebiający się Attalos – opowieści o towarzyszach
Aleksandra,
o krytycznych uwagach wymierzonych w króla i jego wodzów. Jednak wraz
z upływem miesięcy w macedońskim władcy rosło przekonanie, że jego
syn
nie spocznie, póki sam nie zasiądzie na tronie.
Kampania trybalska jawnie to pokazała. „Czy on mnie uważa za głupca?”
Och, tak, skruszył siły wroga i zmusił go do złożenia hołdu i
płacenia trybutu.
W czym wszakże imieniu go zażądał? I dla kogo? Nie dla Filipa, o
nie. I nie
dla Macedonii. Nie, w swoim własnym imieniu, w imieniu Aleksandra.
Arogancki szczeniak! Rzeczywiście, pobił Trybalów, lecz tylko
dlatego,
że dowodził armią Filipa. Jego armią!
Ale czy owa armia ciągle była jego? Przypomniał sobie, jak radośnie
żołnierze wiwatowali na cześć złotowłosego księcia pod Cheroneją.
Trium-
falnie obnosili go na ramionach po obozie. A po trybalskim
zwycięstwie, kiedy
młodzieniec nagroził każdego wojownika dziesięcioma złotymi
monetami,
salutowali mu niczym królowi, uderzając mieczami w tarcze.
Czy ta armia nadal była Filipa?
Oczywiście, że tak, wszak Filip miał Parmeniona. Tak, tak, Spartanin
zawsze pozostanie wobec niego lojalny.
Macedoński władca uśmiechnął się i położył na plecach, układając
głowę
na miękkiej, pokrytej atlasem poduszce. „Lew Macedonii jest ze mną” –
pomyślał i ponownie zapadł w sen.

Trawa przybierała karmazynowy odcień. Krew ściekała na spękaną jalo-
wą ziemią. Niebo miało kolor popiołu, było szare i jakby pozbawione
życia.
w Powietrzu nie latał ani jeden ptak, najlżejszy nawet powiew wiatru
nie
niepokoił równiny...
Wanna była przeznaczona dla Filipa. Do jej budowy wykorzystano
jedynie
najprzedniejszy marmur. Sześciu niewolników przez ponad godzinę
napełnia
łoją podgrzaną, perfumowaną wodą. Mieścił się w niej tuzin ludzi,
siadali na
podwodnych siedzeniach albo pływali na środku. Król zamówił ją po
drugiej
kampanii trackiej. Złamał sobie wówczas prawą nogę i kości kiepsko
się
zrosły. Od tamtej pory kończyła była zdeformowana i stale go bolała.
Tylko
gdy ją zanurzał w ciepłej wodzie, przestawała pulsować, toteż Filip
zaczął
odbywać narady w wannie. Jego oficerowie siadywali obok niego.
Dzisiaj w kąpieli towarzyszył mu jedynie Parmenion. Siedzieli obok
siebie, a niewolnicy dolewali wrzątku, by utrzymać wysoką
temperaturę.
Szkarłatne kwiaty unosiły się na powierzchni. Ich silny zapach
sprawił, że
wielodniowe napięcie opuściło strategosa.
– Zatem odszedł – zagaił król. – Będę za nim tęsknić.
– Przesyła ci, panie, wyrazy szacunku.
Filip zachichotał.
– Pamiętasz, gdy groził, że zamieni mnie w jaszczurkę?
– Tak. O ile mnie pamięć nie myli, przyjąłeś tę pogrózkę bez cienia
strachu.
– Stare, dobre czasy, Parmenionie. Dni mocy. Tęsknię za nimi.
Spartanin zerknął na władcę. Filip zaczynał wyglądać na swój wiek:
czarne
włosy i brodę upstrzyło mu srebro, skóra pod oczyma obwisła. Jednakże
jego
uśmiech był ciągle zaraźliwy, a energia promieniowała z niego tak
samo jak
za młodu.
– Czy nawiązaliśmy kontakt z azjatyckimi miastami? – spytał Filip
– Tak. Motak regularnie otrzymuje raporty. Przyjmą nas z otwartymi
ramionami we wszystkich greckich miastach Azji Mniejszej, jednak
trzeba
będzie zorganizować zaopatrzenie. Trzydzieści tysięcy ludzi
potrzebuje mnó-
stwo jedzenia.
– Dostarczy je nam ateńska flota – powiedział Filip, machnąwszy
niedbale ręką. – Co słyszałeś o nowym perskim królu?
– Jest dyplomata i wojownikiem. Poznałem go wiele lat temu. Właśnie
przez niego straciłem pracę i przyjechałem do Macedonii. To człowiek aro-
gancki, lecz nie brak mu inteligencji. Nie wyjedzie osobiście
naprzeciw nam
z całą armią, raczej na pierwszy ogień wyśle swoich satrapów i
równocześnie
spróbuje wzniecić przeciw nam rebelię w Grecji. Już nawiązał kontakty
ze
Spartą i Tebami, a jego agenci są także w Atenach i Koryncie.
Filip pochylił się. Opryskał sobie twarz i brodę perfumowaną wodą.
– Tym razem nic im nie pomoże. Nie istnieje armia zdolna nas
powstrzy-
nąć, nawet w Sparcie. Musieliby się zjednoczyć...

– Tak, pamiętaj jednak panie, że atak na Persję to poważny ruch –
prze"
rwał mu strategos. – Mam nadzieję, że nie traktujesz tej sprawy zbyt
lekk°-
– Możesz być o to spokojny, Parmenionie. Marzę o wyprawie na wschód
od prawie dwudziestu lat i zawsze byłem świadom wiążących się z nią
niebezpieczeństw. Prawie pół wieku temu Agesilaos ze Sparty najechał
Persję.
I cóż się wtedy zdarzyło? Odniósł militarny sukces, ale został
wezwany do
domu, gdyż stanęły przeciwko niemu Teby. Na tym polega właśnie perska
strategia. Ich skarbcze wręcz nie mają dna, a nasza zachłanność nie
zna granic,
dzięki czemu Persowie mogą za pomocą złota bez końca napuszczać na
siebie
nawzajem greckie polis. Dlatego właśnie czekałem tak długo. Chciałem
mieć
pewność, że gdy opuszczę Macedonię i pomaszzeruję na wschód, nikt nie
zaatakuje mojego kraju. Obecnie wpływy perskie w Grecji są stosunkowo
niewielkie, nadszedł zatem czas na ostateczną rozprawę z naszym
odwiecz-
nym wrogiem.
•– Jakie rozkazy wydasz Aleksandrowi? – spytał Spartanin.
Twarz Filipa stężała.
– Żadnych. Mój syn zostanie w kraju.
– Aby rządzić podczas twojej nieobecności?
– Nie. Regentem mianuję Antypatra.
– Nie rozumiem cię, panie. Przecież Aleksander udowodnił już swój
wojskowy talent.
– Nie wątpię, że go posiada, ale martwi mnie co innego... Chodzi o
jego
lojalność. Mój syn stale knuje przeciwko mnie. Niedługo pewnie
spróbuje mnie
obalić, do czego nieustannie namawia go matka. Dziwka... Zdradliwa
epirska
suka. Najwyraźniej uważają mnie za głupca, a może za ślepego na dwoje
oczu.
Na szczęście ciągle mam przyjaciół, którzy mnie o wszystkim
informują.
– Nigdy nie dostrzegłem najmniejszych oznak zdrady – stwierdził
z przekonaniem wódz.
– Doprawdy? A powiedziałabyś mi, gdybyś jakieś dostrzegł?
– Jak możesz w to wątpić?!

Filip wyszedł z wanny i stanął na marmurowej podłodze. Dwóch
służących
przyniosło mu ogrzane ręczniki. Władca zawiązał jeden ręcznik wokół
talii,
drugiego użył do wytarcia włosów i brody. Strategos podążył za nim.
– Co się z tobą dzieje, Filipie? Wątpisz w oddanie swego syna? Dwa
razy uratował ci życie i nigdy nie słyszałem, by mówił cokolwiek
przeciwko
tobie. Jakie bzdury wmawia ci Attalos? Bo to na pewno on...
– Sądziś, że nie mam innych szpiegów poza Attalosem? – odrzekł król.
– Mam wielu. Wiem, że Aleksander wydał w ubiegłym miesiącu bankiet
dla
swoich przyjaciół, podczas którego wygłosił mowę. Wiesz, jakie
pytanie
Publicznie zadał? „Co mój ojciec zostawił mi jeszcze do podbiccia?”
Napraw-
dę, on życzy mi śmierci!
– Wszystko zależy od interpretacji tego zdania. Ja twierdzę, że
Aleksan-
der jest dumny z twoich dokonań.
– A twój własny syn, Filotas? Stale rozprawia o twoich... a zatem

i moich... pomyłkach podczas oblężenia Perintos i Bizancjum. Użył słowa „głupota”. Nazwał mnie głupcem!

– Głupi ludzie chętnie określają tym mianem innych. Mój syn nie jest zbyt bystry, panie, jednak Aleksander zawsze go strofuje. A co do oblężenia, no cóż, rzeczywiście o mało nie okryliśmy się niesławą. Nie wzięliśmy szturmem żadnego z tych miast. Może faktycznie zachowaliśmy się... hm... niezbyt inteligentnie.

– Dlaczego zawsze wstawiasz się za Aleksandrem?! – ryknął Filip. – Czyż nie mam prawa oczekiwać od ciebie lojalności?

– Masz wszelkie prawo – odparł spokojnie Parmenion. – I jeśli kiedykolwiek zauważę choćby cień jawnej zdrady, natychmiast cię powiadomię. Co więcej, zabiję każdego człowieka... każdego, który publicznie zszarga twoje imię.

Król wziął potężny wdech i powoli wypuścił powietrze. Potem uśmiechnął się i odprężył.

– Wiem. Na tobie zawsze mogę polegać, ale jesteś zbyt ufny, Spartanie. Wciąż widzisz w Aleksandrze złotowłose dziecko, a on wyrósł już na mężczyznę i ma własne ambicje. No dobrze, na dziś dość o tym. Co sądzisz o mojej nowej narzeczonej?

– Jest bardzo piękna, panie.

– Tak. I ma słodki charakter. Wiesz, sądziłem kiedyś, że kocham Olimpias, teraz wszakże jestem przekonany, że mnie zaczarowano. Dostrzegam obecnie jej prawdziwą naturę... To niegodziwa wiedźma o paskudnym charakterze i żmijowatym języku. Kleopatra zaś jest cudowna, ma cechy, które uwielbiam w kobiecie. Da mi prawdziwe szczęście. I wkrótce będę miał kolejnego syna, tym razem zrodzonego z miłości.

– Cieszę się, panie – powiedział strategos, starając się ukryć w głosie smutek.

Weselne uroczystości zaplanowano na osiem dni i nikt w Pełli nie mógł sobie przypomnieć tak wspaniałego święta. Każdemu domostwu przydzielono beczkę darmowego wina. Wszyscy mężczyźni powyżej piętnastego roku życia otrzymali specjalnie z tej okazji wybitą złotą monetę. Na awersie zamieszczono wizerunek Filipa, na rewersie – portret Kleopatry. Moneta miała wartość równą półrocznej pensji najbiedniejszych służących i robotników rolnych. Macedończycy świętowali bez opamiętania. To były naprawdę niezapomniane chwile.

Sportowe zawody odbywały się przez dwanaście dni, rozmachem i doborową obsadą mogły rywalizować z tymi największymi w Olimpiii. Pella była okropnie zatłoczona przyjezdnymi z okolicy obywatelami oraz zaproszonymi gośćmi, którzy zjechali na ślub z całego kraju. W zawodach brali udział wszyscy mistrzowie Grecji i król osobiście zakładał każdemu zwycięzcy wieniec z liści laurowych wykonany z czystego złota. Macedończycy wygrali tylko

w dwóch dyscyplinach: Filotas – w biegu średniodystansowym, a Aleksander na Bucefale pokonał jeźdźców z Tracji, Aten, Sparty, Tesalii i Koryntu.

Dziesięciotysięczny tłum ryknął gromko, kiedy młody książę przekroczył

linię mety na gigantycznym czarnym wierzchowcu. Jego najbliższy konkurent

pozostał mniej więcej dwadzieścia długości za nim. Aleksander przecwałował

na Bucefale w rundzie honorowej dookoła stadionu, przyjmując wiwaty widzów, aż w końcu zatrzymał się przed królewskim podium, na którym siedział Filip wraz z Kleopatrami, otoczony wodzami: Parmenionem, Antypatrem,

Attalosem i Klejtosem.

– Wspaniałe zwycięstwo – oświadczył Klejtos, patrząc z podziwem na młodziutkiego jeźdźcę.

– Na takim koniu każdy by zwyciężył – mruknął Filip i wstał. Podniósł złotą koronę laurową ze stojącego obok niego stolika i wręczył ją Parmenionowi.

– Idź – nakazał – przystrój zwycięzcę nagrodą.

Tłum zamilkł, gdy wódz podszedł do księcia. Wszyscy wiedzieli, że król

powinien osobiście udekorować triumfatora i wśród ludzi rozległ się gniewny

pomruk. Aleksander przełożył nogę i zgrabnie zeskoczył z grzbietu Bucefala,

po czym skłonił głowę, by przyjąć laurowy wieniec. Kiedy złote liście znalazły się na jego głowie, posłał zebranym szeroki uśmiech, machając przy

tym ręką. Otrzymał za to kolejną owację.

Nadal się uśmiechając, szepnął półgębkiem do strategosa:

– Co się, u licha, stało mojemu ojcu? Zrobiłem coś, co mu się nie spodobało?

– Porozmawiamy o tym później – odparł Parmenion.

– Przyjdę wieczorem do twojego domu.

– Nie, nie, to byłoby niemądre. Motak posiada małą chatkę w zachodniej

dzielnicy, nieopodal świątyni uzdrowień. Bądź na jej tyłach o północy. Tam

się spotkamy. Upewnij się, że nikt cię nie śledzi.

Uśmiechnięty Aleksander chwycił grzywę Bucefala i wskoczył na grzbiet.

Wódz odwrócił się ku podium i powoli wspinał się po schodach. Po drodze

zauważył, że Attalos bacznie obserwuje księcia zmierzającego ku wyjazdowej bramie.

Minione lata nie były dla fechtmistrza łaskawe. Włosy miał już białe i rzed-

nące, twarz wynędzniała, niemal jak u kościotrupa, z głębokimi zmarszczkami

rzeźbiącymi mu policzki, skórę na szyi obwisłą i pomarszczoną. A przecież

uczył sobie zaledwie sześćdziesiąt lat. Attalos zauważył, że strategos mu się

Przygląda i się uśmiechnął. Spartanin w odpowiedzi skinął głową, potem zajął

miejsce u boku króla. Rozpoczął się turniej bokserski.

Parmenion odczekał jeszcze godzinę, po czym poprosił króla o to, by mógł

się oddalić. Zszedł z podium i ruszył do ogromnych namiotów ustawionych

przed stadionem, gdzie serwowano jedzenie i napitki. Posiłki były darmowe,

więc wielu miejskich biedaków gromadziło się przed straganami i...
upijało
na umór. Wódz powoli przebiegał się przez tłuszcę. Zmierzał ku
oficerskim
namiotom.
Przed jednym z nich ujrzał Filotasa. Syn rozmawiał z młodym Ptolemeu-
szem i posępnym Kraterosem, lecz gdy go spostrzegł, natychmiast do
niego
podszedł.
- Dobrze pobiegłem - zagaił. - Widziałeś mnie?
- Jasne. Miałeś rewelacyjny czas.
- Czy jestem taki szybki, jak ty byłeś?
- Powiedziałbym, że nawet szybszy - przyznał Parmenion. - Nigdy
nie miałem takiego wspaniałego finiszu. Przez moment sądziłem, że
Sparta-
nin cię pokona, jednakże na ostatnim wirażu pobiegłeś jak burza i
tyle cię
widział.
Przez moment Filotas wyglądał na zaskoczonego tym komplementem,
potem jego rysy złagodniały.
- Dziękuję ci, ojczy. Ja... och. Dziękuję ci. Przyłączysz się do nas?
Świętujemy zwycięstwo.
- Nie, nie, jestem zmęczony. Chyba wrócę do domu.
Rozczarowanie młodzieńca było szczere, prawie od razu zastąpiła je
ostrożna, cyniczna mina, którą strategos poznał już tak dobrze.
0- Tak, oczywiście - powiedział Filotas. - Powiniennem się zastanowić,
zanim spytałem, czy spędzisz ze mną czas. Trudno jest porzucić
zwyczaje, do
których nawykliśmy przez całe życie. - Z tymi słowy odwrócił się i
wrócił
do swoich towarzyszy.
Parmenion przeklął cicho i poszedł dalej. Powinien był zostać, tym
bar-
dziej, że odczuwał z tego powodu wyrzuty sumienia. Jego syn miał
rację:
strategos nigdy nie znalazł czasu ani dla niego, ani dla pozostałych
synów.. |
Z wyjątkiem jednego. Z wyjątkiem Aleksandra.
Na tyłach oficerskiego namiotu znajdował się wygon dla koni. Służący
przyproceedził wodzowi wierzchowca. Parmenion pojechał powoli przez
mia-
sto, do swego miejskiego domu. Nie spodziewał się Fedry aż do jutra,
czekało
go zatem przynajmniej kilka godzin stosunkowego spokoju.
Znalazł Motaka w małym gabinecie na tyłach domu. Stary Tebańczyk słu-
czał nad raportami z Azji. Na szerokim biurku leżały w nieładzie
papiery i
zwoje-
- Coś nowego? - spytał Spartanin, zdejmując odświętny hełm i kładąc
go ostrożnie na ławce obok siebie.
- Nowego? Wszystko jest nowe - odparł Motak. - A równocześnie
stare niczym jądra Zeusa. Zdrada, podwójni szpiegowie, kompromisy,
niecne
knowania. Nowe imiona, lecz stare jak świat występki. Muszę wszakże
ci po-
wiedzieć, że naprawdę uwielbiam dyplomację! - Podniósł jeden ze
zwojów
i się uśmiechnął. - Mam tutaj list od mężczyzny imieniem Dupias.
Zapewnia,
że jest gorliwym stronnikiem Filipa. Słyszał z pewnego źródła, że
zostaniemy
dobrze przyjęci w Tyrze, a armię perską pokonają „dzielni
Macedończycy”.
- Brzmi obiecująco - powiedział Parmenion.

– To prawda, tyle że mam też raport od innej osoby. Wynika z niego, że owego Dupiasa opłacają Persowie.

– To jeszcze lepiej. Możemy go użyć, by nakarmić Dariusza fałszywymi informacjami.

– Tak. Życie jest cudownie skomplikowane. Pamiętam dawne, nudne dni, kiedy liczyła się tylko siła oręża w męskiej dłoni i godna oraz sprawiedliwa sprawa, w której go używano...

– Nieprawda, niczego nie pamiętasz – odparł strategos. – Tylko ci się tak zdaje. Przeszłość zawsze postrzegamy wyłącznie w pogodnych barwach. Cienie szarości znikają. Zawsze tak było. Pojedź tylko do koszar gwardzistów i porozmawiaj z tymi poważnymi młodymi mężczyznami, a ogłuszą cię honorowymi banialukami o konieczności inwazji, jak również przechwałkami na temat macedońskiej sprawności władania mieczem. Ich oczy zalśnią tęsknie wyczekiwaną sławą. Jak to młodzi. Motak westchnął.

– Pewnie masz rację. Stale narzucam sobie spokój. A jak z tobą? Wódz wzruszył ramionami.

– Wszystko staje się jakieś takie cierpkie, mój drogi. Obawiam się, że Filip przygotowuje się emocjonalnie do zabicia Aleksandra.

– Co takiego?! Nie mogę w to uwierzyć!

– Powiedział mi wczoraj, że nie zamierza zabrać go ze sobą na wyprawę do Persji. Książę nie będzie też jego regentem w Macedonii. Jak inaczej zinterpretować jego słowa?

Stary Tebańczyk pogładził dłonią łysą czaszkę i podrapał się po ciemieniu.

– Filip rzeczywiście jest zbyt ostrożny, by zostawić potencjalnego wroga za plecami... Lecz zabić własnego syna?! Jesteś pewien?

– Tak.

– Co zrobisz?

– Nie mam pojęcia. Spotkam się dziś z Aleksandrem. Doradzę mu opuszczenie Pełli.

– Co się dzieje z twoim królem? – spytał z troską Tebańczyk. – Wszak chłopiec go kocha. Nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości. Wiesz, jak wielu szpiegów mnie informuje, nikt jednak nawet nie sugerował, że na książę chciałby zdradzić swego ojca.

– Na nieszczęście, stronnicy Aleksandra nie grzeszą ostrożnością – wtrącił Parmenion. – Widziałem raporty dotyczące komentarzy Filotasa Nearchosa, Ptolemeusza i Kassandra. Ci młodzieńcy naprawdę wielbią Aleksandra. Poza tym istnieje jeszcze sprawa Pauzanasza... Obrzydliwa sprawa

– Sam ściągnął na siebie tragedię – mruknął Motak. – Jest po prostu głupcem. Filip zawsze lubił oddanych mu bez reszty, zapatrzonych w niego jak w bóstwo młodzików, ale wszyscy mu się szybko nudzili. A ten chłopiec był zbyt przebojowy.

– Może to i prawda – przyznał strategos. – Jednak to wysoko urodzony Macedończyk i kara mu wymierzona była zbyt okrutna. Ktoś źle doradził. Obaj wiemy, kto. Tebańczyk przemilczał oczywistą sugestię. Jak mógł się spierać?

Pauza-
niasz przez jakiś czas cieszył się względami króla, niestety zrobił
sobie wroga
z Attalosa, drwiąc z niego publicznie i czyniąc go bohaterem
dowcipów.
Fechtmistrz poczekał, aż młodzieniec wypadnie z łask, a wtedy
rozkazał go
dotkliwie pobić i oddał na rozpusztę żołnierzom ze swojej straży
przybocznej.
Poniżenie było potworne, ponieważ młodego szlachcica – nagiego i
zwią-
zanego – pozostawiono do rana na rynkowym straganie. Incydent miał
liczne
reperkusje. Cały orszak młodych towarzyszy Aleksandra przyjaźnił się
z Pau-
zaniem i wszyscy uznali zgodnie, że potraktowano go
niesprawiedliwie.
Starsi szlachcice z dworu natomiast cieszyli się z jego poniżenia.
Mówili, że
ów głośny samochwała w samą porę otrzymał nauczkę. Wspominali o zba-
wiennej lekcji.
Powszechnie było wiadomo, że Pauzaniasz należał do najbliższych przy-
jaciół księcia. Wkrótce poniżony szlachcic poprosił Aleksandra, by
pomógł
mu ukarać Attalosa. Książę przekazał jego prośbę królowi na otwartej
rozpra-
wie sądowej, lecz Filip ją odrzucił, nazywając incydent „figlem”, o
którym
lepiej zapomnieć.
W następnych miesiącach niewiele o nim zapomniało, gdyż stało się
jasne,
że gwiazda fechtmistrza łśni coraz jaśniej. Mnóstwo dworzan
traktowało teraz
ostrożniej dawnego zabójcę i otwarcie zabiegało o jego towarzystwo.
– Okrutnie postąpił. Niewątpliwie... – stwierdził w końcu Motak. –
To jednak nie powinno cię martwić. Nasz fechtmistrz już się ciebie
nie boi.
Nie ma cię na liście jego aktualnych wrogów i tak powinno pozostać.
Może
i jesteś głównym wodzem Macedonii, Parmenionie, ale Attalos jest
teraz
silniejszy niż kiedykolwiek dotąd. Wrogość między wami może się
skończyć
dla ciebie śmiercią.
– Nie staniemy się wrogami – odparł strategos. – Chyba że Attalos
postanowi skrzywdzić Aleksandra.
– Jeśli to zrobi, będzie tylko wykonywał rozkaz króla – ostrzegł
Motak
szepem.
– Wiem – odparł Spartanin.
Świątynia w Azji Mniejszej
Ogrody świątyni były kompletnie zarośnięte. Większość róż już dawno
temu zwiędła. Zdusił je szerokolistny bluszcz lub zasłaniały im
słońce
zwisające gałęzie licznych drzew. Trawa rozrosła się w szczelinach
między
brukiem, wykrzywając ścieżki, utrudniając chodzenie po nich.
Fontanny milczały, woda stała w sadzawkach. Ale Derae nie dbała o
oto-
czenie. Już nie miała siły chodzić po ogrodach i rzadko opuszczała
pokój za
ołtarzem. Zostały jej tylko dwie służące. Obie uzdrowiła wiele lat
temu, zanim
jej moc osłabła.

Za świątynią nie stały już obszarpane namioty, wypełnione tłumem ludzi: chorych, chromych i kulawych. Nikt już nie potrzebował żetonów, by spotkać się z uzdrowicielką. Potrafiła jeszcze zasklepić płytkie rany, a pomniejsze infekcje nadal łatwo znikwały pod jej dotykiem. Nie umiała już przywrócić wzroku ślepcom ani usunąć raka z płuc czy trzewi umierających. Teraz sama cierpiała. Jej kończyny nękały artretyczne bóle, stawy puchły. Jeśli chodziła niezbyt szybko, wspierając się na dwóch laskach, mogła dotrzeć zaledwie do progu świątyni i usiąść na nim w popołudniowym słońcu. Aby wrócić do swego pokoju, potrzebowała już pomocy, szczególnie gdy zmierzch i zimny wieczorny wiatr wprawiał w odrętwienie jej kończyny. Przysiadła na marmurowej ławie, otoczona miękkimi poduszkami. Popołudniowe słońce grzało jej twarz. Przypomniła sobie dni, kiedy jej moc była wielka. Wtedy wydawało się, że pozostanie taka na zawsze. Niewidomi odyskiwali dzięki niej wzrok, a sparaliżowani sprawność, by powrócić radośnie do domów. Była zatracona we wspomnieniach, kiedy podeszła do niej Kamfita. – Jedzie ku nam jakiś powóz. Jest czarny, ale zdobiony złotem. Zapewne

wiezie jakąś wielką panią. Przed nim i za nim jada wojownicy, a ciągnie go szóstka czarnych wierzchowców. Może nawet odwiedzi nas królowa. – Miejmy nadzieję, że jest jedynie zaziębiona – odparła sennie kapłanka. Pulchna służąca usadowiła się obok smukłej starej kobiety. – Pomóc ci dojść do sali ołtarzowej? – Nie, moja droga. Poczekam tutaj. Przynies trochę świeżej wody ze studni i nieco owoców. Podróżnicy będą spragnieni i chętnie się odświeżą. – Wkrótce zapadnie zmrok. Przyniosę ci szal. Derae wsłuchiwała się w kroki pospiesznie odchodzącej Kamfity. Były ciężkie i odbijały się echem od ścian korytarza. Pamiętała gibkie dziecko, którym niegdyś była jej towarzyszką. Szczupła i piękna. Kiedyś zwichnęła w kostce nogę i miała trwale bezwładną stopę. Derae uleczyła kończynę i Kamfita przysięgła jej służyć do końca życia. – Nie bądź głupia, dziecko. Idź stąd. Znajdź porządnego mężczyznę i urodź mu silnych synów. Tak jej powiedziała, ale Kamfita odmówiła. I, och, jakże teraz Derae była jej za to wdzięczna. Stukot końskich kopyt na bruku oderwał ją od przeszłości. Skupiła się na chwili obecnej. Była już zbyt zmęczona, aby używać resztek swego talentu dla nowo przybyłych. A jednak nadjeżdżał przynajmniej tuzin konnych. Wyczuwała zapach rumaków – mieszał się z potem, dymem, aromatem skórzanych butów. Powóz zatrzymał się przed wąską bramą. Derae usłyszała odgłos otwieranych drzwi, zbliżające się kroki, stukot butów po chodniku. Nagle poczuła chłodny dotyk strachu na ciele. Jakby lodowaty wiatr szeptał w zarośniętym ogrodzie. Zadrżała. Żołnierze wprawdzie

odchodzili,
ale ktoś się jednak zbliżał – drażnił ją cichy szelest. Odnosiła
wrażenie, że
to wąż sunie przez suchą trawę i martwe liście. Powietrze wypełniło
się
słodkim aromatem perfum, szelest zbliżył się. Derae zidentyfikowała
go
nagle: słyszała uderzanie połów kobiecej sukni o uda.
– Kim jesteś? – spytała.
– Starym wrogiem – odparł zimny głos.
Kapłanka przypomniała sobie pierwsze spotkanie z Mroczną Panią. Pa-
miętała niemal dotykalne starcie ich dusz, włócznie błyskawic i
krzyki pół-
trupów. Później przeżyła ponownie podróż na Samotrakę. Tak bardzo się
starala nie dopuścić do poczęcia Ducha Chaosu.
– Aida?
– Zgadłś, starucho. I wyobraź sobie, że wyglądam tak samo jak
kiedys;
Moje ciało nadal pozostaje młode, Derae. Młode, a nie stare i
pomarszczone.
Skóra nie obwisa mi na kościach.
– Przypuszczam, że wciąż trudno przypisać te określenia twojej duszy.
Mroczna Pani roześmiała się wesoło.
– Widzę, że umierająca suka ciągle potrafi ugryźć. Nie spytasz mnie,
po
co do ciebie przyjechałam?
– Chcesz mnie zabić?
– Zabić cię? Och, nie, moja droga. I tak wkrótce umrzesz. Bez mojej
pomocy. Obserwowałam cię przez ostatnie trzynaście lat, widząc, jak
władnie
twoja moc. Po cóż miałabym cię zabijać? Przecież bez ciebie mój
drogocenny
chłopiec nigdy by się nie urodził.
– Twojego cennego chłopca ktoś wszakże pokonał – zauważyła Derae.
– Został przegnany. Aleksander wyrósł na wspaniałego i bardzo silnego
młodzieńca.
– Rzeczywiście, zgadza się – przyznała Aida. – Jest właśnie taki,
jakim go potrzebuję. Jestem osobą cierpliwą. Wtedy pora nie była
właściwa
i dobrze, że Bóg Mroku nie oblekł się ostatecznie w ciało. Lecz
teraz? Teraz
nadszedł jego czas.
– Puste słowa nie są w stanie mnie przerazić – odrzekła kapłanka.
– I nie powinny... Jadę właśnie do Pełli na ślub Filipa z Kleopatram.
A kiedy się tam znajdę, moje słowa przestaną być dla ciebie puste.
Nabiorą
sensu. Sądysz, że złoty naszyjnik ochroni księcia? Ten błahy
ornament?
Można go było usunąć w każdej chwili podczas tych trzynastu lat, lecz
chłopiec go potrzebował. Dzięki niemu stał się mężczyzną, zbudował
przy-
jaźnie, znalazł grono wyznawców, którzy pójdą za nim w ogień i...
przygo-
tował drogę temu, który nadejdzie. – Aida ponownie się roześmiała,
ale tym
razem jej śmiech zabrzmiał okrutnie. – Zobaczysz go w chwale, Derae.
I poznasz ostateczną rozpacz.
– Nie sędzę – odpowiedziała kapłanka. Słowa wydały jej się puste
i nieprzekonujące. – Parmenion cię powstrzyma.
– Och, on także się zestarzał. Dni jego świetności to już przeszłość.
A Arystoteles uciekł do alternatywnego świata i w inne czasy. Twoje
zastępy
jakoś się dziwnie przerzedziły. Właściwie, jeśli mam być szczerą, nie
został

ci już nikt.

– Wciąż nie wiem, po co mnie odwiedziłaś?

– Chciałam cię trochę podręczyć – odparła pogodnie Mroczna Pani. – Zadać ci ból. I obwieścić ci świt epoki Boga Mroku. Świat stoi przed nami

otworem, nic nas nie powstrzyma.

– Nawet jeśli masz rację, twój bóg będzie rządził jedynie przez chwilę

w perspektywie wieczności. Aleksander nie jest nieśmiertelny. Pewnego dnia

umrze.

– Może i tak. A może nie. Zresztą, cóż taki drobiazg ma za znaczenie? Kiedy ciało księcia pożra sępy i kruki, gdy robaki wyjedzą szpik z kości albo

strawi je ogień, Duch Chaosu znowu się oswobodzi, a jego uczniowie znajdą

dla niego stosowną osłonę. Zważ, że Duch jest nieśmiertelny!

– Dlaczego mu służysz, Aido? Przecież przynosi on tylko ból, cierpienie,

nienawiść i rozpacz.

– Dlaczego? Jak możesz o to pytać? Tkwisz na odludziu, twoje ciało rozkłada się niemal na moich oczach, a ja ciągle jestem młoda. Dzięki Jego

ślógosławieństwu! Jestem bogata, mam tabuny niewolników i armię

żołnierzy.

Moje ciało cieszy się wszystkimi rozkoszami – zarówno tymi znanymi,

jak i wieloma, które są ci obce. Jakiż inny władca mógłby mi tyle

ofiarować?

Tym razem to Derae się uśmiechnęła.

– Mówisz o bezwartościowych skarbach. Nawet ci ich nie zazdroścę.

– Bezwartościowych? Hmm... Przyznam, że masz więcej ode mnie doświadczenia w kwestii bezwartościowości – powiedziała Aida. – Miałaś

wszak tylko jednego kochanka. Ja miałam ich tysiące, zarówno mężczyzn, jak

i kobiety... tak, i demony. Zadowolano mnie w sposób, jakiego nawet nie

możesz sobie wyobrazić.

– I nie mam ochoty go sobie wyobrażać. Cóż, mylisz się, Aido. Nigdy nie miałaś prawdziwego kochanka, ponieważ jesteś niezdolna do miłości. Nie

masz pojęcia, co to słowo oznacza. Przyszłaś mnie dręczyć? Nie udało ci się!

Kiedyś cię nienawidziłam, a dziś czuję do ciebie jedynie litość.

Przyniosłaś

mi pewien dar... Dziękuję ci za niego.

– W takim razie dam ci jeszcze jeden – szepnęła wiedźma, wstając. –

Parmeniona zabije jego własny syn, Aleksander. Zimne żelazo przetnie jego

skórę, wbije się w ciało... Wszystkie twoje marzenia obrócą się w pył. Myśl

o tym aż do paskudnej i rychłej śmierci, ślepa czarownico!

Derae nie odpowiedziała. Siedziała całkowicie nieruchomo, podczas gdy Mroczna Pani odchodziła. Kapłanka wsłuchiwała się w odgłosy. Drzwiczki powozu otworzyły się, kroki ścichły, smagnął bicz, konie zarżały.

– A więc odjechali? – spytała Kamfita, stawiając srebrną tacę na marmurowej ławie.

– Tak, odjechali.

– Czy to była królowa?

– Nie, tylko pewna kobieta, którą kiedyś poznałam.

Błyskawica przecięła niebo. Aleksander wyszedł z pałacu i skierował się

na zachód szeroka, pusta aleją. Zmierzał ku agorze. Na ulicach

znajdowało się niewielu ludzi, gdyż zbliżała się północ, a jednak książę miał pewność, że ktoś go śledzi. Dwa razy wydało mu się, że mignął mu na zakręcie wysoki mężczyzna w czarnym płaszczu, jednak gdy się odwrócił, nikogo nie zauważył. Kiedy przechodził przez agorę, przywołały go dwie nierządnice, lecz tylko się uśmiechnął i potrząsnął głową. – Specjalna cena dla ciebie, przy stój niaczku – zawołała młodsza z nich. Książę rozłożył ręce. – Nie mam pieniędzy – odparł, a wtedy odwróciły się od niego i odeszły ramię w ramię. Po jego lewej stronie coś zamigotało. Książę obrócił się w tamtą stronę ze sztyletem w rękę. Nie było nikogo. Błyskawica rozświetliła niebo i czarne cienie gigantycznych filarów świątyni Zeusa poruszyły się. Młodzieniec potrząsnął głową. Cienie. Stawał przeciwko ceniom. Wsunął sztylet z powrotem do pochwy i poszedł dalej. Kiedyś użyłby swego talentu do odszukania prześladowcy, jednak odkąd Parmenion zapiał mu na szyi złoty naszyjnik, moc młodzieńca zniknęła. Nie była to wygórowana cena za spokój, którym cieszył się, odkąd przegnał ze swego ciała Boga Mroku. Ktoś, kto nie doświadczył samotności towarzyszącej księciu w dzieciństwie, nie mógłby zrozumieć radości, którą zaznał on po powrocie ze świata Achai. Potrafił teraz dotykać i nie zabijać, umiał objąć drugiego człowieka bez strachu, poczuć ciepło innego ciała. Tak wiele zwykłych przyjemności. Przebywać wśród dzieci, jeździć konno, śmiać się. Mieć towarzystwo... Podniósł rękę i dotknął zimnego złota naszyjnika. Przeciął ulicę Garbarzy i dotarł do szerokiej alei Wierzchowca. Trzymał się blisko cienia i wsłuchiwał w dźwięki, czekając na odgłosy pogoni. „Jak mogło do tego dojść?” – zastanawiał się, skradając się nocnymi ulicami. Szedł na sekretne spotkanie. Powrót z Achai był wypełniony ogromną radością. Filip miał dobry humor przez kilka miesięcy, a i później – w trakcie kampanii w Tracji czy Chalkidike – wysyłał co rusz wiadomości do syna w Miezie. „W którym momencie popełniłem błąd?” Czyżby chodziło o konia? Przypomniał sobie ów dzień. Pięć lat temu Parmenion po raz pierwszy przyprowadził królowi Bucefała. Przez poprzednie cztery dni odbywało się święto Artemidy i Filip był zrelaksowany i nieco pijany, kiedy tesalijski jeździec zaprezentował na paradzie wspaniałego czarnego wierzchowca. Aleksander na jego widok aż wstrzymał oddech. Rumak – wysoki na siedemnaście dłoni – stanowił dla niego najcudowniejszy widok na świecie. Miał potężną klatkę piersiową i dumne oko. Gdy król go zobaczył, natychmiast Wytrzeźwiał. Nie kulał jeszcze w owym czasie, toteż łatwo zeskoczył z

po-

dium i podszedł do zwierzęcia.

– Nigdy nie widziałem takiego konia – oświadczył.

– Jego ojcem był Tytan – odparł Parmenion. – Jeździłem na nim Jedyne raz, lecz nigdy go nie zapomniałem.

– Dam ci za niego pięć srebrnych talentów – kusił władca.

– Nie jest na sprzedaż, panie, nawet dla ciebie. To podarek dla Aleksandra.

– Taki wierzchowiec dla dziecka? Ten koń powinien brać udział w wojnie. .. – Gdy Filip podniósł dłoń, by pogłodzić smukłą czarną szyję, ręka mu

zadrżała. – Dziesięć talentów, Parmenionie. Chłopiec może dostać innego konia.

Książę miał wówczas piętnaście lat. Spojrzał na Spartanina i zobaczył, że

mężczyźnie czerwienieją policzki, a usta się zaciskają.

– Nie godzi się sprzedawać podarku przeznaczonego dla innej osoby, mój panie. Mam wiele wspaniałych wojennych koni. Chętnie ci je za-

oferuję.

– Pragnę właśnie tego! – oznajmił monarcha. Jego głos pogłębiał się wraz z rosnącym gniewem.

– Nie. – Parmenion pokiwał przecząco głową, odmawiając spokojnie, choć z przekonaniem.

Filip głęboko zaczerpnął powietrza i obrócił się. Dostrzegł obserwującego go syna.

– Jeśli potrafi go dosiąść, może go sobie wziąć – warknął król i sztywnym krokiem wrócił na podium.

– Dziękuję ci, Parmenionie – szepnął Aleksander. Podszedł do wierzchowca i stanął obok niego. – W jaki jednak sposób mam dosiąść takiej bestii? Potrzebowałbym schodków.

– Pogłaszcz go po nosie i dmuchnij mu lekko w nozdrza, potem się odsuń

– doradził cicho Spartanin. Książę posłuchał rady i zdziwił się, kiedy Bucefał

przed nim klęknął. Chwycił za czarną grzywę i wskoczył rumakowi na grzbiet.

Po chwili koń wstał.

– Jahu! – krzyknął Aleksander, spinając konia. Bucefał ruszył do biegu,

a jego jeździec nigdy nie zapomniał niezwykłego podniecenia i radości, które

czuł podczas pierwszej jazdy – niewiarygodnej prędkości, budzącej grozę

mocy...

Jednak ojciec był wściekły jeszcze przez kilka następnych dni, a nawet

gdy się uspokoił, pozostała w nim jakaś niechęć w stosunku do syna. Aleksander nie zmartwił się tym zbyt, wiedział bowiem, że władca denerwuje się nadchodzącą wojną z Tebami i Atenami, dwoma wrogami znanymi z zawziętości. Ateńczycy dwieście lat wcześniej zniszczyli potężną

perską armię w bitwie pod Maratonem, a Tebańczycy przed trzema dekadami

– w bitwie pod Leuktrami – zakończyli spartańskie panowanie. Teraz, gdy

zjednoczyli się przeciwko Filipowi, przedstawiali najpoważniejszą groźbę,

jaka kiedykolwiek miał przed sobą macedoński monarcha.

Książę zatrzymał się przy miejskiej fontannie, by napić się wody.

Przy

okazji rozejrzał się skrycie po okolicznych budynkach. Nie dostrzegł mężczyzny w czarnym płaszczu... „Jeśli w ogóle ktoś za mną idzie” – pomyślał z drwiącym uśmiechem. W oddali rozległ się ogłuszający grzmot, za którym podażył bliski trójzab błyskawicy. Wiatr wzmógł się, a jednak deszcz nie spadł. Młodzieniec przypomniał sobie błyskawicę w nocy przed bitwą pod Cheroneją. Stali wraz z Parmenionem na wzgórzu ponad obozem nieprzyjaciela. Prawie trzydzieści tysięcy żołnierzy: zahartowani w bitwach wojownicy Świętego Zastępu, koryncka konnica, ateńscy hoplici, peltaści, oszczepnicy.

– Smuci cię ten widok? – spytał wtedy książe szeptem. – Wszak sam pomagałeś tworzyć Święty Zastęp...

– Rzeczywiście, pomagałem – odparł Spartanm. – W tej bitwie wezmą udział mężczyźni, których wytrenowałem, i synowie tych, którzy byli mi druhami... Gdy na nich patrzę, serce mi krwawi. Wybrałem wszakże służbę u twego ojca, oni zaś stanęli przeciwko niemu. – Wzruszył ramionami i odszedł.

Bitwa była zaciekle i okrutna, Święty Zastęp dzielnie stawiał czoło macedońskim falangom, w końcu jednak Filip przeprowadził udaną szarżę kawaleryjską przeciw niedobitkom wroga. Rozproszył Koryntian, rozpędził armię koalicji antymacedońskiej na cztery wiatry. Aleksander wspomniał oszczep, który przeszył serce królewskiego konia, i oczyma wyobraźni widział, jak jego ojciec spada na ziemię. Nieprzyjacielscy żołnierze hurmem ruszyli ku władcy. Książe kopnięciem zachęcił Bucefala do galopu i poprowadził szaloną odsiecz. Filip był ranny w oba ramiona, lecz syn dotarł do niego na czas, po czym wyciągnął rękę i pomógł mu wskoczyć za siebie. Bucefał poniósł ich obu w bezpieczne miejsce. Wtedy po raz ostatni ojciec go objął...

Książe westchnął. Znalazł się już prawie w punkcie wyznaczonym na spotkanie i właśnie przekraczał ulicę Garnarzy, kiedy z cienia wyszło trzech mężczyzn. Zatrzymał się i zmrużył oczy. Ubrani w ciemne tuniki przeciwnicy rozstawili się przed nim. Miecze błysnęły w ich rękach. Aleksander cofnął się i wyjął sztylet.

– Pragniemy tylko twojego naszyjnika, młody książe – oznajmił przywódca, krzepki wojownik z upstrzoną srebrem czarną brodą. – Nie zamierzamy ci wyrządzić żadnej krzywdy.

– W takim razie podejdźcie i weźcie go sobie – odparował młodzieniec.

– Czy ten złoty talizman jest wart twego życia? – spytał drugi żołnierz.

Był szczuplejszy i miał w sobie coś z wilka.

– Na pewno jest wart więcej niż twoje – odciął się książe.

– Nie zmuszaj nas, byśmy cię zabili! – błagał przywódca. Aleksander zrobił kilka kroków w tył, aż dotknął plecami ściany budynku. Usta miał spierzchnięte i wiedział, że nie zdoła zabić całej trójki, nie odnosząc przy tym poważnych ran. Zaledwie przez moment odczuwał pokusę oddania im

naszyj-
nika, ale przypomniał sobie dotyk śmierci i samotność, której doświadczył w dzieciństwie. Nie, nie, już wolał umrzeć! Skierował spojrzenie na szczupłego mężczyznę. Będzie zapewne zawzięty i szybki jak atakujący wąż... Na-
pastnicy się zbliżyli. Nadchodzili z każdej strony. Książę naprężył mięśnie, gotów uskoczyć.
- Spróbujcie tylko podnieść rękę na księcia, a już po was - powiedział nagle ktoś głębokim głosem. Zamarli, ich przywódca odwrócił głowę.
Za nimi stał wysoki osobnik w czarnym płaszczu, groźnie wymachując mieczem.
- A jeśli nie spróbujemy? - bąknął przywódca.
- Wtedy pozwolę wam odejść - odparł rozsądnie nieznajomy wybawiciel.
- Zgoda, już idziemy - wymamrotał zbój, odwrócił się i skierował w prawo. Jego ludzie poszli za nim. Po chwili cała trójka zniknęła w cieniu.
- Ogromnie ci dziękuję - mruknął Aleksander, jednak nadal trzymał w dłoni sztylet.
Mężczyzna zachichotał.
- Jestem Hefajstion. Pan Parmenion kazał mi cię strzec. Chodź, zabiorę cię do niego.
- Prowadź, mój przyjacielu. Będę się trzymał tuż za tobą.
Dom Motaka stał w najbiedniejszej dzielnicy Pełli. Tu Tebańczyk mógł się spotykać i odbywać rozmowy ze swoimi licznymi agentami. Budynek był dwupiętrowy, otoczony wysokimi murami. Nie miał ogrodu, ale na wschodzie, na tyłach posiadłości znajdował się mały dziedziniec na wpół pokryty dachem obrosłym winoroślą. W domu był tylko jeden andronitis, pozbawiony okien i nie ozdobiony, wyposażony w trzy tapczany i wiele stoliczków. W tym właśnie pomieszczeniu Motak gawędził ze swoimi szpiegami. Z zewnątrz nie sposób ich było podsłuchać.
- Co się dzieje z moim ojcem? - spytał książę, gdy Parmenion wprowadził go do środka.
Wódz potrzaskał głową i wzruszył ramionami.
- Nie wiem niczego na pewno. - Spartanin ułożył szczupłe ciało na wąskim tapczanie. Młodzieniec niespodziewanie zobaczył w nim znużonego starca. Myśl ta zaskoczyła go, ponieważ strategos zawsze wydawał mu się prawdziwym bohaterem, niemal półbogiem, którego siły są niewyczerpane.
Teraz zaś wyglądał jak każdy mężczyzna po sześćdziesiątce. Był siwowłosy i pomarszczony, a wokół jasnobłękitnych oczu widniały ciemne obwódki. Widok ten zasmucił Aleksandra, więc odwrócił wzrok. - Czasami - kontynuował wódz - człowiek odkrywa, że jego marzenia, zanim się spełniły, były... jakby to powiedzieć... bardziej magicznie. Sądzę, że tak może brzmieć jedna z odpowiedzi.
- Nie rozumiem cię. Przecież Filip Macedoński jest najpotężniejszym królem w Grecji. Ma wszystko, czego kiedykolwiek pragnął.
- Podzielam twój punkt widzenia. - Parmenion westchnął. - Kiedy po raz pierwszy spotkałem go w Tebach, był tylko chłopcem, który

śmiało
rzucił wyzwanie nasłanym zamachowcom. Nie chciał wtedy rządzić, nie
chciał być królem. Później wszakże jego brat zginął w bitwie i
Macedonia
znalazła się na skraju ruiny. Filip przyjął koronę, by ratować kraj.
Po pewnym
czasie zaczął marzyć o sławie. Nie pragnął jej dla siebie, ale dla
królestwa
i dla przyszłości swego nie narodzonego syna. Nie chciał niczego
bardziej, niż
zbudować dla ciebie imperium.
– No i przecież mu się udało – stwierdził książę.
– Wiem. Niestety życie go zmieniło. Coś się z nim stało. Już nie
buduje
królestwa dla ciebie, lecz dla siebie. A wraz z wiekiem postrzega
ciebie, twoją
młodość i twój talent jako zagrożenie. Byłem z nim w Tracji, gdy
przyszły
nowiny o trybalskiej rewolcie. Filip pragnął od razu wyruszyć do
domu,
ponieważ znał siłę przeciwników, ich odwagę i umiejętności. Wiedział,
że
ewentualną kampanię przeciwko nim musiałby planować i przygotowywać
przez wiele miesięcy. Aż tu nagle dotarła do nas nowina o twoim
oszałamia-
jącym zwycięstwie. Otoczyłeś ich, przechytrzyłeś i wygrałeś wojnę w
osiem-
naście dni. Wspaniałe zwycięstwo! Byłem naprawdę z ciebie dumny.
Zapew-
ne twój ojciec również. Na nieszczęście odkrył, że jesteś już gotów
do
przejęcia władzy.
Młodzieniec potrząsnął głową.
– Nie mogę z nim wygrać, prawda? Gdy staram się go zadowolić,
doskonalać swoje wojskowe talenty, wtedy on zaczyna się mnie bać. Jak
więc
mam postępować, Parmenionie? Czy lepiej byłoby, gdybym udawał opóź-
nionego w rozwoju, przypominając mojego przybranego brata Arridajosa?
Co
powinienem zrobić?
– Moim zdaniem powinieneś opuścić Pellę – doradził Spartanin.
– Opuścić? – Aleksander milczał przez moment. Spojrzał strategosowi
w oczy, ale pierwszy raz, odkąd się znali, wódz odwrócił wzrok. –
Chce mnie
zabić? – szepnął. – Czy to mi pragniesz powiedzieć?
Kiedy Parmenion spojrział księciu w oczy nadal miał srogą minę.
– Tak uważam. Z każdym dniem bardziej się upewnia albo ktoś go w tym
utwierdza, że pragniesz go zdradzić. Gromadzi informacje dotyczące
ciebie
i twoich przyjaciół. Ktoś z twojego otoczenia mu donosi. Nie potrafię
wska-
zać, kto.
– Jeden z moich przyjaciół? – spytał zaskoczony młodzieniec.
– Tak. Lub raczej osoba, która udaje przyjaciela.
– Wierz mi, mój drogi, że nigdy nie przemawiałem przeciwko memu
ojcu. Nie skrytykowałem ani jednego jego posunięcia. Nawet wobec
najbliż-
szych przyjaciół. Jeśli ktoś na mnie donosi, kłamie bądź mówi
półprawdę.
– Doskonale zdaję sobie z tego sprawę, chłopcze! Wiem o tym lepiej
niż
ktokolwiek inny. Musimy wszakże w jakiś sposób przekonać o tym
Filipa.
Tymczasem byłbyś bezpieczniejszy poza stolicą. Podczas twojej

nieobecności

postaram się przekonać króla, że się myli.

– Nie mogę wyjechać – odparł Aleksander. – Jestem dziedzicem tronu, i jestem niewinny. Nie będę uciekał.

– Myślisz, że tylko winni umierają? – warknął Spartanin. – Wierzysz, że niewinność jest tarczą, która powstrzyma zdradzieckie ostrze?

Gdzie się

podziała ta tarcza dziś wieczorem, gdy napadli na ciebie zabójcy?

Gdyby me

Hefajstion, już byłbyś martwy.

– Być może – zgodził się książę. – Tyle że ci akurat me byli zabójcami.

Chcieli jedynie naszyjnik.

Strategos nie odpowiedział, jednak straszliwie poblądł. Podszedł do stołu-

ka, na którym stał dzban z winem i dwa płytkie puchary. Nie

zapropomował

młodzieńcowi wina, lecz nalał sobie i wypił szybko.

– Powinienem się domyślić – bąknął cicho.

– Co takiego?

– Arystoteles odszedł. Od tamtego dnia dręczyło mnie to pytanie...

Dlaczego odszedł? Teraz już wiem. Wiele lat temu, jeszcze przed twoim urodzeniem, odbyłem pewną podróż. Bardzo niebezpieczną. Towarzyszył mi w niej magnus. Uciekł, gdy sadziliśmy, że wszystko stracone...

Podob-

nie jak Chiron. Pamiętasz? Kiedy zbliżyliśmy się do lasu Gorgona, zmie-

nił się w centaury, a do własnego kształtu wrócił dopiero, gdy

zagrożenie

minęło.

– Mówił o tym. Powiedział, że był przerażony.

– Tak. Nie potrafi zapanować nad tchórzostwem. Zawsze o tym wiedziałem i nie obwiniałem go o bojaźliwość. Taką miał naturę i z całych sił z nią

walczył, nie udawało mu się jednak. Teraz znowu uciekł, a dziś wieczorem

ktoś próbował ukraść naszyjnik. To me może być zbieg okoliczności.

– Eee, pewnie natknąłem się na zwyczajnych zbirów.

– Tak – bąknął Parmemon. – Może. Ale raczej w to wątpię. Trzech mężczyzn na pustej ulicy. Co tam robili? Mieli nadzieję, że jakiś bogaty kupiec

wybierze się na spacer po północy? A naszyjnika prawie wcale nie widać,

zwłaszcza w nocy. Poza tym nie wygląda wcale na kosztowny. Nie, nie.

Odkąd

wróciliśmy z Achai, ze strachem czekałem na powrót Boga Mroku. –"

Spartanin ponownie napełnił puchar winem i wrócił na tapczan. – Nie jestem

magiem, Aleksandrze, ale potrafię wyczuć jego obecność.

– Poszedł sobie – spierał się książę. – Pokonaliśmy go.

– Nie, nie odszedł... czeka. Pozostajesz jego... naczyniem. Chroni cię

jedynie naszyjnik.

.– Nie dostali go – zauważył książę.

– Rzeczywiście! Tym razem! Jednakże ponowia próby, jestem co do tego przekonany. Prawdopodobnie jego stronnicy czują, że nadeszła pora.

– Dwa razy w ostatnim roku prawie go zgubiłem – szepnął Aleksander.

– Raz w bitwie przeciw Trybalom strzała trafiła w mój napierśnik, trzonek

złamał się, a grot rozerwał dwa złote ogniówka. Naprawiłem go. Złotnik nie

mógł zrozumieć, dlaczego nie pozwalam sobie zdjąć kolii z szyi.

Podczas

spawania złota dwukrotnie mnie oparzył. W jakiś czas później, w trakcie polowania kawka spadła na mnie, pazurkami zahaczając o ogniwka. Uderzyłem ptaka ręką, a wtedy oderwał się od naszyjnika. Gdy jednak odleciał, zapięcie puściło. W ostatniej chwili przytrzymałem naszyjnik przy szyi i ponownie zapiałem.

– Musimy być niezwykle czujni, mój chłopcze – zauważył strategos. – Jeśli nie chcesz wyjechać z Pełli, spełnij przynajmniej jedną moją prośbę.

– Oczywiście. Jaka?

– Zatrzymaj przy sobie Hefajstiona. To najlepszy z moich młodych oficerów. Ma przenikliwy wzrok, bystry umysł i rękę szybką jak błyskawica. Będzie strzegł twego grzbietu. Wprowadź go do swojego kręgu i przedstaw jako nowego przyjaciela. Daj mu trochę czasu, a na pewno znajdzie zdrajcę.

Książę uśmiechnął się ponuro.

– Wiesz, co? Trudno nazwać zdrajcą kogoś, kto informuje króla o... Raczej nasze spotkanie może wyglądać na spisek. Naczelnny wódz i syn króla podczas sekretnego spotkania, czyż to nie wygląda podejrzanie?

– Zapewne niektórzy tak by je odebrali – przyznał Parmenion. – Ale ty i ja znamy prawdę.

– Odpowiedz mi na jedno pytanie, mój przyjacielu – szepnął młodzieniec. – Po której stronie staniesz, jeśli mój ojciec zwróci się przeciwko mnie?

– Przy jego boku – odparł Spartanin. – Zobowiązałem się służyć mu i nigdy go nie zdradzę.

– A jeśli Filip postanowi mnie zabić?

– Wtedy porzucę służbę u niego i Macedonię. Tymczasem postarajmy się nie dopuścić do najgorszego. Trzeba go przekonać, że – a przecież to zgodne z prawdą – jesteś w stosunku do niego lojalny i nie ma podstaw do niepokoju.

– Nie potrafiłbym wystąpić przeciwko ojcu... Nawet gdyby od tego zależało moje życie.

– Wiem – stwierdził strategos. Wstał i uściskał księcia. – Czas na ciebie. Musisz już iść. Hefajstion czeka przy frontowej bramie. Letni pałac, Ajgaj

Olimpias klęknęła przed panią Samotraki. Skłoniła głowę i czekała na błogosławieństwo.

Aida pochyliła się.

– Jesteś teraz królową. Nie powinnaś przede mną klękać – powiedziała. – Królową? – odrzekła Olimpias z goryczą. – Nazywasz królową jedną z siedmiu żon króla?

– Jesteś matką jego syna, jego dziedzica. Nikt nie zdoła ci odebrać tej roli.

– Tak sądzisz? – spytała Olimpias. Podniosła się i usiadła obok odzianej w czarną chłajnę Aidy na pokrytym satyną tapczanie. – Kleopatra również urodzi mu syna. Wiem o tym. Filip bardzo się tym chełpi. I coraz mocniej nienawidzi Aleksandra. Co mam robić?

Mroczna Pani otoczyła królową ramieniem, potem przyciągnęła ją blisko i pocałowała w czoło.

– Twój syn będzie królem, zapewniam cię – oświadczyła ściszym głosem i spojrzała w otwarte okno. Kto wie, jacy szpiegowie czają się w pobliżu?

Jej duch wystrzelił w górę i się rozejrzał, lecz w pobliżu nie było nikogo.

– Kiedyś w to wierzyłam, Aido. Naprawdę. Na Samotrace przed ślubem byłam bardzo szczęśliwa. Uważałam Filipa za największego króla na całym

świecie. Pełnia szczęścia... Jednak zawsze istniał między nami mur, coś

niemiłego, krępującego... Nie wiem, jak to opisać. Jedynie tej pierwszej nocy

osiągnęliśmy zjednoczenie, którego nauczyłaś mnie oczekiwać. Teraz mój

małżonek ledwie może na mnie spojrzeć bez ciemniejącej z gniewu twarzy.

Czy kiedykolwiek mnie kochał?

Aida wzruszyła ramionami.

– Kto może wiedzieć, co się kryje w umyśle mężczyzny? Intelkt mają między nogami. Ważne, co zrobimy teraz. Wiesz, że wybrano cię na matkę

szczególnego dziecka, króla królów, boga. Wypełniłaś swoją część przema-

czenia. Raduj się tym, siostrze! I zostaw mnie swoje lęki.

– Potrafisz pomóc Aleksandrowi?

– Wiele rzeczy potrafię – odrzekła. – Teraz opowiedz mi o swoim synu. Na jakiego mężczyznę wyrósł? – Królowa rozsiadła się wygodnie i z promienną twarzą zaczęła mówić o triumfach Aleksandra, o jego dobroci,

sile ducha i dumnym sercu.

Mroczna Pani siedziała cierpliwie. Jej oblicze wyrażało zachwyt i fascy-

nację.

Od czasu do czasu uśmiechała się, a kilka razy nawet klasnęła.

W rze-

czywistości była znudzona i poirytowana. Na szczęście Olimpias w końcu umilkła.

– Mówię zbyt wiele – oświadczyła nieśmiało.

– Ależ nie – wtrąciła szybko Aida. – Musi być doprawdy cudowny...

Uosabia wszystkie nasze marzenia. Widziałam go dzisiaj. Szedł w grupce

młodych mężczyzn. Jest bardzo przystojny. Zauważyłam jednak, że nosi naszyjnik, który mnie zainteresował. Wygląda na niezwykle stary. Skąd go

wziął?

– To prezent. Otrzymał go wiele lat temu. Zawsze go nosi.

– Chciałabym go obejrzeć. Możesz mi go przynieść?

Olimpias potrząsnęła głową.

– Przykro mi, ale nie mogę. Widzisz, kiedyś chłopiec wydawał się opętany, naszyjnik go chroni. Aleksander nie może go zdjąć.

– Nonsens! Był utalentowanym dzieckiem i dysponował wielką mocą, nad którą po prostu nie potrafił zapanować. Teraz jednak wyrósł już

na

mężczyznę.

– Nie. – Olimpias pokiwała przecząco głową. – Nie zaryzykuję.

– Nie ufasz mi? – spytała Aida. Wyglądała na zranioną.

– Och, nie, nie! – odparła królowa, biorąc Aidę za rękę – Oczywiście, że ci ufam. Chodzi tylko o to, że... Boję się, że mrok, który mój syn

miał

w sobie, powróci i go zniszczy.

– Pomyśl o tym inaczej, moja droga. Bez naszyjnika będzie tak potężny,

że żaden człowiek nigdy nie będzie go w stanie zabić.

– Sądziś, że Filip chciałby...? Nie, nie mogę w to uwierzyć.

– Njgdy nie słyszałaś o królu, który zabił swojego syna? Dziwne. W Per-
sji często się to przydarza.
– I tutaj także – zgodziła się Olimpias. – Ale Filip nie jest
człowiekiem
tego pokroju. Kiedy objął tron po śmierci swego brata, oszczędził
życie
bratanka, Amyntasa. Wiele osób zaskoczyła jego dobroć, ponieważ malec
był
naturalnym dziedzicem.
– A gdzie jest teraz?
– Amyntas? Służy w straży przybocznej króla. Jest niesamowicie
lojalny
wobec Filipa. Nie ma ambicji przywódczych.
– Teraz może nie, ale co się stanie, gdy Filip umrze?
– Aleksander zostanie królem.
– A czy lojalność Amyntasa przejdzie na Aleksandra?
Królowa zmarszczyła brwi i odwróciła wzrok.
– Nie, nie są przyjaciółmi.
– Amyntas jest wszak prawdziwym Macedończykiem – wtrąciła Aida
cicho. – Nie ma w sobie domieszki obcej krwi, prawda?
– Dlaczego starasz się mnie przerazić? Amyntas nie stanowi dla nas
zagrożenia.
– Niebezpieczeństwo czai się wszędzie – skwitowała oschle Mroczna
Pani. – Jestem tutaj zaledwie od trzech dni i cały dwór nie mówi o
niczym
poza dziedzictwem. Rodzina Attalosa marzy, by schedę po Filipie
otrzymał
syn Kleopatry. Inni przysięgają wierność Amyntasowi. Niektórzy
wspominają
nawet o Arridajosie.
– Przecież Arridajos jest opóźniony w rozwoju. Ślini się i nie
potrafi
przejsć prosto nawet trzech kroków.
– A jednak jest synem Filipa i wielu chciałoby za jego pomocą
rządzić.
Na przykład Antypater.
– Przestań! – krzyknęła Olimpias. – Wszędzie dostrzegasz wrogów?
– Wszędzie – zgodziła się Aida cicho. – Przeżyłam już wiele, wiele
lat. Nie raz odkryłam, że zdrada stanowi drugą naturę człowieka.
Aleksander
ma wielu przyjaciół, ale i wielu wrogów. Zresztą to w gruncie rzeczy
nieważ-
ne. Najtrudniej jest rozróżnić jednych od drugich.
– Hmm, znasz się na tajemnicach, Aido. Potrafisz dostrzec, gdzie tkwi
największe niebezpieczeństwo?
– Jest jeden wielki wróg, którego trzeba zabić – odparła pani
Samotraki,
nie spuszczać wzroku z Olimpias.
– Kto? – szepnęła z przejęciem królowa.
– Znasz odpowiedź. Nie potrzebuję wymawiać imienia. – Smukła ręka
Aidy zanurzyła się w głębokiej kieszeni ciemnej sukni. Kobieta wyjęła
okrągłą
złotą monetę, którą trzymała między kciukiem a palcem wskazującym. –
Piękna kopia, nie sadzisz? – spytała czarodziejka, rzuciwszy monetę
na
kolana Olimpias.
Królowa przypatrzyła się złotemu kraszki, na którym wyrzeźbiono
głowę Filipa Macedońskiego.
Hefajstion wyciągnął długie nogi i położył je na rzeźbionym podnóżku
na
końcu tapczanu. Głowa bolała go od hałasu, jaki czynili biesiadnicy.
On
sam milczał, sącząc ze złotego perskiego pucharu mocno rozwodnione

wino.
W drugiej części pokoju Ptolemeusz siłował się z Kassandrem.
Przewrócili
już kilka stolików, zrzucając na podłogę owoce i słodycze. Ślizgali się na nich
i potykali, a ich ubrania były poplamione owocowym sokiem. Hefajstion zerknął w bok. Filotas i Aleksander zabawiali się w jakąś perską grę z użyciem
kości oraz złotych i srebrnych żetonów. Pozostali towarzysze księcia zaafek-
rowani byli hazardem albo leżeli w pijackim amoku na licznych tapczanach.
Hefajstion czuł się znudzony. Od piętnastego roku życia był żołnierzem.
Ukochał sobie dziką, otwartą przestrzeń. Sypiał pod gwiazdami, wstawał
skoro świt, podążał za odgłosem wojennego rogu. A tu co? Miękkie poduchy,
słodkie wino, ogłupiające zabawy...
Usiadł prosto i mimowolnie spojrział w stronę stołu, nad którym zgarbiony
siedział Filotas. Z wyglądu był niezwykle podobny do swego ojca, a równo-
cześnie bardzo różnił się od niego charakterem. Porównywanie ich było interesujące. Nawet chodzili podobnie, trzymając ręce za sobą, rzucając
oczyma na boki. Ich ruchy były zdecydowane i kocie. Jednak podczas gdy
Parmenion wyróżniał się naturalną pewnością siebie, Filotas był arogancki.
Kiedy strategos się uśmiechał, ludzie odwzajemniali uśmiech, natomiast
w przypadku jego syna – sędzieli, że drwi. „Subtelna różnica – pomyślał
Hefajstion – a jednak jakże znacząca”.
Przeciagnął się i wstał. Zbliżywszy się do stołu, przy którym siedział
Aleksander, skłonił się księciu i poprosił o pozwolenie oddalenia się.
Aleksander podniósł wzrok i się uśmiechnął.
– Śpij dobrze, mój przyjacielu – odparł.
Hefajstion wyszedł na oświetlony pochodniami korytarz. Kiwnął głową strażnikom, którzy stanęli na baczność. W ogrodzie panował przyjemny chłód, nocny wietrzyk był orzeźwiający. Oficer zaczerpnął powietrza,
po
czym rzucił okiem za siebie i wszedł między drzewa rosnące przy wschodniej
bramie. Stała tam marmurowa ławka, niewidoczna ze ścieżki, gdyż przesła-
niały ją krzewy i pnąca roślinność. Hefajstion przysiadł na jej skraju i
cierpli-
wie czekał.
Minęła godzina, potem kolejna. W końcu w tylnych drzwiach pojawiła się
zakapturzona postać, przystanęła na chwilę i szybko ruszyła ścieżką. Osobnik
nie przeszedł wszakże bramy wyjściowej. Zamiast tego przeciął ogród, zmie-
rzając ku drugiej wewnętrznej furtce. Hefajstion wstał i podążył za mężczy-
zną, kryjąc się w cieniu. Wiszący bluszcz porastał gęsto wewnętrzną bramę,
a zza ściany docierał zapach róż. Oficer zwolnił kroku i ostrożnie

przebija)

się przez zarośla. Usłyszał ciche głosy w małym ogrodzie za murem. Rozpoznał je.

– Czy mówił już o zdradzie? – spytał Filip Macedoński.

– To nie tak, panie. Jednak z każdym dniem jego frustracja rośnie. Spytałem go dziś wieczorem, co myśli o czekającej nas kampanii, a książę

natychmiast nakreślił mi plan zdobycia obwarowanego murem obronnym miasta. Przemawia niczym wódz i sędzę, że widzi siebie w roli dowódcy armii.

Hefajstion zmrugał oczy. Rozmowa wcale tak nie wyglądała. Słuchał jej przecież. Aleksander – naciskany – zauważył jedynie, że przy obleganiu

ufortyfikowanego miasta trzeba cierpliwości.

– Attalos twierdzi – oświadczył król – że moje życie znajduje się w niebezpieczeństwie. Zgadzasz się z nim?

– Trudno mieć absolutną pewność, panie. Dostrzegłem jednakże u Aleksandra wielką zazdrość o twoje ostatnie małżeństwo. Wszystko jest możliwe.

– Dziękuję ci – powiedział król. – Twoja lojalność na pewno ci się opłaci. Nie zapomnę o tobie.

Hefajstion wsunął się głębiej w cień i klęknął za gęstym krzewem. Zdrójca

odszedł, mijając go. Oficer przez kilka minut niecierpliwie przestępował

z nogi na nogę, później ruszył w noc. Przeszedł obok koszar gwardzistów

i skierował się do domu Parmeniona. W gabinecie na parterze płonąła samotna

latarnia. Cienkie linie złotego światła prześwitywały przez drewniane okien-

nice niewielkiego okna.

Oficer zastukał w drewno. Strategos otworzył pchnięciem okiennicę, rozpoznał przybysza i wskazał mu gestem boczne drzwi. Kiedy

Hefajstion

znalazł się w środku, wódz podsunął mu wino, lecz żołnierz odmówił, z wdzięcz-

nością jednak przyjął puchar wody.

– Czy to Filotas? – spytał wódz.

Oficer skinął głową. Spartanin z kamienną twarzą wrócił do szerokiego,

pokrytego skórą fotela, który stał obok biurka.

– Tak sądziłem. Opowiedz mi wszystko ze szczegółami.

Żołnierz wypełnił rozkaz i zrelacjonował Parmenionowi zmienione fakty,

którymi Filotas zarzucił króla.

– Co na tym zyska, panie? Książę jest jego przyjacielem i dziedzicem tronu. Rozsądek podpowiada, by właśnie z nim wiązać przyszłość...

– Mój syn niestety postrzega tę sprawę inaczej. Dobrze się sprawiłeś, Hefajstionie. Jestem z ciebie zadowolony.

– Żałuję, że przyniosłem tak smutną wiadomość.

Strategos potrząsnął głową.

– Właściwie z grubsza już wcześniej o wszystkim wiedziałem. Gdzieś w głębi serca. Tyle że usilnie odsuwałem tę myśl od siebie.

Wódz potarł oczy, potem podniósł puchar pełen wina i wysączył całą zawartość jednym haustem.

– Mogę już wrócić do mojego pułku, panie? – spytał żołnierz. – Nie pasuję do pałacowego życia.

– Przykro mi, ale nie. Obawiam się, że Aleksander jest w niebezpieczeń-

stwie, i chcę, byś mu towarzyszył jeszcze przez jakiś czas. Zrobisz to dla mnie?

Hefajstion westchnął.

Wódz odpoczywał przez godzinę w gorącej kąpieli, zmagając się z problemem. Niestety, gdy Motak przybył oznajmić garść nowin od agentów z Azji Mniejszej, Parmenion nie był ani o jotę bliżej rozwiązania. – Wielki Król zdażył wzmocnić swoje siły na zachodzie. Wysłał dodatkowe kontyngenty do greckich miast na wybrzeżu. Ale niezbyt liczne. Może

ze trzy tysiące ludzi. Ciekawe posunięcie, nieprawdaż? – zakończył stary

Tebańczyk.

– Persja jest niemal niezmierna – zauważył Parmenion. – Mógłby zebrać ogromną armię w niecały miesiąc. Ale nie czyni tego, powiadamia nas

tylko swoim działaniem, że wie, co szykujemy. Jakie wiadomości z Teb?

– Panuje tam niezwykle wzburzenie. Nikomu nie podoba się obcy garnizon w Kadmei. Powinieneś o tym pamiętać!

– Pamiętam – przyznał strategos, przypominając sobie swój pobyt w mieście, podczas którego spartański regiment zajmował fortecę w centrum Teb.

– W mieście mówi się sporo o perskim złocie, które przeznaczone jest na najemną armię. Jej zadaniem ma być odbicie Kadmei.

– Nie wątpię, że z tą sprawą wiąza się pieniądze – stwierdził wódz. – Wielki Król będzie teraz szastał złotem na wszystkie strony: do Sparty, Aten,

! Koryntu, Feraj. Jednak tym razem Persowie przegrają. Nie wierzę w rewoltę.

– Nie bądź tego taki pewien – mruknął Motak. – Teby już raz uwolniły się od okupantów.

– Tak, ale wtedy mieszkali w nich Epaminondas i Pelopidas. A Sparta była wrogiem. Teraz sytuacja jest diametralnie inna. Spartę zmuszono do

ostrożności, jeśli nie chce wywołać kolejnej wojny z Atenami. W razie buntu

Teby pozostaną osamotnione, a przecież ich armia jest ponad pięciokrotnie mniejsza od macedońskiej.

Motak chrząknął i gniewnie potrząsnął głową.

– Przemawiasz jak Macedończyk! No cóż, jestem Tebańczykiem i nie zgadzam się z tobą! Przywrócimy chwałę Świętemu Zastępowi. Moje miasto

znowu będzie wolne.

Parmenion wstał z kąpieli i owinał sobie talię grubym ręcznikiem.

– Dawne czasy bezpowrotnie minęły, Motaku. Wiesz o tym doskonale. Teby otrzymają wolność dopiero wtedy, gdy Filip zdecyduje, że może zaufać

ich mieszkańcom.

– Ależ jesteś arogancki – syknął Tebańczyk. – Właściwie ty uwolniłeś Teby, nie Epaminondas. Ty! Pomogłeś nam przejąć Kadmeję, a później wymyśliłeś plan zmiążdżenia spartańskiej armii. Nie pamiętasz?

Dlaczego

teraz sytuacja ma się niby tak bardzo różnić? Skąd wiesz, że w Tebach nie ma

jakiegoś młodego Parmeniona, który knuje spisek?

– Och, na pewno jest tam ktoś taki – odparł strategos z westchnieniem.

– Jednak spartańska armia nigdy nie liczyła więcej niż pięć tysięcy ludzi,

z których część rozsiana była w dodatku po garnizonach całej Grecji.

Filip zaś

może zwołać czterdzieści pięć tysięcy Macedończyków i połowę tej liczby

najemników. Ma las maszyn oblężniczych, katapult, ruchomych wież. To nie

to samo.

– Spodziewałem się, że przyjmiesz ten punkt widzenia – mruknął Motak z czerwoną od gniewu twarzą.

– Przykro mi, przyjacielu, lecz cóż innego mogę powiedzieć? – spytał wódz, zbliżając się do starego druha i kładąc mu rękę na szerokim ramieniu.

Tebańczyk jednak strzasnął jego dłoń.

– Widzę, że niektórych spraw lepiej przy z tobie nie poruszać – mruknął Motak. – No dobrze, omówmy inne kwestie. – Zebrał swoje papiery i zaczął je przeglądać. Nagle przerwał, opuszczając głowę. Parmenion zauważył, że Tebańczyk ma łzy w oczach.

– O co chodzi? Co się dzieje? – spytał wódz, podchodząc i siadając obok towarzysza.

– Wszyscy umrą – odparł Motak drżącym głosem.

– Kto? Kto umrze?

– Kwiat młodzieży z mojego miasta. Zorganizują powstanie. Staną z mieczami w dłoniach. I zostaną ścięci.

Spartanin nagle wszystko zrozumiał.

– Pomogasz im się zorganizować?

Starzec przytaknął.

– Teby są moim rodzinnym miastem – dodał.

– Wiesz, kiedy planują atak na Kadmeję?

– Nie, ale odbędzie się on wkrótce.

– Nie musi się wcale skończyć rozlewem krwi, mój drogi. Wyślę kolejne dwa pułki do Beocji, dzięki czemu twoi ludzie zyskają na czasie. Przrzeknij mi tylko, że zerwiesz wszelkie koneksje z buntownikami. Obiecaj mi to!

– Nie mogę ci tego obiecać! Nie rozumiesz? Wszystko, co robię tutaj, czyni mnie zdrajcą. Od czasu Cheronei, gdy zgmiotłeś tebańską armię Powinienem cię wtedy zostawić i wrócić do domu. Pojadę tam teraz!

– Nie – mruknął strategos – nigdzie nie pojedziesz. Jesteś moim najwierniejszym przyjacielem i bardzo cię potrzebuję.

– Nie potrzebujesz mnie – odciął się ze smutkiem starzec. – Niczego nie potrzebujesz. Ani nikogo. Jesteś strategosem, Śmiercią Narodów. Starzeję się, Parmenionie. Pozwól mi pojechać do domu, do Teb. Umrę w mieście, w którym się urodziłem, i pogrzebią mnie obok mojej miłości. To powiedziawszy, wstał i wyprostowany wyszedł z pokoju.

Miasto Ajgaj, środek zimy 337 roku p.n.e.

Mieli wiele imion i przypisywano im rozmaite cechy i talenty. Aida nazywała ich Szepczący. Persowie czcili ich jako pomniejszych demony lub dewy. Starożytny lud Akkadii i Atlantydy wierzył, że są duszami zmarłych złych ludzi. Nawet Grecy ich znali, choć w nieco zdeformowanym kształcie

– określali mianem harpii.

Szepczący zebrali się wokół Aidy niczym rzadkie wstęgi mgły. Ledwo co czuli, lecz tętnili mrocznymi emocjami, gdyż wydzielali resztki zła, rozpaczy, melancholii, posępności, nieufności, zazdrości i nienawiści. Piwnica była chłodniejsza niż toń zimowego jeziora, lecz Mroczna Pani zapanowała nad uczuciem zimna. Siedziała w środku, a mgliste postaci unosiły się wokół niej.

Dom stał z dala od miasta. Pierwotnie był wiejską posiadłością jakiegoś pomniejszego macedońskiego szlachcica, który zginął w wojnie trackiej. Aida nabyła budynek od wdowy, gdyż miał liczne zalety. Nie tylko był odosobniony, ale posiadał ogród otoczony wysokim murem. Tam jej akolitki mogły się

pozbywać ciał ofiar – nieszczęśników, których krwi potrzebowali
Szepczą-
cy, by zachować siłę.
Kobieta wyciągnęła rękę i wezwała pierwszy z widmowych kształtów.
Duch spłynął jej między palce, natychmiast wywołując w jej głowie
wizje.
Zobaczyła Filipa. Tkwił na tronie, wyraźnie załamany i zatopiony w
ponurych,
melancholijnych myślach. Na jego widok roześmiała się głośno. Ależ
łatwo
jej przychodziło deformowanie ludzkich umysłów! Po chwili wezwała
drugą
postać i obserwowała Attalosa, jak knuł.
W ten sposób – jedną po drugiej – sprawdziła relacje wszystkich
Szepczących, po czym odesłała ich z powrotem na przeszpiegi do
wyznaczo-
nych żywicieli. W końcu zimno przeniknęło ją do szpiku kości, więc
wstała,
opuściła pomieszczenie i wspięła się po ciemnych schodach
prowadzących
do niższych ogrodów.
Wszystko szło dobrze, toteż była głęboko usatysfakcjonowana. Wkrótce
Filip stawi czoło swemu przeznaczeniu, a ona, pani Samotraki, będzie
w po-
bliżu, by poprowadzić jego syna do tronu. Jakiż z niego przystojny
chłopiec!
Och, tak, tak, Aida mu pomoże, dostarczy mu radości i rozkoszy, a
później,
gdy będzie spał, zerwie naszyjnik i otworzy wrota jego duszy.
Aż zadrzała na myśl o rychłym zwycięstwie. Przez całe życie marzyła
o tym dniu. Tak samo jak jej matka przed nią. Nadzieje matki – i, co
gorsza,
jej ducha i wolę życia – zniszczyła Tamis. Jednakże jej, Mrocznej
Pani, nikt
nie pokrzyżuje szyków.
Niedługo Filip Macedoński będzie martwy – zostanie zabity w swoim
pałacu w czasie snu.
Ogarnęło ją przemożne podniecenie i wezwała do siebie dwóch swoich
wartowników. Rzadko miewała ochotę na męski dotyk, lecz podczas chwil
takich jak ta niemal się delectowała wykorzystywaniem mężczyzn.
Rozkosz
niepomierne się potęgowała, jeśli kochankowie przypłacali noc w jej
łóżu
śmiercią. Ich młodość i siła należały wyłącznie do niej. Dziś ofiara
z życia
tych dwóch dostarczy jej nie lada przyjemności.
Obaj wojownicy byli przystojni i wysocy. Najemnicy z Azji Mniejszej.
Uśmiechali się, kiedy się do niej zbliżali. Po drodze zaczęli
zdejmować
ubrania.
Pierwszy ruszył na nią śmiało. Arogancko położył rękę na jej piersi
I usiłował zdjąć jej ciemną szatę.
„Jutro – pomyślała – jutro twoja dusza będzie wrzeszczeć na ścieżce
prowadzącej do Hadesu”.
Pella, środek zimy
Filip był pijany i w bardzo dobrym humorze. Otaczali go przyjaciele
i wodzowie – dwudziestu ludzi, którzy wiernie mu służyli przez
ostatnie
dwie dekady. Świątowali wspólnie ostatnią noc wielodniowej weselnej
fety.
Władca odchylił się na krześle i bładził wzrokiem od jednego
mężczyzny do
drugiego.
Parmenion, Antypater, Klejtos, Attalos, Teoparlis, Koenos... Ludzie,

z którymi mógł podbijać świat. Silni, lojalni, nieustraszeni. Hałas na drugim krańcu stołu przyciągnął jego uwagę. Aleksander zaśmiewał się z jakiegoś żartu młodego Ptolemeusza. Dobry humor Filipa zniknął w jednej chwili. Był przekonany, że żart dotyczył jego osoby. Przegnał szybko tę myśl. Dziś wieczorem kończą się weselne uroczystości. Nie pozwoli, by byłe podejrzenia zepsuły mu nastrój. Służący sprzątnęli ostatnie talerze i pojawili się trzej kuglarze, którzy mieli zabawić króla. Byli Medami, mieli więc misternie kręcone brody i ubrania z lejącego jedwabiu lub satyny. Każdy z nich przyniósł po sześć mieczy, którymi żonglowali tak szybko, że ostrza wydawały się widzom żywe. Wirowały i błyskały ponad miotaczami niczym metalowe ptaki. Medowie rozstawili się i teraz miecze przecinały powietrze między nimi. Wszystkie były w nieustannym ruchu, ledwie na moment ładując w zręcznych rękach. Filipa zafascynowały umiejętności kuglarzy i przez chwilę zastanawiał się, jaką też wartość bojową prezentują ci niezwykle szermierczo utalentowani ludzie. Cóż, w swoim czasie pewnie się dowie, ponieważ według doniesień Motaka. perski król miał w swojej armii trzy tysiące Medów. W końcu popis się zakończył. Król długo wiwatował. Większość kompanów Aleksandra zaklaskała w dłonie. Na ten widok władca zmarszczył brwi. Okazywanie uznania przez uderzenie ręki o rękę powoli stawało się powszechnym zwyczajem, choć wcześniej przez stulecia uważano taki gest za obelgę. Pochodził z teatru: w ten sposób tłum zagłuszał kiepskiego aktora, zmuszając go do zejścia ze sceny. Potem Ateńczycy zaczęli klaskać na końcu przedstawienia, by wyrazić aprobatę. Filip nie lubił takich importowanych nowinek. Żonglerów zastąpił niezwykle uzdolniony nożownik, smukły Tesalijszyk. Umieścił przed sobą siedem celów i z zawiązanymi oczami trafiał w sam środek każdego. Filip nagrodził mężczyznę złotą monetą. Potem przybyło czterech akrobatów, szczupłych trackich chłopców, i poeta, twórca sag, który śpiewał o Herkulesie i jego pracach. Przez cały ten czas puchar Filipa ani przez moment nie był pusty, co rusz bowiem służący doń dolewali. Tuż przed północą wielu starszych oficerów, wśród nich Parmenion, poprosiło króla o zgodę na powrót do domu. Jednak Filip, Attalos, Aleksander i tuzin innych osób pozostało. Pili i rozmawiali. Król zauważył, że większość już się upiła, szczególnie Attalos, który rzadko nadużywał alkoholu. Jasne oczy mu zmętniały, choć przy tym błogo się uśmiechał. Na widok tego uśmiechu Filip zachichotał i poklepał przyjaciela po ramieniu. – Powinieneś częściej pić, mój drogi. Zazwyczaj jesteś zbyt poważny.

– Rzeczywiście, powinienem – odparł fechtmistrz. Bardzo starał się skoncentrować i wymawiał słowa z wielką starannością. – To... nadzwyczaj... cudowne uczucie – podsumował, po czym wstał i wykonał przesadny ukłon.

Filip rzucił spojrzenie na Aleksandra. Jego syn był ewidentnie trzeźwy, pieścił bowiem w dłoniach ten sam puchar wina, który nalano mu mniej więcej dwie godziny temu.

– Co się z tobą dzieje? – ryknął. – Wino nie jest dla ciebie wystarczająco dobre?

– Jest doskonałe, ojcze.

– W takim razie pij!

– Wypiję, gdy zechcę – odparł chłodno Aleksander.

– Wypij je teraz! – polecił władca. Młodzieniec podniósł puchar w mi-

czącym toaście, po czym wychylił go jednym haustem. Filip wezwał służące-

go. – Książę ma puste naczynie. Stań obok i dopilnuj, żeby kielich nigdy nie

Pustoszał.

Mężczyzna skłonił się, wziął dzban, poszedł na koniec stołu i stanął za Aleksandrem. Usatysfakcjonowany zmieszaniem młodzieńca Filip obrócił się ponownie do Attalosa, jednak ten zapadł w sen, złożony głowę na stole.

– O co chodzi? – zawołał król. – Czy wasz monarcha ma samotnie świętować?

Fecht mistrz poruszył się.

– Umieram – wyszeptał.

– Ależ. Potrzebujesz tylko nieco wina – mruknął władca, zmuszając pijanego mężczyznę do wstania. – Wygłoś toast, Attalosisie!

– Toast! Toast! – ryknęli biesiadnicy.

Fecht mistrz potrząsnął głową w proteście, ale mimo to wysoko uniósł puchar z winem, rozlewając połowę zawartości na stół.

– Za Filipa, za moją protegowaną Kleopatrze i ich nie narodzonego syna.

– Zobaczył minę Aleksandra i się uśmiechnął. – Który będzie prawowitym

dziedzicem! – oświadczył, podnosząc puchar do ust.

Wśród biesiadników zapadła śmiertelna cisza, jakby trafił ich grom z jas-

nego nieba. Książę straszliwie poblądził.

Wstał.

– A kim ja niby jestem? – spytał.

Attalos zamrugał. Nie mógł uwierzyć, że wypowiedział te słowa.

Odnosił

wrażenie, że wyskoczyły mu z ust zupełnie nieproszone. Niestety, nie mógł

już ich cofnąć.

– Słyszysz mnie, morderczy synu dziwki? – krzyknął Aleksander. – Odpowiedz!

– Zamilcz! – wrzasnął Filip, chwycił się na nogi. – Jakie masz prawo przerywać toast?!

– Nie będę milczał – odparł książę. – Wystarczająco długo znosiłem jego obelgi. Od dziś koniec z tym. W ogóle nie dbam o sukcesję...

Możesz

zostawić koronę nawet ostatniemu capowi, nic mnie to nie obchodzi...

Jed-

nakże każdy, kto zakwestionuje prawowitość mojego urodzenia, gorzko za to

odpowie. Nie będę siedział spokojnie i słuchał, jak moją matkę nazywa

dziwka
człowiek, który dotarł na szczyt po trupach ludzi, których sam truł
lub
podstępnie zabijał nożem, zadając cios w plecy.
– Powiedziałeś wystarczająco dużo, chłopcze! – Filip odepchnął w tył
swoje krzesło i podbiegł ku synowi, ale po drodze uderzył nogą w
stołek i się
potknął. Chora noga ugięła się pod nim i padł na ziemię. Lewą rękę
wyciągnął
ku Aleksandrowi, jednak jego palce wczepiły się jedynie w połyskujący
na
szyi księcia naszyjnik. Złote ogniwa natychmiast pękły, a król
trzasnął w stół,
uderzając głową o krzesło.
Aleksander zatoczył się, jednak błyskawicznie złapał równowagę. W po-
mieszczeniu panowała grobowa cisza. Lampy zamigotały, gdy przez
otwarte
okna wpadł zimny wiatr.
Książę popatrzył na leżącego ojca.
– I oto leży bez czucia – zadrwił głębokim i niesamowicie lodowatym
głosem. – Człowiek, który przemierzył pół świata, a nie potrafi
przejsć
o własnych siłach własnego pokoju.
Po tych słowach wycofał się w stronę drzwi. Ptolemeusz i Krateros
pospiesznie podążyli za nim. W progu Aleksander obrócił się na pięcie
i odszedł.
Parmenion nie słyszał łomotania w drzwi wejściowe, gdyż był
wyczerpany
długotrwałym świętowaniem i zaraz po dotarciu do domu zapadł w
głęboki
sen. Ubiegłe dni przygnębiły go i przyprawiły o ból głowy.
Szczególnie
zdenerwowały go dwa zdarzenia: wyjazd Motaka i przybycie jazgotliwej
Fedry.
Służący cicho wszedł do pokoju i przez chwilę łagodnie potrząsał
ramie-
niem wodza. Strategos obudził się.
– O co chodzi? – wymamrotał, spoglądając przez otwarte okno na
ciągle ciemne niebo.
– Król po ciebie posyła, panie. Sprawa jest pilna.
Parmenion usiadł prosto, przetarł oczy, po czym zdjął nogi z łóżka i
po-
czekał, aż służący przyniesie mu czysty chiton i obszyty futrem
płaszcz
z kapturem. Nadchodziła zima i nocne powietrze było mroźne.
Ubrał się i zszedł na dół, gdzie spotkał Filotasa. Młodzieniec
również był
w płaszczu i gotów mu towarzyszyć.
– Wiesz, o co chodzi? – zapytał syna.
– Aleksander uciekł z miasta – odparł Filotas. – Po jego wyjeździe
padło sporo złych słów.
Spartanin zaklął w duchu i opuścił dom. Syn podążył za nim, po chwili
jednak przyspieszył i zrównał się z ojcem.
– Grozi nam chyba wojna domowa – zagaił. Strategos zerknął na niego
badawczo, lecz nie odpowiedział. – Krateros, Ptolemeusz i Kassander
poje-
chali z księciem – kontynuował Filotas. – No i twój oficer,
Hefajstion.
Nigdy mu nie ufałem. Jak duża twoim zdaniem część armii opowie się po
stronie Aleksandra?
Parmenion zatrzymał się i odwrócił do syna.
– Nie będzie żadnej wojny domowej – oświadczył chłodnym tonem.
– Niezależnie od tego, jak bardzo jej pragniesz, Filotasie.
– Co masz na myśli?

– Przestań udawać, doskonale wiesz, o czym mówię – odpowiedział hardo Spartanin. – Stale przekazujesz kłamstwa i półprawdy królowi i właśnie ty, a także ten, któremu służysz, jesteście odpowiedzialni za wydarzenia dzisiejszego wieczoru. Wojny wszakże nie będzie. Teraz mnie zostaw! Odwrócił się od syna i pomaszerował ku pałacowi, ale Filotas podbiegł do niego i chwycił go za ramię.

– Jak śmiesz mnie oskarżać o zdradę! – zagrzemiał młodzik. Jego oczy płonęły gniewem. – Służę lojalnie naszemu władcy. Strategos spojrział synowi w twarz i wziął potężny oddech.

– No tak, w gruncie rzeczy to nie ciebie powinienem obarczyć winą – powiedział w końcu ze szczerym smutkiem. – Twoja matka była kiedyś wieszczką, aczkolwiek niezbyt dobrą. Wmówiła sobie, że zostaniesz wielkim królem. W dzieciństwie, gdy byłeś zbyt młody, aby pojąć w pełni sens tych bzdur, napełniła twój umysł rojeniami o przyszłej sławie. Myliła się. Zapa- miętaj moje słowa raz na zawsze: twoja matka się pomyliła! Za swoje mrzonki możesz zapłacić śmiercią.

Filotas cofnął się o krok.

– Zawsze mnie nienawidziłeś – syknął. – Cokolwiek uczyniłem, jakikolwiek sukces odniosłem, nic nie zasługiwało na twoją pochwałę. Jednakże wizja matki nie jest pomyłką. Wiem o tym. Czuję w sobie siłę. Mam cel, który przewyższy wszystkie twoje dokonania! Nic mnie nie powstrzyma w jego realizacji! – Młokos odwrócił się od ojca i odszedł w mrok. Wódz westchnął. Nagle ciężar przeżytych lat wydał mu się niemożliwy do udźwignięcia. Mężczyzna zadrżał i podjął mozolną wędrówkę do pałacu. Mimo późnej pory po pokojach i korytarzach kręcili się służący i niewolnicy.

Parmeniona bezzwłocznie wprowadzono do sali tronowej, gdzie czekał Filip z Attalosem. Fechtmistrz zdążył już wytrzeźwieć. Skinął Spartaninowi głową, jednak ani razu nie odezwał się, gdy król relacjonował zdarzenia, do których doszło wieczorem.

– Podalesz w wątpliwość jego prawowite urodzenie? – spytał strategos, obracając się do Attalosa. – Nie mogę w to uwierzyć!

– Nie wiem, dlaczego to powiedziałem – jęknął fechtmistrz. – Przysięgam na Zeusa, że słowa same mi wyskoczyły z ust. Byłem pijany. Gdybym tylko mógł je cofnąć, uczyniłbym to bez wahania.

– Ta sprawa zaszła za daleko – mruknął Parmenion do władcy.

– Wiem – odparł Filip cicho i osunął się na tronie. – Zacząłem dziś wszystko postrzegać inaczej. Jakby słońce nieoczekiwanie wynurzyło się po burzy... Sam nie wierzę, że tak źle potraktowałem Aleksandra. Jest przecież moim synem! Kiedy upadłem, uderzyłem się w głowę i przez moment byłem oszołomiony. Gdy odzyskałem zmysły, odniosłem wrażenie, że patrzę oczyma innego mężczyzny. Zniknęły moje lęki i poczułem się wolny. Poszedłem odszukać księcia, by go przeprosić i błagać o wybaczenie. Niestety, odjechał.

– Znajdę go, panie – obiecał Spartamn. – Wszystko dobrze się skończy.

– Ocalił mi życie – szepnął Filip. – I to dwukrotnie. Jak mogłem

sądzić, że chce mnie zabić?

– Nie wiem, panie. Cieszę się jednak, że teraz postrzegasz go takim, jaki

[jest. Naprawdę wspaniały z niego młodzieniec i szczerze cię wielbi.

– Koniecznie musisz go odszukać, Parmenionie. – Król wstał i ciężko podszedł do wodza. – Xwmc mu to, ponieważ wiem, że wiele dla niego znaczy. – Wyciągnął otwartą dłoń.

Strategos spojrział na nią i wydało mu się, że ktoś wbija mu nóż w pierś.

Zimne żelazo dotknęło jego serca. Naszyjnik błyszczał w świetle lampy.

Spartanin wziął go w drżącą rękę.

– Skąd... skąd go masz?

– Kiedy upadałem, rozpaczliwie zamachałem ręką i moje palce wczepiły się w ogniwkę.

W tym momencie Parmemon uprzytomnił sobie, dlaczego zniknęła paranoja króla. Magia naszyjnika osłaniała przecież umysł jego posiadacza przed

wszelkimi złymi myślami.

Cóż wszakże ta strata oznaczała dla księcia?

– Natychmiast jadę, panie – oświadczył.

– Wiesz, dokąd się udał?

– Nie, lecz wiem, gdzie zacząć poszukiwania.

– Pojadę z tobą – zaoferował się fechtmistrz.

– Sądzę, że to niezbyt mądra decyzja – zaproponował Spartanin.

– Mądra czy nie, pragnę osobiście przeprosić księcia.

– Jeśli cię zabije, nie będę go za to winił.

– W takim razie umrę – odrzekł Attalos. – Chodź, jedźmy już.

Rzeka Aksios, zima 337 roku p.n.e.
Zaczął padać deszcz ze śniegiem. Lodowate igiełki przesywały najgrubszy nawet płaszcz, a wody pobliskiej rzeki – wezbrane od nieustannego, wielotygodniowego deszczu – falowały gniewnie ku brzegom. Hefajstion rozniecił ognisko przy zwalonym pnieniu i cała grupka zebrała się wokół ognia.
Wszyscy okryli się mocno płaszczami.
– Dokąd jedziemy? – spytał Ptolemeusz, wyciągając szczupłe dłonie ku migoczącym płomieniom. Aleksander nie odpowiedział. Wyglądał na całkowicie zatopionego w myślach.
– Na zachód, do Epiru – odpowiedział zamiast niego Krateros. – Mamy tam wielu przyjaciół.
– Dlaczego nie na północny zachód, do Pelagonii? – wtrącił Kassander.
– Stacjonuje tam nasze wojsko. Ludzie, których nagrodziliśmy po kampanii trybalskiej. W imię Aleksandra wypowiedzieliby posłuszeństwo Filipowi.
Hefajstion zerknął pytająco na księcia, ale ten nadal nie wydawał się ich słuchać. Oficer dorzucił więc drewno do ognia i oparł się plecami o skałę, starając się nie myśleć o chłodziu.
Podobnej nocy, dziesięć lat temu, Hefajstion po raz pierwszy spotkał Parmeniona. Wtedy też padał zimny deszcz, który wysoko w górach zmieniał się w śnieg. Dodatkowo jednak Hefajstion słyszał wówczas ujadanie psów, które towarzyszyło pościgowi. Miał trzynaście lat, mieszkał z owdowiałą matką na małej farmie w górach Kerkine. Pewnego dnia o świcie pajońscy barbarzyńcy z północy najechali Macedonię. Wdzierali się przez przełęcze i zabijali farmerów. Splądrowali dwa miasta. Do domu chłopca wpadli zwiadowcy Pajonów, którzy próbowali zgwałcić jego matkę. Kobieta walczyła tak zajadle, że niedoszły gwałciciel w końcu ją zabił, zatapiając nóż w jej sercu.
Młody Hefajstion rozplatał mordercy czaszkę toporem, a później umknął w las. Zwiadowcy ruszyli za nim w pogoń. Towarzyszyły im bojowe psy. mimo zimna chłopak przedzierał się przez rwące strumyki, by zwierzęta choć na chwilę straciły jego zapach. A jednak o północy psy znacznie się do niego zbliżyły.
Oficer aż zadrżał na wspomnienie tamtych zdarzeń. Pamiętał, że podniósł wtedy ostry kamień, skulił się i czekał. Psy – dwie ogromne bestie o oślinio-

nych pyskach – wyskoczyły na polanę. Tuż za nimi galopowało sześciu zwiadowców na charakterystycznych, pstrokatych pajońskich konikach. Na rozkaz przywódcy – smukłego, żyłastego wojownika w żółtym płaszczu – bestie zatrzymały się przed chłopcem. Z ich gardeł dobywał się przeraźliwy warkot. Hefajstion cofnął się do głazu z kamieniem w rękę.

– Widzisz psy, dziecko? – spytał przywódca ochryplym, okrutnym głosem. – Wystarczy słowo, a w kilka minut cię rozszarpia. Spójrz na nie.

Są gotowe. I doskonale wyćwiczone. – Chłopiec nie miał odwagi popatrzeć

na psy. Kątem oka dostrzegał tylko ich długie, ostre kły. Ze strachu nie

wytrzymał mu pęcherz. Gdy się posikał, sześciu jeźdźców roześmiało się

głośno. Taki wstyd!

Niespodziewanie zza skał wyszedł wysoki mężczyzna w jaskrawej zbroi.

W rękę trzymał krótki miecz. Psy zawyły i zaatakowały Hefajstiona, lecz

wojownik podbiegł szybko do chłopca i zasłonił go własnym ciałem.

Broń

błysnęła w powietrzu, niemal obcinając pierwszemu psu łeb, drugiemu zaś

przebijając na wylot serce.

Nieznajomy zadziałał tak szybko, że Pajonowie nie zdołali się nawet poruszyć, a już było po wszystkim. Po chwili przywódca zerknął na zabite

psy, wyciągnął miecz i popędził konia do ataku. W tym momencie kilka strzał

przecięło nocne niebo. Pierwsza trafiła przywódcę za uchem i wbiła mu się

w mózg. Mężczyzna zsunął się z konia. Jego ludzie próbowali umknąć, lecz

dosięgły ich nadlatujące ze wszystkich stron strzały. W ciągu zaledwie kilku

uderzeń serca wszystkich sześciu mężczyzn i cztery z ich wierzchowców leżało martwych lub dogorywało.

Hefajstion upuścił kamień i odwrócił się do wysokiego wojownika, który

ścierał trawą krew ze swego miecza.

– Dziękuję ci, panie – wyszeptał. Mężczyzna schował broń do pochwy i klęknął przed chłopcem. Jego oczy w poświęcie księżycowej wydawały się

szare.

– Byłeś bardzo dzielny, dziecko – powiedział, wyciągając rękę, aby chwycić Hefajstiona za ramiona. – Nie stchórzyłeś. Jak prawdziwy wojownik.

Chłopiec potrząsnął głową, z oczu popłynęły mu łzy.

– Zmoczyłem się ze strachu.

– A jednak nie uciekłeś ani nie błagałeś o życie. Nie wstydz się chwilo-

wej słabości swego pęcherza. Chodź, znajdziemy jakieś ciepłe schronienie

i suche ubranie dla ciebie.

– Kim jesteś, panie?

– Nazywam się Parmenion – odparł mężczyzna, wstając.

– Lew Macedonii!

– Ten sam.

– Uratowałeś mi życie. Nigdy ci tego nie zapomnę.

Wódz uśmiechnął się i odszedł na środek polany, gdzie macedońscy łucznicy obdzierali zwłoki. Jakiś młodziutki oficer przyproceedził strategoso-

wi konia; Spartanin gładko wskoczył na jego grzbiet. Potem wyciągnął rękę

do chłopca.

– No dalej, pojedziesz ze mną!

Hefajstion uśmiechnął się na to wspomnienie.

– Nadchodzi – oświadczył nagle Aleksander.

– Kto? – spytał Ptolemeusz.

– Parmenion. Jest z nim Attalos.

Młodzian wstał i popatrzył na południe. Widoczność utrudniał padający deszcz ze śniegiem.

– Nikogo nie widzę, książę.

– Będą tutaj w przeciągu godziny – odparł Aleksander niemal rozmazonym tonem.

– Skąd wiesz? – spytał Krateros.

– Bogowie obdarzyli mnie wizją – odparł książę.

– Jeśli jest prawdziwa, skąd strategos wiedział, gdzie nas znaleźć?

– Rzeczywiście... skąd? – spytał Aleksander. Jego oczy koloru morskiej wody błyskały, skupiając się na Hefajstionie.

– Zostawiłem mu wiadomość, że kierujemy się na północ – przyznał się oficer.

– Co takiego? – wrzasnął Krateros. – Przeklęty zdrajca!

– Zamilcz, przyjacielu – pouczył go książę cichym, prawie łagodnym tonem. – Niech mówi Hefajstion.

– Wódz prosił mnie, żebym uważał na księcia. Miałem dopilnować, by nie przydarzyła mu się żadna krzywda. Zrobiłem to. Parmenion jest jedynym

prawdziwym przyjacielem Aleksandra spośród starszych, więc uznałem, że

powinien wiedzieć, gdzie nas szukać.

– A jednak przyprowadził ze sobą Attalosa – wtrącił Ptolemeusz. –

Jak wytłumaczysz tę decyzję?

Hefajstion powoli ułożył dwie grube gałęzie na trzaskającym ognisku.

– Ufam strategosowi – oznajmił w końcu.

– Ja również – dodał książę. Podszedł do ognia i usiadł obok oficera.

– Ale czy mogę ufać tobie, żołnierzu?

– Jak najbardziej – odrzekł Hefajstion, wytrzymując jego spojrzenie.

Aleksander uśmiechnął się.

– Masz jakieś marzenia, Hefajstionie? Ambicje?

– Oczywiście, panie.

– Moje marzenie poprowadzi nas przez świat. Podążysz za mną do sławy? – Jego głos był uspokajający, niemalże kuszący i żołnierz odniósł

nagle osobliwe wrażenie, że zaczyna dryfować. Obrazy wypełniły mu głowę.

Widział pochód wielkich armii, płonące miasta za wysokimi murami obron-

nymi. Przed nim płynęły złote strumienie, a u jego stóp wirowały rzeki krwi.

– Podążysz za mną? – spytał Aleksander ponownie.

– Tak, panie. Aż na koniec świata.

– A może i dalej? – spytał szeptem książę.

– Gdziekolwiek rozkażesz.

– Doskonale – rzucił Aleksander i poklepał młodego mężczyznę po ramieniu. – Teraz poczekamy na naszych gości.

Marznąca mżawka zmieniła się w śnieg. Lodowate płatki żądliły, gdy dotykały obnażonej skóry. Krateros, Ptolemeusz i Kassander zaczęli odcinać

gałęzie z otaczających drzew, daremnie próbując zbudować prowizoryczny

szalas. Niestety, przeszkadzał im porywisty wiatr.

Aleksander siedział w milczeniu przy niewielkim ognisku. Śnieg osiadał

mu na płaszczu i włosach. Książę wpatrywał się w rozedrgane płomyki.

Hefajstion zadrżał i szczerzej otulił się wełnianym płaszczem.

Martwił go

nastrój Aleksandra. Książę był w osobliwym stanie: kompletnie nie

dbał
o niebezpieczeństwo, nawet nadciągająca zamieć zupełnie go nie
interesowa-
ła. Wyglądał przy tym na zadowolonego.
Oficer natomiast był przemarznięty aż do szpiku kości. Pocierał
dłonie
i chuchał w nie, usiłując je ogrzać.
– To ci bardziej odpowiada, prawda? – spytał niespodziewanie Aleksander.
– Co takiego, mój panie?
– Zimno, miecz u boku, wrogowie w pobliżu. Jesteś wszak żołnierzem,
wojownikiem.
– Hmm, faktycznie, ale wolę jednak cieplejszą pogodę – odparł Hefajstion, wymuszając uśmiech.
– Tłukłeś się po moich pokojach niczym lew w klatce. Strasznie byłeś
niespokojny.
– Robiłem tylko to, co kazał mi pan Parmenion.
– Tak, oczywiście. Wielbisz go, prawda?
– Wcale nie, mój książę. Żywię po prostu dla niego wdzięczność. Gdy
zabito moją matkę, byłem zmuszony sprzedać naszą farmę na aukcji, aby
uzyskać pieniądze na opłacenie akademii wojskowej. Kiedy ją
ukończyłem,
farma do mnie wróciła. Strategos ją dla mnie wykupił.
– Tak, to niezwykle życzliwy człowiek. Słyszałem, że uratował cię
przed
pajońskimi najeźdźcami.
– Tak. Skąd o tym wiesz, panie? Powiedział ci?
– Nie – obruszył się książę – ale lubię wiedzieć wszystko o ludziach,
którzy mi towarzyszą. Dlaczego twoim zdaniem jest z nim Attalos?
Hefajstion rozłożył ręce.
– Nie wiem. Jestem żołnierzem, me taktykiem. Ilu jest z nimi
żołnierzy?
Czy widzisz szczegóły w swojej wizji?
– Są sami.
Ta odpowiedź szczerze zaskoczyła oficera.
– Wydaje mi się to nieprawdopodobne, panie. Attalos zawsze miał wielu
wrogów, a teraz chyba powinien i ciebie do nich zaliczyć.
Aleksander przysunął się bliżej.
– Po której stronie staniesz, jeśli wystąpię przeciwko Attalosowi?
– Oczywiście, że po twojej!
– A jeśli stanę przeciwko królowi?
– Odpowiedź brzmi tak samo. Nie prosz mnie wszakże, bym walczył
z Parmenionem.
– A walczyłybyś?
– .. .Tak... Właśnie dlatego nie prosz mnie o to!
Książę pokiwał głową, lecz nic nie odpowiedział. Obrócił głowę i
zapa-
trzył się na swoich trzech towarzyszy, którzy kulili się pod kiepską,
prowizo-
ryczną osłoną. Po chwili nieoczekiwany podmuch wiatru przewrócił ją
na
nich. Aleksander roześmiał się perliście.
– Oto ludzie, którzy podbijają dla mnie świat – mruknął wesoło.
Trzej mężczyźni wydostali się spod zrujnowanego szałasów i zebrali się
wokół ognia.
– Nie czujesz chłodu, panie? – zapytał Ptolemeusz. Książę uśmiech-
nął się.
– Nie jest mnie w stanie przeniknąć.
Kompani poczęli żartować na temat nowo odkrytych możliwości Aleksan-
dra, a Hefajstion oparł się o skałę. Nie zamierzał słuchać dowcipów
towarzy-
szy. Skupił się na odgłosach rzeki zmieszanych z wyciem wichury.
Rozmowa z księciem zdziwiła go, a równocześnie rozgniewała. Był za-
skoczony, że tak nagle zobowiązał się stanąć po jego stronie.

Rozzłościło go,
że tak łatwo zdradził Parmeniona. Rozumiał powody swojej sympatii i
sza-
cunku dla Aleksandra – książę był wszak człowiekiem honorowym i
odważ-
nym. Jednak Hefajstion nawet się nie domyślał, jak głęboki stał się
ów
szacunek. A sympatia już prawie graniczyła z miłością. Aleksander
kojarzył
mu się ze słońcem, które ogrzewało go swymi promieniami. Czuł ciepło
w jego towarzystwie. Przecież kochał Parmeniona... Ale czy aby na
pewno?
Odpowiedź pojawiła się natychmiast. Oczywiście, kochał wodza, lecz
była to
miłość zrodzona z długu, a dług zawsze można oddać.
Śnieg zelżał, wiatr też powoli słabł. Ogień trzaskał, a tańczące
języki
płomienia lizały drewno. Hefajstion rozsunał poły płaszcza i grzał
ciało przy
buchającym ognisku.
Aleksander popatrzył na niego badawczo.
– Nasi goście już prawie do nas dotarli – zauważył książę. – Chcę,
żebyś wyjechał im naprzeciw i sprawdził, czy nie towarzyszą im
większe siły.
Oficerowi spierzchnęły nagle wargi. Jednak wstał i skłonił się.
– Jak rozkażesz, panie.
Tak, to był właśnie ten moment – okazja do zdrady. Jeśli towarzysze
Aleksandra zabiją Parmeniona i Attalosa, wybuchnie wojna domowa.
Jednak
książę wskazał Hefajstionowi drogę wyjścia z trudnej sytuacji. Nie
będzie
obecny, gdy dojdzie do zabójstwa. Ta myśl przyprawiła go o mdłości,
lecz
pewnym krokiem ruszył do swojego rumaka.
I odjechał, nie oglądając się za siebie.
Parmenion dostrzegł odległy ogień obozowiska i ściągnął cugle wierz-
chowca. Światło wyglądało jak migocząca świeca, a z tej odległości
nie
sposób było rozróżnić osoby siedzące wokół ogniska.
– Sądziś, że to oni? – spytał jadący obok niego Attalos.
– To wielce prawdopodobne – odparł. – Możliwe jednak, że mamy
przed sobą bandę zwyczajnych rabusiów.
Fechtmistrz zachichotał.
– Czy byłiby godnymi przeciwnikami dla dwóch największych szermie-
rzy w Macedonii?
Strategos uśmiechnął się.
– Mówisz niestety o przeszłości, przyjacielu. Boję się, że wiek nieco
nadwątlił nasze umiejętności.
– Może twoje, Spartaninie. Ja jestem równie szybki jak zawsze.
Parmenion zerknął na białowłosego mężczyznę. Zaskoczyło go przekona-
nie, które zabrzmiało w głosie tamtego. Attalos rzeczywiście wierzył
w to, co
mówił. Spartanin nie zamierzał się z nim spierać. Bez słowa popędził
ku
obozowisku.
Gdy zbliżali się do ognia, koń strategosa postawił uszy i zarżał. Zza
drzew
odpowiedział mu identyczny dźwięk.
– To oni – oświadczył wódz. – Zarżał Bucefał. On i Paksos byli
niegdyś wielkimi kompanami.
– A jeśli tamci wyciągną przeciw nam miecze? – spytał Attalos.
– Wtedy zginiemy – odparł Parmenion. – Nie będę walczył z Alek-
sandrem.
Chmury się rozstąpiły i księżyc zamigotał na pokrytej śniegiem ziemi.

Pobliska rzeka lśniła niczym wypolerowane żelazo. Parmenion podjechał do ogniska i zeskoczył z konia. Księżę siedział po turecku przed płomieniami, ale na widok wodza wstał.

– Zimna noc – zauważył, patrząc nie na Spartanina, lecz na towarzyszącego mu fechtmistrza.

– Tak, panie – przyznał Attalos. – Zimna noc następuje po gorących słowach.

– Co mi chcesz powiedzieć, mój drogi? Fechtmistrz odchrząknął.

– Przyszedłem... żeby... – Obliznął wargi. – Żeby cię przeprosić – oświadczył. Słowa wyrwały się tak szybko, jakby czuł na języku ich kwaśny smak. – Nie wiem, dlaczego wypowiedziałem taki wstrętny toast. Byłem pijany. Zaszokował mnie równie mocno jak ciebie. Zrobiłbym wszystko, by cofnąć czas.

– Czy to mój ojciec przysłał cię do mnie i kazał przeprosić?

– Nie, jestem tu z własnego wyboru. Aleksander pokijał głową i zwrócił się do Parmeniona.

– A ty, mój przyjacielu? Co masz mi do powiedzenia?

– Filip głęboko żałuje swego zachowania. On cię kocha, księżę, i pragnie twojego powrotu do domu.

– Kocha mnie? Też wymyśli! Od bardzo, bardzo długiego czasu nie widziałem dowodów jego miłości. Skąd mam mieć pewność, że po powrocie do Pełli nie zostanę zamordowany?

– Masz na to moje słowo – odparł strategos. – Może poprosisz swoich towarzyszy, by się do nas przyłączyli? Pewnie już prawie zamarзли, stojąc bez ruchu w lesie.

– Będą stać tam, gdzie im każe – odburknął Aleksander, po czym złagodził stwierdzenie uśmiechem. – Usiądźmy przy ognisku i porozmawiaj – my chwilę.

Sam dodał drewna do ognia, po czym we trzech rozsiedli się przy płomieniach. Parmenion opowiedział o żalu i smutku króla. W końcu otworzył woreczek przy boku i wyjął z niego naszyjnik.

– Kiedy Filip go dotknął, natychmiast zniknęły wszystkie jego złe myśli i lęki związane z twoją osobą. Rozumiesz, dlaczego? Magia tego naszyjnika zabiła zaklęcia, które wokół niego utkano. Księżę popatrzył na naszyjnik.

– Twierdzisz, że mojego ojca ktoś z czarował?

– Tak sędzę.

– Hmm, no to chyba on powinien go nosić.

– Nie chcesz go z powrotem?

– Już go nie potrzebuję. Dobrze mi służył, sędzę jednak, że Bóg Mroku wybrał już sobie inne „naczynie”. Uwolniłem się od demona.

– Co by ci szkodziło nosić go dalej? – spytał cicho wódz.

– Zupełnie nic, ale już go nie chcę. A zatem... Mówisz, że mój ojciec chętnie mnie przyjmie z powrotem i że powinienem ci zaufać. Dobrze więc, tak właśnie postąpię. Ponieważ zawsze byłeś moim przyjacielem, Parmenionie, i człowiekiem, którego... rzecz jasna poza Filipem... podziwiałem najbardziej ze wszystkich ludzi na świecie. Pojedziesz ze mną do króla?

– Oczywiście, panie. Attalos ponownie chrząknął.

– Czy mi wybaczasz? – spytał.

– Dlaczegoż miałbym ci nie wybaczyć, mój drogi? Przecież w wyniku twoich nierozważnych słów doszło do przełomu, którego oczekiwałem przez tyle lat! Jestem ci ogromnie wdzięczny.

– Jakiż to przełom? – spytał ostro strategos.

– Wróciła miłość mojego ojca do mnie – odparł książę spokojnie. – W drogę.

Miasto Ajgaj

Aida odprawiła Szepczących. Nie byli już jej potrzebni. Triumfowała. Wyczuła moment, w którym król zerwał naszyjnik z szyi Aleksandra. Doświadczyła w tamtej chwili fali emocji cudownie podobnej do seksualnego szczytowania.

Klęknęła w mrocznej piwnicy pod domem. Obok niej na zimnej podłodze rozciągały się ciała jej dwóch kochanków. Krew na ich piersiach już prawie zakrzepła.

Mroczna Pani uśmiechnęła się i wyciągnęła rękę do najbliższych zwłok. Przesunęła palcem, tworząc krwawą linię od piersi do brzucha. W historii

posługiwano się różnymi środkami płatniczymi. Akkadyjczycy używali kry-

sztalu, Hetyci – żelaza, Persowie – złota. Jednak dla demonicznych istot,

które pozostają poza zasięgiem wzroku zwykłych śmiertelników, istniała

tylko jedna jedyna waluta. Krew! Źródło życia.

Aida zamknęła oczy.

– Morfeuszu! – zakrzyknęła. – Euklistesie!
Wszystko szło znakomicie. Zabójcy zbliżali się do Pełli i należało tylko unieszkodliwić pałacowych strażników.
Po raz drugi wywołała imiona. Ciemność pogłębiła się, a temperatura w pomieszczeniu gwałtownie spadała. Mroczna Pani poczuła obecność demonów i wyszeptała zaklęcie mocy. Wtedy zjawy zniknęły. A wraz z nimi ciała zabitych. Na podłodze nie pozostał ani jeden ślad krwi.
Aida wstała i zadrżała z podniecenia. Dziś wieczorem zacznie się nowa era! Dziś wieczorem król umrze!
Pella, zima 337 roku p.n.e.
Filip nie mógł zasnąć, więc w końcu wstał z łóżka i wyszedł na balkon.
Zadrżał, gdy zimowy wiatr szarpnął jego nagim ciałem, ale nie wrócił do pokoju, rozkoszując się rześkim powietrzem. „Ależ był ze mnie głupiec” – pomyślał, przywołując w pamięci swój stosunek do syna. Zastanowił się, jak to możliwe, że człowiek potrafi podbijać świat, a równocześnie pozostaje ślepy na uczucia swoich najbliższych i zapomina o więzach krwi.
Przez lata Filip spiskował i knuł, by rządzić Grecją. Zorganizował prawdziwą armię agentów i wyrotowców we wszystkich większych miastach. Przechytrzył takich mędrców, jak Demostenes i Ajschines w Atenach oraz najświetniejsze umysły Sparty, Teb i Koryntu. A jednak tutaj, w Macedonii prawdopodobnie stracił miłość swojego syna. Ponieważ błędnie odczytał intencje młodzieńca.
Fakt ten potwornie go irytował.
Znowu poczuł dreszcze, wrócił więc do pokoju, owinał się w ciepły płaszcz z owczej skóry, nałożył kaptur i wrócił na balkon.
Sięgnął pamięcią wiele lat wstecz i zobaczył ponownie siebie jako młodzieńczego zakładnika w Tebach. Czekał wtedy na śmierć. Ach, te nieszczęsne dni samotności i nieustannego rozpamiętywania. Przypomniawszy sobie straszliwe przerażenie, które go ogarnęło na wieść o śmierci brata w bitwie przeciwko Ilirom. Wtedy ujrzawszy wyraźnie swoje przeznaczenie. Nigdy nie chciał być królem, nigdy! Jaki miał wszakże wybór? Jego ojczyznę otaczali sami wrogowie, armia była rozbita, przyszłość wydawała się posępna i pozbawiona nadziei.
Wyjrzał ponad śpiącym miastem na niskie wzgórza. W niewiele ponad dwadzieścia lat uczynił Macedonię wielkim, wspaniałym krajem, którego nikt nie był w stanie pokonać.
Ciężko westchnął. Chora noga boleśnie pulsowała. Usiadł na wąskim krześle i potarł starą bliznę. Kości go bolały i dokuczał mu uporczywy ból ślepego oka. Miał ochotę się napić.
Wstał, obrócił się z zamiarem wejścia do królewskiej sypialni i... wpatrzył się zaskoczony w rzadką białą mgłę, która wysączała się spod drzwi pomieszczenia. Początkowo sądził, że to dym, lecz mgiełka kurczowo trzymała

się
podłogi. Przesuwała się w poziomie, aż pokryła cały pokój. Filip
odsunął się
na skraj balkonu. Mgła ruszyła za nim, ponieważ jednak znalazł się na
zewnątrz, nocny wiatr ją rozpraszał.
W pokoju wszakże płynęła ponad dywanikami i krzesłami. Wspięła się
ponad łóżkiem, w którym spała Kleopatra. Na oczach króla mgła powoli
bladła. Najpierw stała się półprzezroczysta, potem prawie
przezroczysta.
W końcu całkowicie zniknęła. Filip wrócił do sypialni i szybko
podszedł do
śpiącej żony. Dotknął palcami pulsu na jej szyi. Spała niezwykle
głęboko.
Spróbował ją obudzić, ale nie zareagowała.
Zmartwiony pokuśtykał przez pokój, szarpnął drzwi, by wezwać strażę.
Obaj wartownicy leżeli głęboko uspieni w korytarzu, obok nich
spoczywały
włócznie.
Strach wsączył się w serce króla. Filip odrzucił płaszcz i poszedł do
tylnych
komnat. W jednej z nich na drewnianym stelażu wisiała zbroja i
tarcza. Król
szybko zapiął napierśnik i wzmocnioną spiżem skórzaną spódniczkę.
Wyciąg-
nął miecz z pochwy i wrócił do zewnętrznego pokoju.
Panowała kompletna cisza. Władca czuł suchość w ustach, gdy stał w
pro-
gu i słuchał. Ilu zabójców czyhało na niego?
„Precz z jałowymi dywagacjami! – nakazał sobie. – Roztrząsanie szans
jest w tej chwili bezcelowe i może tylko osłabiać refleks i wolę
zwycięstwa,
a te w zbliżającej się walce będą decydujące”.
Skupił się na Kleopatrze i dziecku, które nosiła w łonie. Czy była bez-
pieczna? Może także była celem zabójców? Podszedł do łóżka, podniósł
ją,
położył na podłodze, przykrył kocem i wsunął ciało pod łóżko. Tam
było
niewidoczne.
Nagle zdał sobie sprawę z faktu, że jest zupełnie sam. Po raz
pierwszy od
dwudziestu lat nie otaczała go armia. Nikogo nie mógł zawezwać.
Poczuł
potężny gniew, który z wolna przeradzał się we wściekłość.
Ponownie stanął w progu i przez moment czujnie nasłuchiwał. Po jego
prawej stronie znajdowały się schody prowadzące w dół, do wielkiego
holu
i niższych andronitisów, po lewej – korytarze do kobiecych komnat.
Zrobił
głęboki wdech i wyszedł, przestępując leżących strażników. Kotara po
lewej
zamigotała i z kryjówki wyskoczył zabójca w ciemnej szacie. Filip
odwrócił się i wbił miecz prosto w pierś mężczyzny. Trafił go w serce. Wyjął
ostrze
i obrócił się ku wybiegającemu również z lewej strony drugiemu
zabójcy, za-
kapturzonemu i zamaskowanemu. Zablockował dziki sztych, po czym
uderzył
napastnika barkiem, powalając go na ziemię. Usłyszał odgłosy wielu
stóp na
dywanikach. Przeskoczył leżącego zabójcę i popędził do klatki
schodowej.
Rzucony przez kogoś nóż załomotał o jego napierśnik, odbił się

rykoszetem
i przeciął Filipowi skórę tuż za uchem.
Dotarłszy do szczytu schodów, król przystanął. Na dole dostrzegł trzech kolejnych strażników pogrążonych w narkotycznym śnie. Chwył leżącą włócznię i odwrócił się. Biegło ku niemu siedmiu mężczyzn. Zaczekał. Kiedy się do niego zbliżyli, wziął zamach, napiął mięśnie i cisnął włócznię. Przebił pierś pierwszego zabójcy na wylot; ostrze wyszło na plecach przy kręgosłupie. Z ust zabitego trysnęła krew, a on sam się zachwiał. Filip nie czekał na pozostałych – natychmiast zbiegł po stopniach. Brał po trzy naraz, usiłując utrzymać ciężar na zdrowej nodze. W połowie schodów potknął się i runął. Upuścił przy tym miecz. Stoczył się, a na dole uderzył głową w podstawę posągu. Na wpół ogłuszony starał się wstać. Miecz leżał dziesięć stóp ponad nim. Nie miał czasu po niego sięgnąć, gdyż sześciu pozostałych zabójców było tuż przy nim. Rzucił okiem na prawo, dostrzegł ciała dwóch wartowników i pobiegł ku nim. Jeden z zabójców wskoczył mu na plecy, muskularne ramię otoczyło jego szyję, lecz król szarpnął głową, obrócił się na pięcie i odepchnął mężczyznę ku jego towarzyszom. Nagle Filipa zamroczyło i zaczął się słać ku leżącym strażnikom, desperacko szukając ich broni. Rzucony nóż wbił mu się w nogę, lecz król zlekceważył ból i rzucił się całym ciałem na śpiącego strażnika. Ledwie zdążył schwycić miecz, gdy zabójcy otoczyli go ze wszystkich stron. Przetoczył się na bok i dźgnął najbliższego, przebijając mu pachwinę. W tym momencie obuta stopa trzasnęła go w skroń, nóż trafił w udo. Filip wzniósł bitewny okrzyk, podniósł się na kolana i rzucił na napastników. Któryś z nich kopniakiem wytrącił mu miecz z prawej ręki, lecz lewą król zdołał złapać zabójcę za gardło. Mężczyzna próbował go dźgnąć, ale ostrze zablokował napierśnik Filipa. Władca wbił palce w szyję napastnika – jego dłoń zamknęła się niczym żelazna pułapka wokół tchawicy. Czyjś miecz wbił mu się w biodro tuż pod pancerzem. Filip wrzasnął z bólu i puścił zabójcę, który zatoczył się, gwałtownie łapiąc powietrze. Pięść króla trzasnęła drugiego mężczyznę w podbródek. Chwilowo nikt go nie atakował, więc władca chwiejnie ruszył ku otwartym drzwiom. Zbiry skoczyły za nim, lecz zdołał dotrzeć do pustego pokoju, zatrzasnąć za sobą drzwi i zablokować wąską sztabą. Zabójcy natarli na drzwi, które zatrzeszczały pod ich naporem. Wiedząc, że wrota nie wytrzymają długo, Filip rozejrzał się dokoła w poszukiwaniu broni. Niestety, znalazł się w małym andronitisie. W pułapce bez

wyjścia. Pozbawiony okien pokój wyposażono jedynie w sześć pokrytych satyną tapczanów, rząd stołów i żelazny piecyk wypełniony rozżarzonymi węglami. Jeszcze wieczorem król siedział tu z Kleopatrami. Spokojnie omawiali wspólną przyszłość. Część drzwi pękła. Filip ruszył na środek pomieszczenia. Z ran w nodze i biodrze spływała krew. Drzwi ostatecznie ustąpiły, wyrwane z zawiasów, i pięciu pozostałych przy życiu zabójców wpadło do pokoju. Władca podbiegł do piecyka, mężczyźni ruszyli za nim. Jeden z nich, odważniejszy od reszty, zaatakował króla, ten jednak chwycił piecyk i cisnął w napastnika. Gorące węgle uderzyły w maskę zabójcy, wpadły mu w kaptur ciemnej tuniki i za szyję. Mężczyzna krzyknął, kiedy otoczył go dym i kłęby płomieni. Powietrze wypełnił zapach przypiekanego ciała. Napastnik upadł, włosy i brodę miał w ogniu. Wił się i darł wniebogłosy. Płomienie szalały na jego ciele. Czterech pozostałych zabójców ruszyło do przodu. Wyraźnie zamierzali okrążyć króla. Bezbronny i ranny Filip czekał na śmierć. Niespodziewanie jednak napastnicy zaprzestali ataku. Oczy rozszerzyły im się ze strachu i szoku. Jeden po drugim wycofali się, po czym odwrócili się i uciekli z pokoju. Król ledwie mógł uwierzyć w swoje szczęście. Po chwili jednak poczuł podmuch lodowatego wiatru na karku i się obrócił. Odległa ściana zamigotała, później ściemniała i ogromna, osobliwie roz-
dęta figura rozciągnęła się od podłogi po sufit. Pojawiła się głowa – wielka i szkaradnie zniekształcona, oczy bez powiek rozejrzały się po pokoju. Usta istoty były obrzeżone długimi kłami, wygiętymi jak szable. Filip zamrugał. Nie wierzył w to, co widzi. Pomyślał, że chyba śni koszmar, lecz ból z ran w nodze i biodrze był zbyt realny. Wyszeptał przekleństwo i zaczął biec ku drzwiom, które niemal w tym samym momencie zatrzasnęły się i zapłonęły żywym ogniem. Odwrócił się w tył, do potwora. Stworzenie nie miało rąk, w ich miejsce zaś wyrastały wielkie węże o głowach rozmiaru baryłek z winem i kłach długich niczym miecze. Gady syczały przeraźliwie i wysuwały się ku królowi. Cofając się, Filip dotarł do zwłok zabójcy, którego powalił piecykiem. Schylił się i podniósł leżący miecz. Ostrze wydawało się marną bronią przeciwko olbrzymiemu potworowi wyłaniającemu się ze ściany. Stworzenie w końcu całkowicie się od niej uwolniło i stanęło na ogrom-
nych, gęsto porośniętych futrem nogach. Jego głowa dotknęła wysokiego sufitu, wzrok skupił się na stojącym przed nim człowieku. Wężowe ramiona stale się poruszały. Pozbawiony drogi ucieczki król zaatakował wroga.

T

Wierzchowiec Parmeniona, siwy Paksos, bardzo się starał nadażyć za Bucefałem, który niestrudzenie kłusował. Spartanin nie zmuszał konia

do biegu. Paksos był rumakiem czystej krwi i pochodził z tego samego rodu co Tytan, ojciec Bucefała. A jednak nie sposób było porównywać ze sobą obu koni. Chociaż szybki, siwek nie był w stanie dotrzymać kroku niesamowicie prędkiemu karoszowi. Nie dorównywał mu również wytrzymałością. Wszak naprawdę się starał. Strategos wiecznie musiał ściągać lejce, ponieważ Paksos z całych sił pragnął dogonić rywala. Myśli jadącego za Aleksandrem wodza były posępne. Książę odprawił swoich towarzyszy, zapewniając ich, że jest bezpieczny. Odjechali rozczarowani i niepewni. Nie nimi jednak martwił się Parmenion, ale Hefajstionem. Młody oficer nadszedł z południa, pokonferował cicho z Aleksandrem, a potem skierował wierzchowca na południowy zachód i odjechał. Nawet słowa nie zamienił ze strategosem i unikał jego wzroku. Spartanin poczuł się dotknięty, chociaż nic po sobie nie pokazał. Był zaskoczony, że nie zastał młodzieńca w obozowisku, teraz zaś wiedział, że oficer nie jest już wobec niego lojalny. „Młodość zawsze lgnie do młodości” – powiedział sobie, ale żal nie minął. Książę stał wysoko, kiedy w trójkę wjechali do Pełli. Konie Parmeniona i Attalosa były spienione i zmęczone, natomiast czarne boki Bucefała zaledwie błyszczały od potu. Gdy przeszli do stępa, Aleksander uśmiechnął się do Spartanina. – Nigdy żaden książę nie dostał wspanialszego daru – zauważył, poklepując lśniąca, ciemną szyję wierzchowca. Na odgłos końskich kopyt na bruku ze stajni wyszedł rozespany stajenny. Rozpoznał księcia i skłonił się. – Starannie go wyczyszcz – polecił Aleksander, zeskakując z konia. Książę był chyba w bardzo dobrym humorze. Ruszył do pałacu, zatrzymał się jednak w pół kroku i zmrużył oczy. – Co się stało? – spytał Attalos. Strategos natychmiast odkrył powód niepokoju Aleksandra. – Nie ma wartowników – syknął. Wyjął miecz i pobiegł ku ogromnym, obitym spiżem wrotom za bliźniaczymi kolumnami na frontonie pałacu. Dostrzegł w cieniu porzuconą włócznię i serce zaczęło mu łomotać. – Król! – wrzasnął i napał na lewe skrzydło, które gwałtownie się otworzyło. Wbiegł do środka. Lampy migotały na ścianach. W ich przytłumionym świetle wódz zobaczył wartowników. Leżeli płasko rozciągnięci na podłodze. Jakiś cień poruszył się na prawo od nich i w następnej minucie z dolnego andronitisu wynurzyło się czterech uzbrojonych mężczyzn. Mieli na sobie ciemne chitony i obcisłe spodnie, ich twarze były zakapturzone i zamaskowane. Zerknęli na Parmeniona i ruszyli ku niemu z długimi nożami w dłoniach. Jeden z nich zaatakował go, pozostali trzej natomiast skierowali się ku wrotom, lecz tam zaszedł im drogę Aleksander wraz z Attalosem. Spartanin błyskawicznym cięciem niemal odrąbał ramię zabójcy. Żelazo

zgruchotało kość, ręka mężczyzny zwisała prawie na samej skórze.
Nożownik
z krzykiem upadł na plecy. Wódz podszedł do niego i zatopił miecz w
jego
gardle.
Walczący za strategosem księżę równie szybko uśmiercił kolejnego za-
bójcę zaskakującym sztychem w brzuch, podczas gdy fechtmistrz borykał
się
z trzecim. Czwarty mężczyzna zdołał umknąć na dwór. Nagle przeciwnik
wybił fechtmistrzowi miecz z ręki i uderzył go pięścią w podbródek.
Attalos
osunął się na ścianę. Aleksander natarł na zabójcę w ostatniej
chwili, gdy ten
wznosił właśnie miecz ku gardłu fechtmistrza. Na szczęście księżę był
szybszy
– precyzyjnym ciosem rozplątał wrogowi kark.
Attalos zatoczył się, gdy zabity upadał, po czym schylił się po
miecz.
Spartanin zaczął się już wspinać na schody, kiedy z dolnego
andronitisu
dotarł do niego przedziwny, wręcz niezziemski wrzask. Aleksander jako
pierw-
szy dopadł drzwi, które wydawały się zamknięte na klucz, lecz nie
zdołał ich
otworzyć, mimo iż były wyrwane z zawiasów.
Niby nic nie utrzymywało drzwi w ścianie, a jednak pozostawały zamk-
nięte.
Aleksander zrobił krok w tył i przez moment wpatrywał się w drewno.
Potem podniósł miecz.
– Nie przetniesz nim... – zaczął Parmenion.
Ostrze trafiło w drzwi, które niemal eksplodowały do wnętrza. Do po-
mieszczenia zwała się jedynie sterta drzazg. Aleksander wpadł do
androni-
tisu, obaj jego towarzysze podążyli za nim. Wszyscy trzej
znieruchomieli na
widok ogromnego demona, który stał po przeciwnej stronie pokoju.
Walczył
z nim król.
Wężowe ramiona niespodziewanie się wyciągnęły, otoczyły Filipa w
talii
i podniosły go z podłogi. Księżę i strategos ruszyli z odsieczą,
jednak fecht-
mistrz nadal stał nieruchomo. Był tak przerażony, że nie mógł zrobić
nawet
kroku.
Potwór unosił powoli króla ku swojej przepastnej paszczy. Kły
stworzenia
ociekały śliną, która kapała na pierś ofiary. Aleksander podbiegł
kilka stóp,
zatrzymał się i zamachnął mieczem niczym oszczepem. Jego ręka
przesunęła
się do przodu, żelazne ostrze przecięło powietrze. Gdy kły zbliżyły
się do
Filipa, miecz księcia trafił potwora w oko. Demon wygiął szyję, a
wtedy Filip
wraził swój miecz w jej napięta, łuskowatą skórę. W ranie zbulgotała
czarna
krew, wężowe ramiona zaczęły spazmatycznie drgać, wypuszczając króla,
który upadł na mozaikową podłogę. Wylądował bezwładnie niczym
szmacia-
r
na lalka. Leżał nienaturalnie wykrzywiony. Parmenion podbiegł do
demonia,
z wściekłością okładając go gdzie popadnie, tymczasem Aleksander

rzucił się
ku Filipowi. Chwycił go i ciągnął przez pokój, ku drzwiom.
Z ran potwora buchały kłęby dymu, który szybko wypełnił andronitis.
Wojownicy poczęli się dusić.
– Wycofujemy się! – krzyknął Spartanin.
Attalos pomógł księciu wydostać króla na korytarz. Strategos dołączył do
nich i we trzech wynieśli rannego Filipa z pałacu. Położyli go między kolum-
nami przed wrotami wejściowymi.
– Sprowadź medyka – polecił wódz fechtmistrzowi, ten jednak wciąż
nieruchomo klęczał przy władcy. Jego twarz zastygła w wyrazie
niedowierza-
nia przemieszanego ze zgrozą.

– Król nie może umrzeć! – wyszeptał Attalos.
Parmenion brutalnie szarpnął go za ramię.
– I nie umrze! Tylko sprowadź medyka!
– Tak... tak – mruknął mężczyzna, po czym wstał i pobiegł do koszar.
– Rany są głębokie – stwierdził Aleksander – ale chyba nie śmiertelne.
Cięcie na udzie już się zasklepia.
– Filip zawsze był mocny jak górski lew. Wytrzyma. – Księżyc wyszedł
zza chmur i jego jasnosrebrna poświata oblała wejście do pałacu. –
Popatrz
na to! – szepnął Spartanin, wskazując na żelazny napierśnik króla.
Metal był
powykrzywiany i wygięty w miejscach, gdzie wokół macedońskiego władcy
owinęły się węzowe ramiona potwora. Sprawnie we dwóch zdjęli Filipowi
zbroję. Książę sztyletem przeciął tunikę. Cała klatka piersiowa
pokryta była
straszliwymi siniakami. Wódz ostrożnie sprawdził palcami żebra. –
Przynaj-
mniej jedno jest pęknięte – oznajmił.
Władca poruszył się i otworzył oczy.
– Aleksandrze, mój synu, czy to ty? – szepnął.
– Jestem tutaj, ojczu.
– Dzięki... dziękuję bogom. Wybaczysz mi?
– Nie mam ci czego wybaczać. Parmenion twierdzi, że byłeś w sidłach
mrocznej magii. Teraz wszystko będzie dobrze. Jesteśmy razem.
Filip usiłował się podnieść, jednak Spartanin łagodnie pchnął go na
ziemię.
– Poczekaj na medyka.
– Zaraza na wszystkich medyków! – prychnął król. Strategos potrzęs-
nął głową, lecz pomógł władcy usiąść.
– Cóż to było za monstrum rodem z Hadesu?
– Euklistes – odparł książę. – Dawny Tytan, teraz służy każdemu, kto
dysponuje odpowiednią mocą, by go wezwać.
– Skąd go znasz? – spytał zaintrygowany wódz.
Aleksander uśmiechnął się.
– Miałem doskonałego nauczyciela. Arystoteles opowiedział nam wiele
historii o przeklętych.
– Ocaliłeś mi życie, chłopczu – szepnął Filip, wyciągając rękę i
ściska-
jąc ramię syna. – Już trzy razy. – Nagle zachichotał. – Chyba będę
żył
wiecznie. Na bogów, skoro ośmiu zabójcom i takiej bestii nie udało
się mnie
zabić, kto zatem zdoła?
Ajgaj, lato 336 roku p.n.e.
Filip obudził się w pogodny letni dzień. Słońce wpadało do sypialni
przez
otwarte okno. Król przeciągnął się i wstał z łóżka. Wsłuchał się w
dźwięki
ptasich treli dobiegających z ogrodu, który rozciągał się pod jego

pokojami.
Powietrze wypełnił zapach kwiatów i monarcha niemal poczuł się znowu młody.
Podszedł do długiego spiżowego zwierciadła, stanął przed nim i przypa-
rzył się swojemu odbiciu. Już nie miał nadwagi. Mięśnie brzucha odznaczały się wydatnie, czarna broda i mocno kręcone włosy lśniły zdrowo. Blizny na biodrze i udzie poblady – pozostały po nich na śniadej, opalanej skórze jedynie cienkie białe linie.
– To chyba najlepszy okres mojego życia – oświadczył swojemu odbiciu. Nie pamiętał, kiedy miewał się lepiej. Rana w nodze rzadko go teraz kłopotowała, a ból z oślepiętego oka był tylko wspomnieniem.
Służący przynieśli mu białą tunikę i odświętny płaszcz. Ubrał się i odpra-
wił sługi, potem wyszedł na balkon. Cudownego błękitu nieba nie szpeciła nawet jedna chmurka. Wysoko ponad pałacem złocistopióry orzeł skręcił i poszybował na ciepłych prądach powietrznych.
Zapowiadał się wspaniały dzień!
Poprzedniego wieczoru Kleopatra urodziła królowi syna – zdrowe, rozkrzyczane niemowlę o czarnych jak smoła włosach. Filip podniósł dziecko do okna i przytrzymał je w górze dla żołnierzy i mieszkańców starej stolicy zgromadzonych na zewnątrz. Od ich wiwatów pałac aż zadrżał w posadach.
Dziś ludzie mieli obchodzić narodziny księcia w prawdziwie macedońskim stylu Zapowiedziano uroczysty pochód, zabawy, parady i przedstawienia z udziałem najwspanialszych aktorów Grecji. Dzień będzie pamiętny nie tylko z powodu urodzin nowego księcia.
O północy Filip otrzymał wiadomość od Parmeniona. Forpoczta jego armii przekroczyła Hellespont i nie napotykając oporu, wkroczyła do Persji. Wiele azjatyckich miast greckich, łącznie z Efezem, powstało przeciwko perskim suwerenom. Spełniały się wszystkie marzenia Filipa.
Dwadzieścia lat misternego planowania, intryg, bitew i spiskowania... I nareszcie. Nadchodził kulminacyjny moment jego walki. Ateny w końcu uznały go przywódcą Grecji. Wszystkie polis podażyły za ich przykładem – z wyjątkiem Sparty, ale Sparta już się nie liczyła. Grecka armia dotarła do Persji i wkrótce Filip dołączy do swoich żołnierzy. Potem uwolnią wszystkie greckie miasta Azji, a perski król, Dariusz, zapłaci fortunę tytułem kapitulanc-
kiej daniny... byle tylko uniemożliwić macedońskiej armii marsz głębiej w swoje imperium.
Król roześmiał się gromko. Dźwięk poniósł się ponad ogrodami. Mijało właśnie pięć miesięcy, odkąd demon omal go nie zabił. W tym czasie król ponownie odkrył radości życia. Przed oczyma wyobraźni stanęła mu twarz Olimpias. Nachmurzył się, ale nawet myśli o niej nie potrafiły mu popsuć nastroju.
Do pokoju wszedł służący i oznajmił, że na zewnątrz czeka Aleksander.
– No to go wprowadź, człowieku! – rozkazał Filip.

Książę miał na sobie czarno-złotą zbroję królewskich gwardzistów, a na głowie hełm z białym pióropuszem. Skłonił się i uśmiechnął.

– Wspaniale wyglądasz, ojczce. Do twarzy ci w bieli.

– I świetnie się czuję. To będzie cudowny dzień.

– Rzeczywiście. Tłumy już się zbierają i procesja jest gotowa.

– Tak jak i ja – oznajmił Filip. Mężczyźni wyszli szybko z pałacu. Za wielką bramą czekali żołnierze. Konni pochodzili ze wszystkich greckich prowincji, piechurzy wręcz z każdego okręgu. Byli też aktorzy i śpiewacy, poeci, żonglerzy, akrobaci.

W pierwszy szereg wyprowadzono dwa białe byki obwieszane girlandami kwiatów. Zwierzęta stanowiły podarki dla Zeusa, ojca bogów. Za nimi po-
dażało dwadzieścia wozów z rzeźbionymi drewnianymi posązkami Artemidy, Apollina, Aresa, Afrodyty i innych greckich bóstw.

Filip, w koronie ze złotych liści dębu na głowie, szedł pośrodku procesji.

Otaczali go królewscy gwardziści z Aleksandrem na czele. Za nimi szli ambasadorzy z takich polis jak: Ateny, Korynt, Teby, a nawet ze Sparty. Byli także reprezentanci Beocji, Feraj, Eubei, Tracji, Ilirii i Pajonii.

Władca zerknął w tył przez prawe ramię na wznoszące się w oddali góry, potem ponownie przed siebie, na rozległą przestrzeń Równiny Emackiej. Macedonia! Jego ziemia!

W przeciwieństwie do Pełli, gdzie pałac stał w samym środku miasta, tutaj w starożytnej stolicy pałac zbudowano na szczycie wysokiego wzgórza. Miasto rozciągało się poniżej, białe i połyskujące. Filip daleko przed sobą widział amfiteatr, do którego kierował procesję. Od podstawy wzgórza aż do wejścia, po obu stronach trasy kłębiły się prawdziwe tłumy.

Poganiacze popędzili do przodu białe byki. Rozpoczęło się długie zejście na równinę. Zwierzęta przechodziły na lewo od dawnych grobów macedońskich władców, zagrzebanych głęboko pod porośniętymi wysokimi drzewami stokami. Tutaj leżeli przodkowie Filipa, których suto wyposażone krypty starannie ukryto przed wścibskimi oczyma potencjalnych złodziei.

„Pewnego dnia spocznę w takim miejscu” – pomyślał i mimo świecącego słońca zadrżał.

Procesja rozciągnęła się na prawie ćwierć mili i tłumy po obu stronach alei sypały idącym pod stopy kwiaty. Monarcha pozdrowił ludzi, dziękując im za owacje. Czuł, że wypełnia go moc ich miłości.

– Niech król żyje nam jak najdłużej! – wrzasnął ktoś i jego krzyk podjęli wszyscy na trasie.

Filipa zaczęła boleć noga, ale był już blisko amfiteatru, gdzie oczekiwały na niego tysiące obywateli i dygnitarzy. Chcieli go zobaczyć i posłuchać jego opowieści o przyszłej sławie. Żaden z nich nie wiedział jeszcze o sukcesach Parmeniona i Attalosa w Persji i król aż zadygotał na tę myśl.

Cieszył się, że może przekazać mieszkańcom swojego kraju tak wspaniałe wieści.

„Rodacy – powie im. – Macedończycy. Stoimy u zarania nowej ery.

Potęga Persów została złamana, przed nami świt wolności..."
Procesja skręciła w lewo, ku szerokiej bramie, natomiast Filip wraz z gwardzistami poszli w prawo, do niskiego tunelu, który prowadził wprost na królewskie podium. W cieniach tunelu władca zatrzymał się i zerknął za siebie na uzbrojoną po zęby gwardię przyboczną.
– Nie chcę wchodzić w otoczeniu straży – stwierdził. – Będę z wami wyglądał jak tyran. Wejść zatem pierwszy, wy zaś podążycie za mną...
jakieś trzydzieści kroków z tyłu.
– Stanie się zgodnie z twoim rozkazem, ojczyźnie – zgodził się Aleksander.
Filip wszedł w cień, jego zdrowe oko skupiło się na kwadracie światła przed nim.
Ruiny Troi, zima 335 roku p.n.e.
Parmenion dojechał na Paksosie do grzbietu wzgórza, które wznosiło się nad popękаныmi kolumnami Troi. Towarzyszyli mu adiutanci – sześciu postawnych mężczyzn na rosłych koniach, sami synowie macedońskich arystokratów.
– Tutaj Achilles walczył i padł – szepnął Perdikkas drżącym głosem.
– Tak – odparł strategos. – Pod murami tego grodu król Priam w krwawych bojach wielokrotnie pokonał armię Grecji. Tutaj zabito Hektora, tu piękna Helena mieszkała z kochankiem Parysem. Niewiele pozostało już dziś z legendarnej Troi.
– Możemy zjechać do ruin, panie? – spytał Ptolemeusz.
– Oczywiście, bądźcie jednakże ostrożni. W pobliżu jest wiele wiosek. Ich mieszkańcy mogą się okazać niezbyt przyjaźni. Szlachcice popędzili wierzchowce do galopu. Pędem zjeżdżali po stoku ku ruinom. Na południe od siebie Spartanin dostrzegł świątynię o białych murach. Bodnął siwka piętami i pokłusował ku niej. Podczas całodziennego jeździe nie napotkali żadnych perskich oddziałów, to też towarzyszącym mu młodzieńcom prawdopodobnie nic nie groziło. A jednak wódz pragnął, by jego oficerowie stale pozostawali w gotowości. Kiedy zbliżył się do świątyni, boczną bramę otworzyła mu niska, pulchna kobieta, po czym wyszła mu na powitanie. Ściągnął cugle wierzchowca i zatrzymał się przed nią.
– Jesteś Lwem Macedonii, panie? – spytała.
Parmenion był szczerze zaskoczony. Przyjechał tu z piętnastoma tysiącami macedońskich żołnierzy, a przynajmniej tuzin oficerów przypominało go z wieku i wzrostu.
– Tak mnie nazywają, moja droga. Dlaczego pytasz?
– Moja pani wysłała mnie po ciebie. Umiera.
– Nie jestem uzdrowicielem, lecz żołnierzem. Co ci o mnie powiedziała?
– Kazała mi wyjść ze świątyni i podejść do wojownika na siwym rumaku. To wszystko, panie. Przyjdiesz do niej?
Parmenion zadygotał, gdyż mimo grzejącego słońca poczuł nagły ziąb. W jego podświadomości pojawiła się jakaś myśl, której nie potrafił w pełni zwerbalizować... Spojrzał na kobietę. Czyżby ktoś chciał go wciągnąć w pułapkę? Czy w środku, wśród białych ścian, czaili się żołnierze albo zabójcy?
Zdecydował, że nie. Stojąca przed nim kobieta nie była zdenerwowana.

Po prostu wypełniała polecenia swej pani. Zeskoczył z konia i poprowadził go przez wąską bramę, a później krętą ścieżką przez zapuszczony ogród. Jednak jego umysł nadal wypełniały burzliwe myśli. „Cóż to za dziwne miejsce?” – zastanowił się. Wokół świątyni panował ogromny spokój, kojąca cisza i harmonia, jednak zmysły strategosa szalały i miał napięte wszystkie mięśnie. Zatrzymał się przed głównymi drzwiami i przywiązał lejce do zwisającego konaru.

– Kim jest twoja pani? – zapytał.

– Kiedyś była uzdrowicielka, panie – odrzekła kobieta. Wewnątrz panowały ciemności. Służąca wprowadziła Spartanina do małego pokoju z pojedynczym oknem zakrytym grubą wełnianą kotarą. Na wąskim łóżku leżała staruszka. Twarz miała wyniszczoną, oczy ślepe. Parmenion podszedł do okna i rozsunął zasłony. Jaskrawe słoneczne światło wypełniło pomieszczenie. Popatrzył na starą i prawie stracił oddech. Zatoczył się. By nie upaść, musiał się chwycić kotary. Później zawiadnęły nim wspomnienia, docierając z najmroczniejszych zakamarków umysłu. Ponownie zobaczył ogród w Olimpii, gdzie po raz pierwszy objął Derae. Po chwili znowu zobaczył leżącą w jego łóżku dziewczynę i usłyszał jej łagodny, słodki głos. „Śniłam, że jestem w świątyni. Wokół panowały kompletne ciemności. Spytałam: »Gdzie jest Lew Macedonii?« Wówczas zaświeciło słońce i ujrzałam wodza w hełmie z białym pióropuszem. Wódz był wysoki i stał w dumnej pozie, z tyłu na jego pancerzu tańczyło światło. Dostrzegł mnie...”

– Na słodką Herę! – wyszeptał Parmenion, padając na kolana. – To nie możesz być ty, Derae! Niemożliwe!

Stara kobieta westchnęła.

– A jednak to ja – odparła. – Kiedy mnie wyrzucili za burtę statku, nie umarłam. Dotarłam jakoś do brzegu. Czekałam tutaj latami z nadzieją, że kiedyś po mnie przyjdiesz.

Strategos wyciągnął drżące palce i wziął staruszkę za rękę.

– Sądziłem, że nie żyjesz. Przemierzyłbym dla ciebie cały Hades!

– Wiem.

– Więc dlaczego mnie nie powiadomiłaś?

– Nie mogłam. Zostałam uzdrowicielką, kapłanką. A kiedy się dowiedziałam, że jesteś w Tebach, poleciałam tam duchem, ale żyłeś już z inną kobietą. – Nie znajdował żadnej właściwej odpowiedzi, zresztą czuł się jakby coś ścisnęło mu gardło. Usiadł więc tylko i trzymał jej spuchniętą, artretyczną dłoń, podczas gdy ona opowiadała mu o latach spędzonych w świątyni, o duchowych podróżach przez morza, o ocaleniu jego i Tetydy z zarazy w Tebach. Mówiła, że skierowała go na wyprawę w podziemia, gdzie musiał uratować duszę Aleksandra, że uzdrowiła go z nowotworu mózgu i przywróciła mu częściowo młodość. W końcu streściła mu swoją podróż (w

przebraniu

Teny) do świata magii. Wtedy jęknął głośno.

– Dlaczego nie ujawniłaś mi wówczas swego prawdziwego imienia?

– Chyba nawet chciałam, ale wtedy spotkałeś mojego sobowtóra w tamtym świecie i... – Popłakał się. Kapłanka poczuła, jak mała, ciepła łza spada

na jej rękę. – Och, mój kochany, nie rozpaczaj. Miałam cudowne życie, uzdrowiłam wielu ludzi. Przez cały czas obserwowałam cię i strzegłam.

Nie

odczuwam smutku. Pielęgnowałam pamięć o naszych wspólnych dniach.

Zachowałam wspomnienia.

– Nie umieraj! – błagał. – Proszę, nie umieraj!

Wymusiła słaby uśmiech.

– Nie potrafię spełnić twojej prośby – oświadczyła. – Ale nie wysłałam Kamfity po ciebie, abyś cierpiał. Chciałam cię ostrzec. Pani Samotraki...

Aida. Pamiętasz ją?

– Tak.

– Jest w Macedonii. Zamierza ukraść Aleksandrowi chroniący go naszyjnik. Trzeba ją powstrzymać. Bez naszyjnika Bóg Mroku zwycięży.

– Wiem. Nie martw się. Będę chronił Aleksandra.

– Bóg Mroku posiada niewyobrażalną moc. Przez cały czas musisz się mieć na baczności.

– Będę uważał – zapewnił ją ze znużeniem. – Odpowiedz mi wszak na jedno pytanie: czy istnieje sposób pokonania Ducha Chaosu? Można zabić

demoną, nie raniąc księcia?

– Nie – odparła – Ducha Chaosu nie można zabić. Przetrwą nawet po śmierci Aleksandra. Kiedy ciało żywiciela zostanie zniszczone, na przykład

strawione przez ogień, pożarte przez robaki albo sępy, Bóg Mroku znowu się

uwolni.

– A jeśli go jakoś powstrzymamy, czy nie znudzi się swoim żywicielem? Po co miałyby na nowo próbować opętać księcia? Nie prościej znaleźć

kolejną

ludzką istotę i zawładnąć jej duszą?

– Nie jest w stanie tego zrobić – wyjaśniła. – Owa noc na Samotracy, kiedy ty... – Przerwała na moment, ścisnęła mu rękę i posłała słaby,

przepraszający uśmiech, po czym podjęła: – Otóż owa noc poczęcia Aleksan-

dra nie została wybrana przypadkowo. Była to szczególna, bezbożna pora.

Rzucono wtedy wielkie zaklęcia i przelano krew wielu niewinnych.

Celem

wszystkich tych okrutnych obrządków było stworzenie więzi pomiędzy po-

czętym dzieckiem a złem reprezentowanym przez Kadmilosa. Dziecko stało

się bramą, przez którą bestia zamierza przejść do naszego świata. Połączenie

Aleksandra z Kadmilosem potrwa aż do śmierci księcia. Z kolei Bóg Mroku

nie może opuścić swego żywiciela. Jest skazany na ciało księcia aż do ostatnich jego dni.

– W takim razie nie ma nadziei?

– Zawsze jest nadzieja, mój umiłowany – stwierdziła. – Zło od zarania dziejów walczy z dobrem, lecz równowaga sił w każdej chwili może

zostać

zachwiana... Jej głos zamarł i przez moment Parmenion sądził, że odeszła na

zawsze. Wszystkie myśli o Bogu Mroku natychmiast pierzchły z jego umysłu.

Roz-
paczliwie złapał dłoń Derae i przywołał imię swej ukochanej.
Niewidome
oczy kapłanki się otworzyły. Kobieta uśmiechnęła się delikatnie.
– Nie mówmy o tym więcej – szepnęła. – Opowiedz mi raczej o swoich
latach tutaj. Chciałbym je choć we wspomnieniach dzielić z tobą.
Usiadł i słuchał, aż zaszło słońce. Nie zauważył nawet, że przybyli
jego
oficerowie i w milczeniu stanęli przy wejściu. W mig zrozumieli, że
to
wyjątkowe chwile w życiu wodza, a jego nieskrywany żal ranił im
serca.
W końcu, gdy na niebie pojawiły się pierwsze gwiazdy wieczorne, Derae
wzięła głęboki, drżący oddech.
I odeszła...
Nie pożegnała się, nie wypowiedziała ostatnich słów pożegnania, które
często znaczą duszę żyjących straszliwym bólem utraty. W jednym
momencie
żyła, w następnym jej dusza uleciała.
Kiedy przestała oddychać, Spartanin usiadł i znieruchomiał na tak
długo,
że jego żołnierze zaczęli się niepokoić. Wówczas jednak pomieszczenie
wypełnił jakiś nieziemski spokój, którego nikt z obecnych nigdy nie
zapomni.
Zrobiło się ciepło, a atmosfera wydawała się wręcz kojąca. Podnosiła
na
duchu, przepełniała miłością, wsączyła się w serca, umysły i dusze.
W końcu Ptolemeusz podszedł do wodza i objął go. Inni poszli za jego
przykładem.
Później bardzo delikatnie wyprowadzili zapłakanego strategosa do
ogro-
du, gdzie czekał jego wierny wierzchowiec.
Frygia Większa, 336 rok p.n.e.
W następnych tygodniach Parmenion całą swoją energię skierował na
planowanie kampanii. Pracę rozpoczął przed świtem, a kończył
o zmroku, nawet znacznie młodszy od niego oficerowie czuli się
wyczerpani.
Sprawdził szczegółowo stan zaopatrzenia, zamówił kartografów i
poleciał im
sporządzić mapę okolicy, zorganizował transport żywności, wysłał
zwiadow-
ców, by wypatrywali ateńskie statki z zapasami, rozmieścił kwatery...
Praco-
wał niemal na granicy wytrzymałości.
Attalos spróbował przemówić mu do rozsądku, błagając, by pohamował
swoją zapał, jednak strategosowi nie sposób się było przeciwstawić.
Ignorował
wszelkie rady i dalej ciężko pracował. W przeszłości doradzał mu
Motak,
którego talenty organizacyjne często okazywały się nieocenione, teraz
–
po jego odjeździe – uważał, że nikomu nie może ufać. Niemal
trzydziesto-
tysięczna armia niebawem przekroczy Hellespont. Konie będą potrzebo-
wały bezpiecznych i żyznych pastwisk, żołnierze – mięsa, zboża i
wody.
Bitwy w gruncie rzeczy toczą się same, jednak utrzymanie wojownika w
sta-
nie pełnej gotowości bojowej stanowi me lada sztukę. Ciągnięty przez
czte-
ry woły wóz mógł przewieźć przez pustynię trzydzieści baryłek z wodą,
jednak wół też musi pić, więc po dziesięciu dniach zostaje jedynie
piętnaś-
cie baryłek. Z takimi właśnie przyziemnymi problemami Parmenion się

mie-
rzył, chciał bowiem za wszelką cenę ukoić ból, który odczuwał po śmierci Derae.
W armii dochodziło do nieustannych scysji i bijatyk, gdyż żołnierze pochodzili z od dawna wrogich sobie narodów, takich jak Pajonowie, Thro-
wie, Macedończycy, Ateńczycy i Trakowie. Wodzowi codziennie donoszono o krwawych waśniach; wielu wojowników ginęło w pojedynkach.
Strategosa
lub Attalosa często wzywano do osadzenia nieszczęśników, którzy przeżyli
takie obozowe bitki. Spartanin straszliwie się irytował, gdy musiał skazywać
na śmierć świetnych żołnierzy.
Jednak nawet tak przykre obowiązki preferował ponad uporczywe, gorzkie wspomnienia związane z Derae. Przez tyle lat żyła z dala od niego, a teraz bogowie mu ją zabrali.
Wczesnym popołudniem w połowie piątego tygodnia spędzanego na tym przyczółku perskiego imperium zwiadowcy donieśli mu, że grupa macedoń-
skich oficerów przybyła ateńskim statkiem. Ani słowa o ruchach Filipa!
Parmenion zaklął pod nosem.
Persowie co prawda uciekli przed agresorem, ale wiele greckich miast z wybrzeża prosiło Macedończyków, aby uwolnili ich od Dariuszowej hege-
monii. A jednak Parmenion nie mógł podążać zbyt szybko w głąb imperium,
ponieważ rozciągnięcie watłych sił mogło grozić piorunującym w skutkach
kontrnatarciem i rozbiciem w proch macedońskich oddziałów. Tak więc, chcąc nie chcąc, był zmuszony poczekać na przybycie króla i reszty armii.
Wiedział, że ta zwłoka wkrótce doprowadzi do osłabienia morale w miastach
i wiele z nich wycofa swoje poparcie dla Filipa.
Strategos zarekwirował dom w jednym z przejętych miast Kabalii. Dzielił
go z Attalosem. Fechtmistrz był w doskonałym nastroju od samego początku
inwazji, a rola współwodźcy wyraźnie zaspokajała jego ambicje. Na ogół
pozostawali w dobrych stosunkach, choć Attalos spychał wszelkie drobniejsze
jego zdaniem sprawy na Spartanina, a sam co dnia oddawał się polowaniu lub
jeździł na zwiad. Mieli przed sobą wprost niezmierzone terytoria do podbicia.
Stary wojownik zyskał nawet nieco popularności, ponieważ nigdy w bitwie nie wahał się jechać w pierwszej linii i wyróżnił się w kilku pierwszych
potyczkach z perską armią.
Parmenion odsunął od siebie papiery na szerokim biurku i przeciągnął się.
Był zmęczony, niemal śmiertelnie znużony. Nietrudno pomaszerować do Azji, lecz długa kampania wymagała więcej wytrzymałości, odwagi i nieprze-
rwanej wręcz koncentracji, niż kiedykolwiek potrzebował w życiu – w każ-
dym razie przez tak długi czas. Nie pamiętał tak trudnego okresu w swoim
życiu.

Dał Filipowi trzy lata. Trzy lata na przejęcie kontroli nad Azją Mniejszą i zapewnienie bezpieczeństwa krajowi. Trzy lata... A ponieważ sam miał już sześćdziesiąt cztery lata, zastanawiał się, czy w ogóle przeżyje tę kampanię. Musiał pokonać wiele problemów. Głównym pozostawało wyżywienie armii. Przekroczywszy Hellespont, dysponowali zapasami na około trzydzięści dni, lecz jedzenie skończyło się już dwudziestego trzeciego dnia. Od tego czasu żołnierze plądrowali okoliczne osady, jednak Parmenion niepokoił się, że statki z zapasami mogą nie dotrzeć do wyznaczonych i obsadzonych zatok. Macedoński król posiadał tylko sto sześćdziesiąt jednostek, a na flotę perską składało się ich trzy razy tyle. Gdyby wpłynęły na Morze Egejskie, wojska lądowe zostałyby pozbawione pożywienia i tym samym zmuszone do poddania się lub wycofania. Jednak nawet przy stałym zaopatrzeniu ciągle pozostawał problem perskiej armii. W ostateczności nowy król, Dariusz, mógł zebrać prawie milion żołnierzy. Mało prawdopodobne, by zgromadził aż tylu w krótkim czasie, Spartanin wiedział jednak, że wystarczy, by Wielki Król skoncentrował regularne siły ze środkowej Persji, a Macedończycy staną wobec ponad studziesięciotysięcznej, dobrze uzbrojonej i wyszkolonej armii. Było w niej prawie czterdzieści tysięcy doskonałych procarzy i łuczników. Nawet kiedy Filip przybędzie z posiłkami, w całej macedońskiej armii będzie zaledwie około tysiąca łuczników... Strategos uważał, że macedoński władca – mimo swoich niezwykłych wodzowskich talentów – nigdy tak naprawdę nie zrozumiał perskiego imperium i panujących w nim skomplikowanych układów. Z leżącej na zachodzie Frygii Wielki Król rządził odległymi ziemiami Hindukuszu: od żyznych pól uprawnych po jałowe pustynie, od pokrytych lodem lasów po niedostępną dżunglę. Podbicie tego rozległego królestwa najbardziej właśnie utrudniała metoda rządzenia. Satrapowie i lenni królowie przeważnie posiadali niemal pełną autonomię i własne wojska. Oni ustana-wiali podatki. Nawet gdyby Filip pokonał Dariusza, nadal miałby przed sobą dwudziestu potężnych wrogów, a każdy z nich potrafił zebrać armię większą od macedońskiej. Terytorium wielkości dwóch milionów mil kwadratowych zamieszkałe przez sto różnych narodów! Wobec takich statystyk zupełnie się nie liczyły wszystkie dotychczasowe triumfy macedońskiego monarchy! O zachodzie słońca Spartanin obszedł obóz. Zatrzymał się, by sprawdzić czujność wartowników oraz żołnierzy patrolujących końskie wygony. Jeden z młodych żołnierzy siedział sobie spokojnie i zajadał chleb z serem. Hełm i miecz ułożył obok. Na widok wodza niezdarnie zerwał się na równe nogi.

– Przepraszam, panie. Nic dziś jeszcze nie zdążyłem zjeść.
– Trudno jeść z rozprutym gardłem – odburknął strategos. – Jesteśmy na terenie wroga. Pamiętaj, że nie masz tu wielu przyjaciół.
– Wiem, panie. Więcej się to nie powtórzy.
– Zgadza się. Gdy następnym razem zobaczę, że siedzisz, osobiście poderżnę ci gardło.
– Dziękuję ci, panie... To znaczy... chciałem...
– Wiem, co chcesz powiedzieć – odpowiedział opryskliwie Parmenion i odszedł.
Jego żołnierze byli tacy młodzi i medoświadczeni. Nie to co dawniej-Gołowasy bawiące się w wojnę.
Przez mniej więcej godzinę wódz wędrował po obozie położonym pod miastem, potem wrócił do domu. W alejkach ogrodu stały piękne posągi. Budynek miał białe ściany, poprzecinane ogromnymi, szerokimi oknami, podłogi w rozległych pokojach nie były wyłożone mozaikami, lecz pokryte mniejszymi i większymi dywanami o wspaniałej miękkości i tak długim włosiu, że nogi zapadały się po kostki. Olbrzymie malowidła zdobiły wewnętrzne ściany. Przedstawiały perskich bogów: potężnego i mądrego pana Ahurę Mazdę oraz jego służebnice – pomniejszych dewy.
Niewolnica przyniosła Parmenionowi dzban słodkiego wina. Miało w sobie spory dodatek miodu. Spartanin przyjął puchar i odprawił dziewczynę.
Wraz z zapadnięciem zmroku do pomieszczenia weszła kolejna służąca. Zapaliła wiszące na ścianach miedziane lampy. Po pewnym czasie pokój zalała subtelna złota luna. Strategos zdjął napierśnik i nagolenniki, po czym z trunkiem w ręku usiadł na szerokim tapczanie.
Attalos znalazł go tam tuż po zmroku. Fechtmistrz miał na sobie długi, szary chiton, białe włosy związał czarną skórzaną taśmą przetykaną srebrem.
– Udany miałeś dzień? – spytał wodza.
Parmenion wzruszył ramionami.
– Może i udany. Szkoda tylko, że wciąż nie ma z nami Filipa. Wiele miast urządziłoby na naszą cześć pochody wolności i radosne fety. Jak będzie dalej zwlekał, niechybnie zacznie ich opuszczać odwaga. Usłyszą o przygotowaniach Wielkiego Króla do wojny i zaryglują przed nami bramy.
– Widzę, że nadal trwasz w typowym dla siebie mrocznym nastroju – mruknął Attalos. – Obawiam się, że wzmaga go picie sików perskiej kozy.
Potrzebujesz dobrego greckiego wina – dodał, napełniając sobie puchar złotym trunkiem i wychylając jednym łykiem połowę zawartości.
– Ponury nastrój już mi minął – odparł powoli Spartanin – jednak nasi szpiegowie informują, że Wielki Król zbiera armię, jakiej świat nie widział od czasu, gdy Kserkses najechał Grecję. Posłańcy podróżują po całym imperium: od Kapadocji, Pizydii, Syrii, Pontyki, Egiptu aż po Mezopotamię...
Możesz sobie wyobrazić, ilu ludzi stanie przeciwko nam?
– Pobijemy ich – odrzekł beztrąsko fechtmistrz. Usiadł i wyciągnął długie nogi.
– Tak po prostu?
– Oczywiście, strategosie. Wymyślisz genialny plan, jak zwyciężyć, a my wszyscy będziemy spać zdrowo w naszych łóżkach.
Wódz zachichotał.
– Powinieneś zacząć pić wiele lat temu. Wino ci służy.
– Na naukę nigdy nie jest zbyt późno – odrzekł Attalos. – Zgadzam się wszakże z tobą. Również me mogę się doczekać spotkania z Filipem.

Od
poprzedniego minęło już tyle czasu. Ostatnie nowiny miałem od mego
sześc
miesiący temu. Wtedy Kleopatra miała mu urodzić syna i król planowa!
wielkie święto. Miło będzie go znowu zobaczyć.
Roześmiał się, po czym podjął:
– Był czas, Spartaninie, gdy życzyłem ci śmierci. Teraz uważam cię za
dobrego kompana. Chyba się starzeję.
Zanim Parmenion zdołał odpowiedzieć, służący oznajmił przybycie po-
słańców z Pełli. Strategos wstał i ruszył do drzwi, by ich powitać.
Jako pierwszy do pokoju wszedł Hefajstion, za nim Kassander i dowódca
kawalerii, Klejtos. Hefajstion skłonił się, lecz twarz miał zaciętą,
oczy smutne
i skupione.
– Trudna podróż? – zapytał ostrożnie wódz, pełen najgorszych
przeczuć.
– Przywieźliśmy listy od króla – odparł oficer sztywno, podchodząc do
Spartanina. Kassander i Klejtos pospieszyli ku Attalosowi, Klejtos
zaciskał
w dłoniach mocno zrolowany zwój papirusu. Podał go fechtmistrzowi.
Parmenion otrzymywał wcześniej podobne papiery setki razy. Tym razem
wszakże czuł straszliwe napięcie w powietrzu, a wszystkie zmysły miał
wytężone. Spojrzał na Klejtosa. Jeździec, podając zaplombowany zwój
Atta-
losowi, prawą rękę przesunął powoli ku sztyletowi na biodrze.
Kassander
stał po lewej stronie fechtmistrza z prawą dłonią skrytą pod
płaszczem.
Strategos natychmiast zrozumiał, co się dzieje.
– Attalosisie! – krzyknął. Hefajstion skoczył na Parmeniona i mocno
chwycił go za ramiona. Chociaż wódz walczył z nim, miłokos okazał się
dla
niego za silny. Pozostali dwaj oficerowie wyciągnęli miecze i natarli
na
fechtmistrza. Starzec stał sztywno, zbyt zaskoczony, by się poruszyć.
Żelazo
rozplatało mu brzuch. Krzyknął panicznie. Drugi miecz rozciął mu
szyję,
otwierając straszliwą ranę. Kolana ugięły się pod Attalosem i padł na
ziemię.
Miecze i noże kaleczyły wciąż jego ciało, chociaż był już martwy.
Hefajstion puścił strategosa, który się zatoczył. Kiedy wyciągał
miecz,
ręka mu drżała.
– No dalej, zdrajcy! – zawołał. – Dokończcie swego dzieła!
– Skończyliśmy, panie – odparł Hefajstion. Twarz poszarzała mu pod
opalenizną. – Wykonaliśmy rozkaz króla.
– Nie wierzę! Przecież zabiłeś jego najlepszego przyjaciela!
– Wiem, panie, najlepszego przyjaciela poprzedniego króla... Tyle że
Filip nie żyje.
Słowa uderzyły Spartanina niczym zatruta strzała. Pod ich ciężarem aż
się
zatoczył.
– Nie żyje? Jak to nie żyje?!
– Zamordowano go, gdy wszedł do amfiteatru, gdzie miał świętować
narodziny syna. Zabójca ukrywał się w cieniu i dźgnął władcę prosto w
serce.
– Kto?! Kto to zrobił?
– Pauzaniasz – odparł Hefajstion. – Pielęgnował w sobie nienawiść,
którą dobrze maskował. Nigdy nie wybaczył Filipowi, że nie ukarał
fecht-
mistrza za jego czyn.
– Ale dlaczego nikt nie strzegł króla?
– Ponieważ rozkazał swoim gwardzistom, by postępowali daleko za

nim- Pragnął przejść ostatnie trzydzieści kroków sam. Mówił, że nie chce wyglądać jak tyran, który potrzebuje ochrony we własnym kraju. Umarł w jednej chwili.

- Na słodką Herę! Nie mogę w to wierzyć! Ani czary, ani zabójcy... ani nawet całe armie nie potrafiły zatrzymać Filipa. A ty mówisz mi, że zamordował go odrzucony faworyt?

- Tak, panie. Rządzi teraz Aleksander. Przybędzie do Persji natychmiast, gdy rozwiąże problemy w Grecji. Poleciał nam od razu po przybyciu zabić Attalosa.

Parmenion zerknął na martwego fechtmistrza, po czym upuścił miecz, podszedł do tapczanu i osunął się nań, zatapiając głowę w dłoniach.

- Co się dzieje w Macedonii? - spytał po kilku minutach.

Hefajstion usiadł obok niego.

- O mało nie doszło do wojny domowej, jednak księżę zdążył wyeliminować swoich wrogów. Zabito Amyntasa, Kleopatę i jej nowo narodzonego syna, a także około trzydziestu przedstawicieli arystokracji.

- Zaczął panowanie od zamordowania niemowlęcia?! Taaak, rozumiem.

- Parmenion wyprostował się. Patrzył twardo zimnymi oczyma, jego twarz przypominała maskę. Wstał, podniósł miecz i schował go do pochwy. - Usuńcie ciało i zetrzyjcie z dywanu krew. Potem opuśćcie mój dom! Hefajstion poczerwieniał.

- To niestety niemożliwe. Aleksander mianował mnie na miejsce Attalosa. Sądziłem, że zajmę jego pokoje.

- W takim razie pomyliłeś się, chłopcze! - odparował Spartanin. - Kiedyś uważałem, że masz w sobie ziarno wielkości, teraz jednak widzę, że jesteś tylko mordercą do wynajęcia. Zapewne zajdziesz wysoko, lecz nie zdobędziesz ani mojego towarzystwa, ani mojej przyjaźni. Rozumiemy się?

- Tak - odparł oficer przez zaciśnięte wargi.

- Doskonale, zatem... - Strategos zwrócił się ku pozostałym, lecz nie spojrział na nich, a na leżące na podłodze zwłoki. - To był wspaniały człowiek - oświadczył. - Miał wiele złych cech, jednak lojalnie stał przy swoim królu. A wiele lat temu zaryzykował życie, by ocalić księcia. Cóż, taką otrzymał od niego nagrodę. Jutro urządzimy pogrzeb z wszelkimi należnymi mu honorami. Słyszę jakiś sprzeciw?

- Chciałbym... - zaczął Kassander.

- Zamilcz! - krzyknął wódz.

- Wypełniamy tylko rozkazy naszego króla - wyjaśnił Klejtos. Twarz miał czerwoną, a w oczach gniew.

- On również je wypełniał - odpalił Parmenion, wskazując na ciało. - Miejmy nadzieję, że nie skończycie tak samo jak on!

Z tymi słowy wyszedł z pokoju. Służący zebrali się w korytarzu.

- Nie bójcie się - polecił im. - Na tym zakończył się etap zabijania. Zabierzcie ciało i przygotujcie je do pogrzebu.

W tym momencie wystąpiła młoda dziewczyna.

- Jest tu pewien człowiek, panie - szepnęła z pochyloną głową - Przybył już jakiś czas temu. Twierdzi, że jest twoim przyjacielem. Pragnął spotkać się z tobą na osobności.

- Czy podał imię?

- Mówi, że nazywa się Motak. Jest starcem, więc zabrałam go do twoich pokojów. Dobrze zrobiłam?

– Bardzo dobrze. Jednak nie opowiadajcie nikomu, że goszczę go u siebie.

Motak siedział skulony w łagodnej łunie padającej z lampy. Spojrzenie miał zamglone i wyglądał na głęboko zamyślonego. Czuł się wyczerpany psychicznie i przeraźliwie smutny. Nawet wspomnienie płomieni i ruin już go nie poruszało.

„Co ja tutaj robię?” – spytał siebie i szybko sobie odpowiedział: „A dokąd miałbym pójść?”

Usłyszał kroki w korytarzu i wstał z tapczanu. W ustach miał sucho, wargi

– spierzchnięte.

Wszedł Parmenion, ale się nie odezwał. Napełnił tylko dwa puchary rozwodnionym winem, jeden z nich podał Motakowi, który natychmiast go opróżnił.

– Wszystko zniszczone – zagaił Tebańczyk, po czym opadł na siedzenie. Spartanin usiadł obok niego.

– Opowiedz mi.

– Teby są całkowicie zrujnowane: każdy budynek mieszkalny, każdy gmach publiczny, każdy posąg... Nie zostało już nic. Strategos siedział w milczeniu. Jego oblicze było całkowicie pozbawione wyrazu.

– Powstaliśmy przeciwko najeźdźcy – kontynuował ze smutkiem Motak – ale nie zdołaliśmy przejąć Kadmei. Macedończycy zamknęli się przed nami w twierdzy. Trzymaliśmy ich tam uwięzionych, w samym środku naszego miasta, i przez jakiś czas czuliśmy się wolni. Jednak Ateny nas nie wsparły, a i inne polis nie udzieliły nam pomocy. Nawet Sparta nie przysłała nam swoich żołnierzy. Później nadszedł Aleksander z armią. Zdaliśmy sobie sprawę, że nie jesteśmy w stanie go pokonać, więc zaoferowaliśmy pokój, ale jego żołnierze i tak szturmowali miasto. Rozpoczęła się straszliwa rzeź: wycinali w pień mężczyzn, kobiety i dzieci. Nasi ludzie nie mieli dokąd uciekać. Ginęli tysiącami. Ocalałych spętano, by sprzedać na targach niewolników. Książę rozkazał zrównać miasto z ziemią, a wtedy wkroczyli specjaliści od machin oblężniczych. Przewrócili każdą statuetkę, każdą kolumnę... i rozbili w pył miasto. Nie ma już Teb... Zniknęły.

– W jaki sposób uciekłeś?

– Ukryłem się w piwnicy, lecz mnie znaleźli, wyciągnęli i zabrali do oficera. Na s/częście był nim Koenos. Rozpoznał mnie. Dał mi trochę pieniędzy i szybkiego konia, na którym pojechałem do Aten. Tam wsiadłem na statek płynący do Azji. Dlaczego Aleksander to zrobił? Dlaczego zniszczył moje miasto?!

– Nie potrafię ci odpowiedzieć na to pytanie, przyjacielu. Cieszę się jednak, że jesteś bezpieczny.

– Czuję ogromne znużenie – wyszeptał Tebańczyk. – Nie spałem dobrze od... pierwszego dnia zniszczenia. Ciągłe słyszę w głowie krzyki umierających, widzę krew. W imię czego to wszystko, Parmenionie? Spartanin otoczył przyjaciela ramieniem.

– Odpocznij. Porozmawiamy rano. – Wziął Motaka pod ramię i popro-

wadził do szerokiego łóżka. – Zaśnij.
Mężczyzna posłusznie położył się i zamknął oczy. Zasnął po kilku sekun-
dach. Od razu wszakże zawładnęły nim koszmary, toteż jęknął przez sen, aży pociekły z jego zaciśniętych powiek.
Strategos opuścił pokój i powędrował do oświetlonego księżycem ogrodu.
Słowa Tamis odbijały się echem od korytarzy czasu. Pamiętał, jak stara wieszczka przyszła do niego w Tebach, cztery dekady wcześniej, tuż przed jego atakiem na przejętą przez Spartan Kadmeję.
„Stoisz, młodzieńcze, na skrzyżowaniu dróg – powiedziała. – Jedna z nich opromieniona jest słońcem i radością, na końcu drugiej czeka ból i rozpacz. Teby są w twoich rękach... niczym dziecinna zabawka. Droga światłości zapewni miastu siłę i dobrobyt, a na tej drugiej zostanie ono zniszczone, poniżone i zapomniane.
Doradziła mu wówczas, aby pojechał do Troi... Zignorował ją wtedy, gdyż uważał ją za spartańskiego szpiega.
A jednak gdyby podążył za jej radą, odnalazłby Derae i przeżyłby z nią życie w spokoju i harmonii. Macedońska armia by nie powstała, a on sam nie spłodziłby Aleksandra.
Ostatnie nowiny niezmiernie go przygnębiły. Derae żyła przez te wszystkie lata... umarła na jego rękach. Filip również odszedł, Attalos został zamordowany, Teby były w ruinie.
Niemal słyszał śmiech Boga Mroku.
– Nie – oznajmił głośno – nawet nie wolno mi tak myśleć! – Usiadł na drewnianej ławce, w jego umyśle szalały liczne, nakładające się na siebie obrazy. Derae, młoda i piękna, a w chwilę później – stara i umierająca. Filip roześmiany i lekko pijany. Złotowłose dziecko Aleksander w magicznym lesie. Wysoki Attalos z odwagą stawiający czoło wrogowi. I – głębiej w pamięci – szczupły, ascetyczny Epaminondas. Siedzi cicho w gabinecie i planuje uwolnienie Teb.
Tak wiele twarzy, tyle cennych wspomnień...
Wszyscy już odeszli. Parmenion nie potrafił w to uwierzyć. Jak to możliwe, że Filip nie żył!?
Taki żywotny człowiek, taki potężny. Jedno pchnięcie sztyletu odmieniło losy świata! Spartanin zadrżał. „Co teraz?” – zapytał siebie. Służyć dziecku, tak jak służył mężczyźnie? A jeśli Bóg Mroku już powrócił? „Czy mógłbym zabić swojego syna?”
Wyciągnął miecz, popatrzył na ostrze błyskające w świetle księżyca i wyobraził sobie, jak zabija nim nowego króla. Zadygotał i odrzucił broń
Podmuch zimnego wiatru zaszeleścił wśród zarośli. Wódz wstał i poszedł po miecz. Schylił się, podniósł go i starł brud z ostrza.
Widział zło, którego dokonywał Filippos. Jeśli Aleksander zmieni się w taką bestię...
– Wtedy go zabiję – szepnął.
Jonias, wiosna 334 roku p.n.e.

Jednak nowy król, Aleksander, nie przyjechał do Azji. Do Parmeniona dotarły nowiny, że plemiona Pajonii i Trybalowie ponownie powstały przeciwko niemu na północy Grecji i macedońska karna ekspedycja pod wodzą władcy ruszyła przeciwko nim.

Król przeprowadził wspaniałą kampanię i zwyciężył, a wtedy Persowie znowu sygnęli złotem, dzięki czemu doszło do zamieszek w południowych miastach tradycyjnie popierających Spartę. Rozpoczęła się rewolta. W Atenach orator Demostenes przemawiał przeciwko Macedończykom. Aleksander pomaszerował z armią na południe, obok ruin Teb. To miał być pokaz siły, którego celem było zmuszenie greckich polis do posłuszeństwa.

Udało się, lecz wypełnienie zadania zajęło młodemu królowi sporo czasu, toteż Parmenion został w Azji ponad rok. Brakowało mu żołnierzy i zapasów, toteż głównie prowadził wojnę podjazdową.

Morale było niskie, kiedy strategos z Hefajstionem skierowali przetrzebione wojska drogą wzdłuż jońskiego wybrzeża. W zatoce niedaleko wyspy Lesbos rozbili ufortyfikowany obóz. Pospiesznie zbudowano wały obronne, po czym wojownicy zasiedli do zasłużonego odpoczynku. Słońce zatęniało w Morzu Egejskim. Jedzenia było niewiele. Mężczyźni zebrali się wokół rozpalonych ognisk i łapczywie pochłaniali głodowe racje: pasek suszonej wołowiny i pajdę czerstwego chleba.

Hefajstion zdjął hełm i zanurzył się pod płócienną kapę, która stanowiła wejście do namiotu Parmeniona. Stary wódz i jego tebański przyjaciel Motak siedzieli na ziemi zagłębieni w mapach i zwojach.

Strategos podniósł wzrok.

– Wyprawiliście zwiadowców? – spytał.

– Tak – odparł Hefajstion.

Spartanin skinął głową i wrócił do mapy.

– Jutro ruszamy przez Myzję. Będziemy mijać szereg małych miast, zapewne ich mieszkańcy zechcą nas przekupić jedzeniem lub monetami.

– Ludzi zmęczyła już ta bieganina – warknął oficer. – Dlaczego nie zatrzymamy się i nie użyjemy naszych włócznie przeciwko Persom?

– Ponieważ jesteśmy za słabi – uciał Parmenion, a jego wzrok wręcz spiorunował Hefajstiona. – Memnon ma teraz blisko pięćdziesiąt tysięcy wojowników, świetnie wyszkolonych i jeszcze lepiej uzbrojonych. Walka z nim groziłaby nam totalną klęską.

– Nie wierzę.

Hefajstion przykucnął obok Spartanina.

– Posłuchaj mnie, panie, przygnębienie żołnierzy rośnie. Musimy jak najszybciej odnieść jakieś zwycięstwo.

Zimne, niebieskie oczy strategosa skupiły się pogardliwie na oficerze.

– Sądziś, że tego nie wiem? Na bogów, człowieku! Za zwycięstwo oddałbym prawe ramię. Popatrz wszakże na ten teren – powiedział i wskazał na mapę z kozłej skóry. – Kiedy przyjmujemy bitwę, Persowie otoczą nasze flanki i odetną nam odwrót. A wtedy będziemy zgubieni. Wiem, że takiemu młodemu człowiekowi jak ty trudno zaakceptować ten fakt, ale mamy niewiele ponad tysiąc jazdy i zaledwie kilkuset łuczników. Nie zdołamy wygrać frontalnego starcia. Możemy zrobić tylko jedno – utrzymać wojsko w

marszu,
dzięki czemu Aleksander nie napotka oporu, przekraczając z główną
armią
Hellespont. Kiedy do nas dobieje, przeprowadzimy bitwę, o jakiej
marzysz.
– I to mówi Lew Macedonii! – prychnął pogardliwie młody oficer. –
Był czas, kiedy samo twoje imię przeganiało wroga gdzie pieprz
rośnie.
Niestety, wszyscy ludzie się starzeją.
Parmenion uśmiechnął się.
– Ci szczęśliwi, mądrzeją z wiekiem, dziecko. I nie przejmują się
ujada-
niem szczeniaków. Inaczej giną.
Spartanin wrócił do map, a Hefajstion, kiedy zdołał opanować
wściekłość,
opuścił namiot. Przez ponad godzinę patrolował obóz: sprawdzał
pozycje
wartowników, rozmawiał z ludźmi. Potem wspinał się krętą ścieżką na
wschod-
nie urwisko, gdzie się zatrzymał i w świetle księżyca patrzył na
wschód ponad
bajecznymi ziemiami perskiego imperium. Tyle bogactw do wzięcia! Taka
sława do zdobycia! Za Jonią leżała Frygia, bogata w metale, srebro,
złoto
i żelazo. Dalej Kapadocja, Armenia, Mezopotamia. Aż w końcu – centrum
imperium: Babilonia, Media i sama Persja.
Roczne dochody Macedonii wynosiły osiem tysięcy talentów srebra.
Nieźła fortuna. Jednak podobno w samej Babilonii znajdował się
skarbiec
z dwustoma czterdziestoma tysiącami złotych talentów.
Oficer zdrzął na myśl o takiej fortunie. Przed nim rozciągały się
miasta
ze złota i posagi z najczystsze-
go srebra. W skarbcach kryły się
klejnoty
rozmiaru ludzkiej głowy. Persja! Nawet mityczny Midas, który dotykiem
zmieniał wszystkie przedmioty w złoto, nie zdołałby przez całe życie
stworzyć
bogactw Persji.
Księżyc świecił jasno, kiedy Hefajstion dostrzegł jeźdźca
galopującego
przez wąską równinę. Mężczyzna nosił typowy dla pajońskich zwiadowców
skórzany kapelusz o szerokim rondzie. Oficer pomachał mu i krzyknął,
starając się przyciągnąć jego uwagę. Jeździec zobaczył go, skręcił
karłowate-
go konika i zaczął się wspinać na stok.
– Jakie nowiny? – spytał Hefajstion zwiadowcę.
– Król jest w Troi, panie – odparł tamten.
Oficer z radości zamachał ręką.
– Jesteś pewny? Wiele już było fałszywych pogłosek na temat przybycia
Aleksandra.
– Na własne oczy widziałem wojska. Nasz władca ma ze sobą ponad
trzydzieści tysięcy ludzi.
– A zatem wreszcie się zaczęło! – krzyknął triumfalnie Hefajstion.
Góry Ida, 334 rok p.n.e.
Dwie armie spotkały się na równinie w cieniu górującego masywu Ida.
Jadący obok Parmeniona Hefajstion pierwszy dostrzegł macedońskie
namioty, rozrzucone niczym perły naszyjnika – białe na tle zielonej
równiny.
Byстрым żołnierskim wzrokiem zlustrował liczebność zgromadzonych
pułków. Rozróżnił sześć regimentów macedońskich piechurów – dziewięć
tysięcy ludzi stało w pogotowiu z pionowo ustawionymi włóczniami.
Towa-
rzyszylim im trzy tysiące tarczowników (tak teraz nazywano dawnych
gwar-

dzistów Filipa). Po lewej byli Ateńczycy i Koryntianie, około siedem tysięcy sprzymierzonych oddziałów, których obecność nadawała ekspedycji pozór koalicji ogólnogreckiej. Po prawej tłoczyły się zmasowane szeregi dzikich Traków. Trudno było ich policzyć, ponieważ nie trzymali się stałej formacji, lecz stale przepychali się i poszturchiwali w wielkiej, ruchliwej masie. Oficer ocenił wszakże, że jest ich ponad pięć tysięcy. Aleksander wyjechał ze środka armii. Żelazna zbroja lśniła na nim jak wypolerowane srebro, hełm pod białym pióropuszem błyskał złotem. Nawet Bucefał był opancerzony. Wokół jego szyi aż na pierś zwisała mu kolczuga, a w czarną grzywę i ogon zostały wplecione srebrne druciki. Hefajstion ściągnął lejce na widok zbliżającego się króla. Aleksandrowi towarzyszyli jego kapitanowie: Kassander, Klejtos i Koenos oraz synowie Parmeniona – Filotas i Nikki. Młody władca podjechał bezpośrednio do Parmeniona i zeskoczył z konia. Spartanin zgodnie ze zwyczajem klęknął przed swoim monarchą. – Nie, nie, daj spokój – zaprotestował Aleksander. Zrobił krok ku przyjacielowi i pomógł mu się podnieść. – Nigdy nie każe ci przed sobą klękać. Ogromnie się cieszę, że cię widzę, mój drogi. – Objął strategosa. – Chcę usłyszeć od ciebie wszystkie nowiny. Najpierw przemówię do twoich ludzi, a zaraz potem porozmawiamy w moim namiocie. Stary wódz skłonił się. Król odwrócił się do Bucefała. Koń klęknął, gdy jego pan się zbliżył. Aleksander wskoczył na jego grzbiet i pojechał na czoło dwunastotysięcznych oddziałów Parmeniona. Wojownicy bez końca głośno wiwatowali, toteż musiał gestem nakazać im milczenie. Ich zbroje i płaszcze pokrywał kurz, ludzie wyglądali na zmęczonych, wręcz wyczerpanych. – No cóż, moi druhowie – przemówił Aleksander. – Dobrze być znowu z wami! Naprawdę nieźle sobie dotąd radziliście z Persami. Na szczęście dziś zakończymy te igraszki. Przystajemy kluczyć, bawić się w kotka i myszkę, zaczynamy bowiem prawdziwą walkę. Przyjmiemy bitwę z wrogiem i zmiażdżymy potęgę Dariusza macedońskimi mieczami. – Podniosły się słabe owacje, które wkrótce zamarły. Król zdjął hełm i przesunął palcami po mokrych od potu złotych włosach. – Każdy spośród was otrzyma dziś po jednym złotym filipie. Przywiozłem też sto beczulek macedońskiego wina, które przypomni wam o domu. Dziś wieczorem będziemy świętować wasze dotychczasowe sukcesy. Wydaję przyjęcie na waszą cześć. Hefajstion poczuł się oszołomiony. Dwanaście tysięcy złotych filipów! Jedna moneta stanowiła równowartość rocznych poborów zwykłego żołnierza... A władca rozdawał je lekką ręką! Żołnierze zareagowali aplauzem, który tak przestraszył Bucefała, że aż stanął dęba. Aleksander uspokoił wierzchowca i klusem wrócił na miejsce, gdzie czekali oficerowie. – Igrzyska załatwione, teraz przejdźmy do spraw poważnych – oświadczył spokojnie i poprowadził swoich ludzi z powrotem do głównego

obożu.

Przez całe popołudnie bacznie wysłuchiwał raportów Parmeniona i Hefajstiona na temat struktury i organizacji perskiej armii. Dariusz oddał swoich

wojowników pod komendę greckiemu renegatowi imieniem Memnon, który – jak zauważył Parmenion – był przebiegłym i zręcznym wodzem. Persowie mieli około pięćdziesięciu tysięcy żołnierzy – połowę stanowiła konnica z Kapadocji i północnej Paflagonii.

– Świetni jeźdźcy – zauważył Hefajstion. – I do tego nieustraszeni w bitwie.

– Czy doszło już do jakichś większych potyczek? – spytał monarcha.

– Nie – odparł Spartanin. – Było może ze dwadzieścia drobnych utarczek między niewielkimi oddziałami, lecz unikałem pełnej konfrontacji.

– Nic dziwnego, że twoi żołnierze wydają się tacy znużeni – wtrącił Filotas. – Ludzie spędzili ostatnie siedem miesięcy na nieustannej ucieczce przed wrogiem.

– Strałegos postąpił bardzo mądrze – ocenił król. – Gdyby przyjął bitwę i poniósł dotkliwą klęskę, co wielce prawdopodobne wobec wielokrotnej przewagi liczebnej wroga, niechybnie stracilibyśmy poparcie w Grecji.

A wtedy nie zorganizowałbym obecnej wyprawy. – Odwrócił się do Parmeniona. – Jak dużego poparcia możemy oczekiwać od tutejszych greckich miast?

– Bardzo niewielkiego, panie – odrzekł Spartanin. – Na początku witali nas uroczyście. Wysyłali delegatów, którzy zapewniali nas o poparciu.

Jednak wraz z upływem miesięcy ich entuzjazm osłabł. Na domiar złego zupełnie niedawno Dariusz wzmocnił garnizony w Mitylene i Efezie. Hefajstion słuchał tej wymiany zdań i obserwował strategosa. Wódz wyglądał na odrętwiałego i chorego. Jego blade oczy ani na moment nie odrywały się od twarzy Aleksandra. Nawet jeśli król zauważył intensywność

spojrzenia wodza, nie dał niczego po sobie poznać.

– Gdzie jest teraz wróg? – spytał.

– Obozuje w pobliżu miasta Zela – odparł młodemu monarsze Parmenion. – Dwa dni marszu na północny wschód.

– Zatem wyruszymy nieprzyjacielowi naprzeciw – oznajmił Aleksander szybko. Nagle pochylił się i chwycił Spartanina za ramiona. – Co cię

martwi, mój przyjacielu? Pomówmy o tym.

– Ależ nic, panie, zapewniam cię. Jestem po prostu zmęczony.

– W takim razie odpocznij. Spotkamy się ponownie jutro rano – mruknął król, wstając.

Hefajstion pozostał z władcą, reszta oddaliła się do polowych kwater. Aleksander wziął pod ramię oficera i razem udali się na spacer po oświetlonym księżycem obozie.

– Co się dzieje z naszym strategosem? – spytał król.

– Tak jak ci pisałem, panie, gniewa się za zabicie Attalosa. Z jego słów

wnoszę, że absolutnie nie pochwała również zabicia Kleopatry i dziecka. Poza

tym, pewnego dnia przyjechał do niego Tebańczyk Motak, który... z tego, co

zrozumiałem... był chyba świadkiem zniszczenia swego rodzinnego miasta.

Właśnie wtedy Parmenion się zmienił i od tej pory nie jest już tym samym

człowiekiem. Może to tylko kwestia wieku... Naprawdę nie wiem. Rzadko

rozmawiamy na inne tematy niż kwestie dyscypliny czy strategii.

– Sądziś, że nie powinienem mu dłużej ufać?

– Nie wydaje mi się, żeby... rozważał zdradę. Jak dotąd... – odpowiedział Hefajstion ostrożnie. – Tłumi w sobie wszakże sporo goryczki.

– Potrzebuję go, mój druhu, chociaż pewnie już niezbyt długo. Ale tak, na razie wciąż jeszcze go potrzebuję! Zna mentalność Persów i ich taktykę.

I jakby nie patrzeć, nadal jest największym wodzem naszych czasów.

– Kiedyś faktycznie nim był, panie. Ale obecnie... Nie jestem tego taki pewien. Wydaje się bardzo stary i zmęczony.

– Jeśli twoja ocena się potwierdzi – wyszeptał Aleksander – wtedy poproszę cię o przysługę. Dopilnujesz, by strategos przyłączył się do Attalosa, obaj zasłużyli na bardzo, bardzo długi odpoczynek.

Parmenion wysączył trzeci puchar pitnego miodu i nalał sobie kolejny. Wiedział, że zbyt dużo pije, ale podczas ostatnich kilku miesięcy jedynie alkohol przytępiał w nim ból. Tylko trunek potrafił zdjąć dojmujący ciężar z jego duszy. W swoich snach widział ponownie Filipa i Attalosa – młodych i pełnych nadziei na przyszłość. Widział Spartę z magicznego świata i trzymał znowu w ramionach młodzieńca Derae.

Po przebudzeniu tęsknota i smutek ścisnęły mu serce, więc sięgał po wino.

Do tej pory nie został zmuszony przez wroga do wzniesienia się na wyżyny swego strategicznego talentu. A może coś przeoczył? Może mógł wcześniej pokrzyżować szyki Memnonowi? Czy w ogóle był w stanie pokonać perską armię?

– Nie wiem – rzekł na głos. – I nie dbam o to. – W namiocie stał żelazny piecyk. Rozjarzone węgle ogrzewały zimne, nocne powietrze i dawały niewielkie światło, w którym na płóciennych ściankach tańczyły ruchliwe cienie. Strategos wziął obity skórą zydel, usiadł na nim przed ogniem i wpa-trzył się w migoczące płomienie.

– Chcesz być sam? – spytał Aleksander po wejściu do namiotu.

Parmenion nie wstał, lecz potrzaskał przecząco głową.

– To bez znaczenia. I tak jestem sam. Teraz i na zawsze – odparł. "Król usiadł naprzeciwko niego. Przez wiele minut siedział w milczeniu, z uwagą przyglądając się twarzy Spartanina. Nagle wyciągnął rękę i chwycił dłoń wodza.

– Porozmawiaj ze mną – poprosił. – Dostrzegam w tobie coś mrocznego. Rzućmy na to światło.

– We mnie? – zdziwił się wódz i potrzaskał głową z niedowierzaniem.

– Czy to ja zabiłem ostatnio jakieś niemowlęta? A może rozkazałem zamordowanie lojalnego wodza? Czyżbym starł ostatnio z powierzchni ziemi jakieś greckie miasto o wielowiekowej historii i słynące z legendarnych bohaterów?

– Rozumiem – stwierdził władca cicho. – Złościsz się na mnie. Jednak osądzasz mnie zbyt surowo, mój drogi. Zrobiłem tylko to, czego mnie nauczyłeś. Pamiętasz nasze lekcje dotyczące strategii, które odbywaliśmy w słonecz-

nej Miezie i w naszych posiadłościach? Powiedz, jak ty byś postąpił?
Teby
powstały przeciwko nam. Ateny niby oficjalnie wysłały nam zapewnienie
o wsparciu, lecz ich eforowie nie podjęli żadnych konkretnych decyzji
i po-
przestali na słowach. Postanowili sprytnie poczekać na posunięcia
małolet-
niego króla. Sparta wysłała armię na północ, pięć tysięcy ludzi
obozowało
w Megarze. Każde miasto z południa gotowało się do zerwania traktatu
z Macedonią, ponieważ zawierały układy z wojowniczym władcą Filipem.
Nie z chłopcem o imieniu Aleksander, o nie! Szpiedzy Wielkiego Króla
kręca
się po całej Grecji i obsypują perskim złotem każdego, kto ogłosi się
wrogiem
Macedonii. Filip potrafił ich zastraszyć, czuli wobec niego respekt i
lęk. Ja
nie
mam reputacji ojca, a na swoim koncie tylko jedno zwycięstwo nad
„surowy-
mi dzikusami”. Tak mówią. – Monarcha potrząsnął głową. Minę miał
przy-
gnębioną. –Negocjowałem z Tebańczykami, próbowałem znaleźć pokojowy
sposób zakończenia konfliktu. Niestety, nieopodal tylnej bramy, w
południo-
wej części murów obronnych, grupa młodych mieszkańców Teb zaatakowała
zwiadowczy oddział Macedończyków prowadzonych przez Perdikkasa. Nie-
długo potem tebańska armia zaatakowała nasz obóz. Szybko ją
pokonaliśmy
i weszliśmy do miasta. W tej samej chwili żołnierze z naszego
oblężonego
garnizonu w Kadmei otworzyli bramy twierdzy i zaatakowali od
wewnątrz.
Widziałeś już wcześniej upadające miasta, Parmenionie: bitwy uliczne
z nie-
dobitkami sił wroga, biegający w panice mieszkańcy, wojownicy
opanowani
żądzą krwi, słowem chaos... Rzeczywiście doszło do straszliwej rzezi.
Po-
wstrzymanie żołnierzy, przywrócenie porządku i dyscypliny zabrało
kilka
godzin. Następnego dnia rozkazałem zniszczyć miasto i pomaszerowałem
z wojskiem na południe. Spartanie wycofali się. Ateńczycy wysłali
emisariu-
szy, zapewniając o lojalności i poparciu. Zrównanie Teb z ziemią było
niczym
trzęsienie ziemi. Zakończyło rebelię. Wierz mi jednak, Parmenionie,
że z cięż-
kim sercem wydałem rozkaz zniszczenia tego wspaniałego miasta. Był
tam
przecież grób Hektora, rzeźby Praksytelesa. Sądysz, że nie czułem
ból, że
przyszło mi to łatwo?
Wódz przypatrzył mu się uważnie i westchnął.
– A Attalos? Zabicie go też przyszło ci z ciężkim sercem?
– Nie – przyznał Aleksander. – Ale nie miałem wyboru. Nienawidził
mnie i bał się. Latami zatruwał umysł Filipa donosami na mnie. Był
wierny
tylko mojemu ojcu. Nigdy nie stałby się moim człowiekiem. Jednak
powiem
ci coś. Gdyby zdecydował się przejść na emeryturę i zaszył się w
swoich
posiadłościach, zostawiłbym go przy życiu. Niestety, nie chciał
odpocząć.

Wyruszył z tobą do Azji jako jeden z dowódców, zaczynał cieszyć się mirem w armii... Armii, którą w każdej chwili mógłby spróbować zwrócić przeciwko mnie.

Strategos nie miał sił, by spierać się z królem. Niestety w słowach młodeńca było sporo prawdy. Filip również zaczął panowanie od likwidacji wszystkich potencjalnych rywali, i to posunięcie okazało się trafne.

Aleksander miał jednak pewną szczególnie paskudną sprawę na sumieniu.

– A dziecko? – spytał.

– Tak, to naprawdę przerażający czyn, lecz nie ja się go dopuściłem. Przykro to wyznać, lecz podejrzewam o ową zbrodnię moją matkę, której ostatnio doradza przyjaciel z Samotraki – niejaka Aida. W noc po zabójstwie mojego ojca obie poszły do Kleopatry, którą później znaleziono uduszoną długim plecionym drucikiem ze srebra. Olimpias zaprzeczyła, gdy ją spytałem, ale któż inny by to zrobił? Koszmarnie zaczęły się moje rzędy. Od zabicia mojego maleńkiego braciszka.

– Nie brałeś udziału w tym morderstwie?

– Jak mogłeś mnie w ogóle o to podejrzewać? – Król wydawał się wstrząśnięty. Spartanin wyczytał na jego twarzy szczerość. Wydało mu się nagle, że kamień spadł mu z serca. Wyciągnął rękę, objął młodego monarchę. W oczach miał łzy.

– Nie potrafię wprost wyrazić, jaką ogromną poczułem ulgę – szepnęła.

– Myśl, że zabiłeś dziecko naprawdę mnie prześladowała. Sądziłem...

– Wiem, myślałeś, że przejął nade mną kontrolę Bóg Mroku, czy tak? Wódz skinał głowę. Aleksander opuścił dłoń, wyjął zza paska wąski sztylet, potem wziął Parmeniona za rękę i wcisnął mu rękę do sztyletu w dłoń.

Palce Spartanina zamknęły się wokół broni, a król pochylił ciało tak mocno, że ostrze sztyletu dotknęło jego piersi.

– Jeśli wątpisz we mnie, pchnij – polecił wodzowi.

Strategos zajrzał władcy głęboko w oczy, szukając śladów bestii ze świata magii. Niczego takiego nie zobaczył. Miał przed sobą normalnego, przystojnego mężczyznę, na którego wyrósł jego syn. Upuścił nóż i potrząsnął głową.

– Widzę w tobie tylko mojego króla – oświadczył.

Aleksander szczerze się roześmiał.

– Na wszystkich bogów, miło cię znowu widzieć, przyjacielu! Pamiętasz moment, kiedy siedzieliśmy w pałacu w Pełli i omawialiśmy twoje zwycięstwo na Krokusowym Polu? Spytałem cię wówczas, czy pewnego dnia zostaniesz moim wodzem. Pamiętasz?

– Tak, miałaś wtedy mniej więcej cztery latka. Odparłem, że gdy rozpoczniesz panowanie, raczej będę za stary na tę funkcję. I rzeczywiście jestem zbyt stary.

– Cóż, pytam cię ponownie. Czy Lew Macedonii poprowadzi moją armię do zwycięstwa?

– Jeśli bogowie pozwolą, panie, poprowadzę ją.

Rzeka Granik, 334 rok p.n.e.

Ciała leżały wszędzie. Błotniste brzegi Graniku były śliskie od krwi. Parmenion zdjął hełm i podał go Ptolemeuszowi, który chwycił go w drżące ręce. Spartanin zerknął na nienaturalnie bladą twarz młodzieńca i zobaczył na jego policzkach krople zimnego potu.

– Napawasz się chwałą? – spytał.

Ptolemeusz ciężko przełknął ślinę.

– To było wielkie zwycięstwo, panie – odparł.

– Chodź ze mną – rozkazał wódz, po czym w asyście sześciu oficerów ze straży przybocznej przemierzył powoli pole bitwy, przestępując ponad spuchniętymi trupami Persów. Chmary kruków i innych żywiących się padliną ptaków wznosiły się znad ciał, ich wrzaski drażniły ludzkie uszy. Strategos zatrzymał się obok okaleczonych zwłok młodego perskiego szlachcica odzianego w jedwab i satynę. Odcięto mu palce lewej ręki, najprawdopodobniej w celu zdarcia z nich złotych pierścieni. Jego twarz była poszarzała, a oczy wydziobały mu ptaki. Nie był starszy od Ptolemeusza. Upał przyspieszył rozkład i zwłoki błyskawicznie puchły od gazów zalegających w jelitach.

Odór był okropny. – Ten też marzył o sławie – rzucił Parmenion szorstko do swoich oficerów. – Jeszcze wczoraj jechał na wspaniałym koniu i myślał tylko o zabijaniu wrogów swego króla. Pewnie zostawił w domu młodą żonę, może syna. Przystojny, nieprawdaż?

– Po co tu przyjechaliśmy, panie? – spytał Ptolemeusz, odwracając wzrok od martwego Persa.

Spartanin nie odpowiedział. Macedońscy i traccy żołnierze nadal dokonywali grabieży ciał poległych wrogów, a ponad nim krążyły stada głodnych, skrzeczących złowieszczo czarnych kruków.

– Ilu ich tu twoim zdaniem leży? – spytał strategos.

– Hmm, niewątpliwie tysiące – odparł Perdikkas, wysoki, smukły jeździec, który przybył do Azji wraz z Aleksandrem.

– Blisko szesnaście tysięcy – odparł wódz. Daleko od tego cmentarzy-ska oddział Macedończyków kopał zbiorowy grób dla poległych w bitwie kamratów. – Jak wielu my straciliśmy? – kontynuował strategos, badawczo wpatrując się w Ptolemeusza.

Młodzieniec wzruszył ramionami i rozłożył bezradnie ręce.

Parmenionowi pociemniała z gniewu twarz.

– A powinieneś to wiedzieć – mruknął. – Powinieneś dokładnie znać liczby. Gdy ruszasz do bitwy, twoje życie zależy od współtowarzyszy. Muszą być pewni, że się nimi interesujesz. Rozumiesz? Będą walczyć znacznie lepiej dla troskliwego dowódcy. Straciliśmy ośmiuset siedemnastu Macedończyków, czterystu jedenastu Traków i dwustu piętnastu sprzymierzonych Greków.

Wódz szedł dalej. Zaskoczeni oficerowie podążyli za nim. Tutaj ciała leżały w stertach, setkami.

– Ostatni przyczółek królewskiej piechoty – zauważył Parmenion. – Mimo iż reszta armii uciekła w panice, oni trwali niewzruszenie. Aż do śmierci. Dzielni mężczyźni. Dumni. Oddajcie im honor w myśli i słowem.

– Dlaczego mielibyśmy oddawać honory wrogowi? – zaperzył się Perdikkas. – W jakim celu?

– Kto będzie teraz rządził tą ziemią? – spytał strategos.

– My.

– A w następnych latach synowie tych mężnych ludzi zostaną waszymi poddanymi. Wstąpią do waszych wojsk, będą maszerować pod naszymi sztandarami. Ale czy będą lojalni? Czy będziecie mogli im zaufać? Perdikka-

sie, mądrość nakazuje dziś uhonorować ojców, by jutro zdobyć miłość ich dzieci.

Wiedział, że ich nie przekonał, ale wędrówka po bitewnym poboju powoli stawała się rytuałem, niezbędną przeprawą. Co więcej, Spartanin zdał sobie sprawę z faktu, że odbywa ją bardziej dla siebie niż dla młodych mężczyzn, którzy z niechęcią mu towarzyszyli.

W milczeniu opuścił pole bitwy i brzegiem rzeki wrócił do miejsca, gdzie zostawili przywiązane konie. Dosiadł wierzchowca i poprowadził swoją małą grupkę dalej, do obozu Persów.

Zwycięstwo było szybkie i... przerażające.

Perska armia w liczbie około czterdziestu pięciu tysięcy ludzi obwarowała daleki brzeg rzeki Granik. Konnica stała na lewo i na prawo, najemna piechota i królewscy gwardziści oraz wódz Memnon pośrodku. Zgodnie z tradycyjną sztuką wojenną takie ustawienie powinno doprowadzić do sytuacji patowej.

Jednak Parmenion wysłał wcześniej oddział zwiadowców. Poleciał im zmierzyć głębokość wody w rzece. W Persji od dawna panowała susza, toteż woda sięgała zaledwie do bioder, płynęła powoli, niemal stała.

Aleksander wraz ze sprzymierzoną konnicą zaszarżował na lewą flankę wroga. Strategos kazał Filotasowi i jego tesalijskim jeźdźcom zaatakować prawą. Zaskoczeni Persowie zareagowali z opóźnieniem i zanim Spartanin zdołał dotrzeć do ich wodza, szeregi nieprzyjaciela już się rozproszyły.

Jedynie najemna piechota i królewscy gwardziści niezłomnie stawiali opór, pozostałe oddziały – jak się okazało, wraz z samym Memnonem – umknęły z pola. Bitwa trwała niecałą godzinę, lecz masakra – następne dwie. Zanim słońce dobiegło zenitu, szesnaście tysięcy Persów leżało martwych.

Reputacja niezwyciężonego Wielkiego Króla Persji legła w gruzach. Legenda Aleksandra rozpoczęła żywot.

Tej nocy młody władca, by uczcić zwycięstwo, wydał bankiet w namiocie zabitego perskiego generała. Przywiózł ze sobą do Azji greckiego poetę imieniem Kałlistenes. Był to człowiek o niezwykle szczupłej figurze, rzadkiej czarnej brodzie i nienaturalnie podłużnej, łysej głowie. Parmenion nie lubił go, lecz doceniał jego ogromny talent epicki, wspaniały, głęboki głos oraz nienaganne wyczucie rytmu podczas czytania.

W trakcie uroczystości Kałlistenes odśpiewał improwizowane dzieło w stylu Homera, które sławiło czyny Aleksandra i zostało przyjęte z ogrom-

nym aplauzem. Z poematu wynikało, że monarcha własnoręcznie zabił dwa tysiące z pół miliona Persów stawiających mu czoło, a wtedy ojciec bogów,

Zeus, wyciągnął potężną rękę z nieba, rozsunał chmury i spojrział w dół na najpotężniejszego ze śmiertelnych.

Kałlistenes śpiewał też o Atenie, bogini wojny, która jakoby ukazała się

Aleksandrowi w przededniu bitwy i pragnęła obdarować go nieśmiertelnością.

Król skromnie odmówił, twierdząc, że jeszcze nie zasłużył na taki dar.

Pean pochwalny śmiertelnie znudził i zemdlił Parmeniona, lecz młodzi wojownicy klaskali i wiwatowali przy każdym opisie czynu władcy przeisto-

czonego przez twórcę w mitycznego herosa. W końcu Kałlistenes opowiedział

o chwili, w której wodzowie Aleksandra odradzali mu przekroczenie „pełnego

wirów, rozszalałego Graniku”, król zaś odpowiedział, że skoro przekroczył

Hellespont, nie może pozwolić, by stanął mu na drodze „ten drobny strumyczek”.

Siedzący obok Parmeniona Hefajstion pochylił się blisko do niego.

– Nie tak się to odbyło – szepnął.

– Niewiele z tej opowieści jest prawdą – przyznał wódz. – Ale dla młodych i głupich bardzo ładnie brzmi.

Biesiada ciągnęła się długo w noc i w końcu znudzony strategos wrócił do

swojego namiotu. Motak nadal nie spał – na wpół siedział, na wpół leżał

w ogromnym miękkim perskim fotelu i pił.

– Cudowny dzień – powiedział, widząc przyjaciela. – Persowie należą do przeszłości. Kolejny naród dojrzeje do hegemonii. Jeszcze więcej miast

spalimy i zrównamy z ziemią. – Twarz miał zarumienioną, oczy przekrwione

i z czerwonymi obwódkami.

Parmenion nie odpowiedział. Dorzucił tylko drew do piecyka, zdjął uro-

czystą zbroję i wyciągnął się na długim tapczanie.

– Czy nasz młody bóg zmęczył się wreszcie bajdami na swój temat? – spytał Tebańczyk.

– Mów ciszej, przyjacielu – doradził wódz.

– Niby dlaczego? – spytał Motak. Tak raptownie usiadł prosto, że aż wy-

lał wino. – Przeżyłem ponad siedemdziesiąt lat. Co może mi zrobić twój król?

Zabije mnie? Żałuję, że nie umarłem dziesięć lat temu. Czy wiesz, że po zrów-

naniu z ziemią Teb nie mogłem nawet znaleźć grobu Elei? Mojej słodkiej Elei!

– Znajdziesz ją. W innym świecie...

Tebańczyk przetaił oczy grzbietem dłoni.

– Co my tu właściwie robimy, Parmenionie? Dlaczego nie wracamy do domu, do Macedonii? Hodujmy konie i zostawmy tę rzeź młokosom. Czego możemy tu jeszcze dokonać? Czekają nas jedynie więcej trupów i dodatkowe

cierpienia.

– Jestem strategosem, wodzem – odparł Spartanin. – Nikim innym.

– Ale nie powinienesz mu służyć. Aleksander nie przypomina Filipa, nie walczy, by ocalić swój naród. To zabójca. Niczego nie zbuduje, mój drogi.

Spustoszy świat niczym gigantyczny huragan i tyle.
– Nie wierzę. Aleksander jest zdolny do wielkości!
– Dlaczego jesteś taki zaślepiiony? Nie potrafisz dostrzec zła, które tkwi w tym człowieku? Czyżby ciebie też omamił?
– Dość tego! – krzyknął wódz. – Zachowujesz się jak stary pijak, przepełniony goryczą i rozpaczą. Nie będę więcej słuchał twojego bełkotu!
– Może i jestem pijakiem, lecz mnie przynajmniej twój król nie ogłupił.
– Motak wstał i chwiejnie opuścił namiot. Stary Tebańczyk wciągnął kilka haustów zimnego nocnego powietrza, wyszedł z obozowiska i ruszył na południe, w stronę niskiego pasma wzgórz. Usiadł na stoku, potem położył się na plecach. Próbował się skupić na gwiazdach, lecz wydawały się pływać, przyprawiając go o mdłości. Przeto-
czył się na bok i zwymiotował. W głowie mu łomotało. Usiadł prosto i zmiaął pergamin, który wysuwał mu się z ręki. Podniósł go do oczu i wygładził. Może należało go pokazać Parmenionowi? Nie, nie, to i tak niczego by nie zmieniło, doskonale o tym wiedział. Spartanin i tak nie uwierzyłby w ten raport. Nawet nie dopuszczał do siebie myśli o jakiegokolwiek krytyce pod adresem Aleksandra. Książęc świecił jasno i Motak przeczytał jeszcze raz sprawozdanie swego szpiega z Pełli. Większość poruszanych w piśmie kwestii dotyczyła nowej elity władzy. Antypater został w stolicy jako regent, Olimpias rządziła niczym królowa. Podobno w zachodnich regionach dochodziło do zamieszek. Ostat-
nia część zaś mówiła o szczegółach morderstwa dokonanego na Kleopatrze i jej maleńkim synku. Pewien pałacowy służący napomknął o wydarzeniu kilku znajomym i wkrótce sam został zamordowany, a wszystkich jego przyjaciół wraz z rodzinami wywieziono z Pełli i potajemnie zabito. Historia wszakże przetrwała. Szeptali ją między sobą wrogowie młodego króla. Agent Motaka opisał to bulwersujące zdarzenie w taki sposób, że aż trudno w nie było uwierzyć. Podobno Aleksander wszedł do sypialni Kleopatry i zadusił ją srebrnym drutem. Później zabrał dziecko do apartamentów czarownicy z Samotraki, gdzie – by zapewnić sobie bezpieczne panowanie – złożył dziecko w ofierze nieznanemu bogu, a potem zjadł serce chłopca. Tebańczyk całkowicie wytrzeźwiał. Popatrzył na pergamin. Zimny podmuch smagnął jego plecy i mężczyzna zadrżał.
– Czas umierać – syknął jakiś lodowaty głos. Straszliwy ból ścisnął serce Motaka ognistymi palcami. Starzec starał się wstać, jednak cierpienie było nie do zniesienia i upadł na plecy. Pergamin wysunął mu się z palców i sfrunął na trawę, a gdy dotknął ziemi, w jednej chwili skręcił się i spalił. Uniósł się z niego ciemny dym. Tebańczyk przetoczył się na brzuch i spróbował pełzać, lecz czyjaś potęż-
na ręka chwyciła go za ramiona i ponownie odwróciła na grzbiet.

Mężczyzna

popatrzył na swego prześladowcę. Zobaczył parę żółtych, zmrużonych oczu,

a następnie poczuł, jak długi sztylet wbija mu się pod mostek.

Potem wszelki ból go opuścił. Czuł jedynie dotyk zimnej trawy wokół szyi.

Przypomniał sobie pewien dzień w Tebach dawno, dawno temu... Siedział wówczas z Eleą przy rwącym strumyku. Pamiętał, że jej głowa

spoczywała

na jego ramieniu.

Kolory były jaskrawe – cyprysowe drzewka intensywnie zielone, niebo olśniewająco błękitne, ogrodowe posągi pozornie wyrzeźbione z czysto bia-

łego śniegu. Życie wydawało im się tego dnia piękne, przyszłość

jawiła się

wspaniale. Powietrze pachniało obietnicą przyszłego szczęścia.

– Eleo... – wyszeptał.

Aleksander otrząsał się powoli z głębin mrocznego snu i podryfował ku

świadomości. W końcu uprzytomnił sobie, że jego nagie ciało przykryte jest

jedwabnym prześcieradłem. Materiał był luksusowy i miękki, przylegał ści-

śle do skóry. Grzał i koił ciało. Król przetoczył się na plecy i

poczuł, że rękę

ma brudną, jakby pokrytą błotem, palce zlepione. Otworzył oczy i

usiadł

prosto. Blask świtu przezierał przez zewnętrzne ściany namiotu. Król

podniósł

ękę i starł sen z oczu. Nagle zamarł, serce zaczęło mu walić jak

szalone. Jego

dłoń i ramię pokrywała zaschnięta krew, łóżko również było mocno poplamione. Krzyknął, odgarnął prześcieradło i zaczął szukać na swoim

ciele

an.

Hefajstion wbiegł do namiotu z mieczem w ręku.

– Co się dzieje, panie?

– Ktoś dźgnął mnie nożem – odparł Aleksander. Był o krok od paniki

i stale obmacywał palcami swoje ciało. Oficer schował ostrze,

podszedł do

łóżka i badawczo przyjrzał się nagiemu tułowiowi władcy.

– Nie widzę rany, panie!

– Ależ musi być! Spójrz tylko, ile wszędzie krwi!

Nie znaleźli nawet najmniejszego skaleczenia. Obok wejścia do namiotu

leżał sztylet oblepiony skrzepniętą krwią. Hefajstion podniósł go.

– To twój sztylet – zauważył. – Jednak krew nie jest twoja.

Król podszedł do przeciwległej ściany. Tu, na małym stoliku stał

dzban

z wodą, więc szybko się obmył, nadal szukając cięcia lub szramy. Po chwili

obrócił się do żołnierza.

– Co mi się, u licha, przydarzyło?

– Nie pojmuję, panie... – bąknął niepewnie młody oficer.

– Ostatniej nocy... było święto. Kiedy opuściłem biesiadę?

– Tuż przed świtem. Sporo wypiełeś i zataczałeś się, ale odmówiłeś,

kiedy

aproponowałem ci pomoc.

Aleksander odwrócił się do łóżka i usiadł z głową w dłoniach.

– Ta krew musi skądś pochodzić!

– Rzeczywiście, panie – odrzekł Hefajstion cicho.

– Czy ja tracę zmysły?

– Nie! Oczywiście, że nie! – Oficer przemierzył pokój i otoczył monar-

chę ramieniem. – Jesteś wspaniałym władcą, największym, jaki

kiedykol-

wiek żył. Pobłogosławili cię bogowie. Nie wypowiadaj głośno takich myśli.

– Jestem błogosławiony? Miejmy nadzieję. – Aleksander wziął potężny wdech.

– Mówiłeś, że dziś ze mną porozmawiasz, panie. O Parmenionie.

– Doprawdy?

– Tak. Jednak teraz, gdy odniósł takie wspaniałe zwycięstwo, wątpię, czy nadal chcesz, by dołączył do Attalosa.

– O czym ty mówisz? Czy to sen?

– Nie, panie, na pewno sobie przypominasz... Kilka nocy temu... Rozmawialiśmy o Parmenionie i stwierdziłeś, że może zaistnieje konieczność abicicia go.

– Nigdy nie wypowiedziałbym takich słów! To mój najstarszy przyjaciel. Ryzykował dla mnie swoje życie... wielokrotnie. Skąd pomysł, że życzę mu śmierci?

– Musiałem cię zatem niewłaściwie zrozumieć, panie. Mówiłeś, że pozwolisz mi na długi wypoczynek... tak jak Attalosowi. Sądziłem...

– Źle sądziłeś! Słyszysz? Źle mnie zrozumiałeś!

– Tak, panie. Przepraszam.

Przed namiotem rozległy się jakieś krzyki. Hefajstion odwrócił się i szybko wyszedł na słońce. Aleksander pozostał na łóżku. Próbował sobie przypomnieć, co się zdarzyło po biesiadzie. Pamiętał śmiech i żarty; później stary kawalerzysta Klejtos tańczył na stole. Nie wiedział jednak, w jaki sposób opuścił przyjęcie i jak dotarł do łóżka.

Oficer niebawem wrócił. Podeszedł powoli do króla. Twarz miał zachmurzona.

– Co się tam dzieje? – spytał władca.

Hefajstion usiadł. Nic nie mówił, lecz unikał spojrzenia Aleksandra.

– O co chodzi, człowieku?

– Przyjaciel Parmemona, Tebańczyk Motak... został zamordowany. – Oficer podniósł wzrok na swego monarchę. – Zakłuty, panie... dźgnięty wiele razy...

Królowi spierzchnęły usta.

– Nie zrobiłem tego. Kochałem starca. Nauczył mnie jeździć konno. Gdy byłem dzieckiem, nosił mnie na barana. Wierz mi, to nie ja.

– Oczywiście, że nie ty, panie. Spałeś, a wtedy zabójca wszedł do twojego namiotu i usmarował cię krwią, żeby rzucić na ciebie podejrzenie.

– Tak... tak zapewne było. Ale nikt nie musi o tym wiedzieć, Hefajstionie. W przeciwnym razie ludzie zaczną rozpowiadać... Wiesz, tak samo jak w Pełli o dziecku.

– Wiem, panie. Nikt o tej sprawie nie usłyszy. Obiecuję ci.

– Chciałbym się spotkać z Parmenionem. Pewnie szaleje z bólu. Poznał Motaka jeszcze w Tebach, zanim pozbył się z miasta Spartan. Mój ojciec też tam przebywał. Wiedziałaś o tym?

– Tak, panie. Wezwę twoich służących, przyniosą ci ubranie. Oficer podniósł pokryty krwią sztylet, zanurzył go w wodzie z dzbana i umył. Potem podeszedł do łóżka, zdjął brudną od krwi pościel i zwinął ją w kłębek.

– Dlaczego ktoś mi to zrobił, Hefajstionie?

– Nie mam pojęcia, panie. Na wszelki wypadek jednak podwoję strażę wokół twojego namiotu. Żołnierz wzięwszy brudną pościel, wycofał się. Aleksander siedział w mil-

czeniu i patrzył na swoje dłonie. Dlaczego niczego nie mógł sobie przy-
pomnieć? Identycznie jak w Pełli po spotkaniu z kobietą imieniem Aida.

I

Trzymała jego rękę w swojej i przepowiadała mu przyszłość. Jej perfumy pachniały silnie i mówiła mu o sławie. Skórę miała bielszą niż kość słoniowa.

Pamiętał, że – niczym w transie – wyciągnął rękę i położył na jej piersi. Jej palce gładziły jego udo. Po chwili kobieta przysunęła się i pocałowała go.

A potem...? Pustka. Brak jakichkolwiek wspomnień. Później Aida powiedziała mu, że wraz z Olimpias zamordowały wdowę po Filipie i dziecko. Zapewniła go o absolutnej konieczności tego czynu. Aleksander nie uwierzył

jej, lecz w żaden sposób nie ukarał za zbrodnię.

Następnego dnia, tak jak dziś, obudził się w swoim łóżku z zaschniętą krwią na rękach i twarzy.

Zaledwie kilka godzin wcześniej Parmenionowi zdawało się, że jego serce

i dusza nie zniosą już więcej bólu. Śmierć Derae i zabójstwo Filipa wypaliły

go emocjonalnie. Czuł się wewnętrznie martwy, niezdolny do uczuć. A jednak

się mylił. Skrytobójcze zamordowanie Motaka otworzyło kolejną piekącą ranę i Spartanin w jesieni życia na dobre pograżył się w żalu.

Choć nie zapłakał, był zagubiony i przeraźliwie przygnębiony.

Siedział w namiocie z synami: Filotasem, Nikkim i Hektorem, ciało Tebańczyka leżało nieopodal, na polowej pryczy. Strategos tkwił obok zwłok

i trzymał w dłoni jeszcze ciepłą rękę martwego przyjaciela.

– Wyjdźmy stąd na chwilę, ojczy – zaproponował Nikki, podchodząc i stając obok wodza. Parmemon popatrzył na niego i pokiwał głową, lecz

nawet się nie poruszył. Obrzucił spojrzeniem swoich synów. Wysoki i smukły

Filotas przypominał swego ojca sprzed kilkudziesięciu lat. Nikki był niższy,

ciemnowłosy i krępy, a najmłodszy, Hektor – ogromnie podobny do matki,

o ładnej buzi i dużych, niewinnych oczach. Wszyscy trzej wyrosli już na

mężczyzn. Spartanin uprzytomnił sobie, że przeoczył ich dzieciństwo.

– Byłem w twoim wieku, Hektorze – powiedział – gdy Motak wstąpił do mnie na służbę. Był oddanym przyjacielem. Modlę się, żebyście doświad-

czyli takiej przyjaźni w swoim życiu.

– To był dobry człowiek – przyznał Filotas. Strategos przyjrzał mu się

badawczo, szukając na jego obliczu jakiegokolwiek śladu szyderstwa, ale

zauważył jedynie szczery smutek.

– Okazałem się kiepskim ojcem – mruknął nieoczekiwanie. Własne zwierzenie zaskoczyło go. – Zasłużyliście sobie na znacznie lepszego.

Motak

stale mi wypominał moje zaniedbania. Żałuję... Chciałbym... –

Zamilkł, po

czym zaczerpnął powietrza i westchnął. – Niestety, rozpamiętywanie prze-

szłości do niczego nie prowadzi. Co się stało, już się nie odstanie. Wiedz-

cie jednak, że jestem naprawdę dumny z was wszystkich. – Popatrzył na

Filotasa. – W przeszłości czasem dochodziło między nami do sprzeczek, jednak zły okres minął. Widziałem cię nad Gramkiem. Mobilizowałeś swoich ludzi, a później poprowadziłeś atak ramię w ramię z Aleksandrem. I ciągle jeszcze pamiętam wyścig, w którym zwyciężyłeś mistrzów Grecji. Bieg, w którym popisałeś się zręcznością i odwagą. Niezależnie od wcześniejszych niesnasek między nami wiedz, że serce mi rosło, gdy obserwowałem ten bieg.

– Odwrócił się do Nikkiego i Hektora. – Ponieważ jesteście synami Lwa Macedonii, wymaga się od was więcej niż od innych młodzieńców. Przez całe życie musieliście się zmagać z różnymi trudnościami, a jednak nigdy nie usłyszałem od was słowa skargi. Wiem, że żołnierze, którymi dowodzicie, was szanują. Starzeję się. Nie zdołałem ani cofnąć minionych lat, ani przeżyć inaczej swojego życia. Jednak w tym miejscu... i teraz... chciałbym wam powiedzieć, że kocham was wszystkich. I proszę was o wybaczenie.

– Nie mamy ci czego wybaczać, ojczu – odparł Hektor, obejmując Parmeniona. Nikki podszedł do Spartanina z lewej strony i uścisnął mu ramiona. Tylko Filotas trzymał się z dala. Po chwili podszedł do ciała Motaka i położył rękę na piersi zmarłego. Nie powiedział nic i nie spojrzał na ojca, lecz twarz mu drżała. Stał przez moment z pochyloną głową, po czym obrócił się na pięcie i bez słowa wyszedł z namiotu.

– Nie myśl o nim źle – poprosił Nikki. – Przez większą część swego życia niczego nie pragnął bardziej niż zdobyć twoją miłość. Daj mu trochę czasu.

– Boję się, że nasz czas się kończy – odparł strategos ponuro. Motaka pochowano w cieniu gór Ida w kotlinie otoczonej wysokimi drzewami. Armia ruszyła dalej na południe. Issos, jesień 333 roku p.n.e.

r~7^ śmiałością, której nie spodziewał się niemal żaden z jego wrogów, ^-/Aleksander pomaszerował wraz z wojskami sprzymierzonymi wzdłuż południowego wybrzeża Azji Mniejszej: przez Myzję, Lidję i Karię. Wiele tamtejszych miast greckich natychmiast otworzyło swoje podwoje i powitało zwycięskich Macedończyków jako wyzwoliciele i przyjaciół. Młody król przyjmował ich hołdy z pompą i odgrywaną na użytek tłumów pokorą. Jego łaskawość dla sprzymierzeńców kontrastowała z okrucieństwem, z jakim traktował osady i miasteczka, które próbowały mu się przeciwstawiać.

Jońskie miasto Milet wzięli szturmem traccy najemnicy Aleksandra. Wszędzie – od wschodnich granic perskiego imperium aż po zachodnie granice Grecji – krążyły przerażające opowieści o dokonywanych tam mordach, gwałtach i rzeziach. Nawet zaprzysięgli nieprzyjaciele macedońskiego władcy ledwie mogli uwierzyć w skalę bestialstwa, jakiego się tam dopuszczano. Wielu też szeptało, że młody król osobiście brał udział w tej jatce. Podobno

przebrany za zwyczajnego żołnierza zachęcał trackich barbarzyńców do naj-

potworniejszych czynów.

Po usłyszeniu tej plotki monarcha wpadł w furję i natychmiast zlecił dochodzenie pewnemu ateńskiemu wodzowi. Nielicznych ocalałych mileckich jeńców wypytano i sprowadzono do macedońskiego obozu. Trakom rozkazano stanąć w rzędzie. Jeńcy przechadzali się wśród nich i wskazywali

żołnierzy, którzy wzięli udział w okrucieństwach. Do zmroku piątego dnia

zakończono śledztwo, w wyniku którego skazano na śmierć około siedemdziesięciu Traków. Wyrok wykonano natychmiast i publicznie.

Szybkość decyzji Aleksandra zdobyła uznanie sojuszników. Następnego dnia macedońska armia ruszyła dalej.

Do wiosny następnego roku król dotarł do południowej satrapii o nazwie

Cylicja, położonej na wybrzeżu Morza Cypryjskiego. Perska armia nadal unikała frontalnego starcia, a wódz Dariusza, Memnon, przeniósł ofensywę

na wodę. Pływał po Morzu Egejskim w sile trzystu okrętów, niszczył mace-

dońskie statki dostawcze i najeżdżał na przybrzeżne miasta, które opowiedzia-

ły się po stronie Aleksandra.

W przejętym porcie Afrodyzja Parmenion obserwował rozładunek trzech greckich statków, które przecisnęły się przez perską blokadę.

Pierwszy –

ateńska trirema – wiozł na pokładzie zapasy monet, które trzeba było jak

najszybciej wypłacić oddziałom. Macedoński król zarządził, że nie będzie

żadnego plądrowania zdobytych ziem. Za wszystkie dobra ludzie mieli płacić,

a na każdego przyłapanego na łupiestwie wojownika czekał katowski topór.

To była niezwykle trafna polityka, ponieważ oznaczała, że Aleksander będzie

postrzegany jako wyzwoliciel, a niejako najeżdźca. Niestety, taka strategia

łączyła się z poważnym problemem. Jeśli bowiem żołnierze mieli płacić za

jedzenie, ubrania czy usługi kobiet wolnych obyczajów (wszak pod groźbą

śmierci nie wolno im było dokonywać grabieży), potrzebowali stałego dopły-

wu pieniędzy, a transport w ogóle stanowił wąskie gardło inwazji.

Do tej pory trzy ładunki złota zostały przechwycone przez perską flotę

i żaden Macedończyk nie otrzymał zapłaty za okres dłuższy niż trzy miesiące.

Zaniepokojenie rosło i morale było niskie.

Strategos liczył kufry, gdy przynoszono je ze statku i ładowano na ciąg-

nięte przez woły wozy, potem wskoczył na swego wierzchowca i poprowadził

konwój do miejskiego skarbcza. Dopilnował rozładunku, a później odjechał,

poleciwszy Ptolemeuszowi i Hektorowi nadzór nad składowaniem złota do piwnic pod pałacem.

Król czekał w górnych pokojach. Towarzyszyli mu Hefajstion i Krateros.

Parmenion wszedł do pomieszczenia i skłonił się. Gdy podniósł wzrok, pomyślał, że Aleksander wygląda na zmęczonego. Monarcha – w pełnej

zbroi z żelaza inkrustowanego złotem – siedział przy wielkim oknie na

krześle z wysokim oparciem.

– Monety są bezpieczne w magazynie – stwierdził Spartanin. Rozwiązał rzemyk pod brodą i zdjął z głowy hełm. Siwe włosy mężczyzny były pokryte potem. Podeszedł do pobliskiego stolika, gdzie stał dzban z rozwodnio-

nym winem i sześcioma pucharami.

– Jakie nowiny o Dariuszu? – spytał Aleksander, wstając i ruszając w stronę Parmeniona.

Strategos sięgał już po dzban, jednak w ostatniej chwili się powstrzymał.

– Nadchodzi pora – zauważył. – W ubiegłym roku Wielki Król wydał rozkaz pełnej mobilizacji dla wszystkich satrapii. Przekonano go jednak, że

nasza inwazja to tylko krótkotrwały atak na Azję Mniejszą w celu splądrowa-

nia jońskich miast. Teraz zdał sobie sprawę ze swego błędu. Nasze raporty nie

są aż tak kompletne, jak bym sobie życzył, ale prawdopodobnie Dariusz gromadzi ogromną armię.

– Gdzie? – spytał władca, błyskając oczyma.

– Trudno powiedzieć. Oddziały pochodzą z całego imperium. Słyszałem, że sporo żołnierzy widziano w okolicach Mazary, miasta oddalonego od

nas o jakieś trzy tygodnie marszu na północny wschód. Inne zgrupowanie

rozbiło obóz nieopodal Tarsusu, o tydzień marszu na wschód. Kolejna armia

zbiera się w Syrii. Ale takich oddziałów może być znacznie więcej.

– Ilu ludzi stanie przeciwko nam? – spytał Hefajstion.

Wódz poczuł, że usta ma suche. Pragnął podnieść dzban i poczuć siłę wina

wpływającego w jego kończyny. Potrzęsnał głową.

– Któż może to wiedzieć? – W końcu sięgnął po wino.

– Potrafisz zgadnąć? – naciskał Aleksander.

– Myślę, że około ćwierć miliona – odparł Parmenion. Szybko napełnił puchar i podniósł go do ust z zamiarem wypicia łyka, jednakże wino tak bardzo

mu smakowało, że odstawił pusty puchar.

Król napełnił mu go.

– Ćwierć miliona? Jesteś pewien? – napierał.

Strategos zrezygnował z wypicia kolejnego pucharu wina i podeszedł do tapczanu, który stał na środku pokoju. Przetarłszy zmęczone oczy, usiadł

i oparł się o pokryte jedwabiem poduszki.

– Ci, którzy nigdy nie byli w Azji – zaczął – nie potrafią sobie wyobrazić wielkości tego imperium. Gdyby młody człowiek pragnął niespiesznie objechać konno jego granice, po przybyciu do punktu wyjścia byłby

w średnim wieku. Spędziłby w podróży wiele lat, przemierzyłby pustynie

i góry, bujne doliny, bezkresne równiny, dżungle i strefy dziczy, które ciągną

się na odległość sto razy większą niż może dojrzeć oko, nawet z najwyższej

góry. – Rozejrzał się po pokoju. – Spójrzcie na dzban z winem – zasuge-

rował. – Jeśli uosabia on Grecję, w takim razie perskim imperium byłby cały

pałac. Jest ono tak olbrzymie, że nie sposób policzyć poddanych Wielkiego

Króla. Może jest ich ze sto milionów? Nawet on sam nie zna dokładnej liczby.

– Jak zatem podbijemy taki rozległy kraj? – spytał Krateros.

– Najpierw musimy wybrać sprzyjające pole bitwy – odparł Spartanin

– lecz jeszcze ważniejsze jest zdobycie poparcia autochtonów.
Imperium jest
zbyt duże, byśmy mogli je pokonać jako najeźdźcy. Trzeba się raczej
stać jego
częścią. Dariusz przejął tron, ponieważ otruł swoich rywali. Już
musiał stawić
czoło kilku wojnom domowym i wszystkie wygrał. Jednak wiele osób z
jego
otoczenia mu nie ufa. Macedonię uważano kiedyś za część tego imperium
i na
tym musimy oprzeć naszą strategię. Aleksander powinien odegrać
rolę...
wybawcy, który przybył uwolnić greckie miasta, a także oswobodzić
impe-
rium od uzurpatora.
Hefajstion roześmiał się.
– Żartujesz, Parmenionie. Ilu Persów uwierzy, że napadający na ich
kraj
Grek jest oswobodzicielem?
– Więcej niż sądzisz – odparł nagle król. – Zastanów się,
przyjacielu.
W Grecji mamy mnóstwo polis, lecz wszystkie są greckie. Tutaj
istnieją setki
rozmaitych nacji. Czy tacy na przykład Kapadowie przejmą się, gdy na
tronie
zasiądzie ktoś inny niż Pers? A Frygijczycy, Syryjczycy czy
Egipcjanie?
Wszyscy oni wiedzą, że w Suzie rządzi jakiś Wielki Król i tyle. –
Odwrócił
się do swego najstarszego wodza. – Masz rację, strategosie,)ak zawsze
masz
rację. Ale wydajesz się znużony rozlicznymi obowiązkami. Chyba za
bardzo
cię eksploatuję. – Władca przyniósł Spartaninowi nowy puchar wina,
który
wódz przyjął z wdzięcznością.
– A co z perską armią? – spytał Krateros. – Kto ją poprowadzi?
– Tak, to stanowi w istocie problem – przyznał Parmenion. – Memnon
jest wytrawnym wodzem. Pobiliśmy go nad Granikiem, ponieważ nie był
świadom, że tak liczne posiłki przybyły z Aleksandrem i po prostu
wystawił
zbyt mało ludzi. Jednak niezależnie od miejsca, w którym stoczymy
następną
bitwę, Persowie będą mieć nad nami dziesięciokrotną przewagę
liczebną.
Tego możemy być pewni.
– Nie przejmujcie się Memnonem – wtrącił król osobliwie głuchym
i pozbawionym emocji głosem. – Zmarł dwie noce temu.
– Nic o tym nie słyszałem – stwierdził strategos.
– Bo nie mogłeś – odparł Aleksander. – Miałem wizję. Serce wybuch-
ło mu niczym przejrzały melon.
Podszedł do okna i zapatrzył się na morze.
Hefajstion stanął u jego boku i powiedział coś tak cicho, że
Spartanin nie
rozróżnił słów. Jednak król skinął głową.
– Nasz monarcha chce zostać teraz sam – oświadczył oficer.
Parmenion wstał i podniósł hełm, lecz Aleksander nie ruszył się od
okna.
Skonfundowany strategos poszedł za Kraterosem do wyjścia.
– Czy król ma się dobrze? – spytał młodzieńca, gdy znaleźli się na
dworze.
Krateros zastanowił się, zanim odpowiedział.
– Ubiegłej nocy wyznał mi, że ma zostać bogiem. Nie żartował, Parme-
nionie. Spytałem go później o szczegóły, lecz odmówił wyjaśnień. Stał

się...
jakiś dziwaczny. Stale ma jakieś wizje, toczy rozmowy z bogami. Masz,
panie,
wielkie doświadczenie w kwestiach związanych z zachowaniem wojowników
podczas bitew, a zwłaszcza w trakcie długich kampanii. Rozumiesz
może, co
się z nim dzieje?
– Podzieliłeś się z kimś swymi wątpliwościami?
– Nie, panie. Oczywiście, że nie.
– Bardzo mądrze, mój chłopcze. Nie mów nic... ani Hefajstionowi, ani
żadnemu ze swoich przyjaciół. Nawet jeśli ludzie zaczną dyskutować na
ten
temat w twojej obecności, zachowaj milczenie.
Krateros otworzył szeroko oczy.
– Sądziś, że traci zmysły?
– Nie! – odparł Spartanin, gwałtowniej niż zamierzał. – Aleksander
rzeczywiście posiada wielką moc. Miał ją w sobie już jako dziecko:
zdolność
widzenia zdarzeń z wielkiej odległości i inne... talenty. Teraz owa
moc
powróciła. I wywiera na króla straszliwe naciski.
– Co zatem radzisz?
– Moje rady się już chyba wyczerpały. Aleksandrowi przeznaczona jest
wielkość. My możemy go jedynie wspierać i podążać za nim. Nasz władca
ma silną wolę, a ja żywię nadzieję, że to... ogólne złe
samopoczucie... minie.
– Wydaje mi się, że tak naprawdę wcale w to nie wierzysz.
Wódz nie odpowiedział. Po chwili klepnął młodzieńca w ramię i
odszedł,
pogrążony w ponurych myślach. Zbyt długo odsuwał od siebie
podejrzenia
i nie chciał spojrzeć prawdzie w oczy. „Motak miał rację – pomyślał –
naprawdę nie widziałem oczywistych spraw”.
Przez długi czas pozwalał, by kierowały nim emocje. A ilekroć
ochłonał,
ilekroć słyszał głos rozsądku, który nakazywał racjonalną ocenę
sytuacji,
zagłuszał go winem. Ilekroć ostrzegał swoich młodych oficerów przed
takim
niemądrym podejściem?!
Tak czy owak, teraz był zmuszony zmierzyć się ze strachem, z którym
żył
od tak dawna.
Duch Chaosu bowiem powrócił.

Bitwa pod Issos, 333 rok p.n.e.

Panowało przenikliwe zimno, gdy odziany w bitewną zbroję Parmenion jechał rankiem na siwym Paksosie. Kłęby pary wydobywały się z nozdrzy konia. Pędzili ku północy. Niebo miało kolor stali, z zachodu pełzła morską

mgła. Pokrywała obozowisko i zagłuszała odgłosy wydawane przez macedoń-

skich piechurów ustawiających się w formację. Spartanin związał pod broda

rzemyki hełmu, obrócił się i popatrzył na gromadzących się mężczyzn. Przez pięć dni Macedończycy maszerowali na południe, z pozoru uciekając przed ogromną armią Dariusza, teraz jednak – kiedy blask świtu zalewało

Morze Śródziemne – skręcili na północ i pomaszerowali wąską, usianą

kamieniami przełęczą.

Perski obóz znajdował się w tej chwili nie dalej niż cztery mile od nich.

Strategos jechał ostrożnie przed grupą macedońskiej piechoty.

Towarzyszył

mu Aleksander. Przez całą noc wódz wysłuchiwał od zwiadowców raportów związanych z perskimi pozycjami. Wierząc, że macedoński król przed nim

ucieka, Dariusz – zgodnie z przewidywaniami Parmeniona – zrobił się niedbały. Jego ogromne wojska, liczące ponad dwieście tysięcy żołnierzy,

nocowały nad rzeką na południe od miasta Issos. Tam właśnie strategos zamierzał sprowokować bitwę, ponieważ równiny na południe od miasta ciągnęły się tylko przez półtorej mili i Persowie mieliby trudności w wyko-

rzystaniu swej liczebnej przewagi do otoczenia macedońskich flank. Podczas jazdy Aleksander pozostawał nienaturalnie milczący. Żaden z oficerów nie odważył się przerwać ciszy.

Nadchodziła chwila prawdy. Wiedział o tym każdy mężczyzna – maszerujący czy jadący, chłop czy szlachcic. Jedynie wodzowie i kapitanowie

rozpatrywali nadchodzącą bitwę w kategoriach zwycięstwa i klęski.

Zwyczaj-

ni wojownicy myśleli wyłącznie o niechybnej śmierci. Błyskawicznie rozcho-

dziły się wśród nich nowiny dotyczące rozmiarów wrogiej armii. Król obje-

chał poprzedniego wieczoru obóz, rozmawiał z ludźmi, podnosił ich na duchu

i zachęcał do walki. Jednak mimo swej charyzmy nie zdołał wlać w ich serca

otuchy trwalszej niż ulotna mgła o zimnym poranku.

Równina niemal rozlewała się przed jadącymi, przechodząc w płaskie wzgórza na wschodzie. Aleksander polecił piechocie, by rozbiegła się półko-

liście. Prowadzeni przez srebrnobrodego Teoparlisa tarczownicy – elitarni

żołnierze wyszkoleni przez Parmenona – ruszyli na prawo, zostawiając w środku macedońską piechotę dowodzoną przez Perdikkasa. Wojownicy ze sprzymierzonych oddziałów i najemnicy pozostali na lewej flance i cała armia

kontynuowała pochód szerokim frontem. Podążali teraz w formacji głębokiej

na osiem rzędów.

Król wraz z oficerami przejechał wzdłuż linii na zachód. Tu sprzymierzona

konnica i Tesalijczycy rozstawili się półkole do środka niczym skrzyd-

ła orła.

W końcu jadący obok strategosa Aleksander przemówił:

– A zatem, mój drogi wodzu, nareszcie nadszedł dzień prawdy. –

Uśmiechnął się i uścisnął rękę Parmeniona w typowo żołnierskim geście,

obejmując jego dłoń tuż nad nadgarstkiem. – Spotkamy się znowu po zwycięstwie lub na Polach Elizejskich.

– Wolałbym zwycięstwo – odparł Spartanin z cierpkim uśmiechem.

– Niech się tak stanie! – zgodził się król, po czym szarpnął lejce i pogalopował na prawe skrzydło. Sprzymierzona jazda i lancownicy

popę-

dzili za nim.

Wódz pojechał w tył ku kolumnie lekko uzbrojonych łuczników, którzy maszerowali za falangami. Ludzie ci byli Agrarianami z zachodniej Tracji

– wysokimi, szczupłymi i zwinnymi góralami. Nosili krótkie, mocno

wygięte
łuki ze sprężystego drewna. Łucznicy sprawdzali się jako wspaniali
wo-
jownicy. Byli opanowani i spokojni, a równocześnie niezwykle zawzięci
w bitwach. Strategos przywołał do siebie ich oficera i rozkazał mu
skierować
Agrianian w prawo, ku skrytemu we mgłę pogórze.
– Przypuszczam, że Dariusz wyśle konnicę, aby nas okrążyła. Zatrzy-
majcie jeźdźców i zawróćcie z powrotem, jeśli zdołacie. A jeżeli wam
się nie
uda, zadajcie im przynajmniej ogromne straty.
– Tak, panie – odparł mężczyzna. – Zmusimy ich do galopu. – Posłał
wodzowi szeroki uśmiech i zaciał konia ku wschodowi. Jego ludzie
podażyli
za nim.
Parmenion wrócił do konnicy po lewej i badawczo przyjrzał się długiej
piaszczystej plaży na zachodzie. Obrócił się do Berina, tesalijskiego
księcia
o ostrych rysach, który walczył obok niego na Krokusowym Polu tyleż
lat
wcześniej. Berinowi posiwiała już broda, mocno kontrastując z opaloną
na
brąz twarzą, lecz mężczyzna ciągle pozostawał szczupły i silny.
Uśmiechnął
się do Spartanina.
– Prawdopodobnie spróbują obejść nas plażą–zauważył.–Mamy tam
pojechać?
– Nie. Swoim ludziom każ zsiąść z koni, a później ustaw ich za
piechotę.
Niech was zobaczą dopiero wówczas, gdy zaszarżują na naszą flankę.
Będzie-
cie tajną bronią.
Książę zasalutował i poprowadził swoich ludzi z powrotem wzdłuż
linii.
Pył podnosił się za maszerującymi mężczyznami. Tesalijczycy
zeskoczyli
z koni, jednak ociągali się przy nich, chroniąc delikatne nozdrza
swoich
wierzchowców. Niektórzy nawet lali cenną wodę na szmatki i wycierali
kurz
z końskich chrapów.
Macedońska armia maszerowała dalej. W oddali, na drugim brzegu wą-
skiej rzeczki, pojawiły się prowizoryczne szańce i fortyfikacje z
wbitych
w ziemię zaostrzonych pali chroniące centrum perskich sił.
Strategos dojrzał po prawej stronie jaskrawo odzianą perską konnicę
zjeżdżającą ze wzgórza. Kości zostały rzucone, więc starał się
zapomnieć za-
równo ojej liczebnej przewadze, jak i bojowym potencjale. Wierzył w
umie-
jętności swoich agrianiańskich łuczników. Ufał, że zdołają rozprawić
się
z wrogiem. Powoli żołnierze rozpoczęli marsz. Parmenion skierował dwa
tysiące sprzymierzonej jazdy bardziej na lewo i kazał im się
rozciągnąć.
Jego przewidywania szczęśliwie się sprawdzały. Spora część perskiej
jazdy przebyła bród i skierowała się na zachód, ku plaży. Wódz
wprawnym
okiem obserwował, jak w szyku wypływali z prawego skrzydła wroga.
Było
ich trzy tysiące, cztery, pięć, sześć...
Ptolemeusz stanął obok Spartanina.
– Potrafimy ich zatrzymać? – spytał nerwowo. Strategos skinął głową.
– Wydadź rozkaz Berinowi. Niech jego Tesalijczycy dosiada koni.

Po tych słowach skierował spojrzenie z powrotem na centrum. Macedońska piechota dotarła już prawie nad rzekę. Teraz nadszedł czas próby, ponieważ armia Aleksandra ze względu na przewagę liczebną wroga nie była w stanie jednocześnie forsować rzeki i odpierać ataku z okolicznych wzgórz, a w dodatku miała przed sobą zwartą formację dobrze uzbrojonych perskich gwardzistów i przynajmniej pięć tysięcy renegatów – greckich najemników. Wielu z nich pochodziło z Beocji i Teb. Parmenion wiedział, że będą walczyć do ostatniej krwi, niesieni głęboką nienawiścią do macedońskich zwycięzców. Strategos był przekonany, że jego dzikim Tesalijczykom uda się zawrócić perską konnicę na plaży i ochronić lewą flankę. Pokładał też wiarę w talenty agrianiańskich łuczników strzegących wzgórz po prawej. Teraz wszakże wszystko zależało od macedońskiej kawalerii. Jej zadaniem było dokonanie wyłomu w centrum formacji wroga. Jeśli jeźdźcy nie zatrzymają Persów, ci dzięki samej swojej masie, staranują głębokie na osiem rzędów szeregi macedońskiej piechoty z siłą huraganu zmiatającego z powierzchni ziemi zamki na piasku. Spartanin odchrząknął, nie zdołał jednak zebrać dość śliny, by splunąć. Losy bitwy zależały obecnie od odwagi i siły macedońskiego króla. Aleksander zacisnął mocniej paski na żelaznym pancerzu przy lewym przedramieniu, potem związał lejce Bucefała. Od tej pory będzie kontrolował swego wojennego rumaka jedynie przy użyciu kolan. Filotas krzyknął coś i król się odwrócił. Po prawej stronie zobaczył perską jazdę. Konni wjeżdżali na wzgórz. Zerknąwszy za siebie, zauważył łuczników wychodzących wrogowi naprzeciw. Odchrząknął i splunął, oczyszczając usta z kurzu, potem wyjął miecz, podniósł go wysoko nad głowę i kopnięciem zachęcił Bucefała do ataku przez płytką rzekę. Popędziła za nim sprzymierzona konnica, prowadzona przez Filotasa, Klejtosa i Hefajstiona. Strzały i miotane przez procarzy kamienie świszczwały wokół głowy monarchy, lecz żaden z pocisków go nie tknął. Wierzchowiec z impetem wjechał w rzekę, wzbijając w powietrzu strugi wody. Tysiące perskich jeźdźców wyruszyło Macedończykom na spotkanie. Aleksander nadal pędził na przedzie. Dzikim cięciem smagnął w ramię ubranego w jedwabie Persa i mężczyzna spadł z krzykiem w spienioną wodę. Nieprzyjacielscy konni niemal nie nosili zbroi – mieli na sobie tylko ozdobne brokatowe napierśniki – toteż Macedończycy łatwo przebili się na drugi brzeg. – Bij zabij! – wrzasnął macedoński władca. Jego głos niósł się ponad szczykiem bitwy. W pewnym momencie czyjaś lanca z brzękiem odbiła się od jego napierśnika, odrywając przy okazji pokryte złotym ornamentem

naramienniki. Aleksander zrobił unik przed rozszalałą szablą i rozpruł napastnikowi brzuch.

Na szczycie wzgórza ściągnął lejce rumaka i rzucił szybkie spojrzenie na lewo. Grecy zdrajcy na żołdzie Dariusza kontratakowali przeciw macedońskiej piechocie. Dwa wojska chaotycznie walczyły w samym środku płytkiej rzeki. Za Grekami stali perscy gwardziści, gotując się do wsparcia najemników. Aleksander w jednej chwili zrozumiał, że jeśli zaszarżują teraz, macedońskie centrum szybko się rozpadnie.

Obrócił Bucefała i ruszył na gwardzistów. Sprzymierzona konnica desperacko usiłowała go wesprzeć. Ze strony króla było to niezwykle śmiałe, wręcz ryzykowne posunięcie. Toczący twardy bój w wodzie Macedończycy zobaczyli nagle, że ich władca samotnie wycina sobie drogę ku perskiemu centrum.

Podniósł się wielki krzyk i falangi ruszyły do przodu. Aleksander, ranny w oba ramiona, kontynuował galop, ponieważ dostrzegł swego wroga. Dariusz stał w złotym rydwanie zaprzężonym w cztery białe rumaki. Perski król był wysoki i przystojny, miał długą, złotą, bardzo kręconą brodę. Na jego głowie tkwiła stożkowa korona ze złota, pod nią srebrny hełm. Białą jedwabną szarfę przewiązał sobie wokół szyi. Spływała na płaszcz utkany ze srebrzystej nici.

– Widzę cię, uzurpatorze! – zawołał władca Macedonii. Hefajstion wraz ze sprzymierzoną kawalerią podjechał do niego, by ochraniać go po bokach, jednak Aleksander ponownie popędził Bucefała. Perscy gwardziści cofali się przed jego dziką szarżą; ogromna masa ludzka pchała się ku rydwanowi Dariusza.

Po drugiej stronie pola bitwy Berin i Tesalijczycy przełamali perskie szeregi i skierowali się na prawo, by dołączyć do macedońskiego króla.

Przerażeni zaciekłym atakiem Persowie starali się uformować bojowy czworobok wokół swego władcy. Aleksander zauważył, że perski monarcha łapie za włócznię i próbuje odwrócić rydwan, by stawić czoło najeźdźcy, ale białe konie zdezorientowane hałasem oraz zapachem krwi i śmierci wystraszyły się i poniosły rydwan w pole. Dariusz czynił to, co mógł, by zapanować nad oszalałymi zwierzętami, jednak na próżno. Rydwan popędził ku północy.

Wielu Persów na widok umykającego króla również uciekło. Ich szeregi były mocno zredukowane. Tesalijscy jeźdźcy skorzystali z okazji i połączyli się z Aleksandrem.

W kilka chwil bitwa zamieniła się w pogrom. Perscy piechurzy pędem ruszyli ku wzgórzom, porzucając miecze i tarcze. Całe pułki, które jeszcze nie weszły do bitwy, wycofały się ku stosunkowo bezpiecznemu miastu Issos.

Kiedy słońce stanęło w zenicie, jedynie resztki gwardzistów Dariusza stawały opór, jednak byli zbyt słabi, toteż w mig zostali pokonani i

wybici.

Niemal trzy tysiące greckich najemników złożyło broń, pragnąc się poddać

macedońskiemu królowi. Ten wszakże odmówił.

– Zdradziliście swój naród – oświadczył posłańcowi. – Walczyliście po stronie uzurpatora przeciw armii greckiej, która przybyła z pochodnią wolności.

– Ale my przecież jesteśmy najemnikami, panie – odparł posłaniec.

Twarz pobladła mu mimo opalenizny. – Żyjemy z naszego oręża. Dariusz nas wynajął i służyliśmy mu lojalnie. Jak możesz nas nazywać zdrajcami,

skoro na tym polega nasza praca?

– Zapłacił wam za walkę – odrzekł król chłodno. – Więc walczcie.

Chwyćcie za broń i zasłużcie na zapłatę.

– To szaleństwo! – krzyknął posłaniec. Rozejrzał się po wodzach zwycięskiego władcy, licząc na ich wsparcie.

– Nie -- syknął Aleksander. – Teraz dopiero poznasz smak szaleństwa.

– Zrobił krok do przodu i zniemacka od dołu wbił mężczyźnie miecz w gardło,

po czym pchnął ku górze aż do mózgu. – Zabić wszystkich! – rozkazał.

Zanim najemnicy zdążyli podnieść broń, otaczający ich Trakowie i Mace-

dończycy wykonali polecenie. Zabijali bez litości. Król wyszarpnął miecz

z ciała i wbiegł między nich. Jego ostrze trafiło w plecy

najbliższego renegata.

Z dzikimi okrzykiem cała armia ruszyła na najemników, tnąc i kłując.

Po kilku

chwilach żaden ze zdrajców nie pozostał żywy.

Macedończycy ochłonęli i ciężkim krokiem wycofali się z rzezi, a między

rannymi biegał już tylko Aleksander. Zbrukany krwią, w morderczym szale

nie przestawał dobijać ofiar.

Ogromna cisza zaległa w armii, kiedy żołnierze obserwowali oszalały taniec śmierci swojego monarchy wśród trupów. Hefajstion, który nie brał

udziału w rzezi, podszedł do króla i coś perorował mu długo szeptem.

Aleksander uspokoił się i opadł w ramiona przyjaciela. Oficer pomógł swemu

władcy opuścić pole bitwy.

Lindos, Rodos, 330 rok p.n.e.

Aida była zadowolona. Siedziała w cieniu markizy, wpatrując się w

lśnią-

ce morze, które rozciągało się w dali. Tutejszy zamek zbudowano na
wysokim urwisku ponad małą wioską wtuloną między dwie zatoki. Z

miejsca,

gdzie siedziała, czarodziejka dostrzegała osłoniętą klifem mniejszą
zatokę.

Kotwiczyły w niej statki, które chroniły się przed sztormem często
szalejącym

na Morzu Egejskim.

Jakaś trirema osiadła właśnie na mieliźnie w zatoce. Ogromne żagle
statek

miał zwinięte, a trzy rzędy wiosel leżały na pokładzie. Tkwiąc na
plaży,

przypominał dziecięcą zabawkę, i Aida obserwowała żeglarzy wyskakują-
cych na brzeg. Oficer ruszył w górę krętą klifową ścieżką prowadzącą
do

zamku.

Morskie powietrze pachniało świeżością i kobieta zrobiła głęboki
wdech.

Czuła smak mocy Boga Mroku na języku, czuła jego potężną obecność
obok

siebie, niemal fizyczną na morskim wietrze wiejącym z Azji. Aida
polizała

wargi, z rozkoszą myśląc o spełniających się marzeniach.

Niektórzy filozofowie wspominali wprawdzie o takich kwestiach jak
dobro i zło, ale była to jedynie czcza gadanina. Cóż za głupie
wyrażenia!

Istniała przecież tylko siła i słabość, moc i bezradność. Moc
stanowiła sedno

wszystkich tajemnic, jakie czarodziejka poznawała przez ból podczas
swego

długiego życia.

Magia natury mogła przedłużyć życie, zwiększyć siły, zdobyć bogactwa
dla mężczyzny albo kobiety, którzy ją rozumieli. Jednak magia ta
wymagała

krwi i ofiar. Żywiła się krzyczącymi duszami; potrzebowała ich.

Wszystko to było już wiadome od zarania dziejów. Przez całą historię
mądrzy ludzie zdawali sobie sprawę z ogromnej mocy ofiary. Tylko
prawdzi-

wi wtajemniczeni rozumieli naturę uwolnionej mocy.

Tak, po zabiciu byka można zyskać niewielką moc, zaledwie cząsteczkę.

A w przypadku ofiary ludzkiej? Strach człowieka tuż przed śmiercią
powiekk-

sza ową cząsteczkę, napełniają mroczną energią i emituje w powietrze.
Ciemne oczy Aidy zapatrzyły się na wschód, ponad rozległą wodą. Ty-
siące ludzi zginęło tam rok wcześniej, pod Arbela. Pobiła ich ciągle
zwycięska

armia macedońska. Król Dariusz już nie żył, zamordowali go jego

sfrustrowani klęskami wojownicy podczas odwrotu. Aleksandra koronowano w Babilonii.

Aleksander, Król Królów! Aleksander Bóg!

„Nie, nie” – poprawiła się czarodziejka. Aleksander jeszcze nie był bogiem. Nadal pozostawał zwyczajnym śmiertelnikiem. Ów śmiertelnik ze wszystkich sił starał się powstrzymać moc, którą nosił w sobie. Jednakże już długo nie zdoła... Aida zamknęła oczy i jej duch wzniósł się wysoko, ulatując do miasta Suza, gdzie Aleksander siedział na tronie ze złota, inkrustowanym drogocennymi klejnotami niezwyklej rzadkości. Nosił teraz leżące jedwabie, a na ramiona narzucał płaszcz wyszywany złotą nicią. Kobieta unosiła się niewidoczna tuż przed nim.

Panie! – szepnęła.

Nie otrzymała odpowiedzi, a jednak poczuła pulsującą w jego wnętrzu boską siłę. Król przywodził jej na myśl człowieka, który kurczowo trzyma się skalnego lica wysoko ponad ziemią. Ramiona ma już zmęczone, palce za ledwie ściskają kamienny występ. Aida wiedziała, że Aleksander się boi. Jego dusza okazała się silniejsza, niż podejrzewała czarodziejka, nie ulegała Bogowi, powstrzymywała go od jego przeznaczenia... I to jakiego przeznaczenia!

Kiedy Bóg Mroku zacznie w pełni wszystko kontrolować, jego moc znacząco się zwiększy, promieniując daleko poza kruchą ludzką powłokę, którą zamieszkiwał. Potęga Chaosu popłynie wówczas na ziemię i ogarnie każdą żywą istotę, każde drzewo i skałę, każde jezioro i strumień.

A wtedy jego wierni słudzy otrzymają nagrodę – życie w wiecznej młodości, nieskończone przyjemności, nigdy dotąd nie doświadczaną przez żadnego człowieka intensywność wszelkich przeżyć i odczuć.

Wkrótce nadejdzie ten błogosławiony dzień!

Każde zwycięstwo, każda śmierć zadana ręką Aleksandra wzmocniała mroczną siłę tkwiącą w jego duszy.

Już niedługo!

Gdy Aida wróciła do swego ciała, ułożyła się wygodnie na tapczanie i sięgnęła po puchar z winem. Słońce powoli zachodziło, lecz nadal jeszcze czuła jego gorące promienie na nogach. Wstała, przesunęła tapczan bardziej w cień i ponownie się na niej rozciągnęła.

Wkrótce zapewne przybędą posłańcy, zgrzani i zmęczeni wspinaczką po urwistej klifowej ścieżce. Czarodziejka napisała wcześniej do Aleksandra list z prośbą o zaproszenie na dwór, gdzie pragnęłaby mu służyć radą. Gdy już się tam znajdzie, będzie mogła przyspieszyć proces – doda królowi do wina konieczne narkotyki, osłabi jego wolę i zmniejszy opór.

Jakież radosne chwile ją czekały...

Myślami wróciła do kobiety imieniem Derae i jej dobry nastrój natychmiast się ulotnił. Stara idiotka! Była taka bierna, z pozoru zadowolona ze swego nędznego życia, a przecież tkwiła we wnętrzu kruchej, artretycznej ludzkiej powłoki.

– Ciekawe, czy nadal jesteś taka wesoła? – wyszeptała zjadliwie czarodziejka. – Teraz, gdy robaki uczują a na twoim ciele... Nic nie zrozumiałaś!

Te twoje uzdrowienia i dobre uczynki! Po prostu karmiłaś się magią natury,
nie dając z siebie nic. Gdybyśmy wszyscy postępowali tak jak ty,
magia
wkrótce by umarła. A jak wyglądałby wtedy świat? Zamieszkały przez
coraz
liczniejsze masy ludzkie, pozbawiony magii...
Zadrżała na tę myśl.
W tym momencie stanęła przed nią młoda rudowłosa akolitka i skłoniła
się nisko.
– Pewien człowiek chce się z tobą zobaczyć, pani – oświadczyła. –
Jakiś oficer króla Aleksandra.
– Przyrowadź go do mnie – rozkazała Aida. – I przynieś nam wino.
Dziewczyna wycofała się. Czarodziejka wygładziła szatę z czarnego jed-
wabiu i czekała. Po chwili do pomieszczenia wszedł młody mężczyzna,
wysoki i ciemnobrody. Napierśnik miał czarny, obrzeżony złotem, hełm
z białym pióropuszem trzymał w lewej ręce. Jego twarz była
przystojna,
opalona, w odcieniu spiżu. Nie wydawał się wcale zmęczony długą
wspinacz-
ką do zamku.
Pokłonił się z kurtuazją.
– Nazywam się Hefajstion, pani. Przysłał mnie Aleksander. Mam cię
zawieźć na jego dwór.
Spojrzała w jego ciemne oczy i nie spodobało jej się to, co w nich
zobaczyła. Chociaż gardziła mężczyznami, przyzwyczaiła się do ich
uwiel-
bienia. Jednak młody oficer pozostawał obojętny na jej wdzięki.
Zirytował ją
tym, jednak nic po sobie nie pokazała. Wręcz przeciwnie, posłała mu
oszała-
miający uśmiech.
– Jestem zaszczycona – odparła – że Wielki Król zaprasza mnie do
Suzy.
Hefajstion skinął głową.
– Masz wspaniałą siedzibę – zauważył. – Może przejdziemy się po
murach zamku?
Aida nie lubiła silnego słońca, jednak słyszała, że ten oficer jest
najbliź-
szym przyjacielem Aleksandra i nie miała ochoty go obrażać swoją
odmową.
– Oczywiście – odrzekła. Nałożyła kapelusz o szerokim rondzie, wstała
i poprowadziła mężczyznę do północnej ściany. Stamtąd mogli zobaczyć
większe fragmenty dwóch zatok Lindos i obserwować mewy wznoszące się
i opadające nad małymi rybackimi łodziami, które powracały z morskich
połowów.
– Król ma kłopoty – stwierdził Hefajstion. – I sądzi, że potrafisz im
jakoś zaradzić.
– Kłopoty? Jakiego rodzaju?
Oficer usiadł na gzymsie. Wyprostował plecy.
– Można by rzec, że jest dwóch Aleksandrów – wyjaśnił cicho. –
Jednego kocham, drugiego się obawiam. Pierwszy to życzliwy
przyjaciel,
wyróżniały, dbały o innych. Drugi zaś jest bezlitosnym i
przerażającym
zabójcą.
– Opowiesz mi o wszystkim z wielką szczerością, Hefajstionie. Skąd
masz pewność, że mądrze postępujesz?
– Och, sądzę, że tak, droga pani. Widzisz, król zwięźle opisał twój
pobyt
w Pełli i napomknął o... pomocy, której mu udzieliłaś.
– Pomocy? – spytała, bynajmniej nie zmieszana.
– Wyjaśnił mi, w jaki sposób pomogłaś mu przejąć tron.

– Rozumiem.

– Nie wątpię – mruknął oficer, lecz w jego głosie nie było nawet cienia potępienia. Jego ciemne oczy bez trudu wytrzymały jej spojrzenie. –

Kiedy Aleksander otrzymał twój list, poprosił mnie, bym do ciebie pojechał. Mam ci podziękować za wszystko, co dla niego zrobiłaś. Przekazał mi dwa zadania. Sprzeczne z sobą, jednak zaczynam się przyzwyczajać do dwoistości.

– Cóż to były za zadania?

– Najpierw, jak już wspomniałem, poprosił mnie, abym cię do niego przywiózł...

– A jakie było drugie?

– No cóż, mam pewien... problem. Może ty mi pomożesz rozwiązać dylemat.

– Jeśli tylko potrafię – odparła.

– Mówiłem ci, że istnieje dwóch Aleksandrów. A więc każdy z nich wydał mi odrębną instrukcję. Którego powinienem posłuchać? Przyjaciela... czy obcej osoby, której się obawiam?

– Zawsze mądrzej jest – odrzekła z namysłem Aida – wpierw rozważyć rozkazy ludzi, którzy napawają nas lękiem. Przyjaciel chętnie wybacz.

Ten drugi natomiast nie.

Hefajstion pokiwał głową.

– Jesteś bardzo rozumna, pani. – Pochylił się ku niej, chwycił ją pod pachy, podniósł i posadził na gzymsowym murze. – Rozumna i piękna. Przyjmę twoją radę.

– Widzę, że nasza przyjaźń dobrze się zaczyna – oznajmiła z wymuszonym uśmiechem.

– Rzeczywiście... i dobrze się kończy.

– Kończy się? – Czarodziejce aż zaschło w gardle. Potężny oficer ją przerażał.

– Tak, pani – odszepnął. – Ponieważ, widzisz, mój przyjaciel prosił mnie, bym cię do niego przywiózł. Niestety, ten drugi Aleksander kazał mi cię zabić.

– To niemożliwe. Jestem lojalną służką. Zawsze go wspierałam. Nie pragnąłby mojej śmierci. Pomyliłeś się, Hefajstionie. Teraz postaw mnie na ziemi. Mam dość tych nonsensów.

– Może masz i rację – stwierdził. – Ciężko jest czasami rozdzielić tych dwóch. Jednakże w Pełli pomogłaś mu w zabiciu dziecka. Nawet go przekonałaś, że powinien zjeść serce braciszka. Nie wierzę, że mój król potrzebuje twoich rad.

– Słuchaj, pożałujesz, jeśli... – zaczęła, lecz Hefajstion złapał ją za nogi i wypchnął za mur.

Poczuła, że leci.

Daleko w dole ujrzała poszczerbione skały. Strach zawiądnął jej umysłem i zaczęła histerycznie wrzeszczeć. Jej krzyk słychać było w całej osadzie.

Oficer przechylił się przez gzyms i patrzył na spiralnie spadające ciało czarodziejki. Jej wrzaski niosły się na wietrze. Hefajstionowi wydało się, że Aida wygląda jak ogromny kruk. Jej czarne szaty trzepotały niczym połamane skrzydła. Obserwował jej upadek na skały. Wreszcie jej wołanie urwało

się,
a na zwłoki szybko opadło stado mew. Ich białe kształty z wolna zakryły czarne szaty.
Zrobił krok w tył i wziął głęboki wdech. Choć nigdy przedtem nie zabił kobiety, nie czuł skruchy. Od Aidy promieniowało niemal dotykalne zło;
oficer odniósł wrażenie, że splamił się samym jej dotknięciem. Powiedział jej zresztą prawdę, no... przynajmniej częściową.
Aleksander przyznał mu się, że boi się tej kobiety i życzy jej śmierci, a jednak później zimnym głosem rozkazał ją sprowadzić na dwór. Podczas dwóch lat, które minęły od krwawej rzezi pod Issos, król często wspominał o swoich lękach i o mrocznej mocy zżerającej jego duszę od środka. Hefajstion więcej niż ktokolwiek wiedział o sekretach władcy, nawet więcej niż Parmenion, który dowodził obecnie drugą armią macedońską i rzadko widywał Aleksandra. Właśnie Hefajstionowi monarcha się zwierzał. Oficer zawsze rozpoznawał moment, gdy Bóg Mroku przejmował nad władcą kontrolę. Wtedy głos króla stawał się lodowaty, a spojrzenie zamglone i dalekie. Po chwili Aleksander robił się przerażający...
Tak jak owej nocy w przejętym mies'cie Persepolis, gdy poprowadził pijany tłum z pochodniami. Poszli spalić jeden z największych cudów świata:
pięknie wyrzeźbioną drewnianą świątynię Ahury Mazdy wraz ze znajdującymi się w niej dziełami proroka Zaratustry. Oszołomiony Hefajstion stał obok i patrzył, jak Aleksander oblewa oliwą wołowe skóry, na których złotą czcionką wypisano słowa proroka.
Dwadzieścia tysięcy skór – najpieczołowiciej strzeżony skarb perskiego ludu – zniszczono w jedną szaloną noc. Płomienie błyskawicznie rozprzestrzeniły się po drewnianych rzeźbieniach, które przetrwały stulecia pod perskim słońcem.
Następnego ranka król oczywiście niczego nie pamiętał. Później nadeszła noc włóczni.
Wieczorna biesiada zakończyła się pytaniem wodza konnicy Klejtosa, dlaczego Aleksander zaczął nosić perskie szaty i zmusza swoich poddanych, by – na modłę perską – padali przed nim na twarz i całowali ziemię przy jego stopach.
Władcę owo pytanie zakłopotало, ponieważ w uroczystości uczestniczyło wielu Persów, a Hefajstion wiedział, że chociaż Aleksander nie lubi rytuałów, stara się zachowywać jak perski monarcha, pielęgnując miejscowe zwyczaje.
Nigdy wszakże nie kazał macedońskim żołnierzom, jak również greckim, padać przed nim plackiem na ziemi.
Klejtos był pijany i dotknięty, że polecono mu usiąść z dala od króla. Jego zwyczajowe miejsce po prawej stronie Aleksandra zajął jakiś perski wódz.
Hefajstion próbował odciągnąć Klejtosa od stołu i odesłać do jego namiotu-

tu, gdzie mógłby odespać pijaństwo, jednak stary kawalerzysta odepchnął go i chwiejnie ruszył ku władcy.

– Służyłem twojemu ojcu, arogancki szczeniaku – oświadczył. – I nigdy nie musiałem całować mu stóp. Niech będę przeklęty, jeśli ucałuję twoje!

Hefajstion zauważył, że Aleksander sztywnieje, później obserwował prze-
rażony, jak oczy króla bledną. Nigdy przedtem do transformacji nie docho-
dziło publicznie, więc oficer podbiegł do monarchy, rozpaczliwie starając się
oderwać go od biesiadników. Na nieszczęście spóźnił się. Władca już zdążył
się cofnąć, wyrwał gwardziście włócznię i wbił żelazny grot Klejtosowi
w brzuch. Z ust starca trysnęła krew, po czym padł. Włócznia wysunęła się
z rany, lecz ugodzony nią mężczyzna przez wiele minut wił się na podłodze
i krzyczał. W końcu wydał ostatni zdławiony jęk i umarł. Zapadła cisza. Biesiadnicy znieruchomieli w przerażeniu. Aleksander zamrugał i zatoczył się. Hefajstion dotarł do jego boku, by
wziąć go pod ramię.

– Co ja zrobiłem?! – szepnął król. – Na słodkiego Zeusa! – Zwrócił włócznię ku sobie i usiłował się na nią nadziać, jednak oficer w porę mu ją
wyrwał. Na pomoc przyszło mu dwóch gwardzistów i we trzech wyprowadzili
zapłakanego władcę z namiotu.

Następnego dnia Aleksander pokrył włosy popiołem i poprowadził proces-
ję pogrzebową za ciałem Klejtosa. Zamiast zgodnie z macedońskim zwycza-
jem spalić zwłoki i umieścić popioły w obrzędowej trumnie ze złota, król
sprowadził egipskich balsamiarzy, by zajęli się ciałem. Zamierzał umieścić je
w kryształowej skrzyni i wystawić na widok publiczny w specjalnie do
tego
celu zbudowanym marmurowym grobowcu.

Żal króla był dla wszystkich oczywisty, toteż żołnierze, którzy szczerze
go kochali, prędko wybaczyli mu jego czyn. Jednakże oficerowie – świad-
kowie zbrodni zawsze lojalnego starego wojownika – milczeli.

Hefajstion
znał ich myśli: na pewno się zastanawiali, kto z nich zginie następny. Wiedział
też, że nigdy nie zapomni rytuału balsamowania Klejtosa. Do ciała podszedł szczupły Egipcjanin. W rękach trzymał cedrowe pudeł-
ko, z którego wyjął długi, wąski szpikulec. Zgiął go i rozwidlił na czubku.

– Co on robi? – spytał oficer Aleksandra.

Król odpowiedział mu głosem zimnym i odległym:
– Musi usunąć mózg. Dzięki temu zapobiegnie gniciu ciała. Aby na twarzy nie pozostały żadne ślady, wsunie szpikulec w nozdrze, zaczepi końcówką o mózg i wyciągnie. Potem...

– Nie chcę słyszeć nic więcej – przerwał oschle Hefajstion, po czym odwrócił się i wybiegł z pokoju.

Później skłonił władcę do obietnicy. Jeśli on, Hefajstion, padnie kiedyś

w bitwie, chce zostać pochowany na macedońską modłę.
Mewy wzniosły się nad pokiereszowanym ciałem Aidy. Hefajstion odsta-
pił od gzymsu, opuścił zamek i zszedł rozległą, krętą ścieżką do
małej zatoki.
W końcu dotarł do plaży, gdzie na spotkanie wyszedł mu kapitan
triremy –
niski, krępy Rodyjczyk imieniem Kallis.
– Długo będziemy na nią czekać? – spytał gderliwie. – Nadchodzi
przyływ. Musimy odpłynąć w ciągu godziny.
– Nie popłynie z nami, kapitanie. Niestety, pani Aida nie żyje.
– Zatem odbyliśmy tej rejs nadaremno – mruknął Kallis, po czym
przeklął. – Hmm, no cóż, właściwie to dobrze. Marynarze na pewno
poczuja
ulgę. Żaden żeglarz nie lubi kobiet na pokładzie. W dodatku mówi się,
że ta
Aida to czarownica, która potrafi przewidzieć przyszłość.
– Nie sądzę, żeby było w tym choć ziarno prawdy – odparł oficer.
O zmroku trirema płynęła już ku wschodowi ruchliwym handlowym
morskim traktem. Kierowali się na Cypr. Silny wiatr szarpał wielkim
żaglem,
więc żeglarze wciągnęli wiosła na pokład i odpoczywali na siedzeniach
liniujących wszystkie trzy pokłady. Hefajstion wybrał pokryty płótnem
zydel
na rufie i zapatrzył się w ład, przesuwający się powoli obok nich.
Mijali najpierw Karię, potem Licję. Oba te państewka niegdyś były
nasta-
wione do Aleksandra wrogo, a teraz stanowiły małe, daleko wysunięte
przy-
czołki imperium macedońskiego władcy.
Oficer przypomniał sobie nieustanne, wyczerpujące i irytujące marsze
pod
dowództwem Parmeniona cztery lata temu. Wówczas macedoński korpus,
stanowiący zaledwie forpocztę głównych sił, starał się za wszelką
cenę
uniknąć poważniejszych starć z perskimi wojskami. Spartanin miał
wtedy
rację, choć część oficerów szemrała na tę podjazdową wojnę. Gdyby
strategos
stoczył walkę i zwyciężył, Dariusz bez wątpienia natychmiast
zgromadziłby
przeciwko Macedończykom jeszcze większe siły i Aleksander po
przybyciu
do Azji miałby przed sobą zbyt liczny wroga. Ziemię perskiego
imperium
były rozleglejsze, niż Hefajstion umiał sobie wyobrazić, a mieszkańcy
tej
krainy liczniejsi niż ziarna piasku na plaży, którą oficer dostrzegał
teraz na
północy.
Nawet obecnie, po prawie sześciu latach wojny i zdobyciu przez
Aleksan-
dra tronu, dochodziło do ciągłych potyczek z Sogdianami z północy,
Hindu-
sami ze wschodu i dzikimi Scytami znad Morza Kaspijskiego.
Parmenion już jakiś czas temu pomaszerował z drugą armią macedońską
na wschód. Zwyciężył w dwóch bitwach mimo znacznie liczniejszych sił
wroga. Hefajstion uśmiechnął się. Choć blisko siedemdziesięcioletni,
strate-
gos nadal pozostawał wspaniałym wodzem. Przeżył dwóch swoich synów:
Hektor zginął w bitwie pod Issos przed trzema laty, natomiast
Nikkiego zabito
pod Arbela, gdy walczył obok swego króla.
Parmenionowi pozostał jedynie Filotas.
– O czym myślisz, panie? – spytał Kallis. Jego ogromne ramiona

spoczywały na rumplu.

Oficer spojrział na niego.

– Przyglądałem się ładowi. Stąd wydaje się taki spokojny.

– Tak – zgodził się żeglarz. – Z morza cały świat wygląda lepiej. Pewnie królestwo Posejdony uczy nas pokory. Jest olbrzymie i potężne, toteż

nasze ambicje zdają się przy nim mało ważne. Morze uświadamia nam mizerność naszej egzystencji i złudność rojeń o wielkości.

– Uważasz, że ludzkie życie skazane jest na marność? Że człowiek jedynie śni o potędze? Aleksander nie zgodziłby się z tobą.

Kallis zachichotał.

– A czy Aleksander potrafi stworzyć różę albo ukształtować chmurę?

Umie okiełznać zagniewane morze? Nie. Żyjemy przez krótki czas, podczas

którego mkniemy tu i tam, po czym odchodzimy w niebyt. Morze natomiast

trwa: silne, piękne, wiekuiste.

– Czy wszyscy marynarze są filozofami? – spytał żartobliwie Hefajstion.

Kapitan roześmiał się głośno.

– Tak, gdy otacza nas morze. Na lądzie parzymy się jak wiejskie psy i pijemy tak długo, aż zaczynamy sikać czerwonym winem. Na jaką wojnę pojedziesz po powrocie?

Hefajstion wzruszył ramionami.

– Pojadę tam, gdzie mnie pošle król.

– Co zrobi, gdy nie będzie miał wrogów?

– Znasz człowieka, który ich nie ma?

Suza, Persja, 330 rok p.n.e.

Nadszedł moment, którego Filotas obawiał się od dawna. Nagle poczuł zimno w sercu. Jego ojciec miał rację od samego początku.

Mimo suchości w ustach nie tknął stojącego przed nim wina. Dziś chciał

mieć jasny umysł.

Aleksander ciągle jeszcze przemawiał. Oficerowie zebrali się wokół niego

w sali tronowej pałacu w Suzie. Setka mężczyzn, choć wszyscy byli silnymi

i odważnymi wojownikami, wbiła twardo spojrzenie w marmurową podłogę. Nie chcieli patrzeć w podmalowane oczy władcy.

Jedynie Filotas stał z podniesioną wysoko głową i wpatrywał się w króla.

Złota ochra barwiła jego górne powieki, a wargi były krwistoczerwone. Głowę

zdobiła mu wysoka stożkowa korona Dariusza ze złota i kości słoniowej; nosił

luźno dopasowane, jedwabne szaty perskiego imperatora.

„Jak do tego doszło?” – zastanowił się syn Parmeniona.

Aleksander podbił Persów, po czym wciągnął żołnierzy z pokonanej armii

w szeregi własnych wojsk i mianował perskich wodzów i satrapów.

Imperium

należało do niego. Nawet poślubił córkę Dariusza, Roksanę, dzięki czemu

usankcjonował swoje roszczenia do korony.

I, co haniebne, ani razu nie wezwał jej do łoża.

Filotas spojrział na zasłuchanych oficerów. Sądząc po wyrazie ich twarzy,

odczuwali straszliwe napięcie i lęk. Po raz kolejny król wspominał o zdradzie,

która jego zdaniem pieniła się wśród nich. Obiecywał wyłapać i ukarać spiskowców. Zaledwie wczoraj około sześćdziesięciu macedońskich żołnierzy

kazał zachłostać na śmierć za to, co określał mianem buntu. Jaką zbrodnię

popęlnili? Spytali po prostu, kiedy mogą wrócić do domu. Wstąpili do armii Aleksandra wyłącznie dlatego, że chcieli uwalniać miasta Azji Mniejszej spod perskiej dominacji. Nie zamierzali maszerować przez świat dla zachcianki opętanego przez mroczną moc władcy. Pięć dni wcześniej król miał wizję, w której jego oficerowie przybyli go zabić. W tej wizji pojawiło się sześciu mężczyzn i następnego dnia skazał ich wszystkich na śmierć przez uduszenie. Jednym z nich był Teoparlis, wódz tarczowników. Filotas nie lubił go, lecz jego lojalność była wręcz legendarna.

Od dnia odjazdu Hefajstiona Aleksander zachowywał się dziwacznie. Po okresach wściekłości następowały u niego długie chwile milczenia. Na początku wodzowie udawali, że ignorują jego ataki. Wiedzieli od dawna, że król cierpi na jakąś dziwną chorobę, chociaż jej ataki zazwyczaj były krótkie. Teraz wszakże otaczający go oficerowie odnosili wrażenie, że mają do czynienia z kimś innym – zimnym i przerażającym demonem. Wodzowie zaczęli z sobą rozmawiać o transformacjach władcy, ale po kolejnych wyrokach zapanował między Macedończykami taki strach, że nawet przyjaciele nie spotykali się już prywatnie, aby ich przypadkiem nie oskarżono o spiskowanie przeciwko królowi.

Jednakże trzy dni temu Aleksander zrobił coś naprawdę szalonego. Parmenion wraz z drugą armią zajął w końcu miasto Elam, a właściwie, rada miasta poddała je po negocjacjach. Strategos wysłał zawartość miejskiego skarbcza – mniej więcej osiemdziesiąt tysięcy talentów srebra – Aleksandrowi do Suzy. Król w odpowiedzi kazał zabić wszystkich mężczyzn, kobiety i dzieci z Elamu. Spartanin przyjął rozkaz z niedowierzaniem i posłał do władcy gońca, by potwierdził autentyczność polecenia.

Wówczas Aleksander wezwał do pałacu Filotasa, Ptolemeusza, Kassandra i Kraterosa. Gdy weszli, zobaczyli króla nad ciałem posłańca. – Wokół mnie są sami zdrajcy – oznajmił władca. – Parmenion odmówił wykonania rozkazu swego monarchy. Filotas zerknął na ciało posłańca: młodego, nie więcej niż piętnastoletniego chłopca. Miecz młodzieńca nadal tkwił w pochwie, a w jego sercu zatonął sztylet króla.

– Zawsze byłeś przeciwnikiem swego ojca, Filotasie – oświadczył Aleksander. – Powinienem cię wtedy słuchać. Teraz, w starczym dzieciństwie, zwrócił się przeciwko mnie. Przeciwko mnie!

– Co takiego zrobił, panie? – spytał Ptolemeusz.

– Odmówił wymierzenia kary Elamczykom za ich bunt. Filotas poczuł, że jego mięśnie tężeją i drętwieją. Przez całe życie święcie wierzył, że pewnego dnia zostanie królem, był co do tego przekonany. Ta pewna i stała niczym kamień wiedza opierała się na obietnicy jedynej osoby, która go kochała – jego matki, Fedry. Jednak podczas ostatniego roku ów kamień wiary powoli się kruszył, zimny wiatr rzeczywistości szep-

tał przeciw niej, rozpraszając nadzieje młodego człowieka i niszcząc jego marzenia. Filotas znał swoje ograniczenia – nie posiadał ani charyzmy Filipa czy Aleksandra, ani intelektu Parmeniona, nie potrafił nawet wykrzesać entuzjazmu w żołnierzach, których prowadził do bitwy. Ta samowiedza dotarła do niego późno, w końcu wszakże zaczął rozpoznawać szaleństwo matki. Wiedział już, że nie będzie rządził żadnym królestwem. Nie czekała go też prawdziwa sława. Jego ojciec miał rację: Filotas zbudował swoją przyszłość na kruchym fundamencie. „Co teraz?” – zastanowił się po stwierdzeniu Aleksandra. Jeśli nie wstawi się za ojcem, Parmenion zostanie zabity, a jego samego król wyznaczy nowym wodzem. Jeżeli jednak opowie się po stronie strategosa, król każe go aresztować i zamordować, a Parmenion i tak zginie. Filotas miał spierzchnięte usta, a jego serce gwałtownie biło. Umrzeć czy żyć? „Cóż to za wybór dla takiego młodego mężczyzny jak ja?” – zapytał siebie.

– Filotasie? – spytał cierpkim głosem Aleksander.

Spojrzał w oczy wpatrzonego weń króla i zadrżał.

– Mój ojciec nie jest zdrajcą – odparł bez wahania.

– Och, więc i ty przeciwko mnie? Niech zatem będzie, jak chcesz.

Zabierzcie mu broń. Jutro Filotas odpowie za zdradę przed swoimi kamratami.

Krateros i Ptolemeusz poprowadzili go do lochów pod pałacem. Szli w milczeniu, a gdy dotarli na miejsce, Ptolemeusz bez słowa zaczął zamykać

drzwi celi.

– Ptolemeuszu!

– Tak, Filotasie?

– Chciałbym przekazać Parmenionowi wiadomość.

– Nie mogę. Król zabiłby mnie za to...

– Rozumiem.

Cela była niewielka, pozbawiona okna i ciemna jak sam Hades. Jej drzwi

zostały zaryglowane od zewnątrz. Filotas po omacku znalazł drogę do pryczy

i rozciągnął się na niej.

Nikki i Hektor już nie żyli, a jutro dołączy do nich ostatni syn Lwa Macedonii.

– Żałuję, że nie zdażyłem cię lepiej poznać, ojcze – szepnął Filotas drżącym głosem.

Zasnął, mimo strachu przygniatającego mu duszę. Obudziły go odgłosy odsuwanych rygli. Promienie słońca zalały pomieszczenie, toteż syn Parme-

niona zamrugał, gdy uzbrojony strażnik wkroczył do środka.

– Wstawaj, zdrajco! – warknął żołnierz. Chwycił Filotasa pod ramię i zrzucił brutalnie z pryczy. Później wypchnął go na korytarz i kazał

poszerować z powrotem do sali tronowej, gdzie czekali pozostali oficerowie.

Mieli osądzić swego towarzysza.

Głos Aleksandra, piskliwy i przenikliwy, odbił się echem w przestronnej

sali. Twarz króla pokryła się niezdrowym rumieńcem.

– Filotas i jego ojciec mnie zawdzięczają wszystko. A jak mi się odplacają? Spiskują przeciwko mnie i planują odebrać tron. Jaka jest

kara za
zdradę?
– Śmierć! – wrzasnęli oficerowie. Filotas uśmiechnął się wbrew sobie. Zaledwie kilka dni wcześniej sam opowiedział się za śmiercią Teoparlisa.
Powoli wstał. Oczy wszystkich zwróciły się na niego.
– Co powiesz, więźniu, zanim wykonamy wyrok? – spytał król.
– A co mam ci powiedzieć? – odparł młodzieniec mocnym, pewnym głosem, wpatrując się w jasne oczy Aleksandra.
– Chcesz się wyprzeć swojego łajdactwa lub błagać o miłosierdzie? Filotas roześmiał się ironicznie.
– Nie ma w tym pomieszczeniu ani jednego człowieka, który by wierzył, że Parmenion kiedykolwiek przeciwko tobie spiskował. Co do mnie, nie potrafię się bronić. Skoro kogoś tak lojalnego jak Teoparlis uznałeś winnym, jakie mam szansę ja, Filotas? Podążałem za tobą wszędzie, stawałem u twego boku. Walczyłem w bitwach, które mój ojciec dla ciebie wygrywał. Moi dwaj bracia zginęli za twoją koronę. No cóż... Na koniec powtórzę tylko jeszcze raz głośno i wyraźnie. Mój ojciec, Parmenion nie jest zdrajcą. Rozkazałeś mu zdobyć miasto i zrobił to. Potem poleciłeś mu zabić całą ludność owego miasta. Wszystkich mężczyzn, kobiety i dzieci. Nie zrobił tego. Żaden przyzwoity Grek nie wypełniłby takiego polecenia. Jedynie szalenciec może naka-
zać takie okrucieństwo.
– Tym zuchwalstwem sam się skazałeś na śmierć! – krzyknął król, po czym zerwał się z tronu i ruszył przez salę ku dawnemu przyjacielowi.
– Na wszystkich bogów, zabiję cię własnymi rękoma.
– Tak jak Klejtosa? – wrzasnął Filotas.
Aleksander zamachnął się sztyletem, jednak młodzieniec zrobił unik, toteż ostrze przecięło powietrze obok jego głowy. Instynktownie zacisnął lewą pięść i uderzył króla w podbródek; Aleksander zachwiał się i upadł na ziemię, wypuszczając z dłoni sztylet. Filotas błyskawicznie chwycił broń i rzucił się na władcę, przyciskając go do marmurowej podłogi. Podczas upadku król rozbił sobie głowę. Filotas przyłożył koniuszek ostrza do szyi Aleksandra, po czym napał mięśnie do śmiertelnego pchnięcia.
W tym momencie oczy władcy zmieniły kolor – ponownie przybrały odcień morskiej zieleni, który młodzieniec pamiętał z przeszłości.
– Co się dzieje, Filotasie? – wyszeptał król. Mężczyzna zawałał się...
i w chwilę później czyjaś włócznia trafiła go w plecy, przebijając płuca. Ranny usiłował się podnieść, ale drugi strażnik zatopił ostrze w jego piersi.
Filotasowi trysnęła z ust krew i osunął się na podłogę obok półprzytomnego władcy. Aleksander wstał drżąc i odsunął się od ciała.
– Gdzie jest Hefajstion? Potrzebuję go! – zawołał rozpaczliwie. Podszedł do niego Krateros.
– Wyjechał, panie, na Rodos. Kazałeś mu sprowadzić panią Aidę.
– Na Rodos?
– Pozwól, panie, odprowadzę cię do twoich komnat.
– Tak... tak. A gdzie Parmenion?

– W Elamie, królu. Nie martw się, jutro będzie martwy. Wysłałem przeciwko niemu trzech naszych najlepszych szermierzy. Aleksander jęknął. Przez kilka minut się nie odzywał. Czuł obecność Boga Mroku, który szalał w nim i szturmował ostatnie bastiony jego umysłu. W końcu król się wyprostował i zaczerpnął haust powietrza.

– Zabierz mnie do stajni – rozkazał Kraterosowi.

– Do stajni? Po co, panie?

– Muszę ich powstrzymać, mój drogi.

– Nie możesz jechać sam. Masz wszędzie wrogów.

Władca podniósł wzrok i spojrzał poważnemu młodzieńcowi w oczy.

– Nie jestem szaleńcem, Kraterosie. Tyle że we mnie jest... demon. Rozumiesz?

– Tak, panie, demon. Chodź i odpocznij. Poślę po lekarza.

– Nie wierzysz mi? Dlaczego właściwie miałbyś mi wierzyć? Zostaw mnie w spokoju!

Odepchnął Kraterosa i pobiegł w dół długim korytarzem, aż wypadł na oświetlony słońcem dziedziniec. Dwóch wartowników zerwało się na jego widok, lecz zignorował ich i biegł dalej otoczoną szpalerem drzew aleją prowadzącą do królewskich stajni.

Bucefał znajdował się na wschodnim wygonie. Na widok swego pana podniósł ogromną głowę.

– Chodź do mnie! – zawołał Aleksander. Czarny wierzchowiec przykłusował do ogrodzenia. Król otworzył bramę, złapał za czarną grzywę i wskoczył na grzbiet rumaka.

Z zachodu dobiegły go krzyki. Odwrócił się. Zobaczył Kraterosa i grupkę oficerów. Biegli ku niemu.

Bodnął piętami Bucefała i pogalopował na południowy wschód: przez pałacowy park, ku skalistym ścieżkom prowadzącym na wysokie wzgórza. Wzgórza zamieszkiwali bandyci – dzikie hordy, które łupiły liczne handlowe karawany przybywające ze wschodu – lecz władca nie myślał o nich w trakcie jazdy. Wyobrażał sobie jedynie swego spartańskiego przyjaciela, przypominał sobie jego waleczność w magicznej krainie i spokojne rady w późniejszych latach. A teraz do Parmemona zbliżali się zabójcy. Mieli go zamordować!

I to on sam, Aleksander, ich wysłał!

„Nie, to nie ja – pomyślał. – Na pewno nie ja! Nigdy bym tego nie uczynił!”

Jak mógł być tak głupi?

W momencie, gdy ojciec zdarł mu naszyjnik z szyi, Aleksander natychmiast poczuł falującą moc Boga Mroku. Wierzył jednak, że potrafi kontrolować zło, utrzymać je z dala od siebie, a w razie konieczności użyć go w słusznej sprawie. Teraz wiedział, że nawet ta wiara stanowiła tylko kolejny przejaw przebiegłości Kadmilosa.

Kadmilos! Sama myśl o bestii powodowała u króla dotyk szponów mocy. Demon szarpał jego duszę, ciągnął ją ku sobie, wyzwał zawroty głowy...

– Nie! – krzyknął. – Nie tym razem!

„Jesteś mój” – rozległ się głos w jego wnętrzu.

– Nigdy!

„Zawsze – nadeszła odpowiedź. – Popatrz w głąb siebie, Aleksandrze... 1 rozpaczaj!”

Ukryte drzwi jego pamięci otworzyły się i król zobaczył znowu zabójstwo Filipa, lecz – co gorsza – również rozmowę z poprzedniego wieczoru, w trakcie której usilnie nakłaniał Pauzanasza do zbrodni.

– Kiedy zostanę królem – usłyszał własne słowa z tamtej nocy –
wspaniałość nagrody wprost cię olśni.
„Biedny, naiwny młokos – wyszeptał głos w jego umyśle. – Ależ był
zaskoczony, gdy przeskoczyłeś ciało powalonego króla i zatopiłeś
miecz
w jego piersi... w piersi drogiego Pauzanasza”.
Aleksander aż się zachwiał z przerażenia. Nie wątpił w prawdziwość
tej
wizji. Przez lata nauczył się unikać prawdy, nawet się nie ośmielał
jej szukać.
Teraz jednak w jego umyśle pojawiały się kolejne obrazy: straszliwa
śmierć
żony Filipa i jego synka, zabicie Klejtosa i Motaka, zamordowanie
Teoparlisa
– lojalnego, ufego Teoparlisa.
Krzyknął, a demon wewnątrz niego zaśmiał się cynicznie i nabrał siły.
– Nie – rzekł gniewnie król. Tłumił w sobie nienawiść i strach, a
rów-
nocześnie usiłował się pozbyć wyrzutów sumienia i poczucia winy. –
Tyś
jest winien tych czynów, nie ja! – Skoncentrował się i odepchnął Boga
Mroku.
„Nie zdołasz mi się już dłużej opierać – odrzekł Kadmilos. –
Zaśniesz,
a wtedy powstanę”.
To była prawda, lecz Aleksander nie pozwolił, by lęk odebrał mu zdol-
ność racjonalnego myślenia. Tchórzostwo Kadmilosa – jego duch przecież
umknął, gdy czubek sztyletu Filotasa dotknął gardła władcy – dawało
mu
ostatnią szansę na odkupienie. Jechał i myślał już tylko o
Parmenionie.
Wielki wierzchowiec pędził przed siebie niestrudzony. Uderzenia jego
kopyt odbijały się echem od wzgórz.
– Ojcze Zeusie – modlił się Aleksander. – Pozwól mi zdażyć na czas!
Miasto Elam, 330 rok p.n.e.
Strategos obudził się i usiadł na łóżku, odrzucając mokrą od potu
cien-
o ką pościel. Niebo za wąskim oknem było szare. Spartanin wstał i
ruszył
przez pokój do stolika, na którym ciągle stał dzban wina z ostatniej
nocy.
Naczynie okazało się niemal puste, jednak Parmenion nalał do pucharu
mętne
resztki trunku z dna i wypił je jednym haustem.
Już miał wrócić do łóżka, gdy nagle kątem oka dostrzegł swoje nagie
ciało
odbite w lustrze z wypolerowanego mosiądzu. Wódz miał teraz włosy
białe
i rzadkie, twarz mu zeszczuplała, rysy się wyostrzyły, jastrzębi nos
stał się
jeszcze bardziej wydatny. Tylko jasnoblękitne oczy pozostały
niezmienione.
Strategos westchnął i ubrał się w prosty, srebrnoszary chiton,
przyasał sztylet
i szedł do rozległych ogrodów rozciągających się za domem.
Kropelki rosy pokrywały liście, poranek był dość chłodny. Spartanin
spacerował wolno krętymi ścieżkami, wreszcie się zatrzymał przy
wąskim
strumieniu z dnem wyłożonym mozaiką z barwionych kryształów.
Strategos miał siedemdziesiąt lat, przez pięćdziesiąt dowodził
przeróżny-
mi armiami.
Zadrżał, gdy poczuł zimny podmuch wiatru, i poszedł dalej.
Parmenion. Śmierć Narodów. Iluż nazw owych narodów już nie pamię-

tał... Najwięcej wspomnień zachował z okresu młodości. Złamanie spartańskiej potęgi, klęska Ilirii, Pajonii i Tracji. Złupienie Chalkidike, upadek Teb...

Jednak podczas ostatnich kilku lat widział zagładę zbyt wielu ludów i państw, by mógł je wszystkie zapamiętać. Padła Frygia, Kapadocja, Pizydia, Cylicia, Syria, Mezopotamia, Persja, Partia...

Strumień rozszerzał się w spory staw, wokół którego stały naturalnej wielkości posągi zwierząt. Lampart, pięknie rzeźbiony i pomalowany żywymi barwami, tkwił na krawędzi sadzawki. Pochylał głowę, jakby chciał się napić.

W niewielkiej odległości od niego stał jakiś egzotyczny pasiasty koń, za nim zaś stadko jeleni. Wszystkie ciche, nieruchome, zatrzymane w czasie. Słońce przebiło się przez chmury na wschodzie. Spartanin poczuł ciepło na skórze, ale nastrój mu się nie poprawił. Pełen ponurych myśli poszedł dalej ku wschodniej ścianie. Znalazł tam alkowy z rzeźbionymi, drewnianymi siedzeniami.

Usadził się w najdalszej z nich, zerknął za siebie, przez staw, ku wielkiemu domowi z wydatnymi kolumnami i czerwoną dachówką. Mniej więcej dziesięć kroków na lewo od Parmeniona siedział kamienny lew. W przeciwieństwie do innych zwierząt w ogrodzie nie został pomalowany. Zadzierał wielką białą głowę, jak gdyby słuchał. Świetnie oddano mięśnie na jego bokach. Strategos uznał posąg za jeden z najpiękniejszych, jakie kiedykolwiek widział, i zastanowił się, dlaczego nie zauważył go wcześniej.

Kiedy wódz wstał, lew nagle się poruszył. Z królewską gracją potrząsnął grzywą i przeciągnął powoli mięśnie z marmuru. Spartanin zamrugał, nie dowierzając własnym oczom, i skupił wzrok na posątku. Lew ponownie znieruchomiał w pierwotnej pozycji z zadartą głową.

– Wróciłem – odezwał się łagodny głos. Parmenion obrócił głowę. Widok siedzącego obok niego na drewnianej ławie Arystotelesa wcale go nie zaskoczył. Magus nic się nie zmienił. W gruncie rzeczy wydawał się nawet nieco młodszy, jego siwą brodę przeplatały teraz kasztanowe włosy.

– W jakim celu stworzyłeś tego lwa?

Czarodziej wzruszył ramionami.

– Lubię spektakularne wejścia. – Nie uśmiechnął się jednak, a głos miał posępny i osobliwie stłumiony.

– Po co przyszedłeś?

– Nadeszła pora.

Strategos skinął głową, chociaż nie do końca zrozumiał.

– Aleksander wyraźnie przegrywa bitwę z Bogiem Mroku – powiedział. – Nie mam dość sił, by go ocalić. Już mnie nie słucha, a w wieściach dochodzących z jego dworu roi się od kolejnych morderstw i popełnianych przez niego szaleństw. Potrafisz mu jakoś pomóc?

Arystoteles nie odpowiedział od razu, a tylko położył przyjacielowi dłoń na ramieniu.

– Nie, mój druhu. Moc Ducha Chaosu znacznie przewyższa moją.

– Aleksander to mój syn. Moje ciało, moja krew, moja wina... Czuję jego zło na swoich dłoniach. Powinienem go zabić wiele lat temu.
– Nie – odparł magus. – Prawdziwy dramat jeszcze się nie rozegrał. Pozwoliłem sobie coś zabrać z twoich pokojów. – Wyjął zza pazuchy mały woreczek z miękkiej skóry.
– Do niczego się już nie przyda – zauważył strategos.
– A jednak weź go.
Wódz wetknął woreczek za pas.
– Powiedziałeś, że nadszedł czas. Co ma się zatem zdarzyć? Czarodziej odchylił się w tył i kiwnął głową w stronę domu.
– Trzech mężczyzn zsiadło właśnie z koni przy głównym wejściu. Wkrótce zobaczysz ich na ścieżce. Wysłał ich Kadmilos... to znaczy Bóg Mroku. Pojmujesz?
Spartanin wzięł głęboki wdech i zmrużył oczy.
– Zabójcy – stwierdził ze smutkiem.
Drzwi na tyłach domostwa otworzyły się i trzech ludzi ruszyło w długi spacer ścieżką ku połyskującemu strumykowi. Parmenion wstał i odwrócił się do Arystotelesa.
Jednakże magus zniknął...

Strategos ciężkim krokiem wyszedł trzem mężczyznom naprzeciw. Nie znał ich z imienia, lecz widywał z Aleksandrem. Dwóch pochodziło z Partii, nosili kubraki z czarnej, natłuszczonej skóry i długie buty do jazdy konnej; ciemne włosy mieli przycięte krótko przy skórze. Trzeci był wysokim macedońskim Persem, który już jakiś czas temu wstąpił na służbę do króla. Spartanin uśmiechnął się, zobaczył bowiem, że ten ostatni trzyma zaplombowany zwój.
– Mamy dla ciebie wiadomość, panie – zawołał Pers i przyspieszył. Ubrany był w szerokie jedwabne spodnie i haftowaną koszulę. Przez prawe ramię przerzucił sobie pelerynę z miękkiej skóry.
– W takim razie przekaz mi ją – odparł wódz. Gdy Pers się przybliżył, Parmenion wyczuł słodki perfumowany olejek, który pokrywał ciemne, mocno kręcone włosy mężczyzny. Przybysz wystawił lewą rękę ze zwojem, lecz kiedy strategos po niego sięgnął, spod peleryny wysunęła się prawa ręka z wąskim sztyletem. Spartanin poczekał na ruch, po czym zrobił unik, wykręcił napastnikowi ramię i zatopił mu w piersi jego własny sztylet. Pers przez moment łapczywie chwytał powietrze, potem opadł na kolana. Dwóch Partów skoczyło na wodza z mieczami w rękach. Parmenion rzucił się ku nim, miał jednak do czynienia z młodymi, zręcznymi mężczyznami i przewagą, którą zyskał przez zaskoczenie, nie miała już znaczenia. Jeden z mieczy rozłupał mu lewe ramię, łamiąc kość. Spartanin odwrócił się i zaatakował napastnika sztyletem. Ostrze wbiło się zabójcy w gardło i przecięło tętnicę szyjną.
Nagle strategos otrzymał cios tuż nad pośladkami. Miał wrażenie, że kopnął go koń, i choć nie poczuł ukłucia, doskonale wiedział, że

otrzymał
pchnięcie w plecy. Ogarnął go gniew. Jego wojownicze serce omal nie pękło,
a umysł nie mógł znieść myśli o śmierci, chyba że wraz z nim podąży do Hadesu jego morderca! Ból wstrząsnął jego ciałem, kiedy Part wyrwał
ostrze. Parmenion zatoczył się, upadł na ścieżkę i natychmiast przetoczył się
na plecy.
Zabójca stanął nad nim w rozkroku. Spartanin zacisnął palce na kamieniu
i kiedy wróg przygotowywał się do śmiertelnego pchnięcia, uderzył go w czo-
ło. Part zatoczył się w tył, z rany ciętej nad prawym okiem pociekła mu krew,
po czym z przekleństwem na ustach ruszył na ранnego strategosa. Ten jednak
wystawił nogę, o którą napastnik potknął się i runął, wypuszczając miecz
z dłoni. Parmenion przetoczył się na brzuch i usiłował wstać.
Niestety zamiar
przerastał jego siły i wódz ponownie upadł na twarz.
Usłyszał, że zabójca się podnosi, później poczuł ostry ból w plecach. Miecz Parta niemal przebił mu na wylot płuca, a but zabójcy trafił go w głowę.
Potem szorstka ręka przewróciła Spartanina na plecy.
– Zamierzam poderżnąć ci gardło... Bardzo powoli – syknął Part.
Odłożył miecz, wyjął zagięty sztylet o ząbkowanym ostrzu i przyłożył go do
szyi wodza.
Niespodziewanie na zabójcę padł cień. Mężczyzna zdążył tylko spojrzeć w górę, gdy krótki miecz z impetem wbił mu się w skroń. Osunął się na ciało
strategosa, po czym padł twarzą w strumień. Płynąca po kryształowej mozaice
woda zabarwiła się na karminowo.
Aleksander klęknął przy leżącym Parmenionie, chwycił go pod ramiona i usiłował podnieść.
– Przykro mi. Och, na bogów, tak bardzo mi przykro! Nie chciałem twojej śmierci, uwierz mi! – szeptał. Z oczu płynęły mu łzy.
Głowa Spartanina osunęła się na pierś króla. Wódz słyszał mocne, głośne
bicie młodego serca syna. Ostatkiem sił wyciągnął zza paska woreczek i podał
Aleksandrowi. Król wziął i wysypał jego zawartość na dłoń. Złoty naszyjnik
zalsnił w świetle słońca.
– Nałóż go – błagał strategos. Aleksander położył przyjaciela na plecach, chwycił naszyjnik w drżące palce i owinał wokół szyi. Kilka minut
zmagął się z zapięciem. W końcu błyszczący talizman zawisł dumnie na jego
szyi.
Ni stąd, ni zowąd obok dwóch mężczyzn zmaterializował się Arystoteles.
– Pomóż mi przenieść Parmeniona do wschodniej ściany – poprosił.
– Po co? Powinniśmy natychmiast zawiadzić medyka – mruknął zbo-
lały władca.
Magus potrząsnął głową.
– Żaden medyk nie zdoła go już uratować. Ale ja mogę, Aleksandrze. Jego czas tutaj się skończył.
– Dokąd go zabierzesz?
– Do jednego z moich domów. Tam go wyleczę. Nie bój się o niego. Musimy się wszakże pośpieszyć.

Razem przenieśli nieprzytomnego Spartanina w pobliże białego lwa i po-
łożyli go w trawie przy posagu. Kamienne zwierzę stanęło na tylnych
łapach,
górując nad nimi niczym mitologiczny potwór. Jego brzuch zamigotał i
zaczął
znikać. Przezeń król dostrzegł ogromny pokój z półkolistym oknem,
które
otwierało się na ciemne, nocne niebo rozświetlone gwiazdami.
Znowu we dwóch chwycili rannego. Ponieśli go do szerokiego łóżka
i ułożyli na nim. Z woreczka u boku czarodziej wydobyl złoty kamień i
umiej-
scowil go na piersi strategosa. Oddech Parmeniona ustał.
- Umarł? - spytał z trwogą król.
- Nie. Teraz musisz wrócić do swojego świata. Wiedz jednak, Aleksan-
drze, że magia naszyjnika nie jest niewyczerpana. Być może przetrwa
całe
lata, ale prawdopodobnie zniknie dużo wcześniej. Bądź więc czujny.
- Co się stanie z Parmenionem?
- To już nie twoja sprawa, chłopcze. Teraz idź!
Król wycofał się i nagle znalazł się w słonecznym ogrodzie. Przez
chwilę
jeszcze zaglądał do oświetlonego księżycem pokoju wewnątrz posagu.
Powoli
obraz bladł, a później lew się skurczył, jego wielka głowa znalazła
się na
normalnej wysokości. Szczęki pozostały otwarte, zęby długie i ostre.
W na-
stępnej sekundzie zwierzę opadło na ziemię i powoli poczęło się
rozsypywać.
Kamień się kruszył i łuszczył jak płatki śniegu dryfujące na wietrze.
Aleksander usłyszał za plecami odgłosy biegnących stóp. Gdy się
odwró-
cił, zobaczył Kraterosa i Ptolemeusza. Za nimi podążała dziesiątka
królew-
skich gwardzistów.
- Gdzie jest Parmenion, panie? - spytał Ptolemeusz.
- Lew Macedonii odszedł z tego świata - odparł władca.
Babilonia, lato 323 roku p.n.e.
Siedem lat ciągłych bitew odcisnęło na Aleksandrze Macedońskim swoje
piętno. Opuszczał ojczyznę jako młodzieniec, teraz zaś był pokrytym
licznymi bliznami trzydziestodwuletnim wojownikiem. Poruszał się z
trudem
z powodu rany, w wyniku której miał trwale uszkodzone prawe płuco,
a ścięgnię w jego lewej łydce przeciął toporek podczas jednej z
bitew...
Władał obecnie ogromnym imperium. Zwyciężał wszędzie: od Indii na
wschodzie po Scytię na północy, od Egiptu na południu po północne
wybrzeże
Morza Kaspijskiego. Był żywą legendą, człowiekiem znanym na całym
świecie. Jego armia go wręcz ubóstwiała, wrogowie, których przegnał
poza
granice swego nowego królestwa, truchleli na samo jego imię.
W tej chwili jednak stał przy oknie pałacowego pokoju w jaskrawym
słonecznym poranku i wcale nie dbał o swoją reputację.
- Nie zmieniłeś decyzji, panie? - spytał Ptolemeusz. Podszedł i objął
władcę.
- Nie mam wyboru, przyjacielu.
- Moglibyśmy poszukać pomocy u czarodziejów. Ci w Babilonii są
podobno najpotężniejsi na świecie.
Król potrząsnął głową.
- Odwiedziłem już ich całe rzesze, szukając sposobu walki z bestią.
Wszyscy magowie zgodnie przyznali, że nie zdołam go pokonać. Jest nie-

śmiertelny, wieczny. A moc naszyjnika gaśnie szybko. Chcesz widzieć, jak dawny Aleksander powraca?

– Nie, mój panie. Tyle że... szkoda, iż nie ma już z nami Hefajstiona. Umiałby ci lepiej doradzić niżli ja. Monarcha nie odpowiedział, obrócił jedynie głowę i zapatrzył się w okno. Jego decyzję przypieczętowała właśnie śmierć ukochanego Hefajstiona. Oficera – najbardziej zaufanego z jego ludzi – znaleziono martwego w łóżku. Najprawdopodobniej został uduszony. Od feralnej nocy upłynęło już dwanaście tygodni, lecz król zupełnie jej nie pamiętał. Niczego nie mógł sobie przypomnieć!

Medycy znaleźli wbity w gardło zmarłego kość kurczęcia i osądzili, że mężczyzna zadławił się podczas samotnej kolacji. Aleksander pragnął w to wierzyć. Desperacko pragnął, ponieważ Hefajstion najżarliwiej ze wszystkich jego przyjaciół wspierał go w trakcie siedmiu lat, które upłynęły od dnia, gdy Arystoteles zabrał Parmeniona. Niezmienna miłość i przyjaźń Hefajstiona stanowiły opokę, której król trzymał się kurczowo w momentach, gdy siła naszyjnika słabła, a bestia dopadała macedońskiego władcy i przejmowała nad nim kontrolę. Teraz oficer nie żył i Aleksander postanowił stoczyć ostateczną bitwę.

– Na pewno wykonasz mój rozkaz? Niezależnie od wszystkiego? – spytał Ptolemeusza.

– Tak. Przysięgam na moje życie.

– Nie daj się wmanewrować w żadne intrygi, nie słuchaj podszeptów... Zrób, co mówię.

– Tak uczynię, nikt mi nie przeszkodzi.

– Potem masz pojechać do Egiptu. Przejmij władzę nad tym starożytnym krajem. I utrzymaj ją... przeciwko wszystkim uzurpatorom.

– Może nie dojdzie do wojny, panie. Wszak wszyscy jesteśmy przyjaciółmi.

Aleksander roześmiał się.

– Teraz może i nimi jesteście, lecz to tylko pozory – zauważył sarkastycznie. – Zostaw mnie, Ptolemeuszu. I nie mów nikomu, co planuję.

– Stanie się zgodnie z twoją wolą.

Wódz skłonił się raz i odwrócił do wyjścia. Potem nagle wrócił szybko do króla, objął go mocno i pocałował w policzek. Żaden z nich nic już nie powiedział. Ptolemeusz ze łzami w oczach opuścił pomieszczenie i zatrzasnął za sobą drzwi.

Aleksander podszedł do stołu i napełnił puchar winem, które wcześniej sobie przygotował. Bez wahania podniósł naczynie do ust i wychylił. Później podszedł do spiżowego lustra na przeciwległej ścianie i zbadał naszyjnik. Niewiele już pozostało w nim złota. Większość plecionych drucików stała się czarna jak węgiel.

– Już niebawem... – szepnął.

O zmroku służący znaleźli go leżącego na łóżku. Na początku kręcili się wokół niego na palcach, sądzili bowiem, że śpi, w końcu wszakże jeden

z nich
podszedł i dotknął jego ramienia.
– Mój panie! Królu!
Nie otrzymał odpowiedzi.
Słudzy w panice wybiegli z pokoju. Wezwali Perdikkasa, Kassandra,
Ptolemeusza i innych wodzów. Zjawił się medyk – szczupły, żylasty
Korynt-
czyk imieniem Sopejtes. Przyłożył palce do szyi władcy i wyczuł nadal
bijący
puls. Przez nikogo nie widziany Ptolemeusz zabrał puchar zawierający
zmie-
szany z mętami zatrutego wina narkotyk i ukrył naczynie w fałdach
płaszczka.
– Żyje jeszcze – oświadczył medyk – jednak serce ma bardzo słabe.
Trzeba mu upuścić krwi.
Podczas następnych pięciu dni trzykrotnie otwierano żyłę w ramieniu
Aleksandra, niestety król ani na moment nie odzyskał przytomności.
Czas mijał i wkrótce wszyscy zrozumieli, że król Macedonii umiera.
Ptolemeusz spokojnie uporządkował sprawy zgodnie z wolą Aleksandra,
w końcu zasiadł samotnie przy jego łożu.
Dwunastej nocy władca ocknął się na moment i wyszeptał ostatnie
słowo:
– Kadmilos.
Próżnia, czas nieznany
Aleksander usiadł przy wylocie tunelu. W ręku króla lśnił złoty
miecz,
rzucając światło na szarą, martwą ziemię próżni. W pewnej odległości
siedział na głazie i obserwował go jego sobowtór ubrany w srebrną
zbroję.
Białe włosy okalały przystojną twarz, a ze skroni wyrastały kręte
bycze rogi.
– Biedny Aleksandrze – szydził Kadmilos. – Więc postanowiłeś mnie
zabić. Mnie?! Zamierzasz użyć swego żalostnego miecza przeciwko
duchowi,
który żyje dłużej, niż istnieje czas? Rozejrzyj się wokół siebie, mój
drogi. Tak
wygląda twoja przyszłość. W tym świecie popiołu i mroku nie ma
królestw
do podbicia. Nie czeka cię tu sława.
– Jesteś tchórzem – zauważył król ze znużeniem.
– Twoje słowa są bezużyteczne, człowieku. Nawet gdybym ci pozwolił
na pchnięcie mieczem, nie umarłbym od twej broni. Jestem wiekuisty,
jestem
żywym sercem Chaosu. Ale ty... Ty jesteś żalostny, jesteś nikim. Twoje
ciało
ciągle żyje w materialnym świecie, wkrótce zatem przejmę nad nim
całkowitą
kontrolę. Narkotyki, które połknąłeś, bynajmniej mnie nie martwią.
Neutrali-
zacja ich zajmie mi ledwie kilka chwil. Potem uzdrowię twoje
zniszczone
płuca i twoją kaleką nogę.
– Chodź po mnie, w takim razie – zaproponował Aleksander. – No
dalej, skoro to takie łatwe. Chodź!
Kadmilos roześmiał się.
– Jeszcze nie teraz. Wstąpię na ścieżkę prowadzącą do twojej duszy,
gdy
mi się spodoba. Popatrz na swój miecz, mój drogi. Zobacz, jak
marnieje.
Magia naszyjnika również już prawie zanikła. Niedługo całkowicie
zgaśnie,
a twoje ostrze zniknie wraz z nią. Wiesz o tym, prawda?
– Wiem – odparł król. – Ostrzegali mnie przed taką możliwością
kapłani Zeusa-Ammona.

– Co zatem masz rtadzieję osiągnąć?

Król wzruszył ramionami.

– Człowiek zawsze powinien do końca walczyć o to, co jego zdaniem jest właściwe i za co warto zginać. Ma ten imperatyw zakodowany w swojej naturze i tyle.

– Nonsens, w naturze człowieka leży pragnienie zdobywania wszystkiego, czego mieć nie może. Dlatego ludzie mordują, kradną, plądrują. W tym

rozumieniu jesteście i zawsze pozostaniecie stworzeniami Chaosu.

Spójrz na

siebie! Jakim prawem poprowadziłeś swoją armię do Persji? Jakim

prawem

narzuciłeś światu swoją wolę? Historia zapamięta cię jako zabójcę i niszczy-

ciela, jednego z moich najświetniejszych uczniów.

Ponownie się roześmiał. Dźwięk był przerażający.

– Nie spierasz się, mój drogi? – ciągnął Kadmilos. – Na pewno potrafisz znaleźć jakieś usprawiedliwienie dla swoich działań.

– Nie muszę się tłumaczyć – odparł Aleksander. – Żyłem w świecie, którym rządzi wojna. Ci, którzy nie podbijają, sami są podbijani.

Dodam też,

że walczyłem ze swoimi wrogami na polu bitwy, gdzie żołnierz stawał przeciw

żołnierzowi... i ryzykowałem życie tak samo jak inni. Nie wstydzę się żadnego ze swoich czynów.

– Och, pięknie powiedziane – zadrwił Bóg Mroku. – Zaprzeczysz, że ogarniała cię radosna namiętność, gdy maszerowałeś do bitwy? Nie przyznasz

się do żądzy krwi i podniecenia spodziewaną rzezią, które czułeś w swoim sercu?

– Mylisz się – odrzekł król. – Nigdy nie pragnąłem rzezi. Bitwy, zgoda, bitwy... faktycznie lubiłem. Przyznaję się do tego. Lubiłem sprawdzać

swoją siłę i wolę w walce z wrogami. Tak, bitwy sprawiały mi przyjemność.

Ale przypadkową i niekiedy nieuchronną rzezią to ty syciłeś swoją chorą duszę.

Kadmilos wstał.

– Nasza rozmowa jest bezsensowna i nudzi mnie, marny człowieku.

Widzę, że twój miecz wygląda już jak cień. W tym momencie zakończymy więc nasze spotkanie. Czeka na mnie twoja śmiertelna powłoka.

Aleksander zerknął na zanikającą broń. Patrzył na nią przez chwilę.

Nagle

kompletnie zniknęła. Rękę miał pustą.

– Znajdź przyjemność w swojej rozpaczycy – syknął Bóg Mroku. Zaczął się powiększać, zmieniać, aż w końcu przekształcił się w ciemną chmurę,

która uniosła się nad królem, a następnie wirowym ruchem poleciała w stronę

tunelu i dalej, ku migoczącemu światełku w oddali.

Próżnia opustoszała teraz niemal zupełnie. Jedynie mgła sączyła się przez

jałowe skały. Aleksander westchnął ciężko.

Z mgły wyszła jakaś postać. Król wiedział, że jest to Arystoteles.

Magus

uśmiechnął się, wyciągnął dłoń i chwycił Aleksandra za rękę.

– Chodź, mój chłopcze, nie mogę zostać zbyt długo. Mam akurat tyle czasu, by zaprowadzić cię na Pola Elizejskie, gdzie oczekują cię przyjaciele.

– Zwyciężyłem? Wytrzymałem wystarczająco długo?

– Porozmawiamy podczas spaceru – odparł wymijająco czarodziej.

Duch Chaosu wpłynął w ciało króla. Człowiek oczy miał otwarte i przez

nie Kadmilos widział wysoki, malowany sufit. Spróbował się poruszyć, lecz odkrył, że ciało jest osobliwie sparaliżowane. Nie przejął się tym zbyt
i zwrócił swą siłę do wnętrza. Zamierzał wyszukać truciznę płynącą żyłami i nerwami kruchej ludzkiej powłoki.
„Głupi śmiertelnik – pomyślał. – Jak mógł przypuszczać, że byle narkotykiem zdoła pokrzyżować boskie plany, odwieczne ambicje...” Szybko zabrał się do usuwania narkotyku. Ciało zaczęło odzyskiwać
cie. Duch Chaosu poczuł dotyk zimnego wiatru wpadającego przez okno po lewej i tępy ból w rannej nodze mężczyzny. Chwilowo zignorował truciznę i skupił się na rannej kończynie, rekonstruując poprzerywane ścięgna i mięśnie.
Lepiej! Kadmilos nie znosił fizycznego bólu. Pulsowanie bezpowrotnie zniknęło. A zatem jego cudowna moc działała!
Ponownie skoncentrował się na truciźnie. Oczyszczył z niej płuca i brzuch.
„Wkrótce – pomyślał. – Wkrótce się obudzę”.
Usłyszał głosy znajdujących się w pokoju ludzi, ciało jednak wciąż pozo-
stawało unieruchomione. Rozległy się kroki. Bóg Mroku dostrzegł cień, który pojawił się w polu widzenia. Ponad nim pochylił się ciemnoskóry mężczyzna.
– Ma niesamowite oczy – oświadczył. – Naprawdę został pobłogosławiony przez bogów. Szkoda, że nie możemy tych oczu ocalić.
– Jesteś gotów zaczynać? – spytał Ptolemeusz.
– Tak, panie.
– W takim razie, do dzieła!
Kadmilos zobaczył rękę z długim szpikulcem rozgałęzionym na końcu.
– Nie! – krzyknął bezgłośnie.
Szpikulec wsunął się w lewe nozdrze, docierając do mózgu.
Miasto nad morzem, czas nieznany
Parmenion spojrział na port, gdzie dokowały wielkie statki, większe niż wszystkie, jakie kiedykolwiek widział. Na ogromnych pokładach kręcili się osobliwie odziani mężczyźni. Strategos skupił wzrok na otaczających nabrzeże budynkach i zadziwił się ich skomplikowanymi kształtami; wielkie łuki wspierały ogromne, kopulaste dachy. Poniżej, z wąskiej brukowej uliczki, dochodziły krzyki. Zapewne sklepikarze i stragani arze głośno zachwalali swoje towary. Wódz nie rozumiał ich języka.
Odwrócił się, gdy wszedł Arystoteles. Magus nosił tutaj inne imię i nieco inaczej wyglądał. Włosy miał długie i białe, rzadka bródka porastała jego podbródek, ubierał się w długi aksamitny płaszcz i spodnie z haftowanej wełny.
– Jak się czujesz? – spytał czarodziej.
Spartanin odwrócił się od okna. Na przeciwległej ścianie znajdowało się zwierciadło ze srebrzonego szkła i jego doskonałość stale oszałamiała strategosa, choć wielokrotnie się wpatrywał w ową dziwną szybę podczas pięciu dni, które spędził w domu Arystotelesa.

Śmiertelne z pozoru rany jakimś cudem się zasklepiły i odbicie w lustrze pokazywało mężczyznę w kwiecie wieku – wysokiego, smukłego osobnika, który miał przed sobą całe życie. Parmenion chodził teraz w ubraniach wygodnych, lecz bez nadmiaru ozdób, jak perskie. Tak przynajmniej uważał.

Obszerna biała koszula z bufiastymi rękawami, skrojona z błękitnego jak niebo jedwabiu, wyglądała pięknie, jednak materiał nie był mocny. Jeden dzień w palącym słońcu Persji lub gwałtownych ulewach Frygii i strój byłby do wyrzucenia, podobnie zresztą jak śmieszne obcisłe spodnie. A buty?! Miały podwyższony obcas, przez co chodziło się w nich trudno i nieprzyjemnie.

– Dobrze się miewam, przyjacielu – odparł. – Ale co miałbym robić w tym świecie? Nie rozumiem tutejszych zwyczajów, a język, który dochodzi z ulicy pode mną, brzmi dla mnie zupełnie obco.

– Nie zostaniesz tutaj – odparł magus. – Skoro wróciłeś do sił, zabiorę cię do lepszego świata, takiego, który powinien ci się spodobać. Musisz wszakże wykazać się jeszcze odrobiną cierpliwości. Dziś wieczorem zjemy wspólnie posiłek, napijemy się mocnego wina i otrzymasz odpowiedzi na wszystkie swoje pytania.

– Odkryłeś prawdę? Wiesz, co się zdarzyło?

– Tak – odrzekł czarodziej. – Zabrało mi to trochę czasu, ale po wysłuchaniu sam niechybnie przyznasz, że warto było czekać.

– Powiedz mi teraz.

– Cierpliwości. Takich opowieści najlepiej się słucha wieczorem. Przez większą część popołudnia Parmenion cierpliwie czekał, jednak o zmroku zaczął przetrząsać dom w poszukiwaniu Arystotelesa. W północnej części budynku dostrzegł drewniane schody prowadzące do jasno oświetlonej pracowni pod dachem. Tutaj znalazł magusa. Czarodziej tkwił przy sztalugach i szkicował ciemnowłosą kobietę, siedzącą przed nim na skórzanym krześle z wysokim oparciem.

Kiedy Spartanin wszedł, kobieta uśmiechnęła się i przemówiła. Nie zrozumiał słów, więc tylko się skłonił. Arystoteles odłożył węgiel, którym rysował, i podniósł się ze stołka. Powiedział kilka zdań do kobiety, ta przeciągnęła się i wstała. Magus odprowadził ją do drzwi i zszedł z nią po schodach w dół, potem wrócił do pracowni.

– Nie zdawałem sobie sprawy, że jest tak późno – zauważył, przechodząc na grecki.

Parmenion stał przed szkicem.

– Znakomicie uchwyciłeś podobieństwo. Masz wielki talent.

– Stulecia praktyki, mój chłopcze. Chodź, zjedzmy coś.

Po posiłku usiedli w wygodnych fotelach przy otwartym oknie z wielu małych płytek szkła łączonych ołowiem, przez które widać było gwiazdy błyszczące niczym diamenty na futrze sobolowym.

– Co się stało z Aleksandrem? – spytał Parmenion.

– Umarł mniej więcej tysiąc siedemset lat temu – odparł czarodziej – lecz jego śmierć okazała się najwspanialszym zwycięstwem w jego

życiu.

– Mógłbyś mówić jaśniej i bez paradoksów?

– Widzisz, Bóg Mroku przejął w końcu kontrolę nad jego ciałem.

A wówczas Aleksander rozkazał się zabalsamować.

– Jaka to różnica?

– Kadmilos był duchowo połączony z ciałem króla. Mógłby się uwolnić, gdyby owo ciało strawił ogień, skonsumowali padlinożercy albo...

gdyby

zgniło, natomiast po zabalsamowaniu ciało Aleksandra nigdy się nie zepsuje.

Duch Chaosu został w nim na zawsze uwięziony. Kiedy król umarł,

między

jego wódzami doszło do wojny domowej. Wtedy Ptolemeusz ukradł zabalsamowane zwłoki i zabrał je do Egiptu, do Aleksandrii, gdzie zbudował ogromne mauzoleum i w nim je umieścił. Przez stulecia ludzie z całego świata

przyjeżdżali oglądać spokojny, idealny kształt Aleksandra Wielkiego.

Osobiś-

cie przystanąłem przy nim wraz z imptratorem Rzymu jakieś pięćset lat po

jego śmierci. A Kadmilos ciągle w nim tkwił. Czułem jego zło

pulsujące przez

kryształową trumnę, w której leżało ciało.

– Nadal tam leży? – spytał zaintrygowany strategos.

– Nie. Barbarzyńcy złupili Aleksandrię setki lat temu. Ale kapłani

ma-

cedońskiego króla wynieśli kryształową trumnę w góry i zagrzebali ją

głęboko

i daleko od ludzkich osad. Nikt nie wie, gdzie spoczęła. Z wyjątkiem

mnie,

oczywiście... ponieważ ja ją znalazłem. Ciało nadal pozostaje w

idealnym

stanie, Duch Chaosu ugrzązł w nim na dobre... może na wieczność.

Parmenion uśmiechnął się.

– A zatem opętani przez demony królowie już nie sprowadzają zła na nasz świat?

– Cóż, ten demon na pewno już nam nie zaszkodzi – odparł Arystoteles.

– Istnieją wszakże inne i zawsze będą istnieć. Na szczęście ich

możliwości

nie mogą się równać z mocą Boga Mroku.

– Biedny Aleksander – szepnął Spartanin. – Od urodzenia miał przeklęte życie.

– Bardzo dzielnie walczył z demonem – stwierdził magus. – Poznał

też przyjaźń i miłość. Czegóż więcej mógłby pragnąć człowiek? Ale

pomyśl-

my o tobie...

– Gdzie mnie wysyłasz? – spytał wódz z westchnieniem. – Co mnie

czeka, Arystotelesie?

Czarodziej zachichotał.

– Życie. Miłość. Nadeszła wreszcie pora naszego pożegnania. Ktoś na ciebie czeka.

– Kto?

– A któżby inny, jeśli nie Derae?

– Przeszłości nie da się przywrócić. Wszystko zdarzyło się setki lat temu.

Arystoteles pochylił się ku przyjacielowi i klepnął go rubasznie w ramię.

– To tylko czas. Niczego się nie nauczyłeś?

Portal, Sparta, 352 rok p.n.e.

Derae otuliła się mocniej wełnianym płaszczem. Chmury zakrywały księżyc i wiał chłodny nocny wiatr.

Minęło sześć godzin, odkąd Parmenion przeszedł przez migoczący portal do nieznanego świata. Kobieta zadrżała i podniosła wzrok na zimne kamienne

filary. Magus poprosił ją, aby tu poczekała, tak długo już jednak stała sama pod pustym niebem, że...

– Derae! – zawołał ktoś niezbyt głośno. Odgłos zabrzmiał jak zamierzchnie wspomnienie. Początkowo sądziła, że sobie to wyobraziła, ale nie

– pojawił się ponownie. Cichy, lecz uporczywy.

– Jestem – odparła głośno.

Kątem oka zobaczyła na stoku dwa ledwie widoczne kształty – były widmowe, blade, niemal przezroczyste. Stały na stoku. Trudno jej było rozróżnić szczegóły, chociaż gdy skupiła wzrok, odkryła, że ma przed sobą mężczyznę i kobietę.

– Kim jesteście? – zapytała.

– Zamknij oczy – dotarł do niej odległy głos. – Użyj swoich mocy.

– Nie posiadam mocy.

– Posiadasz, zaufaj mi. Zamknij oczy i skoncentruj się na nas. Ogarnął ją strach, lecz go zwalczyła. Jaka szkodę mogli jej wyrządzić?

Czyż nie była Spartanka, silną i dumną? Zamknęła oczy i skupiła się na głosie.

Stał się teraz nieco wyraźniejszy i w chwilę później już wiedziała, że należy do magusa Chirona.

– Przyprowadziłem ci kogoś – oświadczył. – Mam też do ciebie prośbę.

– Słucham cię – odparła.

– Chcę, abyś otworzyła swój umysł i pozwoliła wejść tej osobie do swego serca.

– Nie! – odparła królowa, nagle przestraszona.

– Wyjdzie, gdy tylko ją o to poprosisz – zapewnił ją.

– Dlaczego to robisz?

– W imię miłości – odrzekł.

Derae natychmiast stała się świadoma istnienia drugiego ducha.

– To ona! Próbujecie mnie zabić. To podstęp, nieprawdaż? Parmenion ją kochał, więc ona chce mi teraz ukraść ciało. Nie dostanie go, słyszycie?!

– Nieprawda – rzucił łagodnie czarodziej. – Zresztą wybór należy do ciebie, moja droga. Wejrzyj we własne serce. Ukradłabyś komuś ciało?

– Nie – przyznała.

– Nawet gdybyś mogła w ten sposób ocalić życie? Zawahała się.

– Nie – oznajmiła w końcu stanowczo. – Nawet wtedy nie.

– Dlaczego zatem ją podejrzewasz o taki nieczny czyn?

– Czego więc ode mnie chcecie?

– Pozwól jej na kontakt ze sobą. Porozmawiaj z nią. Nie będzie niczego od ciebie chciała. Jednak dzięki jej wspomnieniom poznasz lepiej Parmeniona – jego życie, jego marzenia.

– A później?

– Jeśli zechcesz, ta druga kobieta zostawi cię w spokoju. Zabiorę ją w inne miejsce.

– Ona nie żyje, prawda?

– Tak.

Derae zamilkła, po czym otworzyła oczy i jeszcze raz spojrzała na kamien-ny portal, przez który odszedł jej ukochany.

– Porozmawiam z nią – zgodziła się spokojnym tonem.

Wielka fala ciepła popłynęła przez jej ciało, a jej umysł wypełniły setki obrazów: alternatywna Sparta, inne życie, świątynia, burzliwy ocean pełen słabych, chorych, rannych albo umierających ludzi, którzy błagali, modlili się,

toczyli trwającą całe życie walkę przeciwko złu Kadmilosa. Aż się zatoczyła pod ciężarem tych wspomnień. Była naprawdę oszołomiona. Zapłonęło światło. Z zaskoczeniem odkryła, że słońce świeci wysoko ponad stokiem.

– Dziękuję ci – odezwał się ktoś obcy. Królowa zamrugała oczyma. Obok niej siedziała kobieta w bieli. Była młoda i piękna, miała czerwono-złote włosy i ogromne zielone oczy.

– Jesteś mną – odezwała się do obcej.

– Nie, nie całkiem – odparła tamta.

– Po co przysłaś?

– Arystoteles... Chiron... mnie odnalazł. Po wiedział, że poznanie ciebie ogrzeje moją duszę. Miał rację. Derae poczuła, że ogarniają wielki smutek.

– Twoje marzenia nigdy się nie spełniły, prawda? Kobieta wzruszyła ramionami.

– Niektóre się ziściły. Pamiętaj jednak, że wielu ludzi podczas całego życia nie zaznało nawet chwili miłości. To im trzeba współczuć, nie mnie.

– Parmenion wróci do mnie – zauważyła królowa. – Jednak to ciebie pragnie. Ja jestem tylko... kopią.

– Wcale nie – zapewniła ją kobieta. – Pragnie właśnie ciebie. Będiesz z nim szczęśliwa.

– Dlaczego Chiron przysłał cię do mnie? Co mam zrobić?

– Chce, byśmy stały się jednością, ja i ty.

– Dwie dusze w jednym ciele?

– Nie. Ciało może mieć tylko jedną duszę. Chiron wierzy, że potrafimy się połączyć i stworzyć jedną duszę z dwiema ścieżkami pamięci.

– Czy to możliwe? – spytała lękliwie Derae.

Kobieta rozłożyła bezradnie ręce.

– Nie mam pojęcia. Jeśli masz wątpliwości i obawy, zapomnijmy o po-myśle czarodzieja. Nie musisz robić tego dla mnie. Parmenion i tak wkrótce tu przybędzie, a wtedy zaczniecie wspólne życie – wspaniałe, spokojne, naznaczone miłością.

Królowa popatrzyła na swoją bliźniaczkę i wyciągnęła rękę.

– Spróbujmy – zaproponowała.

Kobieta wyglądała na zdziwioną.

– Dlaczego? Dlaczego to robisz?

– A czy ty nie zrobiłabyś tego dla mnie?

Tamta uśmiechnęła się.

– Tak, zrobiłabym.

Chwyciły się za ręce, a wtedy światło przygasło.

Derae odkryła, że znowu siedzi w cieniu portalu oświetlonego przez księż-
życ. W pobliżu nie było żadnych duchów, nie słyszała też głosów, a gwiazdy błyszczwały na niebie równie jasno jak przed spotkaniem. Wzięła głęboki wdech i przywołała wspomnienia.

Przez jakiś czas tkwiła w bezruchu. Korytarze przeszłości osobiwie się teraz rozgałęziały; była równocześnie dzieckiem w magicznej Sparcie i młodą kobietą w świecie Parmeniona. Lata mijały – od młodości do pierwszych siwych włosów... Przypomniała sobie z drżeniem ból artretycznych stawów.

Ponownie poczuła nieprzyjemne dolegliwości związane ze starością, z zani-

kaniem mocy. Jej mocy?! „Nie posiadałam przecież mocy – pomyślała. – Ależ posiadałam, pewnie, że tak – przypomniawszy sobie po chwili”. Jej magiczne zdolności rozwinęły się dzięki Tamis, gdy Derae znalazła się w świątyni. Tyle że... aby je zdobyć, musiała poświęcić wzrok. Nie, przecież nigdy nie była ślepa! Zaczął ją ogarniać strach, wspomnienia

wszakże nadal przepływały, wypełniając jej umysł, aż w końcu sędo nich przyzwyczaiła. Uspokoila się.

– Która z tych dwóch jestem? – spytała głośno, ale nie otrzymała odpowiedzi. Wszystkie wspomnienia należały do niej, a tożsamość przecież opierała się na wspomnieniach. Królowa doskonale o tym wiedziała. Pamiętała nie tylko fakty związane z latami, które przeżyła jako uzdrowicielka w świątyni, ale także wszystkie emocje i pragnienia z tego okresu.

A jednak podobnie żywo przypominała sobie czas spędzony w alternatywnej Sparcie, małżeństwo z Parmenionem, wspaniałe dzieciństwo pod troskliwą opieką brata Leonidasa. – Kim więc jestem? – spytała znowu. Zerknęła w dół i ujrzawszy drobny kwiat, którego białe płatki wędły niemal na jej oczach. Jego czas się skończył, piękno zanikało... Wyciągnęła dłoń i przytrzymała ją nad kwiatem. Płatki natychmiast nabrały życia. W tym momencie się uspokoiła całkowicie. Wątpliwości zniknęły.

– Jesteśmy jedną osobą – wyszeptwała. – Jesteśmy Derae. Napełniła ją nieznana dotąd radość życia, którą zakłócała jedynie lekka tęsknota. Niecierpliwiać się, ogarnęła spojrzeniem wzgórze i skupiła się na bliźniaczych kamiennych kolumnach.

Wreszcie portal rozbłysnął oślepiającym złotym światłem. Wysoki młody mężczyzna przekroczył bramę między światami i radośnie ruszył ku Derae po stoku.

MORZE CZARNE
S7L7 WIEKSZA
LIDIA"
3" 'i PIZYDIAN KAPADOCJA
ARMENIA
GŁÓWNE SATRAPIE
IMPERIUM PERSKIEGO (337 r. p.n.e.)
© miasta wymienione w Księciu Mroku
/ARACHOZJA
Designed by materiał bupplied by lany Ashcra,
Bibliografia
Ajschinesa mowy i Demostenesa mowy. Prze}. J. Małecki. Nowy Sącz 1906.
Andronipos, M., Sarissa (Bulletin de Correspondence Hellenique 94).
Arrian, Campaigns of Alexander (Penguin Classics, trans. Aubrey de Selincourt, rev. J.R. Harmilton1971).
Arystoteles, Etyka nikomachejska. Oprac. D. Gromska. Warszawa 1956.
Austin, MM. & Vidal-Naquet, P., Economic and Social History of Ancient Greece (Batsford 1977).
Bengtson, H., The Greeks and the Persians (Weidenfeld 1968).
Cassm-Scott, The Greek and Persian Wars (Osprey 1977).
Cawkwell, George, Philip of Macedon (Faber 1978).
Cook, J.M., The Persian Empire (Dent 1983).

Diodorus Siculus, Books 15-17 (Loeb).
Ellis, J.R., Philip II and Macedonian Imperialism (Thames and Hudson 1976).
Flaceliere, R., *Życie codzienne w Grecji za czasów Peryklesa*. Warszawa 1985.
Hammond, N.G.L. & Gnffiths, G.T., *History of Macedonia. Vol. II* (OUP).
Hatzopoulos, M.B. & Loukopoulos, L.D., *Philip of Macedon* (Heinemann 1981)
Jenkins, Ian, *Greek and Roman Life* (British Museum Publications 1986).
Keegan, John, *The Mask of Command* (Cape 1987).
Kerenyi, C, *The Gods of the Greeks* (Thames and Hudson 1951).
Ksenofont, *Historia grecka*. Oprac. J. Wolski. Wrocław 1958.
-, *Wybór pism*. Oprac. J. Schnayder. Wrocław 1966.
Lane Fox, Robm, *Alexander the Great* (Omega 1973).
-, *The Search for Alexander* (Allen Lane 1980).
May, C, *The Horse Care Manual* (Stanley Paul 1987).
Plutarch, *Żywoty sławnych mężów*. Oprac. T. Sinko. Wrocław 1956.
Renault, Mary, *The Nature of Alexander* (Pengum 1975).
Rutter, N.K., *Greek Coinage* (Shire Archaeology 1983).
Sekunda, Nick, *The Army of Alexander the Great* (Osprey 1984).
Starr, ChesterG., *The Ancient Greeks* (OUP 1971).
Symons, David J., *Costume of Ancient Greece* (Batsford 1987).
Wycherley, R.E., *How the Greeks Built Cities* (Macmillan 1962).